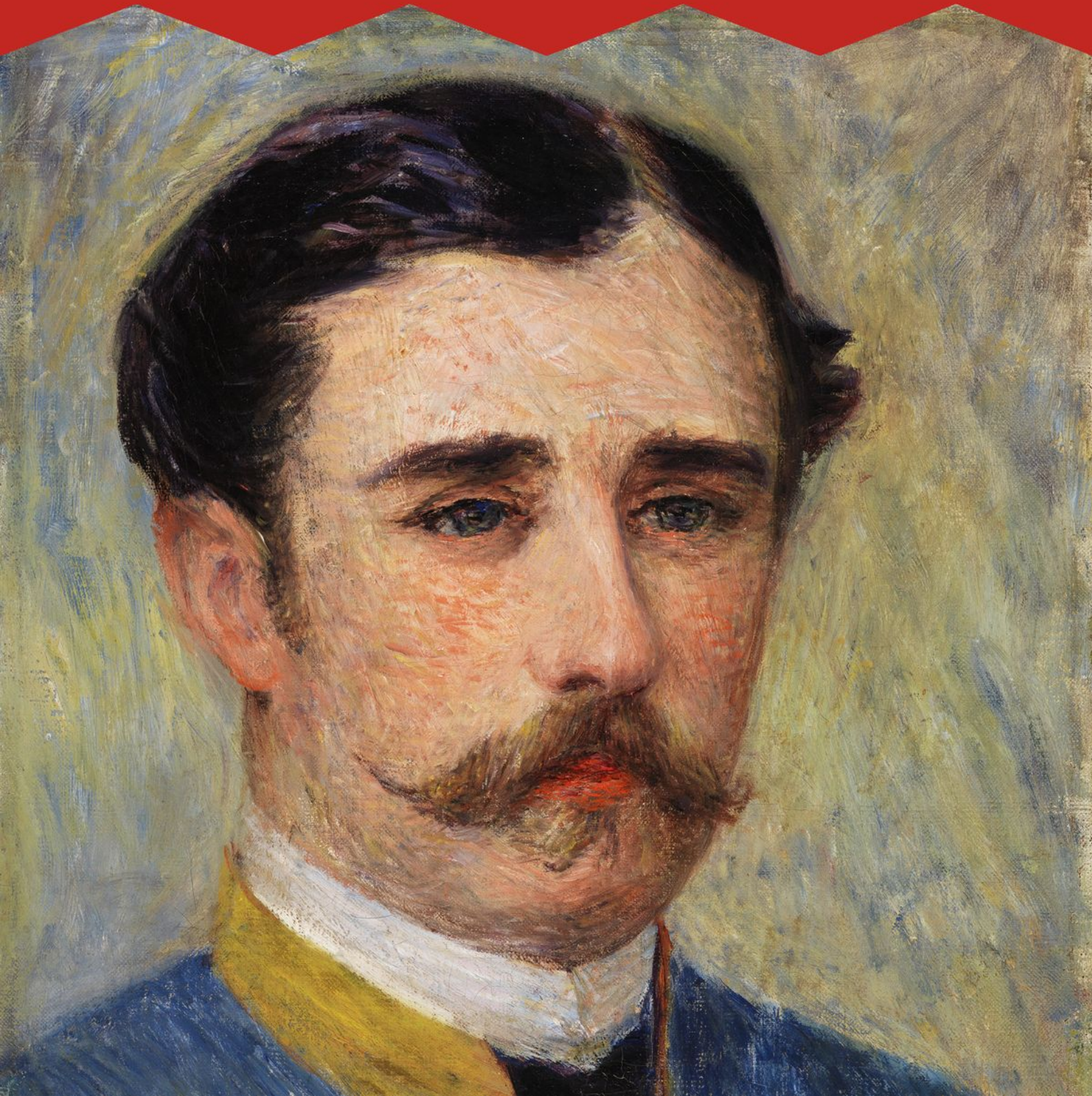


# Pustelnia parmeńska



STENDHAL

# Pustelnia parmeńska

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

## OD TŁUMACZA

Wydając niedawno po polsku *Czerwone i czarne* Stendhala, poprzedziłem tę książkę krótkim życiorysem oraz charakterystyką pisarza; nie będę tedy powtarzał tych ogólnych rysów, dodam jedynie kilka słów odnoszących się do samej *Pustelni parmeńskiej*. Ukazała się ona drukiem w r. 1839, jako ostatni większy utwór Stendhala, pomyślana została jednakże już w r. 1832, tuż po *Czerwonym i czarnym*. I w istocie czuć, iż oba utwory wyrosły z jednej epoki duchowego życia pisarza, tyle odnajdujemy w nich wspólności.

Wspólność — ale raczej wewnętrzna; na pozór znajdujemy się w zupełnie innym świecie. Tam Francja, tu Włochy; tam bohaterem powieści jest ambitny plebejusz, tu spieszczony arystokrata... Mimo to twórczość Stendhala jest — przy pozorach suchego obiektywizmu — tak osobista, iż znów trzeba nam w nim samym poszukać komentarza do tej *Pustelni parmeńskiej*.

Przypomnijmy go sobie w r. 1800, kiedy jako siedemnastoletni chłopak pierwszy raz dosiada konia, aby w ślad za krewniakiem swym, Daru, podążyć do Włoch za armią Bonapartego. Młody Beyle dostaje się do Mediolanu, a siła tych pierwszych upojeń, które znalazł na ziemi włoskiej, jako jedna z żywych głosek wspaniałego rapsodu, który się tam rozgrywał, jest taka, iż w trzydzieści lat później wspomnienie ich starczy, aby mu podyktować karty rozpoczynające *Pustelnię parmeńską*, jedne z najgorętszych, najbardziej świeżych, jakie kiedy wyszły spod jego pióra. Ten sam *napoleonizm*, który przenikał *Czerwone i czarne*, bije i tutaj z każdej stronicy; ale podczas gdy tam był to ów napoleonizm pogrobowy, beznadziejny, tutaj tryska on świeżością i stanowi nieporównany dokument do zrozumienia tej epoki dziejów. Cały początek powieści wraz z tym tak sławnym w literaturze opisem bitwy pod Waterloo jest arcydziełem.

Napoleon... oto wielkie imię, które stanowi klucz do zrozumienia bohaterów obu tych powieści; ono stwarza to braterstwo duchowe między francuskim plebejuszem a włoskim arystokratą i pozwala duszy samego autora przegłądać się w nich obu. Dwie te powieści to dwa studia *napoleonizmu*, tej wielkiej epidemii wieku; monografie dwóch gorących serc usychających w nostalgii za tą dziwną, bajkową ojczyzną, jaką była dla nich armia Napoleona.

Kult Napoleona to u Stendhala kult *energii*, hymn o mocnym życiu instynktu, hazardu i wzruszenia. Francuzom, będącym (wedle Stendhala) na antypodach tej heroicznej koncepcji życia, dał go kosztować Napoleon. Francja, a zwłaszcza ów tak antypatyczny mu Paryż — to dla Stendhala królestwo intelektu; Włochy, a zwłaszcza Włochy z epoki Renesansu — to królestwo instynktu. Ale coś — wiele nawet — z renesansowej Italii żyje i w owych współczesnych Stendhalowi Włoszech, które tak bardzo ukochał, w których spędził większą część życia i które nawet na kamieniu grobowym uczynił swą prawdziwą ojczyzną. Zwłaszcza włoska kobieta, którą Stendhal tak uwielbia i którą tak zawsze przeciwstawia antypatycznej dlań Francuzce, pozostała — w najwspanialszych swych egzemplarzach — owym czystym *instynktem*, bez którego nie istnieje dlań żadne piękno, żadna wielkość życia. I po trosze ze strzępów przeżyć i wspomnień, po trosze i więcej zapewne — z marzenia urodziła się tu niepokojąca Gina Pietranera (pierwsza kobieta, którą Stendhal kochał we Włoszech, nazywała się Pietragrua), która kartom tej powieści daje tyle mocnego i oryginalnego wdzięku. Równocześnie jest ta księżna Sanseverina

żywym wyrazem owej spokojnej, niezachwianej ani na chwilę *amoralności* kobiety, o ile pozostała ona cała instynktem, nie tkniętym niemal przez wychowanie społeczne. Nawet wyrzut sumienia — to coś dla niej nie istnieje. Zastanawiałem się nad tym swego czasu, pisząc o Makbecie Szekspira.

Instynktem jest i Fabrycy. Jakiś alogiczny imperatyw dyktuje mu wszystkie jego czynności; mamy uczucie, jak gdyby żył w jakimś śnie na jawie. Ale — powiedzmy otwarcie — ta postać o wiele mniej jest żywa niż sama księżna; omal nie powiedziałbym chybiona. Marząc sobie postaci kobiece, kochając się w nich z piórem w ręku, Stendhal *wywoływał* je z doskonałą siłą wizji; tak powstały te niezapomniane figury pani de Renal, Matyldy de la Mole, Giny Pietranera. Trudniej z mężczyznami; tu *egotyzm* autora, osobiste elementy wciskają się pod pióro, mącąc nieraz czystość rysunku i plastykę postaci. O ile egotyzm ten mocą siły twórczej stopił się niemal doskonale z postacią Juliana Sorel, dając jej intensywne a samoistne życie, o tyle tutaj odnajdujemy go w Fabrycym w nie dość organicznym zespoleniu.

Skoro już mowa o brakach tej powieści, zaznaczamy jeszcze ten sam rys, który tak niecierpliwie dawał się uczuć w *Czerwonym i czarnym*: mianowicie posługiwanie się osobami, które odgrywają znaczną rolę w akcji, a których znamy jedynie nazwiska powracające raz po raz niby liczmany: takim liczmanem jest tu owa wieczna margrabina Raversi, a poniekąd i Fabio Conti, Rassi etc. Jeszcze, jak wspomniałem, nie przeszedł przez powieść nowoczesny Balzac ze swoją sztuką wywoływania całego świata żywych postaci — aż do najdrobniejszych.

Poza tym *Pustelnia parmeńska* posiada też same cechy „techniki” pisarskiej Stendhala co *Czerwone i czarne*; ten sam sposób opowiadania mało operujący dialogiem, więcej drobiazgową analizą stanów duszy. Ta analiza uczyniła ze Stendhala bożyszczę „szkoły psychologicznej” w ostatnich dziesiątkach ubiegłego wieku. Dziś staliśmy się nieco bardziej sceptyczni wobec psychologii w ogóle: może jest i coś fatydycznego w samym terminie „psychologia”, co — jak wiadomo — oznacza nie tyle *znawstwo duszy*, ile gadania o duszy. Faktem jest, iż raczej przemawia dziś do nas w Stendhalu to, co jest wyobraźnią, niż to, co jest ową drobiazgową analizą.

Wyobraźnia Stendhala — mimo iż tak bardzo odrębna od wyobraźni romantyków — działa w tym utworze z niezwykłą siłą sugestii. Stwarza świat — mniejsza, w jakim stopniu odpowiadający rzeczywistości — zanurza nas w pewnej atmosferze, w której pozostajemy aż do ostatniej karty książki. Te Włochy Stendhala, radosne, zbudzone do życia wkroczeniem zwycięskiej armii Bonapartego — to znów, po runięciu olbrzyma, ta atmosfera małego dworu z jego śmiesznością, intrygami, małostkami, wszystko to żyje i zmusza nas do udziału w tym życiu. Czasem tylko buntujemy się na chwilę; zwłaszcza więzienna idylla Fabrycego i Klelii trąci nam romantyzmem nazbyt już „operowym”.

Ale nie mam zamiaru ustalać bilansu zalet i wad tej książki. Mimo swoich słabizn, mimo — zwłaszcza dotkliwych rozwlekłości (w części drugiej) — mimo swego „naturalnego” stylu, przetrwała ona i przetrwa zapewne jako jeden z najbogatszych w treść wewnętrzną, najbardziej sugestywnych utworów epoki. Jest ta książka jedną z najbardziej znanych, cytowanych. Istotnie, kto ją raz przeczyta, ten jej nie zapomina; zaciera ją się w pamięci *szczegół* zawilej intrygi, ale dusza bogaci się o jeden ton, oryginalny, mocny i nieraz wspomnieniem swoim pogrążający w zadumie. I to wpółtajemnicze działanie stanowi urok Stendhala i sprawia, że książki jego przeżyły tyle innych, skądinąd może doskonalszych utworów literackich.

Warszawa, w czerwcu 1923

Nauka

# I

Gia mi fur dolci inviti a empir le carte  
I luoghi ameni.

Ariosto, Satyry IV

(Do napisania tych kart natchnęły mnie niegdyś te czarowne okolice.)

## PRZEDMOWA

Opowiadanie to skreślono w zimie 1830 roku, o trzysta mil od Paryża; nie może tu być więc żadnej wzmianki o wydarzeniach z 1839 roku.

Wiel lat wprzód, gdy nasze armie przebiegały Europę, trafił pomieścić mnie na kwatery w domu pewnego kanonika; było to w Padwie, szczęśliwym mieście. Pobyt przeciągnął się dość długo, mieliśmy czas zaprzyjaźnić się z kanonikiem.

Przejeżdżając przez Padwę z końcem 1830 roku pobiegłem do domostwa zacnego księdza; nie żył już, wiedziałem o tym, ale chciałem raz jeszcze zobaczyć salon, gdzie spędziliśmy tyle miłych wieczorów, tak często później wspomnianych z żalem. Zostałem bratanek kanonika oraz jego żonę; przyjęli mnie jak starzy przyjaciele. Nadeszło jeszcze kilka osób, zebranie przeciągnęło się. Gospodarz kazał przynieść z kawiarni „Pedroti” doskonały *zambajon*<sup>1</sup>. Głównie zabawiła nas do tak późna historia księżnej Sanseverina. Ktoś o niej wspomniał, a bratanek kanonika opowiedział rzecz na moją cześć w całości.

— W kraju, do którego się udaję — rzekłem do moich przyjaciół — nie znajdę takiego domu jak ten; toteż, aby zapędzić długie wieczorne godziny, ułożę powiastkę z życia uroczej księżnej Sanseverina.

W takim razie — rzekł bratanek — pożyczę panu zapisków mego wuja, który pod paragrafem Parma wspomina niektóre intrygi tego dworu, w czasie gdy trzęsła nim księżna Sanseverina; ale strzeż się pan! Historia ta nie jest zbyt moralna i obecnie, kiedy wy we Francji macie ambicje ewangelicznej czystości, może ściągnąć na pana wprost morderczą reputację.

Ogłaszam tę powiastkę nic nie zmieniając w rękopisie z roku 1830, co może mieć dwie ujemne strony:

Pierwsza — dla czytelnika: bohaterowie jej, jako Włosi, mniej go może zainteresują, ile że charakter tego kraju dość jest różny od Francji. Włosi są szczerzy, dobrzy ludzie, bez fałszywego wstydu mówią, co myślą: próżności ulegają jedynie chwilami, wówczas staje się ona namiętnością i przybiera miano *puntiglio*<sup>2</sup>. Wreszcie ubóstwo nie jest u nich śmieszne.

Druża ujemna strona odnosi się do autora.

Wyznaję, że miałem tę odwagę, aby zostawić działającym osobom wszystkie brutalności ich charakteru; ale w zamian oświadczam głośno, iż nie szczędzę najmoralniejszej wzdary wielu ich postępkom. Na co im było dawać wysoką moralność i wdzięk charakterów francuskich, które kochają pieniądź ponad wszystko i nie dopuszczają się grzechów z miłości lub nienawiści? Włosi grający rolę w tym opowiadaniu są bardzo odmienni. Zresztą mam wrażenie, że za każdym razem, kiedy się posuwamy o dwieście mil z południa na północ, następuje się nowy krajobraz jak i nowa powieść. Uroczą bratanicą kanonika znała, a nawet bardzo kochała księżną Sanseverina i prosi mnie, abym nie zmieniał nic w jej przygodach, zaiste bardzo nagannych.

23 stycznia 1839

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

<sup>1</sup>*zambajon*, *zabaglione* a. *zabaione* (z wł.) — poncz [słodki napój lub deser z alkoholu, soków owocowych i in.; Red. WL]. [przypis tłumacza]

<sup>2</sup>*puntiglio* (wł.) — punkt honoru. [przypis redakcyjny]

15 maja 1796 roku generał Bonaparte wszedł do Mediolanu na czele młodej armii, która świeżo przebyła most Lodi i pokazała światu, że po tylu wiekach Cezar i Aleksander zyskali następcę. Cudy odwagi i geniuszu, których świadkami były Włochy, rozbudziły w ciągu kilku miesięcy uśpiony lud; jeszcze na tydzień przed przybyciem Francuzów mediolańczycy widzieli w nich jedynie zgraję bandytów pierzchających stale przed wojskami Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości<sup>3</sup>; tak przynajmniej głosiła trzy razy na tydzień miejscowa gazeta, świstek drukowany na brudnym papierze.

W średnich wiekach republikańscy Lombardowie byli dzielni jak Francuzi i osiągnęli tyle, że cesarze niemieccy zrównali z ziemią ich miasto<sup>4</sup>. Od czasu jak się stali *wiernymi poddanymi*, głównym ich zajęciem było drukować sonety na różowych jedwabnych chusteczkach z okazji małżeństwa córek jakiej szlacheckiej lub zamożnej rodziny. W parę lat po tej wielkiej epoce swego życia młoda dziewczyna brała sobie *służkę*<sup>5</sup>: niekiedy nazwisko takiego galanta, wybranego przez rodzinę męża, widniało na honorowym miejscu w kontrakcie ślubnym.

Cóż za przeskok od tego leniwego życia do gwałtownych wzruszeń, jakie dało niespodziane przybycie armii francuskiej! Niebawem wyłoniły się nowe obyczaje i namiętności. Z dniem 15 maja 1796 roku cały naród spostrzegł, iż wszystko, co dotąd czcił, było nad wyraz śmieszne, nieraz wstrętne. Wymarsz ostatniego austriackiego pułku zaznaczył upadek dawnych pojęć: narażanie życia stało się rzeczą modną. Zrozumiano, iż aby być szczęśliwym po wiekach obłudy i gnuśności, trzeba naprawdę ukochać ojczyznę i dokonywać bohaterских czynów. W atmosferze będącej spuścizną zazdrosnego despotyzmu Karola V i Filipa II<sup>6</sup> Lombardowie żyli w mrokach głębokiej nocy; teraz obalili ich posągi i nagle znaleźli się w potokach światła. Od pięćdziesięciu lat, w miarę jak we Francji wschodził dzień *Encyklopedii* i Woltera, mnichy wmawiały poczciwym mediolańczykom, że nauka czytania lub czego bądź na świecie to trud bardzo zbyteczny i że płacąc regularnie dziesięć groszy proboszczowi i opowiadając mu sumiennie swoje grzeszki, ma się mniej więcej zapewnione przyzwoite miejsce w raju. Aby wypruć z tego ludu, tak groźnego niegdyś i tak rezonerskiego, wszelki nerw, Austria sprzedała mu tanio przywilej uwalniający od dawania rekruta.

W 1796 roku armia mediolańska składała się z dwudziestu czterech drabów w czerwonych mundurach, którzy wraz z czterema wspianiałymi pułkami grenadierów węgierskich strzegli miasta. Obyczaje były mocno rozwiązłe, ale namiętności nader rzadkie. Nie licząc przykości opowiadania wszystkiemu spowiednikowi pod groźbą ruiny na tym świecie, poczciwy ludek mediolański był jeszcze skrępowany monarchicznymi pętami, które bywały dość uciążliwe. Tak na przykład arcyksiążę<sup>7</sup>, który rezydował w Mediolanie i władał w imieniu cesarza, swego kuzyna, wpadł na zyskowny pomysł handlu zbożem. Wskutek tego zabroniono chłopom sprzedawać zboże, póki Jego Wysokość nie napełni swoich spichrzów.

W maju 1796 roku, w trzy dni po wejściu Francuzów, młody miniaturzysta, nieco szalona pałka, zowiący się Gros<sup>8</sup> (nazwisko później sławne), który przybył wraz z armią, usłyszawszy w modnej wówczas kawiarni „Servi” o działalności arcyksięcia, będącego w dodatku olbrzymim brzuchaczem, wziął spis lodów wydrukowany na ćwiartce lichego żółtego papieru. Na odwrotnej stronie narysował grubego arcyksięcia: żołnierz francuski

<sup>3</sup>*Jego Cesarska i Królewska Mość* — mowa o Franciszku II [Habsburgu] (1768–1835), ostatnim cesarzu rzymsko-niemieckim [od 1804 r. cesarzu Austrii (jako Franciszek I)]. [przypis redakcyjny]

<sup>4</sup>*W średnich wiekach republikańscy Lombardowie byli dzielni jak Francuzi i osiągnęli tyle, że cesarze niemieccy zrównali z ziemią ich miasto* — w 1162 r. Fryderyk Barbarossa zburzył po długim oblężeniu Mediolan. [przypis redakcyjny]

<sup>5</sup>*służka* (daw.) — tu: służący, kawaler pozostający na usługi damy. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*Filip II* (1527–1598) — syn cesarza rzymsko-niemieckiego Karola V, król Hiszpanii, Neapolu i Sycylii, książę Mediolanu; zasłynął ze swej reakcyjnej polityki i okrutnych autodafów. [przypis redakcyjny]

<sup>7</sup>*arcyksiążę* — Ferdynand Austriacki (1754–1806), syn Marii Teresy, gubernator Lombardii. [przypis redakcyjny]

<sup>8</sup>*Antoine-Jean Gros* (1771–1835) — fr. malarz historyczny, autor licznych obrazów sławiących epopeję napoleońską oraz portretów m.in. ks. J. Poniatowskiego i J. Ursyna Niemcewicza; późniejszy malarz oficjalny cesarstwa i Restauracji, który jako oficer armii włoskiej poznał Napoleona i uzyskał jego protekcję dzięki obrazowi *Bonaparte na moście pod Arcole*. [przypis redakcyjny]

kluje go bagnetem w brzuch i zamiast krwi sypie się zeń nieprawdopodobna ilość zboża. Wszelki żart, karykatura były czymś zupełnie nieznanym w tym kraju czujnego despotyzmu. Rysunek zostawiony przez Grosa na stoliku kawiarni wydał się cudem, który zstąpił z nieba; odbito go w nocy, a następnego dnia sprzedano dwadzieścia tysięcy egzemplarzy.

Tegoż samego dnia ogłoszono afiszami kontrybucję wojenną sześciu milionów na potrzeby armii francuskiej, której po sześciu wygranych bitwach i zdobyciu dwudziestu prowincji brakło jedynie butów, spodni, odzieży i kapeluszy.

Ci nędzarze Francuzi wnieśli z sobą do Lombardii tyle szczęścia i radości życia, że jedynie księża i paru magnatów odczuło ciężar tej sześciomilionowej kontrybucji, po której niebawem przyszły inne. Żołnierze francuscy śmiali się i śpiewali cały dzień; żaden z nich nie miał dwudziestu pięciu lat, wódz ich zaś, który miał lat dwadzieścia siedem, uchodził za najstarszego w armii. Ta wesołość, młodość, beztraska była jakby ucieśzną odpowiedzią na wściekle nawoływania mnichów, którzy od pół roku głosili z ambony, że Francuzi to są potwory obowiązane pod karą śmierci palić wszystko i ścinać głowę każdemu, kto się nawinie: w tym celu każdy pułk kroczy z gilotyną na czele.

Po wsiach widziało się na progu chaty francuskiego żołnierza kołyszącego niemowlę gospodyni domu, prawie zaś co wieczór dobosz jakiś, grający na skrzypcach, improwizował balik. Ponieważ kadryl zbyt był uczony i zawily, aby żołnierze, nie umiejący go zresztą, mogli go nauczyć swoje tancerki, częściej one uczyły młodych Francuzów monferyna, skoczki i innych tańców włoskich.

Oficerów pomieszczono, o ile się dało, w domach bogatych; mocno potrzebowali się skrzepić! Tak na przykład pewien porucznik imieniem Robert otrzymał kwatery w pałacu margrabiny del Dongo. Oficer ten, niedawny rekrut, dość lekkomyślny, posiadał w tej chwili za cały majątek talara otrzymanego pod Placencją. Pod Lodi zabrał dorodnemu austriackiemu oficerowi, zabitemu przez kulę, wspaniałe nankinowe spodnie, zupełnie nowe. Nigdy odzież nie zjawiła się równie w porę! Oficerskie szlify miał wełniane, na rękawach mundur przyszyty był do podszewki, aby strzępy nie odpadały — ale najsmutniejsze było to, iż podeszwy u butów były sporządzone z kawałków kapelusza, również zagarniętego na polu bitwy, za mostem Lodi. Te improwizowane podeszwy przywiązane były do butów za pomocą bardzo widocznych sznurków, tak iż kiedy marszałek dworu zjawił się w pokoju porucznika Roberta, aby go zaprosić w imieniu margrabiny na obiad, pogrążył go zaiste w okropnym kłopotcie. Dwie godziny, które zostawały do tego nieszczęsnego obiadu, spędził wraz ze swym forysicem<sup>9</sup> na cerowaniu munduru oraz czernieniu atramentem nieszczęsnych sznurków u trzewików. Wreszcie nadszedł straszliwy moment.

„W życiu nie byłem równie zakłopotany — mówił mi porucznik — te panie myślały, że im napędzę strachu, a ja byłem bardziej drżący od nich. Patrzałem na swoje trzewiki i nie wiedziałem, jak stąpać z wdziękiem. Margrabina del Dongo — dodał — była wówczas w całym blasku piękności: pamiętasz te cudne oczy o anielskiej słodyczy, te piękne ciemnobłond włosy, rysujące owal jej uroczej twarzy. W pokoju moim była na ścianie *Herodiada* Leonarda da Vinci; można by myśleć, że to jej portret. Bóg dał, iż oszołomiony tą nadprzyrodzoną pięknnością, zapomniałem o swoim stroju. Od dwóch lat widziałem w górzystych okolicach Genui same szpetne i nędzne postacie: ośmieliłem się wyrazić jej w kilku słowach swój zachwyt.

Ale nie byłem tak niemądry, aby długo brnąć w komplementach. Klekąc dworne frazesy, widziałem w marmurowej jadalni tuzin lokajów ubranych w sposób będący w moich ówczesnych pojęciach szczytem wspaniałości. Wyobraź sobie, hultaje mieli trzewiki nie tylko całe, ale do tego ze srebrnymi sprzączkami! Widziałem spod oka, jak wytrzeszczają gały na moje ubranie, może i na buty, co mnie doprowadzało do rozpacz. Mogłem jednym słowem nagnać pietra tym trutniom, ale jak ich przywołać do porządku, nie przestraszając pań? Bo margrabina, aby sobie dodać odwagi — nieraz mówiła mi to później — sprowadziła z klasztoru siostrę męża, Ginę del Dongo, pensjonarkę, która została później ową uroczą hrabiną Pietranera. Nikt nie dorównał jej wdziękiem i weselem w pomysłności, jak nikt nie przewyższał jej hartem i pogodą w złej doli.

<sup>9</sup>*forysic* a. *forys* (daw., z niem. *Vorreiter*: jadący na przedzie) — ordynans; konny żołnierz służący oficerowi. [przypis edytorski]

Gina mogła mieć wówczas trzynaście lat, ale wyglądała na osiemnaście. Żywa i szczerą, jak ją znasz, tak się bała, aby nie parsknąć śmiechem na widok mego stroju, że nie miała odwagi jeść. Margrabina, przeciwnie, zasypywała mnie wymuszonymi uprzejmościami; widziała doskonale w moich oczach zniecierpliwienie. Słowem, grałem głupią rolę, byłam wstyd, rzecz podobno niemożliwa dla Francuza. Wreszcie myśl zesłana z nieba rozświeciła mój mózg: zacząłem opowiadać paniom o naszej nędzy wszystko, cośmy wycierpieli od dwóch lat w pogórzach genueskim, gdzie nas trzymali starzy, głupi generałowie. Mówiłem, jak nam dawano asygnaty nie mające obiegu i trzy uncje chleba dziennie. Nie upłynęły dwie minuty, jak dobra margrabina miała łzy w oczach, a Gina spoważniała.

— Jak to, panie poruczniku — mówiła — trzy uncje chleba?

— Tak, pani, ale dostawa zawodziła trzy razy na tydzień, że zaś wieśniacy, u których staliśmy kwaterą, byli jeszcze biedniejsi od nas, dawaliśmy im nieco naszego chleba.

Po obiedzie przeprowadziłem margrabinę do drzwi salonu; następnie zaś, wróciwszy szybko, dałem lokajowi usługującemu mi przy stole ową jedyną sztukę srebra, na której budowałem tyle zamków na lodzie.

W tydzień później — ciągnął Robert — skoro już się upewniono, że Francuzi nie gilotynują nikogo, margrabia del Dongo wrócił ze swego zamku Grianta nad jeziorem Como, dokąd się mężnie schronił za zbliżeniem armii, zostawiając losom wojny młodą i piękną żonę wraz z siostrą. Nienawiść, jaką ten magnat czuł do nas, była równa jego strachowi, to znaczy niezmierną; ucieszenie było widzieć tę dużą, bladą facjatę świętoszka, kiedy się silił wobec mnie na uprzejmość. Nazajutrz po jego powrocie otrzymałem trzy łokcie sukna i dwieście franków z owej sześciomilionowej kontrybucji; oporządziłem się nieco i stałem się nadwornym rycerzem tych pań, bo nastąpiła epoka balów”.

Historia porucznika Roberta to w przybliżeniu dzieje wszystkich Francuzów; zamiast drwić z nędzy tych dzielnych żołnierzy, ulitowano się ich<sup>10</sup> i pokochano.

Ten okres niespodziewanego szczęścia i upojenia trwał ledwie dwa lata; szaleństwo było tak niezwykle i tak powszechne, że niepodobna byłoby mi dać pojęcia o nim inaczej niż za pomocą tej głębokiej historycznej refleksji: lud ten nudził się od stu lat.

Rozkosz przyrodzona południowym krajom władzała niegdyś na dworze Viscontich i Sforzów, słynnych diuków mediolańskich. Ale od 1624 roku, kiedy Hiszpanie zawładnęły Mediolanem<sup>11</sup> jako panowie milczący, podejrzliwi, dumni i wciąż lękający się buntu, wesołość pierzchła. Ludność, przejmując obyczaje swych panów, raczej myślała o tym, aby pomścić sztyletem najłżejszą zniewagę, niż aby się cieszyć życiem i chwilą.

Szalona radość, wesele, rozkosz, zapomnienie wszelkich smutków, a nawet rozsądku doszły — od 15 maja 1796, daty wejścia Francuzów do Mediolanu, aż do kwietnia 1799, kiedy ich wypędzono w następstwie bitwy pod Cassano — do tego, że można by przytoczyć starych kupców-milionerów, starych lichwiarzy, rejentów, którzy przez ten okres zapomnieli o kwaśnej minie i o ciułaniu grosza.

Co najwyżej można by wymienić kilka magnackich rodzin, które usunęły się do swoich pałaców na wsi, jak gdyby dąsając się na powszechną wesołość i rozkwit serc. Trzeba przyznać, że szlachetne te i bogate rodziny wyróżniono w przykry sposób w rozdziale kontrybucji ściąganej na rzecz armii francuskiej.

Margrabia del Dongo, oburzony tym weselem, schronił się jeden z pierwszych do swego wspaniałego zamku Grianta, za Como, dokąd też panie zabrały z sobą porucznika Roberta. Zamek ten, o położeniu jedynym może na świecie, wznosi się na płaskowyżu, na sto pięćdziesiąt stóp nad cudnym jeziorem; była to niegdyś warownia. Rodzina del Dongo zbudowała go w piętnastym wieku, jak o tym świadczyły herby gęsto wryte na marmurach; są tam jeszcze mosty zwodzone i głębokie rowy, co prawda bez wody, lecz mury wysokie na osiemdziesiąt stóp i grube na sześć zabezpieczają od napaści; dlatego zamek ów był tak drogi podejrzliwemu margrabiemu. Otoczony paroma tuzinami sług, w których oddanie wierzył zapewne dlatego, że nie odzywał się do nich inaczej niż z obelgą na ustach, czuł się tam mniej spłoszony niż w Mediolanie.

Strach ten nie był zupełnie bezpodstawny: margrabia utrzymywał żywą korespondencję z pewnym szpiegiem, pomieszczonym przez Austrię na granicy szwajcarskiej, o trzy

<sup>10</sup>ulitowano się ich — dziś popr.: ulitowano się nad nimi. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>Hiszpanie zawładnęły Mediolanem — faktycznie nastąpiło to w 1535 r. [przypis redakcyjny]

mile od Grianta, dla ułatwienia ucieczki jeńcom pojmanym na polu bitwy; rzecz, która mogłaby się bardzo nie podobać generałom francuskim.

Margrabia zostawił młodą żonę w Mediolanie; zawiadowała tam sprawami rodzinnymi, miała poruczone bronić się przed kontrybucjami nałożonymi na Casa del Dongo, jak mówią w tym kraju; starała się je zmniejszyć, co zniewalało ją do stykania się z magnatami, którzy zgodzili się przyjąć funkcje publiczne, a nawet z paroma wpływowymi osobistościami z nieszlachty. Właśnie zaszedł w rodzinie ważny wypadek. Margrabia ułożył małżeństwo siostry swej Giny z bogatym i wysoko urodzonym jegomością, ale oblubieniec pudrował się, co sprawiło, że Gina przyjmowała go wybuchem śmiechu, niebawem zaś popełniła to szaleństwo, że zaślubiła hrabiego Pietranera. Był to, trzeba przyznać, wyborny szlachcic, bardzo urodziwy, ale zrujnowany od dwóch pokoleń i na domiar nieszczęścia gorący zwolennik nowych idei. Pietranera był podporucznikiem w legii włoskiej, co dopełniało rozpacz margrabiego.

Po tych dwóch latach szczęścia i szału Dyrektoriat paryski, jak władca pewny swego panowania, okazał śmiertelną nienawiść do wszystkiego, co nie było miernotą. Nieudolni generałowie, których wysyłał do armii włoskiej, przegrali szereg bitew na tych samych równinach werońskich, które dwa lata wprzód były świadkiem cudów Arcole i Lonato. Austriacy zbliżyli się do Mediolanu; porucznik Robert, mianowany majorem i ranny pod Cassano, po raz ostatni zamieszkał u przyjaciółki swej, margrabiny del Dongo. Pożegnanie było smutne; Robert odjechał z hrabią Pietranera, który towarzyszył Francuzom w ich odwoju pod Novi. Młoda hrabina, której brat odmówił wypłaty ojcowizny, jechała za armią na wózek.

Wówczas zaczęła się epoka reakcji i powrotu do dawnych pojęć, którą mediolańczycy nazywają *i tredici mesi* (trzydzieści miesięcy), ponieważ w istocie, na ich szczęście, powrót ten do głupoty trwał tylko trzydzieści miesięcy, do Marengo. Wszystko, co było stare, nabożne, markotne, zjawiało się znów u steru i objęło rządy: niebawem ludzie, którzy pozostali wierni uczciwym zasadom, otrąbili po kraju, że Napoleona powiesili w Egipcie mamelucy, jak na to z tyłu tytułów zasługiwał.

Między tymi, którzy zaszyli się w swoich zamkach, a teraz wrócili dyszący zemstą, margrabia del Dongo wyróżniał się zajadłością; zacietrzewienie to wysunęło go na czoło stronnictwa. Ci panowie, bardzo zacni ludzie, kiedy się nie bali, ale drżący wciąż ze strachu, zdolali opętać austriackiego generała. Poczciwina dał w siebie wmówić, że surowość jest wysoką polityczną mądrością, i kazał uwięzić stu pięćdziesięciu patriotów; byli to najtępsi ludzie ówczesnych Włoch.

Niebawem wywieziono ich do Cattaro i wtrącono do podziemnych grot, gdzie wilgoć, a zwłaszcza brak chleba — uporały się rychło z łajdakami!

Margrabia del Dongo otrzymał wysokie stanowisko, że zaś do innych pięknych zalet łączył brudne skąpstwo, chwalił się publicznie, że nie posyła ani talara siostrze, hrabinie Pietranera, która, wciąż szalenie zakochana, nie chciała opuścić męża i przymierała z nim głodem we Francji. Dobra margrabina była w rozpacz; wreszcie udało jej się wykraść kilka brylancików ze swoich kosztowności, które mąż odbierał jej co wieczór, aby je zamknąć pod łóżkiem w żelaznej kasie; margrabina wniosła mężowi osiemset tysięcy franków posagu, a dostawała osiemdziesiąt franków miesięcznie na osobiste wydatki. Przez trzydzieści miesięcy, które Francuzi byli poza Mediolanem, owa tak lękliwa kobieta znalazła pozory, aby nie zdejmować czarnej sukni.

Musimy wyznać, iż za przykładem wielu poważnych autorów zaczęliśmy historię naszego bohatera na rok przed jego urodzeniem. Główną tą osobą jest w istocie nie kto inny niż Fabricio Valserra, *marchesino*<sup>12</sup> del Dongo, jak mówią w Mediolanie. Raczył właśnie przyjść na świat w chwili, gdy wypędzano Francuzów, i był dzięki trafowi urodzenia drugim synem margrabiego del Dongo, owego magnata, którego bladą twarz, oblesny uśmiech i bezgraniczną nienawiść do nowych prądów już znacie. Cały majątek rodzinny przepisano na starszego syna, Ascania del Dongo, który był godnym wizerunkiem ojca. Miał osiem lat, a Fabricio dwa, kiedy nagle ów generał Bonaparte, o którym wszyscy do-

<sup>12</sup>*marchesino* (wł.) — wym.: *markezino*. Zwyczajem tego kraju, zapożyczonym z Niemiec, tytuł ten dostają wszyscy synowie markiza; *contino*: wszyscy synowie hrabiego; *contessina*: wszystkie córki hrabiego, itd. [przypis autorski]



brze urodzeni ludzie sądzą, że wisi od dawna, zeszedł z Góry Świętego Bernarda. Wszedł do Mediolanu; chwila ta jest czymś jedynym w historii: wyobraźcie sobie lud oszalały miłością. W kilka dni potem Napoleon wygrał bitwę pod Marengo. Reszty nie trzeba mówić. Upojenie mediolańczyków doszło do szczytu; ale tym razem kojarzyło się z myślą o zemście: nauczono ten dobry lud nienawiści. Niebawem sprowadzono garstkę owych patriotów, którzy zdołali przetrwać pobyt w grotach Cattaro<sup>13</sup>; powrót ich był narodowym świętem. Ich blade twarze, wielkie, zdziwione oczy, wychudłe członki stanowiły kontrast z buchającą ze wszystkich stron radością. Przybycie ich było sygnałem odjazdu dla najbardziej skompromitowanych rodzin. Margrabia del Dongo uciekł jeden z pierwszych do zamku w Grianta. Naczelnicy wielkich rodów dyszeli nienawiścią i strachem; natomiast żony ich i córki pamiętały uciechy pierwszego pobytu Francuzów i żalowały Mediolanu oraz wesołych balów, które tuż po Marengo zaczęły się w „Casa Tanzi”. Wkrótce po zwycięstwie generał francuski, utrzymujący ład w Lombardii, spostrzegł, że wszyscy dzierżawcy i wszystkie staruszki na wsi zamiast być olśnieni zdumiewającym zwycięstwem pod Marengo, które zmieniło losy Włoch i odzyskało trzynaście fortec w jednym dniu, pamiętają jedynie prorocstwo świętego Giovity, pierwszego patrona Brescji. Wedle tych świętych słów pomyślność Francuzów i Napoleona miała się skończyć ściśle w trzynaście tygodni po Marengo. Pewnym usprawiedliwieniem dla margrabiego del Dongo i całej zgrai dąsających się szlachciurów jest to, że szczerze, bez obłudy wierzyli w prorocstwo. Wszyscy ci ludzie nie przeczytali w życiu ani czterech książek; gotowali się otwarcie wrócić do Mediolanu po trzynastu tygodniach, ale każdy dzień zaczynał się nowym postępowaniem Francuzów. Wróciwszy do Paryża, Napoleon ocalił roztropnymi dekretami rewolucję wewnątrz kraju, jak ją ocalił pod Marengo przed cudzoziemcami. Wówczas szlachta lombardzka, zaszyta w swoich zamkach, doszła do przekonania, że źle pojęła zrazu przepowiednię świętego patrona Brescji: miał na myśli nie trzynaście tygodni, ale trzynaście miesięcy. Trzynaście miesięcy upłynęło, a powodzenie Francuzów zdawało się rosnać z każdym dniem.

Prześliznijmy się po dziesięciu latach postępu i szczęścia, od 1800 do 1810. Fabricio przebył je w zamku Grianta, bijąc się na kulaki z wiejskimi chłopakami i nie ucząc się niczego, nawet czytać. Później posłano go do kolegium ojców jezuitów w Mediolanie. Stary margrabia życzył sobie, aby syna uczono łaciny nie na owych starych autorach bajających wciąż o republice, ale na wspaniałej książce, zdobnej przeszło stu rycinami, arcydziele mistrzów XVII wieku; była to łacińska genealogia Valserrów, margrabiów del Dongo, wydana w 1650 roku przez Fabrycego del Dongo, arcybiskupa parmeńskiego. Ponieważ wielkość Valserrów urosła przeważnie z wojenki, ryciny przedstawiały mnogo bitew; raz po raz widziało się jakiegoś bohatera tego nazwiska tęgo kropiącego mieczem. Książka ta podobała się wielce chłopcu. Matka, która go ubóstwiała, uzyskiwała od czasu do czasu pozwolenie odwiedzania go w Mediolanie; ale mąż nie dawał jej nigdy grosza na te podróże: pożyczala jej bratowa, owa miła hrabina Pietranera. Po powrocie Francuzów hrabina stała się jedną z najświetniejszych dam na dworze księcia Eugeniusza, wicekróla Italii<sup>14</sup>.

Kiedy Fabricio odbył pierwszą komunię, hrabina uzyskała od margrabiego, wciąż dobrowolnego wygnańca, aby jej wolno było czasem zabierać chłopca z kolegium. Wydawał się jej oryginalny i inteligentny; był nieco poważny, ale przy tym ładny chłopiec, wcale na miejscu w salonie modnej kobiety; zresztą straszliwy nieuk, ledwie umiejący pisać. Hrabina, biorąc każdą rzecz bardzo gorąco, przyrzekła swoje poparcie przełożonemu zakładowi, jeżeli bratanek jej Fabricio będzie robił zadziwiające postępy i z końcem roku otrzyma wiele nagród. Aby mu ułatwić ich zdobycie, posyłała po niego w sobotę wieczór i często oddawała go jego mistrzom aż we środę lub czwartek. Jezuici, mimo iż darzeni sympatią przez księcia-wicekróla, byli wygnani z Włoch mocą praw krajowych; toteż przełożony kolegium, sprytny człowiek, zdawał sobie sprawę z korzyści, jakie mógł wyciągnąć ze swoich stosunków z kobietą wszechmocną na dworze. Ani mu w głowie było żalić się na swobody Fabrycego, który mimo iż większy nieuk niż kiedykolwiek —

<sup>13</sup>Cattaro, dziś Kotor — miasto w dzisiejszej Czarnogórze, w Dalmacji, do którego w 1801 r. deportowano 38 patriotów włoskich. [przypis redakcyjny]

<sup>14</sup>Eugeniusz de Beauharnais (1781–1824) — pasierb Napoleona, osadzony przez niego na tronie Włoch (1805–1814). [przypis redakcyjny]

otrzymał z końcem roku pięć pierwszych nagród. Za tę cenę świetna hrabina Pietranera w towarzystwie męża, generała gwardii, oraz kilku dostojników dworu zaszczyciła swą obecnością ceremonię rozdawania nagród u ojców jezuitów.

Ksiądz prefekt otrzymał od swych przełożonych wyrazy uznania.

Hrabina prowadziła bratanka na świetne zabawy, wypełniając zbyt krótkie panowanie miłego księcia Eugeniusza. Zrobiła go na własną rękę oficerem huzarów i Fabrycy mając dwanaście lat nosił ten mundur. Jednego dnia hrabina, zachwycona jego zgrabną figurką, poprosiła dlań księcia o miejsce pазia, co oznaczałoby pojednanie del Dongów z nowym rządem. Nazajutrz musiała użyć wszystkich swoich wpływów, aby wicekról raczył nie pamiętać o tej prośbie, której brakowało jedynie pozwolenia ojca przyszłego pазia; tego pozwolenia ojciec odmówił z publicznym rozgłosem. Po tym szaleństwie margrabia, oburzony i wściekły, znalazł pozór, aby odwołać młodego Fabrycego do Grianta. Hrabina gardziła bratem z całej duszy; uważała go za mantykę i głupca, przy tym za człowieka, który byłby zły, gdyby miał władzę po temu. Ale przepadała za Fabrycem; po dziesięciu latach zerwanych stosunków napisała do margrabiego z prośbą o zostawienie jej bratanka: list został bez odpowiedzi.

Wracając do tego olbrzymiego pałacu, zbudowanego przez najbardziej wojowniczych przodków, Fabrycy nie umiał nic prócz musztry i jazdy konnej. Często hrabia Pietranera, równie rozkochany w dzieciaku jak jego żona, sadzał go na koniu i brał z sobą na paradę.

Wróciwszy do Grianta Fabrycy, z oczami jeszcze czerwonymi od łez wylanych przy rozstaniu z pięknymi salonami ciotki, znalazł jedynie namiętne pieszczoty matki i siostr. Margrabia siedział zamknięty w swoim gabinecie ze starszym synem, marchesino Ascaniem. Sporządzali szyfrowane listy, które miały zaszczyt wędrować do Wiednia; ojciec i syn zjawiali się jedynie w godzinach posiłku. Margrabia powtarzał ostentacyjnie, że uczy swego spadkobiercę prowadzenia podwójnej buchalterii z poszczególnych majątków. W rzeczywistości margrabia nadto był zazdrosny o swoją władzę, aby wtajemniczać w te rzeczy syna, niewątpliwego dziedzica majoratu. Używał go do szyfrowania depesz, długich na piętnaście lub dwadzieścia stronic, które parę razy na tydzień wyprawiał do Szwajcarii, skąd kierowano je do Wiednia. Margrabia silił się przedstawić swoim prawym władcom wewnętrzny stan Włoch, którego sam nie znał; mimo to listy jego miały powodzenie. Oto jak: za pośrednictwem tajnego agenta margrabia kazał liczyć na gościńcu liczbę żołnierzy jakiegoś francuskiego lub włoskiego pułku, który zmieniał garnizon, i zdając sprawę dworowi wiedeńskiemu nieodmiennie uszczuplał liczbę żołnierzy o jedną czwartą. Listy te, niezdarne zresztą, miały tę zaletę, że przeczyły innym, prawdziwym, i tym samym podobają się monarsze. Toteż na krótko przed przybyciem Fabrycego margrabia otrzymał wysoki order: był to piąty zdobiący jego szambelański mundur. Co prawda, ku swemu strapieniu, nie śmiał włożyć tego munduru poza swoim gabinetem; ale nie pozwalał sobie nigdy podyktować depeszy nie przywdziewszy tego haftowanego kostiumu strojnego wszystkimi orderami. Inaczej miałby uczucie, że dopuszcza się nieuszanowania.

Służalność

Matka oczarowana była synem. Ale zachowała zwyczaj pisywania parę razy do roku do generała hrabiego d'A...; było to obecne nazwisko porucznika Roberta. Margrabina nie umiała kłamać tym, których kochała: wzięła na egzamin syna i przeraziła się jego nieuctwem.

„Jeżeli mnie uderzają luki jego wykształcenia — myślała — mnie, która nie umiem nic, Robert, taki uczony, załamałby ręce nad tym wychowaniem: dziś trzeba wiele nauki.” Nie mniejszym zdumieniem przejęło ją, że Fabrycy wziął serio wszystkie pojęcia religijne, którymi go karmiono u jezuitów. Mimo że sama bardzo pobożna, zlekła się fanatyzmu dziecka. „Jeżeli margrabia zrozumie, jak można wyzyskać ten system wychowania, wydrze mi miłość syna.” Plakała długo i czułość jej dla Fabrycego wzrosła jeszcze.

Życie w tym zamku, zaludnionym paroma dziesiątkami służby, było bardzo smutne; toteż Fabrycy spędzał dni na polowaniu lub w łódce na jeziorze. Niebawem zawiązał stosunki z woźnicami i stajennymi; wszyscy byli fanatycznymi stronnikami Francuzów i drwili sobie otwarcie z lokajów-bigotów pełniących służbę przy osobie margrabiego lub jego starszego syna. Główny powód do śmiechu z tych poważnych osobistości był ten, że się pudrowali na wzór swoich panów.

## ROZDZIAŁ DRUGI

... *Wówczas gdy Wesper zacienia nam oczy*<sup>15</sup>,  
*Upojony przyszłością, w niebiosów roztoczy*  
*Wzrok topię, w której jasno kreśli ręka boża*  
*Wszelakiego stworzenia ścieżki i bezdroża.*  
*On bowiem, z wyżyn swoich patrząc na nas — ludzi,*  
*Czasem wskazywać drogę litośnie się trudzi*  
*Gwiazdami niebieskimi — to litery jego —*  
*Wróżąc nam przyszły obrót dobrego i złego;*  
*Lecz ludzie, przytłoczeni i ziemią, i zgonem,*  
*Nie czytają, tym pismem gardząc poświęconem.*

Ronsard

Margrabia czuł niepokonany wstręt do oświaty. „Myślenie — powiedział — zgubiło Włochy.” Nie wiedział, jak pogodzić ten święty wstręt do nauki z kształceniem Fabrycego, tak świetnie zaczęty u jezuitów. Aby możliwie ograniczyć niebezpieczeństwo, polecił zacnemu księdzu Blanes, proboszczowi w Grianta, aby ćwiczył dalej Fabrycego w łacinie. Musiałby do tego sam proboszcz znać ten język; otóż miał go w głębokiej wzgardzie, wiedza jego ograniczała się do recytowania modlitw, których sens umiał mniej więcej wyłożyć swoim owieczkom. Mimo to proboszcz budził szacunek, a nawet lęk w całej okolicy; zawsze powiedział, że słynne prorocтво świętego Giovity, patrona Brescji, nie ziści się w trzynastu tygodniach ani nawet w trzynastu miesiącach. W gronie zaufanych przyjaciół dodawał, że tę cyfrę *trzydzieści* należy wyklądać w sposób, który zdziwiłby wielu ludzi, gdyby wolno było go wyjawić (1813).

Ksiądz Blanes, osobistość odznaczająca się uczciwością i cnotami *pierwotnymi*, niegłupi przy tym człowiek, spędzał noce na dzwonnicy; miał świeca na punkcie astrologii. Spędziwszy dzień na obliczaniu położenia gwiazd, część nocy obracał na śledzenie ich na niebie. Ubogi księżyna nie miał innego przyrzędu prócz długiej tekturowej rury. Można sobie wyobrazić, jaką wzgardę dla nauki języków żywił człowiek, który trawił życie na dochodzeniu ścisłej epoki upadku mocarstw oraz wstrząśnień zmieniających postać świata. „Czegóż więcej dowiedziałem się o koniu — powiedział do Fabrycego — przez to, że mnie nauczono, iż po łacinie nazywa się *equus*?”

Wieśniacy bali się księdza Blanes, jako czarnoksiężnika; on zaś dzięki strachowi, jaki budziły jego posiedzenia na dzwonnicy, bezpieczny był od kradzieży. Okoliczni księża, zazdrośni o jego wpływ, nienawidzili go; margrabia del Dongo gardził nim po prostu, bo za wiele mędrkował jak na człowieka niskiego stanu. Fabrycy ubóstwiał go: z miłości dla niego spędzał całe wieczory na olbrzymich dodawaniach i mnożeniach. Następnie szedł z nim na dzwonicę: była to wielka łaska, której ksiądz Blanes nie użyczał nikomu; ale lubił chłopca za jego prostotę. „Jeżeli się nie zrobisz obłudnikiem — powiedział — może wyrośniesz na człowieka.”

Parę razy na rok Fabrycy, nieustraszony i zapamiętały w zabawach, omal nie utonął w jeziorze. Był wodzem wszystkich wypraw, jakie podejmowały urwisy z Grianty i Cadenabii. Malcy postarali się o parę kluczyków i kiedy noc była bardzo ciemna, silili się otworzyć z kłódek łańcuszki, którymi łodzie były przymocowane do nadbrzeżnych drzew lub kamieni. Trzeba wiedzieć, że na Como rybacy zakładają martwe wędkę w znacznej odległości od brzegu. Górny koniec sznurka przywiązany jest do deseczki z korkiem, giętka zaś gałązka leszczyny, umocowana na tej deseczce, opatrzona jest dzwonkiem, który dzwoni, skoro ryba chwyciwszy się na haczyk szarpie sznurek.

Głównym celem tych nocnych wypraw, którymi dowodził Fabrycy, była inspekcja martwych wędek, zanim rybacy usłyszą sygnał, jaki dawały małe dzwoneczki. Wybierali na te niebezpieczne wyprawy porę burzliwą i puszczali się nad ranem, na godzinę przed świtem. Siadając do łódki malcy mieli uczucie, że narażają się na największe niebezpieczeństwo, i to była piękna strona ich czynu; naśladować swych ojców, odmawiali pobożnie

<sup>15</sup> *Wówczas gdy Wesper zacienia nam oczy* — Fragment *Elegii XVII* Ronsarda; *Wesper* — planeta Wenus, czyli „gwiazda wieczorna”. [przypis tłumacza]

*Zdrowaś.* Otóż zdarzało się, iż w chwili wyjazdu, tuż po odmówieniu pacierza, Fabrycy widział jakiś znak. Był to nawyk wyniesiony ze studiów astronomicznych księdza Blanes, w którego przepowiednie zresztą nie wierzył. W młodej jego wyobraźni znaki te zwiastowały z pewnością powodzenie albo niepowodzenie; że zaś umiał zdobyć wpływ na towarzyszy, niebawem cała gromada nawykła do tych wróżb tak, iż kiedy w chwili odjazdu ujrzeni na brzegu księdza lub kiedy po lewej ręce wzbił się w powietrze kruk, czym prędzej zakładali kłódkę z powrotem i biegli do domu spać. Tak więc ksiądz Blanes nie udzielił Fabrycemu swojej dość trudnej wiedzy, ale bezwiednie zaszczerpił mu nieograniczoną wiarę w znaki zdolne przepowiedzieć przyszłość.

Margrabia czuł, że jakaś katastrofa jego szyfrowanej korespondencji może go zdać na łaskę siostry: toteż co roku koło świętej Anieli — imię hrabiny Pietranera — Fabrycemu wolno było spędzić tydzień w Mediolanie. Cały rok żył oczekiwaniem lub wspomnieniem tego tygodnia. W tej uroczystej chwili margrabia wręczał synowi na koszty tej politycznej podróży cztery talary i wedle zwyczaju nie dawał nic żonie, która towarzyszyła chłopcu. Ale w wilię wyjazdu kucharz, sześciu lokajów i woźnica z dwoma końmi wyruszyli do Como i codziennie w Mediolanie margrabina miała na swoje rozkazy powóz oraz obiad na dwanaście osób.

Te dąsy na nowy porządek rzeczy, jakie uprawiał margrabia del Dongo, były z pewnością bardzo niezabawne, ale miały tę zaletę, iż niepomiernie bogaciły rodziny, które raczyły się na nie skazać. Margrabia, który miał przeszło dwieście tysięcy funtów renty, nie wydawał ani czwartej części: żył nadzieją. Przez trzynaście lat, od 1800 do 1813 roku, wierzył niezłomie, że Napoleon padnie przed upływem pół roku. Można sobie wyobrazić jego upojenie, kiedy z początkiem 1813 roku dowiedział się o klęsce nad Berezyną! Zdobycie Paryża i upadek Napoleona omal nie przyprawiły go o utratę zmysłów; odtąd pozwalał sobie na grubiańskie wycieczki przeciw żonie i siostrze. Wreszcie po czternastu latach oczekiwania doznał tej niewymownej radości, iż ujrzał austriackie wojska wkraczające do Mediolanu. W myśl rozkazów otrzymanych z Wiednia generał austriacki powitał margrabiego del Dongo z oznakami wysokiego szacunku; ofiarowano mu skwapliwie jedno z naczelnych stanowisk w rządzie, co przyjął niby zapłatę długu. Starszy syn otrzymał stopień porucznika w jednym z najpiękniejszych pułków cesarskich; ale młodszy nie chciał za nic przyjąć ofiarowanej mu rangi kadeta. Tryumf ten, którym margrabia sycił się z rzadką arogancją, trwał ledwie kilka miesięcy i skończył się upokarzającą klęską. Margrabia nigdy nie odznaczał się bystrością, czternaście zaś lat na wsi, w otoczeniu służby, rejenta i lekarza, w połączeniu ze zgryźliwą starością, która położyła na nim swoją rękę, uczyniły zeń człowieka zupełnie nieudolnego. Otóż pod rządem austriackim niepodobna utrzymać się na wybitnym stanowisku bez owego talentu, którego wymaga powolna i zawila, ale bardzo racjonalna gospodarka tej starej monarchii. Bąki, jakie strzelał margrabia del Dongo, gorszyły urzędników, a nawet tamowały bieg spraw. Jego ultramonarchiczne odezwania się drażniły ludność, którą rząd pragnął trzymać w sennej obojętności. Jednego dnia margrabia dowiedział się, że J. C. Mość raczyła miłościwie przyjąć jego dymisję z urzędu, równocześnie zaś nadała mu miejsce *drugiego wielkiego majordoma* Królestwa Lombardzko-Weneckiego<sup>16</sup>. Ta okrutna niesprawiedliwość oburzyła go do żywego; on, który tak nienawidził wolności prasy, wydrukował w gazecie list do przyjaciela. Wreszcie napisał do cesarza, że ministrowie go zdradzają i że są prostymi jakobinami. To uczyniwszy wrócił smutnie do zamku Grianta. Miał jedną pociechę. Po upadku Napoleona pewne znaczne osobistości w Mediolanie kazały zamordować na ulicy hrabiego Prina, eks-ministra króla włoskiego, człowieka wysokiej wartości. Hrabia Pietranera naraził życie, aby ocalić ministra, którego zatłuczono parasolami i którego kaźń trwała pięć godzin. Pewien ksiądz, spowiednik margrabiego del Dongo, mógł ocalić hrabiego Prina, gdyby mu był otworzył furtę kościoła San Giovanni, koło której wleczono nieszczęsnego ministra, porzuconego na chwilę w rynsztoku, ale z urąganiem odmówił otwarcia bramy. Otóż w pół roku później margrabia miał to zadowolenie, że uzyskał dla księdza piękny awans.

Nienawidził hrabiego Pietranera, swego szwagra, który nie mając ani pięćdziesięciu ludwików renty osmielał się być szczęśliwy, pozwalał sobie dochowywać wiary temu, co

<sup>16</sup>Królestwo Lombardzko-Weneckie — Królestwo Lombardzko-Weneckie powstało na mocy postanowień kongresu wiedeńskiego w 1815 r. [przypis redakcyjny]

kochał całe życie, i miał to zuchwałstwo, aby głosić zasady sprawiedliwości bez względu na osobę, co w oczach margrabiego było bezwstydnym jakobinizmem. Hrabia nie zgodził się wejść w służbę austriacką; wyzyskano tę odmowę i w parę miesięcy po śmierci hrabiego Prina te same osobistości, które opłaciły morderców, uzyskały, że generała Pietranera wtrącono do więzienia. Na to hrabina, jego żona, uzyskała paszport i zażądała pocztowych koni, aby jechać do Wiednia i powiedzieć prawdę cesarzowi. Mordercy hrabiego Prina złąkli się; jeden z nich, krewny pani Pietranera, przyniósł jej o północy, na godzinę przed jej wyjazdem do Wiednia, rozkaz uwolnienia dla męża. Nazajutrz generał austriacki wezwał hrabiego Pietranera, przyjął go z honorami i zapewnił, że emerytura jego będzie uregulowana niebawem w sposób najprzystojniejszy. Dzielny generał Bubna, człowiek rozumny i zacny, wstydził się wyrażnie zamordowania Priny i uwięzienia hrabiego.

Po tej burzy, zażegnanej przez niezłomny charakter hrabiny, małżonkowie żyli jako tako z pensji, którą dzięki poleceniu generała Bubna rychło wyznaczono.

Szczęściem hrabina była od kilku lat w bliskiej przyjaźni z młodym człowiekiem, bardzo bogatym; ten, będąc również serdecznym przyjacielem hrabiego, oddał im na usługi najpiękniejszy angielski zaprzęg w Mediolanie, łożę w teatrze „La Scala” i pałac na wsi. Ale hrabia był to człowiek świadom swej wartości, o duszy gorącej, dzielny, unosił się łatwo i wówczas pozwalał sobie na niebaczne słowa. Jednego dnia, kiedy polował z paroma młodymi ludźmi, jeden z nich, który służył swego czasu pod innymi sztandarami, pozwolił sobie na żarciki z żołnierzy Republiki Cisalpińskiej<sup>17</sup>; hrabia dał mu w twarz, przyszło natychmiast do pojedynku i hrabia, który był sam wśród młodych ludzi, padł. Wiele było gadania o tym pojedynku dziwnego nabożeństwa, tak iż osoby, które w nim brały udział, uznały za właściwe wyjechać do Szwajcarii.

Hrabina nie знаła owego głupiego hartu zwanego rezygnacją, hartu głupca, który daje się powiesić, nie pisnąwszy słowa. Rozjuszona śmiercią męża, żądała, aby Limercati, ów bogaty młody człowiek, jej przyjaciel, puścił się również do Szwajcarii i aby spoliczkował mordercę hrabiego Pietranera lub wygarnął doń z karabinu.

Limercati uznał ten projekt za szczyt niedorzeczności, hrabina zaś spostrzegła, że wzgarda zabiła w niej miłość. Zdwoiła swą zalotność wobec Limercatiego; chciała rozplomienić jego namiętność, następnie zaś rzucić go i pogrążyć w rozpacz. Aby ten plan zemsty uczynić zrozumiałym we Francji, powiem, iż w Mediolanie, kraju bardzo odległym od nas, ludzie wpadają jeszcze w rozpacz z miłości. Hrabina, która mimo swej żaloby zaćmiewała wciąż urodą wszystkie rywalki, zaczęła kokietować kwiat młodzieży mediolańskiej; jeden z młodzieńców, hrabia N..., który zawsze utrzymywał, że Limercati jest nieco przyciężki dla tak uroczej kobiety, zakochał się w hrabinie do szaleństwa. Wówczas napisała do dawnego kochanka:

Chce pan raz w życiu postąpić jak człowiek inteligentny?  
Wyobraź pan sobie, że go nigdy nie znałam.  
Pozostaję, może z odrobiną wgardy, uniżoną pańską służką.

*Gina Pietranera*

Przeczytawszy ten bilecik, Limercati wyjechał do jednej ze swoich posiadłości: miłość jego wzmogła się do szaleństwa, chciał sobie palnąć w łeb, rzecz niesłychana w tym kraju, który wierzył w piekło. Nazajutrz napisał do hrabiny, ofiarowując jej swą rękę wraz z dwustu tysiącami renty. Odesłała mu list, nie rozpieczętowany, przez grooma hrabiego N... Po czym Limercati spędził trzy lata na wsi, wracając co dwa miesiące do Mediolanu, ale nie mając odwagi tam zostać, zanudzając przyjaciół swą namiętną miłością do hrabiny oraz szczegółowym opisem łask, jakimi go darzyła niegdyś. W początkach dodawał jeszcze, że hrabia N... to jej zguba i że taki związek przynosi jej hańbę.

Fakt jest, że hrabina nie kochała hrabiego N... i oznajmiła mu to, skoro była zupełnie pewna rozpacz Limercatiego. Hrabia, człowiek wytrawny, błagał ją, aby nie rozgłaszała tej smutnej nowiny. „Jeżeli będzie pani tak łaskawą — rzekł — aby mnie przyjmować

<sup>17</sup>Republika Cisalpińska — państwo utworzone przez Bonapartego w 1797 r. we Włoszech, ze stolicą w Mediolanie. [przypis redakcyjny]

nalad z pozorami wszystkich względów, jakie się ma dla swego kochanka, zdołam się może przyzwoicie ulokować w jakim sercu.”

Po tym heroicznym oświadczeniu hrabina nie chciała już koni ani łoża hrabiego N... Ale od piętnastu lat przywykła do najwykwintniejszego życia; stała w obliczu problemu trudnego lub — aby rzec lepiej — niemożliwego do rozwiązania: żyć w Mediolanie z tysiąca pięciuset franków! Opuściła pałac, najęła dwa pokoiki na piątym piętrze, odprawiła służbę, nawet pokojówkę, której miejsce zajęła biedna staruszka dochodząca do sprzątanía. Ofiara ta była w gruncie mniej bohaterska i mniej ciężka, niż nam się zdaje: w Mediolanie ubóstwo nie jest śmieszne i dlatego nie straszy widmem najgorszego z nieszczęść. Po kilku miesiącach tego szlachetnego ubóstwa, oblegana listami Limercatiego, a nawet hrabiego N.... który też ofiarował jej swą rękę, stało się, iż margrabia del Dongo, zazwyczaj ohydnie skąpy, pomyślał, że jego nieprzyjaciele mogliby czerpać złośliwy tryumf z nędzy jego siostry. Jak to! Córka del Dongoów skazana na to, by żyć z pensyjki wiedeńskiego dworu — tego dworu tak niewdzięcznego!

Napisał do hrabiny, że mieszkanie i przyjęcie godne jego siostry czekają ją w zamku Grianta. Gorąca dusza hrabiny chwyciła się z zapalem myśli o tym nowym życiu; dwadzieścia lat nie gościła w tym czcigodnym zamku wznoszącym się majestatycznie wśród starych kasztanów sadzonych za czasów Sforzów. „Tam — mówiła sobie — znajdę spokój, a w moim wieku, czy to nie jest szczęście? (Ponieważ miała trzydzieści jeden lat, sądziła, że czas jej usunąć się od świata.) Nad tym uroczym jeziorem, nad którym się urodziłam, czeka mnie wreszcie szczęśliwe i spokojne życie.”

Nie wiem, czy się myliła, ale to pewne, że ta płomienna dusza, która tak lekko odrzuciła dwie olbrzymie fortuny, wniosła szczęście do zamku Grianta. Bratanice jej szalały z uciechy. „Wróciłaś mi piękne dni młodości — powtarzała margrabina ściskając ją — w wilię twego przyjazdu miałam sto lat.” Hrabina zaczęła zwiedzać z Fabrycym czarowne okolice Grianty, sławione przez podróżników: willę Melzi po drugiej stronie jeziora, na wprost niej zamek, skąd widać całe jezioro, poniżej święty gaj Sfondrata oraz śmiało zarysowany cypel, który rozdziela dwie odnogi jeziora, ową rozkoszną odnogę od Como oraz tę drugą, surowszą, która ścięła się ku Lecco — wspaniała i uroczy widok, któremu słynna Zatoka Neapolitańska dorównywa, ale go nie przewyższa. Hrabina odnajdywała z upojeniem wspomnienia swej młodości i porównywała je z obecnymi wrażeniami. „Jeziora Como nie otaczają — mówiła sobie — jak Jeziora Genewskiego, owe wielkie płaty ziemi uprawnej wedle najlepszych metod, co tak bardzo przypomina pieniądź i spekulacje. Tu na wszystkie strony widzę pagórki niższe i wyższe, porośnięte kępami drzew; ręka ludzka nie zepsuła ich jeszcze i nie nagięła do celów *dochodowych*. Wśród tych pięknie rzeźbionych pagórków, zbiegających się ku jezioru tak malowniczymi płaszczyznami, mogą wskrzesić wszystkie opisy Tassa i Ariosta. Wszystko jest szlachetne i czułe, wszystko mówi o miłości, nic nie przypomina brzydoty cywilizacji. Wioski na stokach wybrzeża kryją się wśród wielkich drzew, ponad które wznoszą się urocze zarysy kościelnych wieżyc. Jeśli jakieś niewielkie półko przetnie od czasu do czasu bukiety kasztanów i dzikich wiśni, oko widzi na nim z lubością rośliny bujniejsze, szczęśliwsze niż gdzie indziej. Za tymi pagórkami, na których wznoszą się pustelnie kuszące do tego, aby je zamieszkać, zdumione oko widzi szczyty Alp zawsze pokryte śniegiem, a surowa ich powaga przypomina nam niedolę życia w sam raz na tyle, aby potęgować obecną rozkosz. Odległy dźwięk dzwonu jakiejś wioszczyny ukrytej wśród drzew mile wzrusza wyobraźnię; dźwięki te, biegnąc po wodzie, łagodnieją, przybierają odcień słodkiej melancholii i rezygnacji i zdają się mówić człowiekowi: »Życie ucieka, nie bądźże tak oporny wobec szczęścia, które się nastrocza, śpiesz się spijać je«. Wymowa tych czarownych miejsc, które nie mają równych sobie w świecie, wróciła hrabinie serce szesnastoletniej dziewczyny. Nie pojmowała, jak mogła spędzić tyle lat bez widoku jeziora. „Czyżby — powiadała sobie — szczęście kryło się w zaraniu starości?” Kupiła łódkę, którą Fabrycy, margrabina i ona sama ozdobili własnymi rękami, nie było tam bowiem pieniędzy na nic mimo wspaniałej stopy życia; od czasu nielaski margrabia del Dongo zdwoił arystokratyczny przepych. I tak, aby zyskać dziesięć piędzi gruntu nad jeziorem, koło słynnej alei jaworowej, obok Cadenabia, kazał zbudować groblę, której koszt dochodził osiemdziesięciu tysięcy. Na końcu grobli wznosiła się wedle rysunków sławnego Cagnola kaplica, cała z olbrzymich złomów gra-

nitu, w kaplicy zaś Marchesi, modny rzeźbiarz mediolański, budował margrabiemu grób, którego płaskorzeźby miały wyobrażać bohaterskie czyny jego przodków.

Starszy brat Fabrycego, marchesino Ascanio, chciał też towarzyszyć paniom w tych wycieczkach, ale ciotka pryskała mu wodą pudrowane włosy i codziennie nowym żarci-kiem chłostała jego powagę. Wreszcie uwolnił od widoku swej dużej wypełzłej twarzy wesołą gromadkę, która nie ważyła się śmiać w jego obecności. Uważali go za szpiega margrabięgo, trzeba się zaś było liczyć z tym despotą, wciąż wściekłym od czasu swej przymusowej dymisji.

Askaniusz przysiągł się zemścić na Fabrycym.

Raz podczas burzy gromadka znalazła się w niebezpieczeństwie; mimo że było krucho z pieniędzmi, opłacili hojnie obu przewoźników, aby nic nie mówili margrabiemu, który i tak bardzo był nierad z tego, że córki jego biorą udział w tych wyprawach. Zdarzyła się druga burza; na tym pięknym jeziorze szaleją straszne i nieprzewidziane nawałnice; huragany zrywają się nagle z dwóch przeciwległych przesmyków górskich i mocują się z sobą na jeziorze. Hrabina chciała wylądować wśród burzy i grzmotów; obiecywała sobie, że na samotnej niewielkiej skale wśród jeziora będzie miała niezwykle widowisko, otoczona łamiącymi się falami; ale wyskakując z łódki wpadła pod wodę. Fabrycy skoczył, aby ją ratować, i oboje znaleźli się dość daleko od łodzi. Bez wątpienia, topić się to nie jest nic przyjemnego, ale bądź co bądź nuda, mocno zdziwiona, pierzchła z tego feudalnego zamku. Hrabina zapaliła się do naiwnego charakteru i do astronomii księdza Blanès. Trochę pieniędzy, które jej zostało po nabyciu łódki, użyto na przygodne kupno teleskopu: codziennie z bratanicami i z Fabrycym sadowiła się na platformie gotyckiej wieży zamkowej. Fabrycy roztaczał swoją wiedzę i spędzali tam wesoło kilka godzin z dala od szpiegów.

Trzeba przyznać, że bywały dni, w których hrabina nie odzywała się do nikogo; przechadzała się pod wyniosłymi kasztanami, w posępnej zadumie; była zbyt inteligentna, aby nie odczuwać niekiedy braku wymiany myśli. Ale nazajutrz śmiała się znów jak wprzódy; to lamenty bratowej osmucały tę duszę z natury tak czynną. „Czy całą młodość strawimy w tym smutnym zamku?” — wykrzykiwała margrabina.

Przed przybyciem szwagierki nie miała nawet odwagi na takie żale.

Tak spędzono zimę z roku 1814 na 1815. Dwa razy, mimo swego ubóstwa, hrabina bawiła po kilka dni w Mediolanie; znęcił ją cudowny balet Vigana w teatrze „La Scala”, a margrabia nie bronił żonie towarzyszyć jej. Podjęła przy sposobności kwartał szczupłej pensyjki i biedna wdowa po generale pożyczala po parę cekinów przebogatej margrabinie del Dongo. Cudowne były te wycieczki: zapraszało się na obiad starych przyjaciół i szukało się pociechy, śmiejąc się ze wszystkiego — jak istne dzieci. Ta włoska wesołość, pełna gwaru i swobody, pozwalała zatrzeć w pamięci posępny smutek, który fizjonomie margrabięgo i starszego syna roztaczały w Grianta. Fabrycy, zaledwie szesnastoletni, doskonale reprezentował głowę domu.

Siódmego marca 1815 roku obie panie dopiero co wróciły z przemilej wycieczki do Mediolanu; przechadzały się w pięknej alei jaworowej, świeżo przedłużonej po sam brzeg jeziora. Od Como zbliżyła się łódka dając szczególne znaki. Agent margrabięgo wyskoczył na brzeg: Napoleon wylądował w Zatoce Juan. Europa, poczciwinka, zdumiała się tym wydarzeniem, które nie zdziwiło margrabięgo del Dongo; napisał do swego władcy list pełen wylewów serca, ofiarował mu swoje talenty oraz kilka milionów, powtarzając, że jego ministrowie to jakobini działający w zмовie z paryskimi mENERami.

Ósmego marca o szóstej rano margrabia, ustrojony we wszystkie ordery, przepisywał pod dyktandem starszego syna brulion trzeciej już depezy; z całą powagą kreślił ją pięknym i starannym pismem na papierze ozdobionym maleńkim portrecikiem władcy. W tej samej chwili Fabrycy kazał się oznajmić hrabinie Pietranera.

— Jadę — rzekł — śpieszę do cesarza, który jest też królem Włoch; on tak kochał twego męża, ciotciu! Jadę przez Szwajcarię. Tej nocy w Menagio mój przyjaciel Vasi, ten, co ma sklep z barometrami, dał mi swój paszport; teraz ty mi daj kilka napoleonów, bo ja mam tylko dwa: ale jeżeli trzeba, pójdę pieszo.

Hrabina płakała z radości i lęku.

— Wielki Boże! Czemuż ci to przyszło do głowy! — wykrzyknęła, ściskając ręce Fabrycego.

Wstała, wydobyla z szafy z bielizną starannie ukrytą sakiewkę naszywaną perełkami: było to wszystko, co posiadała na świecie.

— Weź — rzekła — ale na miłość boską, nie narażaj się na śmierć. Cóż zostanie nieszczęśliwej matce i mnie, gdyby ciebie brakło? Co się tyczy zwycięstwa Napoleona, to niemożliwe, moje biedne dziecko: nasi panowie potrafią go zgładzić. Czyś nie słyszał przed tygodniem w Mediolanie historii dwudziestu trzech projektów zamordowania go, tak doskonale obmyślonych, że uniknął ich jedynie cudem? A wówczas był wszechmocny! Widzisz, że naszym wrogom nie zbywa na dobrych chęciach, aby go zgubić: od jego upadku Francja była niczym. — Hrabina mówiła o losie Napoleona z najwyższym wzruszeniem. — Pozwalając ci śpieszyć doń, poświęcam mu wszystko, co mam najdroższego na świecie — mówiła.

Oczy Fabrycego zwilgły, rozplakał się, ściskając hrabinę, ale ani na chwilę nie zachwiał się w zamiarze. Z zapalem tłumaczył drogiej przyjaciółce racje, które go skłaniały, a które my pozwolimy sobie uważać za nader pocieszne.

— Wczoraj wieczór, siedem minut przed szóstą, przechadzaliśmy się, jak wiesz, nad jeziorem w alei jaworowej poniżej Casa Sommariva i szliśmy w kierunku południowym. Wówczas zauważyłem z dala statek z Como, niosący tę wielką nowinę. Gdy tak patrzyłem na ów statek, nie myśląc o cesarzu i jedynie zazdroszcząc losu tym, którzy mogą podróżować, ogarnęło mnie głębokie wzruszenie. Statek przybił do lądu, agent szepnął coś cicho do ojca, który zbladł i wziął nas na stronę, aby nam oznajmić *straszłą nowinę*. Obróciłem się ku jezioru, aby ukryć łzy radości, którymi spłynęły moje oczy! Naraz, na olbrzymiej wysokości, po prawej ręce ujrzałem orła, ptaka Napoleona: płynął majestatycznie, obracając się w stronę Szwajcarii, a tym samym Paryża. „I ja — powiedziałem sobie — przebędę Szwajcarię z szybkością orła, aby ofiarować temu wielkiemu człowiekowi niewiele wprawdzie, ale wszystko, co mogę: pomoc mego wątłego ramienia.” Chciał nam dać ojczyznę i kochał mego wuja. W jednej chwili, nim orzeł znikł mi z oczu, łzy moje przestały płynąć; dowodem zaś, że owa myśl przyszła mi z góry, jest to, iż ledwo powziąłem ten zamiar, znalazłem w głowie środki skutecznego go. W mgnieniu oka wszystkie smutki, które, jak wiesz, trują moje życie, zwłaszcza w niedzielę, pierzchły, jak gdyby rozpedzone tchnieniem bożym. Ujrzałem obraz Italii podnoszącej się z błota, w którym grzążą ją Niemcy<sup>18</sup>; wyciągała obolałe, jeszcze na wpół zakute w kajdany ramiona ku swemu królowi i wybawcy. „A ja — powiadałem sobie — nieznaną jeszcze syn tej nieszczęsnej matki, pójdę, pójdę umrzeć lub zwyciężyć z tym człowiekiem naznaczonym przez los, z tym, który nas chciał obmyć ze wzgardy, jaką nas obrzucają nawet najbardziej niewolne i spodłone ludy Europy.”

Znasz — dodał ciszej, zbliżając się do hrabiny i wlepiając w nią oczy, z których strzelały płomienie — znasz młody kasztan, który matka moja w rok mego urodzenia sama zasadziła u źródła w lesie, o dwie mile stąd; chciałem go odwiedzić, nim cokolwiek postanowie. „Wiosna ledwo się zaczyna — mówiłem sobie — jeżeli drzewo już puszcza listki, to będzie znak. I mnie trzeba wyjść z odrętwienia, w którym schnę w tym smutnym i zimnym zamku.” Nie uważasz, że te stare szerniałe mury, dziś symbol, a niegdyś narzędzie despotyzmu, są wiernym obrazem smutnej zimy? Są dla mnie tym, czym zima dla mego drzewa.

Czy uwierzyłybyś, Gino? Wczoraj wieczór, o wpół do ósmej, przybyłem pod mój kasztan; miał małe listki, już dosyć rozwinięte! Ucałowałem je delikatnie. Skopałem z szacunkiem ziemię dokoła ukochanego drzewa. Natychmiast, ożywiony świeżym zapalem, przebyłem górę, dotarłem do Menagio: trzeba mi było zdobyć paszport do Szwajcarii. Czas leciał, była pierwsza po północy, kiedy się znalazłem pod domem Vasiego. Myślałem, że trzeba mi będzie długo się dobijać, nim go zbudzę; ale nie spał, siedział w pokoju z trzema przyjaciółmi. Na moje pierwsze słowo krzyknął: „Idziesz do Napoleona!” — i rzucił mi się na szyję. Tamci również uścisnęli mnie z zapalem. „Czemuż jestem żonaty!” — wzdychał jeden.

<sup>18</sup> Ujrzałem obraz Italii podnoszącej się z błota, w którym grzążą ją Niemcy — Bohater mówi te słowa w uniesieniu; przekłada na prozę kilka wierszy sławnego Montiego [Vincenzo Monti (1754–1828) — włoski poeta, dramaturg i tłumacz; Red. WL]. [przypis autorski]



Pani Pietranera zamyśliła się; uważała, że trzeba się zdobyć na jakieś perswazje. Gdyby Fabrycy miał bodaj trochę doświadczenia, zrozumiałby, że hrabina sama nie wierzy w argumenty, które wytacza. Ale w braku doświadczenia miał decyzję; ani słuchał tych argumentów! W końcu hrabina ograniczyła się do prośby, aby bodaj uwiadomił matkę o swym zamiarze.

— Powie siostrze i te baby zdradzą mnie ani wiedząc kiedy! — wykrzyknął Fabrycy z odcieniem heroicznej dumy.

— Mówże z większym szacunkiem — rzekła hrabina, uśmiechając się przez łzy — o płci, której będziesz zawdzięczał swój los; bo mężczyźni nigdy nie będą cię lubili: za wiele masz ognia dla poziomych dusz.

Margrabina rozplakała się na wiadomość o dzikim projekcie syna; nie odczuła jego heroizmu i czyniła, co mogła, aby go zatrzymać. Skoro pojęła, że nic w świecie, z wyjątkiem murów więzienia, nie zdołałoby go wstrzymać, oddała mu tę trochę pieniędzy, które posiadała; potem przypomniała sobie, że właśnie ma kilka niedużych diamentów, wartości może dziesięciu tysięcy franków, które margrabia powierzył jej wczoraj, aby je dała oprawić w Mediolanie. Siostry weszły w chwili, gdy hrabina zaszywała te brylanciki w podróżne suknie naszego bohatera; nie chciał przyjąć od niebożątek ich paru biednych napoleonów. Siostry były tak zachwycone projektem, ścisnęły Fabrycego z tak hałaśliwą radością, że chwycił parę diamentów jeszcze nie zaszytych i chciał natychmiast jechać.

— Zdradzicie mnie bezwiednie — rzekł. — Skoro mam tyle pieniędzy, nie ma co zabierać rzeczy, dostanę wszystkiego.

Uściskał drogie istoty i puścił się natychmiast w podróż, nie wstępując nawet do swego pokoju. Szedł tak szybko, wciąż bojąc się konnej pogoni, że wieczorem jeszcze znalazł się w Lugano. Dzięki niebu był na ziemi szwajcarskiej i nie obawiał się już, iż zapłaćni przez ojca żandarmi mogą go ująć na pustym gościńcu. Stamtąd napisał do ojca list: słabostka młokosa, która spotęgowała wściekłość margrabiego. Fabrycy najął konia, przebył Świętego Gotarda i, jadąc bardzo śpiesznie, wszedł w granice Francji przez Pontarlier. Cesarz był w Paryżu. Tu zaczęły się niedole Fabrycego; wyruszył z niezłomnym postanowieniem mówienia z cesarzem; nie przyszło mu do głowy, że to może być rzeczą trudną. W Mediolanie widywał dziesięć razy na dzień księcia Eugeniusza i mógł z nim mówić. W Paryżu co rano chodził na dziedziniec Tuileries przyglądać się rewii cesarskim; ale ani razu nie mógł się zbliżyć do cesarza. Bohater nasz sądził, że wszyscy Francuzi są jak on głęboko wzruszeni niebezpieczeństwem grożącym ojczyźnie. W gospodzie, w której stanął, przy stole nie robił tajemnicy ze swych projektów i ze swego zapału; spotkał tam młodych ludzi nader miłych, jeszcze większych entuzjastów od niego, którzy w krótkim czasie zdołali go okraść do ostatniego szeląga. Szczęściem przez czystą skromność nie wspomniał im o diamentach, które miał od matki. Rano, po hulance, w czasie której okradziono go ostatecznie, kupił dwa piękne konie, zgodził za służącego eks-żołnierza, obecnie stajennego u koniarza, i pełen wzdrygi dla paryskich pyskaczy, puścił się do armii. Nie wiedział nic prócz tego, że gromadzi się w okolicy Maubeuge. Skoro znalazł się na granicy, wzdrygnął się na myśl, że miałby się grzać przy ogniu w gospodzie, gdy żołnierze są w biwakach. Mimo perswazji służącego, który miał zapasik zdrowego rozsądku, wmieszał się nierozważnie między pierwsze biwaki na drodze do Belgii. Ledwie dotarł do batalionu obozującego tuż koło gościńca, żołnierze zaczęli się przyglądać temu młodemu *cywilowi*, którego strój w niczym nie przypominał uniformu. Noc zapadała, był bardzo zimny wiatr. Fabrycy zbliżył się do ognia i poprosił o użyczenie mu miejsca, ofiarując zapłatę. Żołnierze spojrzeli po sobie, zdziwieni, zwłaszcza pomysłem zapłaty, i zrobili mu pocziwie miejsce; służący pomógł mu się rozłożyć. Ale kiedy w godzinę później adiutant przechodził koło biwaku, żołnierze opowiedzieli mu o zjawieniu się cudzoziemca lichy mówiącego po francusku. Adiutant zaczął wypytywać Fabrycego, który zaczął prawić o swoim entuzjazmie dla cesarza z bardzo podejrzanym akcentem; na co podoficer ów zaprosił go, aby się z nim udał do pułkownika stojącego kwaterą w sąsiedniej wiosce. Służący Fabrycego zbliżył się z dwoma końmi. Widok ich tak zainteresował adiutanta, że zmienił zamiar i wziął na spytki służącego. Ten stary żołnierz, zgadując od razu plan interlokutora, napomknął o wysokich stosunkach swego pana, wyrażając przekonanie, że nikt chyba nie ma zamiaru *zwędzić* mu jego pięknych koni. Natychmiast żołnierz,

przywołany przez adiutanta, wziął go za kołnierz, drugi zaopiekował się końmi, po czym z surową miną adiutant kazał Fabrycemu iść za sobą bez repliki.

Przeprowadziwszy go tak dobrą milę pieszo, w ciemności, którą nieprzeliczone ognie biwaków czyniły tym grubszą, adiutant oddał Fabrycego oficerowi żandarmerii; ten z poważną miną zażądał odeń papierów. Fabrycy pokazał paszport, w którym figurował jako handlarz barometrów *podróżujący z towarem*.

— Cóż za głupcy! — wykrzyknął oficer. — To już za gruby kawał!

Zadał parę pytań naszemu bohaterowi, który zaczął mówić o cesarzu i wolności z najwyższym zapalem, na co oficer żandarmerii parsknął serdecznym śmiechem.

— Do paralusza! Nie jesteś sprytny! — krzyknął. — To już zanadto śmieszne, żeby nam tu nasylać takich smarkaczy. — I mimo zapewnień Fabrycego, który dowodził na wszystkie sposoby, że w istocie nie jest handlarzem barometrów, oficer odesłał go do więzienia w B..., w sąsiednim miasteczku, dokąd nasz bohater przybył o trzeciej rano, dławiąc się z wściekłości i upadając ze znużenia.

Fabrycy, najpierw zdumiony, a później wściekły, nie rozumiejąc absolutnie nic, spędził trzydzieści trzy długie dni w nędznym więzieniu; pisał list po liście do komendanta placu, żona zaś dozorczy, hoża trzydziestosześcioletnia Flamandka, podejmowała się doręczać te listy. Ale ponieważ nie miała wcale ochoty narażać tak ładnego chłopca — który przy tym płacił wcale dobrze — na rozstrzelanie, bez cerenionii rzucała listy w ogień. Wieczorem, bardzo późno, słuchała cierpliwie skarg więźnia; powiedziała mężowi, że smarkacz ma pieniądze, wskutek czego roztropny dozorca zostawił jej zupełną swobodę. Skorzystała z pozwolenia i zarobiła kilka napoleonów, adiutant bowiem zabrał tylko konie, oficer zaś żandarmerii nie skonfiskował zgoła nic. Pewnego czerwcowego popołudnia Fabrycy usłyszał odległą kanonadę. Biją się wreszcie! Serce zadygotało mu z niecierpliwości. Usłyszał zgiełk w mieście: w istocie dokonywano znacznych przesunięć, trzy dywizje przechodziły przez B... Kiedy koło jedenastej wieczór żona dozorczy przysłała dzielić jego niedole, Fabrycy był jeszcze czulszy niż zwykle; po czym, ściskając ją za rękę, rzekł:

— Wypuść mnie stąd; przysięgam na honor, że wrócę do więzienia, jak tylko skończą się bić.

— Ot, bajdurzysz! Masz *gronie*? — wydawał się niespokojny, nie rozumiał słowa „gronie”. Dozorczyzna widząc ten gest osądziła, że źródło wyschło, i zamiast, jak zamierzała, mówić o dukatach, wspomniała jedynie ofrankach. — Słuchaj — rzekła — jeżeli możesz wyłożyć jakie sto franków, przymknę dubeltowym napoleonem każde oko kaprała, który ma w nocy zmieniać wartę. Nie zobaczy, jak czmychniesz z więzienia: jeżeli jego pułk ma odmaszerować jutro, przyjmie.

Dobili targu. Żona dozorczy zgodziła się nawet ukryć Fabrycego w swoim pokoju, skąd rano będzie się mógł łatwiej wymknąć. Nazajutrz, przed świtem, roztkliwiona kobieta rzekła do Fabrycego:

— Mój chłopcze, za młody jesteś na takie szpetne rzemiosło: wierzaj mi, nie rób tego więcej!

— Jak to! — powtarzał Fabrycy — więc zbrodnią jest bronić ojczyzny?

— Dajmy już pokój. Pamiętaj zawsze, że ja ci ocaliłam życie: sprawa była zupełnie jasna, czekała cię kulka w łeb. Ale nie mów o tym nikomu, bo byśmy oboje z mężem stracili miejsce; zwłaszcza nie powtarzaj już tych bredni o mediolańskim szlachcicu przebranym za handlarza barometrów: to za głupie. Słuchaj mnie dobrze: dam ci mundur huzara, który przedwczoraj umarł w więzieniu; gadaj jak najmniej, a gdyby cię kwatermistrz albo oficer zagadnęli w ten sposób, że byłbyś zmuszony odpowiedzieć, mów, żeś leżał chory u chłopca, który cię zgarnął przez litość, drżącego z febry w przydrożnym rowie. Jeżeli im to jeszcze nie wystarczy, dodaj, że idziesz do swego pułku. Przytrzymają cię może dla twego akcentu; wówczas powiedz, że jesteś z Piemontu, rekrut, który został we Francji od zeszłego roku itd.

Pierwszy raz po trzydziestu trzech dniach wściekłości Fabrycy zrozumiał zagadkę. Brano go za szpiega. Rozgadał się z żoną dozorczy, która tego rana była bardzo czuła; podczas gdy, uzbrojona igłą, zwęzła mundur huzara, opowiedział zdumionej kobiecie swą historię. Uwierzyła przez chwilę; miał tak naiwny wyraz i tak mu było ładnie za huzara!

— Skoro masz taką ochotę się bić — rzekła wreszcie wółprzekonana trzebaż było przybywszy do Paryża zaciągnąć się do pułku. Zapłaciłbyś butelkę wina kwatermistrzowi, i po wszystkim!

Dała mu wiele dobrych rad na przyszłość; wreszcie o świcie wyprawiała Fabrycego, kazawszy sobie przysiąc po sto razy, że nigdy, co bądź by się stało, nie wymieni jej. Skoro Fabrycy opuścił miasteczko, wędrując rażno z huzarską szablą pod pachą, poczuł skrupuły. „Otom jest w ubraniu i z marszrutą huzara zmarłego w więzieniu, gdzie się podobno znalazł za kradzież krowy i srebrnego nakrycia! — powiedział sobie. — Wszedłem w jego osobowość... i to mimo woli, nie przeczuwając czegoś podobnego! To pachnie więzieniem!... Wróżba jest jasna: czeka mnie dużo złego w więzieniu.”

Nie minęła godzina, jak Fabrycy rozstał się ze swą wybawczynią, kiedy puścił się tak gwałtowny deszcz, iż świeżo upieczony huzar ledwie mógł iść w grubych buciorach nie na jego miarę. Spotkał wieśniaka na lichym koniu; kupił konia, porozumiewając się na migi: dozorczyńni zaleciła mu jak najmniej się odzywać z przyczyny akcentu.

Tego dnia armia wygrawszy bitwę pod Ligny maszerowała na Brukselę; było to w przeddzień Waterloo. Około południa, wśród ciągłej ulewy, Fabrycy usłyszał huk armat; szczęście to sprawiło, iż zapomniał o chwilach rozpacz, jakie przeżył w niezasłużonym więzieniu. Jechał tak do późnej nocy, że zaś nabral nieco rozsądku, poszukał kwatery w chałupie bardzo odległej od gościńca. Wieśniak lamentował i twierdził, że mu wszystko zabrano; Fabrycy dał mu talara — dostał owsa. „Koń mój nie jest zbyt urodziwy — myślał — ale to nic, mógłby wpaść w oko jakiemu adiutantowi.” Za czym ułożył się w stajni koło niego. Nazajutrz na godzinę przed świtem był na gościńcu i, klepiąc konia po szyi, zdołał go skłonić do truchtu. Koło piątej usłyszał kanonadę: była to przygrywka do Waterloo.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Niebawem Fabrycy trafił na markietanki<sup>19</sup>, a serdeczna wdzięczność, jaką czuł dla dozorczyńni w B..., sprawiła, że zwrócił się do nich; spytał jednej, gdzie znajduje się czwarty pułk huzarów, jego pułk.

— Nie masz się co tak śpieszyć, żołnierzyku — rzekła markietanka, wzruszona bladością i ładnymi oczami Fabrycego. — Nie masz dość tęgiej garści na dzisiejszą młockę. Gdybyś jeszcze miał fużę, nie mówię: mógłbyś z niej wygarnąć nie gorzej od innych.

Rada ta podrażniła Fabrycego; ale daremnie zaciął konia, nie mógł wyprzedzić wózka markietanki. Od czasu do czasu huk stawał się jakby bliższy i utrudniał porozumienie. Fabrycy bowiem był w takim upojeniu, że nawiązał rozmowę. Każde słowo markietanki zdawiało jego szczęście. Z wyjątkiem prawdziwego nazwiska i ucieczki z więzienia, opowiedział wszystko tej kobiecie, która zdawała się tak pocziwa.

Była zdumiona; nie umiała zrozumieć tego, co jej opowiadał piękny żołnierzyk.

— Cha! cha! domyślam się! — wykrzyknęła z tryumfem — jesteś młody cywil, zakochany w żonie jakiegoś kapitana z czwartego pułku huzarów. Twoja lubka sprawiła ci ten uniform i gonisz za nią. To pewna, jak Bóg na niebie, żeś nigdy nie był żołnierzem, ale widać jesteś dzielny chłopak i skoro twój pułk jest w ogniu, chcesz się tam pokazać, aby nie uchodzić za kapłona.

Fabrycy zgodził się na wszystko; był to jedyny sposób uzyskania wskazówek. „Nie znam zupełnie obyczaju tych Francuzów — myślał — jeżeli mną ktoś nie pokieruje, znowu się dostanę do więzienia i skradną mi konia.”

— Najpierw, mój mały — rzekła markietanka coraz życzliwiej usposobiona — przyznaj, że nie masz dwudziestu lat: najwyżej siedemnaście.

Była to prawda; Fabrycy przyznał ją chętnie.

— Zatem nie jesteś nawet rekrutem; jedynie dla pięknych oczu damulki idziesz kark skręcić. Dalipan! niezły ma gust. Jeśli masz jeszcze trochę tych dusiów, któreś od niej dostał, trzeba po pierwsze, abyś sobie kupił innego konia: patrz, jak twoja szkapa nastawia uszu, kiedy armata huknie trochę bliżej — to chłopski koń, który cię przyprawi o śmierć, skoro się znajdziesz w szeregu. Ten biały dym, który tu widzisz, o, nad płotem, to ogień

<sup>19</sup>markietanka — kobieta wędrująca za wojskiem, zajmująca się drobnym handlem z żołnierzami, praniem, a niekiedy również świadcząca usługi seksualne. [przypis edytorski]

rotowy, malcze! Przygotuj się na tęgiego pietra, gdy zaczną gwizdać kule. Radziłabym ci też zjeść coś, póki jeszcze czas.

Fabrycy usłuchał rady i podając markietance napoleona, poprosił, aby sobie wzięła należność.

— To litość bierze! — krzyknęła kobieta — biedny malec, nawet nie umie się rozplącić! Wart byłbyś, abym, schowawszy napoleona, podcięła batem moją Kokotkę; zjadłaby diabła twoja szkapa, nim by ją dogoniła. Cóż byś zrobił, niedojdo, gdybym tak dała nogę? Dowiedz się, że gdy armaty grają, nie pokazuje się nigdy złota. Ot — rzekła — masz tu osiemnaście franków pięćdziesiąt centymów: śniadanie kosztowało cię trzydzieści su. Teraz znajdziemy niebawem jakie konie na sprzedaż. Jeżeli konik mały, dasz za niego dziesięć franków, w żadnym zaś razie nie więcej niż dwadzieścia, choćby to był koń samego świętego Jerzego.

Gawędę przerwała kobieta, która szła przez pola i przecięła im drogę.

— Hop, hop, hej! — krzyknęła do markietanki — hej, Małgosi! Szósty szwoleżerów jest na prawo!

— Musimy się rozstać, mały — rzekła markietanka do naszego bohatera — ale do prawdy żal mi cię; udałeś mi się, psiakość! Nic nie wiesz, nic nie umiesz, zmiotą cię, jak Bóg na niebie! Chodź do szóstego szwoleżerów!

— Wiem dobrze, że nic nie umiem — rzekł Fabrycy — ale chcę się bić i mam zamiar iść tam, aż do tego białego dymu.

— Patrz, jak ten koń strzyże uszami! Skoro znajdzie się tam, ta chabeta weźmie na kiel, puści się galopa i Bóg wie dokąd cię zaniecie. Chcesz dobrej rady? Skoro dojdiesz tam, gdzie się biją, podnieś jaką fuzję i ładownicę, stań w szeregu z żołnierzami i rób wszystko jak oni. Ale, Boże drogi, idę o zakład, że ty nie potrafisz nawet odgryźć ładunku.

Fabrycy, bardzo dotknięty, wyznał wszelako nowej przyjaciółce, że zgadła.

— Biedny mały, zabiją go od razu, jak mi Bóg miły! Musisz iść ze mną — rzekła markietanka stanowczo.

— Ja chcę się bić.

— Będziesz się bił, nie bój się; szósty szwoleżerów to chwaty; jest dziś zresztą robota dla wszystkich.

— A kiedyż zajdziemy do pułku?

— Za kwadrans najdalej.

„Pod opieką tej zacnej kobiety — pomyślał Fabrycy — mimo mej nieświadomości nie wezmą mnie za szpiega i będę się mógł bić.”

W tej chwili armaty zagrały mocniej, jeden strzał następował po drugim.

— Istny różaniec — rzekł Fabrycy.

— Można już rozróżnić salwy — rzekła markietanka, podcinając konika, wyraźnie podnieconego bitwą.

Skręciła na prawo i puściła się na przelaj przez łąki; błota było na pół łokcia; wózek omal nie ugrzązał, Fabrycy musiał go popychać. Koń upadł mu dwa razy; niebawem droga stała się suchsza, biegnąc jedynie ścieżką wśród murawy. Nim Fabrycy ujechał pięćset metrów, koń zatrzymał się: trup leżał w poprzek ścieżki przyprawiając o wzdrygnięcie jeźdźca i wierzchowca.

Twarz Fabrycego, zazwyczaj blada, przybrała odcień zielony; markietanka przyjrawszy się trupowi mruknęła do siebie: „to nie z naszej dywizji.” Następnie, spojrzawszy na naszego bohatera, parsknęła śmiechem.

— Cha, cha! malcze! — wykrzyknęła. — Nie cacy?

Fabrycy stał zdrętwiały. Najbardziej uderzyły go straszliwie brudne nogi trupa, którego już obdarto z trzewików, zostawiając mu jedynie nędzne spodnie splamione krwią.

— Chodź no — rzekła markietanka — zejdź z konia, musisz się przyzwyczać. O, patrz! — wykrzyknęła. — Dostał w samą głowę!

Kula, wszedłszy w okolico nosa, wyszła przeciwną skronią, zniekształcając ohydnie trupa; jedno oko miał otwarte.

— Złazże, malcze, i weź go za rękę, zobaczymy, czy cię uściśnie.

Bez wahania, mimo iż w półomdlały ze wstrętu, Fabrycy zeskoczył z konia, ujął trupa za rękę i wstrząsnął nią mocno; po czym stał chwilę jak martwy: czuł, że nie ma siły wsiąść na konia. Najbardziej przejmowało go wstrętem to otwarte oko.

„Markietanka pomyśli, że jestem tchórz” — myślał z goryczą. Ale niepodobna mu było uczynić kroku; upadłby. Była to straszna chwila; Fabrycy czuł, że bliski jest wymiotów. Markietanka spostrzegła to, skoczyła żwawo i podała mu bez słowa kieliszek wódki, którą wypił jednym haustem; po czym mógł wsiąść na konia i jechał dalej w milczeniu. Markietanka spoglądała nań od czasu do czasu spod oka.

— Będziesz się bił jutro, mały — rzekła wreszcie — dziś zostaniesz ze mną. Sam widzisz, że musisz nawyknać.

— Właśnie że nie; ja chcę się bić zaraz! — wykrzyknął nasz bohater z ponurą zawziętością, która spodobała się markietance. Huk stawał się coraz mocniejszy i jakby bliższy. Strzały zlewały się w jeden basowy pomruk; nie było żadnej pauzy między jednym strzałem a drugim, a na tle tego ciągłego basu, przypominającego łoskot dalekiego strumienia, można było rozróżnić salwy karabinowe.

W tej chwili droga zapuściła się w mały gaik. Markietanka ujrzała kilku naszych biegnących pędem w jej stronę; zeskoczyła lekko z wózka i ukryła się o kilkanaście kroków od drogi. Zaszyla się w jamę powstałą po wyrwie wielkiego drzewa. „Pokaże się — pomyślał Fabrycy — czy jestem tchórz!” Stanął koło opuszczonego wózka i wydobył szablę. Żołnierze nie zwrócili nań uwagi i przebiegli pod samym lasem, na lewo od drogi.

— To nasi — rzekła spokojnie markietanka, wracając zdyszana do wózka.

— Gdyby twój koń zdolny był galopować, posłałabym cię naprzód aż na skraj lasu, zobaczyć, czy jest kto na równinie.

Fabrycy nie dał sobie dwa razy powtarzać, ułamał witek topolową, odarł ją z liści i zaczął okładać konia co sił; szkapa puściła się chwilę galopem, po czym wróciła do truchcika. Markietanka wypuściła konia galopem.

— Czekać no, czekać! — krzyczała za Fabrycym.

Niebawem znaleźli się oboje w otwartym polu. Dotarwszy na skraj łąki, usłyszeli straszliwy hałas, armaty i karabiny grały ze wszystkich stron, na prawo, na lewo, z tyłu. Ponieważ lasek, z którego wyjechali, rósł na wzgórku na jakie osiem lub dziesięć stóp nad równiną, ujrzeli dość wyraźnie kawałek bitwy; ale właściwie na łączce nie było nikogo. Łąkę tę odcinał, o jakie tysiąc kroków, długi rząd bujnych wierzb; nad tymi wierzbami widać było biały dym, który niekiedy wzbijał się krętą smugą ku niebu.

— Gdybym tylko wiedziała, gdzie jest mój pułk — mówiła markietanka, skłopotana. — Nie możemy jechać przez tę łąkę. Słuchaj, ty — rzekła do Fabrycego — jeżeli natkniesz się na wroga, bierz go od razu sztychem, nie baw się w rąbaninę.

W tej chwili markietanka spostrzegła czterech żołnierzy, o których mówiliśmy wyżej: wychylili się z lasu na równinę na lewo od drogi. Jeden był konno.

— To coś dla ciebie — rzekła do Fabrycego. — Hej tam! — krzyknęła do tego, który był na koniu — chodź no się napić kieliszek wódki. — Żołnierze zbliżyli się. — Gdzie jest szósty szwoleżerów?! — krzyknęła.

— Tam, o pięć minut stąd, nad kanałem, za wierzbami: ubili im pułkownika Macon.

— Chcesz pięć franków za konia?

— Pięć franków! Żartujecie zdrowo, mateczko, oficerski koń! Nie minie kwadrans, jak go sprzedam za pięć napoleonów.

— Daj mi jednego napoleona — rzekła markietanka do Fabrycego.

Następnie zbliżywszy się do żołnierza na koniu rzekła: — Złaz prędko, masz tu napoleona.

Żołnierz zsiadł. Fabrycy wesoło skoczył na siodło, markietanka zdejmowała zawiniątko przypięte do siodła.

— Nuże, pomóżcie mi! — rzekła do żołnierzy. — Pozwalacie się trudzić damie?

Ale ledwie nowy wierzchowiec poczuł tobolek, zaczął stawać dęba.

Fabrycy, mimo że jeździł bardzo dobrze, musiał dołożyć wszelkich starań, aby go opanować.

— Dobry znak — rzekła markietanka — jaśnie pan nie przyzwyczajony do tłumoków.

— Generalski koń! — wykrzyknął żołnierz, który go sprzedał — wart dziesięć napoleonów jak bułka za grosz.

— Ma pan jeszcze dwadzieścia franków — rzekł Fabrycy, nie posiadając się z radości, że ma pod sobą tak dziarskie zwierzę.

W tej chwili kula wpadła między wierzby biorąc je z ukosa; Fabrycy ujrzał, jak gałązki, ścięte niby kosą, rozsypały się na obie strony.

— Oho, koncertik się przybliży — rzekł żołnierz, biorąc dwadzieścia franków.

Mogło być około drugiej.

Fabrycy był jeszcze pod wrażeniem niezwyklego widowiska, kiedy gromadka generałów, wiodąc za sobą jakich dwudziestu huzarów przebyła w galopie skraj rozległej łąki; koń Fabrycego zarżał, wspiał się kilka razy, po czym gwałtownie szarpnął uzdę. „Niech i tak będzie!” — pomyślał Fabrycy.

Koń, puszczony wolno, ruszył z kopyta i dognał eskortę towarzyszącą generałom. Fabrycy naliczył cztery pióropusze. W kwadrans potem ze słów huzara jadącego tuż obok Fabrycy odgadł, że jednym z generałów jest słynny marszałek Ney. Szczęście jego nie miało granic, ale nie mógł zgadnąć który, dałby wszystko, aby się dowiedzieć, ale przypomniał sobie, że nie trzeba się odzywać. Eskorta zatrzymała się przed szerokim rowem pełnym wody z wczorajszego deszczu; rów otoczony był wielkimi drzewami i zamykał od lewej strony łąkę, na której Fabrycy kupił konia. Prawie wszyscy huzarzy zsiadli; brzeg był stromy i śliski, a powierzchnia wody o kilka stóp poniżej łąki. Fabrycy, upojony radością, więcej myślał o marszałku Neyu i o sławie niż o swoim koniu, który, mocno podniecony, wjechał w kanał bryzgając wodą. Jeden z generałów, ochlastany od stóp do głów, zaklął wściekły: „Bydlę zas...e!” Fabrycy uczuł się głęboko dotknięty tą zniewagą. „Czy mogę zażądać satysfakcji?” — myślał. Na razie chcąc dowiedzieć, że nie jest tak niezgrabny, postanowił wjechać na przeciwległy brzeg; ale brzeg był stromy i wysoki na jakie pięć do sześciu stóp. Trzeba było dać za wygraną; za czym puścił się w pław wzdłuż kanału, przy czym koń miał wody po uszy. Wreszcie napotkał łagodniejszy spadek, widocznie dla pojenia koni; w ten sposób dostał się bez trudu na drugą stronę. Znalazłszy się tam pierwszy z całego oddziału jechał dumnie brzegiem, gdy huzarzy szamotali się jeszcze w kanale, dosyć zakłopotani swą pozycją, bo w wielu miejscach woda była na pięć stóp. Niektóre konie, przestraszone, próbowały płynąć, chlapiąc straszliwie dokoła. Wachmistrz zauważył manewr tego smarkacza tak mało wyglądającego na żołnierza.

— Siadać, jest wodopój na lewo! — zawołał. Niebawem wszyscy dostali się na ląd.

Na drugim brzegu Fabrycy znalazł się sam z generałami; huk armat jakby się zdwoił; ledwie tedy usłyszał owego obryzganego przezeń generała, który krzyknął mu w ucho:

— Skąd wzięłeś tego konia?

Fabrycy był tak zmieszany, że odpowiedział po włosku:

— *L'ho comprato poco fa.* (Kupiłem go przed chwilą.)

— Co ty gadasz?! — krzyknął generał.

Ale huk zrobił się w tej chwili taki, że Fabrycy nie mógł mu odpowiedzieć. Musimy przyznać, że bohater nasz był w tej chwili bardzo mało bohaterski. Strach wszelako zajmował u niego dopiero drugie miejsce; raził go przede wszystkim łoskot, od którego pękały mu bębenki. Eskorta puściła się galopem, jechali szmatem zoranego pola, ciągnącego się za kanałem. Pole było zasłane trupami.

— Raki! raki! — krzyczeli radośnie huzarzy z eskorty. Zrazu Fabrycy nie zrozumiał; wreszcie spostrzegł, że w istocie prawie wszystkie trupy miały czerwone mundury. Jedno przejęło go dreszczem: zauważył, iż wielu nieszczęśliwych czerwonych żyło jeszcze; krzyczeli widocznie o pomoc, ale nikt nie zważał na to. Bohater nasz, pełen ludzkości, dokładał wysiłków, aby koń jego nie nastąpił na żadnego z czerwonych. Eskorta zatrzymała się; Fabrycy, który nie dość pamiętał o żołnierskich obowiązkach, galopował ciągle, wpatrzony w jakiegoś rannego.

— Zatrzymasz ty się, smarkaczu! — wrzasnął za nim wachmistrz. Fabrycy spostrzegł, iż wyprzedził o dwadzieścia kroków generałów, i to właśnie z tej strony, w którą wycelowali lornety. Wracając, aby zająć miejsce za innymi huzarami, którzy zostali o kilka kroków, ujrzał najwyższego z generałów, jak przemawiał do drugiego, również generała, rozkazującym tonem, niemal łajac; kłął przy tym obficie. Fabrycy nie mógł powstrzymać ciekawości; mimo rady, jaką mu dała poczciwa żona dozorczy, aby się jak najmniej odzywał, obmyślił bardzo poprawne francuskie zdanie i zagadnął sąsiada:

— Kto jest ten generał, który tak *psioczy* na drugiego?

— Któż ma być? Marszałek.

— Co za marszałek?

— Ney, ciemiego. A gdzieś ty służył dotąd?

Fabrycemu, mimo że był tak drażliwy, nie powstało w głowie się obrazić; pogrążony w dziecinny podziw, przyglądał się temu sławnemu *księciu Moskwy*, chwytowi nad chwaty.

Znowu puścili się galopem. W kilka chwil później Fabrycy ujrzał na dwadzieścia kroków przed sobą orną ziemię, ruszającą się w osobliwy sposób. Bruzdy były pełne wody, wilgotna zaś ziemia, tworząca zagony wśród tych bruzd, leciała raz po raz na parę staj w górę czarnymi grudkami. Fabrycy zauważył mimochodem to dziwne zjawisko, po czym myśl jego znów utonęła w dumaniach o sławie marszałka. Usłyszał za sobą nagły krzyk: to dwaj huzarzy padli ugodzeni kulami; kiedy się obejrzał, byli już dwadzieścia kroków za eskortą. Ujrzał rzecz straszną: zakrwawionego konia, który się miotał na roli, płacząc nogi we własnych wnętrznościach — chciał gnać za innymi. Krew spływała do błota.

„Ha! jestem nareszcie w ogniu! — powiedział sobie. — Widziałem ogień! powtarzał z zadowoleniem. — Jestem prawdziwy żołnierz.” W tej chwili eskorta pędziła co koń wyskoczy; bohater nasz zrozumiał, że to kule rozpryskują ziemię ze wszystkich stron. Daremnie rozglądał się, skąd te kule; widział biały dym baterii w ogromnej odległości, ale w ciągłym i jednostajnym warczeniu armat zdawało mu się, że słyszy o wiele bliższe strzały: nic nie rozumiał.

W tej chwili generałowie wraz z eskortą zjechali w dróżkę pełną wody, znajdującą się o pięć stóp poniżej.

Marszałek zatrzymał się i znów wymierzył lornetę. Tym razem Fabrycy mógł mu się przyjrzeć do woli; był to jasny blondyn z dużą czerwoną twarzą.

„Nie mamy takich twarzy we Włoszech — pomyślał. — Ja, taki bladej, z ciemnymi włosami, nigdy nie będę doń podobny” — dodał ze smutkiem. Dla Fabrycego słowa te znaczyły: „Nigdy nie będę bohaterem.” Popatrzył na huzarów: z wyjątkiem jednego wszyscy mieli płowe wąsy. Gdy Fabrycy przyglądał się huzarom z eskorty, oni też patrzyli na niego. Zarumienił się; aby ukryć zmieszanie, zwrócił głowę w stronę nieprzyjaciela. Były to długie szeregi czerwonych ludzi, ale — co go mocno zdziwiło — zdali mu się bardzo mali. Długie ich linie — pułki czy dywizje — widziały mu się nie wyższe niż płoty. Szereg czerwonych jeźdźców przybliżał się ku dróżce, którą marszałek i eskorta posuwali się powoli, chlupiąc w błocie. Dym nie pozwalał nic rozróżnić przed sobą; od czasu do czasu na tej białej mgłę odcinały się sylwetki ludzi w galopie.

Nagle od strony nieprzyjaciela Fabrycy spostrzegł czterech ludzi nadjeżdżających pędem. „Aha! atakują nas” — pomyślał; naraz ujrzał, iż dwaj z tych ludzi rozmawiają z marszałkiem. Jeden generał ze świty puścił się galopem w stronę nieprzyjaciela wraz z dwoma huzarami z eskorty i czterema przybyłymi. Po przebyciu małego kanału Fabrycy znalazł się obok wachmistrza, który wyglądał bardzo dobrodusznie. „Muszę doń zagadać — pomyślał — może przestaną się na mnie gapić.” Długo ważył słowa.

— Proszę pana, pierwszy raz widzę bitwę — rzekł wreszcie — ale czy to prawdziwa bitwa?

— Coś niby. Ale kto ty jesteś?

— Jestem bratem żony kapitana.

— A jakże się ten kapitan nazywa?

Bohater nasz zmieszał się strasznie; nie przewidział tego pytania. Szczęściem marszałek i eskorta znów ruszyli galopem. „Jakie francuskie nazwisko powiedzieć?” — myślał. W końcu przypomniał sobie nazwisko oberżysty, u którego mieszkał w Paryżu; przysunął się z koniem do wachmistrza i krzyknął z całych sił:

— Kapitan Meunier!

Tamten, nie dosłyszawszy z powodu huku armat, odparł:

— A, kapitan Teulier? Poległ, ubito go.

„Brawo! — pomyślał Fabrycy — trzeba udać zasmuconego.”

— Och, mój Boże! — krzyknął i przybrał stroskaną minę.

Wypadli z bocznej dróżki na łąkę; jechali pędem, kule świstały znowu, marszałek skierował się ku dywizji kawalerii. Eskortą znalazła się wśród trupów i rannych; ale widok ten nie robił już takiego wrażenia na naszym bohaterze: miał inne rzeczy na głowie.

Gdy eskorta się zatrzymała, ujrzał wózek markietanki; sympatia do tego czcigodnego korpusu przeważała wszystko, puścił się wprost ku niej.

— Stójże, psia...! — wrzasnął za nim wachmistrz.

„Co on mi może tu zrobić?” — pomyślał Fabrycy. I dalej galopował w stronę markietanki. Spinając konia miał nadzieję, że to jest owa pocziwa kobiecina, którą poznał dzień rano; koń i wózek były zupełnie podobne, ale właścicielka była zgoła inna; bohaterowi naszemu wydało się, że ma bardzo srogą minę. Podjeżdżając Fabrycy usłyszał, jak mówi: „A taki był piękny mężczyzna!” Świeżo upieczonego żołnierza czekało tam szpetne widowisko: ucinano nogę wyżej kolana młodemu kirasjerowi, ładnemu i rosłemu chłopcu. Fabrycy zamknął oczy i wypił duszkiem cztery kieliszki wódki.

— Dobrze ciagniesz, smyku! — krzyknęła markietanka. Wódka natchnęła go myślą: „Trzeba mi kupić sobie życzliwość kolegów z eskorty.”

— Poproszę o resztę wódki — powiedział do markietanki.

— Ale czy ty wiesz — odparła — że w taki dzień jak dziś to kosztuje dziesięć franków? Dognał eskortę w galopie.

— Cha, cha! przynosisz nam kropelki! — zawołał wachmistrz — po to tak zmykałeś! Dawaj!

Butelka poszła w kolej; ostatni, wypiwszy, rzucił ją w górę.

— Dziękuję, kamracie — krzyknął do Fabrycego.

Wszystkie oczy spojrzały nań przyjaźnie. Spojrzenia te zdjęły Fabrycemu stufuntowy ciężar z serca; było to jedno z owych zbyt delikatnych serc, które potrzebują życzliwości. Wreszcie pozyskał sobie kolegów, jest jakiś węzeł między nimi! Fabrycy odetchnął głęboko, po czym swobodnym głosem rzekł do wachmistrza:

— Jeżeli kapitan Teulier zginął, gdzie ja będę mógł odnaleźć siostrę?

Uważał się za młodego Makiawela, że tak gładko powiedział Teulier zamiast Meunier.

— Dowiesz się wieczorem — odparł wachmistrz.

Eskorta ruszyła i skierowała się ku dywizjom piechoty. Fabrycy czuł się zupełnie pijany; wypił za dużo wódki, kiwał się na siodle; przypomniał sobie maksymę, którą wygłaszał stangret jego matki; „Kiedy się zaproszyło głowę, trzeba patrzeć na uszy konia i robić jak drudzy.” Marszałek zatrzymał się dość długo przy kilku korpusach kawalerii, które posłał do ataku; ale przez dobrą godzinę bohater nasz nie miał świadomości tego, co się dzieje. Czuł się bardzo zmęczony; gdy koń wypuszczał się galopem, osuwał się na siodło jak kawał ołowiu.

Naraz wachmistrz krzyknął na swoich ludzi:

— Nie widzicie, sk... syny, cesarza!

Natychmiast eskorta wrzasła na całe gardło:

— Niech żyje cesarz!

Można się domyślić, że bohater nasz wypatrywał oczy, ale ujrzał tylko galopujących generałów, również na czele eskorty. Długie włosiane ogony u kasków dragońskich nie pozwoliły mu rozpoznać twarzy. „Tak więc z powodu tej przeklętej wódki nie widziałem cesarza na polu bitwy!” Myśl ta otrzeźwiła go zupełnie.

Zjechali znów w drogę pełną wody, konie chciały pić.

— Więc to cesarz jechał? — spytał sąsiada.

— No tak, ten w mundurze bez żadnych haftów. Jakżeś go mógł nie widzieć? — odparł kamrat przyjaźnie.

Fabrycy miał wielką ochotę puścić się za eskortą cesarza i wmieszać się w nią. Cóż za szczęście jechać w trop tego bohatera, walczyć tuż za nim! Wszak na to przybył do Francji. „Mam prawo to uczynić — myślał — ostatecznie o służbie, którą pełnię, rozstrzygnęła jedynie wola mego konia, który puścił się galopem za tymi generałami.”

Jeżeli namyślił się zostać, skłoniło go do tego życzliwe obejście nowych kamratów; zaczynał się uważać za serdecznego druha tych żołnierzy, z którymi galopował od kilku godzin. Roił sobie, że łączy ich szlachetną przyjaźń bohaterów Tassa i Ariosta. Gdyby się przyłączył do eskorty cesarza, musiałby na nowo zawierać znajomość, może by się nań krzywiono; tamci byli dragoni, a on miał mundur huzarski, jak cała eskorta marszałka. Sposób, w jaki nań patrzyli teraz, napełniał go szczęściem; zrobiłby wszystko dla swoich kolegów; dusza jego, myśl bujały w obłokach. Wszystko przybrało dlań odmienną fizjonomię, odkąd się czuł między przyjaciółmi; umierał z ochoty zadawania im pytań. „Ale jestem trochę pijany — myślał — nie zapominajmy rad mojej dozorczyni.” Wyjeżdżając



z wąwozu zauważył, że na czele eskorty nie ma już marszałka Ney'a; generał, za którym jechali obecnie, był wysoki, szczupły, o suchej i groźnej twarzy.

Generałem tym był nie kto inny niż hrabia d'A..., ów porucznik Robert z 15 maja r. 1796. Jakimż szczęściem byłoby dlań ujrzeć Fabrycego del Dongo!

Od dawna już Fabrycy nie widział czarnych grudek ziemi bryzgających pod gradem kul. Przybyli za pułk kirasjerów; usłyszał wyraźnie kule kartaczowe, uderzające o pancerze, ujrzał, jak kilku ludzi pada.

Słońce było już bardzo nisko i miało się ku zachodowi, kiedy eskorta wynurzając się z wąwozu wspięła się na zbocze wysokie na kilka stóp, aby wjechać na orne pole. Fabrycy usłyszał tuż obok dziwny chrzęst; obrócił głowę: czterech ludzi padło z końmi; i sam generał upadł, ale podniósł się, zbroczony krwią. Fabrycy patrzył na huzarów leżących na ziemi: trzech czynili jeszcze jakieś konwulsyjne ruchy, czwarty krzyczał: „Wyciągnijcie mnie!” Wachmistrz i paru ludzi zsiadło z koni, aby dać pomoc generałowi, który opierając się na adiutancie, próbował postąpić kilka kroków; silił się oddalić od swego konia, który tarzał się po ziemi wierzgając.

Wachmistrz zbliżył się do Fabrycego. Równocześnie bohater nasz usłyszał tuż za sobą słowa: „To jedyny, który jeszcze może iść galopem.” Uczuł, że ktoś chwyta go za nogi: podniesiono mu je w górę, gdy ktoś podejmował go pod ramiona. Przesadzono go ponad zadem końskim, po czym upuszczono go na ziemię, gdzie znalazł się w pozycji siedzącej.

Adiutant ujął konia Fabrycego za uzdę; generał, wsparty przez wachmistrza, wsiadł i odjechał galopem; sześciu pozostałych jeszcze ludzi pomknęło za nim. Fabrycy wstał, wściekły, i zaczął biec za nimi, krzyząc:

— *Ladri! ladri!* (Złodzieje! złodzieje!)

Zabawny widok człowieka goniącego za złodziejami na polu bitwy.

Eskorta i generał hrabia d'A... znikli niebawem za wierzbnymi. Fabrycy, pijany z gniewu, dotarł też do tych wierzb; stanął nad głębokim kanałem, który przebył. Następnie, znalazłszy się po drugiej stronie, zaczął kłąć, spostrzegając na nowo, ale z bardzo daleka, generała i eskortę gubiących się w drzewach. „Złodzieje! złodzieje!” — krzyczał teraz po francusku. Zrozpaczony o wiele mniej stratą konia niż zdradą, padł nad rowem, wyczerpany, wpółmartwy z głodu. Gdyby to nieprzyjaciel zabrał mu tego pięknego konia, ani pomyślałby o tym: ale być zdradzonym i okradzionym przez tego wachmistrza, którego tak kochał, i przez tych huzarów, których uważał za braci! — od tego pękało mu serce. Nie mógł się pocieszyć po takim bezceństwie; wsparty o wierzbę, zaczął płakać gorącymi łzami. Wyzbywał się kolejno marzeń o rycerskiej i szczytnej przyjaźni, jaka łączy bohaterów *Jerozolimy wyzwolonej*. Niczym byłoby mu patrzeć na zbliżającą się śmierć w otoczeniu dusz bohaterskich i tkliwych, szlachetnych przyjaciół, którzy ściskają ci dłoń w chwili ostatniego tchnienia! Ale jak tu zachować święty zapał w pobliżu podłych łajdaków! Fabrycy przesadzał jak każdy człowiek oburzony. Po kwadransie roztkliwień zauważył, że kule zaczynają dolatywać do drzew, pod którymi dumał. Wstał i starał się rozeznac w położeniu. Patrzył na łąki zamknięte szerokim kanałem oraz rzędem bujnych drzew, i zdawało mu się, że je poznaje. Spostrzegł korpus piechoty, która przebyła rów i wchodziła w łąkę o ćwierć mili przed nim. „Byłbym usnął — rzekł sobie — cała rzecz w tym, aby się nie dostać do niewoli. I zaczął iść bardzo szybko. W drodze uspokoił się; poznał mundury: pułki, których się bał, że go odetną, były francuskie. Wziął się na prawo, aby się z nimi spotkać.

Z cierpieniem moralnym, że go tak niegodnie zdradzono i okradziono, łączyło się drugie, które dawało mu się czuć coraz żywiej: umierał z głodu. Z największą radością, uszedłszy lub raczej ubiegłszy jakieś dziesięć minut, spostrzegł, że pułk piechoty, który też szedł bardzo szybko, zatrzymuje się, jakby dla zajęcia pozycji. W kilka minut znalazł się przy pierwszych szeregach.

— Koledzy, nie moglibyście mi sprzedać kawałka chleba?

— Ot, durny, on bierze nas za piekarzy!

Ta szorstka odpowiedź i śmiech, który jej towarzyszył, zgnębiły Fabrycego. Wojna nie była wtedy owym szlachetnym i wspólnym porywem dusz rozkochanych w sławie, jak to sobie wyobrażał z proklamacji Napoleona! Usiadł lub raczej osunął się na trawę; pobladł mocno. Żołnierz, który się doń odezwał i który się zatrzymał o kilka kroków, aby oczyścić chustką zamek u fuzji, zbliżył się i rzucił mu kawałek chleba; po czym widząc,

że go nie podnosi, włożył mu ten chleb do ust. Fabrycy otworzył oczy i jadł, nie mając siły mówić. Kiedy wreszcie poszukał oczami żołnierza, aby mu zapłacić, ujrzał się sam; najbliżsi żołnierze byli o sto kroków przed nim i w marszu. Podniósł się machinalnie i szedł za nimi. Wszedł do lasu; miał paść ze znużenia i szukał już okiem wygodnego miejsca; ale jakaż była radość, kiedy poznał najpierw konia, potem wózek, a w końcu znajomą markietankę! Podbiegła, przerażona jego wyglądem.

— Jeszcze parę kroków, malcze — rzekła. — Czyś ranny?... A twój piękny koń? — To mówiąc prowadziła go do wózka i wsadziła go podtrzymując pod ramię. Ledwie znalazłszy się na wózku, bohater nasz, wyczerpany do cna, zasnął głęboko<sup>20</sup>.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Nic nie mogło go zbudzić: ani strzały karabinowe tuż koło wózka, ani trucht konia, którego markietanka okładała ile wlezie. Pułk, zaatakowany niespodzianie przez chmarę pruskiej kawalerii, po całodziennej wierze w zwycięstwo cofał się lub raczej pierzchał w stronę Francji.

Pułkownik, piękny młodzieniec w opiętym mundurze, następca Macona, padł roznieiony szablami; następca jego, major, siwowłosy starzec, zatrzymał pułk.

— Psiekrwie jedne — przemówił do żołnierzy — za czasu republiki czekaliśmy z daniem nogi, aż nieprzyjaciel zmusi nas do tego... Brońcie każdej piędzi ziemi i ginście! — krzyczał i kłął na przemian — teraz już ci Prusacy pchają się na naszą francuską ziemię!

Wózek stanął. Fabrycy obudził się nagle. Słońce zaszło od dawna; zdziwił się, że jest prawie noc. Żołnierze biegali w popłochu, który zdziwił naszego bohatera; uważał, że mają rzadkie miny.

— Co to takiego? — rzekł do markietanki.

— Ano nic; dali nam radę, chłopcze; kawaleria pruska bierze nas na szable, tylko tyle. Ten tuman generał myślał zrazu, że to nasi. No, prędko, pomóż mi naprawić uprząż, porwała się.

Parę strzałów karabinowych rozległo się o kilka kroków. Bohater nasz, świeży i wypoczęty, rzekł sobie: „Ależ, w gruncie, ja się przez cały dzień nie biłem: eskortowałem tylko generała.” — Muszę się iść bić — rzekł do markietanki.

— Nie bój się, będziesz się bił więcej, niż będziesz miał ochotę! Zgubieni jesteśmy... Aubry, mój chłopcze — krzyknęła do przechodzącego kaprała, zaglądnij no od czasu do czasu na mój wózek!

— Pan idzie się bić? — spytał Fabrycy kaprała.

— Nie, wkładam lakierki i idę na bal!

— Idę z panem!

— Polecam ci małego huzara! — krzyknęła markietanka — ten cywil ma ducha.

Kapral Aubry szedł, nie mówiąc słowa. Dziesiątek żołnierzy dogonił go pędem: zaprowadził ich za gruby dąb obrosły jeżyną. Następnie rozstawił ich na skraju lasu, wciąż nie mówiąc ani słowa, w szerokiej tyralierskiej linii: każdy był co najmniej o dziesięć kroków od sąsiada.

— Słuchajcie no — rzekł kapral i były to pierwsze jego słowa — a nie strzelać mi przed komendą; pamiętajcie, że macie już tylko po trzy naboje.

„Co to wszystko znaczy?” — pytał sam siebie Fabrycy. Wreszcie, gdy został sam z kapralem, rzekł:

— Nie mam fuzji.

— Najpierw milcz! Idź tam: na pięćdziesiąt kroków za lasem znajdziesz któregoś z naszych zarąbanego szablami; weźmiesz mu fuzję i ładownicę. Ale żebyś mi nie obdzierał rannego, weź takiemu, co będzie na dobre zabity, a strzeż się, żebyś nie oberwał kulki od naszych.

Fabrycy puścił się pędem i wrócił z fuzją i ładownicą.

— Nabij i stań za tym drzewem, a zwłaszcza nie strzelaj, nim dam rozkaz... Kroćset fur beczek! — wtrącił kapral — nie umie nawet nabić!... Pomógł Fabrycemu, ciągnąc

<sup>20</sup> Ledwie znalazłszy się na wózku, bohater nasz, wyczerpany do cna, zasnął głęboko — Para u. P. y E. 15 x 38. [Para usted Paquita y Eugenia, 15 decembre 1838: autor dedykuje ten rozdział Paquicie i Eugenie de Montijo. Eugenia de Montijo (1826–1920) została później żoną fr. cesarza Napoleona III; Red. WL]. [przypis autorski]

dalej: — Jeśli nieprzyjacielski jeździec będzie pędził na ciebie z szablą, zaskocz za drzewo i nie strzelaj, aż z zupełnie bliska, kiedy będzie o trzy kroki: trzeba, aby bagnet prawie dotykał munduru.

— Rzućże to szablisko! — krzyknął kapral — chcesz się na nim przewrócić, do cholery! Co za żołnierzy dają nam teraz! — To mówiąc, sam ujął szablę i odrzucił ją z gniewem. — Wytrzyjże skałkę chustką. Ale czyś ty kiedy strzelał z fuzji?

— Często na polowaniu.

— Chwała Panu Bogu! — odparł kapral z głębokim westchnieniem. — Zwłaszcza nie strzelaj przed moim rozkazem. — I odszedł.

Fabrycy był rozradowany. „Wreszcie będę się bił naprawdę — mówił sobie — zabiję nieprzyjaciela. Rano pluli na nas kulami, a ja się tylko podstawiałem: głupia rola.” Rozglądał się na wszystkie strony z ciekawością. Po chwili usłyszał tuż koło siebie kilka strzałów. Ale, nie słysząc komendy, stał spokojnie za drzewem. Była prawie noc; miał uczucie, że jest na *espere*, na łowach na niedźwiedzia, w górach Tramezzina, nad Grianta. Przyszedł mu do głowy pomysł myśliwski: wyjął z ładownicy nabój i wykręcił kulę. „Jeśli go zobaczę — rzekł — nie powinienem chybić” — i wpuścił tę drugą kulę do lufy. Usłyszał dwa strzały tuż koło drzewa, równocześnie ujrzał jeźdźca w niebieskim mundurze, przejeżdżającego tuż przed nim, od prawej ku lewej. „Jest dalej niż o trzy kroki — rzekł sobie — ale na tę odległość mam go na pewno.” Wiódł pilnie za jeźdźcem końcem lufy, w końcu pocisnął cyngiel, jeździec upadł wraz z koniem. Bohater nasz miał złudzenie, że jest na polowaniu; pobiegł radośnie ku zwierzynie, którą położył. Już zbliżał się do rannego, który — zdawało się — konał, kiedy z nieprawdopodobną szybkością dwaj jeźdźcy pruscy wpadli, aby go roznieść na szablach. Fabrycy uciekł pędem do lasu; dla większej szybkości rzucił fuzję. Prusacy byli już tylko o trzy kroki, kiedy dopadł dębowego gaiku na skraju lasu. Młode dąbki grubości ramienia zatrzymały na chwilę jeźdźców; ale przebyli je i zaczęli ścigać Fabrycego przez polankę. Znowu go już dosięgali, ale wpadł między grubsze drzewa. Równocześnie niemal osmalił go płomień kilku strzałów z fuzji oddanych tuż obok. Spuścił głowę; kiedy ją podniósł, ujrzał przed sobą kaprala.

— Zabijeś swojego? — rzekł kapral Aubry.

— Tak, ale straciłem fuzję.

— Ba, fuzji nie braknie. Chwat z ciebie, mimo tej za...nej miny, sprawiłeś się gracko, a tamte gamonie spudłowały do owych dwu drabów, którzy goniąc cię, wpadli wprost na nich; ja ich nie spostrzegłem. Chodzi teraz o to, aby stąd pięknie zwiać; pułk musi być o jakie pół ćwierci mili, a co więcej, mamy po drodze kawaleczek łąki, gdzie mogliby nas zagarnąć półkolem.

Tak mówiąc, kapral szedł żwawo na czele swoich dziesięciu ludzi. O dwieście kroków dalej, wchodząc na ową łączkę, spotkali rannego generała, którego niósł adiutant ze służącym.

— Dasz mi czterech ludzi — rzekł do kaprala osłabłym głosem — zaniósł mnie do ambulansu: mam strzaskaną nogę.

— Idź do za...nej cholery! — odparł kapral — ty i wszyscy generałowie! Zdradziliście dziś cesarza!

— Co?! — wykrzyknął generał wściekły — nie słuchasz moich rozkazów! Czy wiesz, jestem generał hrabia B..., komendant waszej dywizji itd., itd.

Gadał tak dłuższy czas. Adiutant skoczył na żołnierzy. Kapral pchnął go bagnetem w ramię, po czym oddalił się ze swymi ludźmi, podwajając kroku.

— Bodajby im wszystkim — rzekł kapral — połamano ręce i nogi! Glancusie przekłete! Wszyscy zaprzędani Burbonom, zdradzili cesarza!

Fabrycy słuchał z przejęciem tego straszliwego oskarżenia.

Około dziesiątej wieczór oddziałek połączył się z pułkiem pod dużą wioską, tworzącą kilka bardzo wąskich ulic; ale Fabrycy zauważył, że kapral Aubry unika spotkania z którymś z oficerów.

— Niepodobna się poruszać! — krzyknął kapral.

Wszystkie ulice były zapchane piechotą, jazdą, a zwłaszcza jaszczykami i furgonami. Kapral próbował kolejno wpełzać się w każdą ulicę; po dwudziestu krokach trzeba się było zatrzymać. Wszyscy klęli i wściekali się.

— Znowu jakiś zdrajca dowodzi! — wykrzyknął kapral. — Jeżeli nieprzyjaciel wpadnie na ten dowcip, aby otoczyć wioskę, wyłowią nas jak psów. Hej tam, chłopcy, za mną!

Fabrycy obejrzał się; było już przy kapralu tylko sześciu żołnierzy. Weszli jakąś otwartą bramą w obszerny dziedziniec; z dziedzińca przeszli do stajni, z której dostali się do ogrodu. Zgubili się w nim na chwilę. Wreszcie, przeszedłszy żywopłot, znaleźli się w zbożu. W niespełna pół godziny, wiedzeni krzykami i hałasem, dobili do gościńca. Rowy pełne były porzuconych fuzji; Fabrycy wybrał sobie jedną. Ale droga, mimo że bardzo szeroka, tak była zapchana uciekającymi i wozami, że w ciągu pół godziny kapral i Fabrycy posunęli się zaledwie o pięćset kroków. Mówiono, że ta droga wiedzie do Charleroi. Wioskowy zegar wybił jedenastą.

— Walmy przez pole! — wykrzyknął kapral.

Oddziałek składał się już tylko z trzech żołnierzy, Fabrycego i kaprała.

Kiedy byli o ćwierć mili od gościńca, jeden z żołnierzy rzekł:

— Ja już nie mogę.

— Ani ja — rzekł drugi.

— Ładna nowina! Wszyscyśmy w jednej skórce — rzekł kapral — ale słuchajcie tylko mnie, a dobrze wyjdziecie. — Ujrzał kilka drzew wzdłuż małego rowu wśród olbrzymiego ładu zboża. — Pod te drzewa — rzekł do swoich ludzi — połóżcie się tu — dodał, skoro się tam znaleźli — tylko bez hałasu. Ale nim usniemy, kto ma chleb?

— Ja — rzekł jeden z żołnierzy.

— Dawaj — rzekł kapral z powagą. Podzielił chleb na pięć kawałków i wziął sobie najmniejszy. — Na kwadrans przed świtaniem — rzekł, jedząc — będziecie mieli na karku nieprzyjacielską jazdę. Chodzi o to, aby się nie dać wziąć na szablę. Jeden byłby kaput mając na karku jazdę na tej równinie; ale pięciu może się ocalić: trzymajcie się kupą przy mnie, nie strzelajcie, aż z bardzo bliska, a podejmuję się jutro doprowadzić was do Charleroi.

Kapral obudził ich na godzinę przed dniem, kazał im na świeżo nabić broń. Zgiełk od gościńca dochodził wciąż, trwał całą noc, był to niby loskot odległego strumienia.

— To zupełnie jak kiedy barany uciekają — rzekł Fabrycy naiwnie do kaprała.

— Stulisz ty pysk, smarkaczu! — rzekł kapral oburzony.

I trzech żołnierze, którzy z Fabrycym składali całą jego armię, spojrzeli, na chłopca z gniewem, jak gdyby dopuścił się bluźnierstwa. Znieważył naród.

„To kapitalne! — myślał nasz bohater. — Zauważyłem to już u wicekróla w Mediolanie: oni nie uciekają, nie! Z tymi Francuzami nie wolno mówić prawdy, kiedy to obraża ich próżność. Ale ja sobie kpię z ich srogich min i muszę im to dać poznać.” Wciąż szli o pięćset kroków od strumienia uciekających, który pokrywał gościńiec. O milę dalej kapral i jego armia skierowali się drogą wiodącą do gościńca, przy której leżało wielu żołnierzy. Fabrycy kupił sobie niezłego konia, który go kosztował czterdzieści franków, i wśród szabel porzuconych po obu stronach drogi wybrał wielki prosty rapier. „Skoro mówią, że trzeba kłuć sztychem — pomyślał — ten będzie najlepszy.” Tak uzbrojony wypuścił konia i niebawem dogonił kaprała, który udał się przodem. Poprawiwszy się w strzemionach ujął w lewą garść pochwę rapiera i rzekł do czterech Francuzów:

— Ci uciekający to istne stado baranów... idą jak wystraszone barany...

Ale darmo Fabrycy kładł nacisk na słowo *baran*, koledzy nie pamiętali już, że się pogniwiali o to godzinę wprzód. W tym się wyraża jedno z przeciwieństw francuskiego i włoskiego charakteru; Francuz jest bez wątpienia szczęśliwszy, ślizga się po wypadkach i nie chowa urazy.

Nie będziemy taić, że Fabrycy był bardzo rad ze swojej osoby, powiedziawszy swoje o *baranach*. Posuwali się, gawędząc. O dwie mile dalej kapral, wciąż zdziwiony, że nie widzi nieprzyjacielskiej jazdy, rzekł do Fabrycego:

— Ty jesteś naszą kawalerią, jedź galopem do tej chałupy na wzgórku i spytaj chłopca, czy zechce nam *sprzedać* śniadanie; powiedz wyraźnie, że jest nas tylko pięciu. Gdyby się wahał, daj mu pięć franków ze swoich pieniędzy; ale bądź spokojny, odbierzemy ten pieniążek po śniadaniu.

Fabrycy spojrział na kaprała, ujrzał na jego twarzy niewzruszoną powagę, istotny wyraz wyższości moralnej; usłuchał. Wszystko odbyło się tak, jak powiedział głównodowodzący; Fabrycy jedynie nalegał, aby nie odbierał siłą pięciu franków, które dał chłopcu.

— To moje pieniądze — mówił do towarzyszy — ja nie płacę za was, płacę za owies dla mojego konia.

Fabrycy tak źle wysławiał się po francusku, że towarzysze odczuli w jego słowach ton wyższości: dotknęło ich to; z tą chwilą w myśli ich zarysował się pojedynek na zakończenie dnia. Wydawał im się bardzo różny od nich, i to ich drażniło; Fabrycy, przeciwnie, zaczynał czuć dla nich przyjaźń.

Szli bez słowa od dwóch godzin, kiedy kapral, spoglądając na drogę, wykrzyknął radośnie:

— Nasz pułk!

Rychło znaleźli się na gościńcu; ale niestety! koło orla nie było ani dwustu ludzi. Oko Fabrycego ujrzało niebawem markietankę: szła pieszo, z czerwonymi oczami, popłakując od czasu do czasu. Na próżno Fabrycy szukał wzrokiem wózka i Kokotki.

— Zrabowane, przepadłe, skradzione! — wykrzyknęła markietanka w odpowiedzi na spojrzenia naszego bohatera.

Fabrycy bez słowa zsiadł z konia, ujął go za uzdę i rzekł do markietanki:

— Niech pani siada.

Nie dała sobie powtarzać dwa razy.

— Skróć mi strzemiona — rzekła.

Usadowiwszy się, zaczęła opowiadać Fabrycemu kłęski owej nocy. Po opowiadaniu nieskończenie długim, ale chciwie lykanym przez naszego bohatera, który — prawdę rzekłszy — nic a nic nie rozumiał, ale miał żywą przyjaźń dla markietanki, dodała:

— I rzec, że to Francuzi mnie obłupili, zbili, zrujnowali...

— Jak to! To nie nieprzyjaciele? — spytał Fabrycy naiwnym tonem, który dawał uroczy wyraz jego poważnej i bladej twarzy.

— Jakiś ty głupi, mój pocziwy malcze! — rzekła markietanka, uśmiechając się przez łzy. — Ale bardzo milusi!

— I jak go pani widzisz, doskonale sprzątnął swego Prusaka — rzekł kapral Aubry; wśród powszechnego zamętu kapral znalazł się przypadkowo po drugiej stronie konia, na którym jechała markietanka. — Ale dumna z niego sztuka... — ciągnął kapral. Tu Fabrycy uczynił gest. — Jakże ty się nazywasz — ciągnął kapral — ostatecznie, jeżeli będzie raport, chcę cię wymienić.

— Nazywam się Vasi — odrzekł Fabrycy, nieco zmieszany — to jest właściwie Boulot — poprawił się żywo.

Boulot było to nazwisko właściciela marszruty, którą mu dała dozorczyńni więzienia; przedwczoraj wystudiował ją starannie w drodze, bo zaczynał zastanawiać się nieco i nie dziwił się już tak wszystkiemu. Prócz marszruty huzara Boulot przechowywał troskliwie paszport włoski, wedle którego miał — prawo do szlachtetnego miana Vasi — handlarz barometrów. Kiedy kapral zarzucił mu dumę, omal nie odpowiedział: „Ja dumny! Ja, Fabrycy Valserra, marchesino del Dongo, który godzi się nosić nazwisko jakiegoś Vasi, handlarza barometrów!”

Podczas gdy Fabrycy zastanawiał się i powiadał sobie: „Trzebaż pamiętać o tym, że się nazywam Boulot lub też pachnie to więzieniem, które mi zagraża” — kapral i markietanka wymienili parę uwag dotyczących jego osoby.

— Niech mnie pan nie uważa za wścibską — rzekła markietanka przestając go *tykać* — jeżeli pytam, to dla pańskiego dobra. Kto pan jest, ale tak naprawdę?

Fabrycy nie odpowiedział zrazu; rozważał, że niepodobna by mu znaleźć przyjaciół bardziej oddanych, których mógłby się poradzić. A gwałtownie potrzebował rady! „Przybędziemy do obozu, komenderujący zechce wiedzieć, kto jestem, i znowu pachnie więzieniem, jeśli się okaże z moich odpowiedzi, że nie znam nikogo w czwartym pułku huzarów, którego mundur noszę!” Jako poddany austriacki, Fabrycy znał całą wagę paszportu; członkowie jego rodziny, mimo że wysoko urodzeni i nabożni, mimo że należą do zwycięskiego stronnictwa, bywali po dwadzieścia razy niepokojeni z przyczyny paszportu; nic go tedy nie zdziwiło pytanie markietanki. Kiedy — nim zdobył się na odpowiedź — szukał w myśli najjaśniejszych zwrotów francuskich, markietanka, palona ciekawością, dodała, aby go zachęcić:

— Kapral Aubry i ja damy panu dobrą radę, niby względem tego, co masz z sobą począć.

— Nie wątpię — odparł Fabrycy. — Nazywam się Vasi i jestem z Genui; siostra moja, słynna z urody, wyszła za mąż za kapitana. Ponieważ mam dopiero siedemnaście lat, ściągnęła mnie, aby mi pokazać Francję i ogładzić mnie nieco. Nie zastawszy jej w Paryżu i dowiedziawszy się, że jest przy armii, przybyłem za nią i szukałem na wszystkie strony, nie mogąc jej znaleźć. Żołnierze, uderzeni moim włoskim akcentem, przytrzymali mnie. Miałem wówczas pieniądze; przekupiłem żandarma, który dał mi marszrutę, mundur i powiedział: „Zmykaj, ale przysięgnij, że nigdy nie wymienisz mego nazwiska.”

— Jak się nazywał? — spytała markietanka.

— Dałem słowo — odparł Fabrycy.

— Ma rację — wtrącił kapral — żandarm jest ladaco, ale kolega nie powinien go zdradzić. A jak się nazywa ten kapitan, twój szwagier? Skoro będziemy wiedzieli nazwisko, możemy go poszukać.

— Teulier, kapitan w czwartym pułku huzarów — odparł nasz bohater.

— Zatem — rzekł kapral z domyślną miną — z cudzoziemskiego akcentu żołnierze wzięli cię za szpiega.

— Och, to ohydne słowo! — krzyknął Fabrycy z błyszczącymi oczami. — Ja, który tak kocham cesarza i Francuzów! Właśnie ta zniewaga najwięcej mnie oburza.

— Nie ma tu żadnej zniewagi, w tym właśnie się mylisz; omyłka żołnierzy jest zupełnie naturalna — odparł z powagą kapral Aubry.

Za czym wyłożył mu wielce dokładnie, że w wojsku trzeba należeć do jakiejś broni i nosić mundur, inaczej jest zupełnie proste, że człowieka biorą za szpiega. „Nieprzyjacieli nasyła nam ich dużo; kto żyje, zdradza w tej wojnie.” Łuska spadła z oczu Fabrycego: pierwszy raz zrozumiał, że wszystko, co mu się zdarzyło od dwóch miesięcy, było z jego winy.

— Ale trzeba, żeby malec opowiedział nam wszystko — rzekła markietanka, którą ciekawość paliła coraz bardziej.

Fabrycy spełnił jej prośbę. Kiedy skończył, rzekła poważnie do kaprała:

— W gruncie rzeczy ten dzieciak nie jest wojskowy; teraz, kiedy nas pobito i zdradzono, czeka nas brzydka wojna. Po co miałby brać po łbie *gratis pro Deo*?

— Zwłaszcza — rzekł kapral — że nie umie nawet nabić karabinu ani na dwanaście temp, ani tak. To ja nabiłem fuzję, którą sprzątnął Prusaka.

— Co więcej, pokazuje pieniądze całemu światu — dodała markietanka — okradną go od pierwszej chwili, kiedy nie będzie z nami.

— Pierwszy podoficer kawalerii, którego spotka — rzekł kapral — skonfiskuje je, aby sobie postawić szklaneczkę, a może i wezmą go w rekruty na rzecz nieprzyjaciela, kto żyje bowiem, zdradza. Pierwszy z brzegu każe mu iść za sobą, on pójdzie; lepiej byłoby wpisać go do naszego pułku.

— Och, nie, panie kapralu! — wykrzyknął Fabrycy. — Wygodniej na koniu! Zresztą ja nie umiem nabić karabinu, a widzi pan, że umiem jeździć konno.

Fabrycy był bardzo dumny ze swej oracji. Nie będziemy powtarzali długiej dyskusji nad jego przyszłym losem, która toczyła się między kapralem a markietanką. Fabrycy zauważył, że w rozmowie powtarzali po kilka razy wszystkie szczegóły jego przygody: podejrzenia żołnierzy, żandarm sprzedający marszrutę i mundur, sposób, w jaki wczoraj się znalazł w eskorcie generała, cesarz ujrzany w galopie, *zwędzony* koń itd.

Z kobiecą ciekawością markietanka wracała wciąż do sposobu, w jaki wyzuto go z dobrego konia, nabytego z jej pomocą.

— Uczuleś, że cię chwytają za nogi, ściągnięto cię delikatnie przez ogon i posadzono na ziemi?

„Po co powtarzać tak często — myślał Fabrycy — to, co wszyscy troje wiemy tak dobrze?” Nie wiedział jeszcze, że w ten sposób we Francji ludzie z gminu szukają myśli.

— Ileż masz pieniędzy? — spytała naraz markietanka.

Fabrycy nie wahał się z odpowiedzią; pewny był szlachetności tej kobiety — to najpiękniejszy rys Francji.

— Wszystkiego zostało mi może trzydzieści napoleonów w złocie i z dziesięć pięćfrankówek.

— W takim razie masz wolne pole! — wykrzyknęła markietanka. Wydobądź się z rozbitej armii, pchnij się gdzie w bok, weź się pierwszą wyjeżdżoną dróżką, którą spo-

tkasz, na prawo i wypuść ostro konia, wciąż dalej od armii. Przy pierwszej sposobności kup sobie cywilne ubranie. Kiedy będziesz o jakie osiem lub dziesięć mil i nie będziesz już widział żołnierzy, siadaj na pocztę i jedź odpocząć i odjeść się przez tydzień do jakiego miasta. Nie mów nikomu, że byłeś w armii, żandarmi zagarnęliby cię jako dezertera; a choć jesteś bardzo milusi, mój mały, nie jesteś jeszcze dość kuty, aby gadać z żandarmami. Gdy będziesz miał na sobie cywilne ubranie, podrzyj marszrutę na drobne kawałeczki i wróć do prawdziwego nazwiska: mów, że jesteś Vasi. A skąd ma mówić, że jedzie — zwróciła się do kaprała.

— Z Cambrai nad Skaldą, to poczciwe miasteczko, rozumiesz? Jest tam katedra i Fénelon<sup>21</sup>.

— Doskonale — rzekła markietanka — i nie mów nigdy nikomu, że byłeś w bitwie, nie piśnij słowa o B... ani o żandarmie, który ci sprzedał marszrutę. Kiedy będziesz chciał wrócić do Paryża, udaj się najpierw do Wersalu i przejdź rogiatkę od tej strony, ot tak, piechotą, jak gdybyś sobie szedł spacerem. Zaszuj swoje napoleony do portek; zwłaszcza kiedy będziesz miał płacić za coś, pokazuj ściśle tyle, ile wynosi kwota. To mnie trapi, że cię będą nabierali, że z ciebie wycisną wszystko, co masz. A co ty poczniesz bez pieniędzy, nie umiając sobie dawać rady? itd...

Poczciwa markietanka mówiła jeszcze długo; kaprał przytwierdzał jej kiwaniem głowy, nie mogąc sam dojść do słowa. Nagle tłum, który pokrywał gościniec, zdwoił zrazu kroku, po czym w mgnieniu oka przebył rów po lewej i zaczął uciekać co sił.

— Kozacy! Kozacy! — krzyczano ze wszystkich stron.

— Weźże swego konia! — wołała markietanka.

— Niech mnie Bóg bron! — rzekł Fabrycy. — Galopuj, pani, uciekaj, zostawiam ci go. Chce pani pieniędzy na odkupienie wózka? Połowa tego, co mam, jest twoja.

— Weź swego konia, mówię! — krzyknęła markietanka z gniewem i zatrzymała się, aby zsiąść.

Fabrycy dobył szabli.

— Trzymaj się, pani, mocno! — krzyknął i uderzył płazem konia, który puścił się galopa i pognął za uciekającymi.

Nasz bohater rozejrzał się po gościńcu; dopiero co kilka tysięcy ludzi tłoczyło się tam, ściśniętych jak na procesji. Po okrzyku „Kozacy!” nie ujrzał dosłownie nikogo; porzucili czaka, fuzje, szable. Fabrycy, zdziwiony, zeszedł na prawo, na pole wznoszące się na jakie dwadzieścia lub trzydzieści stóp, spojrzął na gościniec, na równinę i nie ujrzał ni śladu Kozaków. „Zabawni ci Francuzi — pomyślał. — Skoro mam się brać na prawo — myślał najlepiej iść od razu w tym kierunku: może ci, co uciekają, mają jakieś powody, których ja nie znam?” Podniósł jakiś karabin, sprawdził, że jest nabity, wzruszył proch na panewce, oczyścił skałkę, wybrał pełną ładownicę i rozejrzał się jeszcze raz; był sam wśród tej równiny, niedawno tak nabitej ludźmi. Het, w oddali, widział uciekających, którzy wciąż biegli, aż zniknęli za drzewami. „Szczególnie!” — myślał. I przypomniawszy sobie wczorajszy manewr kaprała, usiadł wśród ładu zboża. Nie oddalał się, pragnąc ujrzeć jeszcze swoich przyjaciół: markietankę i kaprała Aubry.

W zbożu sprawdził, że ma już tylko osiemnaście napoleonów zamiast trzydziestu, jak mniemał; ale zostało mu parę diamencików, które ukrył był w podszewce huzarskiego buta w izbie dozorczyńni w B... Schował złoto, jak mógł najlepiej, zastanawiając się głęboko nad tym nagłym zniknięciem. „Czy to zła wróżba?” — myślał. Głównym jego zmartwieniem było, że nie zwrócił się do kaprała Aubry z tym pytaniem: „Czy ja naprawdę brałem udział w bitwie?” Zdawało mu się, że tak; byłby szczęśliwy bez granic, gdyby był tego pewny.

„Bądź co bądź — mówił sobie — brałem w niej udział pod nazwiskiem więźnia, miałem w kieszeni marszrutę więźnia i co więcej, jego mundur na sobie. To fatalne na przyszłość; co by o tym powiedział ksiądz Blanes? I ten nieszczęśliwy Boulot umarł w więzieniu! Wszystko to jest zła wróżba; los zaprowadzi mnie do więzienia.” Fabrycy dałby wszystko w świecie, aby wiedzieć, czy Boulot był naprawdę winien; zbierając swoje wspomnienia miał wrażenie, że wedle relacji dozorczyńni huzar nie tylko ściągnął srebro sto-

<sup>21</sup>Fénelon (1651–1715) — fr. dostojnik kościelny, teolog i pisarz, pochowany w Cambrai jako jego arcybiskup. [przypis edytorski]

lowe, ale także ukradł krowę chłopską i do tego zbił chłopą niemiłosiernie; Fabrycy nie wątpił, iż prędzej lub później wtrąca jego samego do więzienia za jakieś przewinienie mające związek z postępkami huzara Boulot. Myślał o swoim przyjacielu, księdzu Blanès; cóż by dał za to, aby się go móc poradzić! Przypomnił sobie, że nie napisał ani razu do ciotki, od czasu jak opuścił Paryż. „Biedna Gina!” — mówił sobie. Łzy stanęły mu w oczach, kiedy nagle usłyszał tuż za sobą szelest: był to żołnierz, który paśł trzy konie wyraźnie wpółmartwe z głodu, zdjawszy im uzdę. Trzymał je za trzęzle. Fabrycy zerwał się jak młoda kuropatwa, tak iż żołnierz zląkł się. Bohater nasz spostrzegł to i dał się skusić przyjemności odegrania przez chwilę roli prawdziwego huzara.

— Jeden z tych koni jest mój, ty sk.....u! — wykrzyknął — ale dam ci pięć franków za to, żeś mi go tu przyprowadził.

— Kpisz czy o drogę pytasz? — rzekł żołnierz.

Fabrycy złożył się doń z odległości sześciu kroków.

— Puść albo strzelam!

Żołnierz miał fuzję przewieszoną przez ramię, sięgnął ręką, aby ją ująć.

— Jeśli uczynisz najłżejszy ruch, zginąłeś! — wykrzyknął Fabrycy, pędząc prosto na niego.

— No, więc dawaj pięć franków i bierz konia — rzekł ogłupiały żołnierz, spojrzawszy z żalem na gościniec, gdzie nie było żywej duszy. Fabrycy, trzymając karabin w pogotowiu lewą ręką, prawą rzucił mu trzy pięciofrankówki.

— Złaż albo zginiesz... Załóż munsztuk karemu i oddał się z tamtymi dwoma... Strzelam, jeśli się ważysz...

Żołnierz usłuchał mrużąc coś niechętnie. Fabrycy podszedł do konia i ujął cugle lewą ręką, nie tracąc z oczu żołnierza, który oddalał się wolno; kiedy Fabrycy ujrzał go o jakie pięćdziesiąt kroków, wskoczył lekko na konia. Jeszcze szukał prawą nogą strzemięcia, kiedy usłyszał bardzo blisko świst kuli: to ów żołnierz wygarnął doń z karabinu. Fabrycy, wściekły, pocwałował w stronę żołnierza, który umknął pędem; niebawem Fabrycy ujrzał go w oddali galopującego na jednym z koni. „Ba! już go nie dosięgnę” — rzekł sobie. Koń, którego kupił, był wspaniały, ale wyraźnie wpółzdechły z głodu. Fabrycy wrócił na gościniec, gdzie wciąż nie było żywej duszy, przeciął go i puścił konia truchtem, aż wjechał na wzgórek po lewej, skąd miał nadzieję ujrzyć markietankę; ale kiedy się znalazł na szczycie, dostrzegł na miłą wokół jedynie kilku pojedynczych żołnierzy. „Napisane jest, że już nie zobaczę tej dzielnej i dobrej kobiety!” — rzekł z westchnieniem. Dobił do zagrody, którą ujrzał w oddali na prawo. Nie zsiadając i płacąc z góry, kazał dać owsa biednemu koniowi, tak wygłodniałemu, że kąsał żłób. W godzinę później Fabrycy człapał po gościńcu, wciąż z mglistą nadzieją odnalezienia markietanki lub bodaj kaprała. Jadąc ciągle i rozglądając się na wszystkie strony, przybył nad błotnistą rzekę, na której był dość wąski drewniany most. Przed mostem, na prawo od gościńca, stało odosobnione domostwo noszące nazwę „Pod Białym Koniem”. „Zjem tu obiad” — rzekł sobie Fabrycy. U wejścia na most znajdował się oficer kawalerii z ręką na temblaku; był na koniu i miał minę bardzo zgnębioną; o dziesięć kroków od niego trzech spieszonych<sup>22</sup> kawalerzystów majstrowało koło fajek.

„Ci ludzie — pomyślał Fabrycy — wyglądają na to, że zechcą ode mnie kupić konia jeszcze taniej, niż mnie kosztował.” Ranny oficer i trzech piechurzy patrzyli nań, zdając się czekać, aż nadjedzie. „Lepiej mi było nie przejeżdżać przez ten most i wziąć się wzdłuż rzeki na prawo; to by była droga, jaką mi doradzała markietanka, aby się wycofać z sytuacji...” Tak rzekł sobie nasz bohater — ale jeżeli umknę, jutro będę się tego wstydził; zresztą mój koń ma dobre nogi, koń tego oficera jest pewnie zmęczony; jeżeli zechce mnie zsadzić z siodła, wypuszczę się galopem.” Tak rozumując, Fabrycy ściągnął konia i posuwał się możliwie najwolniej.

— Żywiej no tam, huzarze! — krzyknął oficer rozkazująco.

Fabrycy posunął się o kilka kroków i stanął.

— Chce mi pan zabrać konia? — krzyknął.

— Ależ nie; podjedź tu bliżej.

<sup>22</sup>spieszony — pozbawiony konia. [przypis edytorski]



Fabrycy spojrział na oficera; miał siwe wąsy, minę najpoczciewszą pod słońcem; chustka, która podtrzymywała jego lewe ramię, była pełna krwi, a prawa ręka była również zawinięta w krwawą szmatę. „To te piechury zechcą się dobierać do mojego konia” — rzekł sobie Fabrycy, ale przyjrząwszy się bliżej, ujrzał, że piechury też są ranne.

— W imię honoru — rzekł oficer noszący epolety pułkownika — zostań tu na wędzie i powiedz wszystkim dragonom, szaserom i huzarom, których ujrzysz, że pułkownik Le Baron jest w tej gospodzie i że im rozkazuję zgłosić się tam do mnie.

Stary pułkownik wydawał się straszliwie zgnębiony; od pierwszych słów zdobył sobie serce naszego bohatera, który odpowiedział rozsądnie:

— Jestem zbyt młody, proszę pana, aby mnie usłuchano; trzeba by, abym miał ten rozkaz na piśmie.

— Ma słuszność — rzekł pułkownik, przyglądając mu się z uwagą — pisz rozkaz, La Rose, ty masz prawą rękę całą.

Nic nie mówiąc, La Rose wydobył pergaminowy notatnik, napisał kilka wierszy i wydarłszy ćwiartkę oddał ją Fabrycemu; pułkownik powtórzył mu rozkaz, dodając, iż po dwóch godzinach warty zluzuje go, jak się należy, jeden z rannych kawalerzystów. To rzekłszy, wszedł do gospody ze swymi ludźmi. Fabrycy patrzył za nimi, stojąc nieruchomo z początku mostu, tak bardzo uderzyła go niema i posępna boleść tych trzech osób. „Rzekłby ktoś, zakłęte duchy” — mówił sobie. Wreszcie rozwinął złożony papier i przeczytał następujący rozkaz:

Pułkownik Le Baron z 6 pułku dragonów, komendant drugiej brygady pierwszej dywizji 14 korpusu, rozkazuje wszystkim kawalerzystom, dragonom, szaserom i huzarom nie przekraczać mostu i zgłosić się do gospody „Pod Białym Koniem” koło mostu, gdzie jest jego generalna kwatery.

W kwatery generalnej, koło mostu na Sainte, 19 czerwca r. 1815.

Za pułkownika Le Baron, rannego w prawą rękę, i z jego rozkazu, wachmistrz

La Rose

Zaledwie pół godziny stał Fabrycy na warcie, kiedy ujrzał nadjeżdżających sześciu szaserów konnych i trzech pieszo; oznajmił im rozkaz pułkownika.

— Zaraz wrócimy — odparli czterej konni i przejechali most ostrym klusem.

Wówczas Fabrycy zwraca się do dwóch pozostałych. W czasie dyskusji, która się wywiązała, trzej piesi przeszli przez most. Jeden z szaserów siedzących na koniu orzekł w końcu, że chce zobaczyć rozkaz, i porwał papier mówiąc:

— Zaniosem rozkaz kolegom, którzy z pewnością wrócą, czekaj tu cierpliwie.

I puścił się galopem, towarzyszył za nim. Wszystko to stało się w mgnieniu oka.

Fabrycy, wściekły, zawołał jednego z rannych, który właśnie pokazał się w oknie gospody. Żołnierz, który — jak to zauważył Fabrycy — miał galony wachmistrza, zeszedł i krzyknął nań podchodząc:

— Szabla do garści, psiakr..! Jesteś w służbie!

Fabrycy usłuchał, po czym rzekł:

— Porwali rozkaz.

— Wściekli się o wczorajsze — odparł tamten ponuro. — Dam ci swój pistolet; gdyby znów kto chciał przełamać zakaz, strzelaj w powietrze: przyjdę ja albo sam pułkownik się pokaże.

Fabrycy dostrzegł gest zdumienia u wachmistrza na wzmiankę o porwaniu rozkazu; zrozumiał, że wyrządzono mu osobistą zniewagę, i postanowił solennie nie dać już drwić z siebie.

Uzbrojony w wielki kawaleryjski pistolet wachmistrza, Fabrycy wrócił dumnie pełnić wartę; niebawem ujrzał nadjeżdżających siedmiu huzarów na koniach. Ustawił się tak, aby zagrozić most, i oznajmił im rozkaz pułkownika, co przyjęli kwaśno; najśmielszy próbował przejechać. Fabrycy, idąc za mądrą radą markietanki, która poprzedniego ranka mówiła mu, że trzeba brać na sztych, a nie płazować, pochylił szpic wielkiego rapiera z miną człowieka, który gotów jest przebić każdego, kto zechce przekroczyć rozkaz.

— Ale! on chce nas tu zabijać, ten smarkacz! — krzyknęli huzarzy — jak gdyby nas nie dosyć nazabijano wczoraj!

Jak na komendę dobyli szabel i wpadli na Fabrycego; myślał, że już po nim, ale przypomniał sobie zdziwienie wachmistrza i nie chciał być jeszcze raz dudkiem. Cofając się na most, starał się kłuć sztychem. Miał tak pocieszną minę, wywijając tą wielką kawaleryjską szablą, o wiele za ciężką dla niego, że huzarzy poznali niebawem, z kim mają do czynienia: odtąd silili się go nie zranić, ale pociąć mu ubranie. W ten sposób Fabrycy otrzymał kilka lekkich draśnięć w ramię. On sam, wciąż wierny zasadom markietanki, zadawał z całej siły pchnięcia. Nieszczęściem jedno z tych pchnięć zraniło huzara w rękę; wściekły, że dał się skaleczyć takiemu żołnierzowi, odpowiedział energiczną ripostą, raniąc Fabrycego w udo. Cios dosięgnął go dzięki temu, że koń naszego bohatera, daleki od chęci uciekania z tej bitki, znajdował w niej wyraźną przyjemność i rzucał się na napastników. Ci, ujrawszy krew spływającą Fabrycemu z prawego ramienia, zlekli się, iż posunęli zabawę zbyt daleko; za czym zepchnąwszy go ku barierze puścili się galopem. Z chwilą gdy Fabrycy odzyskał swobodę ruchów, wystrzelił w powietrze, aby ostrzec pułkownika.

Czterech huzarów konnych i dwóch pieszych z tego samego pułku co poprzedni zbliżyło się do mostu; byli o jakieś dwieście kroków, kiedy się rozległ strzał. Śledzili uważnie, co się dzieje na moście; wyobrażając sobie, że Fabrycy strzelił do ich kolegów, czterej konni runęli nań z wyciągniętymi szablami. Była to istna szarża. Pułkownik Le Baron, przywołany strzałem | z pistoletu, otworzył drzwi i rzucał się na most w chwili właśnie, gdy huzarzy nadjeżdżali galopem. Sam dał żołnierzom rozkaz zatrzymania się.

— Nie ma tu żadnych pułkowników! — wykrzyknął jeden spinając konia.

Zrozpaczony pułkownik przerwał upomnienia i swoją prawą, zranioną ręką chwycił konia za uzdę z lewej strony.

— Stój! Zły żołnierzu — rzekł do huzara — znam cię, jesteś z kompanii kapitana Henrieta.

— Więc dobrze! niech kapitan sam da mi rozkaz! Kapitana Henrieta zabito wczoraj — dodał drwiąco — a ty ruszaj do za...nej śmierci.

Mówiąc to, żołnierz próbuje sobie otworzyć przejście i popycha starego pułkownika, który pada na most. Fabrycy, który stał o dwa kroki dalej, ale twarzą do oberży, najjeżdża koniem i podczas gdy koń zuchwałego żołnierza i obalił piersią pułkownika nie wypuszczającego z rąk cugli, Fabrycy, oburzony, zadaje huzarowi pchnięcie. Szczęściem koń huzara, ciągniony ku ziemi uzdą, którą trzymał pułkownik, skręcił w bok, tak że długa kawaleryjska szabla Fabrycego oślizgnęła się po dolmanie<sup>23</sup> i mignęła tylko huzarowi przed oczami. Ów, wściekły, obraca się i tnie z całej siły, przecinając Fabrycemu rękaw i raniąc go w ramię; bohater nasz pada.

Jeden ze spieszonych huzarów, widząc dwóch obrońców mostu na ziemi, korzysta z chwili, skacze na konia Fabrycego i chce go sobie przywłaszczyć, puszczając się galopem przez most.

Nadbiegający z gospody wachmistrz widział, jak pułkownik pada, i sądził, że jest ciężko ranny. Biegnie z koniem Fabrycego i zatapia szablę w krzyże złodzieja; ten wali się. Huzarzy, widząc na moście już tylko wachmistrza, puszczają się galopem i przejeżdżają szybko. Ten, który był pieszo, umknął w pole.

Wachmistrz zbliżył się do rannych. Fabrycy podniósł się już; nie cierpiał zbytnio, ale stracił dużo krwi. Pułkownik podniósł się wolniej; był ogłuszony upadkiem, ale nie ranny.

— Boli mnie jedynie — rzekł do wachmistrza — moja dawna rana w rękę.

Huzar, zraniony przez wachmistrza, konał.

— Bierżcie go czart! — wykrzyknął pułkownik. — Ale — rzekł do wachmistrza i dwóch nadbiegających żołnierzy — zajmijcie się tym chłopczyną, którego naraziłem tak nieopatrnie. Ja zostanę sam przy moście i spróbuję powstrzymać tych opętanych. Zaprowadźcie chłopca do gospody i opatrzcie mu ramię, weźcie jedną z moich koszul.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Całe to zajście nie trwało ani minuty. Rany Fabrycego okazały się lekkie; owinięto mu ramię bandażem z koszuli pułkownika. Chciano mu posłać łóżko na pierwszym piętrze gospody.

<sup>23</sup>dolman (daw., z tur.) — kurtka, płaszcz. [przypis edytorski]

— Ale — rzekł Fabrycy do wachmistrza — gdy ze mną będą się tu cackali na pierwszym piętrze, mój koń znudzi się w stajni sam i odjedzie sobie z innym panem.

— Wcale nieźle jak na rekruta — rzekł wachmistrz.

Za czym ułożono Fabrycego na świeżutkiej słomie w samym żłobie, do którego przywiązany był jego koń.

Widząc, że Fabrycy jest bardzo słaby, wachmistrz przyniósł mu czarkę grzanego wina i wdał się z nim w gawędę. Parę wplecionych w tę rozmowę pochwał sprawiło, że nasz bohater znalazł się w siódmym niebie.

Fabrycy obudził się aż o świcie; konie rżały i robiły wściekły łomot; stajnia pełna była dymu. Zrazu Fabrycy nie rozumiał przyczyny hałasu i nie wiedział nawet, gdzie jest; wreszcie wpółzdławiony dymem wpadł na myśl, że to może dom się pali. W mgnieniu oka znalazł się na dziedzińcu i na koniu. Podniósł głowę: dym buchał z okien nad stajnią; dach był cały w kłębach czarnego dymu. Setka uciekających przybyła w nocy do gospody „Pod Białym Koniem”; wszyscy krzyczeli i klęli. Żołnierze, których Fabrycy mógł dojrzeć, byli widać zupełnie pijani; jeden chciał go zatrzymać, wołając:

— Dokąd ty bierzesz mojego konia?

Kiedy Fabrycy znalazł się o ćwierć mili, odwrócił głowę: nikt go nie ściagał, dom był w płomieniach. Fabrycy poznał most, przypomniał sobie ranę i uczuł, że ramię ma ściśnięte bandażem i bardzo gorące. „A stary pułkownik, co się z nim stało? Dał swoją koszulę, aby mi opatrzone ramię.” Bohater nasz cieszył się tego ranka najzimniejszą krwią pod słońcem; obfitość krwi, którą stracił, oswobodziła go z romantyzmu właściwego jego naturze.

„Na prawo — powiedział sobie — i w nogi!” Puścił się spokojnie wzdłuż rzeki, która od mostu skręcała na prawo od drogi. Przypomniał sobie rady pocziwej markietanki. „Co za życzliwość! — myślał — co za rzetelny charakter!”

Po godzinie jazdy uczuł się bardzo słaby. „Co u licha? Czyżbym miał zemdleć? — powiadał sobie. — Jeśli zemdleję, skradną mi konia, może i mundur, a wraz z nim mój skarbczyk. Nie miał już siły, aby powodować koniem, czynił wysiłki, aby utrzymać się na siodle, kiedy wieśniak, który pracował w polu koło gościńca, spostrzegł jego błądność i ofiarował mu szklankę piwa i kawałek chleba.

— Widząc was tak bladym pomyślałem, że jesteście ranni w wielkiej bitwie — rzekł.

Nigdy pomoc nie zjawiła się bardziej w porę. Podczas gdy Fabrycy gryzł kawał czarnego chleba, oczy zaczęły go boleć, kiedy patrzył na wprost siebie. Skrzepiwszy się nieco, podziękował.

— A gdzie ja jestem? — spytał.

Wieśniak objaśnił, że o trzy ćwierci mili dalej natrafi na miasteczko Zonders, gdzie znajdzie opiekę. Fabrycy dobił do miasteczka, nie bardzo wiedząc, co robi, i wciąż dokładając wysiłków, aby nie spaść z konia. Ujrawszy otwartą bramę wjechał: była to gospoda „Pod Strzemieniem”. Nadbiegła pocziwa gospodyni, kobieta olbrzymiej tuszy; zawołała o pomoc głosem drgającym litością. Dwie młode dziewczyny pomogły Fabrycemu zejść na ziemię; ledwie zsiadł z konia, zemdlął na dobre. Przywołano chirurga, puścił mu krew. Przez ten dzień i przez kilka następnych Fabrycy nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje, spał bez ustanku.

Pchnięcie w udo groziło mu utworzeniem się abscesu. Kiedy nieco oprzytomniał, prosił, aby pamiętano o jego koniu, i powtarzał często, że dobrze zapłaci, co obrażało pocziwą oberżystkę i jej córki. Minęły dwa tygodnie, przez które był najtroskliwiej pielęgnowany, i zaczynał przychodzić nieco do siebie; naraz jednego wieczora ujrzał, że gospodynie jego mają miny wielce strapione. Niebawem wszedł do izby niemiecki oficer; rozmawiała z nim w języku, którego Fabrycy nie rozumiał, ale odgadł, że mowa o nim; udał, że śpi. W chwilę później, kiedy sądził, że oficer musiał już wyjść, przywołał swoje gosposie:

— Czy ten oficer zapisał mnie na liście i chce mnie wziąć do niewoli?

Oberżystka przytwardziła ze łzami w oczach.

— Mam pieniądze zaszyte w dolmanie! — zawołał, podnosząc się na łóżku — kupcie mi cywilne ubranie i tej nocy jeszcze odjeżdżam na swoim koniu. Ocaliliście mi już raz życie, przygarniając mnie w chwili, gdy miałem paść martwy na ulicy, ocalcie mi je jeszcze raz, pomóżcie mi wrócić do matki.

Przy tych słowach córki gospodyni rozplakały się; drżały o Fabrycego, że zaś bardzo słabo rozumiały po francusku, zbliżyły się do łóżka z pytaniami. Rozmawiały żywo po flamandzku z matką, ale co chwila zwracały roztkliwione oczy na naszego bohatera; odgadł, że jego ucieczka może je poważnie narazić, ale że chcą podjąć to ryzyko. Podziękował im gorąco, składając ręce z rozczuleniem. Miejscowy Żydek dostarczył cywilnego ubrania, ale kiedy o dziesiątej wieczór przyniesiono je, panienki spostrzegły, porównując je z dolmanem Fabrycego, że trzeba je znacznie zwęzić. Natychmiast wzięły się do roboty, nie było czasu do stracenia. Fabrycy wskazał kilka napoleonów zaszytych w mundurze i prosił gospodynię, aby mu je zaszyły do nowego ubrania. Wraz z ubraniem przyniesiono parę butów, piękną parę nowych butów, w których na prośbę Fabrycego panienki ukryły w podszewce kilka jego diamentów.

Upływ krwi i wynikłe stąd osłabienie miały ten osobliwy skutek, że Fabrycy prawie zupełnie zapomniał po francusku; przemawiał do swoich gospodyń po włosku, one zaś mówiły narzeczem flamandzkim, tak iż porozumiewali się prawie wyłącznie na migi. Kiedy dziewczęta, zresztą zupełnie bezinteresowne, ujrzały diamenty, entuzjazm ich dla Fabrycego nie miał już granic; brały go za przebranego księcia. Aniken, młodsza i bardziej naiwna, uściskała go po prostu. Fabrycy był nimi również oczarowany; koło północy, kiedy chirurg pozwolił mu nieco wina dla wzmocnienia przed drogą, prawie że miał ochotę nie jechać. „Gdzie mogłoby mi być lepiej niż tu?” — mówił. Mimo to około drugiej po północy ubrał się. W chwili gdy miał opuścić pokój, zacna gospodyni oznajmiła mu, że konia jego zabrał oficer, który kilka godzin wprzód odprawiał w domu rewizję.

— A, ścierwo! — zaklął Fabrycy — rannemu!

Młody Włoch nie był dostatecznie filozofem, aby pamiętać, w jaki sposób on sam nabył tego konia.

Aniken opowiedziała mu, płacząc, że wynajęto dlań konia; byłaby chciała, aby nie jechał. Pożegnanie było tkliwe. Dwaj rośli młodzi ludzie, krewniacy gospodyni, podnieśli Fabrycego na siodło i przez drogę podtrzymywali go na koniu, gdy trzeci, wyprzedzając o paręset kroków mały konwój, badał, czy nie ma podejrzanego patrolu na drodze. Po dwóch godzinach zatrzymali się u krewniaczki. Mimo wzdragań Fabrycego młodzi ludzie nie chcieli go opuścić; twierdzili, że lepiej niż ktokolwiek znają przejścia w lasach.

— Ależ jutro, kiedy wyjdzie na jaw moja ucieczka, a was nie będzie w domu, nieobecność zdradzi was — powtarzał Fabrycy.

Puścili się w dalszą drogę. Szczęściem, kiedy się robił dzień, równina była pokryta gęstą mgłą. Około ósmej rano przybyli do miasteczka. Jeden z młodych ludzi zaszedł dowiedzieć się, czy nie skradziono koni pocztowych. Poczmistrz zdążył je usunąć i postarał się o haniebne szkapy, którymi zapełnił stajnię. Poszukali pary koni w bagnach, gdzie były ukryte, i w trzy godziny później Fabrycy wsiadł do małego koczycy, bardzo zniszczonego, ale zaprzężonego w dwa dobre konie pocztowe. Odzyskał nieco sił. Rozstanie z młodymi ludźmi, krewnymi gospodyni, było nad wyraz wzruszające; za żadną cenę, mimo uprzejmych pozorów, jakie temu nadawał Fabrycy, nie chcieli przyjąć pieniędzy.

— W tej chwili, drogi panie, potrzebuje ich pan więcej od nas — odpowiadali wciąż zacni chłopcy.

Wreszcie odjechali z listami, w których Fabrycy, nieco orzeźwiony ruchem, starał się wyrazić swoim gospodyniom wszystko, co czuł dla nich. Fabrycy pisał ze łzami w oczach; list pisany do Aniken z pewnością oddychał miłością.

Reszta podróży odbyła się bez szczególnych wydarzeń. Kiedy Fabrycy przybył do Amiens, cierpiał bardzo od rany w udzie; wiejski chirurg nie dał odpływu materii; jakoż mimo puszczania krwi utworzył się absces. Przez dwa tygodnie, które Fabrycy spędził w gospodzie w Amiens, dzierzawionej przez rodzinę obłąaną i chciwą, okupanci zalewali Francję. Fabrycy tyle się nadumał nad wszystkim, co świeżo przeżył, że stał się jakby innym człowiekiem. Został dzieckiem tylko na jednym punkcie: to, co widział, czy to była bitwa? i czy ta bitwa to było Waterloo? Pierwszy raz w życiu znajdował przyjemność w czytaniu, spodziewał się wciąż znaleźć w dzienniku albo w opowiadaniach z bitwy jakiś opis pozwalający mu rozpoznać miejsca, które przebył w orszaku marszałka Ney, a później innego generała. Przez czas pobytu w Amiens pisał prawie co dzień do swoich zacnych przyjaciółek z gospody „Pod Strzemieniem”. Skoro tylko wyzdrowiał, udał się do Paryża; zastał tam w swej dawnej gospodzie ze dwadzieścia listów od matki i ciotki,

które błagały go, aby najrychlej wracał. Ostatni list hrabiny Pietranera pisany był w zagadkowym tonie, który zaniepokoił go mocno; list ten rozwiął wszystkie jego tkliwe rojenia. Była to natura, której trzeba tylko słowa, aby obudzić najczarniejsze przeczucia; wyobraźnia umiała później odmalować te nieszczęścia z najokrutniejszymi szczegółami.

Strzeż się podpisywać listy, w których donosisz o sobie — pisała ciotka. Gdy będziesz wracał, nie przyjeżdżaj nad Como; zatrzymaj się w Lugano, na terytorium szwajcarskim.

Ma przybyć do tego miasta pod nazwiskiem Cavi; w najlepszej gospodzie zastanie lokaja hrabiny, który powie mu, co czynić. Ciotka kończyła tak:

Ukryj wszelkimi możliwymi środkami szaleństwo, któreś popełnił, a zwłaszcza nie chowaj przy sobie żadnego drukowanego ani pisanego świstka; w Szwajcarii będą ci deptać po piętach druhy Świętej Małgorzaty<sup>24</sup>. Jeśli będę miała dość pieniędzy — pisała hrabina — pošlę kogoś do Genewy, do hotelu „Pod Wagą”; tam dowiesz się szczegółów, których nie mogę pisać, a które trzeba ci znać, nim przyjedziesz. Ale na imię nieba, ani dnia dłużej w Paryżu: szpicle poznałoby cię.

Wyobraźnia Fabrycego zaczęła roić najdziwsze rzeczy; niezdolny był zająć się czymś innym, jak tylko odgadywaniem tajemniczych słów ciotki. Dwa razy w czasie podróży przez Francję przytrzymano go, ale umiał się wykręcić; utrapienia te ściągnął nań włoski paszport handlarza barometrów, z którym nieszczęśliwie godziła się młoda twarz i ręka na temblaku.

Wreszcie w Genewie zastał jednego z domowników hrabiny, który opowiedział, że do policji mediolańskiej zadenuncjowano Fabrycego jako człowieka, który zawiózł Napoleonowi propozycje uchwalone przez rozległe sprzysiężenie zorganizowane w byłym królestwie Włoch. „Gdyby podróż jego nie miała tego celu — mówiła denuncjacja — po co przybierałby obce nazwisko?” Matka Fabrycego będzie się starała dowieść autentycznej prawdy, a mianowicie: *primo*, że nigdy nie opuszczał Szwajcarii; *secundo*, że wyjechał z zamku niespodzianie, wskutek kłótni ze starszym bratem.

Opowieść ta przejęła Fabrycego dumą. „Ja miałem być posłem do Napoleona! — powiedział sobie — miałem zaszczyt rozmawiać z tym wielkim człowiekiem; dałby to Bóg!” Przypomniawszy sobie, że jego przodek w siódmym pokoleniu, wnuk owego, który przybył do Mediolanu ze Sforzą, dostąpił tego zaszczytu, iż był ścięty przez wrogów księcia, którzy schwycili go, kiedy jechał celem porozumienia się z wiernymi kantonami i dla zaciągu żołnierzy. Widział oczami duszy sztych z obrazem tego faktu, znajdujący się w archiwach rodzinnych. Wypytyując służącego, Fabrycy doszedł, że ów oburzony jest szczegółem, który wymknął mu się zresztą mimo woli, wbrew wyraźnym rozkazom hrabiny: to Askaniusz, starszy brat, wydał brata policji! To straszne odkrycie wtrąciło naszego bohatera w istne szaleństwo. Aby się dostać z Genewy do Włoch, trzeba jechać przez Lozannę; chciał iść natychmiast pieszo, robiąc dziesięć czy dwanaście mil, mimo że dylżans z Genewy do Lozanny odchodził za dwie godziny. Nim opuścił Genewę, wplątał się w miejscowej kawiarence w sprzeczkę z młodym człowiekiem, który — zdaniem Fabrycego — przyglądał mu się w osobliwy sposób. Była to szczerza prawda: młody genewczyk, flegmatyczny, rozsądny, myślący jedynie o pieniądzach, sądził, że Fabrycy oszalał; wchodząc, bohater nasz objął cały pokój wściekłym spojrzeniem, po czym oblał sobie spodnie kawą, którą mu podano. W zwadzie tej pierwszy odruch Fabrycego był zupełnie szesnastowieczny: zamiast wyzwąć genewczyka na pojedynek, dobył sztylet i rzucił się nań, chcąc go przebić. W tej chwili Fabrycy zapomniał wyuczonych prawideł honoru i wracał do instynktu lub — aby rzec lepiej — do wspomnień pierwszego dzieciństwa.

<sup>24</sup>w Szwajcarii będą ci deptać po piętach druhy Świętej Małgorzaty — Pan Pellico nadał tej nazwie europejski rozgłos: jest to miano ulicy w Mediolanie, gdzie znajduje się gmach policji i więzienia [Silvio Pellico (1789–1854) — wł. pisarz i poeta, karbonariusz, za działalność spiskową więziony m.in. w twierdzy Szpilberg na Morawach; autor książki *Moje więzienia*; Red.]. [przypis autorski]

Zaufany człowiek, którego zastał w Lugano, pomnożył jego wściekłość, dostarczając mu nowych szczegółów. Fabrycego w Grianta wszyscy kochali, toteż nikt nie byłby wspomniał jego imienia i — gdyby nie miły postępek jego brata — wszyscy udawaliby, że wierzą, iż jest w Mediolanie, i jego nieobecność nigdy nie byłaby ściągnęła uwagi miejscowej policji.

— Z pewnością straż graniczna ma pański rysopis — rzekł wysłannik ciotki — gdybyśmy się puścili gościńcem, przytrzymano by pana na granicy lombardzko-weneckiego królestwa.

Fabrycy i jego ludzie znali najmniejsze ścieżki w górach dzielących Lugano od jeziora Como; przebrali się za strzelców, to znaczy za przemytników, że zaś było ich trzech z minami dość chwackimi, strażnicy, których spotkali, skłonili się im grzecznie. Fabrycy wymierzył tak, aby przybyć do zamku około północy; o tej godzinie ojciec i upudrowani lokaje spali od dawna. Zeszedł bez trudu do głębokiej fosy i dostał się do zamku przez okienko od piwnicy; tam czekały nań matka i ciotka; nadbiegły i siostry. Wybuch czułości i łez trwał długo; kiedy zaczęto wreszcie mówić rozsądnie, pierwszy brzask ostrzegł te istoty, uważające się za nieszczęśliwe, że czas ucieka.

— Mam nadzieję, że brat nie domyślił się twego przybycia — rzekła pani Pietranera. — Nie odzywałam się do niego od jego pięknego postępku i uczynił mi tyle zaszczytu, że był tym mocno dotknięty. Dziś wieczór przy wieczerzy raczyłam doń przemówić: trzeba mi było pozoru, aby ukryć szaloną radość, która mogła w nim obudzić podejrzenia. Następnie, skorom ujrzała, że jest dumny z tego mniemanego pojednania, skorzystałam z jego radości, aby w niego lać wino bez miary, i z pewnością nie powstało mu w myśli zacząć się, aby dalej prowadzić swoje szpiegowskie rzemiosło.

— Trzeba ukryć naszego huzara w twoich pokojach — rzekła margrabina — nie może jechać zaraz: w tej chwili nie dosyć panujemy nad naszym rozsądkiem, a chodzi o obmyślenie sposobu, aby oszukać straszną policję mediolańską.

Wprowadzono tę myśl w czyn; ale margrabia i jego syn zauważyli już następnego dnia, iż margrabina wciąż siedzi w pokoju szwagierki. Nie będziemy tracili czasu na kreślenie tkliwości i wesela, które tego dnia poruszały serca szczęśliwych istot. Włoskie serca podlegają o wiele więcej od nas podejrzeniom i szalonym myślom, które im podsuwa płomienna wyobraźnia; ale w zamian radości ich są silniejsze i trwalsze. Tego dnia hrabina i margrabina były jak oszalałe; Fabrycy musiał wciąż powtarzać swoje opowiadania; wreszcie postanowiono ukryć wspólną radość w Mediolanie, tak trudno było umknąć na dłużej czujności margrabięgo i jego syna.

Wzięto pałacową łódkę, aby się udać do Como: postąpić inaczej — znaczyłyby obudzić podejrzenia. Ale przybywszy do portu Como, margrabina przypomniała sobie, że zostawiła w Grianta ważne papiery; posłała po nie przewoźników, którzy w ten sposób nie mogli mieć pojęcia o tym, jak obie panie spędziły czas w Como. Zaraz po przybyciu wynajęły powóz czekający na gości opodal owej średniowiecznej wieży, która wznosi się nad bramą. Ruszono, zanim woźnica miał czas z kimkolwiek się porozumieć. Ćwierć mili za miastem zjawiał się młody myśliwy, znajomy pan, który przez grzeczność — ile że nie miały z sobą żadnego mężczyzny — ofiarował się służyć im za kawalera aż do bram Mediolanu, dokąd wędrował, polując po drodze. Wszystko było dobrze, panie najweselej w świecie gawędziły z młodym wędrowcem, kiedy na zakręcie drogi, okalającej urocze wzgórze i lasek San Giovanni, trzech przebrani żandarmi obskoczyli powóz, chwytając konie za cugle.

— Och! mąż zdradził nas! — krzyknęła margrabina i zemdląła.

Wachmistrz, który został nieco w tyle, zbliżył się chwiejnym krokiem i rzekł głosem mocno trącącym szynkownią:

— Wielce mi jest przykra ta misja, której mam dopełnić, ale aresztuję pana, generale Fabio Conti.

Fabrycy sądził, że tytuł *generala* jest niemądrym żarcikiem wachmistrza. „Zapłacisz mi za to” — rzekł sobie. Spoglądał na przebranych żandarmów i czekał sposobnej chwili, aby wyskoczyć i uciec przez pola.

Hrabina uśmiechnęła się na wszelki wypadek, po czym rzekła:

— Ależ, drogi panie sierżancie, tego szesnastoletniego chłopczynę bierze pan za generała Conti?

— Czy pani nie jest córką generała? — odparł wachmistrz.

— Przypatrzcie się, panowie: oto mój ojciec — rzekła hrabina, pokazując Fabrycego. Żandarmi zaczęli się śmiać jak szaleni.

— Proszę pokazać paszporty, bez rozumowań — rzekł wachmistrz, podrażniony powszechną wesołością.

— Te panie nigdy nie biorą paszportów jadąc do Mediolanu — rzekł woźnica chłodnym i filozoficznym tonem — jadą ze swego zamku w Grianta. Ta pani to hrabina Pietranera, a to margrabina del Dongo.

Wachmistrz, zbity z tropu, oddalił się o kilka kroków, aby się naradzić ze swymi ludźmi. Narada trwała dobrych kilka minut, kiedy hrabina Pietranera poprosiła, aby powóz mógł zjechać o kilka kroków w cień — upał był morderczy, mimo że była dopiero jedenasta rano. Fabrycy, który rozglądał się uważnie na wszystkie strony szukając sposobu ucieczki, ujrzał, jak wynurzywszy się ze ścieżki w polach zbliża się do gościńca pełnego kurzu dziewczyna czternasto- lub piętnastoletnia, popłakując lękliwie i ocierając oczy chusteczką. Szła między dwoma żandarmami w mundurach, a o trzy kroki za nią, również w otoczeniu żandarmów, szedł wysoki, chudy mężczyzna, siłący się na powagę niby prefekt na procesji.

— Gdzieżście ich znaleźli? — rzekł wachmistrz, już zupełnie pijany w tej chwili.

— Uciekali przez pola, bez śladziku paszportów.

Wachmistrz stracił zupełnie głowę; miał pięciu jeńców zamiast dwóch, których mu było trzeba. Oddalił się o kilka kroków, zostawiając tylko jednego człowieka dla strzeżenia więźnia przybierającego majestatyczne tony, a drugiego, aby nie pozwolił koniom ruszyć z miejsca.

— Zostań — rzekła hrabina do Fabrycego, który już zeskoczył na ziemię, wszystko się ułoży.

Jeden z żandarmów wykrzykiwał:

— Mniejsza z tym! Jeżeli nie mają paszportów, to także dobra zdobycz.

Wachmistrz nie wydawał się równie zdecydowany; nazwisko hrabiny Pietranera zaniepokoiło go; znał nieboszczyka generała, o którego śmierci nie wiedział. „Generał nie jest człowiekiem, który by puścił płazem uwięzienie żony” — myślał.

W czasie tych rokowań, które przeciągnęły się nad miarę, hrabina wdała się w rozmowę z młodą dziewczyną, stojącą w kurzu obok powozu — uderzyła ją jej uroda.

— Głowa panią rozboli od tego słońca. Ten dzielny żołnierz — rzekła wskazując na żandarma przy koniach — pozwoli pani wsiąść.

Fabrycy, który kręcił się koło kolaski, zbliżał się, aby pomóc młodej panience. Ta już stawała na stopniu, podtrzymywana przez Fabrycego, kiedy imponujący jegomość, stojący o sześć kroków za powozem, wykrzyknął głosem siłącym się na wyraz godności:

— Zostań na gościńcu, nie siadaj do cudzego powozu!

Fabrycy nie słyszał tego rozkazu; panna, zamiast siadać do kolaski, chciała wysiąść; podparta ramieniem Fabrycego wpadła w jego objęcia. On się uśmiechnął, ona zaczerwieniła się mocno. Kiedy się oswobodziła z jego rąk, stali jakiś czas, przyglądając się sobie.

„To byłaby urocza towarzyszka więzienia — rzekł sobie Fabrycy — co za szlachetne i myślące czoło! Ona umiałaby kochać!”

Wachmistrz zbliżył się z powagą w obliczu.

— Która z tych pań nazywa się Klelia Conti?

— Ja — odparła panna.

— A ja — wykrzyknął stary jegomość — jestem generał Fabio Conti, szambelan Jego Wysokości najdostojniejszego księcia Parmy, i uważam za bardzo niewłaściwe, aby człowieka mego stanowiska ścigano jak złodzieja.

— Przedwczoraj siadłszy na statek w porcie Como przepędził pan inspektora policji, który pana pytał o paszport? Dziś on nawzajem pozwolił sobie pana trochę przepędzić.

— Łódź już odbiła od brzegu, śpieszyło mi się, nadciągała burza; cywil jakiś krzyknął z brzegu, abym wracał; powiedziałem mu swoje nazwisko i jechałem dalej.

— A dziś uciekł pan z Como.

— Taki człowiek jak ja nie bierze paszportu, aby jechać z Mediolanu spacerem nad jezioro. Dziś rano w Como powiedziano mi, że mają mnie aresztować; wyszedłem pieszo z córką, miałem nadzieję spotkać jakiś wehikuł, który by mnie zawiózł do Mediolanu, gdzie pierwszym moim krokiem będzie poskarżyć się u gubernatora.

Wachmistrzowi spadł ciężar z serca.

— A więc, generale, jesteś pan więźniem i zaprowadzę pana do Mediolanu. A pan kto jesteś? — zwrócił się do Fabrycego.

— Mój syn — odparła hrabina — Askaniusz, syn generała dywizji Pietranera.

— Bez paszportu, pani hrabino? — rzekł wachmistrz łagodnie.

— W jego wieku! Nigdy jeszcze nie miał paszportu, nie podróżuje nigdy sam, zawsze jest ze mną.

Podczas tej rozmowy generał Conti przybierał wobec żandarmów minę coraz to bardziej obrażonej godności.

— Za dużo słów — rzekł jeden z żandarmów — jest pan aresztowany, i basta.

— Powinien pan być zadowolony — rzekł wachmistrz — jeżeli się zgodzimy, abys najął chłopskiego konia; inaczej mimo kurzu i gorąca, i mimo rangi szambelana, pójdiesz pan ślicznie piechotą między końmi.

Generał zaczął kląć.

— Zamkniesz ty gębę! — dorzucił żandarm. — Gdzie twój generalski mundur? Czy pierwszy lepszy nie może powiedzieć, że jest generałem?

Generał pogniwał się na dobre. Przez ten czas w kolasce układały się rzeczy o wiele lepiej.

Hrabina komenderowała żandarmami, jak gdyby to byli jej ludzie. Dała talara jednemu, aby poszedł po wino, a zwłaszcza po świeżą wodę do kantyny, którą widać było o dwieście kroków. Zdołała uspokoić Fabrycego, który koniecznie chciał umyć do lasu porastającego wzgórze. „Mam dobre pistolety” — mówił. Uzyskała od obrażonego generała to, że pozwolił córce wsiąść do powozu. Przy tej sposobności generał, który lubił mówić o sobie i swej rodzinie, powiadomił panie, że córka jego ma dopiero dwanaście lat, jako że urodziła się w roku 1803, 27 października; ale wszyscy dają jej czternaście albo piętnaście, taka jest inteligentna.

„Człowiek na wskroś pospolity” — mówiły oczy hrabiny do margrabinie. Dzięki hrabinie wszystko ułożyło się po godzinnej rozmowie. Jeden z żandarmów, który — jak się okazało — miał interes w sąsiedniej wiosce, wynajął swego konia generałowi Conti dzięki temu słoweczku hrabiny: „Dostaniesz dziesięć franków.” Wachmistrz pojechał z generałem; reszta żandarmów została pod drzewami w towarzystwie czterech olbrzymich gąsiorów wina, które posłany do gospody żandarm przyniósł z pomocą wieśniaka. Klelia otrzymała od godnego szambelana pozwolenie odbycia drogi do Mediolanu w powozie pań, nikomu zaś nie pozostało w głowie niepokoić syna dzielnego generała Pietranera. Po pierwszej wymianie uprzejmości oraz omówieniu tego szczęśliwego zakończenia wypadku w podróży Klelia zauważyła odcień uwielbienia, z jakim ta piękna hrabina zwraca się do Fabrycego — z pewnością nie jest jego matką! Uwagę panienki zwróciły zwłaszcza częste aluzje do czegoś heroicznego, śmiałego, nad wyraz niebezpiecznego, czego dokonał niedawno; ale mimo całej inteligencji młoda Klelia nie mogła zgadnąć, o co chodzi.

Patrzała ze zdziwieniem na młodego bohatera, którego oczy jak gdyby oddychały jeszcze ogniem świeżego czynu. Co się tyczy Fabrycego, był nieco oszołomiony pięknnością dwunastoletniej dziewczyny, a spojrzenia jego przyprawiały ją o rumieniec.

Na miłą przed Mediolanem Fabrycy oznajmił, że musi odwiedzić wuja, i pożegnał się z paniami.

— Jeśli wypłaczę się z tej sprawy — rzekł do Klelii — przyjadę do Parmy obejrzeć piękne olejne obrazy; czy wówczas raczy pani zapamiętać moje nazwisko: Fabrycy del Dongo?

— Ślicznie — powiedziała hrabina — więc tak zachowujesz swoje incognito? A panienkę prosimy, aby zechciała zapamiętać, że ten nicdobrego jest moim synem i nazywa się Pietranera, a nie del Dongo.

Późno wieczorem Fabrycy wśliznął się do Mediolanu bramą Renza, która wiedzie do modnego miejsca przechadzki. Wysłanie dwóch domowników do Szwajcarii wyczerpa-



ło drobne oszczędności margrabiny i jej siostry; szczęściem Fabrycy miał jeszcze parę napoleonów i jeden diament, który postanowiono sprzedać.

Obie panie znały całe miasto i były bardzo kochane; najznacniejsze figury austriackiego i klerykalnego stronnictwa wstawiły się za Fabrycym do barona Bindera, naczelnika policji.

— To niepojęte — mówiły — jak można brać serio wybryk szesnastoletniego dziecka, który się pokłócił z bratem i uciekł z domu.

— Moim rzemiosłem jest wszystko brać serio — odpowiedział łagodnie baron Binder, człowiek rozumny i smutny; stwarzał wówczas słynną policję mediolańską i postanowił uniemożliwić rewolucję, taką jak owa w 1740 roku<sup>25</sup>, która wypędziła Austriaków z Genui. Ta policja mediolańska, tak wslawiona później przygodami panów Pellico<sup>26</sup> i Andryane<sup>27</sup>, nie była właściwie okrutna; wykonywała tylko racjonalnie i bez litości surowe prawa. Cesarz Franciszek II chciał przejąć grozą zuchwałe włoskie wyobraźnię.

— Dajcie mi, panowie, dzień po dniu — odpowiadał baron Binder protektorom Fabrycego — *udowodnioną* relację wszystkiego, co robił marchesino del Dongo od chwili, gdy opuścił Grianta 8 marca, aż do swego wczorajszego przybycia do tego miasta, gdzie znajduje się ukryty u matki, a jestem gotów uważać go za najmilszego urwisa pod słońcem. Ale jeśli nie możecie mi przedstawić marszruty tego młodego człowieka przez cały czas, który upłynął od jego wyjazdu z Grianta, wówczas mimo jego znakomitego urodzenia i mimo szacunku, jaki mam dla przyjaciół jego domu, czyż nie jest moim obowiązkiem aresztować go? Czyż nie powinienem trzymać go w więzieniu, póki mi nie udowodni, że nie jeździł do Napoleona z poselstwem od garstki malkontentów, jacy się mogą znaleźć w Lombardii wśród poddanych Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości? Zważcie jeszcze, panowie, że jeśli młody del Dongo zdoła się usprawiedliwić na tym punkcie, zostanie jeszcze winny, że przekroczył granicę bez legalnego paszportu, co więcej, pod fałszywym nazwiskiem, świadomie korzystając z paszportu prostego robotnika, osobnika klasy o tyle niższej!

Oświadczeniu temu bezlitośnie rozsądnemu towarzyszyły wszystkie oznaki szacunku i czci, jakie naczelnik policji winien był pozycji margrabiny del Dongo oraz osób, które się za nią wstawiały.

Margrabina wpadła w rozpacz, dowiedziawszy się, jaka była odpowiedź barona Bindera.

— Uwięź Fabrycego! — wykrzyknęła z płaczem — a skoro raz znajdzie się w więzieniu, Bóg wie, kiedy się wydostanie. Ojciec się go wyprze!

Pani Pietranera i jej bratowa odbyły naradę z bliskimi przyjaciółmi; mimo wszelkich przedłożeń margrabina nastawała, aby jej syn wyjechał najbliższej nocy.

— Widzisz przecież — mówiła hrabina — że Binder wie, iż syn twój jest tutaj; to nie musi być zły człowiek.

— Nie, ale chce się przypodobać cesarzowi Franciszkowi.

— Ależ gdyby uważał, że dla jego kariery korzystne jest wtrącić Fabrycego do więzienia, już by chłopiec tam był; uciekać znaczy okazywać mu obrażającą nieufność.

— Ależ dać nam do zrozumienia, że wie, gdzie jest Fabrycy, znaczy powiedzieć: „Niechże ucieka!” Nie, nie odetchnę póty, póki będę musiała sobie powtarzać: „Za kwadrans syn mój znajdzie się może za kratą!” Jakiegokolwiek byłyby ambicje Bindera, uważa on za pożyteczne dla swej osobistej pozycji w tym kraju okazywać względami człowiekowi takiemu jak mój mąż; a dowodem tego dziwna otwartość, z jaką wyznaje, że wie, gdzie szukać mego syna. Co więcej baron wyszczególnia wręcz dwa punkty, o które Fabrycy jest oskarżony w myśl denuncjacji jego niecnego brata; wyjaśnia, że oba te przestępstwa pociągają za sobą więzienie; czyż to nie znaczy powiedzieć nam, że jeśli wolimy wygnanie, mamy wolny wybór?

<sup>25</sup>postanowił uniemożliwić rewolucję, taką jak owa w 1740 roku — mowa tu o powstaniu ludowym w Genui w 1746 r. [które zmusiło Austriaków do opuszczenia zajętego przez nich miasta (wojna o sukcesję austriacką); Red.]. [przypis redakcyjny]

<sup>26</sup>Silvio Pellico (1789–1854) — wł. pisarz i poeta, karbonariusz, za działalność spiskową więziony m.in. w twierdzy Szpilberg na Morawach; autor książki *Moje więzienia*. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>Alexandre Andryane (1797–1863) — fr. karbonariusz, za swą działalność więziony w Szpilbergu, autor *Pa-miętników więzienia stanu*. [przypis redakcyjny]

— Jeśli wybierzesz wygnanie — powtarzała hrabina — już go nie ujrzymy.

Fabrycy, obecny przy tej rozmowie wraz z jednym z dawnych przyjaciół margrabiny, obecnie rajcą przy trybunale stworzonym przez Austrię, podzielał zdanie, że trzeba dać nura; jakoż tego samego dnia opuścił pałac, ukryty w powozie, który wioził do teatru „La Scala” matkę i ciotkę. Woźnica, osobnik podejrzany, wstąpił jak zwykle do szynku; gdy lokaj, człowiek pewny, pilnował koni, Fabrycy, przebrany za wieśniaka, wysliznął się z karety i opuścił miasto. Nazajutrz równie szczęśliwie przebył granicę, a w kilka godzin później był w majątku matki w Piemontcie, blisko Nowary, właśnie w owym Romagnano, gdzie poległ Bayard<sup>28</sup>.

Można sobie wyobrazić, z jaką uwagą obie panie, znalazłszy się w łoży w „La Scala”, słuchały przedstawienia. Udały się tam jedynie po to, aby się naradzić z paroma przyjaciółmi należącymi do stronnictwa liberalnego, których pojawienie się w pałacu del Don-go mogłoby się wydać policji podejrzane. W łoży postanowiono jeszcze raz uderzyć do barona Bindera. Nie mogło być mowy o przekupieniu tego nieskazitelnego urzędnika; zresztą obie panie były bardzo biedne; zmusiły Fabrycego, aby zabrał wszystko, co zostało ze sprzedaży diamentu.

Bardzo ważne wszelako było uzyskać od barona ostatnie słowo. Przyjaciele hrabiny przypomnieli jej niejakiego kanonika Borda, bardzo gładkiego młodego człowieka, który niegdyś próbował się do niej zalecać, i to w dość niesmaczny sposób; nie mogąc nic wskórać, zadenuncjował przed generałem Pietranera jej stosunek z Limercatim, za co wypędzono go jak łajdaka. Obecnie kanonik ów grywał co wieczór w laroka z baronową Binder i oczywiście był serdecznym przyjacielem męża. Hrabina zdobyła się na straszliwie przykry krok: postanowiła iść do tego kanonika. Wcześniej rano, nim wyszedł z domu, kazała się oznajmić.

Kiedy jedyny służący wymówił nazwisko hrabiny Pietranera, człowiek ten wzruszył się tak, że niemal stracił głos; nie pomyślał nawet o tym, aby poprawić nieco swój negliz.

— Wprowadź i odejdz — rzekł zdławionym głosem.

Hrabina weszła; Borda rzucił się na kolana.

— W tej pozycji nieszczęsny szaleniec winien przyjąć pani rozkazy — rzekł do hrabiny, która tego rana, w swym skromnym, nie rzucającym się w oczy stroju, była nieodparcie urocza. Troska o losy Fabrycego, gwałt, jaki sobie zadała, aby przyjść do człowieka, który tak haniebnie z nią postąpił, wszystko to dawało jej spojrzeniu niewysłowny blask.

— W tej pozycji pragnę przyjąć pani rozkazy! — wykrzyknął kanonik, jasne bowiem jest, że pani żąda ode mnie jakiejś usługi, inaczej nie zaszczyliłabyś swą obecnością domu nieszczęśliwego szaleńca: niegdyś, oszołomiony miłością i zazdrością, zachował się wobec pani jak nikczemnik, skoro poznał, że nie może marzyć o twej miłości.

Słowa te były szczerze i tym piękniejsze, iż kanonik zażywał obecnie wielkiego wpływu. Hrabinę wzruszyły one do łez; upokorzenie, lęk, które mroziły jej duszę, ustąpiły w jednej chwili roztkliwieniu i nadziei. Z osoby ciężko strapionej stała się w mgnieniu oka nieomal szczęśliwą.

— Pocałuj mnie w rękę — rzekła do kanonika, podając mu ją — i wstań! (Trzeba wiedzieć, że we Włoszech tykanie oznacza szczerą przyjaźń równie dobrze jak tkliwsze uczucie.) Przychodzę prosić cię o łaskę dla mego bratanka Fabrycego. Oto zupełna prawda, bez najmniejszego fałszu, tak jak się mówi staremu przyjacielowi. Niespełna siedemnastoletni chłopak popełnił szaleństwo. Byliśmy w Grianta, nad jeziorem Como. Pewnego wieczora statek z Como przyniósł nam wiadomość o wylądowaniu cesarza w zatoce Juan. Nazajutrz Fabrycy puścił się do Francji, wzięwszy paszport od jednego z oddanych mu prostaczków, handlarza barometrów, niejakiego Vasi. Ponieważ nie bardzo wyglądał na handlarza barometrów, przeto — skoro tylko znalazł się we Francji — uwięziono go; jego wybuchy entuzjazmu w lichej francuszczyźnie wydały się podejrzane. Po jakimś czasie umknął i zdołał się dostać do Genewy; posłaliśmy na jego spotkanie do Lugano...

— To znaczy do Genewy — rzekł kanonik z uśmiechem.

Hrabina dokończyła historii.

<sup>28</sup>*Pierre du Terrail de Bayard* — legendarny rycerz fr., zginął podczas wyprawy Franciszka I na Mediolan (1524). [przypis redakcyjny]

— Zrobię wszystko, co jest w mocy ludzkiej — rzekł kanonik z zapalem — oddaję się na pani rozkazy. Gotów jestem posunąć się do szaleństwa. Niech pani powie, co mam uczynić z chwilą, gdy z tego ubogiego salonu zniknie niebiańskie zjawisko, które stanowi epokę w moim życiu.

— Trzeba iść do Bindera, powiedzieć mu, że pan kocha Fabrycego od dzieciństwa, żeś patrzył na urodzenie tego chłopca, wówczas gdyś był u nas; wreszcie, że w imię przyjaciela błagasz barona, by użył wszystkich szpiegów na sprawdzenie, czy przed wyjazdem do Szwajcarii Fabrycy miał najmniejszą styczność z którymś z będących pod jego obserwacją liberałów. O ile baron ma policję dobrze zorganizowaną, przekona się, że chodzi tu jedynie o szaleństwo młodości. Pamiętaj pan, że były w moim mieszkaniu, w pałacu Dugnani, sztychy przedstawiające zwycięskie bitwy Napoleona; sylabizując podpisy tych rycin, Fabrycy nauczył się czytać. Pięcioletniemu dziecku biedny mój mąż opowiadał o tych bitwach; kładliśmy mu na głowę kask męża, dzieciak włócił po posadzce jego szablę. I oto pewnego pięknego dnia dowiaduje się, że bóstwo mego męża, cesarz, wrócił do Francji; pędzi jak szaleniec, aby mu towarzyszyć, ale mu się to nie udaje. Spytaj pan barona, jaką karą chce skarać tę chwilę obłędu.

— Zapomniałem o jednym! — wykrzyknął kanonik — przekona się pani, że nie jestem tak całkiem niegodny przebaczenia, którego mi pani użycza. Oto — rzekł szukając między papierami — doniesienie tego bezecnego *col forto* (hipokryty), patrz, pani, podpisane: „Ascanio Valserra del Dongo”, które stało się punktem wyjścia tej całej sprawy. Wziąłem je wczoraj wieczór z policji i poszedłem do „La Scala” w nadziei znalezienia tam kogoś, kto bywa w pani łoży i przez kogo mógłbym panią powiadomić o tym dokumencie. Odpis znajduje się od dawna w Wiedniu. Oto wróg, którego trzeba nam zwalczać.

Kanonik przeczytał z hrabiną denuncjację; ułożono, że w ciągu dnia dostarczy przez pewną osobę odpisu. Z radością w sercu wróciła hrabina do pałacu del Dongo.

— Niepodobna okazać więcej delikatności niż ten eks-lajdak — rzekła do margrabiny. — Dziś wieczór w „La Scala” trzy kwadranse na jedenastą wyprawimy wszystkich z łoży, zgasimy świece, zamkniemy drzwi, a o jedenastej kanonik przyjdzie nam zdać sprawę z tego, co zdołał uczynić. To najmniej dla niego kompromitujący sposób.

Ów kanonik był to sprytny człowiek; nie omieszkał się stawić — okazał się nieskończenie dobry i bezgranicznie wylany, jak bywają ludzie jedynie w krajach, gdzie próżność nie tłumi wszystkich uczuć. Zadenuncjowanie hrabiny Pietranera przed mężem było ciągłym wyrzutem jego życia — i oto znajdował sposób odkupienia.

— Teraz znów romansuje ze swoim bratankiem! — wykrzyknął, skoro hrabina wyszła od niego rano; nie był bowiem jeszcze wyleczony. — Ta dumna kobieta przyszła do mnie!... Po śmierci biednego Pietranera odepchnęła z oburzeniem moje usługi, mimo że bardzo dwornie przedłożone przez pułkownika Scotti, jej dawnego kochanka. Piękna Pietranera mająca tysiąc pięćset franków na życie! — dodał, przechadzając się żywo po pokoju. — Potem osiada w zamku Grianta z ohydny *seccatore*<sup>29</sup>, z margrabią del Dongo!... Wszystko się tłumaczy! W istocie, ten młody Fabrycy jest pełen wdzięku, rośły, zgrabny, zawsze uśmiechnięty, i co więcej, ze spojrzeniem brzemienym jakąś słodką rozkoszą... fizjonomia z Correggia — dodał kanonik z goryczą.

— Różnica wieku... niezbyt duża... Fabrycy urodził się po wejściu Francuzów, około 98 roku, o ile mi się zdaje; hrabina może mieć lat dwadzieścia siedem czy osiem; niepodobna wyobrazić sobie czegoś bardziej uroczego. W tym kraju, tak bogatym w piękności, ona bije wszystkie: Marini, Gherardi, Ruga, Aresi, Pietragrua — wszystkie gasną przy niej. Żyli szczęśliwie w ukryciu nad tym pięknym jeziorem Como, kiedy młodemu wpadło do głowy lecieć do Napoleona... Są jeszcze dusze we Włoszech! Droga ojczyzna! Nie — ciągnęło dalej to serce rozplomienione zazdrością — niepodobna sobie inaczej wytłumaczyć tej rezygnacji, tej wegetacji na wsi, z przykrością oglądania co dzień, przy każdym posiłku, ohydnej twarzy margrabięgo del Dongo wraz z tą bezecną wyblakłą facjatą marchesino Ascanio, który będzie jeszcze gorszy od ojca!... Dobrze więc; będę jej służył szczerze. Przynajmniej będę miał przyjemność widywania jej inaczej niż przez szkło lornetki.

<sup>29</sup>*seccatore* (wł.) — człowiek natarczywy, nachalny. [przypis redakcyjny]

Kanonik Borda przedstawił paniom całą sprawę bardzo jasno. W gruncie rzeczy Binder usposobiony jest jak najlepiej; bardzo jest rad, że Fabrycy się ulotnił, zanim z Wiednia zdążyły przyjść rozkazy; baron bowiem nie mógł rozstrzygać o niczym; w tej jak i w innych sprawach czeka rozkazów i posyła co dzień do Wiednia dokładną kopię wszystkich informacji; po czym czeka. Trzeba, aby na swym wygnaniu w Romagnano Fabrycy:

*Primo:* Nie zaniedbał co dzień być na mszy, wziął sobie za spowiednika sprytnego człowieka oddanego monarchii i wyznał mu przy konfesjonale, że uczucia jego są nienaganne.

*Secundo:* Nie powinien się zadawać z żadnym człowiekiem uchodzącym za otwartą głowę; przy sposobności powinien mówić ze zgrozą o wszelkim buncie jako o rzeczy w żadnym razie niedozwolonej.

*Tertio:* Nie powinien zachodzić do kawiarni; nie powinien czytać dzienników prócz urzędowej gazety turyńskiej i mediolańskiej; w ogóle okazywać wstręt do książek, nie czytać zwłaszcza żadnego dzieła drukowanego po roku 1720, wyjąwszy co najwyżej romansów Waltera Scotta.

*Quarto:* Wreszcie — dodał kanonik z odrobiną złośliwości — trzeba zwłaszcza, aby się jawnie umizgał do jakiej pięknej pani w okolicy, oczywiście szlachcianki; to będzie znak, że nie jest ponurym i niezadowolonym z życia materiałem na spiskowca.

Przed spoczynkiem hrabina i margrabina napisały do Fabrycego długie listy, w których tłumaczyły mu z uroczym zakłopotaniem radę kanonika Borda.

Fabrycy nie miał żadnej ochoty spiskować; kochał Napoleona i — jako urodzony szlachcic — uważał, że mu się należy od życia więcej niż innym; mieszczenie wydawali mu się śmieszni. Nigdy nie otworzył książki od czasu kolegium, gdzie czytywał jedynie dzieła przyrządzone przez jezuitów. Osiadł w pewnej odległości od Romagnano, we wspólnym pałacu, jednym z arcydzieł sławnego architekta Sanmicheli, ale od trzydziestu lat nikt tam nie mieszkał, tak że deszcz padał do wszystkich pokojów i ani jedno okno się nie zamykało. Zagarnął konie plenipotenta i ujeżdżał na nich bez ceremonii cały dzień; nie odzywał się do nikogo — dumał. Rada znalezienia sobie kochanki w jakiejś dobrze myślącej rodzinie spodobała mu się; wykonał ją dosłownie. Wybrał sobie na spowiednika młodego intryganta, który chciał zostać biskupem (jak spowiednik ze Szpilbergu)<sup>30</sup>; ale robił trzy mile pieszo, spowijając się tajemnicą, jak mniemał, nieprzeniknioną, aby czytać „*Constitutionner*”<sup>31</sup>, który wydał mu się wzniosły: „To jest tak piękne jak Alfieri i Dante!” — wykrzykiwał często. Fabrycy miał tę wspólność z młodzieżą francuską, iż o wiele poważniej zajmował się swoim wierzchowcem i swoim dziennikiem niż swoją dobrze myślącą kochanką. Ale w tej szczerzej i tęgiej duszy nie było jeszcze miejsca na *naśladowanie drugich*, toteż nie zyskał sobie przyjaciół w miejscowym towarzystwie. Prostotę jego wzięto za dumę; nie umiano określić jego charakteru. „To młodszy syn, markotny, że nie jest starszym” — powiedział proboszcz.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wyznamy szczerze, że zazdrość kanonika Borda nie była bez podstaw. Skoro Fabrycy wrócił z Francji, ukazał się oczom hrabiny Pietranera niby piękny cudzoziemiec, którego dobrze znała niegdyś. Gdyby się jej oświadczył, pokochałaby go; czyż nie żywiła już dla jego postępków i osoby namiętnego, można rzec bezgranicznego uwielbienia? Ale Fabrycy całował ją z takim wylewem niewinnej wdzięczności i serdecznej przyjaźni, że brzydziłaby się sobą, gdyby szukała innego uczucia w tym niemal synowskim przywiązaniu. „Ba — mówiła sobie hrabina — paru przyjaciół, którzy mnie znali przed sześciu laty na dworze księcia Eugeniusza, może mnie jeszcze uważać za ładną, nawet młodą, ale dla niego jestem kobietą czcigodną... i jeżeli mam rzec bez ogródek, nie oszczędzając mojej miłości własnej, kobietą starszą.” Hrabina ludziła się co do okresu, w który weszła, ale ludziła się nie na sposób pospolitych kobiet. „W jego wieku zresztą — dodawała — przesadza się nieco uszczerbki czasu; jedynie człowiek bardziej doświadczony...”

<sup>30</sup>Wybrał sobie na spowiednika młodego intryganta, który chciał zostać biskupem (jak spowiednik ze Szpilbergu) — por. ciekawe *Pamiętniki* pana Andryanę'a, zajmujące jak opowieść, a które pozostaną jak Tacyt. [przypis autorski]

<sup>31</sup>„*Constitutionner*” — francuski dziennik liberalno-burżuazyjny ukazujący się od 1815 r. [przypis redakcyjny]

Tak dumając przechadzała się po salonie; zatrzymała się przed lustrem i uśmiechnęła się. Trzeba wiedzieć, że od kilku miesięcy serce pani Pietranera było poważnie atakowane, i to przez niezwykłą osobistość. Niedługo po wyjeździe Fabrycego do Francji hrabina, która — jasno sobie tego nie uświadamiając — zaczynała się nim mocno zajmować, popadła w głęboką melancholię. Wszystkie zajęcia wydawały się jej nudne i, jeśli można tak rzec, bez smaku; powiadała sobie, że Napoleon, chcąc pozyskać sobie Włochów, zrobił Fabrycego swoim adiutantem. „Stracony jest dla mnie! — wykrzyknęła płacząc — nie ujrzę go już! Będzie pisywał do mnie, ale czymże ja będę dla niego za dziesięć lat?”

W tym stanie ducha hrabina wybrała się do Mediolanu; spodziewała się zdobyć bliższe wiadomości o Napoleonie i — kto wie — pośrednio może nowiny o Fabrycym. Nie przyznając się do tego przed sobą, ta gorąca dusza zaczynała się czuć bardzo zmęczona jednostajnym życiem na wsi. „To obrona przed śmiercią — mówiła sobie — to nie życie. Co dzień oglądać te pudrowane gęby brata, bratanka, ich lokajów! Czym są przejażdżki po jeziorze bez Fabrycego?” Jedyną pociechę czerpała z przyjaźni margrabiny, ale od jakiegoś czasu ta zażyłość z matką Fabrycego, starszą od niej i odległą od życia, zaczynała mieć dla niej mniej uroku.

W takim szczególnym położeniu znajdowała się hrabina Pietranera; z odjazdem Fabrycego niewiele spodziewała się od przyszłości; serce jej potrzebowało pociechy i rozrywki. Przybywszy do Mediolanu zapaliła się po modnej opery, zamykała się sama na długie godziny w „La Scala”, w łoży generała Scotti, swego dawnego przyjaciela. Ludzie, których starała się widywać, aby się dowiedzieć czegoś o Napoleonie i jego armii, wydawali się jej pospolici i gminni. Wróciwszy do domu improwizowała na klawikordzie do rana. Jednego wieczora w „La Scala”, w łoży jednej z przyjaciółek, dokąd udała się po nowiny z Francji, przedstawiono jej hrabiego Mosca, ministra Parmy; był to sympatyczny człowiek, który mówił o Francji i o Napoleonie w sposób zdolny obudzić w jej sercu nowe przyczyny nadziei lub lęku. Znów zaszła do łoży nazajutrz; zajmujący ten człowiek zjawił się również; całą operę przegadala z nim z przyjemnością. Od wyjazdu Fabrycego nie spędziła tak miłego wieczoru. Człowiek ten, który ją umiał rozerwać, hrabia Mosca della Rovere Sorezana, był wówczas ministrem wojny, polityki i finansów słynnego księcia Parmy, Ernesta IV, tak głośnego swą surowością, którą liberałowie mediolańscy nazywali okrucieństwem. Mosca mógł mieć do czterdziestu pięciu lat; miał wydatne rysy, ani śladu nadętości, proste i wesołe obejście, które jednało mu sympatię; byłby jeszcze bardzo przystojny, gdyby dziwactwo księcia nie zmuszało go do pudrowania włosów — rękojmia chwalebnych zasad politycznych. Nie obawiając się zbyt urazić próżności, ludzie we Włoszech łatwo dochodzą do zażyłego tonu i do rozmowy o rzeczach osobistych. Poprawką tego zwyczaju jest to, że o ile się drasnęli, przestają się widywać.

— Czemu, hrabio, pudrujesz włosy — spytała hrabina za trzecim widzeniem. — Puder! Człowiek taki jak pan, jeszcze młody, który z nami wojował w Hiszpanii!

— To dlatego, że nic nie ukradłem w owej Hiszpanii, a trzeba żyć. Byłem oszalały sławą; pochlebne słówko generała Gouvion-Saint-Cyr, który nami dowodził i był wówczas dla mnie wszystkim. Z upadkiem Napoleona okazało się, iż podczas gdy zjadałem swój majątek w służbie, ojciec mój, człowiek o żywej wyobraźni, który widział mnie już generałem, budował mi pałac w Parmie. W 1813 roku znalazłem się, za cały majątek, z wielkim, nie dokończonym pałacem i z pensją.

— Trzy tysiące pięćset franków, jak mój mąż?

— Ba! Hrabia Pietranera był generałem dywizji. Moja pensyjka skromnego majora wynosiła ledwie osiemset franków, a i to płacą mi ją dopiero od czasu, jak jestem ministrem finansów.

Ponieważ w łoży znajdowała się tylko jej właścicielka, dama przekonań wielce liberalnych, rozmowa toczyła się dalej równie szczerze; Mosca, zagadnięty, opowiadał o swoim życiu w Parmie.

— W Hiszpanii pod generałem Saint-Cyr narażalem się na kule, aby zdobyć krzyż i nieco sławy; obecnie ubieram się jak pajac z komedii, aby prowadzić wielki dom i mieć kilka tysięcy franków. Raz wciągnąwszy się w tę partię szachów, dotknięty niegrzecznością przełożonych, postanowiłem zająć pierwsze miejsce; osiągnąłem to. Ale najszczęśliwsze moje dni to te, które od czasu do czasu mogę spędzić w Mediolanie; tu żyje jeszcze serce waszej włoskiej armii.

Szczerłość, *disinvoltura*, z jaką mówił minister groźnego księcia, obudziły ciekawość hrabiny. Sądząc z jego tytułu spodziewała się nadętego pedanta, a widziała człowieka, który się wstydził powagi swego stanowiska. Mosca przyrzekł jej dostarczać nowin z Francji — była to wielka nieopatrzność w Mediolanie, na miesiąc przed Waterloo. Chodziło wówczas dla Włoch o ich *być albo nie być*; cały Mediolan przebywał gorączką nadziei lub obawy. Wśród tego poruszenia hrabina zaczęła się wypytywać o człowieka, który tak lekko mówił o stanowisku budzącym tyle zazdrości i będącym jedynym jego środkiem do życia.

Ciekawe i uderzające swą oryginalnością rzeczy opowiedziano hrabinie Pietranera. Hrabia Mosca della Rovere Sorezana bliski jest zostania pierwszym ministrem i faworytem Ranucego Ernesta IV, samowładnego księcia Parmy, i co więcej, jednego z najbogatszych władców w Europie. Hrabia byłby już doszedł do tego naczelnego stanowiska, gdyby miał więcej powagi; podobno książę dawał mu nieraz nauki w tej mierze.

— Co Waszej Dostojności szkodzi moje zachowanie — odpowiedział swobodnie — byłem dobrze załatwiał sprawy.

„Szczęście tego faworyta — dodawano — nie jest bez cierni. Trzeba wciąż dbać o łaskę monarchy, człowieka niewątpliwie rozumnego i bystrego, ale który, od czasu jak zajął samowładny tron, stracił po prostu głowę i okazuje podejrzliwość iście kobiecą.”

Ernest IV jest odważny tylko na wojnie. Na polu bitwy widziano go wiele razy, jak prowadził kolumnę do ataku, dowodząc nią jak dzielny generał; ile po śmierci ojca swego, Ernesta III, wróciwszy do swego państwa, gdzie na nieszczęście posiada nieograniczoną władzę, zaczął gwałtownie deklanować przeciw liberalom i wolności. Niebawem wyobraził sobie, że go nienawidzą; wreszcie w chwili złego humoru kazał powiesić dwóch liberalów, może nie bardzo winnych, popchnięty do tego przez łajdaka nazwiskiem Rassi — coś na kształt ministra sprawiedliwości.

Od tej nieszczęsnej chwili życie księcia zmieniło się; dręczą go najdziksze podejrzania. Nie ma pięćdziesięciu lat, a strach go tak skurczył, jeżeli można się tak wyrazić, iż z chwilą gdy mówi o jakobinach i o projektach komitetu paryskiego<sup>32</sup>, przybiera fizjonomię osiemdziesięcioletniego starca; popada w lęki nieletniego dziecka. Faworyt jego, Rassi, naczelny skarbnik (lub wielki sędzia), posiada wpływ jedynie dzięki strachowi swego pana; z chwilą gdy się obawia o swój wpływ, czym prędzej odkrywa nowe sprzysiężenie, możliwie czarne i fantastyczne. Niech się zbierze trzydzieści gorących głów, aby przeczytać numer „*Constitutionnel*”, Rassi ogłasza ich za spiskowców i osadza w sławnej cytadeli parmeńskiej, postrachu Lombardii. Ponieważ jest bardzo wysoka — sto osiemdziesiąt stóp, jak mówią widać ją z bardzo daleka na tej olbrzymiej równinie; urządzenie zaś tej kaźni, o której powiadają straszne rzeczy, czyni ją, siłą postrachu, królową całej tej równiny od Mediolanu do Bolonii.

— Czy uwierzyłaby pani — powiadał hrabinie inny podróżny — w nocy na trzecim piętrze swego pałacu, strzeżony przez osiemdziesięciu gwardzistów, którzy co kwadrans wykrzykują hasło, Ernest IV drży w swoim pokoju. Drzwi zamknięte są na dziesięć ryglów, sale nad nim i pod nim pełne są żołnierzy, a on boi się jakobinów. Jeżeli deska w posadzce zaskrzypi, rzuca się do pistoletów, myśląc, że to liberał ukryty pod łóżkiem. Natychmiast rozlegają się dzwonki w całym zamku, a adiutant biegnie zbudzić hrabiego Mosca. Przybywszy do zamku, minister ten nie zdradza najlżejszej wątpliwości co do spisku, przeciwnie: uzbrojony od stóp do głów, sam bada z księciem każdy zakątek, zagląda pod łóżka z drobiazgowością godną starej baby. Wszystkie te ostrożności wydałyby się upokarzające samemu księciu w owym szczęśliwym czasie, kiedy bywał na wojnie i kiedy nie uśmiercił jeszcze nikogo inaczej niż z fuzji. Ponieważ to jest człowiek wcale niegłupi, wstydzi się tych ostrożności, widzi ich śmieszność w tej samej chwili, w której je praktykuje; otóż źródłem wpływu hrabiego Mosca jest właśnie to, iż dokłada wszelkich starań, aby książę nie potrzebował się nigdy rumienić w jego obecności. To on, Mosca, w charakterze ministra policji nalega, aby zaglądać pod sprząty, zgoła — powiadają w Parmie — do futerałów od basetli. Książę sprzeciwia się temu, żartuje z gorliwości ministra.

<sup>32</sup>o projektach komitetu paryskiego — mowa o Komitecie Ocalenia Publicznego, powstałym z inicjatywy Konwencji 1793 r. do walki z kontrrewolucją, kierowanym przez jakobinów. [przypis redakcyjny]

— To rzecz mojej ambicji — odpowiada hrabia — niech Wasza Dostojności pomyśli, iloma satyrycznymi sonetami zasypaliby nas jakobini, gdybyśmy pozwolili zamordować Waszą Dostojność. Bronimy jej życia, ale i naszego honoru!

Ale zdaje się, iż książę tylko w połowie wierzy temu wszystkiemu, skoro bowiem ktoś w mieście ośmielił się powiedzieć, że w zamku spędzono bezsenną noc, wielki skarbnik Rassi wysłał żartownisia do cytadeli, a gdy kto raz znajdzie się w tym wyniosłym i *dobrze wietrzonym* mieszkaniu, trzeba cudu, aby sobie przypomniano o więźniu. Mosca jest eks-wojskowy, w Hiszpanii ocalił się ze dwadzieścia razy z pistoletem w dłoni z zasadzki — dlatego książę woli go od Rassiego, mimo że Rassi jest giętszy i uniżeńszy. Owi nieszczęśliwi jeńcy znajdują się w najściślejszym odosobnieniu, obiegają o nich dziwne powieści. Liberalowie twierdzą, iż na rozkaz Rassiego dozorca i spowiednicy utrzymują ich w przekonaniu, że co miesiąc jeden idzie na stracenie. Tego dnia jeńcom wolno wychodzić na tarasę olbrzymiej wieży, na sto osiemdziesiąt stóp wysokiej, i stamtąd widzą przeciągający orszak z agentem policji grającym rolę nieboraka prowadzonego na śmierć.

Te opowieści i dwadzieścia innych, nie mniej autentycznych, zaciekały panią Pietranera. Nazajutrz jęła się wypytwać hrabiego Mosca o szczegóły, przekomarzając się z nim. Znajdowała rozrywkę w jego towarzystwie, dowodziła mu, że w gruncie jest on, sam o tym nie wiedząc, potworem. Jednego dnia, wracając do swej gospody, hrabia rzekł sobie: „Nie tylko ta hrabina Pietranera jest uroczą kobietą, ale kiedy spędzam wieczór w jej łożu, zapominam o niektórych rzeczach w Parmie, których wspomnienie przeszywa mi serce. („Minister ten, mimo lekkich i błyszczących pozorów, nie miał duszy przykrojonej z *francuska*; nie umiał *zapominać* zgrzyzot. Kiedy w wezłowie jego tkwił cień, umiał tak długo kłuć się o niego drgającymi członkami, aż go złamał i starł.” Przepraszam za to zdanie przethumaczone z włoskiego.) Nazajutrz po tym odkryciu hrabia zauważył, iż mimo spraw zatrzymujących go w Mediolanie dzień wlecze się niemiłosiernie; nie mógł wytrzymać w miejscu, zamęczył konie. Koło szóstej wsiadł na konia, aby pojechać na Corso; miał nadzieję spotkać tam hrabinę; nie widząc jej, przypomniał sobie, że koło ósmej otwierają „La Scala”; wszedł i ujrzał zaledwie dziesiątek osób w olbrzymiej sali. Zawstydział się nieco swojej obecności. „Czy podobna — rzekł — abym ja, mając skończonych czterdzieści pięć lat, robił szaleństwa, których wstydziliby się podporucznik? Szczęściem nikt się ich nie domyśla. Uciekł i próbował zabić czas, wałęsając się po pięknych uliczkach dokoła teatru. Jest tam mnóstwo kawiarni, które o tej porze roją się od ludzi: przed każdą kawiarnią tłum gapiów, siedząc na krzesłach wprost na ulicy, je lody i krytykuje przechodniów. Hrabia nie należał do tych, którzy przechodzą niepostrzeżeni; nie minęła go ta przyjemność, że go poznano i nagabnięto. Kilku natrętów, z tych, którym nie można się opędzić, schwyliło tę sposobność, aby zdobyć audiencję u potężnego ministra. Dwaj wręczyli mu podania, trzeci poprzestał na udzieleniu mu rozwlekłych rad z zakresu polityki.

„Nie można spać — powiedział sobie — kiedy się jest zbyt inteligentnym; nie można się przechadzać, kiedy się jest zbyt wpływowym.” Wrócił do teatru i wpadł na tę myśl, aby wziąć łożę na trzecim piętrze; stamtąd spojrzenia jego, nie pochwycone przez nikogo, mogły się nurzać w łożach drugiego piętra, gdzie spodziewał się hrabiny. Pełne dwie godziny oczekiwania nie dłużyły się zakochanemu; pewien, że go nikt nie widzi, poddawał się z rozkoszą swemu szaleństwu. „Czyż starość — powiadał sobie — to przede wszystkim nie to, że się nie jest już zdolnym do tych rozkosznych dzieciństw?”

Wreszcie hrabina pojawiła się. Uzbrojony w lornetkę badał ją w upojeniu. „Młoda, świetna, lekka jak ptaszek — powiadał sobie — nie ma ani dwudziestu pięciu lat. Piękność jest jeszcze najmniejszym jej powabem: gdzie znaleźć tę duszę zawsze szczerą, która nigdy nie umie *być ostrożna*, która poddaje się cała chwili, która pragnie jedynie dać się porwać nowemu wrażeniu? Pojmuję szaleństwa hrabiego Nani.”

Hrabia wynajdywał sobie doskonale racje, aby szaleć, póki myślał jedynie o zdobyciu szczęścia, które widział przed oczyma. Racje te straciły nieco na sile, kiedy zastanowił się nad swym wiekiem i nad troskami niekiedy bardzo smutnymi, które wypełniały jego dni. „Inteligentny człowiek, któremu strach odbiera rozum, zapewnia mi wystawne życie i wiele pieniędzy, abym był jego ministrem; ale niech mnie jutro odprawi, a zostanie stary i biedny, rzecz najohydniejsza w świecie; jest też co ofiarowywać hrabinie!” Porzucił te czarne myśli, aby wrócić do hrabiny Pietranera; nie mógł się nasycić jej widokiem;

Miłość

aby lepiej o niej myśleć, nie szedł do jej łoży. „Wzięła Naniego, powiadano mi właśnie, jedynie, aby zrobić na złość cymbałowi Limercati, który nie umiał się zdobyć na to, aby pchnąć szpadą lub kazać żgnąć sztyltem mordercę jej męża. Ja bym się bił dwadzieścia razy dla niej!” — zawołał z uniesieniem. Co chwila spoglądał na zegar, który odcinał się na czarnym tle lśnącymi cyframi, co pięć minut powiadamiając widzów o godzinie, w której wolno im się udać do przyjacielskiej łoży. Hrabia powiadał sobie: „Jako świeży znajomy, mogę zabawić w jej łoży najwyżej pół godziny; gdybym został dłużej, zwróciłbym na siebie uwagę, w moim wieku, a zwłaszcza z tymi pudrowanymi włosami, miałbym minę Kasandra<sup>33</sup>.” Jedna refleksja zdecydowała go nagle: „Gdyby hrabina wyszła z łoży, udając się gdzieś z wizytą, ładnie bym wyszedł na sknerstwie, z jakim dawkuje sobie tę przyjemność.” Już wstawał, aby się udać do łoży hrabiny, naraz odeszła mu ochota. „Ha! to doprawdy śliczne! — wykrzyknął, śmiejąc się z siebie i przystając na schodach. — Toż to odruch szczerzej nieśmiałości! Będzie już ze dwadzieścia pięć lat, jak mi się nie zdarzyło coś podobnego.

Wszedł do łoży niemal przemagając się: jako człowiek wytrawny skorzystał z przy-padku, który mu się zdarzył, nie silił się na swobodę i dowcip ani też nie starał się ratować jakim zabawnym opowiadaniem; miał odwagę być nieśmiały, wykorzystał swój spryt, aby odsłonić rąbek wzruszenia, unikając wszelako śmieszności. „Jeżeli jej się to nie spodo-ba — powiadał sobie — przepadłem na zawsze! Co! nieśmiały, z włosami przysypanymi pudrem, a które bez pudru wydałyby się siwe! Ostatecznie to jednak prawda; nie może tedy być śmieszna, chyba że przesadzę lub będę z niej czerpał chlubę. Hrabina tak często nudziła się w Grianta w obliczu upudrowanych głów swego brata, bratanka i kilku *dobrze myślących* nudziarzy z sąsiedztwa, że nie wpadło jej do głowy zaprzętać się fryzurą nowego wielbiciela.

Nastrój hrabiny obronił ją przed wybuchem śmiechu, toteż uwagę swą skupiła jedynie na wiadomościach z Francji, których udzielał jej zawsze na osobności, skoro tylko zjawił się w łoży; z pewnością wymyślał je. Omawiając z nim te wiadomości, hrabina zauważyła tego wieczora jego spojrzenie było sympatyczne i życzliwe.

— Wyobrażam sobie — rzekła — że w Parmie, wśród swoich niewolników, nie ma pan tego miłego spojrzenia; to by zepsuło wszystko i dałoby im cień nadziei, że nie będą wisieć.

Zupełny brak namaszczenia u człowieka, który uchodził za pierwszego dyplomateę Włoch, zdziwił hrabinę; znajdowała nawet, że to ma swój urok. Wreszcie, ponieważ zwykłe mówił łatwo i z ogniem, nie zraniło jej to, iż uznał za właściwe przyjąć na jeden wieczór rolę słuchacza.

Był to ważny krok i bardzo niebezpieczny; szczęściem dla ministra, który w Parmie nie spotykał się z oporem, hrabina przybyła z Grianta dopiero od niedawna; umysł jej był jeszcze odrętwiały wiejską nudą. Zdawało się, iż odwykła od żartu; wszystko, co przypominało lekkie i wykwintne życie, miało w jej oczach odcień nowości, co wykluczało kpiny; nie powstało jej w głowie z niczego drwić, nawet z czterdziestopięcioletniego a nieśmiałego zalotnika. W tydzień później nieopatrzność hrabiego mogłaby się spotkać zgoła z innym przyjęciem. W „La Scala” jest obyczaj nie przeciągać ponad dwadzieścia minut wizyt w łożach; otóż hrabia spędził cały wieczór w łoży, w której miał szczęście spotkać panią Pietranera. „Ta kobieta — powiadał sobie — wraca mi wszystkie szaty młodości!” Ale czuł niebezpieczeństwo. „Czy stanowisko paszy, wszechpotężnego o czterdzieści mil stąd, okupi moje niezdarstwo? Tak się nudzę w Parmie!” Mimo to z kwadransa na kwadrans postanawiał sobie iść.

— Trzeba przyznać, pani — rzekł, śmiejąc się do hrabiny — że w Parmie umieram z nudów; nie dziw, że przyjemność, o ile spotkam ją na drodze, upija mnie. Toteż bez konsekwencji i na jeden wieczór, niech mi pani pozwoli grać rolę zakochanego. Niestety! za parę dni będę daleko od tej łoży, która daje mi zapomnieć o wszystkich zgryzotach, a nawet, powie pani, o wszystkich konwenansach.

W tydzień po tej olbrzymiej wizycie i w następstwie drobnych wypadków, które zbyt długo byłoby może opowiadać, Mosca był zakochany do szaleństwa, a hrabina myślała już sobie, że wiek nie powinien być przeszkodą, o ile poza tym ktoś się podoba. Tak stały

<sup>33</sup>Kasander — w komedii włoskiej typ naiwnego, odrażającego starca. [przypis redakcyjny]



rzeczy, kiedy kurier odwołał hrabiego Mosca do Parmy. Można by rzec, że jego władca bał się być sam. Hrabina wróciła do Grianta; wyobraźnia jej nie stroiła już tej pięknej miejscowości: wydała się jej pustynią. „Czyżbym się przywiązała do tego człowieka?” — mówiła sobie. Mosca pisywał do niej — nie potrzebował nic udawać, rozłąka odjęła mu źródło wszystkich jego myśli; listy jego były bardzo miłe. Wpadł na dobry pomysł: aby uniknąć komentarzy margrabiego del Dongo, który nie lubił opłacać porta, wysyłał kurierów, którzy wrzucali jego korespondencję w Como, w Lecco, Varese lub miasteczku u nad jeziorem. Zmierzało to do tego, aby przez kuriera dostawać odpowiedzi; osiągnął ten cel.

Niebawem dni kurierskie stały się wydarzeniem w życiu hrabiny. kurierzy przynosili kwiaty, owoce, drobne podarki, które ją bawiły równie jak jej bratową. Wspomnienie hrabiego kojarzyło się z myślą o jego wielkiej władzy; hrabina słuchała z uwagą wszystkiego, co mówiono o nim: nawet liberałowie oddawali hołd jego talentom.

Głównym źródłem złej opinii hrabiego było to, że uchodził za głowę *reakcji* na dworze parmeńskim, na czele zaś liberałów stała intrygantka zdolna do wszystkiego, nawet do zwycięstwa, margrabina Raversi, osoba niezmiernie bogata. Księżę dawał pilne baczenie, aby nie zniechęcić stronnictwa, które nie było przy władzy, wiedząc dobrze, że zawsze będzie panem, nawet przy ministerium z salonu Raversi. Opowiadano w Grianta tysiączne szczegóły o tych intrygach; nieobecność hrabiego, którego wszyscy przedstawiali jako ministra zdolnego i energicznego, pozwalała zapomnieć o pudrowanych włosach, symbolu wszystkiego, co gnuśne i smutne; był to szczegół bez znaczenia, jeden z obowiązków urzędu, na którym poza tym grał tak piękną rolę. „Dwór jest śmieszny — mówiła hrabina do bratowej — ale zajmujący, to zabawna gra, na której prawidła trzeba się zgodzić. Czy komu kiedy przyszło do głowy biadać na niedorzeczność reguł pikiety? A przecież skoro się raz do nich włożyć, miło jest dać przeciwnikowi i pik-repik i kapotę.”

Hrabina często myślała o autorze sympatycznych listów; dzień, w którym je otrzymywała, był dla niej miłym dniem; brała łódkę i jechała je odczytywać w najpiękniejszych okolicach: w Pliniana, w Belano, w lasku Sfondrata. Listy te wynagradzały jej poniekąd brak Fabrycego. Nie mogła przynajmniej odmówić hrabiemu, że jest bardzo zakochany; nie upłynął miesiąc, a myśli o nim zabarwiały się tkliwą przyjaźnią. Co do hrabiego Mosca, to był on niemal szczery, kiedy jej ofiarował podać się do dymisji, rzucić ministerium i żyć z nią w Mediolanie lub gdzie indziej. „Mam czterysta tysięcy franków — dodawał — co nam zapewni piętnaście tysięcy funtów renty.” — „Znów łoża, konie! itd.” — powiadała sobie hrabina. Przyjemne marzenia. Uroczę perspektywy jeziora Como zaczęły ją nas nowo czarować. Chodziła nad jego brzeg, aby marzyć o powrocie do świetnego życia, które wbrew spodziewaniu stawało się dla niej możliwe. Widziała się na Corso, w Mediolanie, szczęśliwa i wesoła jak za wicekróla. „Młodość, a przynajmniej życie znów zaczęłoby się dla mnie.”

Niekiedy gorąca wyobraźnia przesłaniała jej prawdę, ale nigdy nie było u niej miejsca na dobrowolne złudzenia, rodzące się z braku odwagi. Była to przede wszystkim kobieta szczerza: jeżeli jestem za stara nieco, aby popełniać szaleństwa, zawiść, która stwarza sobie złudzenia jak miłość, może mi zatruć pobyt w Mediolanie. Po śmierci męża moje szlachetne ubóstwo zyskało blask, zarówno jak odtrącenie dwóch wielkich fortun. Biedny Mosca nie ma ani dwudziestej części dostatków, które składały u moich stóp te dwie ciemięgi, Limercati i Nani. Skromna pensyjka wdowia uzyskana z trudem, odprawienie służby, co miało swój rozgłos, pokoik na piątym piętrze, który ściągał dwadzieścia karet do bramy, wszystko to tworzyło swego czasu niezwykle widowisko. Ale mimo największej zręczności będę miała przykre chwile, jeżeli posiadając za cały majątek jedynie swą pensyjkę, wrócę do Mediolanu, aby korzystać ze skromnego mieszczańskiego dobrobytu, jaki mogą nam dać owe piętnaście tysięcy franków, które będzie miał Mosca po swej dymisji. Ważnym szkopulem, z którego zawiść ukuje sobie straszliwą broń, jest, że hrabia, mimo iż od dawna nie żyje z żoną, jest żonaty. Separacja ta znana jest w Parmie, ale w Mediolanie będzie ona czymś nowym, przypisz ją mnie. Tak więc, mój piękny teatrze „La Scala”, boskie jezioro Como, żegnajcie! żegnajcie!”

Mimo tych uprzedzeń, gdyby pani Pietranera miała bodaj jaki majątek, byłaby przyjęła propozycję hrabiego. Uważała się za kobietę starszą i bała się dworu; ale — co się wyda z tej strony Alp najmniej prawdopodobne — hrabia byłby wniósł dymisję z radością.

Umiał przynajmniej przekonać o tym swą ukochaną. W każdym liście błagał z rosnącą namiętnością o nowe widzenie się w Mediolanie; użyczyła mu go. „Przysięgać panu, że go szalenie kocham — rzekła hrabina — byłoby kłamstwem; to byłoby za wiele szczęścia, gdybym mogła kochać dziś, po trzydziestce, tak jak kochałam niegdyś, mając lat dwadzieścia dwa! Ale patrzałam na zgon tylu rzeczy, które mi się zdawały wieczne! Mam dla pana najtkliwszą przyjaźń, ufność bez granic; ze wszystkich w świecie jest mi pan najmilszy.” Hrabina sądziła, że jest zupełnie szczerą; mimo to ku końcowi oświadczenie to zawierało małe kłamstwo. Gdyby Fabrycy chciał, byłby może przeważał wszystko w jej sercu. Ale Fabrycy był dzieckiem w oczach hrabiego Mosca. Hrabia przybył do Mediolanu w trzy dni po wyjeździe młodego szaleńca do Nowary, i pośpieszył wstawić się za nim do barona Bindera. Hrabia sądził, że wygnanie to sprawa bez ratunku.

Nie przybył do Mediolanu sam; przywiózł w swojej karocy diuka Sanseverina-Taxis. Był to sympatyczny sześćdziesięcioośmioletni staruszek, szpakowaty, gładki, schludny, kolosalnie bogaty, ale nie dość szlachetnie urodzony. Zaledwie dziadek jego zebrał miliony na stanowisku generalnego dzierżawcy dochodów państwowych w Parmie. Ojciec diuka zdobył stanowisko ambasadora księcia Parmy w ... dzięki następującej argumentacji: „Wasza Dostojność daje trzydzieści tysięcy franków swemu posłowi w ..., który ją tam reprezentuje dość mizernie. Jeżeli Wasza Dostojność: raczy mi użyzyć tego miejsca, przyjmę sześć tysięcy franków pensji. Będę wydawał na dworze w ... nie mniej niż sto tysięcy franków rocznie, a mój intendent złoży co rok dwadzieścia tysięcy do kasy spraw zagranicznych w Parmie. Za tę sumę będzie można przydzielić mi takiego sekretarza ambasady, jakiego się zechce, a ja nie będę zazdrosny o sekrety dyplomatyczne, jeśli będą jakie. Moim celem jest dodać blasku swemu domowi, jeszcze nieco świeżemu, i uświetnić go wysoką godnością dworską.”

Obecny diuk, syn owego ambasadora, popełnił tę niezręczność, że się okazał prawie że liberałem; toteż od dwóch lat był w rozpacz. Za Napoleona stracił parę milionów przez upór, z jakim zostawał za granicą; otóż od czasów przywrócenia porządku w Europie nie mógł uzyskać pewnej wstęgi, która zdobiła portret jego ojca; brak tego orderu przyprowadził go o chorobę.

W tej zażyłości, jaka towarzyszy miłości we Włoszech, względy próżności nie istniały między dwojgiem kochanków. Zupełnie tedy po prostu hrabia Mosca rzekł do kobiety, którą ubóstwiał:

— Mam parę planów do przedłożenia pani; wszystkie dosyć dobrze obmyślane; od trzech miesięcy dumam jedynie nad tym.

*Primo:* Wnoszę dymisję i żyjemy sobie po mieszczańsku w Mediolanie, Florencji, Neapolu, gdzie zechcesz. Mamy piętnaście tysięcy funtów renty, niezależnie od dobrodziejstw księcia, które mogą trwać dłużej lub krócej.

*Secundo:* Raczy pani przenieść się do kraju, gdzie mam jakąś władzę, kupi pani majątek, na przykład Sacca, uroczy pałacyk w lesie nad Padem, może pani podpisać kontrakt choćby na tydzień. Książę przywiąże panią do dworu. Ale tu nastęcza się olbrzymia trudność. Przyjmą panią dobrze na dworze; nikt nie odważy się okiem mrugnąć w mojej obecności; przy tym księżna uważa się za nieszczęśliwą, a ja starałem się być jej pomocny z myślą o pani. Ale przypominam pani zasadniczą trudność; książę jest bigot, a jak pani wiadomo, nieszczęście chce, że ja jestem żonaty. Stąd milion drobnych przykrości. Jest pani wdową; ten piękny tytuł trzeba by zmienić na inny, i to stanowi właśnie przedmiot trzeciej propozycji.

Można by znaleźć nowego, wygodnego męża. Ale przede wszystkim musi być bardzo stary; czemuż miałaby mnie pani pozbawić nadziei zastąpienia go kiedyś? Otóż zawarłem osobliwy układ z diukiem Sanseverina-Taxis; rozumie się, że nie zna nazwiska przyszłej diuszesy. Wie tylko, że zrobi go ambasadorem i da mu ten order, który miał jego ojciec, a którego brak czyni go najnieszczęśliwszym ze śmiertelnych. Poza tym książę nie jest najgłupszy; sprowadza z Paryża ubrania i peruki. Nie jest to człowiek zdolny do rozmyślnej niegodziwości; wierzy święcie, że honor polega na tym, aby mieć order, a wstydzi się swego majątku. Przed rokiem przyszedł do mnie z propozycją założenia szpitala za ten order; wyśmiałem go; ale on się nie wyśmiał ze mnie, kiedy mu zaproponowałem małżeństwo; pierwszym moim warunkiem było, rozumie się, że nigdy noga jego nie postanie w Parmie.

— Ale czy pan wie, że to, co mi pan proponuje, jest bardzo niemoralne? — rzekła hrabina.

— Nie więcej niż wszystko, co się robi na naszym dworze i na dwudziestu innych. Absolutna władza ma tę wygodę, że uświęca wszystko w oczach ludów. Cóż znaczy śmieszność, której nikt nie dostrzega? Przez dwadzieścia lat naszą polityką będzie strach przed jakobinami, i to jaki! Co rok będziemy święcie przekonani, że jesteśmy w wilię nowego roku 93! Usłysz pani, mam nadzieję, frazesy, jakie wygłaszam na ten temat na swoich recepcjach! To wspaniałe! Wszystko, co zdoła zmniejszyć nieco ten strach, będzie *bezwzględnie moralne* w oczach szlachty i dewotów. Otóż w Parmie wszystko, co nie jest szlachtą i dewotami, siedzi w więzieniu lub wybiera się tam. Niech pani będzie przekonana, że to małżeństwo wyda się gorszące dopiero w dniu mojej niełaski. Układ ten nie oszukuje, nie krzywdzi nikogo, to główna rzecz, jak sądzę. Panujący, którego łaską frymarczymy, uczynił swoje przyzwolenie zależnym od jednego tylko warunku, to jest, aby przyszła diuszesa była szlachcianką. W zeszłym roku moja posada, razem wzięwszy, dała mi sto siedem tysięcy franków; ogólny mój dochód był coś około stu dwudziestu dwóch tysięcy; umieściłem dwadzieścia tysięcy w Lyonie. Zatem niech pani wybiera: *primo*, szeroka egzystencja oparta na stu dwudziestu tysiącach franków dochodu, co w Parmie wynosi najmniej tyle co czterysta tysięcy w Mediolanie, ale połączona z tym małżeństwem, dającym pani nazwisko znośnego człowieka, którego pani ujrzy tylko przy ołtarzu; *secundo*, skromne życie z piętnastu tysięcy franków we Florencji lub Neapolu; godzę się bowiem z pani zdaniem, że zanadto panią podziwiano w Mediolanie; zawiść ścigałaby nas i zdołałaby nam zatruć życie. Świetności Parmy będą miały, mam nadzieję, pewien urok nowości nawet w oczach pani, które widziały dwór księcia Eugeniusza; roztropnie byłoby poznać to życie, nim się je sobie zamknie. Niech pani nie sądzi, że ja chcę wpływać na jej decyzję. Co do mnie, wybrałem dawno: wolę raczej żyć na czwartym piętrze z panią niż wieść dalej samotnie tę wspaniałą egzystencję.

Możliwość tego osobliwego małżeństwa była co dzień tematem dyskusji między kochankami. Hrabina ujrzała na balu w „La Scala” diuka Sanseverina-Taxis, który wydał jej się wcale możliwy. W jednej z ostatnich rozmów Mosca ujął w ten sposób propozycję:

— Trzeba powziąć postanowienie, jeśli chcemy spędzić mile resztę życia i nie zestarzeć się przed czasem. Książę dał zezwolenie; Sanseverina jest figurą raczej przyzwoitą; posiada najpiękniejszy pałac w Parmie i niesłychany majątek; ma sześćdziesiąt osiem lat i szaloną żądzę orderu; ale plamą w jego życiu jest, iż kupił niegdyś za dziesięć tysięcy franków biust Napoleona dłuta Canovy. Drugi jego grzech, który go uśmierci, o ile pani nie przyjdzie mu z pomocą — to, iż pożyczył dwadzieścia pięć napoleonów Ferrantemu Palla, naszemu ziomkowi! Jest to po trosze wariat, po trosze geniusz, którego później skazaliśmy na śmierć, na szczęście zaocznie. Ów Ferrante napisał w życiu jakieś dwieście wierszy, które nie mają nic równego; powiem je pani, to tak piękne jak Dante. Książę wysłał Sanseverina do ..., on panią zaślubi w dzień wyjazdu, a w drugim roku swej podróży, którą nazwie *ambasadą*, otrzyma ową wstęgę, bez której nie może żyć. Będzie w nim pani miała brata, który nie będzie się naprzykrzał; podpisuje z góry wszystko, czego zażądam, poza tym będzie go pani widywała rzadko lub nigdy, jak zechcesz. Z przyjemnością gotów jest nie pokazywać się w Parmie, gdzie musi wstydzić się dziadka dorobkiewicza i swego rzekomego liberalizmu. Rassi, nasz kat, twierdzi, że Sanseverina abonował w sekrecie „Constitutionnel” za pośrednictwem poety Ferranta Palla i ta potwarz długo stanowiła przeszkodę do zgody panującego księcia.

Czemu historyk, który powtarza wiernie szczegóły zasłyszanego opowiadania, miałby być winny? Czy to jego wina, jeśli osoby porwane namiętnościami, których — nieszczęściem dlań — nie podziela, popadają w uczynki głęboko niemoralne? Prawda, iż tego rodzaju rzeczy nie zdarzają się już w kraju, gdzie ze wszystkich namiętności przetrwała tylko jedna, mianowicie pieniądź, narzędzie próżności.

W trzy miesiące po tych wydarzeniach diuszesa Sanseverina-Taxis olśniewała dwór parmeński uroczym wdziękiem i szlachetną pogodą; dom jej był najmiłszy w mieście; a to właśnie hrabia Mosca przyrzekł swemu panu. Ranucjusz Ernest IV oraz księżna, jego małżonka, którym przedstawiły diuszese dwie najznamiensze damy w kraju, przyjęły ją bardzo łaskawie. Diuszesa ciekawa była ujrzeć owego władcę, pana losów człowieka,

którego kochała; chciała go olśnić i udało się to jej aż nadto. Ujrzała człowieka słusznego wzrostu, ale nieco ciężkiego; włosy, wąsy, olbrzymie bokobrody były — wedle dworaków — pięknego koloru blond; komu innemu przywiodłyby na myśl konopie. Od dużej twarzy odbijał mały, niemal kobiecy nos. Jednakże, aby spostrzec wszystkie szczegóły, trzeba było rozbierać kolejno rysy księcia; w całości budził wrażenie inteligencji i siły. Wzięcie, postawa księcia nie miały wrodzonego majestatu, ale często chciał imponować osobie, z którą rozmawiał; wówczas stawał się sam zakłopotany i kołysał się z nogi na nogę. Poza tym Ernest IV miał spojrzenie przenikliwe i władcze; gesty jego miały coś szlachetnego, a słowa były odmierzone i zwięzłe.

Mosca uprzedził księżnę, że w gabinecie, gdzie daje audiencję, książę ma duży portret Ludwika XIV i ładny inkrustowany stół florencki. Zauważyła, iż podobieństwo jest uderzające: najoczywiej silił się na spojrzenie i na szlachetny akcent Ludwika XIV, a opierał się na stoliku w sposób przypominający Józefa II. Po pierwszych słowach zwróconych do księżnej usiadł, aby jej dać sposobność posłużenia się taboretą należnym jej godności. Na tym dworze diuszesy, księżne i żony grandów hiszpańskich siadały same; inne czekały, aż panujący je zachęci; aby zaś zaznaczyć różnicę, monarcha oczekiwał zawsze chwili, nim zaprosił damę, nie mającą rangi diuszesy, aby siadła. Pani Sanseverina zauważyła, że chwilami kopia Ludwika XIV była zbyt wyraźna; na przykład uśmiech dobroci z odchyleniem głowy wstecz.

Ernest IV miał na sobie frak ostatniej mody, prosto z Paryża — z tego miasta, którego nienawdził, przysyłano mu co miesiąc frak, surdut i kapelusz. Ale przez jakąś dziwną kombinację w dniu, w którym przedstawiono mu diuszese, włożył czerwone spodnie, jedwabne pończochy oraz trzewiki, których model można oglądać na portretach Józefa II.

Książę przyjął panią Sanseverina z wdziękiem, rozwinął wiele dowcipu i uprzejmości; mimo to zauważyła pewien brak ciepła.

— Wie pani czemu? — rzekł Mosca, kiedy wróciła z audiencji. — To dlatego, że Mediolan jest większy i ładniejszy od Parmy. Gdyby panią przyjął tak, jak się spodziewałem i jak pozwolił mi mieć nadzieję, bałby się, że będzie wyglądał na parafianina oczarowanego piękną panią ze stolicy. Bez wątplenia drażni go jeszcze jeden szczegół, który zaledwie śmiem pani wyznać: książę nie ma na dworze ani jednej kobiety, która by się mogła mierzyć z panią co do urody. To był wczoraj wieczór jedyny przedmiot jego rozmowy z Pernice, pierwszym kamerdynerem, który ma dla mnie względy. Przewiduję małą rewolucję w etykiecie; moim największym wrogiem na tym dworze jest głupiec, który zwie się generał Fabio Conti. Niech pani sobie wyobrazi pajaca, który był na wojnie może przez jeden dzień w życiu, a który na tej podstawie przybiera tony Fryderyka Wielkiego. Co więcej, stara się również naśladować szlachetny sposób bycia generała Lafayette'a, a to dlatego, że jest tutaj głową liberałów. (Boże, co za liberałów!)

— Znam Fabia Conti — rzekła księżna — spotkałam go w pobliżu Como; szamotał się z żandarmami.

Opowiedziała przygodę, którą czytelnik przypomina sobie może.

— Dowie się pani kiedyś, jeśli umysł twój zdoła przeniknąć głębiny naszej etykiety, że panny nie pojawiają się na dworze aż do pójścia za mąż. Otóż książę ma taką ambicję na punkcie wyższości Parmy nad innymi miastami, iż założy się, że znajdzie sposób, aby kazać sobie przedstawić małą Klelię Conti, córkę naszego Lafayette'a. Jest, na honor, urocza, i jeszcze przed tygodniem uchodziła za najpiękniejszą istotę w całym państwie.

Nie wiem — ciągnął hrabia — czy okropności, jakie wrogowie księcia opowiadają o nim, doszły do Griańty; zrobiono zeń potwora, ludożercę. Faktem jest, iż Ernest IV posiada mnóstwo drobnych zalet; można dodać, że gdyby był ubezpieczony przeciw ranom jak Achilles, byłby całe życie wzorem panującego. Ale w chwili znudzenia i irytacji, a także aby naśladować Ludwika XIV, który kazał uciąć głowę nie wiem już jakiemu bohaterowi Frondy żyjącemu spokojnie w swoim majątku opodal Wersalu, w pięćdziesiąt lat po Frondzie Ernest IV kazał raz powiesić dwóch liberałów. Zdaje się, że ci lekkomyślnicy zbierali się w oznaczone dni, aby wygadywać na księcia i modlić się do nieba o zarazę, która by przyszła do Parmy i oswoiła ich od tyrańca. Udowodniono słowo *tyran*. Rasi nazwał to sprzyśnięciem i uzyskał wyrok śmierci; stracenie jednego z nich, hrabiego L..., odbyło się bardzo okrutnie. To się działo jeszcze przede mną. Od tej nieszczęsnej

chwili — dodał hrabia ciszej — książe podlega napadom lęku *niegodnym mężczyzny*, ale stanowiącym jedyne źródło łaski, którą się cieszę. Bez tego wszechwładnego strachu charakter mój byłby zbyt energiczny, zbyt surowy dla tego dworu, ziemi obiecanej bałwanów. Czy uwierzyłabyś, że książe zagląda pod łóżka w swoim pokoju, nim się położy, i wydaje milion, co równa się czterem milionom w Mediolanie, aby mieć dobrą policję: oto widzi pani głowę tej straszliwej policji. Przez policję, to znaczy przez strach, zostałem ministrem wojny i finansów; że zaś minister spraw wewnętrznych jest moim nominalnym zwierzchnikiem, gdyż policja należy do jego sfery działania, postarałem się dać tę tekę hrabiemu Zurla-Contarini, głupcowi zamęczającemu się pracą, który dla przyjemności wypisuje osiemdziesiąt listów dziennie. Otrzymałem właśnie dziś rano list, na którym hrabia Zurla-Contarini miał satysfakcję położyć własną ręką liczbę porządkową 20 715.

Przedstawiono również panią Sanseverina smutnej księżnej parmeńskiej, Klarze Paulinie, która dlatego że jej mąż miał kochankę (dość ładną osobę, margrabinę Balbi), uważała się za najniezwyklejszą kobietę w świecie, co uczyniło ją może tylko najnudniejszą. Pani Sanseverina ujrzała kobietę wysoką, chudą, mającą niespełna trzydzieści sześć lat, a wyglądającą na pięćdziesiąt. Regularna i szlachetna twarz mogłaby uchodzić za piękną, mimo że zeszecona okrągłymi oczami krótkowidza, gdyby księżna nie była się zaniedbała. Przyjmowała diuszesa z tak wyraźnym onieśmieleniem, że paru dworzan, niechętnych hrabiemu Mosca, odważyło się powiedzieć, iż księżna wygląda na poddanę, a diuszesa na panującą. Pani Sanseverina, zdziwiona, niemal zmieszana, nie wiedziała, jakich wyrazów dobierać, aby się postawić niżej miejsca, które księżna wyznaczała sobie sama. Aby przywrócić nieco swobody biednej księżnie, która w gruncie nie była bez inteligencji, diuszesa nie znalazła nic lepszego niż zapuścić się w długą dysertację o botanice. Księżna była w istocie nader uczona w tej materii; miała bardzo ładne cieplarnie z mnóstwem roślin podzwrotnikowych. Diuszesa, starając się po prostu wybrnąć z kłopotu, pozyskała sobie na zawsze księżnę Klarę Paulinę, która — nieśmiała i zakłopotana z początku — pod koniec tak się ożywiła, iż wbrew etykietce audiencja trwała blisko pięć kwadransów. Nazajutrz diuszesa zakupiła różne egzotyczne rośliny i głosiła się wielką amatorką botaniki.

Księżna przestawała często z wielbnym ojcem Landriani, arcybiskupem parmeńskim, człowiekiem uczonym, rozumnym i zacnym. Było to osobliwe zjawisko, kiedy siedział w swoim szkarłatnym aksamitnym krześle (przysługiwało mu z prawa) naprzeciw fotela księżnej otoczonej damami dworu i dwiema damami *do towarzystwa*. Siwowłosa prałat był, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej nieśmiały niż księżna; widywali się co dzień, a każda audiencja zaczynała się od dobrego kwadransu milczenia; do tego stopnia, że aż hrabina Alvizi, jedna z dam do towarzystwa, stała się rodzajem faworyty dzięki temu, że umiała zagajać rozmowę i przerywać milczenie.

Aby dokończyć prezentacji, wprowadzono panią Sanseverina do Jego Wysokości księcia następcy tronu, osobistości wyższej od ojca, a bardziej nieśmiałej niż matka. Był mocny w mineralogii i miał szesnaście lat. Zaczerwienił się na widok diuszesy i osłupiał tak, że nie umiał wyrzec słowa do pięknej damy. Był to przystojny chłopiec, który spędzał życie po lasach z młoteczką w dłoni. W chwili gdy diuszesa wstała, aby położyć koniec milczącej audiencji, książe następcą zawołał:

— Mój Boże, jaka pani ładna!

Damie zaszczyconej prezentacją okrzyk ten wydał się wcale inteligentny.

Margrabina Balbi, dwudziestopięcioletnia kobieta, mogła jeszcze na parę lat przed przybyciem księżnej Sanseverina uchodzić za wzór *włoskiej urody*. Obecnie miała jeszcze cudowne oczy i rozkoszne minki; ale z bliska skóra jej była usiana drobnymi zmarszczkami, które czyniły z margrabinę jak gdyby młodą staruszkę. Widziana z odległości, na przykład w teatrze, w łoży, była to jeszcze piękność, toteż publiczność podziwiała smak monarchy. Książe spędzał wieczory u margrabinę Balbi, ale często nie otwierał ust; ta nuda dostojnej osoby sprawiła, że biedna kobieta wychudła straszliwie. Miała pretensję do wielkiego sprytu i uśmiechała się wciąż złośliwie; mając najpiękniejsze ząbki w świecie, siliła się po omacku, bez żadnej myśli, wyrazić sprytnym uśmieszkiem co innego, niż mówiły jej słowa. Hrabia Mosca powiadał, że to te ciągle uśmiechy, połączone z wewnętrznym ziewaniem, były przyczyną tyłu zmarszczek. Margrabina Balbi miała udział we wszystkich obrotach; państwo nie mogło zrobić interesu ani na tysiąc franków bez

jakiegoś *upominku* (grzeczne słowo używane w Parmie) dla margrabiny. Głos publiczny utrzymywał, że umieściła sześć milionów w Anglii, ale wedle świeżych a ścisłych informacji majątek jej nie sięgał w istocie ani miliona pięciuset tysięcy franków. Mosca postarał się o tekę finansów głównie dlatego, aby się ubezpieczyć od jej intryg i aby ją trzymać w zależności. Jedyną sprężyną hrabiny był strach przedzierzgnięty w brudne skąpstwo: „*Umrę pod płótem*” — mówiła księciu zgorszonymu tym wyrażeniem. Pani Sanseverina zauważyła, iż przedpokój, lśniący od złocień, oświetlony był łożówką kapiącą na kosztowny marmurowy stół, a drzwi do sali były umorusane palcami lokajów.

— Przyjęła mnie — rzekła pani Sanseverina do swego przyjaciela — tak, jak gdyby oczekiwała ode mnie pięćdziesięciu franków gratyfikacji.

Serię powodzeń księżnej zmąciło nieco przyjęcie, jakiego doznała ze strony najrzęczniejszej kobiety na dworze, słynnej margrabiny Raversi, skończonej intrygantki, stojącej na czele stronnictwa przeciwnego hrabiemu Mosca. Chciała go obalić, i to tym bardziej, iż była siostrzenicą diuka Sanseverina i obawiała się, że uroki nowej diuszesy mogą zagrażać jej sukcesji.

— Raversi to nie jest bynajmniej kobieta, którą można by lekceważyć — rzekł hrabia do swej przyjaciółki — uważam ją tak dalece za zdolną do wszystkiego, że rozstałem się z żoną jedynie dlatego, że upierała się wziąć za kochanka kawalera Bentivoglio, jednego z przyjaciół margrabiny. Dama ta, *virago*<sup>34</sup> o bardzo czarnych włosach, zwracająca uwagę diamentami, które nosiła od rana, i różem, którym powlekała policzki, zajęła od początku wrogie stanowisko wobec księżnej i na recepcji u siebie uważała za właściwe rozpocząć kroki wojenne. W listach, które pisywał z ..., Sanseverina zdawał się tak zachwycony swoją ambasadą, a zwłaszcza nadzieją wstęgi, iż rodzina lękała się, aby nie zostawił części majątku żonie, którą zasypywał podarkami. Pani Raversi, mimo iż zdecydowanie brzydka, miała kochanka, hrabiego Balbi, najładniejszego mężczyznę na dworze; w ogóle udawało się jej wszystko, co podjęła.

Księżna prowadziła dom na największej stopie. Pałac Sanseverina był zawsze jednym z najwspanialszych w Parmie, a książę, z okazji swej ambasady oraz przyszłej wstęgi, wydawał grube sumy na upiększenie go; pani Sanseverina kierowała robotami.

Hrabia odgadł: niedługo po przedstawieniu księżnej zjawiała się na dworze młoda Klelia Conti, zrobiono ją kanoniczką. Aby odwrócić cios, jakim ten fawor mógł się wydawać dla wpływów hrabiego, pani Sanseverina wyprawiała zabawę pod pozorem inauguracji ogrodu i z właściwym sobie wdziękiem uczyniła Klelię — którą nazywała swą młodą przyjaciółką znaną z Como — królową wieczoru. Cyfra Klelii zjawiała się, niby przypadkiem, na transparencie. Młoda Klelia, mimo iż nieco zadumana, mile wspomniła przygodę nad jeziorem oraz wyraziła swą wdzięczność. Mówiono o niej, że jest bardzo pobożna i skłonna do samotności. „Założyłbym się, mówił hrabia, że jest na tyle inteligentna, iż wstydzi się za ojca.” Księżna zaprzyjaźniła się z młodą panną, czuła do niej sympatię, nie chciała się okazać zazdrosna i wciągała ją do wszystkich swoich zabaw; słowem, systemem jej było łagodzić nienawiści, których hrabia był przedmiotem.

Wszystko uśmiechało się jej; bawiła się tą egzystencją dworską, w której wciąż trzeba się lękać burzy; miała uczucie, że zaczyna na nowo żyć. Czuła wiele tkliwości i przywiązania do hrabiego, który po prostu szalał ze szczęścia. Szczęście, którego kosztował, dawało mu doskonale zimną krew we wszystkim, co dotyczyło jedynie ambicji. Toteż w niespełna dwa miesiące po przybyciu księżnej uzyskał stanowisko pierwszego ministra, wielce już bliskie — co się tyczy honorów — stanowiska samego panującego. Hrabia miał nieograniczony wpływ na swojego pana, a świeży ten dowód poruszył całą Parmę.

Na południowy wschód, o dziesięć minut od miasta, wznosi się słynna cytadela, tak głośna we Włoszech, z wieżą wysoką na sto osiemdziesiąt stóp i widną z daleka. Wieża ta, zbudowana na wzór mauzoleum Adriana w Rzymie przez książąt Farnese<sup>35</sup>, wnuków Pawła III, z początkiem XVI wieku, jest tak obszerna, iż na tarasie, który ją wieńczy, można było zbudować pałac dla gubernatora cytadeli i nowe więzienie zwane wieżą Farnese. Więzienie to, zbudowane na cześć najstarszego syna Ranucjusza Ernesta II, który został kochankiem swej świekry, uchodziło za bardzo piękne i osobliwe. Pani Sanseveri-

<sup>34</sup>*virago* — megiera. [przypis redakcyjny]

<sup>35</sup>*Wieża Farnese* — w rzeczywistości nie istniała w Parmie. [przypis tłumacza]

na zapragnęła je zwiedzić; dnia tego upał był straszliwy, na górze zaś znalazła przewiew, co ją tak zachwyciło, że spędziła tam kilka godzin. Otworzono jej skwapliwie sale wieży Farnese.

Na tarasie wielkiej wieży księżna spotkała biednego liberała, który zażywał tam półgodzinnej przechadzki, udzielanej więźniom co trzy dni. Za powrotem księżna, która nie nabyła jeszcze dyskrecji potrzebnej na absolutnym dworze, wspomniała o tym człowieku, który jej opowiedział całe swoje życie. Stronnictwo Raversi podchwyciło słowa Giny i powtarzało je na prawo i lewo w nadziei, że podrażnią księcia. W istocie, Ernest IV mawiał często, iż najważniejsza rzecz to działać na wyobraźnię. „Zawsze to jest wielkie słowo — powiedział — i straszliwsze we Włoszech niż gdzie indziej.” Wskutek tego w życiu swoim nie użył łaski. W tydzień po wizycie w fortecy pani Sanseverina uzyskała złagodzenie kary, podpisane przez panującego i przez ministra z nazwiskiem in blanco. Więzień miał otrzymać zwrot całego mienia oraz pozwolenie dożycia dni w Ameryce. Wpisała nazwisko człowieka, który z nią mówił. Niestety, była to licha figura, słaba dusza; jego zeznania sprawiły niegdyś, że słynnego Ferranta Palla skazano na śmierć.

Niezwykłe to ulaskawienie doprowadziło do zenitu pozycję pani Sanseverina. Mosca szalał ze szczęścia; piękna ta epoka jego życia wywarła stanowczy wpływ na los Fabrycego. Chłopiec siedział wciąż w Romagnano, blisko Nowary; spowiadał się, polował, nie czytał nic i umizgał się do szlachetnie urodzonej damy, jak zalecała jego instrukcja. Księżna była wciąż nieco krzywa o tę ostatnią konieczność. Drugą niebezpieczną dla hrabiego oznaką było to, iż księżna, zresztą bezwzględnie z nim szczerą, myśląca po prostu głośno w jego obecności, nie wspominała mu nigdy o Fabrycym, nie rozważywszy wprzód dobrze każdego słowa.

— Jeżeli chcesz — rzekł pewnego razu hrabia — napiszę do twego braciszka nad Como. Przy pewnym wysiłku moim i moich przyjaciół uda się nam może skłonić margrabiego del Dongo, aby się postarał o łaskę dla sympatycznego kuzynka. Jeżeli to prawda, o czym nie chcę wątpić, że Fabrycy wyrasta ponad młodych ludzi, którzy obnoszą się na angielskich konikach po ulicach Mediolanu, cóż to za życie — mając lat osiemnaście nie robić nic i mieć widoki zawsze nie robić nic! Gdyby niebo użyło mu szczerzej pasji do czegoś, bodaj do rybołówstwa, uszanowałbym ją: ale co on będzie robił w Mediolanie nawet po ulaskawieniu? Będzie o stałej godzinie dosiadał wierzchowca sprowadzonego z Anglii; o innej godzinie beczynność zawiedzie go do kochanki, którą będzie mniej kochał niż konia... A jeśli rozkażesz, postaram się zapewnić to życie twemu bratankowi.

— Chciałabym go widzieć oficerem — rzekła księżna.

— Czy radziłabyś jakiemu panującemu, aby powierzył stanowisko, które może mieć pewnego dnia swoją wagę, młodemu człowiekowi: primo, zdolnemu do entuzjazmu; secundo, który okazał entuzjazm dla Napoleona do tego stopnia, iż pognał za nim pod Waterloo? Pomyśl, czym bylibyśmy wszyscy, gdyby Napoleon zwyciężył pod Waterloo! Nie trzeba by nam się lękać liberałów, to prawda; ale monarchowie ze starożytnych dynastii nie mogliby się utrzymać przy tronie inaczej niż żeniąc się z córkami marszałków. Tak więc dla Fabrycego kariera wojskowego to los wiewiórki w klatce: wiele ruchu, ani kroku naprzód. Będzie patrzył, jak go wyprzedza każdy wytrwały plebejusz. Pierwszą zaletą młodego człowieka dzisiaj, może przez pięćdziesiąt lat, jak długo będziemy czuli strach i jak długo religia nie odzyska władzy, to nie być entuzjastą i nie myśleć.

Przyszło mi do głowy jedno, ale to jest rzecz, na którą zrazu się okrzykniesz, a mnie sprawi ona wiele kłopotów, i to nie na dzień ani dwa: jest to szaleństwo, które chcę popełnić dla ciebie. Ale powiedz mi, jeśli wierzysz, jakiego szaleństwa nie zrobiłbym, aby uzyskać jeden uśmiech.

— A więc? — spytała księżna.

— A więc! Mieliśmy w Parmie trzech arcybiskupów z waszej rodziny: Ascania del Dongo, który pisywał w r. 16.., Fabrycego w r. 1699 i drugiego Ascania w 1740. Jeśli Fabrycy zechce pójść drogą infuły i odznaczyć się cnotami, zrobię go gdzieś tam biskupem, a potem arcybiskupem tutaj, o ile wpływ mój potrwa. Realny zarzut jest ten: czy będę ministrem dość długo, aby urzeczywistnić ten piękny plan wymagający wielu lat? Książę może umrzeć, może wpaść na ten koncept, aby mi dać dymisję. Ale ostatecznie jest to jedyny środek, jakim rozporządzam, aby uczynić dla Fabrycego coś, co by było godne ciebie.

Dyskusja trwała długo — myśl ta była dla księżnej bardzo odpychająca.

— Dowiedz mi jeszcze — rzekła do hrabiego — że wszelka inna kariera niemożliwa jest dla Fabrycego.

Hrabia dowiódł.

— Żałujesz — rzekł — świętego munduru; ale na to nie umiem nic poradzić.

Po miesiącu namysłu, którego zażądała, księżna poddała się z westchnieniem roztropnym poglądom ministra.

— Dosiadać z nadętą miną angielskiego konia w jakimś dużym mieście — powtarzał hrabia — lub obracć zawód zgodny z jego urodzeniem; nie widzę pośredniej drogi. Na nieszczęście szlachcic nie może zostać ani lekarzem, ani adwokatem; a nasza epoka należy do adwokatów. Pamiętaj, bądź co bądź — powtarzał hrabia — że zapewniasz swemu bratankowi na bruku Mediolanu los, jakim cieszą się ci z jego rówieśników, którzy uchodzą za najszcześniejszych. Wyjednawszy ulaskawienie możesz mu dać piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści tysięcy franków, mniejsza ile: ani ty, ani ja nie zamierzamy robić oszczędności.

Księżna była czuła na sławę; nie chciała, aby Fabrycy był prostym darmożjadem; wróciła do planu swego kochanka.

— Zauważ — rzekł hrabia — że ja nie mam pretensji zrobić z Fabrycego wzorowego księdza, jakich spotyka się tyłu. Nie, to przede wszystkim wielki pan; może być nieukiem, jeśli ma ochotę, mimo to zostanie biskupem i arcybiskupem, o ile księciu nadal będą potrzebny.

Jeśli na twoje rozkazy propozycja moja zmieni się w niewzruszony wyrok — dodał hrabia — nie trzeba, aby Parma oglądała naszego pupila w jego początkach. Kariera jego raziłaby, gdyby go tu widziano jako zwykłego księdza; winien pojawić się w Parmie dopiero w fioletowych pończochach<sup>36</sup> i należyście wyekwipowany. Wszyscy się domyślą, że twój bratanek ma zostać biskupem, i nikt się tym nie zgorszy.

Posłuchaj mnie, wyślij Fabrycego na trzy lata teologii do Neapolu. Podczas wakacji może pojechać do Paryża i Londynu, ale nie pokaże się w Parmie.

Ostatnie zdanie przejęło księżnę jak gdyby dreszczem.

Wyśłała kuriera do bratanka i naznaczyła mu spotkanie w Placencji. Trzeba dodać, że ten kurier zawiózł mu potrzebne pieniądze i paszport.

Przybywszy pierwszy do Placencji, Fabrycy pobiegł naprzeciw księżnej i uściskał ją z uniesieniem, które wycisnęło jej łzy. Szczęśliwa była, że hrabiego nie było przy tym; od czasu ich stosunku pierwszy raz doznała tego wrażenia.

Plany księżnej dotyczące jego osoby zrazu wzruszyły głęboko, a potem zmartwiły Fabrycego; zawsze miał nadzieję, iż po umorzeniu sprawy z Waterloo zostanie w końcu żołnierzem. Jedno uderzyło księżnę i pomnożyło jeszcze romantyczną opinię o bratanku: mianowicie, iż odrzucił stanowczo myśl o kawiarnianym życiu w jednej ze stolic Włoch.

— Wyobrażasz sobie siebie na Corso we Florencji albo Neapolu — powiedziała księżna — na koniku angielskim czystej krwi? Wieczorem powóz, ładne mieszkanie itd. — Z przyjemnością rozwodziła się nad tym pospolitym szczęściem, które Fabrycy odpychał ze wzgardą.

„To bohater!” — myślała.

— A po dziesięciu latach tego przyjemnego życia cóż osiągnę — powiedział Fabrycy — czym będę? Młodym człowiekiem *dojrzałym*, który musi ustąpić pierwszemu z brzegu chłoptasiowi wchodzącemu w świat również na angielskim koniu.

Zrazu Fabrycy odrzucił bezwzględnie myśl o karierze duchownej; mówił o wyjeździe do Ameryki, aby zostać obywatelem i żołnierzem republikańskim.

— Cóż za złudzenie? Nie będzie wojny i popadniesz znowu w życie kawiarniane, tylko bez wykwintu, bez muzyki, bez miłości — odparła księżna. — Wierz mi, dla ciebie jak i dla mnie życie w Ameryce byłoby bardzo smutne.

Wy tłumaczyła mu kult *boga* — dolara oraz ten szacunek, jaki trzeba mieć dla pospolitych rzemieślników, którzy głosami swymi rozstrzygają o wszystkim. Wrócili do infuły.

<sup>36</sup>w fioletowych pończochach — we Włoszech młody człowiek posiadający protekcję albo wysoką naukę zostaje monsignorem lub prałatem, co nie oznacza biskupa, wówczas nosi fioletowe pończochy. Aby zostać monsignorem, nie trzeba składać ślubu, można zdjąć fioletowe pończochy i ożenić się. [przypis autorski]



— Nim się zaczniesz burzyć — rzekła księżna — zrozum, czego hrabia od ciebie żąda: nie chodzi tu o to, aby być biednym księdzem mniej lub więcej przykładnym i cnotliwym jak ksiądz Blanès. Przypomnij sobie, czym byli twoi stryjowie, arcybiskupi parmeńscy, odczytaj sobie ich życiorysy w dodatku do historii twego rodu. Przede wszystkim człowiek o twoim nazwisku powinien być wielkim panem, szlachcicem, hojnym, tarczą sprawiedliwości, przeznaczonym z góry na to, aby stać na czele... i przez całe życie zrobić tylko jedno łajdactwo, ale bardzo korzystne.

— Tak więc wszystkie moje złudzenia spłynęły z wodą — powiedział Fabrycy, wzdychając głęboko — ciężka, zaiste, ofiara! Wyznaję, że nie zdawałem sobie sprawy z tego wstrętu do zapału i inteligencji, nawet obróconych na ich pożytek, jaki odtąd będą odczuwali samowładni monarchowie.

— Pomyśl, że jedna proklamacja, jeden kaprys serca może pchnąć entuzjastę do stronnictwa przeciwnego temu, któremu służył całe życie!

— Ja, entuzjasta! — powtórzył Fabrycy. — Toż ja nie mogę się nawet zakochać!

— Jak to?! — wykrzyknęła księżna.

— Kiedy mam zaszczyt zalecać się do pięknej damy, nawet szlachetnie urodzonej i pobożnej, mogę myśleć o niej tylko póty, póki ją widzę.

Wyznanie to sprawiło osobliwe wrażenie na księżnej.

— Proszę o miesiąc — podjął Fabrycy — abym się mógł pożegnać z panią C... w Nowarze, i co jeszcze trudniejsze, z zamkami na lodzie całego życia. Napiszę do matki, która zechce może odwiedzić mnie w Belgirate, na piemonckim brzegu Lago Maggiore, w miesiąc zaś później będę incognito w Parmie.

— Nie waż się! — krzyknęła księżna.

Nie chciała, aby Mosca widział ją z Fabrycym.

Jeszcze raz spotkali się w Placencji. Tym razem księżna była bardzo podniecona: burza wszczęła się na dworze; stronnictwo margrabiny Raversi bliskie było tryumfu, możebne było, że miejsce hrabiego Mosca zajmie generał Fabio Conti, głowa tego, co w Parmie zwało się *stronnictwem liberalnym*. Wyjąwszy nazwiska rywala, który rósł w łasce panującego, księżna powiedziała Fabrycemu wszystko. Roztrząsała na nowo widoki jego przyszłości, nawet w razie gdyby mu zabrakło wszechpotężnego poparcia hrabiego.

— Mam spędzić trzy lata w Akademii Duchownej w Neapolu — wykrzyknął Fabrycy — ale skoro mam być przede wszystkim młodym arystokratą i skoro nie żądasz, abym prowadził życie cnotliwego seminarzysty, pobyt w Neapolu nie przeraża mnie wcale; to nie będzie gorsze niż życie w Romagnano: tamtejsze towarzystwo zaczynało mnie uważać za jakobina. Na mym wygnaniu odkryłem, że nie umiem nic, nawet łaciny, nawet ortografii. Miałem zamiar rozpocząć na nowo edukację w Nowarze, będę chętnie studiował teologię w Neapolu: to wiedza nader skomplikowana.

Księżna była zachwycona.

— Jeśli nas wypędzą — powiedziała — odwiedzimy cię w Neapolu. Ale skoro goździsz się na razie wdziać fioletowe pończochy, hrabia, który zna dzisiejsze Włochy, kazał ci powiedzieć jedno. Wierz albo nie wierz w to, czego cię będą uczyli, *ale nie podnoś nigdy żadnych zarzutów...* Wyobraź sobie, że cię uczą gry w wista; czy spierałbyś się z regułami wista? Powiedziałam hrabiemu, że wierzysz, i bardzo ci to chwalił; to jest pożyteczne na tym świecie i na tamtym. Ale jeżeli wierzysz, nie popadaj w tę pospolitość, aby mówić ze wstrętem o Wolterze, Diderocie, Raynalu, wszystkich tych pomyślonych Francuzach, prekursorach parlamentaryzmu. Niech te nazwiska rzadko zjawiają się w twoich ustach; ale ostatecznie, kiedy trzeba, mów o tych panach ze spokojną ironią: to ludzie od dawna pognębeni, ataki ich nie mają już znaczenia. Wierz ślepo we wszystko, co ci powiedzą w Akademii. Pomyśl, że będą ludzie, którzy zarejestrują w pamięci twój najłżejszy zarzut; przebaczą ci miłośćkę, o ile będzie zręcznie poprowadzona, ale nie wątpliwość — wiek każe zapomnieć o miłostkach, a pogłębia wątpliwość. Trzymaj się tej zasady przy konfesyonalach. Będziesz miał list do biskupa, totumfackiego przy kardynale w Neapolu; jemu jednemu możesz wyznaczyć swoją wyprawę do Francji i obecność 18 czerwca w okolicach Waterloo. Zresztą skracaj mocno, bagatelizuj przygodę, wyznaj ją tylko, aby ci nie można było zarzucić, żeś ją ukrył. Byłeś tak młody!

Druga rada, jaką hrabia ci daje, jest następująca: Jeśli ci się nasunie jakiś świetny argument, jakaś nieodparta replika zmieniająca bieg rozmowy, nie ulegaj pokusie olśniewa-

nia, umiej zmilczeć; sprytni ludzie wyczytają inteligencję w twoich oczach. Będzie czas na wszystko, kiedy zostaniesz biskupem.

Fabrycy rozpoczął życie w Neapolu, mając całej parady skromną kolaskę i czterech służących, poczciwych mediolańczyków, których ciotka mu przysłała. Po roku nauki nikt nie wychwalał jego zdolności: uważano go za młodego pana, dosyć pilnego, bardzo hojnego, lecz trochę libertyna.

Ten rok, dość zabawny dla Fabrycego, straszliwy był dla księżnej. Hrabia był parę razy o krok od zguby; książę, bardziej wystraszony niż kiedykolwiek, gdyż był tego roku chory, sądził, iż oddalając hrabiego zrzuci z siebie odium egzekucji dokonanych przed jego urzędowaniem. Rassi był ukochanym faworytem, którego chciał utrzymać przede wszystkim. Niebezpieczeństwo hrabiego sprawiło, iż księżna pokochała go całą duszą; nie myślała już o Fabrycym. Aby znaleźć pozór dla usunięcia się, wspominali często, iż klimat Parmy, w istocie nieco wilgotny jak w całej Lombardii, nie służy jej zdrowiu. Wreszcie po okresach niełaski, które dochodziły do tego, że minister czasem po trzy tygodnie nie widywał zupełnie swego pana, Mosca zwyciężył; zamianował generała Fabio Conti, rzekomego liberała, gubernatorem cytadeli, gdzie zamykano liberałów z wyroku Rassiego.

— Jeżeli Conti okaże się pobłażliwy dla więźniów — powiedział Mosca do przyjaciółki — oddał go jako jakobina, któremu zasady polityczne każą zapominać o obowiązkach generała; jeśli się okaże nieubłagany, a sądzę, iż raczej przechyli się w tę stronę, przestanie być głową własnego stronnictwa i straci zaufanie rodzin, które mają w cytadeli swoich. Nieborak ten umie płaszczyć się przed księciem; w potrzebie przebierze się cztery razy jednego dnia; może zabierać głos w sprawach etykiety, ale to nie jest głowa zdolna iść stromą drogą, na której jedynie zdołałby się ocalić; na wszelki zaś wypadek ja tu jestem.

Nazajutrz po mianowaniu generała, które zakończyło przesilenie, rozeszła się wieść, że w Parmie powstaje dziennik ultramonarchistyczny.

— Ileż waśni zrodzi ten dziennik! — mówiła księżna.

— Pomysł tego dziennika to moje arcydzieło — rzekł hrabia, śmiejąc się — stopniowo pozwolę wściekłym reakom, aby mi, jakby wbrew mej woli, wydarli jego kierownictwo. Wyposażyłem stanowiska redaktorów ładną pensyjką. Ze wszystkich stron będą zabiegali o te miejsca; sprawa ta zabawi dwór jaki miesiąc lub dwa i pozwoli zapomnieć o niebezpieczeństwach, jakie świeżo przeżyłem. Tak poważne osobistości jak panowie P... i D... już zgłosiły kandydaturę.

— Ale ten dziennik będzie ohydnie głupi.

— Liczę na to — odpowiedział hrabia. — Książę będzie go czytał co rano i będzie podziwiał moje zasady jako założyciela. Co do szczegółów, jedno będzie mu się podobało, drugie skrytykuje; w każdym razie mamy już zajęte dwie godziny z tych, które poświęcę rządowi. Dziennik ściągnie na siebie różne pretensje, ale w epoce, gdy się zjawia poważne skargi, za osiem lub dziesięć miesięcy, będzie już całkowicie w rękach zajadłych reaków. To stronnictwo, które mi jest kulą u nogi, będzie za niego odpowiadać: ja będę stawiał zarzuty dziennikowi. W gruncie wolę sto straszliwych bredni niż jedną szubienicę. Któż pamięta o jakimś głupstwie w dwa lata po wyjściu numeru urzędowego dziennika! Natomiast synowie i rodziny powieszzonego przysięgają mi nienawiść, która będzie trwała póki mego życia, a może nawet je skróci.

Księżna, wciąż zapalona do czegoś, wciąż w ruchu, nigdy beczynna, miała więcej rozumu niż parmeński dwór; ale brakło jej owej cierpliwości i zimnej krwi, które są rękomią powodzenia w intrygach. Bądź co bądź nauczyła się śledzić z zainteresowaniem grę stronnictw, zaczynała nawet mieć osobisty wpływ na księcia. Klara Paulina, panująca księżna, darzona honorami, ale uwięziona w przestarzałej etykietce, uważała się za najniezwyklejszą z kobiet. Gina otoczyła ją względami i postanowiła dowiedzieć jej, że nie jest tak nieszczęśliwa. Trzeba wiedzieć, że książę widywał żonę jedynie przy obiedzie; posiłek ten trwał pół godziny, a mijały niekiedy tygodnie, że książę nie odezwał się do Klary Pauliny. Pani Sanseverina próbowała to zmienić; starała się zabawić księcia, tym lepiej iż umiała zachować niezawisłość. Gdyby nawet chciała, nie mogłaby nie zranić każdego z głupców, od których roilo się na dworze. Ta jej nieudolność w tym kierunku sprawiła, iż ogół dworaków — wszystko hrabiowie albo margrabiowie, posiadający pięć tysięcy funtów renty — nienawidzili jej. Zrozumiała to nieszczęście od pierwszego dnia i starała

się przypodobać jedynie panującemu i jego małżonce, która znów miała nieograniczony wpływ na księcia-następcę. Umiała zabawić księcia i korzystała ze szczególnej uwagi, jaką poświęcał jej każdemu słowu, aby przypinać łatki dworakom, którzy jej nienawidzili. Od czasu głupstw, do których pchnął go Rassi — a głupstwa krwawe nie są do naprawienia — książę bał się niekiedy, a nudził się zawsze, co zrodziło w nim smutną zawiść; czuł, że się nie bawi, a stawał się ponury, kiedy mu się zdawało, że inni się bawią; widok szczęścia przyprawiał go o wściekłość.

— Trzeba ukrywać naszą miłość — mówiła pani Sanseverina do kochanka; i pozwalała się domyślać księciu, że miłość gra już umiarkowaną rolę w stosunku jej do hrabiego, skądinąd tak godnego szacunku.

Odkrycie to dało Jego Dostojności szczęśliwy dzień. Od czasu do czasu księżna wspominała coś w tym duchu, iż pragnie zapewnić sobie co roku kilkumiesięczny urlop i obrócić go na zwiedzanie Włoch, których nie zna; pragnęła odwiedzić Neapol, Florencję, Rzym. Otóż nic na świecie nie mogło sprawić księciu większej przykrości niż taka dezercja: słabostką jego było, iż wszystko, co mogło wyrażać lekceważenie jego stolicy, było mu bardzo bolesne. Czuł, że nie ma żadnego sposobu, aby zatrzymać panią Sanseverina, a Sanseverina była bez żadnego porównania kobietą najświetniejszą w Parmie. Rzecz niezwykła wobec włoskiego lenistwa — szlachta z okolicy zjeżdżała na jej *czwartki*, było to prawdziwe święto: prawie zawsze księżna miała coś nowego i zajmującego. Książę umierał z ochoty znalezienia się na którymś z tych czwartków, ale jak to zrobić? Iść do zwykłego poddanego? To rzecz, której ani jego ojciec, ani on sam nie uczynili nigdy!

Pewnego czwartku deszcz padał, było zimno; co chwila książę słyszał na placu pałacowym turkot powozów śpieszących do pani Sanseverina. Na chwilę zdjęło go zniecierpliwienie: inni bawią się, a on, monarcha, samowładny pan, który powinien się bawić bardziej niż ktokolwiek, on się nudzi! Zadzwoił na adiutanta. Trzeba było czasu, aby rozmieścić tuzin pewnych ludzi w ulicy prowadzącej od pałacu Jego Dostojności do pałacu Sanseverina. Wreszcie po godzinie, która wydała się księciu wiekiem i podczas której dwadzieścia razy miał ochotę narazić się na sztylety i wyjść z domu na ośle, bez żadnych ostrożności, zjawił się w pierwszym salonie pani Sanseverina. Piorun nie sprawiłby takiego wrażenia. W mgnieniu oka, w miarę jak książę się posuwał, w gwarnych i wesołych salach zalegało tępe milczenie: wszystkie oczy, szeroko rozwarte, wlepione były w księcia. Dworzanie wydawali się zbici z tropu; jedna gospodyni domu nie okazała zdziwienia. Kiedy wreszcie towarzystwo odzyskało mowę, głównym zajęciem obecnych było roztrząsanie tej ważnej kwestii: czy księżna wiedziała o tej wizycie, czy też zaskoczyła ją ona tak jak wszystkich.

Książę wydawał się rad z zabawy. Pod koniec wizyty zaszło coś, co dobrze maluje samorzutny charakter księżnej oraz siłę, jaką jej dały owe zręczne zapowiedzi wyjazdu.

Kiedy odprowadzała księcia, który obsypywał ją komplementami, przyszła jej do głowy osobliwa myśl — odważyła się wyrazić ją z zupełną prostotą, niby coś naturalnego.

— Gdyby Wasza Dostojność zechciał użyzyć księżnej małżonce nieco tych uroczych słówek, którymi mnie obsypuje, uszczęśliwiłby mnie Wasza Dostojność z pewnością bardziej niż powiadając mi, że jestem ładna. Nie chciałabym za nic w świecie, aby księżna mogła złym okiem patrzeć na ten bezcenny dowód łaski, jakim Wasza Dostojność raczył mnie obdarzyć.

Książę zmierzył ją oczyma i rzekł oschle:

— Sądzę, że mam prawo chodzić, dokąd mi się podoba.

Pani Sanseverina zarumieniła się.

— Chciałam tylko — odparła — oszczędzić Waszej Dostojności daremnej drogi, gdyż ten czwartek będzie ostatni: mam zamiar spędzić kilka dni w Bolonii lub we Florencji.

Kiedy księżna wróciła do salonów, wszyscy sądzili, że jest u szczytu łaski, gdy ona ważyła się na coś, na co za ludzkiej pamięci nikt nie odważył się w Parmie. Skinęła na hrabiego, który opuścił wista i udał się za nią do oświetlonego, ale pustego saloniku.

— Ważyłaś się na rzecz bardzo śmiałą — rzekł — nie byłbym ci tego doradzał. Ale w prawdziwie kochającym sercu — dodał, śmiejąc się — szczęście pomnaża miłość. Jeśli opuścisz Parmę jutro rano, jadę za tobą wieczorem. Zatrzymałby mnie jedynie kłopoty z ministerstwem finansów, w które tak głupio się ubrałem; ale dobrze popracowałem kilka godzin, można zdać niejedną kasę. Wracajmy, droga moja, do salonu i puszmy

się naszym faworem z całą swobodą; to może nasz ostatni występ w tym mieście. O ile książę uważa, żeś go obraziła, ten człowiek zdolny jest do wszystkiego — nazywa to *dawać przykład*. Gdy się wszyscy rozejdą, zastanowimy się nad sposobem zabarykadowania się na tę noc; najlepiej byłoby może jechać bezzwłocznie do tej willi w Sacca nad Padem, która ma tę zaletę, że jest ledwie o pół godziny od Stanów Austriackich.

Miłość i ambicja księżnej miały rozkoszną chwilę: spojrziała na hrabiego i oczy jej zwilżyły się łzami. Minister tak potężny, otoczony ciżbą dworaków, którzy oddawali mu holdy niemal jak panującemu, wszystko gotów opuścić dla niej, i tak lekko!

Wracając na salony była upojona radością. Wszyscy korzyli się przed nią.

— Jak szczęście odmienia tę kobietę! — powtarzali dworacy. — Jest nie do poznania. Wreszcie ta rzymska dusza, tak wyższa ponad wszystko, raczy oceniać niesłychaną łaskę monarchy!

Pod koniec wieczoru hrabia zbliżył się do niej.

— Muszę pani oznajmić nowinę.

Natychmiast osoby stojące w pobliżu księżnej oddaliły się.

— Za powrotem do pałacu — ciągnął hrabia — książę kazał się oznajmić u swojej żony. Pomyśl, co za zdumienie! „Przychodzę — rzekł — aby Waszej Dostojności zdać sprawę z bardzo doprawdy miłego wieczoru, który spędziłem u pani Sanseverina. Sama prosiła mnie, abym ci opowiedział, w jaki sposób urządziła ten zapleśniały pałac.” Za czym książę, siadłszy, zaczął po kolei opisywać twoje salony.

Spędził przeszło dwadzieścia pięć minut u żony, która płakała ze szczęścia; mimo swej inteligencji nie umiała znaleźć ani słowa, aby podtrzymać rozmowę w lekkim tonie, jaki Jego Dostojność raczył jej nadać.

Ów książę nie był zły człowiek, co bądź by o nim mówili włoscy liberałowie. Prawda, iż sporo ich wtrącił do więzienia, ale to tylko ze strachu. Powtarzał często, jak gdyby chcąc się pocieszyć po pewnym wspomnieniu: „Lepiej zabić diabła, niż żeby diabeł zabił nas.” Nazajutrz po wieczorze, któryśmy właśnie opisali, był rozpromieniony; spełnił dwa piękne uczynki: poszedł na czwartek i przemówił do żony. Przy obiedzie znów odezwał się do niej; słowem, ten *czwartek* pani Sanseverina sprowadził rewolucję domową, którą rozbrzmiewała cała Parma; margrabina Raversi była pognębiona, a księżna Sanseverina miała podwójną radość: mogła się przysłużyć swemu kochankowi i przekonała się, że on ją kocha bardziej niż kiedykolwiek.

— A wszystko sprawił koncept, który mi strzelił do głowy! — mówiła do hrabiego. — Byłabym niewątpliwie swobodniejsza w Rzymie lub w Neapolu, ale czy znalazłabym tam tak podniecającą grę? Nie, to pewna, że nie, drogi hrabio; i dzięki tobie jestem szczęśliwa.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dzieje czterech następnych lat trzeba by wypełnić dworskimi anegdotami, równie błahymi jak te, które opowiedzieliśmy przed chwilą. Co wiosnę margrabina spędzała z córkami parę miesięcy w pałacu Sanseverina lub w willi Sacca nad Padem; czas mijał tam bardzo lubo, rozmawiano wiele o Fabrycym; ale hrabia nie pozwolił mu ani razu przybyć do Parmy. Księżna i minister musieli wprawdzie naprawiać tę lub ową lekkomyślność chłopca, ale na ogół Fabrycy trzymał się dość statecznie linii, którą mu wytyczono: wielki pan, który studiuje teologię, ale w karierze swojej nie zanadto liczy na swą cnotę. W Neapolu zapalił się do archeologii; szukał wykopalisk, namiętność ta zastąpiła u niego pasję do koni. Sprzedał swoje angielskie konie, aby kopać w Mizenie, gdzie znalazł biust młodego Tyberiusza, zaliczony do najpiękniejszych zabytków. Odkrycie tego biustu było niemal najżywszą przyjemnością, jakiej zaznał w Neapolu. Miał duszę zbyt hardą, aby naśladować innych, na przykład odgrywać serio rolę kochanka. Nie brakło mu kobiet, zapewne; ale nie miały dlań znaczenia. Mimo jego wieku można było powiedzieć, że nie znał miłości; za co kochały go tym więcej. Nic nie broniło mu działać z najdoskonalszą zimną krwią; młoda i ładna kobieta była dlań zawsze tyle warta, co inna młoda i ładna kobieta; z tą różnicą, że ostatnia z brzegu wydawała mu się bardziej nęcąca. Jedną z najbardziej uwielbianych dam w Neapolu robiła dlań szaleństwa przez ostatni rok jego pobytu; zrazu bawiło go to, później znudziło do tego stopnia, iż jednym z uroków odjazdu stało się to, że uwolnił się od względów ślicznej księżnej d'A... W 1821 roku, kiedy zdał jako tako

wszystkie egzaminy, gubernator jego otrzymał order i podarek, on zaś ruszył wreszcie do owej sławnej Parmy, o której myślał często. Był monsignorem, miał powóz i cztery konie; na stacji przed samą Parmą wziął tylko dwa, a w mieście kazał się zatrzymać przed kościołem Świętego Jana. Tam znajdował się bogaty grobowiec arcybiskupa del Dongo, jego stryjecznego pradziadka, autora *Genealogii łacińskiej*. Pomodlił się przy jego grobie, po czym przybył pieszo do księżnej, która spodziewała się go dopiero za kilka dni. Miała gości; niebawem zostawiono ją samą.

— I cóż, rada jesteś ze mnie? — rzekł, rzucając się jej w ramiona. — Dzięki tobie spędziłem cztery dość miłe lata w Neapolu zamiast nudzić się w Nowarze obok kochanki zatwierdzonej przez policję.

Księżna nie mogła ochłonąć ze zdumienia; na ulicy nie byłaby go poznała; wydał się jej — jak było w istocie — jednym z najprzystojniejszych mężczyzn we Włoszech; wyraz zwłaszcza miał coś uroczonego. Wysłała go do Neapolu jako śmiałego urwisa; szpicróżga, jaką nosił wówczas ciągle, zdawała się nieodłączną częścią jego istoty; obecnie miał wzięcie bardzo szlachetne i bardzo opanowane wobec obcych, sam na sam zaś odnajdywała w nim cały ogień pierwszej młodości. Był to diament, który nie stracił nic na oszlifowaniu. Nie było godziny, jak Fabrycy bawił u ciotki, kiedy nadszedł hrabia Mosca; przybył nieco za wcześnie. Młody człowiek wyraził się w tak dobranych słowach o orderze danym jego gubernatorowi, a wdzięczność swą za inne dobrodziejstwa, o których nie śmiał mówić jasno, wysłowił z tak doskonałym taktem, iż od pierwszego rzutu oka minister ocenił go najkorzystniej.

— Bratanek twój — szepnął do księżnej — nie przyniesie ujmy żadnemu ze stanowisk, na które zechcesz go wynieść.

Dotąd wszystko szło jak najlepiej; ale kiedy minister, zachwycony Fabrycym i dający baczenie jedynie na jego słowa i gesty, spojrzął na księżną, uderzył go wyraz jej oczu. „Ten młody człowiek robi tu dziwne wrażenie” — rzekł sobie. Refleksja ta miała posmak goryczy; hrabia dobiegł *pięćdziesiątki*; jest to bardzo okrutny wyraz, którego dźwięk może odczuć jedynie człowiek szalenie zakochany. Hrabia był bardzo dobry, bardzo godzien kochania, jeśli pominiemy surowość jego jako ministra. Ale w jego oczach okrutna *pięćdziesiątka* powlekała czernią całe jego życie i była zdolna uczynić okrutnym znowu jego. Od pięciu lat pożycia w Parmie Gina często budziła jego zazdrość, zwłaszcza w pierwszych czasach, ale nigdy nie dała mu poważnego do niej powodu. Sądził — i słusznie — że jeśli księżna wyróżnia na pozór tego lub owego dworskiego lalusia, to dlatego, aby tym lepiej opanować sercem jego, hrabiego. Miała na przykład pewność, że odtrąciła względy samego panującego, który przy tej sposobności wyrzekł słówko wielce pouczające.

— Ależ, gdybym przyjęła hołdy Waszej Dostojności — rzekła księżna, śmiejąc się — z jakim czołem odważyłabym się stanąć przed hrabią?

— Byłbym prawie tak zawstydzony jak pani. Drogi hrabia! mój przyjaciel! Ale ten kłopot bardzo łatwo usunąć, myślałem już o tym: zamknęłoby się hrabiego do cytadeli na resztę życia.

W chwili przybycia Fabrycego księżna była tak szczęśliwa, że nie zastanawiała się, co jej oczy mogą nasunąć hrabiemu.. Wrażenie było głębokie, a podejrzenie nieuleczalne.

Książę przyjął Fabrycego w dwie godziny po jego przybyciu; pani Sanseverina, zdając sobie sprawę z korzystnego wrażenia, jakie ta improwizowana audiencja musi sprawić na publiczności, starała się o nią od dwóch miesięcy. Łaska ta dawała Fabrycemu od pierwszej chwili wyjątkowe stanowisko; pozorem było to, że młody człowiek przejeżdża jedynie przez Parmę, udając się do swej matki w Piemencie. W chwili gdy uroczy bilecik księżnej oznajmił władcy, że Fabrycy oczekuje jego rozkazów, Jego Dostojność nudził się. „Ujrzę — powiadał sobie — jakiego pociesznego bigota, z miną uniżoną lub obłąkaną. Komendant miasta zdał mi już sprawę z jego pierwszej wizyty u grobu wuja arcybiskupa.” Książę ujrzał rosłego młodzieńca, którego — gdyby nie fioletowe pończochy — byłby wziął za młodego oficera.

Niespodzianka ta spłoszyła nudę. „Oto chwat — rzekł sobie — dla którego będą mnie prosili o Bóg wie jakie fawory, wszystkie, jakimi mogę rozporządzać! Przybywa, musi być wzruszony; wyciągnę go na politykę jakobińską, zobaczymy, co mi odpowie.”

Po zdawkowych uprzejmościach książę rzekł:

— I cóż, *monsignore*, czy ludy Neapolu są szczęśliwe? Czy króla tam kochają?

— Wasza Dostojność — odparł Fabrycy bez wahania — podziwiałem, przechodząc ulicą, doskonałą postawę żołnierzy J. K. Mości; elita jest pełna szacunku dla swych panów, jak być powinno! Ale wyznaję, że nigdy w życiu nie zniósłbym, aby człowiek z gminu odezwał się do mnie o czym innym niż o robocie, za którą go płacę.

„Do kata! — pomyślał książę — co za *namaszczenie!* to mi ptaszek doskonale ułożony! Poznaję panią Sanseverina.” Książę, ubawiony, rozwinął wiele zręczności, aby rozgadać Fabrycego w tym drażliwym przedmiocie. Młody człowiek, podniecony niebezpieczeństwem, znajdował cudowne odpowiedzi.

— Jest to niemal zuchwałstwo — rzekł — objawiać swą miłość do króla; winni mu jesteście ślepe posłuszeństwo.

Tak daleko posunięta ostrożność niemal irytowała księcia. „Zdaje się — pomyślał — że to jakiś inteligentny jegomość zjechał nam z Neapolu; nie lubię *tego plemienia*; człowiek inteligentny, choćby wyznawał najlepsze zasady, i nawet szczerze, zawsze jest skuzynowany z Wolterem i Rousseau.”

Ta wzorowa postawa i nienaganne odpowiedzi młodzieńca wydały się księciu zuchwałstwem: zawiódł się. W mgnieniu oka przybrał ton dobroduszny i wjechawszy w kilku słowach na zasady rządu i społeczeństwa, wygłosił, przykrawając je do okoliczności, parę frazesów z Fénelona, których nauczone go na pamięć w dzieciństwie dla wygłaszania w czasie publicznych audiencji.

— Te zasady dziwią cię, młodzieńcze — rzekł do Fabrycego (nazwał go *monsignore* na początku audiencji i zamierzał uczcić go *monsignorem* przy pożegnaniu, ale w toku rozmowy uważał za korzystniejsze, podatniejsze dla patetycznych zwrotów wołać go poufałym przyjacielskim mianem) te zasady dziwią cię, młodzieńcze; wyznaję, iż nie są podobne do *tartynek absolutystycznych* (tak się wyraził), które możesz czytać co dzień w moim urzędowym dzienniku... Ale, dobry Boże, cóż ja ci cytuję? Dzienniki muszą być dla ciebie światem zupełnie nie znanym.

— Wasza Dostojność najlaskawiej wybaczy; nie tylko czytuję „Dziennik Parmeński”, który wydaje mi się wcale niezłe redagowany, ale uważam wraz z nim, że wszystko, co uczyniono od śmierci Ludwika XIV w roku 1715, jest zbrodnią i głupstwem. Najważniejsza sprawa dla człowieka to jego zbawienie, nie może być na tym punkcie różnicy zdań, a to szczęście ma trwać całą wieczność. Słowa *wolność, sprawiedliwość, szczęście mas* są bezpieczne i zbrodnicze; wszczepiają nałóg roztrząsań i nieufności. Izba poselska *nie ufa* temu, co ci ludzie nazywają *ministerium!* Skoro raz się zrodzi ten nieszczęsny nałóg, słabość ludzka stosuje go do wszystkiego, człowiek w końcu nie ufa Biblii, nakazom Kościoła, tradycji itd., i z tą chwilą jest zgubiony. Choćby nawet — twierdzenie to jest ohydny fałszem i zbrodnią — ta nieufność wobec powagi władców *pomazanych przez Boga* dawała szczęście przez jakieś dwadzieścia lub trzydzieści lat, do których każdy z nas może sobie rościć pretensje, cóż jest pół wieku albo cały wiek w porównaniu z wiekuiстыми mękami? itd.

Ze sposobu, w jaki Fabrycy mówił, widać było, iż stara się przelać swoją myśl w słuchacza; jasne było, że nie recytuje wyuczonej lekcji.

Niebawem książę poniechał walki z tym młodym człowiekiem, którego prostota i powaga onieśmielały go.

— Żegnam, *monsignore*, widzę, że wychowanie w Akademii Duchownej w Neapolu jest bez zarzutu. Zupełnie naturalne jest, że kiedy te zasady padną na tak wyborny umysł, rezultat musi być świetny. Żegnam.

I obrócił się plecami.

„Nie spodobałem się tej figurze” — pomyślał Fabrycy.

— A teraz pozostaje nam przekonać się — rzekł książę, skoro został sam — czy ten piękny chłoptas zdolny jest do namiętności dla czegoś; w takim razie byłby kompletny... Czy można inteligentniej powtarzać lekcje ciotki? Zdawało mi się, że ją słyszę; gdyby u mnie wybuchła rewolucja, ona redagowałaby „Monitora”, jak niegdyś San Fe-

lice<sup>37</sup> w Neapolu! Ale San Felice, mimo jej dwudziestu pięciu lat i urody, powieszono troszeczkę! Ostrzeżenie dla zbyt inteligentnych dam.

Uważając Fabrycego za wychowanka ciotki, ksiązę mylił się; rozumni ludzie na tronie lub w jego pobliżu tracą niebawem wszelkie odczucie; tępią dokoła siebie swobodę rozmowy, która wydaje im się grubiaństwem; chcą widzieć jedynie maski i mają pretensję sądzić o piękności cery; a najzabawniejsze, że uważają się za bardzo przenikliwych. W tym wypadku, na przykład, Fabrycy wierzył mniej więcej we wszystko, co mówił; prawda, iż nie zastanawiał się ani dwa razy na miesiąc nad tymi wielkimi sprawami. Był żywy, inteligentny, ale wierzący.

Pęd do wolności, moda i kult *szczęścia mas*, którymi nabił sobie głowę wiek dziewiętnasty, były w jego oczach jedynie *herezją*, przeznaczoną, by minąć jak inne, ale zabiwszy wiele ciał. Mimo to Fabrycy czytywał z rozkoszą dzienniki francuskie, popełniając nawet nieostrożności, aby się o nie wystarać.

Kiedy Fabrycy wrócił, oszołomiony jeszcze audiencją, i opowiadał ciotce podrywki księcia, pani Sanseverina rzekła:

— Musisz teraz natychmiast iść do ojca Landriani, naszego zacnego arcybiskupa; idź pieszo, wejdź cicho na schody, nie rób hałasu w przedpokoju; jeżeli ci każą czekać, tym lepiej, po tysiąc razy tym lepiej! Słowem, bądź *apostolski!*

— Rozumiem — rzekł Fabrycy — to jakiś typ z rodziny Tartufa.

— Ani trochę, to wcielona cnota.

— Nawet po tym, co uczynił — odparł Fabrycy zdziwiony — w epoce stracenia hrabiego Palanza?

— Tak, moje dziecko, nawet. Ojciec arcybiskupa był urzędnikiem w ministerium finansów, z drobnej mieszczańskiej rodziny: to tłumaczy wszystko. Landriani posiada umysł żywy, rozlewy, głęboki; jest szczerzy, kocha cnotę: jestem przekonana, że gdyby cesarz Decjusz wrócił na świat, on cierpiałby męczeństwo jak Poliekt w operze<sup>38</sup>, którą dawano tu w zeszłym i tygodniu. Oto piękna strona medalu, a oto jego strona odwrotna: z chwilą gdy znajdzie się w obecności panującego lub bodaj pierwszego ministra, tyle wielkości olśniewa go; miesza się, czerwieni, fizycznym niepodobieństwem jest mu powiedzieć „nie”. Stąd owe rzeczy, których się dopuścił i które mu zjednały tak smutną sławę w całych Włoszech, ale czego świat nie wie, to tego, że kiedy opinia oświeciła go co do procesu hrabiego Palanza, skazał się za pokutę na chleb i wodę przez trzynaście tygodni, tyle tygodni, ile jest głosek w nazwisku Davide Palanza. Mamy tu na dworze niezmiernie sprytnego łajdaka, nazwiskiem Rassi, wielkiego sędziego lub generalnego poborcę, który wówczas, gdy chodziło o śmierć hrabiego Palanza, opętał ojca Landriani. W okresie owej trzynastotygodniowej pokuty hrabia Mosca przez współczucie, a trochę przez złośliwość, zapraszał go na obiad raz lub nawet dwa razy na tydzień; zacny arcybiskup, aby nie być niegrzeczny, jadł jak wszyscy, uważał bowiem, iż odbywać publiczną pokutę za czyn zatwierdzony przez monarchę trąciłoby zuchwałstwem i jakobinizmem. Ale wiadomo było, że po każdym obiedzie, na którym obowiązek wiernopoddańczy zmusił go do jedzenia ze wszystkimi, nakładał sobie za pokutę dwa dni o chlebie i wodzie.

Jego Wielebność ojciec Landriani, tęga głowa, człowiek wielkiej nauki, ma tylko jedną słabostkę: *chce być kochany*; dlatego rozczul się na jego widok, a za trzecią wizytą pokochaj go na dobre. W połączeniu z twoim urodzeniem to wystarczy, aby cię uwielbiał. Nie okaż zdziwienia, że cię odprowadza na schody; zachowaj się jak człowiek przywykły do tych względów; arcybiskup jest po prostu na kolanach przed szlachectwem. Poza tym bądź skromny, namaszczony, nic błyskotliwego, żadnych sprytnych odpowiedzi. Jeżeli go nie spłoszysz, będzie za tobą przepadał, a pomyśl, że trzeba, aby z własnego popędu zrobił cię swoim wielkim wikariuszem. Hrabia i ja będziemy zdziwieni i nawet zmartwieni tą szybką karierą; to jest nieodzowne ze względu na księcia.

<sup>37</sup>ona redagowała *„Monitora”*, jak niegdyś San Felice w Neapolu! — Autor pomylił tu dwie osoby. Markiza Luisa San-Felice (1768–1800), podejrzana o wydanie spisku rojalistycznego za czasów republiki, została ścięta w Neapolu po powrocie reakcji. *„Monitora”* republiki neapolitańskiej redagowała Eleonora Pimentel (1768–1799), którą po wycofaniu się wojsk francuskich powieszono. [przypis redakcyjny]

<sup>38</sup>*Poliekt w operze*, własc. *Polieuktos* — męczennik chrześcijański z III w., bohater opery Donizettiego pod tym tytułem, opartej na temacie tragedii Corneille'a. [przypis tłumacza]

Fabrycy pobiegł do pałacu arcybiskupa; szczęśliwym trafem pokojowiec zacnego prałata, nieco głuchy, nie usłyszał nazwiska del Dongo; oznajmił po prostu młodego księdza imieniem Fabrycy. Arcybiskup miał u siebie proboszcza niezbyt przykładowych obyczajów, którego wezwał, aby go połajać. Właśnie udzielał mu reprimendy, co było dlań rzeczą nader przykrą, tak że nie chciał dłużej się z nią nosić; kazał tedy czekać trzy kwadranse stryjecznemu wnukowi wielkiego arcybiskupa Ascania del Dongo.

Jak odmalować jego rozpaczę i przeprosiny, kiedy odprowadziwszy proboszcza do przedpokojów i spytawszy za powrotem oczekującego nań człowieka, *czym może mu służyć*, ujrzał fioletowe pończochy i usłyszał nazwisko Fabrycy del Dongo? Bohater nasz był tak ubawiony przygodą, iż na tej pierwszej wizycie ucałował w wylewie czułości rękę świętego prałata. Trzeba było słyszeć arcybiskupa, jak powtarza z rozpaczą: „Del Dongo wyczekujący w przedpokojach!” Uważał sobie za obowiązek, jako usprawiedliwienie, opowiedzieć mu całą historię z proboszczem, jego przewinę, jego tłumaczenie się itd.

„Czyż to możliwe — mówił sobie Fabrycy, wracając do pałacu Sanseverina — aby to był człowiek, który przyspieszył śmierć biednego Palanzy!”

— Cóż myśli Wasza Ekscelencja? — rzekł ze śmiechem Mosca, widząc go wchodzącego do księżnej (hrabia nie pozwalał, aby Fabrycy nazywał go ekscelencją).

— Spadam z obłoków; nic się nie znam na ludziach: gdybym nie wiedział jego nazwiska, założyłbym się, że ten prałat nie potrafiłby patrzeć, jak zarzynają kurczę.

— I wygrałbyś — odparł hrabia — ale kiedy jest wobec panującego lub choćby wobec mnie, nie umie się sprzeciwić. Co prawda, aby wyrzucić pełne wrażenie, muszę mieć żółtą wstęgę na piersiach; gdybym był we fraku, sprzeciwiłby się może, toteż kładę zawsze mundur na jego przyjęcie. Nie naszą jest rzeczą niweczyć urok władzy, dzienniki francuskie podkopują go dość szybko; *mania szacunku* będzie żyła ledwie tyle co my, a ty, mój bratanku, przeżyjesz uszanowanie. Tak, ty będziesz zacnym człowiekiem.

Fabrycy lubił bardzo towarzystwo hrabiego; był to pierwszy niepospolity człowiek, który raczył z nim mówić bez obludy; poza tym mieli jedno wspólne upodobanie, mianowicie archeologię i wykopaliska. Z drugiej strony, hrabiemu pochlebiała uwaga, z jaką młodzieniec go słuchał; ale zachodziła tu kapitalna przeszkoda: Fabrycy mieszkał w pałacu Sanseverina, żył w pobliżu księżnej, okazywał z całą niewinnością, że ta bliskość jest jego szczęściem — a Fabrycy miał oczy i cerę rozpaczliwie świeże!

Od dawna już Ranucy Ernest IV, który rzadko spotykał się z odmową, i dotknięty był tym, że cnota księżnej, znana na dworze, nie uczyniła wyjątku dla jego osoby. Widzieliśmy, że spryt i przytomność umysłu Fabrycego uraziły go od pierwszego dnia. Niedobrym okiem patrzył na wzajemną czułość, którą on i ciotka jego okazywali tak nieopatrnie; uważnie nadstawiał ucha na plotki dworaków, niewyczerpane w tej mierze. Przybycie młodego człowieka i owa tak niezwykła audiencja stanowiły przez miesiąc temat gawęd dworskich i budziły zdumienie; co nasunęło księciu pewną myśl.

Miał w swojej gwardii prostego żołnierza, który niezwykle dobrze znosił wino; człowiek ten pędził życie w szynkowniach i zdawał wprost panującemu sprawę z ducha armii. Carlone nie miał wykształcenia, inaczej byłby dawno awansował. Obowiązkiem jego było stawić się co dnia przed pałacem, gdy zegar wieżowy bił południe. Chwilę przedtem książę sam spuścił żaluzję w pokoiku przytykającym do gotowni Jego Wysokości. Wrócił nieco po dwunastej i zastał gwardzistę. Książę miał przy sobie i ćwiartkę papieru i kałamarz i podyktował żołnierzowi następujący list.

Wasza Ekscelencja jest niewątpliwie człowiekiem wielkich zdolności; temu właśnie głębokiemu Jego rozumowi zawdzięczamy, iż państwo cieszy się tak dobrym rządem. Ale, drogi hrabio, powodzenie nie obywają się nigdy bez odrobiny zawiści, i lękam się, aby świat nie bawił się nieco pańskim kosztem, jeżeli Twoja przenikliwość nie przeniknie, że pewien przystojny młody człowiek miał szczęście obudzić, może mimo woli, miłość wielce niecodzienną. Szczęśliwy ten śmiertelnik ma dopiero dwadzieścia trzy lata, co zaś, drogi hrabio, wikła nieco sprawę, to, że i Ty, i ja mamy dużo więcej niż dwa razy tyle. Wieczorem, na pewien dystans, hrabia jest uroczy, świetny, dowcipny, miły; ale rano, z bliska, dobrze zważywszy, nowoprzybyły ma może więcej powabów. Otóż my, kobiety, przykładamy wiele wagi do puszki młodości,



zwłaszcza gdy same przebyłyśmy trzydziestkę. Czy nie słyhać już o tym, aby tego miłego młodzieńca przywiązać do dworu za pomocą jakiejś tłustej posadki? I któż najczęściej wspomina o tym Waszej Ekscelencji?

Książę wziął list; dał żołnierzowi dwa talary.

— Masz tu poza swoją płacą — rzekł oschle — i bezwarunkowe milczenie lub najwilgotniejszy dół w cytadeli.

Książę miał w biurku zbiór kopert z adresami znaczniejszych osób, kreślonymi ręką tego samego żołnierza, który uchodził za nieumiejącego pisać i nie pisywał nawet swoich szpiegowskich raportów; książę wybrał odpowiednią kopertę.

W kilka godzin później hrabia Mosca otrzymał pocztą list; obliczono porę, w której mógł nadejść, i w chwili gdy listonosz, którego widziano wchodzącego z listem, wyszedł z pałacu, zawołano hrabiego do Jego Wysokości. Nigdy jeszcze faworyt nie był pogrążony w cięższym smutku; aby się nasycić jego przygnębieniem, książę wykrzyknął:

— Chcę dziś wytchnąć swobodnie z przyjacielem, a nie pracować z ministrem. Głowa mnie dziś boli szalenie, a co więcej, oblegają mnie czarne myśli.

Czy potrzeba tłumaczyć fatalny humor, w jakim znajdował się pierwszy minister, hrabia Mosca della Rovere, w chwili gdy mu wolno było opuścić dostojnego pana? Ranucy Ernest IV biegly był w dręczeniu serc; bez zbytnej przesady mógłbym tu użyć porównania o tygrysie, który lubi igrać ze swą ofiarą.

Hrabia kazał się odwieźć do domu w galopie; krzyknął, wchodząc, aby nie wpuszczano żywej duszy, kazał powiedzieć służbowemu *audytorowi*, że może odejść (mierziła go świadomość, że w pobliżu znajduje się żywa istota), i zamknął się w galerii obrazów. Tam wreszcie mógł się poddać swej wściekłości; tam strawił wieczór bez światła, przechadzając się tam i z powrotem, jak człowiek nie panujący nad sobą. Starł się nakazać milczenie swemu sercu, aby skupić całą uwagę na tym, co mu należało uczynić. W męce, która by przejęła współzuciem najokrutniejszego wroga, powiedział sobie: „Człowiek, którego nienawidzę, mieszka u księżnej, spędza z nią wszystkie chwile. Mamże wziąć na spytki którąś z pokojowych? To niebezpieczne; ona jest taka dobra! Płaci hojnie! Ubóstwiają ją! (Któż, wielki Boże, jej nie ubóstwia?) Oto pytanie — podjął z wściekłością: — Czy mam objawić zazdrość, która mnie pożera, czy też nie wspominać o tym?

Jeżeli zmilczę, nie będą się kryli przede mną. Znam Ginę, to kobieta rządząca się pierwszym popędem; postępowanie jej jest niespodzianką dla niej samej, gdy chce sobie nakreślić rolę z góry, wikła się; zawsze w rozstrzygającej chwili przychodzi jej nowa myśl, za którą leci jak za czymś i najlepszym, i psuje wszystko.

Jeżeli nie zdradzę niczym swego męczeństwa, nie będą się kryli i będę wiedział, co się dzieje.

Tak, ale dając temu wyraz, stworzę nowe okoliczności: pobudzę do zastanowienia; uprzedzę wiele okropnych rzeczy, które mogą się zdarzyć... Może ona go oddali (hrabia odetchnął), wówczas prawie że wygrałem partię; gdyby nawet Gina była na razie nieco markotna, uspokoję ją... a ten niehumor, cóż naturalniejszego?... kocha go jak syna od piętnastu lat. W tym cała nadzieja: jak *syna*... ale nie widywała go od Waterloo; ale od powrotu z Neapolu to inny człowiek, zwłaszcza dla niej. *Inny człowiek!* — powtórzył z wściekłością — i ten człowiek jest uroczy; ma zwłaszcza ów wyraz naiwny i tkliwy, oko pełne blasku, które przyrzeka tyle szczęścia! a takich oczu księżna nie widuje na naszym dworze!... Miejsce ich zajęło ponure lub sardoniczne spojrzenie. Ja sam, znękany polityką, władając jedynie dzięki wpływowi na człowieka, który chciałby mnie ośmieszyć, jaką minę muszę mieć nieraz! Ach, jakie bądź czyniłbym wysiłki, spojrzenie moje jakże musi być stare! Czyż moja wesołość zawsze nie sąsiaduje z ironią? Powiem więcej, trzeba dziś być szczerym, czy przez moją wesołość nie przegląda, jako rzecz bardzo bliska, absolutna władza... i złość? Czy czasem nie mówię sobie, zwłaszcza gdy mnie kto podrażni: „Mogę wszystko, co zechcę”?, a nawet dodaję to głupstwo: „Powiniennem być szczęśliwszy niż inni, bo mam to, czego inni nie mają: wszechwładzę w trzech czwartych rzeczy... Bądźmy sprawiedliwi! Przyzwyczajenie do tej myśli musi psuć mój uśmiech... musi mu dawać pozór egoizmu... zadowolonego... A jaki jego uśmiech jest uroczy! Oddycha szczęściem pierwszej młodości i rodzi je.

Zazdrość

Nieszczęściem dla hrabiego wieczór był gorący, duszny, zwiastujący burzę; czas, który w tym kraju nastraja do gwałtownych decyzji. Jak oddać wszystkie rozumowania, wszystkie obrazy, które przez trzy śmiertelne godziny tortuowały tego namiętnego człowieka? Wreszcie rozważa zwyciężyła jedynie pod wpływem tej refleksji: „Prawdopodobnie jestem szalony; ludzę się, że rozumiem, a jedynie kręcę się, aby znaleźć mniej okrutną pozycję; przechodzę mimo jakiejś rozstrzygającej racji, nie widząc jej. Skoro tedy zaślepia mnie nadmierny ból, idźmy za owym prawidłem, zalecanym przez wszystkich mędrców, które nazwano *rozważą*. Zresztą gdy raz wymówię nieszczęsne słowo *zazdrość*, rola moja wytyczona jest na zawsze. Przeciwnie, nie rzekłszy nic dziś, mogę powiedzieć jutro: „Zostaję panem sytuacji”.

Próba była zbyt silna, hrabia byłby oszalał, gdyby potrwała dłużej. Odczuł chwilową ulgę; uwaga jego zatrzymała się na anonimowym liście. Od kogo może pochodzić? Tu nastąpił przegląd nazwisk i refleksja przy każdym; to rozerwało go na chwilę. W końcu hrabia przypomniał sobie złośliwy błysk, jaki strzelił z oczu księcia, kiedy pod koniec audyencji wyrzekł: „Tak, drogi przyjacielu, zgódź się tym, rozkosze i zabiegi tryumfującej ambicji, nawet nieograniczonej władzy, niczym są wobec szczęścia, jakie daje wzajemna miłość. Jestem człowiekiem wprzód, nim jestem panującym, i kiedy mam to szczęście, że kocham, kochanka moja ma do czynienia z człowiekiem, nie z monarchą.” Hrabia zestawiał tę chwilę złośliwej uciechy z owym zdaniem w liście: „...temu właśnie głębokiemu rozumowi zawdzięczamy, iż państwo cieszy się tak dobrym rządem.” — „To zdanie księcia! — wykrzyknął — u dworaka byłoby ono zbyt nieostrożne; autorem listu jest Jego Wysokość.”

Po rozwiązaniu zagadki drobna radość, spowodowana przyjemnością odgadnięcia jej, ustąpiła niebawem okrutnej wizji uroków Fabrycego, która zjawiała się na nowo. Był to niby olbrzymi ciężar, który spadł na serce nieszczęśliwego. „Cóż znaczy, od kogo jest anonim — wykrzyknął z wściekłością — czyż fakt, który mi on odsłania, mniej przez to istnieje? Ten kaprys może zmienić moje życie — rzekł, jakby dla usprawiedliwienia swego szaleństwa. — W pierwszej chwili, jeśli go kocha jak kochanka, Gina pojedzie z nim do Belgirate, do Szwajcarii, w jakikolwiek kąt świata. Jest bogata, a zresztą, gdyby miała żyć rok cały o kilku ludwikach, co to dla niej znaczy? Czyż nie wyznała mi niespełna przed tygodniem, że pałac jej, tak dobrze urządzonej, tak wspaniałej, nudzi ją? Trzeba czegoś nowego tej tak młodej duszy! I z jaką prostotą nastęcza się to szczęście! Porwie ją, nim pomyśli o niebezpieczeństwie, nim pomyśli, aby się mnie użalić. A ja jestem tak nieszczęśliwy!” — wykrzyknął hrabia, zalewając się łzami.

Przysiągł sobie nie iść do księżnej tego wieczora, ale nie mógł zapanować nad sobą; nigdy oczy jego tak bardzo nie pragnęły jej widoku. Około północy zaszedł do niej, zastał ją samą z bratanikiem; o dziesiątej pożegnała gości i kazała zamknąć drzwi dla wszystkich.

Na widok serdeczności panującej między tymi dwiema istotami oraz naiwnej radości księżnej okropna trudność stanęła przed oczyma hrabiego, i to niespodzianie! Nie pomyślał o tym w czasie długich dumań w galerii i obrazów: jak ukryć zazdrość?

Nie wiedząc, jakiego pozoru się chwycić, napomknął, iż tego wieczora księżę bardzo źle był dlań usposobiony, sprzeciwiał mu się we wszystkim itd. Z boleścią ujrzał, że księżna zaledwie go słucha i że nie zwraca uwagi na te okoliczności, które przedwczoraj jeszcze byłyby przedmiotem niespokojnych domysłów. Hrabia spojrzął na Fabrycego: nigdy ta piękna lombardzka twarz nie wydała mu się równie szczerą i szlachetną! Fabrycy słuchał z większą uwagą niż księżna kłopotów, o których opowiadał hrabia.

„W istocie — myślał — ta głowa łączy nadzwyczajną dobroć z wyrazem jakiegoś naiwnego i tkliwego wesela, które jest wręcz nieodparte. Zdaje się mówić, że jedynie miłość i jej upojenia ważne są na tym świecie. Ale mimo to, niech się nastęczy jakiś szczegół wymagający inteligencji, spojrzenie jego budzi się i przejmuje zdumieniem, i wprawia w pomieszanie.

Wszystko jest proste tym oczom, bo wszystko widzą z wysoka. Wielki Boże! jak walczyć z takim wrogiem? A koniec końców, czym jest życie bez miłości Giny? Z jakim zachwytem słucha ona przemysłych wyskoków tego młodego umysłu, który dla kobiety musi się zdawać czymś jedynym na świecie!”

Okrutna myśl chwyciła hrabiego jak spazm: „Zasztyletować go wobec niej i zabić się potem?”

Przeszedł się po pokoju, ledwie trzymając się na nogach, ale z ręką zaciśniętą konwulsyjnie na rękojeści sztyletu. Żadne z dwojga nie zwracało uwagi na jego zachowanie. Rzekł, iż ma wydać rozkaz lokajowi; nie słyszeli go nawet; księżna śmiała się z rozczuleniem z jakiegoś powiedzenia Fabrycego. Hrabia zbliżył się do lampy w salonie i spojrzął, czy sztylet jest ostry. „Trzeba być uprzejmym i wytwornym wobec tego młodzieńca” — powiadał sobie wracając do nich.

Obłąd go się chwycił; zdawało mu się, że nachylają się do siebie, wymieniają pocałunki, tu, w jego oczach. „To niemożliwe, w mojej obecności — powiadał sobie — rozum mi się miesza. Trzeba zachować spokój; jeśli będę niegrzeczny, księżna zdolna jest, jedynie przez urażoną ambicję, pojechać za nim do Belgirate i tam lub w czasie podróży przypadek może wywołać słówko, które określi to, co czują wzajem do siebie; w jednej chwili wszystko się spełni.

Samotność uczyni to słowo rozstrzygającym; zresztą skoro raz księżna odejdzie, co począć? A jeżeli, zwyciężywszy mnóstwo przeszkód ze strony księcia, pokażę swoją starą i stroskaną twarz w Belgirate, jakąż rolę będę grał wobec tej pary oszalałej szczęściem?

Tutaj nawet, czymże jestem innym niż *terzo incomodo* (ten piękny włoski język stworzony jest, zaiste, dla miłości). *Terzo incomodo* (trzeci, który zawadza)! Cóż za ból dla rozumnego człowieka — czuć, że gra tę ohydną rolę, a nie móc tego przemóc na sobie, aby wstać i odejść!”

Hrabia bliski był wybuchu lub przynajmniej zdradzenia swej boleści, tak rysy były jego zmienione. Kiedy krążąc po salonie znalazł się blisko drzwi, uciekł, wołając życzliwie i serdecznie: — Dobranoc, dzieci!

„Trzeba unikać krwi” — rzeki sobie.

Nazajutrz po tym okropnym wieczorze, po nocy spędzonej to na rozważaniu zalet Fabrycego, to na wybuchach najpiekniejszej zazdrości, hrabia wpadł na myśl, aby zawołać młodego lokaja; człowiek ten zalecał się do dziewczyny zwanej Chekina, garderobianej i ulubienicy księżnej. Szczęśliwym trafem ów młody służący był stateczny i oszczędny i pragnął miejsca odźwiernego przy jednej z publicznych budowli w Parmie. Hrabia kazał mu, aby natychmiast sprowadził Chekinę, swą kochankę. Usłuchał; w godzinę później hrabia zjawił się niespodzianie w pokoju, gdzie dziewczyna znajdowała się ze swym przyszłym. Hrabia przeraził ich oboje mnogością złota, które im dał, po czym ozwał się do drżącej Chekiny, patrząc jej prosto w oczy:

— Czy księżna romansuje z monsignorem?

— Nie — rzekła po chwili dziewczyna, zbierając się na odwagę — nie, *jeszcze nie*, ale on całuje często ręce pani, śmiejąc się, co prawda, ale bardzo czule.

Po tym świadectwie nastąpiło jeszcze sto odpowiedzi na tyleż wściekłych pytań hrabiego; jego niespokojna zazdrość kazała ciężko zapracować tym biedakom na pieniądze, które im rzucił; w końcu uwierzył w to, co mu mówili; doznał niejakiej ulgi.

— Jeżeli kiedy księżna dowie się czegoś o tej rozmowie, posłę twój narzeczonego na dwadzieścia lat do twierdzy i nie ujrzysz go aż z siwymi włosami.

Minęło kilka dni, w ciągu których znowu Fabrycy postradał całą wesołość.

— Zaręczam ci — mówił do księżnej — że hrabia Mosca mnie nie lubi.

— Tym gorzej dla Jego Ekscelencji — odpowiadała z pewną zawziętością.

Nie był to istotny powód niepokoju Fabrycego. „Położenie, w jakim los mnie pomieścił, jest wręcz niemożliwe — powiadał sobie. — Jestem najpewniejszy, że ona się nie zdradzi nigdy; obawiałaby się wymownego słowa niby kazirodztwa. Ale jeżeli pewnego wieczora, po szalonym i nieopatrzonym dniu, uczyni rachunek sumienia, jeśli się jej wyda, że odgadł skłonność, jaką raczy mieć do mnie, jakąż rolę będę grał w jej oczach? Ścisłe rolę *casto Giuseppe* (przysłowie włoskie, aluzja do pociesznej roli Józefa wobec żony eunucha Putyfary).

Dać jej do poznania, że nie jestem zdolny do prawdziwej miłości? Nie mam dosyć wrodzonego statku, by stwierdzić ten fakt w sposób, który by nie był jak dwie krople wody podobny do grubiaństwa. Zostaje mi jako ucieczka jedynie jakaś wielka miłość zostawiona w Neapolu; w takim razie trzeba by tam wrócić na dwadzieścia cztery godziny; myśl roztropna, ale czy to warto? Pozostałaby jeszcze jakaś niewybredna miłostka w Parmie, co mogłoby być przykre; ale wszystko lepsze niż ohydna rola mężczyzny, który

nie chce się domyślić. Ta droga mogłaby, to prawda, narazić mą przyszłość; trzeba by za pomocą ostrożności i kupnej dyskrecji zmniejszyć niebezpieczeństwo.” Okrutne w tych wszystkich myślach było to, że w istocie Fabrycy kochał księżnę o wiele bardziej niż kogo bądź w świecie. „Trzeba być bardzo niezręcznym — mówił sobie z gniewem — aby się tak lękać, że się nie potrafi przekonać o tym, co jest istotną prawdą!” Nie czując się na siłach, aby się wyplątać z tej pozycji, stał się posępny i drażliwy. „Co by się ze mną stało, wielki Boże! gdybym się poróżnił z jedyną istotą, do której jestem gorąco przywiązany?” Z drugiej strony Fabrycy nie mógł się zdobyć na to, aby popsuć niebaczным słowem tak rozkoszne szczęście. Życie jego było tak pełne uroków! Serdeczna przyjaźń lubej i ładnej kobiety była czymś tak słodkim! Co się tyczy praktycznych warunków życia, opieka jej stwarzała mu tak miłą pozycję przy tym dworze, którego wielkie intrygi, dzięki niej, która mu je tłumaczyła, bawiły go jak komedia. „Ale lada chwila piorun może mnie obudzić! — powiadał sobie. — Jeśli te wieczory tak wesołe, tak tkliwe, pędzone prawie sam na sam z kobietą tak uroczą, doprowadzą do czegoś więcej, ona będzie sądziła, że znalazła we mnie kochanka; będzie żądała uniesień, szaleństw, a ja mogę jej zawsze ofiarować przyjaźń, ale nie miłość; natura odmówiła mi tego wzniosłego szaleństwa. Ileż wymówek będę musiał znieść w tej mierze! Zdaje mi się, że jeszcze słyszę księżnę d’A..., a wszak ja drwiłem sobie z księżnej! Będzie sądziła, że to brak litości do niej, gdy to jest brak miłości *we mnie*; nie zechce tego rozumieć. Często pod wrażeniem jakiej dworskiej anegdotki, która w jej ustach ma ten niezrównany wdzięk, pustotę — a zresztą potrzebna jest dla tego wykształcenia! — całuję jej rękę, czasem lica. Co począć, jeśli ta ręka uściśnie moją w pewien znaczący sposób?”

Fabrycy pojawiał się codziennie w najznaczniejszych i najmniej wesołych domach w Parmie. Kierowany radami księżnej, zręcznie nadszkakiwał panującemu księciu i jego synowi, księżnej Klarze Paulinie i arcybiskupowi. Miał pozycję, ale to nie uśmierzało jego śmiertelnej obawy poróżnienia się ciotką.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Tak więc w niespełna miesiąc po przybyciu na dwór Fabrycy miał wszystkie utrapienia dworaka, a serdeczna przyjaźń, stanowiąca szczęście jego życia, była zatruta. Jednego wieczora, dręczony tymi myślami, opuścił salon księżnej, gdzie zanadto wyglądał na urzędowego kochanka; błądząc na oślep po mieście zaszedł pod teatr. Teatr był oświetlony; wstąpił. Była to pusta lekkomyślność jak na człowieka noszącego jego szaty; takich lekkomyślności postanowił sobie unikać w Parmie, która ostatecznie jest czterdziestotysięczną miejsciną. Prawda, iż od pierwszych dni wyzbył się swego urzędowego stroju; wieczorem, kiedy nie puszczał się w najwyższe sfery, był po prostu ubrany czarno, jak człowiek w żalobie.

Wziął łożę na trzecim piętrze, aby go nikt nie widział; grano *Młodą gospodynię* Goldoniego. Wodził oczami po architekturze sali, ledwie czasem obracając je ku scenie. Ale liczna publiczność parskała raz po raz śmiechem; Fabrycy spojrział na młodą aktorkę grającą rolę Gospodyni; wydała mu się zabawna. Przyjrzał się jej uważnie, była miłutka, a zwłaszcza pełna naturalności; była to naiwna dziewczyna, pierwsza śmiała się z ładnych rzeczy, które Goldoni wkłada jej w usta, i wygłaszała je jakby ze zdziwieniem. Spytał, jak się nazywa; powiedziano mu:

— Marieta Valserra.

„A! — pomyślał — wzięła moje nazwisko, to osobliwe.” Mimo swoich projektów dosiedział w teatrze do końca sztuki. Nazajutrz wrócił; w trzy dni później znał adres Mariety Valserra.

Tęgo samego dnia, w którym zdobył ten adres z dość wielkim trudem, zauważył wieczorem, że hrabia jest dłań nadzwyczaj czuły. Biedny zazdrosny kochanek, który dokładał starań, aby się utrzymać w granicach rozsądku, otoczył młodego człowieka szpiegami; wyprawa teatralna ucieszyła go. Jak odmalować radość hrabiego, kiedy nazajutrz po dniu, w którym wymógł na sobie, aby być miły dla Fabrycego, dowiedział się, że ten, co prawda w półprzebrany w długi niebieski surdut, wdrapał się na nędzne poddasze, jakie Marieta zajmowała na czwartym piętrze starego domostwa za teatrem. Uciechę jego zdwoiła wiadomość, że Fabrycy przedstawił się pod fałszywym nazwiskiem i że miał zaszczyt obudzić

zazdrość hultaja zwanego Giletti, który w mieście grywał role lokajów, a po wsiach tańczył na linie. Szlachetny ten kochanek Mariety wymyślał na Fabrycego i odgrażał się, że go zabije.

Trupy operowe składa impresario, który zbiera po świecie śpiewaków dostępnych dla jego kasy lub takich, którzy nie są zaangażowani. Kompania trzyma się przez jeden sezon, najwyżej przez dwa. Inaczej zespoły aktorskie, goniąc od miasta do miasta i zmieniając miejsce pobytu co parę miesięcy, tworzą mimo to jak gdyby rodzinę, której członkowie kochają się lub nienawidzą. Bywają tam stadła, które miejscowym *galantom* niełatwo przychodzi rozdzielić. Właśnie to zdarzyło się naszemu bohaterowi: Marieta patrzyła nań wcale życzliwie, ale bała się straszliwie Gilettiego, który uzurpował sobie nad nią absolutną władzę i pilnował jej ściśle. Krzyczał wszędzie, że zabije monsignora, śledził bowiem Fabrycego i doszedł w końcu jego nazwiska. Ów Giletti była to postać nader szpetna i najmniej stworzona do miłości: przesadnie wysoki i chudy, pocętkowany ospą i nieco zezowaty. Chętnie popisując się swymi talentami, zwykł był wchodzić za kulisy między kolegów na rękach lub płatał inne ładne sztuki. Tryumfował w rolach błazna z umączoną twarzą otrzymując kije lub grzmocąc innych. Godny rywal Fabrycego miał trzydzieści dwa franki miesięcznej płacy i czuł się bardzo bogaty.

Kiedy szpiegowie hrabiego Mosca upewnili go o tych szczegółach, miał uczucie, że zmartwychwstaje. Wdzięk jego odżył bardziej, niż kiedy błyszczał w salonach księżnej wesołością i dowcipem. Nie wspomniał jej oczywiście ani słowa o przygodzie, która wróciła mu życie; poczynił nawet starania, aby jak najpóźniej dowiedziała się o tym. Miał przy tym odwagę posłuchać rozsądku, który krzyczał mu próżno od miesiąca, że ilekroć urok kochanka blednie, kochanek powinien wyjechać w podróż.

Ważne sprawy powoływały go do Bolonii; dwa razy na dzień kurierzy przywozili mu nie tyle papiery ministerialne, ile nowiny o miłostkach Mariety, o wściekłości groźnego Gilettiego i o manewrach Fabrycego.

Jeden z agentów hrabiego zażądał kilkakrotnie *Arlekina w pasztecie* (jeden z tryumfów scenicznych Gilettiego: wychodzi z pasztetu, który rywał jego, Brighella, właśnie ma napocząć, i grzmoci go kijem); był to pozór, aby aktorzy nie darować sto franków. Giletti przytłoczony długami nie pisał o tej gratce, ale wbił się w niesłychaną dumę.

Kaprys Fabrycego stał się sprawą ambicji (w jego wieku troski doprowadziły go już do tego, że miewał *kaprysy!*): próżność zawiodła go da teatru; aktoreczka grała bardzo wesoło i bawiła go; wychodząc, czuł się na godzinę zakochany. Hrabia wrócił do Parmy na wieść, iż Fabrycemu grozi istotne niebezpieczeństwo; Giletti, który służywał niegdyś w świetnym pułku napoleońskich dragonów, odgrażał się serio, że zabije Fabrycego, i przygotowywał sobie z góry ucieczkę do Romanii. Jeśli czytelnik jest bardzo młody, zgorszy się naszym podziwem dla tego szlachetnego rysu. Był to wszelako niemały heroizm ze strony hrabiego, aby wrócić z Bolonii; ostatecznie bowiem rano cera jego była mocno zmęczona, Fabrycy zaś miał tyle świeżości, tyle pogody! Komuż by przyszło na myśl obwiniać go o śmierć Fabrycego, w jego nieobecności, dla takiego głupstwa! Ale to była jedna z owych rzadkich dusz czyniących sobie wiekuiste wyrzuty, skoro zaniedbają szlachetnego czynu; zresztą nie mógł znieść myśli, aby księżna była smutna, i z jego winy.

Zastał ją za powrotem milczącą i przybitą. Oto, co się stało. Pokojowa jej, Chekina, dręczona wyrzutami i mierząc rozmiar swej winy ogromem sumy, jaką otrzymała w jej odpłatę, zachorowała. Jednego wieczora księżna, która ją lubiła, zaszła do niej. Dziewczyna nie mogła się oprzeć tej dobroci; zalała się łzami, chciała oddać swej pani wszystko, co jej jeszcze zostało z otrzymanych pieniędzy, wreszcie zdobyła się na wyznanie rozmowy z hrabią. Księżna żywo zgasiła lampę, po czym rzekła Chekinie, że jej przebacza pod warunkiem, że nigdy nikomu w świecie nie powie ani słowa o tej dziwnej scenie.

— Biedny hrabia — dodała niedbale — lęka się śmieszności; wszyscy mężczyźni są tacy.

Księżna pobiegła do siebie. Ledwie zamknąwszy się w pokoju zalała się łzami; myśli o miłostce z Fabrycym, na którego urodzenie patrzyła, wydała jej się czymś okropnym; a wszelako co znaczy jej postępowanie?

Taka była pierwsza przyczyna czarnej melancholii, w jakiej zastał ją hrabia; po jego powrocie miewała ataki irytacji na niego i niemal na Fabrycego; chciałyby nie widzieć

na oczy żadnego z nich; gniewała ją śmieszna w jej oczach rola, jaką Fabrycy gra wobec Mariety; hrabia bowiem, jak prawdziwy kochanek niezdolny do utrzymania sekretu, powiedział jej wszystko. Nie mogła się oswoić z tym nieszczęściem! Bożyszcze jej miało skazę. Wreszcie w chwili wylania spytała hrabiego o radę; była to dla niego rozkoszna chwila, nagroda za odruch wielkoduszności, który go sprowadził do Parmy.

— Cóż prostszego! — rzekł hrabia, śmiejąc się — chłopiec w tym wieku goni ta każdą kobietą, a nazajutrz nie myśli o niej. Czy nie wybierał się do Belgirate odwiedzić margrabinę del Dongo? Więc dobrze, niech jedzie. W czasie jego nieobecności poproszę aktorów, aby przenieśli gdzie indziej swoje talenty, zapłacę kosztą podróży; ale zobaczysz niebawem, że zakocha się w pierwszym ładnym buziaku, który mu traf nastręczy... To w porządku i nie chciałbym, aby był inny... Jeżeli to potrzebne, postaraj się, aby margrabina go wezwała.

Myśl ta, rzucona na pozór obojętnie, stała się błyskiem światła dla księżnej; bała się Gilettiego. Wieczorem hrabia oznajmił, jak gdyby przypadkiem, że ma kuriera, który udając się do Wiednia przejeżdża przez Mediolan; w trzy dni później Fabrycy otrzymał list od matki. Pojechał bardzo podrażniony tym, iż wskutek zazdrości Gilettiego nie mógł jeszcze skorzystać z dobrych chęci, o jakich Marieta upewniła go przez mammację, starszą kobietę, która służyła jej za matkę.

Fabrycy zastał matkę i jedną z sióstr w Belgirate, dużej wiosce piemonckiej na prawym brzegu Lago Maggiore; lewy należy do Mediolanu, tym samym do Austrii. Jezioro to, równoległe do jeziora Como i tak samo biegnące z północy na południe, leży o jakieś dwadzieścia mil na zachód. Górskie powietrze, majestatyczny i pełen spokoju widok tego wspaniałego jeziora przypominającego mu inne, nad którym spędził dzieciństwo, wszystko to sprawiło, że niehumor Fabrycego, bliski już gniewu, zabarwił się łagodną melancholią. Wspomnienie księżnej łączyło się obecnie z uczuciem nieskończonej tkliwości; zdawało mu się, że z oddalenia rodzi się w nim owa miłość, jakiej nie doświadczył dla żadnej kobiety; myśl, iż mógłby się z nią rozstać na zawsze, była mu nad wyraz bolesna. W tym stanie ducha, gdyby księżna raczyła się uciec do najłżejszej zalotności, byłaby zdobyła to serce na przykład przeciwstawiając mu rywala. Ale ona nie tylko że nie chwyciła się tak energicznego środka, ale doświadczała wyrzutów, iż myśl jej wciąż goni za młodym podróżnym. Wyrzucała sobie to, co nazywała jeszcze *kaprysem*, jak gdyby to była ohyda; zdwoiła względy dla hrabiego, który — omamiony tyłoma urokami — nie słuchał zdrowego rozsądku, zalecającego drugą podróż do Mediolanu.

Margrabina del Dongo, nagłona małżeństwem starszej córki, którą wydawała za pewnego księcia z okolic Mediolanu, mogła poświęcić ukochanemu synowi ledwie trzy dni: był dla niej serdeczny i tkliwy jak nigdy. W tej melancholii, która coraz bardziej ogarniała Fabrycego, nastęczała mu się dziwna, a nawet śmieszna myśl, którą natychmiast wykonał. Czy odważymy się powiedzieć, że zapragnął poradzić się księdza Blanès? Zacny ten starzec był zupełnie niezdolny zrozumieć serca szarpanego sprzecznymi namiętnościami, dziecinnymi a niemal równymi co do siły; trzeba by zresztą tygodnia na zapoznanie go z wszystkimi względami, wśród których Fabrycy musiał lawirować w Parmie; ale, zamierzając go się poradzić, Fabrycy odnajdywał świeżość swoich szesnastu lat. Czy kto uwierzy? Pragnął z nim mówić nie tylko jak z rozumnym człowiekiem, jak z oddanym przyjacielem; cel tej wyprawy oraz uczucia, jakie poruszały naszym bohaterem przez pięćdziesiąt godzin jej trwania, są tak niedorzeczne, iż z pewnością dla dobra tej opowieści lepiej byłoby je opuścić. Boję się, by łatwo wierność Fabrycego nie pozbawiła go sympatii czytelnika; ale ostatecznie był taki; czemu oszczędzać raczej jego niż kogo innego? Nie oszczędzałem hrabiego ani księcia.

Fabrycy tedy, skoro mamy wszystko powiedzieć, odprowadził matkę aż do portu Laveno na lewym, austriackim brzegu Lago Maggiore, dokąd przybyła około ósmej wieczór. (Jezioro uważane jest za teren neutralny; o ile ktoś nie wysiada na ląd, nie żądają paszportu.) A ledwie zapadła noc, Fabrycy przeprowił się na tenże brzeg austriacki w punkcie, gdzie mały gaik wrzyna się w wodę. Wynajął *sediola*, wiejski, bardzo chybki wózek, dzięki któremu mógł jechać o pięćset kroków za powozem matki; przebrany był za służącego Casa del Dongo i żadnemu z licznych urzędników policji i komory nie przyszło na myśl zażądać od niego paszportu. O ćwierć mili przed Como, gdzie margrabina i jej córka miały zatrzymać się na nocleg, skręcił na lewo drogą, która — okrążając wioskę Vico

— schodzi się następnie z dróżką świeżo wytyczoną nad samym brzegiem jeziora. Była północ i Fabrycy mógł liczyć, że nie spotka żandarma. Drzewa w gaikach, które dróżka przecinała na chwilę, rysowały się czarnymi konturami liści na niebie gwiaździstym, ale przesłonionym lekką mgłą. Na wodzie i na niebie panował spokój; dusza Fabrycego nie mogła się oprzeć tej cudownej piękności; zatrzymał się, potem usiadł na skale, która wcina się w jezioro, tworząc mały przylądek. Ciszę mąciła jedynie lekka fala rozbijająca się w regularnych odstępach o brzeg. Fabrycy miał duszę włoską, przepraszam za niego; wada ta, która zmniejsza jego urok, polega na tym: próżność władza nim jedynie okresami, sam zaś widok cudownej piękności wprawiał go w roztkliwienie i sprawiał, iż zgrzyzota jego stawała się mniej piekająca. Siedząc na samotnej skale, bez obawy przed policją, spowity w noc i w ciszę, uczuł, iż słodkie lzy zwilżyły jego oczy i znalazł tam tanim kosztem jedną z najszcześniejszych chwil.

Szczęście, Sielanka

Postanowił nie kłamać Ginie; dlatego właśnie, że kochał ją w tej chwili do ubóstwienia, przysiągł sobie nigdy nie powiedzieć jej, że ją *kocha*; nigdy nie wymówi przy niej zaklęć miłości, skoro uczucie, które tak nazywają, obce jest jego sercu. W upojeniu szlachetności i cnoty, które napępniało go szczęściem w tej chwili, postanowił przy pierwszej sposobności powiedzieć jej wszystko: serce jego nigdy nie zaznało miłości. Raz powziąwszy to męskie postanowienie, uczuł, że spadł mu z piersi ciężar. „Napomknij mi może o Mariecie; dobrze więc, nie zobaczę już Marietki” — powiedział sobie wesoło.

Upał, jaki panował przez cały dzień, ustępował pod wpływem rannego wietrzyka. Już świt rysował bladym światłem wierzchołki Alp na północ i na wschód od jeziora Como. Masy ich, pobielone śniegiem nawet w czerwcu, odcinają się na lazurze niebios, zawsze czystym na tych zawrotnych wysokościach. Odnoga Alp, wysuwająca się na południe ku szczęsnej Italii, oddziela stoki Como od stoków jeziora Garda. Fabrycy śledził okiem rozgałęzienia tych cudownych gór; świt coraz wyraźniej znaczył doliny, rozświetlając lekką mgłą wznoszącą się z ich czeluści.

Fabrycy puścił się w drogę; przebył wzgórze tworzące półwysep Durini, wreszcie ukazała się jego oczom owa wieża w Grianta, z której tak często badał położenie gwiazd z księdzem Blanès. „Jakiż ja byłem ciemny! Nie mogłem zrozumieć — powiedział sobie — nawet kuchennej łaciny astrologicznych traktatów, które przeglądał mój mistrz. Sądzę, że szanowałem je zwłaszcza dlatego, że rozumiałem z nich ledwie piąte przez dziesiąte: wyobraźnia dawała im sens, i to możliwie najromantyczniejszy.”

Niebawem dumania jego przybrały inny kierunek. „Byłoby coś rzeczywistego w tej twierdzy? Czemu miałyby być gorsza od innych? Pewna ilość głupców i filutów umawia się, że umieją, na przykład, po meksykańsku; narzucają się w tym charakterze społeczeństwu, które ich szanuje, i rządowi, które ich płaci. Obsypuje się ich względami właśnie dlatego, że są tępi i że władza nie potrzebuje się obawiać, aby podburzyli lud, grając w dudkę jego szlachetnych uczuć. Na przykład ksiądz Bari, któremu Ernest IV przyznał świeżo cztery tysiące franków pensji i order za to, że odtworzył dziewiętnaście wierszy greckiego dytyrambu!

Pozycja społeczna, Mędrzec

Ale, wielki Boże! czy mam prawo uważać te rzeczy za śmieszne? Czy mnie przystało na nie narzekać — rzekł nagle przystając — czyż nie ten sam order otrzymał mój gubernator w Neapolu?” Fabrycy uczuł głęboki niesmak; piękny i szlachetny zapal, który niegdyś ożywił jego serce, zmienił się w szpetną przyjemność udziału w kradzieży. „Dobrze więc — rzekł w końcu z przygasłym wzrokiem człowieka niezadowolonego z siebie — urodzenie daje mi prawo korzystania z tych nadużyć, głupstwem byłoby nie brać w nich udziału; ale nie wypada już złorzeczyć im publicznie.” Rozumowanie było wcale trafne; ale zarazem opuściło Fabrycego podniosłe i szczytne szczęście, które go napępniało godzinę wprzód. Myśl o przywileju wysuszyła tę delikatną roślinę, którą nazywamy szczęściem.

„Jeżeli nie trzeba wierzyć w astrologię (podjął, starając się zmienić bieg myśli), jeśli ta nauka jest, jak trzy czwarte nauk niematematycznych, zebraniem naiwnych głupców oraz zręcznych hipokrytów zapłaconych przez tych, którym służą, skąd pochodzi, że ja tak często i ze wzruszeniem myślę o tej złej wróżbie? Wydostałem się niegdyś z aresztu w B..., ale w mundurze i z marszrutą żołnierza wtrąconego słusznie do więzienia.”

Zabobony, Wierzenia

Rozumowanie Fabrycego urywało się na tym; kręcił się koło trudności, nie mogąc jej pokonać. Był jeszcze za młody; w chwilach wytchnienia dusza jego napawała się romantycznymi wrażeniami, jakich wyobraźnia zawsze była gotowa mu dostarczyć. Nie umiał

przyglądać się cierpliwie sprawom, aby następnie zrozumieć ich przyczyny. Rzeczywistość zdawała mu się płaska i brudna; pojmuję, że ktoś może nie lubić na nią patrzeć, ale wówczas nie trzeba o niej rozprawiać. Nie trzeba zwłaszcza budować zarzutów z elementów własnej nieświadomości.

Tak mimo wrodzonej inteligencji Fabrycy nie zdawał sobie sprawy, że jego mglista wiara we wróżby jest dlań religią, głębokim wrażeniem odebranych w zaraniu życia. Myśleć o tej wierze znaczyło czuć, znaczyło być szczęśliwym. Upierał się przy tym, aby dociec, w jaki sposób mogłaby to być wiedza *dowiedziona*, istotna, w rodzaju geometrii na przykład? Przechodził wszystkie okoliczności, w których po zauważonych wróżbach nie zjawiał się szczęśliwy lub nieszczęśliwy wypadek, jaki zdawały się zapowiadać. Ale wśród tego rozumowania uwaga jego zatrzymała się z radością przy wypadkach, w których wróżba okazała się trafna; dusza jego wypełniła się czcią i rozrzewnieniem; czułby nieprzewycięzoną odrazę do człowieka, który by przeczył wróżbom lub odnosił się do nich z ironią.

Fabrycy szedł, nie czując przebytej drogi; jeszcze grzęznął w mętnych rozmowaniach, kiedy podniósłszy głowę ujrzał mur ojcowskiego ogrodu. Mur ten podtrzymywał piękną terasę wznoszącą się przeszło na czterdzieści stóp nad drogą. Sznur kamieni ciosanych na samym wierzchu, koło balustrady, dawał mu wygląd monumentalny. „Wcale niezłe — rzekł zimno Fabrycy — dobra architektura niemal w stylu rzymskim” — rozwijał swoje świeże wiadomości archeologiczne. Niebawem odwrócił głowę ze wstrętem: przypomniawszy mu się ojcowska surowość, a zwłaszcza denuncjacja brata, gdy wrócił z Francji.

„Ta ohydna denuncjacja stała się zawiązkiem mego obecnego życia; mogę jej nienawidzić, mogę nią gardzić, ale ostatecznie, ona zmieniła moje losy. Co by się stało ze mną na wygnaniu w Nowarze, gdzie ojcowski plenipotent ledwie mnie znosił, gdyby ciotka nie rozkochała w sobie potężnego ministra? Gdyby w miejsce tej gorącej i tkliwej duszy miała duszę oschłą i pospolitą i nie kochała mnie z oddaniem, które zdumiewa mnie teraz? Co by ze mną dziś było, gdyby księżna miała duszę swego brata, margrabiego del Dongo?”

Pochłonięty okrutnymi wspomnieniami Fabrycy włócił się chwiejnym krokiem; zaszedł nad fosę, naprzeciw wspaniałej fasady zamku. Ledwie rzucił okiem na ten wielki budynek poczerniały od starości. Szlachetna mowa architektury nie przemówiła doń; wspomnienie brata i ojca zamykało jego duszę na wszelkie piękno; myślał jedynie o tym, aby się mieć na baczności w obliczu obłudnych i niebezpiecznych wrogów. Popatrzył chwilę, ale ze wstrętem, na okno pokoiku, który zajmował przed rokiem 1815 na trzecim piętrze. Charakter ojca odarł wspomnienia dzieciństwa z wszelkiego uroku. „Nie wróciłem tam — myślał — od 7 marca o ósmej wieczór. Wyszedłem, aby pożyczyć od Waszego paszportu, a nazajutrz obawa przed szpiegami kazała mi śpiesznie wyjechać. Kiedym wrócił z Francji, nie miałem czasu tam zająć, nawet aby obejrzeć swoje sztychy, i to dzięki denuncjacji brata!

Fabrycy odwrócił głowę ze wstrętem. „Ksiądz Blanès ma przeszło osiemdziesiąt trzy lata — pomyślał ze smutkiem — nie pojawia się już prawie w zamku, jak mówiła mi siostra; starość zrobiła swoje. To dzielne i zacne serce zmroził wiek. Bóg wie, od jak dawna nie chodzi już na wieżę. Schowam się u niego w lamusie, między kadzie albo pod tłocznię, i zaczekam, aż się obudzi; nie chcę mącić snu dobrego starca; prawdopodobnie nie pozna mnie nawet; sześć lat to wiele w tym wieku. Zastanę już tylko grób przyjaciela! Istne dzieciństwo — dodał — przybyć tu, aby czuć wstręt, jakim przejmuje mnie zamek ojcowski!

W tej chwili Fabrycy wszedł na placyk przed kościołem; z nieopisanym zdumieniem ujrzał na drugim piętrze starej wieżycy wąskie i długie okno oświetlone latarką księdza Blanès. Ksiądz miał zwyczaj stawiać ją tam, ilekroć szedł do klatki z desek tworzącej jego obserwatorium, iżby jasność nie przeszkadzała mu czytać w planisferze. Ta karta niebios rozłożona była na wielkiej glinianej donicy, w której niegdyś rosła pomarańcza. Na dnie naczynia płonęła mała lampka; blaszana rurka odprowadzała z garnka dym, a cień rzucony przez rurę znaczył na karcie północ. Wszystkie te przypomnienia tak prostych rzeczy załamywały wzruszeniem duszę Fabrycego i wypełniły ją szczęściem.

Bezwiednie złożył dłonie i gwizdnął w nie z cicha; niegdyś umówiony sygnał. Natychmiast usłyszał, że ktoś pociąga kilkakrotnie za sznur, którym z wyżyn obserwatorium



otwierało się rygiel przy drzwiach do dzwonnicy. Drżąc ze wzruszenia wbiegł na schody, zastał księdza na drewnianym fotelu w zwykłym miejscu, z okiem przylepionym do małej lunety w kwadrancie. Ksiądz skinął lewą ręką, dając znak, aby mu nie przerywał; w chwilę później, nakreślił na karcie do gry jakąś cyfrę i obracając się na fotelu otworzył ramiona naszemu bohaterowi, który rzucił się w nie, zalewając się łzami. Ksiądz Blanès był jego prawdziwym ojcem.

— Oczekiwałem cię — rzekł Blanès po pierwszym wylewie czułości.

Czy ksiądz trzymał się w roli uczonego? Czy też często myśląc o Fabrycy ujrzał jakiś astrologiczny znak, który czystym przypadkiem obwieścił mu jego powrót?

— Oto śmierć moja nadchodzi — rzekł ksiądz Blanès.

— Jak to! — wykrzyknął ze wzruszeniem Fabrycy.

— Tak — odparł ksiądz poważnie, ale bez smutku — w półszósta albo półsiódma miesiąca po twoich odwiedzinach życie moje, nasycone szczęściem, zgaśnie.

*Come face al mancar dell'alimento* (jak lampka, kiedy zabraknie jej oliwy). Przed ostatecznym momentem będę prawdopodobnie miesiąc lub dwa pozbawiony mowy, po czym przejdę na łono naszego Ojca, oczywiście, jeśli się okaże, że spełniłem swój obowiązek na placówce, gdzie mnie postawiono.

Ty jesteś wyczerpany, zmęczony, trzeba ci snu. Od chwili gdy cię oczekuję, chowam dla ciebie chleb i butelkę wódki w skrzyni z instrumentami. Pokrzep się i staraj się nabrać tyle sił, aby mnie wysłuchać jeszcze chwilę. Jest w mojej mocy powiedzieć ci różne rzeczy, zanim noc ustąpi miejsca dniowi; obecnie widzę je o wiele wyraźniej, niż może będę widział jutro. Jesteśmy zawsze słabi, moje dziecko, i wciąż trzeba się liczyć z tą słabością. Jutro może stary człowiek, człowiek ziemny, zajmie się we mnie przygotowaniami do śmierci, a jutro wieczór o dziewiątej musisz mnie opuścić.

Skoro Fabrycy usłuchał w milczeniu, jak zwykł niegdyś, starzec rzekł:

— Zatem prawdą jest, iż kiedy starałeś się dostać pod Waterloo, zrazu znalazłeś się w więzieniu?

— Tak, ojcie — odparł Fabrycy zdziwiony.

— Otóż wiedz, że to było wielkie szczęście; dusza twoja, ostrzeżona moim głosem, może się przygotować do innego więzienia, twardszego i straszliwszego. Prawdopodobnie wydostaniesz się z niego jedynie przez zbrodnię. Ale dzięki niebu nie ty popełnisz tę zbrodnię. Nie posuwaj się nigdy do zbrodni, mimo największych pokus; zdaje mi się, że będzie tu chodziło o zabicie niewinnego, który nieświadomie przywłaszczył sobie twoje prawa; jeśli się oprzesz gwałtownej pokusie, którą na pozór usprawiedliwi honor, życie twoje będzie bardzo szczęśliwe w oczach ludzi... a w miarę szczęśliwe w oczach mędrca — dodał po chwili namysłu. — Umrzesz jak ja, mój synu, siedząc na zydlu drewnianym, z dala od wielkiego zbytku i zmierzony zbytkiem, i jak ja nie mając sobie nic ciężkiego do wyrzucenia.

Obecnie sprawy przyszłości skończone są między nami; nie umiałbym dodać nic ważnego. Próżno starałem się wyczytać, jak długie będzie to więzienie; pół roku, rok, dziesięć lat? Nie mogłem dojrzeć; widocznym popełnił jakiś grzech i niebo chciało mnie skarać tą niepewnością. Widzę jedynie, że po więzieniu (ale nie wiem, czy w chwili opuszczenia go) stanie się to, co nazywam zbrodnią; ale na szczęście jestem niemal pewny, że nie ty ją popełnisz. Jeśli okażesz tę słabość, aby umaczać palce w zbrodni, wówczas reszta moich obliczeń jest jedynie szeregiem omyłek. Wówczas nie umrzesz ze spokojem w duszy, na drewnianej ławce i w białej szacie.

Mówiąc te słowa, ksiądz chciał wstać; wówczas Fabrycy zauważył ruinę czasu: starzec potrzebował blisko minuty na to, aby się podnieść i obrócić ku Fabrycemu. Ten przyglądał mu się w milczeniu i bez ruchu. Ksiądz brał go kilka razy w ramiona i ścisnął z niewymowną czułością. Po chwili odzyskał dawną wesołość.

— Staraj się zrobić sobie legowisko wśród tych narzędzi i przespać się nieco: weź moje futra; jest ich kilka, bardzo wspaniałych: księżna Sanseverina przysłała mi je przed kilku laty. Prosiła mnie o przepowiednię co do ciebie; zachowałem te piękne futra i kwadrant, ale przepowiedni jej nie posłałem. Wszelkie wróżenie przyszłości jest wyłomem w regule i zawiera to niebezpieczeństwo, że może odmienić bieg zdarzeń; wówczas cała wiedza rozsypuje się niby domek z kart. Trzeba by mi zresztą mówić zbyt przykre rzeczy tej uroczej księżnej. Ale, ale: nie przeraż się dzwonoń, kiedy będą ci strasznie hałasowały

Proroctwo

nad uchem, kiedy będzie się dzwoniło na mszę poranną; później, o piętro niżej, puszczają w ruch wielki dzwon, od którego się trzęsie całe moje obserwatorium. Dziś mamy świętego Giovita, żołnierza i męczennika. Wiesz, mała wioska Grianta ma tego samego patrona co wielkie miasto Brescja, co nawiasem rzekłszy, bardzo pocieszenie zmyliło mego znamienitego mistrza, Jakuba Marini z Rawenny. Nieraz powiadał mi, że mnie czeka ładna kariera; sądził, że będę proboszczem wspaniałego kościoła San Giovita w Brescji; dostałem wioskę o siedmiuset pięćdziesięciu dymach. Ale wszystko obróciło się najlepiej. Wiedziałem, może dziesięć lat temu, że gdybym został proboszczem w Brescji, przeznaczone mi było dostać się do więzienia w Szpilbergu. Jutro przyniosę ci różne smaczne dania ściągnięte z uczty, jaką wydają dla okolicznych proboszczów, przybyłych odprawiać ze mną sumę. Przyniosę je na dół, ale nie staraj się ze mną widzieć, nie schodź po te smakołyki, aż kiedy usłyszysz, żem wyszedł. Nie trzeba, abyś mnie widział *w dzień*, że zaś słońce zachodzi jutro o siódmej i minut dwadzieścia siedem, przyjdę cię uściskać koło ósmej i będziesz musiał odejść, póki godziny liczą się jeszcze dziewiątką, to jest, nim zegar wydzwoni dziesiątą. Uważaj, aby cię nikt nie widział w oknie: żandarmi mają twój rysopis i z pewnością są na żołdzie twego brata, który umie być tyranem! Margrabia jest coraz słabszy — dodał ksiądz Blanès smutno — gdyby cię ujrzał, dałby ci coś może ciepłą ręką. Ale te zabiegi wątpliwej czystości nie przystały człowiekowi takiemu jak ty, którego siła tkwi w jego sumieniu. Margrabia nienawidzi syna swego, Askaniusza; temu synowi przypadnie pięć czy sześć milionów, które posiada. To słusznie. Ty po jego śmierci dostaniesz cztery tysiące franków rocznie i pięćdziesiąt łokci czarnego sukna na żałobę dla twoich ludzi.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Słowa starca, których słuchał z głęboką uwagą, oraz nadmierne zmęczenie wprawiły Fabrycego w stan podniecenia. Z trudem zasnął i nękały go sny, może wróżące przyszłość. Rano, o dziesiątej, obudziło go drżenie dzwonnicy, straszliwy hałas jak gdyby z zewnątrz. Wstał, przerażony, z uczuciem, że to koniec świata; później pomyślał, że jest w więzieniu — trzeba mu było czasu, aby rozpoznać dźwięk wielkiego dzwonu, którego czterdziestu chłopów wprawiało w ruch na cześć świętego Giovity; wystarczyłoby dziesięciu.

Fabrycy szukał dobrego miejsca, aby widzieć, nie będąc widziany: spostrzegł, że z tej wysokości wzrok jego sięga w ogrody, a nawet w wewnętrzny dziedziniec zamku ojca. Zapomniał o nim. Myśl o ojcu dobiegającym kresu życia odmieniła jego uczucia. Rozróżniał nawet wróble, które szukały okruszyn na balkonie jadalni. „To potomstwo tych, które niegdyś obłaskawiałem” — pomyślał. Na tym balkonie, jak na wszystkich balkonach w pałacu, znajdowały się liczne drzewa pomarańczowe w glinianych donicach różnej wielkości; widok ten rozczulił go; rzut oka na ten dziedziniec, tak strojny, z ostro zarysowanymi cieniami, był w istocie wspaniały.

Niemoc ojcowska wciąż wracała mu na myśl. „To osobliwe doprawdy, ojciec ma ledwie o trzydzieści pięć lat więcej ode mnie, trzydzieści pięć a dwadzieścia trzy to dopiero pięćdziesiąt osiem!” Oczy jego utkwione w oknach tego srogiego człowieka, który go nigdy nie kochał, napełniły się łzami. Zadrżał, nagle chłód przebiegł jego żyły; zdawało mu się, że poznaje ojca przechodzącego terasą zdobną pomarańczami, znajdującą się pod oknami jego komnaty; ale to był tylko lokaj. Pod samą dzwonicą dziewczeczki, ubrane białe i podzielone na kilka grup, zajęte były wykreślanie deseni za pomocą czerwonych, niebieskich i żółtych kwiatów w ulicy, którą miała przechodzić procesja. Ale było tam coś, co żywiej przemówiło do duszy Fabrycego; oczy jego ogarniały dwie odnogi jeziora na odległość kilku mil; cudowny ten widok kazał mu zapomnieć o wszystkich innych, obudził w nim najpodnioślejsze uczucia. Wspomnienia dzieciństwa obiegały go tłumnie: dzień ten, spędzony w więzieniu w dzwonnicy, był jednym z najszczęśliwszych.

Szczęście wzniosło go na wyżyny dość obce jego usposobieniu; rozważał wydarzenia swego życia, on, tak młody, jak gdyby już doszedł jego kresu. „Trzeba przyznać — rzekł sobie po kilku godzinach rozkosznych marzeń — że od przybycia do Parmy nie zaznałem owej spokojnej i doskonałej radości, jakiej kosztowałem w Neapolu galopując po drózkach Vomero lub uganiając nad brzegiem Mizeny. Splot zawitych interesów tego mizernego dworu i mnie uczynił mizernym człowiekiem... Nie znajduję rozkoszy w nie-

nawiści, sądzę nawet, że byłoby to dla mnie bardzo smutne szczęście upokorzyć wrogów, gdybym ich miał; ale nie mam wrogów... Hola! — krzyknął nagle a Giletti!... To szczególnie — rzekł sobie — przyjemność, jaką by mi sprawiło, wyprawić tego plugawca do wszystkich diabłów, przetrwała lekki kaprys, jaki miałem dla Mariety... Ostatecznie, nie umywa się do księżnej d'A... w Neapolu, którą byłem obowiązany kochać, ponieważ powiedziałem jej raz, że jestem w niej zakochany. Wielki Boże! ileż razy umierałem z nudów w czasie schadzek z piękną księżną; nigdy nic podobnego w obdartym pokoju, kuchni raczej, w której Marieta przyjęła mnie dwa razy, za każdym razem po dwie minuty.

Och, Boże! co ci ludzie jedzą! Litość bierze!... Powinienem był wyznaczyć jej i jej *mammaji* pensję trzech befsztyków, płatnych każdego dnia... Marieta — dodał — odrywała mnie od lichych myśli, jakie mi nastreczyło sąsiedztwo tego dworu.

Byłbym może dobrze uczynił, obierając życie kawiarniane, jak powiada księżna; wyraźnie skłaniała się ku temu, a ona ma więcej rozumu ode mnie. Dzięki jej dobrodziejstwom lub bodaj z tą pensją czterech tysięcy franków i kapitałem czterdziestu tysięcy umieszczonych w Lyonie, które przeznacza mi matka, miałbym zawsze konia i parę talarów na kopanie i na gabinet archeologiczny. Skoro — jak się zdaje — nie jest mi przeznaczone poznać miłość, będą to zawsze dla mnie dwa wielkie źródła szczęścia; chciałbym, nim umrę, zobaczyć jeszcze raz pole bitwy pod Waterloo i odszukać łąkę, gdzie mnie tak wesoło zdjęto z konia i posadzono na ziemi. Dopełniwszy tej pielgrzymki, wracałbym często nad to cudowne jezioro; nic równie pięknego nie może być na świecie, dla mego serca przynajmniej. Po co szukać tak daleko szczęścia! Jest tu, przed moimi oczami.

Ba! — rzekł sobie Fabrycy, opamiętując się — policja wypędza mnie znad Como, ale ja jestem młodszy od ludzi, którzy dowodzą tą policją. Tutaj — dodał, śmiejąc się — nie znalazłbym księżnej d'A... ale znalazłbym którąś z tych małych dziewczynek, które sypią kwiaty, i doprawdy kochałbym ją nie mniej; obluda mrozi mnie nawet w miłości, a nasze damy silą się na zbyt górne loty. Napoleon zaszczepił im pojęcia obyczajności i stałości.

Tam, do licha! — rzekł cofając głowę, jak gdyby się nagle zląkł, że go poznają, mimo olbrzymiej drewnianej żaluzji, mającej chronić dzwony od deszczu — wkraczają w wielkiej paradzie panowie żandarmi." W istocie dziesięciu żandarmów, z tych czterech podoficerów, ukazało się w głównej ulicy. Sierżant rozstawił ich co sto kroków wzdłuż drogi, którą miała przechodzić procesja. „Wszyscy mnie znają tutaj; jeśli mnie spostrzegą, damy tylko jednego susa znad Como do Szpilbergu, gdzie mi przywiążą do każdej nogi po sto dziesięć funtów — a co za rozpacz dla księżnej!”

Fabrycy potrzebował parę minut, aby sobie przypomnieć, że przede wszystkim znajduje się na więcej niż osiemdziesiąt stóp w górze, że miejsce, w którym siedzi, jest względnie ciemne, że oczy ludzi, którzy mogliby nań patrzeć, są oślepienie słońcem, że wreszcie wszyscy przechadzają się z wytrzeszczonymi oczami po ulicach, gdzie domy wybielono wapnem na cześć Świętego Gioivity. Mimo tak jasnego rozumowania włoska dusza Fabrycego byłaby niezdolna kosztować jakiegokolwiek przyjemności, gdyby między żandarmami a sobą nie pomieścił płóciennej szmaty, którą przymocował do okna, zrobiwszy w niej dziury na oczy.

Od dziesięciu minut dzwony wstrząsały powietrzem, *procesja* wywodziła z kościoła, dały się słyszeć *mortaretti*. Fabrycy zwrócił głowę i poznał skwer opatrzone parapetem i wznoszący się nad jeziorem, gdzie tak często za młodu narażał się, że *mortaretti* wypała mu gdzieś między nogi, co sprawiło, że w uroczyste święta matka wolała go mieć przy sobie.

Trzeba wiedzieć, że *mortaretti* (czyli małe moździerzce) są nie czym innym niż lufą od karabinu upiłowaną w ten sposób, że zostaje już tylko stery cale; dlatego chłopci zbierają chciwie lufy od strzelb, którymi od 1796 roku polityka Europy zasiała tak obficie równiny Lombardii. Sprowadziwszy je do czterech cali długości, ładuje się te armatki aż po brzeg prochem, zatyka się je w ziemi pionowo, przy czym smuga prochu biegnie od jednej do drugiej; ustawia się je w liczbie paruset w trzy szeregi, jak batalion, gdzieś opodal drogi, którą ma przechodzić procesja. Kiedy Przenajświętszy Sakrament jest już blisko, zapala się proch i wówczas zaczyna się rotowy ogień pociesznie nierównych wystrzałów — kobiety szaleją z radości. Nic weselszego niż hałas tych *mortaretti* słyszany z dala na jeziorze i zlagodzony pluskiem wody; hałas ten, który tak często upajał go w dzieciństwie,

spędził zbyt poważne myśli naszego bohatera. Przyniósł lunetę księdza i rozpoznał większość ludzi idących z procesją. Ta i owa z miluchnych dziewcząt, którą Fabrycy zostawił dwunastoletnim dzieckiem, była dziś wspaniałą kobietą w pełni rozkwitu najbujniejszej młodości; widok ich skrzepił serce w naszym bohaterze; aby z nimi pogwarzyć, byłby chętnie zadrwił z żandarmów.

Procesja weszła do kościoła bocznymi drzwiami, których Fabrycy nie mógł widzieć. Niebawem upał wzmógł się szalenie, nawet na szczycie dzwonnicy; mieszkańcy schronili się do domów, w wiosce zapanowała cisza. Kilka łodzi nappełniło się wieśniakami wracającymi do Belagio, Menagio i innych miejscowości nad jeziorem; Fabrycy słyszał uderzenie każdego wiosła; ten prosty szczegół upajał go wręcz; na jego radość składały się wszystkie męki i wszystkie przymusy, jakich zaznał w sprzykrzonym życiu dworskim. Z jakąż radością przejechałby się teraz miłą po tym spokojnym jeziorze, które odbijało głębię niebios! Usłyszał, że drzwi na dole otwierają się: to stara służąca księdza Blanès przyniosła duży kosz; musiał zadać sobie gwałt, aby do niej nie zagadać. „Kocha mnie niemal tak samo jak jej pan — powiadał sobie — a zresztą o dziewiątej wieczorem odchodzę, czyżby mi nie dochowała, bodaj kilka godzin, sekretu, gdyby mi dała słowo? Ale — powiadał sobie Fabrycy — pogniwałbym mego przyjaciela; mógłbym go narazić wobec żandarmów!” I Fabrycy pozwolił odejść Ghicie nie odezwawszy się do niej. Zjadł doskonały obiad, po czym ułożył się, aby zasnąć na kilka minut; obudził się o wpół do dziewiątej wieczór; ksiądz Blanès potrząsnął nim ująwszy go za ramię; była noc.

Ksiądz był bardzo zmęczony, miał o pięćdziesiąt lat więcej niż poprzedniego dnia. Nie mówili już o rzeczach poważnych. Gdy usiadł: „Uściskaj mnie” — rzekł do Fabrycego. Wziął go po dwakroć w ramiona.

— Śmierć — rzekł wreszcie — która zakończy to długie życie, nie będzie miała nic równie ciężkiego jak to rozstanie. Mam skarbczyk, który zostawię u Ghity z poleceniem, aby czerpała z niego na swoje potrzeby, ale aby oddała to, co zostanie, jeśli kiedy tego zażądaś. Znam ją, zdolna jest, oszczędzając dla ciebie, nie jadać mięsa ani cztery razy na rok, o ile nie wydasz jej ścisłych rozkazów. Możesz znaleźć się w nędzy, wówczas grosz starego przyjaciela ci się przyda. Nie spodziewaj się od brata niczego prócz łajdactwa; staraj się zdobyć pieniądze pracą, która cię zrobi użytecznym. Przewiduję dziwne przewroty: za pięćdziesiąt lat może nie zniosą już nierobów. Matki i ciotki może ci zbraknąć; siostry będą musiały słuchać mężów...

— Idź, idź, uciekaj! — wykrzyknął ksiądz żywo, usłyszawszy w zegarku lekki szcęk, zapowiadający, że dziesiąta ma wybić niebawem; nie pozwolił nawet, aby go Fabrycy uściskał ostatni raz. — Śpiesz się! śpiesz się! przynajmniej minutę schodzi się ze schodów; uważaj, żebyś nie upadł, to byłaby okropna wróżba.

Fabrycy rzucił się ku schodom; znalazłszy się na ulicy, zaczął biec. Właśnie był pod zamkiem ojca, kiedy zegar wybił dziesiątą, każdy dźwięk rozległ się w piersi niby uderzenie. Zatrzymał się, aby się zastanowić lub raczej aby się poddać gwałtownym uczuciom, jakie budziła w nim kontemplacja tego majestatycznego budynku, któremu w wilię przyglądał się tak obojętnie. Wśród tych dumań obudziły go męskie kroki; podniósł wzrok i ujrzał czterech żandarmów. Miał parę znakomitych pistoletów, które podsypał był świeżo; szcęk kurka zwrócił uwagę żandarma, który już miał go aresztować. Fabrycy zrozumiał niebezpieczeństwo i gotował się strzelić pierwszy; miał prawo, był to bowiem jedyny sposób stawienia oporu czterem dobrze uzbrojonym ludziom. Szczęściem żandarmi, kórzy obchodzili tego wieczora karczmy, aby wyganiać z nich chłopów, nie okazali się nieczuli na grzeczności, jakich doznali w tych miłych przybytkach; nie dość szybko namyślili się pełnić swój obowiązek. Fabrycy puścił się pędem; żandarmi uczynili też kilka kroków wołając: „Łapaj! Trzymaj!” — po czym zaległa cisza. Sto kroków dalej Fabrycy zatrzymał się, aby nabrać oddechu. „Szcęk moich pistoletów omal mnie nie zgubił; księżna — o ile byłoby mi dane ujrzeć jeszcze kiedy jej piękne oczy — miałaby prawo powiedzieć mi, że dusza moja znajduje przyjemność w oglądaniu tego, co się zdarzy za dziesięć lat, a zapomina patrzeć na to, co się dzieje tuż obok.”

Fabrycy zadrżał, myśląc o niebezpieczeństwie, którego uniknął; podwoił kroku, ale niebawem nie mógł się wstrzymać, aby niebiegnąć, co nie było zbyt ostrożne: zwrócił na siebie uwagę kilku wieśniaków, którzy wracali do domów. Dopiero w górach, więcej niż

o milę od Grianta, zdobył się na to, aby się zatrzymać; a nawet zatrzymawszy się, oblał się zimnym potem na myśl o Szpilbergu.

— Zażyłem ładnego strachu! — powiadał sobie. Słyszając dźwięk tego słowa omal że uczuł wstyd. — Ale czyż ciotka nie powiedziała mi, iż rzeczą, której najbardziej potrzebuję, jest nauczyć się przebaczać samemu sobie? Porównywał się zawsze z wzorem doskonałym, który nie może istnieć. Dobrze więc, przebaczam sobie swój strach, bo z drugiej strony, byłem stanowczo gotów bronić swej wolności i z pewnością nie zostaliby na nogach wszyscy czterej, gdyby przyszło odprowadzić mnie do więzienia. Ale — dodał — zachowuję się nie po wojskowemu; zamiast wykonać szybki odwrót, spełniwszy swój cel i może zbudziwszy podejrzenie przeciwnika, zabawiam się fantazjami niedorzeczniejszymi może niż wszystkie przepowiednie zacnego proboszcza.”

W istocie, zamiast wykonać odwrót najkrótszą drogą i dobić do Lago Maggiore, gdzie czekała go łódka, czynił ogromne koło, aby zobaczyć *swoje drzewo*. Czytelnik przypomina sobie może miłość, jaką Fabrycy żywił do kasztana, zasadzonego przez jego matkę przed dwudziestu trzema laty. „Byłoby godne mego brata — powiedział sobie — gdyby kazał ściąć to drzewo; ale tego rodzaju ludzie nie czują rzeczy subtelnych; pewno ani nie pomyślał o tym. Zresztą, to nie byłaby zła wróżba” — dodał z otuchą.

W dwie godziny później ujrzał z przerażeniem, że ktoś (psotnicy czy burza?) złamał gałąź młodego drzewa, tak że zwiśla uschnięta; Fabrycy obciął ją z szacunkiem i starannie obrobił złamane miejsce, tak aby woda nie mogła sączyć się do pnia. Następnie, mimo że czas był mu drogi, miało bowiem dzień lada chwila, spędził dobrą godzinę na okopaniu swego ukochanego drzewa. Dopełniwszy tych szaleństw puścił się żywo ku Lago Maggiore. Ogółem nie był smutny, drzewo chowało się ładnie, tęższe niż kiedykolwiek: w pięć lat urosło go niemal drugie tyle. Gałąź była jedynie wypadkiem bez znaczenia; raz odcięta, nie szkodziła już drzewu, które nawet stało się smuklejsze, ile że jego gałęzie zaczynały się wyżej.

Nie zrobił ani mili, kiedy olśniewająca smuga światła oblała na wschodzie wierzchołki Resegon di Lek, góry sławnej w okolicy. Droga zaludniła się wieśniakami; ale zamiast hodować wojownicze myśli, Fabrycy roztkliwiał się wspaniałym i wzruszającym widokiem lasów w okolicy Como. To może najładniejsze lasy w świecie — rozumie się, nie w tym znaczeniu, że dają najwięcej *talarków*, jakby powiedziano w Szwajcarii, ale że najwięcej mówią do duszy. Słuchać tej mowy w położeniu, w którym się znajdował Fabrycy, wystawiony na pościg panów żandarmów lombardzko-weneckiej prowincji, to było istne dzieciństwo. „Jestem o pół mili od Francji — rzekł wreszcie — spotkam celników i żandarmów odprawiających ranny ront: to wykwiłtne ubranie wyda się im podejrzane, spytają o paszport; otóż ten paszport zawiera najwyraźniej nazwisko przeznaczone do więzienia; i oto znajdę się w milę konieczności popełnienia morderstwa. Jeżeli, jak za zwyczaj, żandarmi będą szli po dwóch, nie mogę po prostu czekać z daniem ognia, aż jeden z nich zechce mnie brać za kołnierz: niech padając zatrzyma mnie bodaj na chwilę, już jestem w Szpilbergu.” Fabrycy, przejęty grozą, zwłaszcza tym, że będzie musiał strzelać pierwszy, być może do dawnego żołnierza swego wuja, hrabiego Pietranera, ukrył się w spróchniałym pniu olbrzymiego kasztana; podsywał pistolety, kiedy usłyszał człowieka, który szedł przez las, śpiewając bardzo ładnie rozkoszną melodię Marcadantego, modną wówczas w Lombardii.

„Dobra wróżba” — rzekł Fabrycy. Melodia ta, której wysłuchał z nabożeństwem, rozbroiła podrażnienie, które zaczęło barwić jego myśl. Spojrzał uważnie na drogę w obie strony, nie ujrzał nikogo. „Śpiewak nadchodzi snadź boczną dróżką” — rzekł sobie. Prawie w tej samej chwili ujrzał lokaja w schludnej angielskiej liberii; siedział na szkapie swojego chowu, która wlokła się noga za nogą, a wiódł za uzdę rasowego konika, nieco chudego.

„Ha! gdybym rozumował jak Mosca! — rzekł sobie Fabrycy. — Powtarzał mi zawsze, że niebezpieczeństwo, w jakim znajduje się człowiek, jest miarą jego praw nad sąsiadem. W myśl tej zasady palnąłbym w łeb temu pacholкови i siadłszy na jego anglika, kpiłbym sobie z żandarmów. Natychmiast po powrocie do Parmy posłałbym pieniądze temu człowiekowi lub jego wdowie... ale to byłoby okropne!”

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ucieczka

Tak sobie prawiąc morały, Fabrycy wyskoczył na gościniec prowadzący do Szwajcarii; w tym miejscu biegnie on wzdłuż lesistego zbocza. „Jeżeli ten chwyt się złęknie — rzekł sobie Fabrycy — wypuści się galopem, a ja zostanę tu jak dudek.” W tej chwili znajdował się o dziesięć kroków od lokaja, który już nie śpiewał. Fabrycy ujrzał w jego oczach lęk: chciał może zawrócić z końmi.

Niezdecydowany jeszcze, Fabrycy dał susa; chwycił angielskiego konia za uzdę.

— Mój przyjacielu — rzekł do lokaja — ja nie jestem zwykłym opryskiem; zacznę od tego, że ci dam dwadzieścia franków, ale muszę pożyczyć od ciebie konia; zabiją mnie, jeśli co prędzej nie dam nura. Goni mnie czterech braci Riva, sławnych strzelców, których zapewne znasz; złapali mnie w pokoju siostry, wyskoczyłem oknem i jestem tutaj. Wyszli do lasu ze strzelbami i psami. Schowałem się w ten spróchniały kasztan, bo widziałem jednego z nich, jak przecinał drogę, ale psy wytropią mnie! Siądę na twego konia i pocwałuję miłą za Como: jadę do Mediolanu, aby się rzucić do nóg wicekróla. Zostawię ci konia na stacji pocztowej, z dwoma napoleonami dla ciebie, jeśli mi go oddasz dobrowolnie. Ale jeśli stawisz najmniejszy opór, widzisz ten pistolet? Gdybyś po mym odjeździe nasłał mi na kark żandarmów, kuzyn mój, dzielny hrabia Alari, koniuszy J. C. Mości, postara się, aby ci połamano gnaty.

Fabrycy wygłosił tę improwizowaną przemowę z miną na wskroś pokojową.

— Zresztą — dodał śmiejąc się — nazwisko moje nie jest tajemnicą: jestem marchesino Ascanio del Dongo, zamek mój jest tuż obok, w Grianta. Nuże, hultaju! — rzekł podnosząc głos — puść tego konia!

Oslupiały lokaj nie rzekł ani słowa. Fabrycy przełożył pistolet do lewej ręki, chwycił cugle, które lokaj puścił, skoczył na konia i pomknął galopem. Skoro się znalazł o jakie trzysta kroków, spostrzegł, że zapomniał dać przyręczone dwadzieścia franków; zatrzymał się; wciąż nie było nikogo na gościńcu prócz lokaja, który jechał za nim galopem. Kiedy go ujrzał o pięćdziesiąt kroków, rzucił na gościniec garść monet i odjechał. Ujrzał z daleka, że ów zbiera pieniądze. „Rozsądny człowiek — rzekł Fabrycy śmiejąc się — żadnego zbytecznego słowa!” Pomknął szybko, koło południa zatrzymał się w karczemce i w kilka godzin później puścił się znowu w drogę. O drugiej rano znalazł się nad Lago Maggiore; niebawem ujrzał swą łódkę krążącą po wodzie; zbliżyła się na umówiony znak. Nie znalazłszy wieśniaka, któremu by mógł oddać konia, puścił szlachetne zwierzę wolno; w trzy godziny później był w Belgirate. Znalazłszy się w przyjacielskim kraju, wytchnął nieco; był wesół, wszystko udało się doskonale. Czy ośmielimy się wskazać istotne przyczyny jego radości? Drzewo jego chowało się wspaniale, a dusza była odświeżona głębokim wzruszeniem, którego zaznał w objęciach księdza Blanès. „Czy on w istocie wierzy — powiedział sobie Fabrycy — w te swoje przepowiednie? Czy też wobec tego, że brat zrobił mi reputację jakobina, człowieka bez czci i wiary, zdolnego do wszystkiego, zacny ksiądz chciał mnie jedynie uchronić od pokusy strzaskania głowy jakimś bydłakowi, który mi wypłata szpetnego figła?”

Na trzeci dzień Fabrycy był w Parmie, gdzie ubawił hrabiego i księżnę opowiadając im z najdrobniejszymi szczegółami, jak czynił zawsze, historię swej podróży.

Skoro Fabrycy przybył, zastał odźwiernego i całą służbę pałacu Sanseverina w najgrubszej żałobie.

— Co za stratę ponieśliśmy? — spytał księżnej.

— Zacny człowiek, którego nazywano moim mężem, umarł w Baden. Zostawia mi ten pałac (to była rzecz umówiona), ale na znak swej pamięci dodaje trzysta tysięcy franków, czym sprawił mi wielki kłopot; nie mam ochoty się ich zrzec na rzecz jego siostrzenicy, margrabiny Raversi, która płata mi co dzień obrzydliwe sztuki. Ty, który znasz się na tym, musisz mi znaleźć dobrego rzeźbiarza; zbuduję księciu grobowiec za trzysta tysięcy.

Hrabia opowiedział parę anegdot o pani Raversi.

— Próżno starałam się ją ułagodzić dobrodziejstwami — rzekła księżna. Co do bratanków męża, porobiłam ich wszystkich pułkownikami albo generałami. W zamian, nie upływa miesiąc, aby mi nie przesłali jakiego ohydneho anonimu: musiałam przyjąć sekretarza do czytania tej korespondencji.

— Te anonimy to jeszcze ich najmniejszy grzech — podjął hrabia Mosca — mają istną fabrykę nikczemnych denuncjacji. Dwadzieścia razy mogłem oddać całą tę klikę pod sąd, a Wasza Eksceleńcja może się domyślić — dodał zwracając się do Fabrycego — czy moi zacni sędziowie byliby ich skazali.

— Otóż to właśnie psuje mi wszystko — odparł Fabrycy z naiwnością bardzo zabawną na dworze — byłbym wolał, aby ich skazali sędziowie sądzący wedle sumienia.

— Ty, który podróżujesz, aby się oświecać, zrobisz mi wielką przyjemność, dając mi adres takich sędziów: napiszę do nich jeszcze przed pójściem spać.

— Gdybym był ministrem, ten brak uczciwych sędziów upokarzałby moją ambicję.

— Ale zdaje mi się — odpowiedział hrabia — że Wasza Eksceleńcja, który tak kocha Francuzów i który nawet swego czasu udzielał im pomocy swego niezwalzonego ramienia, zapomina w tej chwili jednej z ich kapitalnych maksym: „Lepiej zabić diabła, niż żeby diabeł ciebie zabił.” Chciałbym widzieć, jakbyś ty rządził gorącymi głowami, które czytają cały dzień historię *rewolucji francuskiej*, gdyby sędziowie uwalniali ludzi, których ja oskarżam. Nie chcieliby w końcu skazywać najoczywistszych łajdaków i uważaliby się za Brutusów. Ale muszę się z tobą podroczyć: czy twoja tak wrażliwa dusza nie ma jakich wyrzutów z przyczyny tego pięknego rasowego konika, któregoś porzucił nad Lago Maggiore?

— Mam zamiar — rzekł Fabrycy najpoważniej — zwrócić, co będzie trzeba, właścicielowi konia, aby go odszkodować za ogłoszenia etc., za pomocą których odzyska z powrotem konia od chłopca, który go znalazł; będę czytywał uważnie mediolański dziennik, aby znaleźć ogłoszenie zgubionego konia; znam dobrze jego rysopis.

— On jest naprawdę cudownie *pierwotny* — rzekł hrabia do księżnej. — A co by się stało z Waszą Eksceleńcją — ciągnął, śmiejąc się — gdyby galopując co koń wyskoczy na tym pożyczonym biegunie, Eksceleńcja pozwolił sobie się potknąć? Byłbyś w Szpilbergu, drogi bratanku, i wszystkie moje wpływy zdołałyby zaledwie zmniejszyć o jakie trzydzieści funtów łańcuch u każdej twojej nogi. Spędziłbyś w tym lubym miejscu z dziesięć lat; może nogi popuchłyby ci i zaczęły gnić; wówczas obcięto by ci je schludnie.

— Och, przez litość, nie snuj dalej tak smutnej bajki! — wykrzyknęła księżna ze łzami w oczach. — Mamy go z powrotem.

— I cieszy mnie to jeszcze więcej niż ciebie, możesz mi wierzyć — ciągnął minister z największą powagą — ale ostatecznie czemuż ten okrutny dzieciak nie poprosił mnie o paszport na jakieś przyzwoite nazwisko, skoro miał ochotę puścić się do Lombardii? Na pierwszą wieść o jego uwięzieniu pojechałbym do Mediolanu, a przyjaciele, których mam w tym kraju, godziliby się zamknąć oczy i uznać, że żandarmi przytrzymali poddanego księcia Parmy. Opowiadanie o twojej wycieczce jest miłe, zabawne, godzę się na to chętnie — odparł hrabia, przechodząc w weselszy ton — twój wypad z lasu na gościniec jest dosyć w moim guście, ale mówiąc między nami, skoro ten lokaj miał twoje życie w rękach, miałeś wszelkie prawo wydrzeć mu jego życie. Gotujemy tu Waszej Eksceleńcji świetną karierę, przynajmniej ta oto zacna pani tak mi nakazała, nie sądzę zaś, aby największy wróg mnie oskarżył, że kiedykolwiek byłem nieposłuszny jej rozkazom. Cóż za śmiertelna zgrzyzota dla niej i dla mnie, gdybyś się był potknął w tym wyścigu! Lepiej by ci już było — dodał hrabia — abyś był z tego konia od razu kark skręcił.

— Bardziej tragiczny, mój drogi, tego wieczora — rzekła księżna, wzruszona.

— Bo też otoczeni jesteśmy tragicznymi wydarzeniami — odparł hrabia również ze wzruszeniem — nie jesteśmy we Francji, gdzie wszystko kończy się piosenką<sup>39</sup> lub rokiem więzienia. Źle robię doprawdy, że mówię o tym ze śmiechem. A, ba! miły bratanku, przypuszczam, iż kiedyś zdołamy z ciebie zrobić biskupa, bo doprawdy nie mogę zacząć od arcybiskupstwa w Parmie, jak tego pragnie bardzo rozsądnie tu obecna księżna pani; otóż na tym stolcu biskupim, gdzie będziesz daleko od naszych świątłych rad, powiedz mi, jaka będzie twoja polityka?

— „Zabić diabła raczej, niż żeby on mnie zabił”, jak dobrze mówią moi przyjaciele Francuzi — odparł Fabrycy z płonącymi oczyma — zachować wszelkimi środkami, ze strzałem z pistoletu włącznie, pozycję, którą mi wyrobicie. Czytałem w genealogii del

<sup>39</sup>nie jesteśmy we Francji, gdzie wszystko kończy się piosenką lub rokiem więzienia — „Muszę napisać słówko do komendanta”, tak brzmi zakończenie *Wesela Figara* Beaumarchais’go. [przypis redakcyjny]

Dongów historię owego przodka, który zbudował zamek w Grianta. Na schyłku jego życia jego serdeczny druh Galeas<sup>40</sup>, książę Mediolanu, wysłał go, aby zwiedził warownię na naszym jeziorze; obawiano się nowego najazdu Szwajcarów. „Muszę napisać słówko do komendanta” — rzekł książę mediolański, żegnając go. Pisze i oddaje mu list, zawierający tylko dwa wiersze; potem prosi go jeszcze raz o list, aby go zapieczętował. „To będzie grzeczniej” — dodaje. Wespazjan del Dongo jedzie; ale płynąc przez jezioro przypomina sobie starą grecką powiastkę, jako że był uczony. Otwiera list swego dobrego pana i znajduje rozkaz do komendanta twierdzy, aby go natychmiast uśmiercił. Sforza, zbyt zajęty komedią, jaką grał z naszym protoplastą, pozostawił wolne miejsce między ostatnim wierszem a podpisem; Wespazjan del Dongo pisze rozkaz mianujący go gubernatorem wszystkich zamków na jeziorze i usuwa początek listu. Przybywszy do fortecy i zdobywszy sobie posłuch, wrzuca komendanta do studni, wydaje wojnę Sforzy i po kilku dniach zamienia swą twierdzę na te olbrzymie posiadłości, które stworzyły fortunę naszej rodziny i które kiedyś dadzą mi cztery tysiące funtów renty.

— Mówisz jak akademik — wykrzyknął hrabia, śmiejąc się — ładny figiel nam opowiadasz; ale jedynie co dziesięć lat ma się sposobność płatania takich figlów. Człowiek niemal tępy, ale baczny, rozważny na co dzień, ma często przyjemność drwienia sobie z ludzi o żywej wyobraźni. Przez wyskok wyobraźni Napoleon wydał się w ręce oględnego Johna Bulla<sup>41</sup> zamiast się starać zemknąć do Ameryki. John Bull uśmieł się serdecznie w swoim kantorze z listu, w którym cytuje Temistoklesa. Po wiek wieków plugawy Sancho Pansa będzie miał w końcu przewagę nad wzniosłym Don Kichotem. Jeśli zgodzisz się nie czynić w życiu nic nadzwyczajnego, nie wątpię, że będziesz biskupem bardzo szanowanym, jeżeli nie bardzo szanownym. Mimo to nie cofam swego poglądu: Wasza Ekscelencja postąpiła sobie lekkomyślnie w sprawie z koniem i była o dwa cale od dożywotniego więzienia.

Słowo to przejęło Fabrycego dreszczem i pogrążyło go w głębokim zdumieniu. „Czy to było — mówił sobie — owo więzienie, które mi grozi? Czy to jest zbrodnia, której nie powinienem być popełnić?” Przepowiednie księdza Blanès, których proroczy ton śmieszył go mocno, przybierały w jego oczach wagę istotnej wroźby.

— Cóż to? co tobie? — rzekła księżna, zdziwiona — widzę, że hrabia pogrążył cię w posepnych myślach.

— Olśniła mnie nowa prawda i zamiast buntować się, duch mój przyjmuje ją. To prawda, byłem bardzo bliski wiekuistego więzienia! Ale ten lokajczyk był taki ładny w swej angielskiej liberii! Szkoda byłoby go zabijać!

Minister był zachwycony jego rozsądkiem.

— Jest bardzo na miejscu pod każdym względem — rzekł, patrząc na księżnę. — Powiem ci, drogi chłopcze, żeś zrobił pewną konkietę, może najbardziej upragnioną ze wszystkich.

„Aha! — pomyślał Fabrycy — aluzja do Marietki.” Mylił się, hrabia dodał:

— Twoja *ewangeliczna* prostota zdobyła serce naszego czcigodnego arcybiskupa, ojca Landriani. W najbliższych dniach zrobimy z ciebie wielkiego wikariusza; ale największy urok tego konceptu stanowi to, że trzej obecni wielcy wikariusze, ludzie zasłużeni, pracowici (dwaj, jak sądzę, byli wielkimi wikariuszami przed twoim urodzeniem), zażądają w pięknym liście do arcybiskupa, abyś ty był wśród nich najstarszy rangą. Dostojnicy ci uzasadniają to twoją cnotą, a potem tym, że jesteś stryjecznym wnukiem słynnego arcybiskupa Ascania del Dongo. Kiedym się dowiedział o szacunku, jaki mają dla twoich cnót, natychmiast mianowałem kapitanem bratanka najstarszego z wielkich wikariuszów; był porucznikiem od czasu oblężenia Tarragony przez marszałka Suchet.

— Idź natychmiast w podróżnym stroju, jak stoisz, przywitać się z arcybiskupem! — krzyknęła księżna. — Opowiedz mu o małżeństwie siostry; kiedy się dowie, że ma być księżną, wydasz mu się jeszcze więcej apostołski. Zresztą nic nie wiesz o tym, co hrabia ci powiedział w sprawie nominacji.

Fabrycy pobiegł do arcybiskupa; był prosty i skromny: był to ton, który przybierał aż nazbyt łatwo, przeciwnie zaś, potrzebował wysiłku, aby grać wielkiego pana. Słucha-

<sup>40</sup>Galeas, własc. Galeazzo Maria Sforza (1444–1476) — książę Mediolanu. [przypis tłumacza]

<sup>41</sup>Przez wyskok wyobraźni Napoleon wydał się w ręce oględnego Johna Bulla — tu: Anglii; John Bull to postać uosabiająca narodowe cechy Anglików. [przypis redakcyjny]



jąc przydługiej gawędy arcybiskupa, powiadał sobie: „Czy powinienem był strzelić w leb lokajowi, który prowadził konika?” Rozum powiadał mu, że tak, ale serce nie mogło się oswoić z krwawym obrazem ładnego chłopca, który spada, zeszpecony, z konia.

„To więzienie, które miało mnie pochłonąć, gdyby koń się był potknął, czy to było owo więzienie, którym mi grozi tyle wróżb?”

Kwestia ta była dlań rzeczą niezmierniej doniosłości; arcybiskup był zachwycony jego głęboką bacznością.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wyszedszy z konsystorza, Fabrycy pobiegł do Marietki; usłyszał z dala graby głos Giletiego, który posłał po wino i raczył się z suflerem i ze służbą teatralną, swoimi kompanami. Jedynie mammacja, która pełniła i funkcje matki, odpowiedziała na jego sygnał.

— Mamy nowiny od czasu, jak cię nie było — wykrzyknęła — paru naszych aktorów oskarżono, że obchodzili pijatyką dzień wielkiego Napoleona, i nasza biedna trupa, którą nazywają jakobińską, otrzymała rozkaz opuszczenia Parmy, i niech żyje Napoleon! Ale podobno minister wypluł za to nieco grosza. To pewna, że Giletti ma pieniądze: nie wiem ile, ale widziałam u niego garść talarów. Marieta dostała od naszego dyrektora pięć talarów na kosztą podróży do Mantui i Wenecji, a ja talara. Zawsze cię bardzo kocha, ale boi się Giletiego; nie ma trzech dni, jak na ostatnim przedstawieniu chciał ją koniecznie zabić; wyciął jej dwa siarczyste policzki i — co najobrzydliwsze — podarł jej niebieski szal. Gdybyś zechciał sprawić jej niebieski szal, byłbyś bardzo pocziwy; powiedziałybyśmy, żeśmy go wygrały na loterii. Jutro fechtmistrz od karabinierów urządza zapasy szermierskie; porę wyczytasz na rogu każdej ulicy. Zajdź do nas; jeżeli pójdzie na zapasy, tak że będzie można się spodziewać dłuższej nieobecności, będę w oknie i dam ci znak. Staraj się przynieść nam coś ładnego, a Marieta będzie cię kochała z całej duszy.

Schodząc po kręconych schodkach z tej ohydnej nory, Fabrycy był pełen skruchy. „Nie zmieniłem się — powiadał sobie — wszystkie moje piękne postanowienia powzięte tam, nad jeziorem, kiedy patrzałem na życie okiem tak filozoficznym, ulotniły się. Dusza moja znajdowała się w niezwykłym stanie; wszystko to było snem i znika przed surową rzeczywistością. To byłaby chwila, aby działać” — rzeki Fabrycy wracając do pałacu Sanseverina koło jedenastej wieczór. Ale próżno szukał w sercu owej wzniosłej szczerości, która w nocy spędzonej nad jeziorem Como wydawała mu się tak łatwa. „Obrażę osobę, którą kocham jak nikogo w świecie; jeżeli powiem to wszystko, będę wyglądał na lichego aktora; wart jestem coś jedynie w chwilach podniecenia.”

— Hrabia jest dla mnie cudowny — rzekł do księżnej, zdawszy jej sprawę ze swych odwiedzin w konsystorzu — tym wyżej cenię jego postępowanie, iż o ile mi się wydaje, nie ma do mnie szczególnej sympatii; toteż moje zachowanie się wobec niego musi być wzorowe. Hrabia szuka obecnie wykopalisk w Sanguigna i wciąż jest do tego szalenie zapalony sądząc z jego przedwczorajszej wyprawy: zrobił galopem dwanaście mil, aby zabawić dwie godziny, nadzorując robotników. Jeżeli w starej świątyni, której fundamenty właśnie odkryto, znajdą się ułamki posągów, lęka się, aby mu ich nie skradziono; mam ochotę ofiarować mu się, że pojedę na trzydzieści sześć godzin do Sanguigna. Jutro koło piątej mam być jeszcze u arcybiskupa, mógłbym jechać wieczorem i skorzystać z nocnego chłodu, aby odbyć tę drogę.

W pierwszej chwili księżna nie odpowiedziała.

— Rzekłby ktoś, że szukasz pozorów, aby się oddalić ode mnie — rzekła wreszcie z niezwykłą tkliwością — ledwieś wrócił z Belgirate, znów chcesz jechać.

„Oto piękna sposobność, aby powiedzieć wszystko — pomyślał Fabrycy. Ale nad jeziorem byłem trochę nieprzytomny; w szale szczerości nie zauważyłem, że mój komplement obraca się w grubiaństwo. Chodziłoby o to, aby powiedzieć: »Kocham cię najoddańszą przyjaźnią etc., ale dusza moja nie jest zdolna do miłości.« Czy to nie znaczy po prostu: »Widzę, że mnie kochasz, ale uważaj: nie mogę ci odplacić tą samą monetą.« Jeśli księżna mnie kocha, może jej być przykro, że ją przejrzałem; jeśli zaś ma do mnie tylko przyjaźń, będzie oburzona mym zuchwalstwem... a to są zniewagi, których się nie zapomina.” Wążąc te doniosłe myśli, Fabrycy przechadzał się po salonie z twarzą zadumaną i surową, jak człowiek, który widzi nieszczęście tuż.

Księżna wodziła za nim oczami z zachwytem; to nie było już owo dziecko, na którego urodzenie patrzyła, to nie był już bratanek, zawsze jej posłuszny, ale dojrzały mężczyzna, którego miłość byłaby czymś tak rozkosznym... Podniosła się z otomany i rzucając się ze wzruszeniem w jego ramiona, rzekła:

— Chcesz tedy uciekać przede mną?

— Nie — odparł z miną rzymskiego cezara — ale chciałbym być rozsądny. Słowo to można było rozmaicie tłumaczyć; Fabrycy nie miał odwagi iść dalej i narażać się na to, że może zranić tę czarującą kobietę. Był zbyt młody i zbyt łatwo poddawał się wzruszeniom; nie znajdował w głowie żadnego zwrotu dla wyrażenia tego, co chciał powiedzieć. Z naturalnego porywu, wbrew wszelkim rozumowaniom, wziął w ramiona tę lubą kobietę i obsypał ją pocałunkami. W tej chwili dał się słyszeć turkot powozu hrabiego na dziedzińcu, a prawie równocześnie on sam zjawił się w salonie; wydawał się bardzo przejęty.

— Budzisz osobliwe przywiązania — rzekł do Fabrycego, którego słowa te zmieszały. — Arcybiskup miał tego wieczora audiencję, której panujący udziela mu co czwartek; książę opowiedział mi właśnie, że arcybiskup z miną bardzo wzruszoną zaczął od wykutej na pamięć i wielce uczonej przemowy, z której zrazu książę nic nie rozumiał. Ojciec Landriani oświadczył w końcu, jak ważnym dla kościoła w Parmie jest, aby monsignore Fabrycy del Dongo został jego pierwszym generalnym wikariuszem, następnie zaś, skoro ukończy lat dwadzieścia cztery, jego koadiutorem z *przeznaczeniem do następstwa*.

Wyznaję, że to słowo przeraziło mnie — rzekł hrabia — to mi było troszeczkę za szybko i lękałem się, że książę gotów nam wierzgnać; ale popatrzył tylko na mnie, śmiejąc się i rzekł po francusku: „Poznaję twoją rączkę, hrabio!” — „Mogę przysiąc przed Bogiem i przed Waszą Wysokością — wykrzyknąłem z całym namaszczeniem — że słowa z *przeznaczeniem do następstwa* były mi zupełnie nieznane.” Powiedziałem prawdę, to, co powtarzaliśmy tu sami przed kilku godzinami; dodałem z zapałem, że będę to uważał za szczyt łaski Jego Wysokości, jeśli na początek użyje jakiej pomniejszej infuły. Musiał mi książę uwierzyć, bo uznał za właściwe silić się na uprzejmość; powiedział mi z możebną prostotą: „To jest urzędowa sprawa między arcybiskupem a mną, ty, hrabio, nie grasz tu żadnej roli; pocziwiec przedłożył mi obszerny i dość nudny raport, w którego konkluzji przechodzi do oficjalnej propozycji; odpowiedziałem mu nader chłodno, że dana osoba jest bardzo młoda, a zwłaszcza jest od bardzo niedawna na moim dworze — wyglądałoby to prawie na placenie wiarygodności cesarza, gdybym dał widoki tak wysokiej godności synowi jednego z dostojników lombardzko-weneckiego królestwa. Arcybiskup zarzekł się, że żadne tego rodzaju polecenie nie miało miejsca. Mówić to *mnie* — to było kapitalnie głupio. Zdziwiło mnie to ze strony tak wytrawnego człowieka; ale on jest zawsze splezony, kiedy mówi do mnie, a tego wieczora był bardziej wzruszony niż kiedykolwiek, co mi nasunęło myśl, że gorąco tego pragnie. Odparłem, iż wiem lepiej od niego, że nie było żadnego wysokiego wstawiennictwa za panem del Dongo, że nikt na moim dworze nie odmawia mu zdolności, że nie mówią nazbyt źle o jego obyczajach, ale że obawiam się, iż jest zdolny do *entuzjazmu*, a przyrzekłem sobie nie wynosić nigdy na wybitne stanowiska wariatów, z którymi władca nie jest pewny niczego. Wówczas — ciągnął Jego Wysokość — musiałem znieść orację prawie równie długą jak pierwsza: arcybiskup sławił przede mną entuzjazm domu bożego. „Niezdaro — myślałem sobie — w piętę gonisz, niszczysz nominację, która była już prawie załatwiona; trzeba było skończyć i podziękować ostantacyjnie. Gdzie tam, rznął dalej swoje z pociesznym zacietrzewieniem! Szukałem odpowiedzi, która nie byłaby zbyt ujemna dla młodego del Dongo; znalazłem, i to dość szczęśliwą, jak możesz osądzić: „Wasza Wielebność — rzekłem — Pius VII był wielkim papieżem i wielkim świętym: wśród wszystkich monarchów on jeden ośmielił się stawić opór tyranowi, który miał Europę u swych stóp; otóż był on zdolny do entuzjazmu, co go popchnęło, wówczas gdy był biskupem w Imola, do napisania swego słynnego pasterskiego listu *obywatela kardynała Chiaramonti na rzecz Republiki Cisalpińskiej*<sup>42</sup>.

Pocziwy arcybiskup osłupiał; aby go pogrążyć w tym większym osłupieniu, powiedziałem mu z poważną miną: „Żegnam Waszą Wielebność, trzeba mi dwudziestu czterech

<sup>42</sup>Pius VII był (...) zdolny do (...) napisania swego słynnego pasterskiego listu *obywatela kardynała Chiaramonti na rzecz Republiki Cisalpińskiej* — Pius VII (1740–1823) jako kardynał Chiaramonti i biskup Imoli w 1796 r. uznał włączenie swojej diecezji do Republiki Cisalpińskiej i wydał list pasterski, w którym stwierdził, że religia chrześcijańska może współistnieć z każdą formą rządów. [przypis redakcyjny]

godzin zastanowienia się nad jego propozycją. Nieborak dodał jeszcze kilka próśb niezgrabnych i dość niewczesnych po moim *zegnaniu*. A teraz, hrabio Mosca della Rovere, polecam ci donieść księżnej, że nie chcę opóźniać o dwadzieścia cztery godziny rzeczy, która może jej być miła; siadaj tu i napisz do arcybiskupa bilecik z aprobatą, kończący całą tę sprawę.” Napisałem bilecik, księżę podpisał i rzekł do mnie: „Zanieś go w tej chwili księżnej.” Oto bilecik, pani, i oto, co mi dostarczyło szczęścia oglądania pani jeszcze dziś wieczór.

Księżna uszczęśliwiona odczytała bilecik. Podczas długiego opowiadania hrabiego Fabrycy miał czas ochłonać; nie zdziwiony tym wydarzeniem, przyjął rzecz jak wielki pan, który uważał zawsze za bardzo naturalne, że ma prawo do tych nadzwyczajnych awansów, do owych skoków losu, od których mieszczanin straciłby głowę; dał wyraz swej wdzięczności, ale we właściwej formie, po czym rzekł:

— Dobry dworak powinien schlebiać namiętnościom mocarzy: wczoraj wyraził pan obawę, aby pańscy robotnicy w Sanguigna nie ukradli części starożytnych posągów w razie, gdyby coś odkryli; ja bardzo lubię kopać, jeśli pozwolisz, hrabio, pojedę doglądać robotników. Jutro wieczór, złożywszy dzięki w pałacu i u arcybiskupa, pojedę do Sanguigna.

— Ale czy ty zgadujesz, hrabio — rzekła księżna — skąd się wzięła ta nagła czułość arcybiskupa do Fabrycego?

— Nie potrzebuję zgadywać; wielki wikariusz, którego brat jest kapitanem, powiedział mi wczoraj: „Ojciec Landriani, wychodząc z bezspornej zasady, że arcybiskup wyższy jest od swego koadiutora, nie posiada się z radości, że ma pod swymi rozkazami prawdziwego del Dongo i że mu wyświadczył usługę.” Wszystko, co podkreśla urodzenie Fabrycego, pomnaża jego szczęście: taki człowiek jest jego adiutantem! Z drugiej strony polubił Fabrycego, nie czuje się wobec niego onieśmielony; a wreszcie, hoduje od dziesięciu lat serdeczną nienawiść do biskupa Piacenzy, który objawia głośnie pretensje zajęcia po nim arcybiskupiego stolca, a który, co więcej, jest synem młynarza. Ze względu na to następstwo biskup Piacenzy zawiązał ściśle stosunki z margrabiną Raversi i obecnie stosunki te napętlają arcybiskupa obawą o powodzenie jego ulubionego zamiaru: mianowicie, aby mieć del Donga w swoim sztabie i dawać mu rozkazy.

Na trzeci dzień wcześniej rano Fabrycy kierował robotami w Sanguigna, naprzeciw Colorno (jest to Wersal książąt Parmy); poszukiwania te odbywały się na równinie tuż obok gościńca prowadzącego z Parmy do mostu przed Casal-Maggiore, najbliższego miasta austriackiego. Robotnicy przecinali równinę długim rowem, głębokim na osiem stóp a bardzo wąskim: szukano wzdłuż dawnej drogi rzymskiej ruin drugiej świątyni, która wedle tradycji istniała jeszcze w wiekach średnich. Mimo rozkazów księcia chłopcy i nie bez zawiści patrzyli na te długie rowy, tnące ich posiadłości. Co bądź by im powiadać, wyobrażali sobie, że tu chodzi o szukanie skarbu — ledwie obecność Fabrycego zdołała powstrzymać rozruchy. Fabrycy nie nudził się, śledził z zajęciem przebieg prac; od czasu do czasu znajdowano jakiś medal, nie chciał tedy zostawiać robotnikom czasu na porozumienie się między sobą i ukrycie go.

Dzień był piękny, mogła być szósta rano; Fabrycy pożyczyl gdzieś starą jednorurkę i strzelał do skowronków; jeden, ranny, spadł na gościniec. Idąc za nim Fabrycy spostrzegł z daleka wehikuł jadący z Parmy ku granicy, do Casal-Maggiore. Nabił właśnie świeżo fuzję, kiedy w zniszczonym wehikule, zbliżającym się wolnym truchtem, poznał Marietę; obok niej siedzieli i dryblas Giletti oraz staruszka, będąca rzekomo jej matką.

Giletti wyobrażał sobie, że Fabrycy ulokował się na gościńcu z fuzją po to, aby go znieważać, może aby mu porwać Marietę. Był odważny, wyskoczył z pojazdu; miał w lewej ręce wielki pistolet mocno zardzewiały, w prawej zaś trzymał szpadę tkwiącą w pochwie, którą to szpadą posługiwał się, kiedy się dorwał do roli markiza.

— Ha, lotrze! — wykrzyknął — bardzom rad, że cię znajduję o milę od granicy; ja cię tu oporzadzę, tutaj cię nie chronią fioletowe pończochy.

Fabrycy robił miny do Mariety, nie kłopotąc się o wrzaski i o zazdrość Giletiego, kiedy nagle ujrzał o trzy stopy od piersi lufę zardzewiałego pistoletu; miał jedynie czas podbić ten pistolet fuzją, jak kijem: pistolet wypalił, ale nie zranił nikogo.

— Stójże, skur....! — krzyknął Giletti na *vetturina*<sup>43</sup>; równocześnie zdołał pochwycić lufę adwersarza i odchylić ją od siebie; obaj ciągnęli fuzję co sił.

Giletti, o wiele mocniejszy, przykładał na przemian ręce, pomykając je ku zamkowi; już miał ovladnąć fuzję, kiedy Fabrycy, chcąc udaremnić ten zamach, pociągnął za cyngiel i wypalił. Rozważył przedtem dobrze, że wylot znajduje się o trzy cale nad ramieniem Gilettiego: strzał rozległ się nad samym jego uchem. Giletti osłupiał, ale opamiętał się szybko.

— A! chciałeś mi strzelić w łeb, kanalio! Już ja się z tobą załatwię!

Dobyl swojej teatralnej szpady i runął na Fabrycego z zawrotną szybkością. Fabrycy nie miał bronii, pomyślał, że już po nim. Uskoczył w stronę wehikułu, który zatrzymał się o jakie dziesięć kroków za Gilettim; pobiegł w lewo i chwytając się za resor wózka okręcił się zwinnie dookoła, i przebiegając tuż obok drzwiczek, które zostały otwarte. Giletti wypuścił się na swoich długich nogach, że zaś nie przyszło mu na myśl uchwycić za resor, pobiegł kilka kroków przed siebie, nim zdołał się zatrzymać.

W chwili gdy Fabrycy przebiegł koło drzwiczek, Maneta szepnęła doń: — Uważaj, on cię zabije! Masz!

Równocześnie Fabrycy ujrzał, iż przez drzwiczki wyrzucono wielki nóż myśliwski; schylił się, aby go podnieść, ale w tej samej chwili szpada Gilettiego ugodziła go w ramię. Podnosząc się, Fabrycy spotkał się nos w nos z Gilettim, który wymierzył mu w twarz wściekły cios rękojęścią; cios zadany był z taką siłą, że zupełnie ogłuszył Fabrycego. W tej chwili znalazł się w obliczu śmierci. Szczęściem dlań, Giletti był za blisko, aby go mógł pchnąć sztychem. Przyszedszy do siebie, Fabrycy zaczął umykać co sił; biegnąc, wydobyl nóż z pochwy, następnie zaś obróciwszy się żywo, znalazł się trzy kroki od Gilettiego, który go ścigał. Giletti był rozpędzony. Fabrycy nastawił mu ostrze; Giletti zdołał podbić szpadą nóż, ale zyskał tylko tyle, iż koniec noża przebił mu policzek. Otarł się o Fabrycego, który uczuł, że ma przebite udo: był to nóż Gilettiego, który ten zdążył otworzyć. Fabrycy uskoczył w prawo, odwrócił się i wreszcie dwaj przeciwnicy znaleźli się w odległości sposobnej do walki.

Giletti klął jak potępieniec.

— Ha! poderżnę ci gardło, klecho przeklęty! — powtarzał co chwila.

Fabrycy był bez tchu, nie mógł mówić: cios w twarz, jaki otrzymał, zadawał mu straszny ból, krwawił też silnie z nosa. Odbił kilka razy swoim myśliwskim nożem i zadał kilka pchnięć, nie bardzo wiedząc, co czyni; miał mętne uczucie, że jest na publicznym turnieju. Myśl tę zrodziła obecność robotników, którzy w liczbie dwudziestu pięciu lub trzydziestu utworzyli krąg dokoła walczących, ale w przyzwoitej odległości; ci bowiem po raz ostatni rozpędzali się i rzucali na siebie.

Walka zdawała się nieco słabnąć; ciosy następowały po sobie z mniejszą i chyżością, kiedy Fabrycy pomyślał nagle: „Sądząc z bólu, jaki czuję, ten łajdak musiał mnie oszpecić”. Opanowany wściekłością na tę myśl, skoczył na przeciwnika, trzymając nóż myśliwski ostrzem ku niemu. Ostrze weszło w prawą pierś Gilettiego i wyszło w okolicy lewego ramienia, w tej samej chwili szpada aktora wniknęła jak długa w ramię Fabrycego, ale przesłiznęła się pod skórą, zadając jedynie nieznaczną ranę.

Giletti upadł; w chwili gdy Fabrycy zbliżył się ku niemu, patrząc na jego lewą rękę, w której trzymał nóż, ręka ta otwarła się machinalnie i wypuściła broń.

„Łajdak skończył!” — rzeki sobie Fabrycy. Spojrzał mu w twarz: Giletti oddawał oficie krew ustami. Fabrycy pobiegł do pojazdu.

— Masz lusterko?! — krzyknął do Mariety.

Marieta, blada, patrzyła nań bez słowa. Stara kobieta otwarła z zimną krwią zielony woreczek na robótkę i podała Fabrycemu ręczne lusterko wielkości dłoni. Fabrycy, patrząc w zwierciadło, obmacywał sobie twarz.

— Oczy są całe — mówił — to już dużo. — Spojrzał na zęby; nie były wylamane. — Skądże ten wściekły ból? — mówił sobie półgłosem.

Stara odparła:

— Stąd, że policzek zmiażdżony jest rękojęścią szpady. Twarz ma panu straszliwie obrzękłą i siną; niech pan natychmiast przystawi pijawki, a nic panu nie będzie.

<sup>43</sup>*vetturino* (wł.) — woźnica. [przypis redakcyjny]

— A, ba! natychmiast pijawki! — wykrzyknął Fabrycy, śmiejąc się, i ochłonął zupełnie. Ujrzał, iż robotnicy otoczyli Gilettiego i patrzą nań, nie śmiejąc go dotknąć.

— Ratujcie tego człowieka! — krzyknął — zdejmijcie mu ubranie!

Chciał jeszcze coś mówić, kiedy — podniósłszy oczy — ujrzał o trzysta kroków na gościńcu kilku ludzi, którzy zbliżali się miarowym krokiem do miejsca wypadku.

„To żandarmi — pomyślał — znajdą zabitego człowieka, uwiężą mnie i będę miał zaszczyt wkroczyć uroczyście do stołecznego miasta Parmy. Cóż to za gratka dla przyjaciół margrabiny Raversi, a wrogów mojej ciotki!”

Natychmiast, z szybkością błyskawicy, rzuca oszołomionym robotnikom wszystkie pieniądze, jakie miał w kieszeni, i skacze do powozu.

— Nie dajcie żandarmom mnie ścigać — krzyczy do robotników — a obsypię was złotem! Powiedzcie im, że jestem niewinny, że ten człowiek *mnie napadł i chciał mnie zabić*. A ty — rzekł do vetturina — ruszaj galopem! Zarobisz cztery napoleony, jeżeli przejedziesz Pad, zanim ci ludzie zdołają mnie dosięgnąć.

— Dobrze — odpowiedział woźnica — ale niechże pan nie ma strachu, toć oni są pieszo, zwykły trucht moich koników wystarczy, aby ich stracić z oczu.

To mówiąc, puścił się galopem.

Słowo *strach*, jakiego użył woźnica, uraziło naszego bohatera, bo też w istocie miał chwilę tęgiego strachu, wówczas kiedy otrzymał cios ręką.

— Ale możemy się natknąć i na konnych — rzekł vetturino, snadź człowiek przeczny i myślący o czterech napoleonach — a ludzie, którzy nas gonią, mogą krzyknąć, aby nas przytrzymało... — To znaczyło: „Niech pan nabije broń”.

— Och, jakiś ty dzielny, mój ty złoty księżyku! — wykrzyknęła Marieta, ściskając Fabrycego. Stara wyglądała oknem; po jakimś czasie cofnęła głowę.

— Nikt pana nie ściga — rzekła do Fabrycego spokojnie — i nie ma nikogo na gościńcu przed panem. Wie pan, jacy urzędnicy policji austriackiej są formalisci: jeżeli pana ujrzą jadącego w galopie groblą nad Padem, przytrzymają pana, może pan być pewny.

Fabrycy wyjrzał przez okno.

— Truchta! — rzekł do woźnicy. — Jaki macie paszport? — spytał starej.

— Nie jeden, ale trzy — odparła — a kosztowały nas każdy cztery franki; czy to nie zgroza tak obdzierać biednych artystów, którzy są wciąż w podróży? Oto paszport pana Gilettiego, artyści: to będzie pan; oto dwa paszporty nasze, niby Marietiny i mój. Ale Giletti miał wszystkie pieniądze w kieszeni, co się z nami stanie?

— Ile? — spytał Fabrycy.

— Czterdzieści nowiutkich talarów — rzekła stara.

— To znaczy sześć i trochę drobnych — rzekła Marieta, śmiejąc się — nie dam oszukać mojego księżyka.

— Czyż to nie jest zupełnie naturalne, proszę pana — rzekła stara z najzimniejszą krwią — że ja próbuję pana naciągnąć na trzydzieści cztery talary? Cóż to jest trzydzieści cztery talary dla pana, a my straciłyśmy naszą podporę. Kto się zajmie tym, aby nam znaleźć pomieszczenie, aby się targować z woźnicami w podróży i napędzać strachu wszystkim? Giletti nie był piękny, ale był bardzo poręczny; gdyby ta mała nie była głupią gąską, która od razu zadurzyła się w pana, Giletti nie byłby się poznał na niczym, a pan byłbyś nam dawał piękne talarki. Wierzaj mi pan, straszna u nas bieda.

Fabrycy wzruszył się; wyjął sakiewkę i dał staruszce kilka napoleonów.

— Widzi pani — rzekł — że mi już zostało tylko piętnaście, na nic się nie zda dalsze naciąganie.

Marieta rzuciła mu się na szyję, a stara całowała mu rękę. Powóz posuwał się wciąż truchtem. Kiedy ujrano z daleka żółto i czarno prążkowaną rogatkę, oznajmijającą dziedzinę austriacką, stara rzekła do Fabrycego:

— Lepiej by panu było wejść pieszo z paszportem Gilettiego w kieszeni; my zatrzymamy się chwilę pod pozorem ogarnięcia się troszkę. Zresztą celnicy będą rewidowali nasze rzeczy. Pan, niechaj mi pan wierzy, przejdzie pan Casal-Maggiore nie śpiesząc się; wstąp pan nawet do kawiarni i wypij pan kieliszek wódki; raz znalazłszy się za miastem, wyciągaj ostro nogi. Policja austriacka jest czujna jak diabli; niebawem dowie się, że zabito człowieka; pan podróżuje za cudzym paszportem; to wystarczy aż nadto, aby załapać dwa lata więzienia. Wyszedszy z miasta bierz się pan na prawo w stronę Padu, wynajmij

Strach, Ucieczka

łódkę i zmykaj do Rawenny albo do Ferrary; wydostań się jak najprędzej z ziem austriackich. Za dwa ludwiki może pan kupić inny paszport od jakiego celnika; ten byłby dla pana zgubą; pamiętaj pan, że zabiłeś człowieka.

Zbliżając się pieszo do mostu pontonowego pod Casal-Maggiore, Fabrycy odczytywał uważnie paszport Gilettiego. Bohater nasz był pełen lęku, przypomniał sobie żywo wszystko, co hrabia Mosca mówił o niebezpieczeństwie, jakim mu grozi pojawienie się w Stanach Austriackich; otóż o dwieście kroków widział ów straszny most wiodący go do państwa, którego stolicą w jego oczach był Szpilberg. Ale jak zrobić inaczej? Księstwo Modeny, które graniczy z księstwem Parmy od południa, wydaje zbiegów na mocy osobnej umowy; górską granicę od strony Genui jest zbyt daleko; przygoda jego doszłaby do wiadomości w Parmie, zanim by on przekradł się do tych gór; zostawała tedy jedynie Austria na lewym brzegu Padu. Nim zdołają napisać do władz austriackich z poleceniem uwięzienia go, minie może półtorej albo i dwie doby. Zastanowiwszy się dobrze, Fabrycy zapalił od cygara własny paszport; na ziemi austriackiej lepiej mu być lada włóczęgą niż Fabrycym del Dongo, a możebne, że będą go obszukiwać.

Niezależnie od zupełnie zrozumiałego wstrętu, z jakim przychodziło mu powierzyć swoje życie paszportowi nieszczęsnego Gilettiego, dokument ten przedstawiał materialne trudności: wzrost Fabrycego sięgał co najwyżej pięciu stóp i pięciu cali, a nie pięciu stóp i dziesięciu cali, jak opiewał paszport! Miał blisko dwadzieścia cztery lata i wydawał się jeszcze młodszy! Giletti miał lat trzydzieści dziewięć. Wyznajemy, że nasz bohater przechadzał się dobre pół godziny po grobli nad Padem, nim się namyślił wejść na most. „Co doradziłbym komuś, kto by się znalazł na moim miejscu? — rzekł sobie wreszcie. — Oczywiście, przejść; zostać w Parmie jest niebezpiecznie; mogą wysłać żandarmów za człowiekiem, który zabił kogoś nawet we własnej obronie.” Fabrycy uczynił przegląd kieszeni, podarł wszystkie papiery, zachowując jedynie chustkę do nosa i puzderko na cygara; zależało mu na tym, aby skrócić grożącą mu rewizję. Przyszedł mu do głowy fatalny zarzut, na który nie miałby żadnej wymówki — miał powiedzieć, że się nazywa Giletti, a cała jego bielizna znaczone była: F. D.

Jak widzimy, Fabrycy był jednym z nieszczęśliwych męczenników własnej wyobraźni — dość częsta wada inteligentnych ludzi we Włoszech. Żołnierz francuski, równy mu lub nawet niższy odwagą, przebyłby most od razu, nie myśląc o trudnościach; ale też uczyniłby to z całym spokojem; Fabrycy zaś był bardzo odległy od zimnej krwi, kiedy na końcu mostu mały, szaro ubrany człowieczek rzekł doń: — Proszę do biura względem paszportu.

Biuro to miało brudne ściany, upstrzone gwoździami, na których wisały fajki i brudne czapki urzędników. Wielkie biurko z sosnowego drzewa, za którym odbywało się urzędowanie, było całe poplamione atramentem i winem; dwa lub trzy rejestry, oprawne w zieloną skórę, nosiły plamy wszelakiego koloru, brzegi zaś kartek były poczernione rękami. Na tych rejestrach, ułożonych w sterty, spoczywały trzy wspaniałe wieńce laurowe, które służyły przedwczoraj na jakieś święto cesarskie.

Fabrycy widział te szczegóły i serce wzbierało mu mdłością, w ten sposób opłacił zbytek, jakim lśnił jego apartament w pałacu Sanseverina. Musiał wejść do tego niechlujnego biura i stanąć tam jako podsądny; miał przechodzić indagację!

Urzędnik, który wyciągnął złotą rękę po paszport, był mały, czarniawy, i miał mośięzną szpilkę w krawatce. „To jakiś stetryczały mieszcuch” — powiedział sobie Fabrycy. Osobistość ta wydawała mu się niezmiernie zdumiona przy czytaniu paszportu, a lektura ta zajęła blisko pięć minut.

— Miał pan wypadek — rzekł do przybysza wskazując spojrzeniem policzek.

— *Vetturino* wysypał nas na grobli nad Padem.

Znów zaległo milczenie; urzędnik obrzucał podróżnego groźnym wzrokiem.

„Wpadłem — powiedział sobie Fabrycy — powie mi, że mu przykro, iż musi mi udzielić przykrej nowiny i że jestem aresztowany.” Najszałeńsze myśli przebiegały przez głowę naszego bohatera, który w tej chwili nie rządził się zbytnią logiką. Myślał na przykład, aby uciec drzwiami, które zostały otwarte. „Zrzucam ubranie, skaczę do Padu i z pewnością zdołam przebyć go wpław. Wszystko raczej niż Szpilberg.”

Urzędnik patrzył nań bystro w chwili, gdy obliczał szansę tej przeprawy — razem tworzyli dwie wymowne fizjonomie. Poczucie niebezpieczeństwa potęguje władzę czło-

wieka rządzącego się rozumem; wznosi go, można rzec, powyżej samego siebie; człowiekowi z wyobraźnią nasuwa romanse, śmiało, to prawda, ale często niedorzeczne.

Trzeba było widzieć oburzoną minę naszego bohatera pod badawczym; okiem urzędniczyny strojnego klejnotem z mosiądzu. „Gdybym go zabił — powiedział sobie Fabrycy — skazano by mnie na dwadzieścia lat galery albo na śmierć, co jest o wiele mniej okrutne niż Szpilberg ze stu dwadzieciu funtami u każdej nogi i ośmioma uncjami chleba za całe pożywienie! I to trwa dwadzieścia lat: wyszedłbym stamtąd dopiero w czterdziestym czwartym roku.” W logice swej Fabrycy zapomniał, iż skoro spalił swój paszport, nic nie zdradzało urzędnikowi policji, że on jest buntownik Fabrycy del Dongo.

Jak widzimy, bohater nasz miał dostatecznego stracha; miałby go o wiele więcej jeszcze, gdyby znał myśli urzędnika policji. Człowiek ten był w przyjaźni z Gilettim, można ocenić jego zdumienie, kiedy ujrzał paszport przyjaciela w rękach innego. Pierwszym jego odruchem było zaarrestować tego osobnika, następnie pomyślał, że Giletti mógł łatwo sprzedać swój paszport temu paniczowi, który widocznie spletał jakiego brzydkiego figła w Parmie. „Jeśli go zaarrestuję — myślał — Giletti będzie skompromitowany, dojdą łatwo, że sprzedał swój paszport; z drugiej strony, co powiedzą moi przełożeni, jeżeli sprawdzą, że ja, przyjaciel Gilettiego, zawizowałem jego paszport będący w posiadaniu innego? Urzędnik wstał ziewając i rzekł:

— Niech pan zaczeka — po czym przez nałóg policyjny dodał: — zachodzi pewna trudność.

Fabrycy rzekł sobie w duchu: „Zajdzie ta trudność, że ja drapnę.”

W istocie urzędnik opuścił biuro, zostawiając otwarte drzwi, a paszport wciąż leżał na sosnowym biurku. „Niebezpieczeństwo jest oczywiste — pomyślał Fabrycy — ściągnę swój paszport i przejdę z powrotem z wolna most; żandarmowi, gdyby mnie spytał, powiem, że zapomniałem dać zawizować paszport komisarzowi policji w granicznym miasteczku w Parmie. Fabrycy już miał paszport w ręku, kiedy, ku jego niewymownemu zdumieniu, usłyszał, jak urzędniczyna z mosiężną szpilką mówi:

— Daję słowo, już nie mogę, ten upał mnie zabija; pójdę napić się czego. Zajrzyj do biura, gdy wypalisz fajkę, jest tam paszport do zawizowania, jakiś obcy czeka.

Fabrycy, który skradał się ku drzwiom, spotkał się nos w nos z przystojnym, młodym człowiekiem, który rzekł, nucąc:

— Dalej, prędko, gdzie ten paszport, niech go uświetnię moim zakrętasem. Dokąd szanowny pan się udaje?

— Do Mantui, Wenecji i Ferrary.

— Niechże będzie Ferrara — odparł urzędnik, gwizdząc; wziął pieczęć, wycisnął wizę niebieskim atramentem, wpisał spiesznie słowa „Mantua, Wenecja i Ferrara” w wolne miejsca, po czym wziął kilkakrotnie rozmach, podpisał i nabrał ponownie atramentu na zakrętas, który wykonał powoli i z niezmierną starannością. Fabrycy śledził każde poruszenie jego pióra, urzędnik spojrział na swój zakrętas z zadowoleniem, dodał kilka kresek, wreszcie oddał paszport Fabrycemu, mówiąc swobodnie:

— Szczęśliwej podróży.

Fabrycy oddalał się, starając się maskować pośpiech, kiedy uczył, że ktoś chwyta go za lewe ramię. Instynktownie położył dłoń na rękojęści sztyletu i gdyby nie bliskość domów, byłby może popełnił jakie szaleństwo. Widzący jego przerażenie człowiek ów, który ujął go za lewe ramię, dodał w formie usprawiedliwienia:

— Wołałem na pana trzy razy, ale pan nic nie odpowiedział, czy pan nie ma czego do oclenia?

— Mam przy sobie tylko chustkę do nosa; idę polować u krewnych, niedaleko stąd.

Byłby w kłopotcie, gdyby mu kazano nazwać tych krewnych. Przy tym upale i po tylu wzruszeniach Fabrycy był tak mokry, jak gdyby skąpał się w rzece. „Nie brak mi odwagi wobec komediantów, ale gryziopiórki, strojne w klejnoty z mosiądzu, wyprowadzają mnie z równowagi; ułożę na ten temat humorystyczny sonet dla księżnej.”

Ledwie znalazłszy się w Casal-Maggiore, Fabrycy wziął się na prawo uliczką biegnącą w stronę Padu. „Wielce mi potrzeba — powiedział sobie pomocy Bachusa i Cerery” — i wszedł do sklepu, nad którym wisiała brudna szmata przywiązana do kija; na szmacie było napisane: „Trattoria”. Nędzne prześcieradło, rozpięte na dwóch obręczach, zwisało na ziemię, chroniąc drzwi od działania promieni słonecznych. Wewnątrz, wpólna, bardzo

ładna kobieta przyjęła naszego bohatera z szacunkiem, co mu sprawiło żywą przyjemność; oznajmił jej skwapliwie, że umiera z głodu. Gdy kobieta przyrządziła śniadanie, wszedł mężczyzna może trzydziestoletni. Wchodząc nie uklonił się; naraz zerwał się z ławki, na której położył się bezceremonialnie, i rzekł do Fabrycego:

— *Eccellenza, la riverisco* (pozdrawiam Waszą Ekscelencję).

Fabrycy był w tej chwili w świetnym humorze i zamiast tworzyć posępne projekty, odparł śmiejąc się:

— A skąd ty, u diabła, znasz moją Ekscelencję?

— Jak to, Wasza Ekscelencja nie poznaje Lodovica, woźnicy Jaśnie Oświeconej księżnej Sanseverina? W willi w Sacca, dokąd jeździliśmy co roku, dostawałem zawsze febry; poprosiłem jaśnie pani o spensjonowanie<sup>44</sup> i odszedłem. I ot, jestem bogaty; zamiast dwunastu talarów rocznie, do których co najwyżej mogłem mieć pretensję, pani powiedziała mi, że aby mi dać swobodę składania sonetów — bo ja jestem poetą, pisuję w naszej gwarze — wyznacza mi dwadzieścia cztery talary; a pan hrabia powiedział mi, że gdybym kiedy miał jakie kłopoty, mam się tylko zgłosić do niego. Miałem zaszczyt wieść monsignora przez jeden postój, kiedy się udawał, jako dobry chrześcijanin, na rekolekcje do kartuzów w Velleja.

Fabrycy patrzył na tego człowieka i przypominał go sobie po trosze. Był to jeden z największych wykwintniów wśród służby Casa Sanseverina: obecnie, kiedy był bogaty, jak powiadał, miał za całą odzież grubą podartą koszulę i spodnie płócienne, niegdyś czarne, sięgające mu ledwo do kolan; para trzewików i liche kapelusze dopełniały stroju. Co więcej, nie golony był przeszło od dwóch tygodni. Jedząc omlet Fabrycy wdał się w gawędę zupełnie po prostu, jak równy z równym; domyślił się, że Lodovico jest kochankiem gospodyni. Dokończył szybko śniadania, po czym rzekł półgłosem:

— Mam z tobą do pomówienia.

— Wasza Ekscelencja może mówić swobodnie wobec niej, to z kośćmi dobra kobieta — rzekł Lodovico z odcieniem tkliwości.

— A więc, moi przyjaciele — rzekł Fabrycy bez wahania — popadłem w nieszczęście i potrzebuję was. Przede wszystkim sprawa moja nie ma nic politycznego; zabiłem po prostu człowieka, który chciał mnie zamordować, bo rozmawiałem z jego kochanką.

— Biedny panicz! — rzekła gospodyni.

— Niech Wasza Ekscelencja liczy na mnie! — wykrzyknął woźnica z oczami rozplamionymi oddaniem. — Dokąd Wasza Ekscelencja chce się udać?

— Do Ferrari. Mam paszport, ale wolałbym nie natykać się na żandarmów, którzy mogli zasłyszeć o tym wypadku.

— Kiedy pan go zakatrupił?

— Rano o szóstej.

— Czy Wasza Ekscelencja nie ma krwi na ubraniu? — rzekła gospodyni.

— Myślałem o tym — podjął woźnica — zresztą te suknie są zbyt wykwinadne, nie chodzi się tak u nas na wsi, to by mogło zwrócić uwagę. Kupię panu jakie ubranie u Żyda. Wasza Ekscelencja jest mniej więcej mego wzrostu, ale szczuplejszy.

— Proszę, nie nazywaj mnie Ekscelencją, to może ściągnąć uwagę.

— Słucham, Ekscelencjo — rzekł woźnica, wychodząc.

— Hop, ho! — krzyknął Fabrycy — a pieniądze? Wracajże!

— Co za pieniądze! — rzekła gospodyni — ma sześćdziesiąt siedem talarów, które są wszystkie do pana usług. Ja sama — dodała zniżonym głosem — mam jakieś czterdzieści talarów, którymi panu służę z całego serca; kiedy się zdarzy taki wypadek, nie zawsze ma się przy sobie pieniądze.

Wchodząc do *trattorii* Fabrycy zdjął surdut; był upał.

— Ta kamizelka, gdyby ktoś wszedł, — mogłaby nam narobić kłopotu: ta ładna angielska pika ściągnęłaby uwagę. — To mówiąc gospodyni dała naszemu zbiegowi czarną płócienną kamizelkę męża. W tej chwili wysoki, młody mężczyzna, ubrany z pewną starannością, wszedł tylnymi drzwiami.

<sup>44</sup>spensjonowanie (daw.) — przeniesienie na emeryturę. [przypis edytorski]



— To mój mąż — rzekła gospodyni. — Piotrze — rzekła do męża — pan jest przyjacielem Lodovica; zdarzył mu się dziś wypadek z tamtej strony rzeki, pragnie się schronić do Ferrary.

— Ba, przeprawimy go — rzekł mąż bardzo uprzejmie — mamy przecież barkę Karola Józefa.

Opowiedzieliśmy o strachu, jaki Fabrycy przeszedł w biurze przy moście; odmalujemy tedy równie naturalnie drugą słabostkę naszego bohatera. Miał łzy w oczach, wzruszyło go głęboko serdeczne oddanie wieśniaków; myślał także o owej charakterystycznej dobroci ciotki — byłby chciał zapewnić los tym ludziom. Lodovico wrócił z pakunkiem.

— Złatwi się — rzekł mąż z przyjazną miną.

— Nie o to chodzi — rzekł Lodovico wyraźnie zaniepokojony — zaczynają mówić o panu, zauważono pana wahanie, gdyś wchodził do naszego *vicolo*<sup>45</sup>, zbaczając z ulicy jak człowiek, który chce się ukryć.

— Żywo do pokoju na piętrze! — rzekł mąż.

Pokój ten, ładny i duży, miał w oknach szare płótno w miejsce szyb; stały tam cztery łóżka, szerokie na sześć stóp a wysokie na pięć.

— Szybko! szybko! — wołał Lodovico — jest tu od niedawna pewien żandarm, frant, który próbował się zalecać do naszej gospodyni i któremu dałem do zrozumienia, że mógłby się natknąć na kulkę; jeśli ten pies słyszał co o Waszej Ekscelencji, zechce nam spłatać figła: będzie się starał zaarrestować pana tutaj, by podać w osławę *trattorię* Teodolindy.

— Cóż to — ciągnął Lodovico, widząc koszulę Fabrycego zbroczoną krwią i rany przewiązane chustkami — *porco*<sup>46</sup> się bronil? Ba, to więcej niż trzeba, aby się dostać do więzienia! Nie kupilem panu koszuli.

Otworzył bez ceremonii szafę męża i dał koszulę Fabrycemu, który przedzierzgnął się w zamożnego młodego wieśniaka. Lodovico zdjął siatkę wiszącą na murze, wrzucił ubranie Fabrycego do koszyka na ryby, zbiegł pędem i wypadł tylnymi drzwiami; Fabrycy za nim.

— Teodolindo! — krzyknął, mijając sklep — schowaj to, co jest na górze, będziemy czekać w wierzbinie, a ty, Piotrze, przyslij nam szybko łódź: płacimy dobrze.

Lodovico przegonił Fabrycego co najmniej przez dwadzieścia rowów. Długie i elastyczne deski służyły za most na najszerszych rowach; skoro przeszli, Lodovico wciągnął te deski. Przybywszy do ostatniego kanału wciągnął skwapliwie deskę.

— Odetchnijmy teraz — rzekł — ten pieski żandarm musiałby zrobić więcej niż dwie mile, by dopędzić Waszą Ekscelencję. Ależ pan błady! — dodał — szczęściem nie zapomniałem o flaszczynie wódki.

— Zjawia się bardzo w porę; rana w udzie zaczyna mi dolegać, a zresztą najadłem się tęgiego strachu w policji, tam, koło mostu.

— Myślę sobie — odparł Lodovico — z koszulą pełną krwi jak pańska! Nie pojmuję, jak pan się odważył tam wejść! Co do ran, znam się na tym; zaprowadzę pana w chłodne miejsce, gdzie pan się może przespać godzinkę, łódź przyjedzie tam po nas, o ile w ogóle zdobędziemy łódź; inaczej, skoro pan trochę wypocznie, machniemy jeszcze ze dwie milki pieszo; zaprowadzę pana do młyna, gdzie sam wynajmę łódź. Wasza Ekscelencja ma o wiele więcej rozeznania ode mnie: otóż jaśnie pani będzie w rozpacz, kiedy się dowie o wypadku; powiedzą jej, że pan jest śmiertelnie ranny, może nawet pan zabił tamtego podstępem. Margrabina Raversi nie omieszka puścić plotek, które mogą zmartwić naszą panią. Wasza Ekscelencja powinien by napisać list.

— A jak przesłać?

— Młynarczyk we młynie, do którego idziemy, zarabia dwanaście su dziennie; w półtora dnia może być w Parmie, zatem cztery franki na podróż, dwa franki na zużycie trzewików; gdyby chodziło o biedaka takiego jak ja, to by było sześć franków; ponieważ chodzi o służbę jaśnie pana, dałbym dwanaście franków.

Skom przybyli do cienistego gajku zarosłego olchą i wierzbiną, Lodovico poszedł więcej niż o godzinę drogi, aby przynieść atrament i papier.

<sup>45</sup>*vicolo* (wł.) — zaułek. [przypis redakcyjny]

<sup>46</sup>*porco* (wł.) — wieprz. [przypis edytorski]

— Wielki Boże, jak mi dobrze tutaj! — wykrzyknął Fabrycy. — Bywaj zdrowa, fortuno, nigdy nie będę arcybiskupem!

Za powrotem Lodovico zastał Fabrycego w głębokim śnie i nie chciał go obudzić. Łódź przybyła aż o zachodzie słońca; skoro Lodovico ujrzał ją z dala, obudził Fabrycego, który napisał śpiesznie dwa listy.

— Wasza Ekscelencja ma więcej rozumu ode mnie — rzekł Lodovico, zakłopotany — i boję się, iż mimo swej dobroci urazi się, jeśli coś jeszcze powiem.

— Nie jestem takim głupcem, jak sądzisz — odparł Fabrycy — co bądź byś powiedział, zawsze zostaniesz w mych oczach wiernym sługą mojej ciotki i człowiekiem, który uczynił, co w jego mocy, aby mnie ratować.

Trzeba było dalszych zakłęb, aby rozwiązać Lodovicowi język; kiedy się wreszcie zgodził mówić, zaczął od wstępu, który trwał pięć minut. Fabrycy zniecierpliwził się, ale potem rzekł sobie: „Czyjaż to wina? Naszej próżności, którą ten człowiek dobrze przejrzał z wyżyn swego kozła.” Wreszcie oddanie skłoniło Lodovica do tego, że odważył się wyrazić jasno.

— Ileż nie dałaby margrabina Raversi piechurowi, którego pan ma wysłać do Parmy, byle dostać te dwa listy! Są pańskiego pióra, stanowią dowód sądowy przeciwko panu. Wasza Ekscelencja będzie mnie uważała za wścibskiego; po wtóre będzie się może wstydziała przedkładać oczom księżnej pani moje niezdarne stangreckie pismo; ale ostatecznie, względ na pańskie bezpieczeństwo każe mi mówić, choćby pan mnie miał wciąż za natręta. Czy Wasza Ekscelencja nie mogłaby mi podyktować tych dwóch listów? Wówczas ja sam byłbym skompromitowany, a i to niewiele; powiedziałbym w danym razie, że mnie pan zaskoczył z kałamarzem w jednej ręce, a pistoletem w drugiej i że mi pan kazał pisać.

— Podaj mi rękę, drogi Lodovico! — wykrzyknął Fabrycy. — Na dowód, że nie chcę mieć tajemnic dla przyjaciela takiego jak ty, przepisz te dwa listy tak jak są.

Lodovico zrozumiał całą doniosłość tego dowodu zaufania i był nim mile pogłaskany; ale po kilku wierszach widząc, że łódź się zbliża szybko, rzekł:

— Prędzej skończymy listy, jeśli Wasza Ekscelencja zechce mi je podyktować.

Ukończywszy listy, Fabrycy nakreślił w ostatnim wierszu litery *A* i *B*, po czym na skrawku papieru, który potem zgniótł, napisał po francusku: *Wierz w A i B*. Posłaniec miał ukryć przy sobie ten papier.

Skoro łódź się zbliżyła na odległość głosu, Lodovico zawołał na przewoźników fałszywymi imionami; nie odpowiedzieli i przybili do lądu o pięćset sążni niżej, patrząc na wszystkie strony, czy ich nie widzi jaki celnik.

— Jestem na pańskie rozkazy — rzeki Lodovico — chce pan, abym sam zaniósł listy do Parmy? Czy też mam panu towarzyszyć do Ferrary?

— Towarzyszyć mi do Ferrary to przysługa, o którą nie śmiałem prosić. Trzeba by wylądować i dostać się do miasta bez pokazania paszportów. Przyznam ci się, że mam wstręt do podróżowania pod nazwiskiem *Giletti*, a nie widzę prócz ciebie nikogo, kto by mi się wystarał o inny paszport.

— Czemuż pan nic nie mówił w Casal-Maggiore? Znam szpicla, który byłby mi sprzedał doskonały paszport, i niedrogo, za czterdzieści albo pięćdziesiąt franków.

Jeden z przewoźników, który się urodził na prawym brzegu Padu i tym samym nie potrzebował zagranicznego paszportu do Parmy, zobowiązał się zanieść listy. Lodovico, który umiał wiosłować, podjął się kierować barką wraz z drugim.

— Jadąc w dół Padu — rzekł — spotkamy łodzie należące do policji, ale potrafię je wyminąć.

Więcej niż dziesięć razy trzeba im się było kryć na wysepkach porośniętych wierzbiłą. Trzy razy wysiedli na ląd, aby przepływająca policja zobaczyła pustą barkę. Lodovico skorzystał z tych długich chwil wywczasu, by recytować Fabrycemu swoje sonety. Myśl w nich była dość trafna, ale jakby stępiona formą i niewarta, aby ją spisywać; osobliwe było, że ten eks-stangret miał uczucia żywe i obrazowe; stawał się zimny i pospolity, gdy je chciał wyrazić piórem.

— Przeciwnieństwo naszego świata — rzekł Fabrycy — gdzie umieją wszystko wyrazić z wdziękiem, ale nie mają nic do powiedzenia.

Zrozumiał, że największą przyjemność, jaką może zrobić wiernemu słudze, to poprawić błędy ortograficzne w jego sonetach.

— Drwią sobie ze mnie, kiedy pokazuję swój kajet — powiedział Lodovico — ale gdyby Wasza Eksceleńcja raczył mi podyktować ortografię, słowo po słowie, zawistni musieliby stulić gęby; ortografia nie stanowi o talencie.

Dopiero trzeciego dnia w nocy Fabrycy mógł bezpiecznie wylądować w olszynie, na miłą przed Ponte Lago Oscuro. Cały dzień przesiedział w konopiach, gdy Lodovico udał się przodem do Ferrary; wynajął pokój u biednego Żyda, który zrozumiał, że można coś zarobić, o ile się będzie trzymało język za zębami. Wieczorem o zmierzchu Fabrycy dostał się do Ferrary na małym koniku; potrzebował tej podpory, zmogło go gorąco; ciężka rana na biodrze i rana na ramieniu od szabli, jaką zadał mu Giletti na początku walki, zaogniły się i sprowadziły gorączkę.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Żyd, właściciel mieszkania, postarał się o dyskretnego chirurga, który — zwąchawszy pełną sakiewkę — oświadczył Lodovico, iż sumienie nakazuje mu zawiadomić policję o ranach młodego człowieka, którego on, Lodovico, mieni swoim bratem.

— Prawo jest jasne — dodał — oczywiście jest, iż brat pański nie zranił się sam, jak opowiada, spadłszy z drabinki w chwili, gdy trzymał otwarty nóż w ręce.

Lodovico odpowiedział spokojnie uczciwemu chirurgowi, że gdyby się ośmielił iść za głosem sumienia, on będzie miał zaszczyt, zanim opuści Ferrarę, upaść dokładnie na niego z otwartym nożem w ręce. Kiedy zdał sprawę z tego zajścia Fabrycemu, ten zganiał go mocno, ale nie było już ani chwili do stracenia; trzeba było zmykać: Lodovico oświadczył Żydowi, że chce przewieźć brata na świeże powietrze; poszedł po dorożkę i przyjaciele nasi opuścili dom, aby więcej nie wrócić. Czytelnikowi dłuży się niewątpliwie opowiadanie o tych zabiegach, nieodzownie wynikających z braku paszportu; kłopot ten nie istnieje już we Francji, ale we Włoszech, zwłaszcza w okolicach Padu, o niczym się nie mówi, tylko o paszportach. Wydostawszy się z Ferrary bez przeszkód, niby spacerem, Lodovico odesłał dorożkę, po czym wrócił do miasta inną bramą i wstąpił do Fabrycego *sediolę*, którą wynajął na kurs dwunastu mil. Przybywszy w okolicę Bolonii nasi przyjaciele kazali się zawieźć polami na gościniec z Florencji do Bolonii, spędzili noc w najnudniejszej oberży, jaką mogli znaleźć, i nazajutrz — gdy Fabrycy czuł się na siłach, aby nieco iść — weszli do Bolonii znów niby spacerem. Paszport Gilettiego spalono; śmierć aktora musiała już być znana, a mniej niebezpieczne było dostać się w ręce władz bez paszportu niż z paszportem zabitego.

Lodovico znał w Bolonii kilku lokajów z wielkich domów; postanowiono, że pójdzie u nich zasięgnąć języka. Opowiedział, że przybywa z Florencji z młodszym bratem; brat, czując potrzebę spoczynku, pozwolił mu wyjechać na godzinkę przed wschodem słońca. Mieli się spotkać w wiosce, gdzie Lodovico miał zatrzymać się, aby przeczekać upał. Ale Lodovico, nie mogąc się doczekać brata, wrócił, znalazł go rannego; ludzie jacyś ugodzili go kamieniem i skłuli nożami, a co więcej, okradli go. Ów brat jest to ładny chłopak, umie chodzić koło koni i powozić, także czytać i pisać, i chce znaleźć miejsce w dobrym domu. Lodovico zachował sobie możliwość uzupełnienia tej powiastki — w razie potrzeby — tym: gdy Fabrycy padł, złodzieje, uciekając, unieśli zawiniątko, w którym była bielizna i paszporty.

Przybywszy do Bolonii, Fabrycy, bardzo zmęczony, nie śmiejąc bez paszportu zająć do gospody, wszedł do olbrzymiego kościoła Świętego Petroniusza. Panował tam rozkoszny chłód; niebawem skrzepił się zupełnie. „Ja niewdzięczny — pomyślał nagle — wchodzę do kościoła jedynie, aby usiąść, jak do kawiarni!” Padł na kolana i podziękował Bogu za oczywistą opiekę, która go otaczała od czasu, jak miał nieszczęście zabić Gilettiego. Dotąd drżał, że go mogli poznać w biurze w Casal-Maggiore. „Jakim cudem — powiedział sobie — ten urzędnik, którego oczy były tak nieufne i który odczytywał mój paszport aż trzy razy, nie spostrzegł, że ja nie mam pięciu stóp dziesięciu cali, że nie mam trzydziestu ośmiu lat, że nie jestem zeszecony ospą? Ileż dziękczynień winien ci jestem, o Boże! I ja mogłem się ociągać do tej chwili z tym, aby rzucić moją nicość pod Twe stopy! Pycha moja chciała wierzyć, że to rozumowi ludzkiemu zawdzięczam ocalenie od Szpilbergu, który już się otwierał, aby mnie pochłonąć!

Fabrycy spędził jeszcze godzinę w tym roztkliwieniu, w obliczu niezmierzonej dobroci Boga. Nie słyszał nadchodzącego Lodovica, który stanął na wprost niego. Fabrycy, który miał czoło ukryte w dłoniach, podniósł głowę; wierny sługa ujrzał lzy spływające mu po policzkach.

— Wróć za godzinę — rzekł Fabrycy dość oschle.

Lodovico wybaczył ton przez wzgląd na zbożną pobudkę. Fabrycy odmówił kilka razy siedem psalmów pokutnych, które umiał na pamięć; zatrzymał się długo przy wersetach mających związek z jego położeniem.

Fabrycy prosił Boga o przebaczenie za wiele rzeczy, ale co godne uwagi, nie przyszło mu na myśl liczyć pomiędzy swoje winy chęci zostania arcybiskupem jedynie dlatego, że Mosca jest ministrem; uważał, że to stanowisko oraz płynące zeń korzyści należą się bratankowi księżnej. Pragnął tego bez namiętności, to prawda, ale ostatecznie myślał o tym ściśle tak samo jak o zostaniu ministrem lub generałem. Nie przyszło mu do głowy, aby projekt księżnej mógł dotyczyć jego sumienia. Jest to znamieny rys tego rodzaju religii, jaką winien był wychowaniu mediolańskich jezuitów. Ta religia *odejmuje śmiałość myślenia o rzeczach niezwykłych*; zabrania zwłaszcza *samodzielnego dociekania* jako najokropniejszego grzechu: jest to krok ku protestantyzmowi! Aby wiedzieć, czym, się zgrzeszyło, trzeba spytać spowiednika lub odczytać listę grzechów, jaka się znajduje w dziełach pod tytułem *Przygotowanie do sakramentu pokuty*. Fabrycy umiał na pamięć listę grzechów, której nauczył się po łacinie w Akademii Duchownej w Neapolu. Toteż, odmawiając tę listę, doszedłszy do morderstwa, obwiniał się szczerze przed Bogiem, że zabił człowieka, ale w obronie życia. Przebiegł szybko, nie zwracając na nie najmniejszej uwagi, artykuły dotyczące *symonii* (uzyskania za pieniądze godności duchownych). Gdyby mu zaproponowano, aby dał sto ludwików za to, by zostać wielkim wikariuszem arcybiskupa Parmy, odepchnąłby tę myśl ze zgrozą; ale mimo że nie zbywało mu inteligencji ani logiki, nie przyszło mu na myśl, iż wpływy hrabiego Mosca, obrócone tu na jego korzyść, były *symonią*. Oto tryumf jezuickiego wychowania: włożyć człowieka do tego, aby nie zwracał uwagi na rzeczy jaśniejsze niż dzień. Francuz, wychowany w atmosferze interesowności i ironii paryskiej, mógłby snadnie winić Fabrycego o obłudę, w chwili gdy nasz bohater otwierał duszę Bogu zupełnie szczerze i z najgłębszym wylaniem.

Nim Fabrycy opuścił kościół, przygotował się do spowiedzi, do której chciał przystąpić nazajutrz; zastał Lodovica na stopniach kamiennego perystylu wznoszącego się na wielkim placu przed fasadą Świętego Petroniusza. Jak po burzy powietrze staje się czystsze, tak dusza Fabrycego była spokojna, szczęśliwa i jakby odświeżona.

— Mam się bardzo dobrze, nie czuję już prawie ran — rzekł, zbliżając się do Lodovica — ale przede wszystkim muszę cię przeprosić; odpowiedziałem ci szorstko, kiedy mnie zagadnąłeś w kościele: robiłem rachunek sumienia. A więc, jak stoją sprawy?

— Najlepiej: nająłem mieszkanie, co prawda, niezbyt godne Waszej Ekscelencji, u żony jednego z moich przyjaciół, ładnej i będącej w bliskich stosunkach z jednym z najlepszych agentów policji. Jutro pójdę oświadczyć, że nam skradziono paszporty; deklarację tę wezmą za dobrą monetę, opłacę tylko porto listu, który policja wyśle do Casal-Maggiore, aby się dowiedzieć, czy istnieje w tej gminie niejaki Lodovico San Micheli, posiadający brata imieniem Fabrycy, w służbach księżnej Sanseverina w Parmie. Wszystko skończone, *siamo a cavallo*. (Przysłowie włoskie: jesteście ocaleni.)

Fabrycy spoważniał; poprosił Lodovica, aby zaczekał chwilę, wrócił do kościoła niemal pędem i padł na kolana, całując kamienne płyty. „To cud, o Boże — wykrzyknął ze łzami — kiedyś ujrzałem, że dusza moja skłonna jest wrócić na drogę obowiązku, ocaliłeś mnie. Wielki Boże! możebne, iż kóregoś dnia zabiją mnie w jakiejś przygodzie: pamiętaj w chwili mej śmierci o stanie, w jakim dusza moja znajduje się w tej chwili.” W uniesieniu radości Fabrycy odmówił na nowo siedem psalmów. Nim wyszedł, zbliżył się do staruszki siedzącej koło posągu Matki Boskiej, obok żelaznego trójkąta ustawionego pionowo na nóżce z tego samego metalu. Brzegi trójkąta były najeżone mnóstwem gwoździków, przeznaczonych na świece, które wierni zapalają przed sławną Madonną Cimabuego. W chwili gdy Fabrycy się zbliżył, płonęło tylko siedem świec; wraził sobie w pamięć tę okoliczność z intencją zastanowienia się nad nią później.

— Po czemu świece? — spytał kobiety.

Sumienie

— Po dwa bajoki sztuka.

W istocie były nie grubsze od gęsiego pióra i nie miały ani stopy długości.

— Ile można jeszcze umieścić świec na tym trójkącie?

— Sześćdziesiąt trzy, bo siedem już się pali.

„A — powiedział sobie Fabrycy — sześćdziesiąt trzy a siedem czyni siedemdziesiąt: trzeba to zapamiętać.” Zapłacił za świece, sam umieścił i zapalił siedem pierwszych, po czym ukląkł, aby dopełnić ofiary, i rzekł, wstając, do staruszki:

— *To za otrzymaną łaskę.*

— Umieram z głodu — rzekł Fabrycy do Lodovica, wracając.

— Nie chodźmy do szynkowni, ale do mieszkania; gospodyni kupi panu, co trzeba, ściągnie przy tym ze dwadzieścia su i będzie tym życzliwiej nastrojona.

— Czyli że miałbym umierać z głodu godzinę dłużej — rzekł Fabrycy, śmiejąc się z dziecięcą pogodą; wszedł do gospody obok Świętego Petroniusza. Ku swemu najwyższemu zdumieniu przy sąsiednim stole ujrzał Pepego, zaufanego pokojowca ciotki, tego samego, który niegdyś przybył na jego spotkanie do Genewy. Fabrycy dał mu znak, aby milczał, po czym zjadłszy szybko śniadanie, wstał z uśmiechem szczęścia na ustach; Pepe udał się za nim i po raz trzeci bohater nasz wszedł do Świętego Petroniusza. Przez dyskrecję Lodovico zatrzymał się na placu.

— Boże mój, Wasza Dostojność! Jakże rany? Księżna pani jest straszliwie niespokojna: cały jeden dzień myślała, że pan nie żyje, opuszczony na jakiej wysepce; natychmiast wysłała do jaśnie pani posłańca. Szukam pana od sześciu dni, trzy dni spędziłem w Ferrarze, goniąc po oberżach.

— Masz dla mnie paszport?

— Mam trzy rozmaite: jeden z nazwiskiem i tytułami Waszej Eksceleńcy; drugi jedynie z nazwiskiem, a trzeci na fałszywe nazwisko Józefa Bossi; każdy paszport podwójny, wedle tego, czy Wasza Eksceleńca zechce przybyć z Florencji, czy z Modeny. Chodzi jedynie o podjęcie małej przechadzki za miasto. Pan hrabia radziłby jaśnie panu zamieszkać w gospodzie „Del Pelegrino”, której gospodarz jest jego przyjacielem.

Fabrycy, idąc jak gdyby bez celu, wszedł w prawą nawę, aż do miejsca, gdzie płonęły świece; wlepił oczy w Madonnę Cimabuego, po czym ukląkł, mówiąc do Pepego:

— Muszę złożyć dzięki.

Pepe poszedł za jego przykładem. Gdy wychodzili z kościoła, Pepe zauważył, że Fabrycy daje dwadzieścia franków ubogiemu, który pierwszy poprosił go o jałmużnę; żebrak jął wydawać okrzyki wdzięczności, które ściągnęły litościwej osobie na kark chmurę nędzarzy, ozdabiających stale plac Świętego Petroniusza. Wszyscy chcieli mieć swój udział w owym napoleonie. Kobiety, zwątpiwszy, aby zdołały przebić ciżbę, która utworzyła się koło pieniądza, rzuciły się na Fabrycego, wmawiając weń krzykliwe, że on rzucił owego napoleona po to, aby podzielono między wszystkich. Pepe, wymachując laską o złotej gałce, nakazał im, aby zostawili Jego Eksceleńcę w spokoju.

— Och, Eksceleńco — podjął chór bab dyszkantem — wyrzucicie też złotego napoleona dla biednych kobiet!

Fabrycy przyspieszył kroku, kobiety biegły za nim krzycząc, zbiegło się mnóstwo żebraków z sąsiednich ulic, robiło to wrażenie jakiegoś buntu. Cały ten tłum, ohydnie brudny i rozjadły, krzyczał: *Eksceleńco!*

Fabrycy uwolnił się z trudem; scena ta ściągnęła jego wyobraźnię na ziemię.

— Mam tylko to, na com zasłużył — rzekł — otarłem się o motłoch.

Dwie kobiety ścigały go aż do bram miasta; Pepe zatrzymał je, grożąc laską i rzucając im nieco grosiwa. Fabrycy wstąpił na urocze wzgórze San Michele in Bosco, obszedł część miasta poza murami, skręcił w małą dróżkę, wyszedł o pięćset kroków dalej na gościniec florencki, po czym wrócił do Bolonii i oddał poważnie urzędnikowi policji paszport, w którym jego rysopis oznaczono dokładnie. Paszport ten mienił go Józefem Bossi, studentem teologii. Fabrycy zauważył plamkę czerwonego atramentu, strzepniętą niby przypadkiem, u dołu w prawym rogu. W dwie godziny później miał szpiega na karku z przyczyny tytułu *Eksceleńcy*, jaki jego towarzysz dał mu wobec żebraków pod Świętym Petroniuszem, podczas gdy paszport nie zawierał nic, co by dawało prawo do tego tytułu.

Żebrak

Fabrycy ujrzał szpiega i drwił zeń w duchu; nie myślał już o paszporcie ani o policji, bawił się wszystkim jak dziecko. Pepe, który miał rozkaz zostać przy nim, widząc, że Fabrycy bardzo jest rad z Lodovica, wołał sam zanieść księżnej tak dobrą nowinę. Fabrycy napisał dwa długie listy do osób, które mu były drogie; po czym przyszło mu do głowy napisać trzeci, do czcigodnego arcybiskupa. List ten wywarł cudowny skutek: zawierał ścisły opis walki z Gilettim. Dobry arcybiskup, rozczulony, nie omieszkał odczytać listu księciu, który raczył go wysłuchać, dość ciekawy, w jaki sposób młody monsignore zdoła usprawiedliwić tak potworne morderstwo. Dzięki licznym przyjaciółom margrabiny Raversi książę wraz z całym miastem sądził, że Fabrycy użył dwudziestu czy trzydziestu chłopów, aby zatłuc aktorzynę, który odważył się walczyć z nim o Marietę. Na despotycznym dworze lada intrygant rozrządza *prawdą*, jak moda rozrządza nią w Paryżu.

— Ależ, u diaska — mówił książę do arcybiskupa — takie rzeczy załatwia się przez kogoś drugiego; nie ma zwyczaju robić tego samemu. Przy tym takiego aktorzyny jak Giletti nie zabija się: kupuje się go po prostu.

Fabrycy nie domyślał się ani trochę tego, co się działo w Parmie. Faktycznie chodziło o to, czy śmierć tego komedianta, który za życia zarabiał trzydzieści dwa franki miesięcznie, spowodzi upadek ministerium *ultra* oraz głowy jego, hrabiego Mosca.

Dowiedziawszy się o śmierci Gilettiego, książę, podrażniony tonami, jakie sobie nadała pani Sanseverina, kazał generalnemu poborcy Rassiemu traktować cały proces tak, jakby chodziło o liberała. Fabrycy znowuż sądził, że człowiek jego urodzenia jest ponad prawem; nie brał w rachubę tego, że w kraju, gdzie wielkie nazwiska nie są nigdy karane, intryga może wszystko, nawet przeciw nim. Mówił często do Lodovica o swej niewinności, którą rychło uznają urzędowo; głównym jego argumentem było, że nie jest winny. Na co Lodovico odparł pewnego razu:

— Nie rozumiem, po co Wasza Eksceleńcja przy takim rozumie i wykształceniu mówi takie rzeczy mnie, który jestem wiernym sługą. Wasza Eksceleńcja jest zbyt ostrożny; takie rzeczy dobre są, aby je mówić publicznie albo przed sądem.

„Ten człowiek uważa mnie za mordercę, mimo to kocha mnie nie mniej” — rzekł sobie Fabrycy, spadając z obłoków.

W trzy dni po wyjeździe Pepego zadziwił się, otrzymując olbrzymi list zapieczętowany jedwabnym sznurkiem, jak za Ludwika XIV, i zaadresowany do „Jego Eksceleńcji przewielebnego Monsignore Fabrycego del Dongo, pierwszego wielkiego wikariusza diecezji parmeńskiej, kanonika” itd.

„Czy ja jestem jeszcze tym wszystkim?” — rzekł do siebie, śmiejąc się.

List arcybiskupa był arcydziełem logiki i jasności; liczył nie mniej niż dziewiętnaście wielkich stronic i opowiadał wiernie wszystko, co się zdarzyło w Parmie po śmierci Gilettiego.

Armia francuska, idąca na miasto pod dowództwem marszałka Ney, nie sprawiłaby większego wrażenia — pisał dobry arcybiskup. — Z wyjątkiem pani Sanseverina i mnie wszyscy myślą, drogi synu, że dla kaprysu zabiłeś aktora Gilettiego. Gdyby ci się zdarzyło to nieszczęście, to są rzeczy, które można uciszyć dwustoma ludwikami i zniknięciem na pół roku, ale intrygantka Raversi chce tą bronią obalić hrabiego Mosca. Publiczność potępia w twojej sprawie nie ohydny grzech morderstwa, ale jedynie *tę niezręczność* lub raczej to zuchwałstwo, że nie raczyłeś się uciec do pomocy *bulo* (rodzaj podrzędnego zbira). Przytaczam ci wiernie rozmowy, jakie słyszę dokoła; bo od czasu tej nieszczęsnej doby obchodzę co dni trzy najznacniejsze domy, aby cię bronić. I nie sądzę, abym kiedy uczynił godniejszy użytek z odrobiny wymowy, jakiej niebo raczyło mi użyczyć.

Łuska spadła z oczu Fabrycego; listy księżnej, pełne czułości, nie zniżyły się nigdy do faktów. Księżna przysięgała mu, że opuści Parmę na zawsze, o ile on rychło tryumfalnie nie wróci.

Hrabia uczyni dla ciebie — pisała w liście, który otrzymał wraz z listami arcybiskupa — co w ludzkiej mocy. Co do mnie, zmieniłeś cały mój charakter tą awanturą; stałam się skąpa jak bankier Tombone; odprawiłam wszystkich robotników; więcej jeszcze: poddyktowałam hrabiemu inwentarz mego majątku, który okazał się o wiele skromniejszy, niż przypuszczałam. Po śmierci kochanego Pietranera (którego, nawiasem mówiąc, raczej powinieneś był pomścić zamiast narażać życie z takim Gilettim!) zostałam z tysiącem dwustoma funtami renty i pięciu tysiącami długu; przypominam sobie między innymi, że miałam półtrzecia tuzina białych safianowych paryskich pantofelków, a tylko jedną parę trzewików na ulicę. Jestem prawie zdecydowana wziąć trzysta tysięcy franków, które mi zostawił mój małżonek, a które chciałam obrócić na wzniesienie mu wspaniałego grobowca. Zresztą to margrabina Raversi jest główną twoją — to znaczy moją — nieprzyjaciółką; jeśli się będziesz nudził w Bolonii, powiedz słowo, a przyjadę. Przesyłam ci cztery nowe przekazy itd., itd.

Księżna nie pisała Fabrycemu ani słowa o opinii panującej w Parmie co do jego sprawy; chciała go przede wszystkim pocieszyć, a w każdym razie śmierć takiego Gilettiego nie wydawała się czymś, z czego by można czynić poważny zarzut panu del Dongo. „Iluż takich Gilettich przodkowie nasi wyprawili na tamten świat — mówiła do hrabiego — a nikomu do głowy nie przyszło wytaczać im procesów!”

Fabrycy, mocno zdziwiony i pierwszy raz pojmujący istotny stan rzeczy, zaczął studiować list arcybiskupa. Nieszczęściem i sam arcybiskup uważał go za bardziej świadomego, niż był w istocie. Fabrycy zrozumiał, że największym atutem margrabiny Raversi jest brak naocznego świadka nieszczęsnej walki. Lokaj, który pierwszy przyniósł tę wiadomość do Parmy, znajdował się w oberży w Sanguigna wówczas, gdy walka się toczyła; Maneta i rzekoma jej matka znikły. W dodatku margrabina przekupiła *vetturina*, tak iż zeznania jego brzmiały fatalnie.

Mimo że dochodzenia otoczone są najgłębszą tajemnicą — pisał dobry arcybiskup swoim cyceronijskim stylem — i prowadzone przez Rassiego, o którym jedynie chrześcijańska miłość bliźniego nie pozwala mi się źle wyrazić, ale który zrobił karierę tropiąc nieszczęsne ofiary jak pies myśliwski, mimo iż Rassiemu, powiadam, o którego bezeceństwie i przedajności nie możesz mieć wyobrażenia, powierzył starania o ten proces rozniewany władca, zdołałem przejrzeć trzy zeznania woźnicy. Szczęściem iście niesłychanym nędznik ów przeczy sobie. I dodam sam, ponieważ mówię do mego generalnego wikariusza, do tego, który ma być po mnie arcypasterzem, iż posłałem po proboszcza parafii, w której mieszka ów zbłąkany grzesznik. Powiem ci. bardzo ukochany synu, ale pod tajemnicą spowiedzi, że ten proboszcz zna już za pośrednictwem żony *vetturina* sumę, jaką ów otrzymał od margrabiny Raversi; nie śmiałybym twierdzić, iż margrabina zażądała od niego, aby cię spotwarzył, ale rzecz zdaje się prawdopodobna. Pieniądze wręczył mu ów nieszczęsny ksiądz, który pełni mało godne funkcje przy osobie margrabiny i którego zmuszony byłem po raz drugi zawiesić w funkcjach kapłańskich. Nie będę cię nużył opowiadaniem innych starań, których mogłeś się po mnie spodziewać i które zresztą wchodzą w zakres, moich obowiązków. Pewien kanonik, zbyt zadufany niekiedy we wpływy płynące z jego rodzowego majątku, którego zrządzeniem bożym został jedynym spadkobiercą, pozwolił sobie oświadczyć u hrabiego Zurla, ministra spraw wewnętrznych, że uważa tę drobnostkę za rzecz przesądzoną na twoją niekorzyść (mówił o zabiciu nieszczęśliwego Gilettiego). Kazałem go wezwać i wobec moich trzech generalnych wikariuszów, wobec mego kapelana i dwóch księży, którzy znajdowali się w sali obok, poprosiłem, aby nas, swoich braci, objaśnił, na jakiej podstawie nabrał tego przeświadczenia obciążającego jednego z jego kolegów. Nieszczęśnik wybąkał jakieś blahe argumenty; wszyscy powstałi przeciw niemu. Mimo że ja sam ograniczyłem się do paru słów nagany, rozplakał się i w naszej obecności przyznał się do błędu, na co przyrzekłem mu tajemnicę w imieniu swoim oraz wszystkich osób obecnych przy tej konferencji, jednakże pod warunkiem, że

przyłoży się jak najgorliwiej do prostowania fałszywych pojęć, jakie mógł w ciągu tych dwóch tygodni wzbudzić swymi odezwaniami.

Nie będę ci powtarzał, drogi synu, tego, co musisz wiedzieć od dawna, to jest, że z trzydziestu czterech chłopów ryjących ziemię z polecenia hrabiego Mosca (pani Raversi twierdzi, że opłaciłeś ich, aby ci pomagali w zbrodni!) trzydziestu dwóch było w głębi rowu zajętych pracą wówczas, kiedy chwyciłeś za nóż myśliwski, aby bronić własnego życia przeciw człowiekowi, który cię napadł zniecacka. Dwaj, którzy nie byli w rowie, zaczęli krzyczeć na innych: *Morduję jaśnie pana!* Sam ten krzyk ukazuje twoją niewinność w pełnym blasku. Otóż generalny poborca Rassi twierdzi, że ci dwaj ludzie znikli; co więcej, odnaleziono ośmiu z tych ludzi, którzy byli w rowie; w pierwszym przesłuchaniu sześciu oświadczyło, że słyszeli krzyk: *Morduję jaśnie pana!* Wiem pośrednią drogą, że na piątym przesłuchaniu, wczoraj wieczór, pięciu oznajmiło, że nie pamiętają dobrze, czy słyszeli wprost ten okrzyk, czy też opowiadał im to któryś z kamratów. Wydano rozkazy, aby mnie powiadomiono o miejscu zamieszkania tych robotników; tamtejszy proboszcz pouczy każdego z nich, że gubią duszę, jeżeli za kilka talarów posuwają się do gwałcenia prawdy.

Jak widzimy, zacny arcybiskup wchodził w najdrobniejsze szczegóły. Po czym pisał jeszcze po łacinie:

Sprawa ta jest po prostu próbą obalenia ministerium. Jeśli cię skaza, mogą cię skazać jedynie na galery lub na śmierć, wówczas wkroczę ja, oświadczając z wysokości arcybiskupiego stolca, że wiem, iż jesteś niewinny, żeś bronił po prostu życia przeciw rozbójnikowi i że zabroniłem ci wracać do Parmy, póki twoi wrogowie będą górą; gotów jestem nawet napiętnować, jak na to zasługuje, generalnego poborcę; nienawiść do tego człowieka jest równie powszechna, jak uznanie dla jego charakteru rzadkie. Ale bądź co bądź, w wilię dnia, w którym ów człowiek wyda tak niesprawiedliwy wyrok, księżna Sanseverina opuści miasto, a może i kraj: w takim razie nie ulega wątpliwości, że hrabia poda się do dymisji. Wówczas, bardzo prawdopodobnie, generał Fabio Conti obejmuje ministerium i margrabina Raversi zwycięża. Najnieszcześniejsze w twojej sprawie jest, że żaden człowiek z głową nie zajął się tym, aby wydobyć na jaw twą niewinność i udaremnić próby zniewolenia świadków. Hrabia niby spełnia to zadanie, ale on jest zbyt wielki pan, aby zstępować do pewnych szczegółów; co więcej, jako minister policji musiał wydać w pierwszej chwili najsurowsze rozkazy przeciw tobie. Wreszcie — mamże wyznać — nasz dostojny władca wierzy w twoją winę lub bodaj udaje, że wierzy, i odnosi się dość niechętnie do tej sprawy.

(Wyrazy: *dostojny władca* oraz *udaje, że wierzy*, były po grecku. Fabrycy powziął najwyższą cześć dla arcybiskupa za to, że odważył się je napisać. Wyciął ten ustęp scyzorykiem i zniszczył go natychmiast.

Fabrycy dwadzieścia razy przerywał czytanie, poruszały nim uczucia najwyższej wdzięczności; odpisał natychmiast listem na osiem stron. Często musiał podnosić głowę, aby lzy nie spadły mu na papier. Nazajutrz, kiedy miał pieczętować list, ton jego wydał mu się zbyt światowy. „Napiszę po łacinie — powiedział sobie — to będzie przyzwoiciej wobec zacnego arcybiskupa.” Ale siłą się kleić sążniste zdania w stylu Cycerona, przypomniał sobie, że raz arcybiskup, mówiąc o Napoleonie, nazwał go ostentacyjne Buonapartem<sup>47</sup>: w jednej chwili pierzchno rozczulenie, które w wilię wzruszało Fabrycego do łez... „O królu Włoch! — wykrzyknął — tyłu przysięgało ci wierność za życia, ja ci jej dochowam po śmierci. Kocha mnie, niewątpliwie, ale dlatego, że jestem del Dongo, a on mieszczański syn. Aby nie zmarnować swego pięknego listu po włosku, Fabrycy zmienił to i owo i zaadresował go do hrabiego Mosca.

<sup>47</sup>nazwał go ostentacyjne Buonapartem — wrogowie Napoleona używali włoskiej formy nazwiska, chcąc podkreślić jego niefrancuskie pochodzenie. [przypis redakcyjny]



Tegoż samego dnia Fabrycy spotkał na ulicy Marietę; zaczerwieniła się ze szczęścia i dała mu znak, aby szedł za nią z dala. Weszła szybko do pustej bramy; tam ściągnęła jeszcze czarną koronkę, która wedle miejscowej mody okrywała jej głowę, tak że nie można było jej poznać; po czym, odwróciwszy się szybko; rzekła:

— Jak to być może, że pan tak swobodnie chodzi po mieście?

Fabrycy opowiedział jej swoje dzieje.

— Wielki Boże! był pan w Ferrarze! Ja pana tam tak szukałam! Wie pan, pokłóciłam się ze starą, bo chciała mnie zawieźć do Wenecji, a ja wiedziałam, że pan tam nigdy nie pojedzie, skoro pan jest na czarnej liście austriackiej. Sprzedałam naszyjnik, aby się dostać do Bolonii, przecucie mówiło mi, że pana spotkam; stara przybyła tu w dwa dni po mnie. Nie zapraszam pana do nas; znów by pana nagabywała o pieniądze, wstyd mi za nią! Żyliśmy bardzo dostatnio od owego nieszczęsnego dnia, co pan wie; nie wydałyśmy ani ćwierci tego, co pan jej dał. Nie chciałabym przychodzić do pana do gospody „Del Pelegrino”, to by było zbyt widoczne. Niech się pan stara wynająć pokój na odludnej ulicy; po *Ave Maria* (o zmierzchu) będę czekała tu, w tej bramie.

To rzekłszy, uciekła.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wszystkie poważne myśli poszły w niepamięć po nieoczekiwanym zjawieniu się milej osóbką. Fabrycy pędził dni w Bolonii w radości i spokoju. Naiwna radość życia przebijająca w listach jego do księżnej, aż zaczęło ją to drażnić. Fabrycy zaledwie to zauważył; zapisał jedynie skróconymi znakami na cyferblacie zegarka: „Kiedy piszę do K..., nie mówić nigdy: *kiedy byłem pralatem, kiedy byłem duchowną osobą*; to ją drażni.” Kupił dwa koniki, z których był bardzo rad (zaprzęgał je do najętej karocy za każdym razem, kiedy Marieta chciała jechać za miasto; prawie co wieczór wiozł ją do wodospadu na Reno. Wracając, zatrzymywał się u sympatycznego Crescentini, który się uważał po trosze za ojca Mariety.

„Na honor! jeśli to jest owo życie kawiarniane, które mi się wydawało tak płaskie dla człowieka z charakterem, niesłusznie nim gardziłem” — mówił sobie Fabrycy. Zapomniał, że chodził do kawiarni jedynie po to, aby czytać „*Constitutionnel*”, i że ponieważ był w Bolonii zupełnie nie znany, próżność nie grała żadnej roli w jego szczęściu. Kiedy nie był z Marietą, widywano go w Obserwatorium, gdzie słuchał kursu astronomii; profesor polubił go bardzo, a Fabrycy pożyczał mu w niedzielę koni, aby mógł paradować z żoną na Corso Montagnola.

Nie mógł znieść myśli, aby jakaś istota, choćby najmniej godna szacunku, miała przez niego cierpieć. Marieta bezwarunkowo nie chciała, aby się spotkał ze starą; ale pewnego dnia, kiedy Marieta była w kościele, zaszedł do *mammaji*, która na jego widok zaczerwieniła się z gniewu. „Oto chwila, aby zagrać pana del Dongo” — pomyślał Fabrycy.

— Ile Marieta pobiera miesięcznie, kiedy jest w teatrze? — wykrzyknął z ową miną, z jaką szanujący się młody człowiek wchodzi w Paryżu na balkon do „*Bouffes*”.

— Pięćdziesiąt talarów.

— Kłamiesz jak zawsze; gadaj prawdę lub, jak mi Bóg miły, nie ujrysz ni centyma.

— A więc zarabiała dwadzieścia dwa talary w Parmie, gdy miałyśmy nieszczęście pana poznać; ja zarabiałam dwanaście, każda z nas oddawała trzecią część Gilettiemu, naszemu protektorowi. Z tego, mniej więcej co miesiąc, Giletti kupował Mariecie jakiś prezent wartości dwóch talarów.

— Jeszcze kłamiesz: ty pobierałeś jedynie cztery talary. Ale jeżeli będziesz dobra dla Mariety, zaangażuję cię, jak gdybym był impresariem; co miesiąc dostaniesz dwanaście talarów dla siebie i dwadzieścia dwa dla niej. Jeśli ją ujrzę z czerwonymi oczami, bankrutuję.

— Bawi się pan w dobrodzieja: otóż wiedz pan, że cała ta pańska hojność tylko nas rujnuje — odparła stara z wściekłością — tracimy *avviamento* (klientelę). Kiedy będziemy miały nieszczęście postradać łaski Wasze Ekscelencji, wyjdziemy zupełnie z obiegu, wszystkie trupy będą w komplecie, nie znajdziemy miejsca i przez pana zginiemy z głodu.

— Idź do diabła! — rzekł Fabrycy, oddalając się.

Interes

— Nie pójdę do diabła, plugawy bezbożniku! ale po prostu na policję, która się dowie, że pan jest monsignore, który powiesił sutannę na kołku i że się pan nazywa Józef Bossi tyle co i ja.

Fabrycy, który już wychodził, wrócił.

— Po pierwsze, policja lepiej wie od ciebie, jak ja się naprawdę nazywam; ale jeśli się poważysz mnie zadenuncjować, jeśli się dopuścisz tego łajdactwa — rzekł poważnie — Lodovico pomówi z tobą i nie sześ pchnięć nożem otrzymają twoje stare gnaty, ale dwa tuziny, i znajdziesz się na pół roku w szpitalu bez tabaki.

Stara zbladła i rzuciła się do rąk Fabrycego, aby je ucałować.

— Przyjmuję z wdzięcznością los, jaki pan nam zapewnia. Wygląda pan tak pocziwie, że brałam pana za dudka. Niech pan pomyśli, że inni mogą popełnić tę omyłkę; radzę panu nosić się bardziej z pańska. — Po czym dodała z cudownym bezwstydem: — Niech się pan dobrze zastanowi nad tą radą, że zaś zbliża się zima, sprawi pan Mariecie i mnie dwie ciepłe sukienki z pięknej angielskiej materii, którą widziałam u grubego kupca na placu Świętego Petroniusza.

Miłość ślicznej Mariety miała dla Fabrycego wszystkie uroki najtkliwszej przyjaźni, co nasuwało mu myśl o podobnym szczęściu obok księżnej.

„Ale czy to nie jest zabawne — powiadał sobie — że ja nie jestem zdolny do tego wyłącznego i namiętnego oddania, które ludzie zwą miłością? Wśród przygodnych miłości w Nowarze lub w Neapolu czyż spotkałem kiedy kobietę, której towarzystwo, nawet w pierwszych dniach, byłoby dla mnie bardziej nęcące niż przejażdżka na ładnym nie znanym koniu? To, co nazywają miłością — dodał — byłoby to także kłamstwo? Bez wątpienia kocham tak, jak mam apetyt w porze obiadowej! Czyżby owa pospolita skłonność była tym, z czego ci kłamcy ulepili miłość Otella, miłość Tankreda? Lub mamże mniemać, że jestem inaczej stworzony niż inni ludzie? Duszy mojej miałoby brakować jednej namiętności, i czemu? To byłby osobliwy los!”

W Neapolu, zwłaszcza w ostatnich czasach, Fabrycy spotykał kobiety, które — pyszne swym urodzeniem, pięknnością i pozycją swoich porzuconych dlań wielbicieli — próbowały go tyranizować. Spostrzegłszy taki zamiar, Fabrycy zrywał natychmiast, szybko i rozgłośnie. „Otóż — powiadał sobie jeżeli kiedy dam się uwieść pokusie, zresztą bardzo nęcącej, tkliwszych stosunków z tą uroczą istotą, którą mienią księżną Sanseverina, postąpię jak ów lekkomyślny Francuz, który zabił złotodajną kurę. Księżnej winien jestem jedyne szczęście, jakiego zakosztowałem; przyjaźń jej to moje życie; a zresztą, czym ja jestem bez niej? Biednym wygnańcem zmuszonym do wegetacji w zrujnowanym zamku koło Nowary. Przypominam sobie, jak w czasie slot jesiennych musiałem rozpinać parasol nad łóżkiem. Jeździłem na koniach ojcowskiego plenipotenty, który cierpiał to przez wzgląd na moją błękitną krew (moje wysokie urodzenie), ale któremu pobyt mój zaczynał się dłużyć; ojciec wyznaczył mi pensję tysiąca dwustu franków i uważał, że gubi duszę, dając jeść jakobinowi. Biedna matka i siostry oszczędzały na sukniach, aby mi dać możliwość zrobienia czasem drobnego podarku moim kochankom. Ta wspaniałomyślność mnie gnębiła. Co więcej, zaczynało się domyślać mojej nędzy, okoliczna młodzież patrzyła na mnie z politowaniem. Wcześniej czy później dudek jakiś dałby wyraz swej wzdardzie dla jakobina, biedaka i niedołęgi; tym bowiem tylko byłem w oczach tych ludzi, byłbym się wplątał w pojedynek, który by mnie zawiódł do twierdzy Fenestrelle, lub musiałbym znów uciekać do Szwajcarii, wciąż z tysiąc dwustoma frankami pensji. Księżnej zawdzięczam ocalenie ze wszystkich tych niedoli; co więcej, ona ma dla mnie całą tę tkliwą przyjaźń, jaką ja powinienem bym czuć dla niej.

Zamiast tego śmiesznego i płaskiego życia, które byłoby ze mnie zrobiło melancholika i głupca, żyję od czterech lat w dużym mieście, mam doskonały powóz, co mi oszczędza prowincjonalnej zawiści i małostek, luba cioteczka łąje mnie zawsze, że nie dość korzystam z otwartej kasy bankiera. Mamże na zawsze zniweczyć tę rozkoszną pozycję? Stracić jedyną przyjaciółkę, jaką mam na świecie? Wystarczy kłamstwo, wystarczy powiedzieć tej kobiecie uroczej, może jedynej w świecie, dla której mam najżywszą przyjaźń: *kocham cię*, ja, który nie wiem, co to jest kochać istotną miłością! Bez ustanku wymawiałaby mi brak owych uniesień, które mi są nie znane. Przeciwnie, Marieta, która nie czyta w mym sercu i która

Miłość, Flirt, Pozycja społeczna

bierze pieśczęty za wylewy duszy, sądzi, że szaleje z miłości, i i uważa się za najszcześniejszą z kobiet.

W rzeczywistości ów tkliwy poryw, który zowią podobno *miłością*, poznałem po trosze jedynie przy młodej Aniken w gospodzie opodal belgijskiej granicy.”

Z żalem przyjdzie nam tu opowiedzieć jeden z najgorszych postępów Fabrycego; wśród tego spokojnego życia nędzny wyskok próżności zawładnął owym sercem, tak opornym na miłość, i zaprowadził go bardzo daleko.

Równocześnie z nim znajdowała się w Bolonii słynna Fausta F..., bez wątpienia jedna z pierwszych śpiewaczek naszej epoki i najkapryśniejsza istota, jaka istniała. Znakomity poeta Buratti z Wenecji ułożył na nią ów słynny satyryczny sonet znajdujący się wówczas na ustach zarówno książąt, jak uliczników.

„Chcieć i nie chcieć, ubóstwiać i nienawidzić, znajdować szczęście w nie-  
stałości, gardzić tym, co świat cały wielbi — oto, jakie wady ma Fausta,  
i wiele innych jeszcze. Unikaj tego węża. Skoro ją ujrzysz, niebaczny, zapo-  
mnisz o jej kapryśności. Jeśli będziesz miał szczęście ją usłyszeć, zapomnisz  
o sobie i miłość wnet zrobi z ciebie to, co Cyrce zrobiła niegdyś z towarzyszy  
Ulissesa”<sup>48</sup>.

W tej chwili ów cud piękności był pod urokiem ogromnych bokobrodów i i pańskiej arogancji młodego hrabiego M..., tak że nie raziła jej nawet jego szpetna zazdrość. Fabrycy widywał hrabiego na ulicy; drażniła go mina wyższości, z jaką panoszył się na ulicy i z jaką rączył obnosić swoje wdzięki. Ów młody człowiek był bardzo bogaty, sądził, że mu wszystko wolno, że zaś jego *prepotenza*<sup>49</sup> ściągnęła nań pogroźki, nigdy nie pokazywał się inaczej niż w otoczeniu dziesiątka *buli* (zbiarów) odzianych w jego barwy, których sprawdził ze swego majątku w Brescji. Spojrzenia Fabrycego spotkały się parę razy z oczami straszliwego panka, kiedy traf pozwolił mu usłyszeć słynną Faustę. Zdumiała go anielska słodycz tego głosu; nie wyobrażał sobie nic podobnego: zawdzięczał jej najwyższe wzruszenia, stanowiące bogaty kontrast z *letniością* jego obecnego życia. „Byłaby to wreszcie miłość?” — pomyślał sobie. Bardzo ciekaw poznać to uczucie, ubawiony zresztą myślą o zabawieniu się kosztem hrabiego M..., który spoglądał na ludzi groźniej niż dobosz pułkowy, bohater nasz popełnił to dzieciństwo, iż zaczął się przechadzać zbyt często pod oknami pałacu Tanari, który hrabia wynajął dla Fausty.

Jednego dnia o zmroku, kiedy Fabrycy starał się zwrócić na siebie uwagę Fausty, powitały go wyraźne śmiechy rębajłów hrabiego, stojących w progu pałacu Tanari. Pobiegnął do siebie, wziął broń i jeszcze raz przeszedł pod pałacem. Fausta, ukryta za żaluzją, czekała tego powrotu i umiała go ocenić. M..., zazdrosny o cały świat, zaczął być osobliwie zazdrosny o Józefa Bossi, pod którego adresem słał pogroźki; w odpowiedzi na to, co rano bohater nasz przesyłał mu list zawierający jedynie te słowa:

Józef Bossi niszczy dokuczliwe robactwo, mieszka w „Pelegrino”, via  
Larga nr 79.

Hrabia M..., przyzwyczajony do szacunku, jaki mu wszędzie zapewniał ogromny majątek, *błękitna krew* i trzydziestu tęgich lokajów, nie chciał zrozumieć wymowy tego biliciku.

Fabrycy pisywał i do Fausty; M... otoczył szpiegami tego rywala, który może umiał wzbudzić wzajemność; najpierw dowiedział się o tym, jak się naprawdę nazywa, a potem, że na razie nie może się pokazać w Parmie. Za kilka dni hrabia M..., jego *buli*, jego wspaniałe konie i Fausta — wszystko ruszyło do Parmy.

Fabrycy, podrażniony, pojechał za nimi nazajutrz. Daremnie go błagał poczciwy Lodovico; Fabrycy posłał go do diabła, Lodovico zaś, sam bardzo dzielny, był tym zachwycony; zresztą podróż ta zbliżała go do pięknej kochanki w Casal-Maggiore. Dzięki staraniom Lodovica ośmiu czy dziesięciu dawnych żołnierzy napoleońskich przystało do pana Józefa Bossi w charakterze służących. „Bylebym — pomyślał sobie Fabrycy — czyniąc

<sup>48</sup>co Cyrce zrobiła niegdyś z towarzyszy Ulissesa — Ulisses wracający spod Troi zabłądził na wyspę Ea, gdzie czarodziejka Cyrce zamieniła jego towarzyszy w wieprze. [przypis tłumacza]

<sup>49</sup>prepotenza (wł.) — arogancja, stosowanie przemocy, nadużywanie władzy. [przypis edytorski]

to szaleństwo, że jadę za Faustą, nie stykał się z ministrem policji, hrabią Mosca, ani z księżną, narażam jedynie siebie. Powiem później ciotce, że szukałem miłości, owej uroczej rzeczy, której nie spotkałem nigdy. Fakt jest, że myślę o Fauście, nawet kiedy jej nie widzę... Ale czy to wspomnienie jej głosu kocham, czy osobę?” Nie myśląc już o karierze duchownej, Fabrycy zapuścił wąsy i bokobrody prawie równie straszliwe co u hrabiego M...; to go trochę odmieniło. Obrął kwaterę nie w Parmie — to byłoby zbyt nieostrożnie — ale w sąsiedniej wiosce, w lasku przy drodze do Sacca, gdzie znajdował się pałacyk ciotki. W myśl rady Lodovica zameldował się w tej wiosce jako lokaj angielskiego magnata, wielkiego oryginała: magnat ów, wydający sto tysięcy franków rocznie na polowanie, miał niebawem przybyć znaną z Como, gdzie go zatrzymał połów pstrągów. Szczęściem pałacyk, który hrabia M... wynajął dla pięknej Fausty, leżał na południowym krańcu Parmy, właśnie na drodze do Sacca, a okna Fausty wychodziły na aleje wysadzone wielkimi drzewami, rozciągające się pod wysoką wieżą cytadeli. Fabrycy nikogo nie znał w tej dzielnicy; śledził kroki hrabiego M... i pewnego dnia, gdy ten właśnie wyszedł od uroczej śpiewaczki, miał to zuchwalstwo, aby się pokazać na ulicy w biały dzień; co prawda na doskonałym koniu i dobrze uzbrojony. Uliczni muzykanci (którzy bywają we Włoszech wyborni) roztasowali się ze swymi gitarami pod oknami Fausty i pobrzękując odśpiewali kantatę na jej cześć. Fausta wyjrzała oknem i zauważyła dwornego młodzieńca stojącego konno na środku ulicy: skłoniwszy się, zaczął ją prażyć niedwuznacznymi spojrzeniami. Mimo przesadnego angielskiego kostiumu, jaki przywdział Fabrycy, poznała niebawem autora namiętnych listów, które spowodowały jej wyjazd z Bolonii. „Szczególny człowiek — rzekła sobie — coś mi się zdaje, że go będę kochała. Mam sto ludwików zapasu, mogę puścić kantem tego piekielnego hrabiego. Trzeba przyznać, że brak mu dowcipu i fantazji; jeżeli jest czasem zabawny, to jedynie dzięki straszliwym minom jego ludzi.”

Nazajutrz Fabrycy, dowiedziawszy się, że codziennie koło jedenastej Fausta słucha mszy w mieście, w tym samym kościele Świętego Jana, gdzie się znajdował grobowiec jego stryjcznego dziadka, arcybiskupa Ascania del Dongo, ośmielił się iść za nią. Lodovico wystarał mu się o wspaniałą angielską perukę z włosami koloru najpiękniejszej czerwieni. Nawiązując do koloru tych włosów, zarazem koloru płomieni, które palą jego serce, ułożył sonet, który Fauście wydał się czarujący; nieznana ręka porzuciła go na jej fortepianie. Oblężenie to trwało ledwie tydzień; ale Fabrycy uważał, iż mimo swych zabiegów nie czyni istotnych postępów: Fausta wzdragała się go przyjąć w domu. Przesadził w oryginalności; wyznała mu później, że się go bała. Fabrycego trzymała już tylko resztką nadziei, że dojdzie do poznania tego, co nazywają *miłością*; ale często nudził się.

— Panie, jedźmy stąd — powtarzał Lodovico — pan nie jest zakochany; pański rozsądek i zimna krew są wprost rozpaczliwe. Zresztą pan nie robi postępów: przez prostą ambicję zmykajmy.

W pierwszej irytacji Fabrycy miał już odjechać, kiedy dowiedział się, że Fausta ma śpiewać u księżnej Sanseverina. „Może ten boski głos zdoła do reszty rozplomienić moje serce” — powiedział sobie, i ośmielił się wśliznąć w przebraniu do tego pałacu, gdzie go wszyscy znali.

Można sobie wyobrazić wzruszenie księżnej, kiedy pod koniec koncertu zauważyła strzelca w liberii przy drzwiach do wielkiej sali: przypominał jej kogoś. Odszukała hrabiego Mosca, który dopiero wówczas zdradził jej niewiarygodne szaleństwo Fabrycego. Brał to wesoło. Ta miłość do innej była mu bardzo po myśli; hrabia, poza polityką człowiek nader delikatny, działał w myśl pewnika, że nie może sam znaleźć szczęścia, o ile księżna nie będzie szczęśliwa.

— Ocalę go przed nim samym — powiedział do przyjaciółki — pomyśl, co za radość dla wrogów, gdyby go uwięziono tutaj! Toteż mam tu z górą setkę swoich ludzi i dlatego poproszę cię o klucze od rezerwarów wodnych. Obnosi się z szaloną miłością do Fausty i nie może jej wyrzucić hrabiemu M..., który stwarza tej wariatce królewską egzystencję.

Na twarzy księżnej odbiła się najżywsza boleść; Fabrycy był tedy jedynie urwisem niezdolnym do poważniejszego uczucia!

— I nie przyjdź nas odwiedzić! Czy ja mu to kiedy przebaczę! — rzekła wreszcie. — A ja pisuję do niego co dzień do Bolonii!

— Szanuję jego oględność — odparł hrabia — nie chce nas narazić swoim wybrykiem, a z pewnością opowie nam to bardzo zabawnie.

Fausta była zbyt postrzelona, aby umieć coś zamilczeć; nazajutrz po koncercie, w czasie którego oczy jej przesyłały wszystkie arie rosłemu strzelcowi, wspomniała hrabiemu M... o nieznanym wielbicielu.

— Gdzie go widzisz? — spytał hrabia, wściekły.

— Na ulicy, w kościele — odparła Fausta, zmieszana.

Starła się naprawić swą nierozwagę lub bodaj usunąć wszystko, co mogło przypominać Fabrycego: opisała bardzo obszernie młodego człowieka z rudymi włosami; ma niebieskie oczy; bez wątpienia to jakiś Anglik bardzo bogaty i niezręczny lub jakiś książę krwi. Na te słowa hrabia M..., który nie odznaczał się bystrością, uroił sobie (cóż za rozkosz dla jego próżności!), że ów rywal to nie kto inny niż sam następca tronu Parmy. Ten biedny melancholijny młodzieniec, strzeżony przez pięciu czy sześciu guwernerów, preceptorów etc., którzy odbywali za każdym razem naradę, nim pozwolili mu wyjść na ulicę, obejmował namiętnymi spojrzeniami wszelką niebrzydką kobietę, do której wolno mu było się zbliżyć. Na koncercie u księżnej przypadło mu miejsce przed wszystkimi słuchaczami, na osobnym fotelu, o trzy kroki od pięknej Fausty, a sposób, w jaki na nią patrzył, mocno podrażnił hrabiego M... To szaleństwo wyrafinowanej próżności, aby mieć za rywala księcia krwi, ubawiło Faustę, która dla zabawki utwierdziła je za pomocą mnóstwa niby to naiwnie zdradzonych szczegółów.

— Czy twój ród — spytała hrabiego — jest równie stary co ród Famese, do którego należy ten młody człowiek?

— Co ty pleciesz, równie stary? Ja nie mam bękartów w rodzinie<sup>50</sup>.

Przypadek chciał, że hrabia M... nigdy nie mógł się dobrze przyjrzeć mniemanemu rywalowi, co go utwierdziło w myśli, że ma księcia krwi za współzawodnika. W samej rzeczy, kiedy okoliczności nie wzywały Fabrycego do Parmy, spędzał czas koło Sacca, nad brzegami Padu. Hrabia M... był o wiele dumniejszy, ale też i bardziej ostrożny, odkąd sądził, że trzeba mu walczyć o serce Fausty z osobą krwi monarszej; prosił ją bardzo poważnie, aby się zachowywała najogłędniej. Rzuciwszy się do jej kolan, jak zazdrosny i namiętny kochanek, oświadczył wręcz, że kwestią jego honoru jest, aby się ona nie dała uwieść młodemu księciu.

— Pozwól, nie byłoby żadnego uwiedzenia, gdybym go kochała; nie widziałam nigdy panującego u swoich stóp.

— Jeśli ulegniesz — odparł wyniośle — może nie będę się mógł zemścić na księciu, ale to pewna, że się zemszczę. — Rzekłszy to, wyszedł, trzaskając drzwiami. Gdyby Fabrycy był w tej chwili pod ręką, wygrałby sprawę.

— Jeżeli dbasz o życie — rzekł hrabia wieczorem, żegnając się z nią po teatrze — staraj się, abym nigdy nie usłyszał, że młody książę dostał się do twego domu. Nie mogę nic zrobić jemu, do kroćset! Ale nie każ mi pamiętać o tym, że mogę wszystko zrobić tobie!

— O, mój miły Fabrycy — wykrzyknęła Fausta — gdybym wiedziała, gdzie cię szukać!

Podrażniona próżność może daleko zaprowadzić człowieka bogatego i od kolebki otoczonego pochlebcami. Szczera namiętność, jaką hrabia M... żywił dla Fausty, zmieniła się w furję; nie wstrzymało go niebezpieczeństwo walki z jedynym synem monarchy, w którego państwie się znajdował; z drugiej strony, nie przyszło mu do głowy starać się zobaczyć tego księcia lub bodaj go śledzić. Nie mogąc go osiągnąć inaczej, M... próbował go ośmieszyć. „Wygnaj mnie na zawsze z Parmy — rzekł sobie — więc cóż, mniejsza!” Gdyby się starał rozpoznać pozycję nieprzyjaciela, hrabia byłby się dowiedział, że biedny książę nie wychodzi nigdy bez eskorty kilku starców, nudnych stróżów etykiety, i że jedyna dobrowolna przyjemność, jakiej mu dozwolono, to była mineralogia. W dzień i w nocy pałacyk Fausty, gdzie cisnęło się wykwintne towarzystwo parmeńskie, otoczony był przez ciekawych; M... wiedział — godzinę po godzinie — co ona robi, a zwłaszcza, co robią inni w jej pobliżu. Zazdrośnik okazał się godny pochwały w tym jednym: owa tak kapryśna kobieta nie miała zrazu pojęcia o tej zdwojonej czujności. Raporty wszyst-

<sup>50</sup>Ja nie mam bękartów w rodzinie — Piotr Ludwik, pierwszy z rodu Farnese, tak głośny swymi cnotami, był, jak wiadomo, naturalnym synem świątobliwego papieża Pawła III. [przypis autorski]

kich agentów mówiły hrabiemu, że młody człowiek w rudej peruce zjawia się często pod oknami Fausty, ale wciąż w innym przebraniu. „Oczywiście to młody książę — powiadał sobie M... — inaczej po cóż by się przebierał? Do paralusza! Człowiek taki jak ja nie może ustępować. Gdyby nie zamach republiki weneckiej, i ja byłbym panującym.”

W dniu świętego Stefana raporty szpiegów przybrały ciemniejszą barwę i zdawały się wskazywać, że Fausta mile patrzy na zabiegi nieznajomego. Mogę natychmiast wyjechać z tą kobietą — powiadał sobie M... — ale cóż! Z Bolonii uciekłem przed del Dongiem, tutaj uciekłbym przed księciem! I co by powiedział ten młokos? Myślałby, że go się złąkłem! Do kroćset! Jestem z równie dobrego domu co on. M... był wściekły; a na domiar niedoli starał się przede wszystkim nie narażać na drwiny Fausty, w razie gdyby okazał swą zazdrość. W dzień san Stefano tedy, spędziwszy z nią godzinę i przyjęty z serdecznością, która pachniała mu fałszem, pożegnał ją koło jedenastej, w chwili gdy się wybierała na mszę do Św. Jana. Hrabia M... wrócił do siebie, włożył czarne wytarte ubranie studenta teologii, udał się do św. Jana i przystanął za grobowcem zdobiącym trzecią kaplicę po prawej: widział wszystko w kościele pod ramieniem kardynała, którego posąg klęczał na grobowcu; posąg ten nie dopuszczał światła do wnętrza kaplicy i zasłaniał go wystarczająco. Niebawem ujrzał Faustę, piękniejszą niż kiedykolwiek; była paradnie wystrojona, a towarzyszyło jej dwudziestu wielbicieli z najwyższego towarzystwa. Radość jaśniała w jej oczach i na jej wargach. „Jasne jest — powiadał sobie nieszczęśliwy zazdrośnik — że ona spodziewa się tu zastać człowieka, którego kocha i którego od dawna może, dzięki mnie, nie mogła oglądać.” Naraz szczęście trysło z oczu Fausty. „Rywal jest tuż” — powiadał sobie M... Podrażniona próżność sprawiała mu nieznośny ból. „Jakże ja wyglądam, dublując rolę książątka, które gdzieś tu tkwi w przebraniu?” Ale mimo wysiłków nie zdołał odkryć rywala, którego drapieżne jego oczy tropiły na wszystkie strony.

Co chwila Fausta, obiegłszy oczami cały kościół, zatrzymywała w końcu brzemienne miłością i szczęściem spojrzenie na ciemnym kącie, gdzie M... znajdował się w ukryciu. W sercu przejętym namiętnością miłość zdolna jest przecenić najłżejsze odcienie i tłumaczyć je najniedorzeczniej; biedny M... był w końcu przeświadczony, że Fausta go widzi; że mimo jego wysiłków, spostrzegłszy jego śmiertelną zazdrość, chce ją zganić i równocześnie pocieszyć tymi czułymi spojrzeniami!

Grobowiec kardynała, za którym M... się umieścił, wznosił się na kilka stóp nad marmurową posadzką kościoła. Msza dla modnisiów skończyła się koło pierwszej, większość wiernych odeszła. Fausta odprawiła swoich galantów pod pozorem modlitwy; osunęła się na klęcznik, oczy jej czulsze i bardziej błyszczące zwróciły się ku M...; od czasu jak kościół się opróżnił, spojrzenia jej nie zadawały sobie tego trudu, aby obiegać cały kościół, nim przystawały z upojeniem na posągu kardynała. „Cóż za delikatność” — powiadał sobie hrabia, myśląc, że ona na niego patrzy. Wreszcie Fausta wstała i wyszła nagle, wykonawszy rękoma parę dziwnych ruchów.

M..., pijany miłością i prawie otrzeźwiony z szalonej zazdrości, opuścił swoje miejsce, aby biec do pałacu kochanki i dziękować jej tysiąc razy, kiedy — mijając grobowiec — spostrzegł młodego człowieka w czerni: ta złowroga postać klęczała wsparta o płytę, tak iż spojrzenia zazdrosnego kochanka mogły przechodzić nad jego głową i nie widzieć go.

Ów młody człowiek wstał i wyszedł szybko; natychmiast otoczyło go kilka dość szczególnych postaci, widocznie będących do jego rozkazów. M... rzucił się za nim, ale niby to przypadkiem ludzie chroniący jego rywala zatrzymali go w drewnianym kołowrocie przy wyjściu. Kiedy wreszcie zdołał po nich wyjść na ulicę, ujrzał zamykające się drzwi niepozornej kolaski, która przez osobliwy kontrast zaprzężona była w dwa wspaniałe konie. W jednej chwili powóz znikł mu z oczu.

Wrócił do siebie, dysząc z wściekłości; niebawem przybyli jego szpiedzy, którzy donieśli mu z zimną krwią, że tego dnia tajemniczy kochanek, przebrany za kleryka, klęczał pobożnie, wsparty o grobowiec, przy wejściu do ciemnej kaplicy. Fausta została w kościele, aż się prawie zupełnie opróżniło, i wówczas wymieniła jakieś znaki z nieznajomym niby to czyniąc znak krzyża. M... pobiegł do niewiernej; pierwszy raz nie mogła ukryć pomieszania. Opowiedziała z kłamliwą szczerością kobiecą, że jak zawsze była u św. Jana, ale że nie spostrzegła tam człowieka, który ją prześladował. Na te słowa M..., nie panując nad sobą, potraktował ją jak ladacznicę, opowiedział wszystko, co widział na własne oczy,

kiedy zaś śmiałość jej kłamstw rosła z żywością jego oskarżeń, chwycił sztylet i rzucił się na nią. Z najzimniejszą krwią Fausta rzekła:

— A więc wszystko co mi zarzucasz, jest prawdą, ale próbowałam ją kryć, aby cię nie podjudzić do szalonych planów zemsty, które mogłyby zgubić nas oboje; wiedz bowiem wreszcie, iż wedle moich domysłów, człowiek, który mnie prześladuje, niełatwo ścierpi jakikolwiek opór, przynajmniej w tym państwie. — Napomknąwszy bardzo zręcznie, iż ostatecznie on, M..., nie ma do niej żadnych praw, Fausta oświadczyła w końcu, że prawdopodobnie nie pójdzie już do św. Jana. M... był szalenie zakochany, w sercu młodej kobiety spryt zabarwił się może odcieniem zalotności, dość że uczuł się rozbrojony. Myślał o tym, aby opuścić Parmę; młody książę mimo całej swej potęgi nie mógłby podążyć za nim lub, gdyby to uczynił, stałby się już tylko jemu równym. Ale duma nasunęła mu znowu, że ten wyjazd wyglądałby na ucieczkę: zabronił sobie myśleć o tym.

„Nie domyśla się istnienia mego złotego Fabrysa — powiadała sobie uszczęśliwiona śpiewaczka — teraz możemy zdrwić sobie z niego w najrozkoszniejszy sposób!”

Fabrycy nie odgadł swego szczęścia; znajdując nazajutrz okna śpiewaczki szczelnie zamknięte i nie widząc jej nigdzie, zaczął uważać, że zabawa trwa nieco długo. Miał wyrzuty. „W jakimż położeniu stawiam hrabiego Mosca, ministra policji! Wezmą go za mego współnika, przybyłem tutaj po to, aby zwichnąć jego karierę! Ale jeśli porzucę tak długo ścigany zamiar, co powie księżna, gdy jej opowiem swoje miłosne próby?”

Jednego wieczora, kiedy — gotów już poniechać wszystkiego — prawił sobie te morały, błędząc pod wielkimi drzewami między pałacem Fausty a cytadelą, Fabrycy zauważył, że idzie za nim szpieg bardzo małego wzrostu. Próżno chcąc się go pozbyć kołował po ulicach; wciąż to mikroskopijne stworzenie zdawało się dreptać w jego ślady. Zniecierpliwiony, pośpieszył w samotną ulicę na przedmieściu, gdzie siedzieli zaczajeni jego ludzie; na znak Fabrycego skaczą na biednego szpiega, który rzuca się im do kolan; była to Bettina, pokojówka Fausty; po trzech dniach nudy i zamknięcia, przebrawszy się za mężczyznę, aby uniknąć sztyletu hrabiego M..., którego i pani jej, i ona bardzo się bały, postanowiła udać się do Fabrycego z wiadomością, że pani jej kocha go do szaleństwa i pała chęcią widzenia go, ale nie może się już pojawić u św. Jana.

„Był już czas — powiedział sobie Fabrycy — niech żyje wytrwałość!”

Pokojóweczka była bardzo ładna, co oderwało Fabrycego od roztrząsań moralnych. Objąśniała go, że promenada i wszystkie ulice, którymi przechodził tego wieczora, obsadzone są dyskretnie przez szpiegów hrabiego M... Najęli pokoje na parterze lub na pierwszym piętrze; ukryci za żaluzją i zachowując głębokie milczenie, śledzą, co się dzieje na ulicy pozornie zupełnie opustoszałej i słyszą każde słowo.

— Gdyby szpiedzy poznali mój głos — mówiła Bettina — zasztyletowano by mnie bez pardonu, może i biedną panią.

Strach ten czynił ją w oczach Fabrycego uroczą.

— Hrabia M... — ciągnęła — jest wściekły, a moja pani wie, że on jest zdolny do wszystkiego. Poleciała mi powiedzieć, że chciałaby być o sto mil razem z panem.

Opowiedziała Fabrycemu scenę w kościele w dniu świętego Stefana i wściekłość M..., który nie stracił ani jednego ze spojrzeń i znaków, jakie Fausta, tego dnia szalejąca za Fabrycem, mu przesała. Hrabia dobył sztyletu, chwycił Faustę za włosy i gdyby nie jej przytomność, byłaby zgubiona.

Fabrycy zaprowadził Bettinę do mieszkania, które miał niedaleko. Opowiedział, że pochodzi z Turynu, jest synem pewnego wielkiego pana, który chwilowo znajduje się w Parmie, co go zmusza do ostrożności. Bettina odpowiedziała mu ze śmiechem, że jest o wiele większym panem, niż chce okazać. Bohater nasz potrzebował sporo czasu, zanim zrozumiał, że śliczna dziewczyna bierze go ni mniej, ni więcej tylko za samego następcę tronu. Fausta bała się i kochała już po trosze Fabrycego; wymogła na sobie, aby nie zdradzić jego nazwiska przed pokojówką, i opowiedziała jej bajeczkę o księciu. Fabrycy wyznał wreszcie Bettinie, że zgadła. „Ale — dodał — jeśli moje imię się rozgłosi, wówczas mimo całej miłości, której dałem twojej pani tyle dowodów, będę musiał przestać ją widywać i natychmiast ministrowie mego ojca, łajdaki, których przepędzę kiedyś, każą Fauście opuścić kraj, który dotąd upiększała swą obecnością.”

Nad ranem układał z pokojóweczką różne sposoby dostania się do Fausty; kazał zwołać Lodovica i paru jeszcze chwatów spośród swoich ludzi, którzy omawiali szczegóły

z Bettiną, gdy on pisał do Fausty najszaleńszy list; sytuacja dozwalała teatralnej przesady, jakoż Fabrycy nie darował jej sobie. Dopiero o świcie rozstał się z pokojówką, wielce zadowoloną z manier młodego księcia.

Powtórzono sto razy, iż obecnie, skoro Fausta porozumiała się już z kochankiem, ten nie będzie się pojawiał pod oknami pałacu, aż wówczas kiedy go będzie mogła przyjąć; wtedy da mu sygnał. Ale Fabrycy, zadurzony w Bettinie, a bliski tryumfu z Faustą, nie mógł wytrzymać na swym odludziu o dwie mile od Parmy. Nazajutrz, koło północy, przybył na koniu i z dobrą eskortą, aby odśpiewać pod oknami Fausty modną piosenkę, przekształcając okolicznościowo słowa. „Czyż nie tak poczynają sobie kochankowie?” — powiadał.

Od czasu jak Fausta skłoniła się do schadzki, polowanie to dłużyło się Fabrycemu. „Nie, nie kocham — powiadał, śpiewając dość lichy pod oknami pałacyku — Bettina wydaje mi się sto razy miłsza od Fausty i raczej chciałbym w tej chwili być przy niej.” Fabrycy, dość znudzony, wracał właśnie do swej kwatery, kiedy o pięćset kroków od pałacyku Fausty kilkunastu ludzi rzuca się na niego; czterech chwytła konia za uzdę, dwaj inni chwycili go pod ramiona. Lodovico i *bravi*<sup>51</sup>, również otoczeni, zdołali uciec, wypaliwszy z pistoletów. Wszystko to było dziełem jednej chwili; w mgnieniu oka, jak gdyby czarami, zjawia się na ulicy pięćdziesiąt zapalonych pochodni — wszystko ludzie dobrze uzbrojeni. Fabrycy mimo tej przemocy zdołał zeskoczyć z konia i silił się przebić; zranił nawet jednego draba, który mu trzymał ramię jak kleszczami; ale zdziwił się mocno, kiedy ten ozwał się tonem najgłębszego uszanowania:

— Wasza Wysokość raczy mi wyznaczyć wysoką pensję za tę ranę, co będzie dla mnie o wiele korzystniejsze, niż popełniać obrazę majestatu, dobywając szpady przeciw memu władcy.

„Ot, kara za moje głupstwo — rzekł sobie Fabrycy — zgubię duszę za grzech, który mnie wcale nie nęcił.”

Zaledwie się skończyła ta potyczka, pojawiło się kilku lokajów w paradnej liberii, niosąc złożoną i dziwacznie pomalowaną lektykę; była to jedna z owych komicznych lektyk, jakimi maski posługują się w karnawale. Sześciu ludzi ze sztyletami w dłoni zaprosiło Jego Wysokość do lektyki, powiadamiając, że chłód wieczorny mógłby mu zaszkodzić na głos; udawano formy pełne najwyższego uszanowania, wykrzykując co chwila tytuły książęce. Pochód ruszył; Fabrycy doliczył się przeszło pięćdziesięciu ludzi niosących zapalone pochodnie. Mogła być pierwsza rano; ludzie zaczęli wyglądać ze wszystkich okien, zwabieni tą uroczystością. „Obawiałem się pugi na hrabiego M... — powiadał sobie Fabrycy — poprzestaje na tym, że sobie drwi ze mnie; nie posądzałem go o tyle smaku. Ale czy on istotnie myśli, że ma do czynienia z księciem? Jeśli dowie się, że jestem tylko Fabrycym, puginał gotów być w robocie!”

Owych pięćdziesięciu ludzi z pochodniami oraz dwudziestu uzbrojonych, zatrzymawszy się długo pod oknami Fausty, udało się w paradzie pod najświetniejsze pałace w mieście. Marszałkowie dworu, idący po obu stronach lektyki, zapytywali od czasu do czasu Jego Wysokość, czy nie raczy dać jakich rozkazów. Fabrycy nie stracił głowy; przy blasku pochodni dojrzał, że Lodovico i jego ludzie zdążają za pochodem możliwie blisko. Fabrycy powiedział sobie: „Lodovico ma ledwie jakiś dziesiątek ludzi i nie śmie szukać walki.” Z głębi lektyki Fabrycy widział, że ludzie, których użyto do tego niesmacznego figla, uzbrojeni są od stóp do głów. Udawał, że śmieje się wraz z marszałkami dworu, przydzielonymi do jego usług. Po dwóch godzinach tryumfalnego pochodu spostrzegł, że kierują się w stronę pałacu Sanseverina.

Kiedy skręcili w ulicę, która tam prowadzi, Fabrycy otwiera błyskawicznie drzwiczki na przodzie, skacze przez drążek, obala ciosem sztyletu draba, który mu świecił pochodnią w nos, otrzymuje sam pchnięcie w ramię i drugi zbir osmala mu brodę łuczywem; wreszcie Fabrycy dociera do Lodovica, krzyżąc: „Bij, zabij wszystkich, co niosą pochodnie!” — Lodovico macha rapierem i uwalnia go od dwóch ludzi, którzy próbują go ścigać. Fabrycy dobija pędem do pałacu Sanseverina; przez ciekawość odzwierny otworzył drzwiczki w dużej bramie i patrzył, oszołomiony, na tę mnogość pochodni. Fabrycy wpada jednym susem i zatrząskuje drzwiczki, biegnie do ogrodu i wymyka się furtką wy-

<sup>51</sup>*bravi* (wł.: śmiałkowie) — najemna ochrona. [przypis redakcyjny]



chodzącą na boczną ulicę. W godzinę później był za miastem; o świcie przebył granice Modeny, gdzie był bezpieczny. Wieczorem dostał się do Bolonii. „To mi wyprawa! — rzekł sobie — nie mogłem nawet mówić z moją lubą.” Czym prędzej napisał do hrabiego i do księżnej listy z przeprosinami, listy nader ostrożne, które malując to, co się działo w jego sercu, nie mogły dać wrogowi żadnej broni. „Kochałem się w miłości — pisał do księżnej — robiłem wszystko, aby ją poznać; ale zdaje się, że natura odmówiła mi daru kochania i melancholii; nie mogę wznieść się ponad pospolitą przyjemność” etc.

Trudno opisać, ile hałasu zdarzenie to narobiło w Parmie. Tajemnica pobudziła powszechną ciekawość — mnóstwo ludzi widziało pochodnie i lektykę. Ale kto był ów porwany, którego otaczano najgłębszym szacunkiem? Żadnej znanej osobistości nie brakło w mieście.

Ludek, zamieszkały na ulicy, z której się jeniec wymknął, opowiadał, iż widział trupa; ale rano, kiedy mieszkańcy ośmielili się wyjść z domów, nie znaleźli śladów walk prócz krwi obficie rozlanej na bruku. Więcej niż dwadzieścia tysięcy ciekawych odwiedziło w ciągu dnia ulicę. Włoskie miasta przyzwyczajone są do osobliwych widowisk, ale zawsze wiedzą *czemu* i *jak*. Parma była oburzona tym, iż nawet w miesiąc później, kiedy przestano wyłącznie mówić o przechadzce z pochodniami, nikt — dzięki przeczności hrabiego Mosca — nie mógł się domyślić nazwiska rywala, który chciał odbić Faustę hrabiemu M... On sam, zazdrosny i mściwy kochanek, zemknął z początkiem ceremonii. Z rozkazu hrabiego zamknięto Faustę w cytadeli. Pani Sanseverina uśmieła się serdecznie z małej niesprawiedliwości, na jaką hrabia musiał sobie pozwolić, aby osadzić w miejscu ciekawość panującego księcia, który inaczej mógłby dotrzeć do śladów Fabrycego del Dongo.

Zjawił się wówczas w Parmie uczony człowiek, przybyły z północy dla pisania historii średniowiecza; badał rękopisy w bibliotekach, do których hrabia dał mu wszystkie upoważnienia. Ale ten uczony, bardzo jeszcze młody, okazywał szczególną drażliwość; myślał, na przykład, że wszyscy w Parmie chcą zeń sobie żartować. Prawda, że ulicznicy gonili za nim niekiedy z przyczyny olbrzymiej i dumnie rozwianej rudej grzywy. Uczony ów sądził, że w gospodzie liczą mu wszystko podwójnie i nie zapłacili najmniejszego drobiazgu, nie sprawdzivszy ceny w *Podróży* pani Starke, która uzyskała dwadzieścia wydań, ponieważ poucza roztropnego Anglika o cenie jabłka, indyka, szklanki mleka etc.

Otóż tego samego wieczora, kiedy Fabrycy odbył swoją przymusową przejażdżkę, uczony z rudą grzywą zrobił awanturę w gospodzie i wydobył *kieszonkowe pistoleciki*, aby skarać *cameriere*, żądającego dwa soldy za lichą brzoskwinę. Uwięziono go, ponieważ noszenie kieszonkowych pistoletów liczy się za zbrodnię!

Ponieważ ów gniewliwy uczony był długi i chudy, hrabia wpadł nazajutrz na myśl, aby go podać w oczach księcia za owego śmiałka, który próbował wykraść Faustę hrabiemu M..., z którego tak zadrwiono. Za noszenie kieszonkowych pistoletów należą się w Parmie trzy lata galery; ale kary tej nigdy się nie stosuje. W ciągu dwóch tygodni więzienia odwiedzał uczonego pewien adwokat, który napędził mu strachu, malując srogość praw, jakimi tchórzostwo ludzi będących przy władzy ściga właścicieli ukrytej broni. Następnie odwiedził go inny adwokat i opowiedział mu przejażdżkę, jaką hrabia M... zgotował rywalowi nie znanemu dotąd z nazwiska. Policja nie chce się przyznać przed księciem, że nie wie, kto jest ów rywal. „Wyznaj pan, że chciałeś zdobyć Faustę, że pięćdziesięciu zbirów porwało pana, kiedyś śpiewał pod jej oknami; że przez godzinę obnoszono cię w lektyce, obchodząc się z panem zresztą jak najuprzejmiej. W wyznaniu tym nie ma nic upokarzającego; wystarczy jedno słowo. Skoro tylko zeznaniem swoim wybawisz policję z kłopotu, wsadzą pana do kolaski pocztowej i odprowadzą do granicy, życząc dobrej nocy.”

Uczony opierał się miesiąc, parę razy miał go już książe sprowadzić do ministerium i sam chciał być obecny przy śledztwie. Wreszcie zapomniał już niemal o tym, kiedy historyk, znudzony, zgodził się przyznać do wszystkiego, po czym odprowadzono go do granicy. Książe został w przeświadczeniu, że rywal hrabiego M... posiada olbrzymią rudą czuprynę.

W trzy dni po owej słynnej przejażdżce, kiedy Fabrycy, kryjący się w Bolonii, obmyślał z wiernym Lodowicem sposoby znalezienia hrabiego M..., dowiedział się, że i on kryje się w górskiej wiosce na drodze do Florencji. Hrabia miał z sobą tylko trzech *buli*;

nazajutrz, w chwili gdy wracał z przechadzki, porwało go zamaskowanych ośmiu ludzi, którzy przedstawili się jako zbiry z Parmy. Zaprowadzono go, przewiązawszy mu oczy, do gospody o dwie mile w górach, gdzie otoczono go wszystkimi względami i uraczono obfitym wieczerzą. Do stołu podano najlepsze wina hiszpańskie i włoskie.

— Jestem tedy więźniem stanu? — spytał hrabia.

— Ani odrobinę — odparł grzecznie zamaskowany Lodovico. — Obraził pan prywatnego człowieka, pozwalając sobie obnosić go w lektyce; otóż jutro rano człowiek ów pragnie się bić z panem. Jeśli go zabijesz, znajdziesz dwa dobre konie, pieniądze i pocztę — przygotowane na drodze do Genui.

— Jak się nazywa ten rębajło? — rzekł hrabia, podrażniony.

— Nazywa się *Bombacy*. Będzie pan miał wybór broni i dobrych, uczciwych świadków, ale jeden z was dwóch musi zginąć!

— Więc morderstwo! — rzekł hrabia M..., przestraszony.

— Ani trochę! To po prostu pojedynek na śmierć i życie z młodym człowiekiem, którego pan oprowadzał w nocy po ulicach Parmy i który czułby się zbezczeszczony, gdybyś pan został przy życiu. Jeden z was jest zbyt cenny na ziemi; toteż staraj się pan go zabić; będziesz miał szpady, pistolety, szable, wszelką broń, jaką można zgromadzić w kilka godzin, bo musieliśmy się spieszyć; policja bolońska jest, jak panu wiadomo, bardzo czujna, a nie trzeba, aby przeszkodziła temu pojedynekowi, nieodzownemu dla honoru młodego człowieka, z którego pan sobie zadrwił.

— Ale jeżeli ten młody człowiek jest z rodu panujących...

— Jest prywatny człowiek jak pan i nawet o wiele uboższy od pana; ale chce się bić na śmierć i zmusi pana, abys się bił, ostrzegam.

— Nie lękam się niczego w świecie! — wykrzyknął M...

— Tego właśnie pragnie pański przeciwnik najgoręcej — odparł Lodovico. — Jutro, wcześniej rano, gotuj się pan bronić swego życia; zaatakuje je człowiek, który ma przyczynę być mocno rozgniewany i który nie będzie pana oszczędzał; powtarzam panu, że będziesz miał wybór broni... i rób testament.

Nazajutrz koło szóstej podano śniadanie hrabiemu M.... otworzono drzwi od pokoju, gdzie był pod strażą, i wypuszczono go na dziedziniec! Dziedziniec otoczony był żywopłotem i dość wysokim murem, a brama była szczelnie zamknięta.

W jednym rogu, na stole, do którego zaproszono hrabiego, znalazła się butelka wina i wódki, dwa pistolety, dwie szable, dwie szpady, papier i atrament; ze dwudziestu chłopów znajdowało się w oknach gospody, które wychodziły na dziedziniec. Hrabia zaczął błagać o litość.

— Chcą mnie zamordować — wołał — ratujcie mnie!

— Jesteś pan w błędzie albo chcesz wprowadzić w błąd! — krzyknął Fabrycy, który znajdował się w przeciwnym rogu dziedzińca obok stołu zastawionego bronią.

Zrzucił surdut; twarz była zasłonięta drucianą maską, taką, jakiej używa się przy lekcjach fechtunku.

— Wzywam pana — dodał Fabrycy — abys zechciał włożyć maskę, którą masz pod ręką, po czym stań naprzeciw mnie ze szpadą lub pistoletem; jak panu oznajmiono, masz wybór broni.

Hrabia M... robił niezliczone trudności i wyraźnie nie miał ochoty do pojedynku; z drugiej strony Fabrycy obawiał się przybycia policji, mimo iż znajdował się w górach o dobrych pięć mil od Bolonii. Zaczął w końcu obrzucać rywala zniewagami, wreszcie zdołał doprowadzić go do furii: hrabia M... wziął szpadę i ruszył na Fabrycego. Walka rozpoczęła się dość miękko.

Po kilku minutach przerwał ją wielki hałas. Bohater nasz czuł, że popełnia czyn, który na całe życie mógłby się dlań stać przedmiotem zarzutów lub co najmniej potwarzy. Wysłał Lodovico na wieś, aby mu sprowadził świadków. Lodovico najął za pieniądze obcych wieśniaków, którzy pracowali w pobliskim lesie; przybiegli z krzykiem, myśląc, że chodzi o zabicie wroga owej osoby, która dała im pieniądze. Skoro przybyli, Lodovico wezwał ich, aby patrzyli bacznie dla stwierdzenia, czy który z walczących nie działa podstępnie i czy nie ma nad drugim niedozwolonej przewagi.

Walka, którą na chwilę przerwały groźne okrzyki chłopstwa, nawiązywała się leniwo. Fabrycy starał się pobudzić próżność hrabiego.

— Panie hrabio — wołał — kiedy się jest bezczelnym, trzeba być odważnym. Czuję, że to dla pana ciężki warunek: pan woli opłacać ludzi, aby byli odważni za pana.

Hrabia, doprowadzony do wściekłości, zaczął krzyczeć, że długo się uczył fechtunku u słynnego Battistiniego w Neapolu i że skarże to zuchwalstwo. Wpadłszy w gniew, bił się dość tego, co nie przeszkodziło, że Fabrycy przejechał mu ślicznie szpadą przez pierś, kładąc hrabiego do łóżka na kilka miesięcy. Lodovico, udzielając rannemu pierwszej pomocy, szepnął mu:

— Jeżeli pan zdradzi ten pojedynek przed policją, zakłuję pana w łóżku.

Fabrycy umknął do Florencji; ponieważ w Bolonii trzymał się w ukryciu, dopiero we Florencji otrzymał listy z wymówkami od księżnej: nie mogła mu darować, że był u niej na koncercie, a nie starał się z nią widzieć. Fabrycy był oczarowany listami hrabiego Mosca, tchnącymi szczerą i szlachetną przyjaźnią. Odgadł, że hrabia pisał do Bolonii, aby usmierzyć podejrzenia, jakie mogły ciążyć na nim co do pojedynku. Policja okazała się idealnie sprawiedliwa: stwierdziła, że dwaj cudzoziemcy — z których jeden tylko, mianowicie ranny (hrabia M...) był wiadomy — bili się na szpady w obecności przeszło trzydziestu chłopów, wśród których znalazł się pod koniec walki miejscowy proboszcz czyniący daremne wysiłki, aby rozdzielić walczących. Ponieważ nikt nie wymienił Józefa Bossi, w niespełna dwa miesiące później Fabrycy ośmielił się wrócić do Bolonii, bardziej niż kiedykolwiek przeświadczony, że los odmówił mu poznania szlachetnej i duchowej strony miłości. Wy tłumaczył to obszernie księżnej; był znużony samotnością i pragnął odnaleźć urocze wieczory pędzone między hrabią i ciotką. Od czasu rozstania z nimi nie zaznał słodczy dobrego towarzystwa.

Tak się wynudziłem miłością, którą siliłem się w sobie obudzić, i Faustą — pisał do księżnej — że obecnie, choćby kaprys Fausty trwał jeszcze, nie zrobiłbym ani dwudziestu mil, aby ją wziąć za słowo; toteż niesłusznie się obawiasz, że pognam do Paryża, gdzie — jak słyszę — śpiewa teraz z szalonym powodzeniem. Zrobiłbym natomiast nieskończoną ilość mil, aby spędzić wieczór z tobą i z kochanym hrabią, tak dobrym dla swych przyjaciół.

## II

*Przez swoje ciągłe wrzaski republika przeszkodziłaby nam cieszyć się najlepszą z monarchii.*

### ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Podczas gdy Fabrycy polował w sąsiedztwie Parmy na miłość, generalny poborca Rassi, który nie wiedział, że go ma tak blisko, w dalszym ciągu prowadził jego sprawę tak, jak gdyby chodziło o liberała: udawał, że nie może znaleźć świadków na jego korzyść lub raczej terroryzował ich; wreszcie po umiejętniej — niemal całorocznej — pracy, blisko dwa miesiące po ostatnim pobycie Fabrycego w Bolonii, pewnego piątku, margrabina Raversi, upojona radością, oświadczyła publicznie w swoim salonie, że wyrok wydany przed godziną na młodego del Dongo będzie nazajutrz przedłożony księciu i zyska jego podpis. W kilka minut później księżna wiedziała już o tym odezwananiu się jej nieprzyjaciółki.

„Agenci hrabiego źle coś pełnią swoje obowiązki — powiedziała sobie — dziś rano jeszcze sądził, że wyrok nie może być wydany przed tygodniem. Może nie byłby on nierad oddalić z Parmy mego młodego monsignore, ale — dodała nucąc — wróci do nas, wróci, i kiedyś będzie naszym arcybiskupem. Księżna zadzwoniła.

Zawołaj całą służbę do poczekalni — rzekła do pokojowca — nawet kucharzy; idź, poproś komendanta placu o pozwolenie na cztery konie pocztowe i do pół godziny niech zaprzęgną do mego landa.

Cały fraucymer zajęty był pakowaniem; księżna wdziała śpiesznie strój podróży — wszystko bez wiedzy hrabiego. Myśl, aby zeń zadrwić trochę, przepełniała ją radością.

— Moje dzieci — rzekła do zgromadzonej służby — dowiaduję się, że biednego bratanka mają skazać zaocznie za to, że miał odwagę bronić swego życia przeciw szaleńcowi; Giletti chciał go zabić. Każdy z was mógł się przekonać, jaki Fabrycy jest dobry i łagodny. Oburzona tą dotkliwą zniewagą, wyjeżdżam do Florencji i zostawiam każdemu z was jego zasługi przez dziesięć lat; gdybyście byli w niedostatku, piszcie do mnie; póki będę miała bodaj cekina, znajdzie się i dla was.

Księżna mówiła to zupełnie szczerze, toteż przy ostatnich jej słowach służący zalali się łzami, ona też miała wilgotne oczy. Dodała wzruszona:

— Módlcie się za mnie i za Jego Wielebność Fabrycego del Dongo, wielkiego wikariusza diecezji, którego jutro skazają na galery lub, co by było mniej głupie, na śmierć.

Placz służby wzmógł się i stopniowo przeszedł niemal w krzyki oburzenia. Pani Sanseverina wsiadła do karety i kazała się zawieźć na zamek. Mimo niemożliwej godziny poprosiła o audiencje przez generała Fontanę, służbowego adiutanta; nie była w dworskim stroju, co przejęło adiutanta głębokim zdumieniem. Co się tyczy księcia, nie okazał zdumienia ani tym mniej niezadowolenia z przyczyny tej audiencji. „Ujrzymy lzy płynące z pięknych oczu — powiadał sobie, zacierając ręce. — Przychodzi prosić o łaskę; wreszcie ta dumna piękność upokorzy się! Bo też była już nieznośna ze swoją lekceważącą minką! Te wymowne oczy zdawały się mówić do mnie przy wszystkim, co ją raziło: »Neapol lub Mediolan były o wiele miłszym pobytem niż twoja mizerna Parma!« To prawda, nie jestem władcą Neapolu ani Mediolanu; ale wreszcie ta dama przychodzi mnie prosić o coś, co zależy jedynie ode mnie, a czego ona gorąco pragnie; zawsze miałem przecucie, iż z przybyciem tego siostrzeńca i mnie coś kapnie.”

Uśmiechając się do swych myśli i oddając się lubym przewidywaniom, książę przechadzał się po swym obszernym gabinecie, u którego drzwi generał Fontana stał wyprężony niby żołnierz na warcie. Widząc błyszczące oczy księcia i przypominając sobie podróży strój pani Sanseverina, miał uczucie, że monarchia się wali. Oslupienie jego nie miało granic, kiedy książę rzekł:

— Proś pan księżnę, aby zaczekała kwadransik.

Generał-adiutant zrobił w lewo zwrot jak żołnierz na paradzie; książę znów się uśmiechnął: „Fontana nie przywykł — powiedział sobie — aby ta dumna pani wyczekiwała u drzwi; zdumiona mina, z jaką powie jej o tym *kwadransiku czekania*, przygotuje przejście do wzruszających łez, którymi zrosi gabinet.” Ten kwadransik był rozkoszny

dla księcia: przechadzał się stanowczym i równym krokiem, panował. „Chodzi o to, aby nie powiedzieć nic niestosownego! Jakikolwiek są moje uczucia dla księżnej, nie trzeba zapominać, że to jest jedna z największych dam mego dworu. Jakże to Ludwik XIV przemawiał do swoich córek, kiedy był z nich niezadowolony?” — i oczy jego zatrzymały się na portrecie wielkiego króla.

Najzabawniejsze jest, iż księciu nie przyszło do głowy zadać sobie pytanie, czy uderuje Fabrycego łaską i jaka będzie ta łaska. Wreszcie, po dwudziestu minutach, wierny Fontana zjawił się znowu w drzwiach, nic nie mówiąc.

— Księżna Sanseverina może wejść! — zawołał książę z teatralną miną. „Zaczną się łyzy” — powiedział sobie i, jakby gotując się do tego widowiska, wydobyl chustkę.

Nigdy księżna nie była tak zwinna i tak ładna; nie miała ani dwudziestu pięciu lat. Widząc jej chyży krok, zaledwie dotykający dywanu, biedny adiutant omal nie stracił głowy.

— Trzeba mi gorąco prosić Waszą Najdostojniejszą Wysokość o przebaczenie — rzekła księżna swoim lekkim i wesołym głosikiem. — Pozwoliłam sobie zjawić się przed nim w stroju niezupełnie właściwym; ale Wasza Wysokość tak mnie przyzwyczaiał do swej dobroci, iż śmiem spodziewać się, że raczy mi użyczyć i tej łaski.

Księżna mówiła dostatecznie wolno, aby dać sobie czas nacieszenia się fizjonomią swego władcy; na fizjonomii tej rozkosznie mieszało się głębokie zdumienie z resztkami pompy, widnej jeszcze w pozycji głowy i ramion. W księcia jak gdyby piorun strzelił; ostrym i drżącym głosem bąkał tylko raz po raz:

— *Jak to? Jak to?*

Księżna, jak gdyby przez uszanowanie, skończywszy swoją przemowę, zostawiła mu czas na odpowiedź; po czym dodała:

— Śmiem żywić nadzieję, że Wasza Najdostojniejsza Wysokość raczy mi wybaczyć niestosowność stroju.

Ale gdy tak mówiła, drwiące jej oczy lśniły tak żywo, że książę nie mógł ich znieść; spojrzal na sufit, co było u niego ostatecznym znakiem krańcowego zakłopotania.

— *Jak to? Jak to?* — powtórzył, po czym udało mu się szczęśliwie znaleźć zdanie: — Księżno, zechciej pani usiąść! — to mówiąc, przysunął sam fotel wcale zręcznie.

Grzeczność ta ujęła księżnę, która złagodziła nieco blask swoich oczu.

— *Jak to? Jak to?* — powtórzył jeszcze raz książę, kręcąc się na fotelu, jak gdyby nie mógł znaleźć sobie miejsca.

— Korzystam z nocnego chłodu, aby się puścić w drogę — podjęła księżna — że zaś moja nieobecność może potrwać jakiś czas, nie chciałam opuścić Stanów Waszej Najdostojniejszej Wysokości, nie podziękowawszy mu za dobroć, jaką mi raczył od pięciu lat okazywać.

Na te słowa książę zrozumiał wreszcie. Zbladł: był to człowiek nie znoszący wręcz tego, aby się mógł omylić w przewidywaniach; następnie przybrał wyniosłą minę, godną portretu Ludwika XIV, który miał przed oczami. „Brawo! — rzekła sobie księżna — to mi mężczyzna!”

— I cóż jest przyczyną tego nagłego wyjazdu? — spytał książę dość spokojnie.

— Miałam ten projekt od dawna — odparła księżna — a drobna zniewaga, jakiej ofiarą stał się monsignore del Dongo, którego jutro skazają na śmierć lub galery, każe mi przyśpieszyć ten wyjazd.

— I dokąd się pani udaje?

— Do Neapolu, jak sądzę. — Po czym dodała wstając: — Pozostaje mi już tylko pożegnać Waszą Najdostojniejszą Wysokość i podziękować bardzo pokornie za jego *minioną* dobroć.

Te słowa ona znowuż wyrzekła tonem tak stanowczym, iż książę zrozumiał dobrze, że za dwie sekundy wszystko będzie skończone; skoro wyjazd raz stanie się głośny, wiedział, że wszelkie układy byłyby daremne; to nie była kobieta, która cofa swe postanowienia. Pobiegl za nią.

— Księżno — rzekł, biorąc ją za rękę — pani wie, że zawsze miałem dla pani przyjaźń, której jedynie od ciebie zależało nadać inne miano. Popelniono morderstwo, temu nie da się zaprzeczyć; powierzyłem proces najlepszym sędziom...

Na te słowa księżna wyprostowała się: pozory szacunku, nawet grzeczności pierzchy w mgnieniu oka — została jedynie obrażona kobieta mówiąca do człowieka, o którego złej wierze jest przekonana. Z wyrazem najżywszego gniewu, a nawet wzgardy, rzekła kładąc nacisk na każde słowo:

— Opuszczam na zawsze Stany Waszej Najdostojniejszej Wysokości, aby nigdy nie słyszeć o poborcy Rassim i o innych nikczemnych zbrodniarzach, którzy skazali na śmierć mego bratanka i tylu innych; jeśli Wasza Wysokość nie chce zaprawić goryczą ostatnich chwil, które spędziłam w towarzystwie władcy miłego i rozumnego, o ile nie daje się oszukiwać, proszę go pokornie, aby mi nie przypominał bezczelnych sędziów, których można kupić za tysiąc talarów albo za order.

Cudowny, a zwłaszcza szczery akcent tych słów przyprawił księcia o drżenie; lękał się chwilę, aby godności jego nie wystawiły na szwank jakieś bezpośrednie zarzuty; ale na ogół wrażenie jego roztopiło się niebawem w uczuciu przyjemnym: podziwiał księżnę, cała jej osoba osiągnęła w tej chwili wzniosłe piękno. „Boże! jaka ona cudna! — powiedział sobie — trzeba coś wybaczyć kobiecie jedynej, która może nie ma równej sobie w całych Włoszech... Hm, przy odrobinie dyplomacji może dałoby się zrobić z niej moją kochankę; cóż za przepaść między nią a tą lalą Balbi, która w dodatku okrada co rok moich biednych poddanych na trzysta tysięcy franków... Ale czy ja dobrze słyszałem? — pomyślał nagle — ona powiedziała: „skazali mego bratanka i tylu innych.” Za czym gniew wziął górę i z dumą godną swego majestatu książę rzekł po chwili:

— I cóż trzeba by uczynić, aby pani nie odjechała?

— Coś, do czego Wasza Wysokość nie jest zdolny — odparła księżna z akcentem gorzkiej ironii i bynajmniej nie maskowanej wzgardy.

Książę miał wybuchnąć, ale praktyka samowładztwa rozwinęła w nim siłę opierania się odruchom. „Trzeba mieć tę kobietę — myślał — to jestem winien sam sobie, a potem trzeba ją zabić wzgardą... Jeśli wyjdzie z tego gabinetu, nie ujrzę jej już.” Ale, pijany w tej chwili gniewem i nienawiścią, gdzież miał znaleźć słowo, które mogłoby zarazem ochronić jego dumę i zatrzymać księżnę? „Nie można — powiedział sobie — ani powtórzyć, ani ośmieszyć gestu” — i stanął pomiędzy księżną a drzwiami. Niebawem usłyszał skrobanie do tych drzwi.

— Cóż za błazen! — zaklął na cały głos — cóż za błazen ośmiela się mnie nękać? — Biedny generał Fontana pokazał swoją wybladłą i zmienioną fizjonomię i z miną człowieka w agonii wyjąkał:

— Jego Ekscelencja hrabia Mosca prosi o ten zaszczyt, aby mógł wejść.

— Niech wejdzie! — wrzasnął książę. — Oto — rzekł do hrabiego, który się kłaniał — oto pani Sanseverina, która zamierza natychmiast opuścić Parmę, aby się osiedlić w Neapolu, i w dodatku gada mi grubiaństwa.

— Jak to? — rzekł Mosca, blednąc.

— Co? pan nie wiedział?...

— Ani słoweczka; pożegnałem panią o szóstej wesołą i doskonale usposobioną.

Słowa te wywarły na księciu nieopisany skutek. Popatrzył na hrabiego, jego wzmaga- jąca się bladeść świadczyła, że mówi prawdę i że nie jest współnikiem wybryku księżnej. „W takim razie — powiedział sobie — tracę ją na zawsze: przyjemność, zemsta, wszystko mi się wymyka. W Neapolu będzie sobie dworować wraz ze swym siostrzeńcem Fabry- cym z wielkiego gniewu małego książątka.” Spojrzał na księżnę; wzgarda i gniew ścierały się w jej sercu; oczy jej były utkwione w tej chwili w hrabi Mosca, a delikatny zarys pięk- nych ust wyrażał bezmierny niesmak. Cała twarz mówiła: „Podły dworak!” — „Tak więc — myślał książę, przyglądając się jej — tracę i ten sposób sprowadzenia jej z powrotem. Jeśli wyjdzie z mego gabinetu, stracona jest dla mnie; Bóg wie, co będzie opowiadała w Neapolu o moich sędziach... Z tym rozumkiem i tym boskim darem czarowania, ja- ki niebo jej dało, sprawi, iż wszyscy jej uwierzą. Opiszę mnie jako pociesznego tyra- na, który wstaje w nocy, aby zaglądać pod łóżka...” Zręcznym manewrem, niby to przecha- dzając się, aby rozproszyć swe wzburzenie, książę znów stanął przed drzwiami gabinetu; hrabia znajdował się po prawej, o trzy kroki — blade, zmieniony, drżący tak, że mu- siał się oprzeć o fotel, który księżna zajmowała z początkiem audiencji, a który władca w przystępie gniewu odepchnął daleko.

Hrabia był zakochany. „Jeżeli ona wyjedzie, jadę za nią — powiedział sobie — ale czy ona mnie zechce? Oto pytanie.”

Po lewej — księżna, wyprostowana, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, patrzyła nań ze wspaniałym gniewem: niezwykła bledność zajęła miejsce kolorów, które wprzód ożywiały tę cudną głowę.

Książę, przeciwnie, był bardzo czerwony i niespokojny: lewa ręka igrała konwulsyjnie krzyżem u wielkiej wstęgi orderu, którą nosił pod frakiem; prawą gładził się po podbródku.

— Co robić? — rzekł do hrabiego, nie bardzo wiedząc, co czyni, i nawykły radzić go się o wszystko.

— Nie wiem doprawdy, Wasza Wysokość — odparł hrabia, jak człowiek, który wydaje ostatnie tchnienie. Zaledwie zdolny był wyrzec te słowa. Dźwięk jego głosu dał księciu pierwsze zadośćuczynienie, jakie duma jego znalazła w ciągu tej audiencji, a ta drobna satysfakcja nastreczyła mu zdanie dość szczęśliwe dla jego ambicji.

— Więc dobrze — rzekł — jestem najrozsądniejszy ze wszystkich: chcę zapomnieć o swojej pozycji. Będę mówił *jak przyjaciel* — i dodał z łaskawym uśmiechem, zaczerpniętym ze szczęśliwej epoki Ludwika XIV — *jak przyjaciel* do przyjaciół. Zatem, księżno — dodał — co trzeba zrobić, aby pani zapomniała o swym niewczesnym postanowieniu?

— W istocie nie wiem — odparła księżna z westchnieniem — w istocie nie wiem, taki wstręt budzi we mnie Parma. — Nie było w tym złej intencji, czuć było, że jedynie szczerłość mówi przez jej usta.

Hrabia obrócił się żywo; dusza dworaka nie posiadała się ze zgorzenia; spojrzął błagalnie na księcia. Z godnością i zimną krwią książę odczekał chwilę, po czym zwrócił się do hrabiego.

— Widzę — rzekł — hrabio, że twoja uroczą przyjaciółka jest zupełnie nieprzytomna; to bardzo naturalne: *ubóstwia* swego siostrzeńca. — I zwracając się do księżnej z najmiłszym spojrzeniem, a równocześnie z miną, jaką się przybiera cytując frazes z komedii, dodał: — *Co trzeba uczynić, aby rozjaśnić te piękne oczy?*

Księżna miała czas się namyślić; poważnie i stanowczo, jak gdyby dyktując swoje ultimatum, odparła:

— Wasza Wysokość napisze do mnie miły list, jak to wybornie umie; powie w nim, że nie będąc przekonany o winie Fabrycego del Dongo, wielkiego wikariusza diecezji, nie podpisze wyroku, który mu przedłożą, i że ten niesprawiedliwy sąd nie będzie miał następstw na przyszłość.

— *Jak to niesprawiedliwy!* — wykrzyknął, oblewając się pąsem i znów wpadając w gniew.

— To nie wszystko — odparła księżna z dumą iście rzymską — *dziś wieczór jeszcze*, a — dodała spoglądając na zegar — jest już trzy kwadransy na dwunastą, *dziś wieczór* Wasza Wysokość prześle margrabinie Raversi wiadomość, iż radzi jej udać się na wieś dla odpoczynku po trudach, jakie musiał jej sprawić pewien proces, o którym mówiła dziś w swoim salonie.

Książę przechadzał się po gabinecie, wściekły.

— Widział kto podobną kobietę?!... — wykrzyknął. — Ona mi uchybia!

Księżna odparła z wdziękiem:

— Nie powstało mi w myśli uchybiać Waszej Wysokości; Wasza Wysokość raczył łaskawie oznajmić, że mówi *jak przyjaciel do przyjaciół*. Nie mam zresztą najmniejszej ochoty zostać w Parmie — dodała, spoglądając na hrabiego z bezgraniczną wzdargą. To spojrzenie zdecydowało księcia, dotąd bardzo niezdecydowanego, mimo że słowa jego jak gdyby zawierały zobowiązanie; drwił sobie ze słów.

Wymieniono jeszcze kilka zdań; ale wreszcie hrabia Mosca otrzymał rozkaz napisania uprzejmego liściku żadanego przez księżnę. Opuścił zdanie: „Ten niesprawiedliwy sąd nie będzie miał następstw na przyszłość.”

— „Wystarczy — powiedział sobie hrabia — że książę przyrzeknie nie podpisać wyroku, który mu przedłożą.” Kładąc podpis, książę podziękował mu spojrzeniem.

Hrabia strzelił bąka; książę był zmęczony i byłby podpisał wszystko. Sądził, że wybrnął z sytuacji, a nad całą sprawą górowała ta myśl: „Jeśli ona odjedzie, w ciągu tygodnia

dwór stanie się nudny nie do wytrzymania. Hrabia zauważył, że jego pan poprawia datę, kładąc jutrzejszą. Spojrzał na zegarek: była północ. Minister widział w tej poprawce jedynie pedantyczną chęć dokładności i porządku. Co do wygnania margrabiny Raversi, ani mrugnął; księżę miał szczególne upodobanie w wypędzaniu ludzi.

— Generał Fontana! — krzyknął, otwierając drzwi.

Generał zjawił się z twarzą tak zdziwioną i ciekawą, że hrabia z księżną wymienili wesołe spojrzenie będące niejako przypieczeniem zgody.

— Generale Fontana — rzekł księżę — wsiądźcie pan do mego powozu, który czeka pod kolumnadą; pojedzie pan do margrabiny Raversi i każe się oznajmić. Jeśli jest w łóżku, dodasz, że przybywasz z mego zlecenia. Znalazłszy się w jej pokoju, powiesz ściśle słowa te, a nie inne: „Pani margrabino, Jego Najdostojniejsza Wysokość prosi panią, abyś jutro przed ósmą rano udała się do swego zamku w Velleja; Jego Wysokość zawiadomi panią, kiedy pani będzie mogła wrócić do Parmy.”

Księżę poszukał oczami oczu księżnej, która nie dziękując, jak się tego spodziewał, złożyła uniżony ukłon i szybko wyszła.

— Co za kobieta! — rzekł księżę do hrabiego Mosca.

Ten, uszczęśliwiony z wygnania margrabiny Raversi, które ułatwiało działalność ministra, przemawiał pół godziny jak wytrawny dworak; chciał ugłaskać miłość własną swego pana i pożegnał go nie wprzód, aż weń wmówił, że anegdotyczna historia Ludwika XIV nie miała piękniejszej karty niż ta, której on właśnie dostarczył swym przyszłym dziejopisom.

Wróciwszy, księżna kazała zamknąć drzwi dla wszystkich, nawet dla hrabiego. Chciała być sama i podumać o scenie, która się rozegrała. Działała na oślepa, dla sprawienia sobie satysfakcji; ale do jakiegokolwiek kroku by się posunęła, byłaby się go trzymała niezłomie. Nawet ochłonawszy, nie byłaby sobie czyniła wymówek ani tym mniej żałowała: taki już miała charakter, któremu zawdzięczała to, że była jeszcze w trzydziestym szóstym roku najładniejszą kobietą na dworze.

Dumała w tej chwili nad tym, co mogłaby znaleźć przyjemnego w Parmie, z uczuciem, jakby wróciła z dalekiej podróży: tak bardzo od dziewiątej do jedenastej była pewna, że opuszcza ten kraj na zawsze.

„Biedny hrabia miał pocieszną minę, kiedy się dowiedział o mym wyjeździe w obecności księcia... W gruncie to bardzo kochany człowiek, niepospolite serce. Byłby cisnął swoje godności, aby jechać za mną... Ale też w ciągu pięciu lat nie miał mi do wyrzucenia najmniejszej zdrady. Ileż kobiet zaślubionych przy ołtarzu mogłoby to samo powiedzieć swemu panu i władcy? Trzeba przyznać, że nie jest nadęty, nie jest pedant; nie budzi chętki oszukania go; wobec mnie zawsze jakby się wstydził swej potęgi.

Zabawną miał minę w obliczu księcia; gdyby tu był, uściskałabym go... Ale za nic nie podjęłabym się zabawiać ministra, który postradał tekę, to choroba, z której leczy jedynie śmierć i... która uśmierca. Cóż za nieszczęście byłoby zostać ministrem za młodu! Muszę mu to napisać; niech wie o tym oficjalnie, nim zerwie ze swoim panem... ale zapomniałam o mej pocziwej służbie.

Zadzwoiła. Garderobiane wciąż pakowały kufry, powóz zajechał, ładowano go; służący, którzy nie byli zajęci, otaczali powóz ze łzami w oczach. Chekina, która w ważnych okolicznościach jedna tylko wchodziła do księżnej, doniosła jej o wszystkich tych szczegółach.

— Każ im wejść — rzekła księżna.

W chwilę później przeszła do sali.

— Przyrzeczono mi — rzekła — że wyrok na mego bratanka nie uzyska podpisu *monarchy* (tak mówi się we Włoszech); zawieszam tedy wyjazd. Zobaczmy, czy moi wrogowie będą mieli na tyle wpływu, aby zmienić to postanowienie.

Po krótkim milczeniu służba zaczęła krzyczeć: — Niech żyje księżna pani! — i klaskać z zapalem. Księżna, która znajdowała się w sąsiednim pokoju, zjawiła się wreszcie niby oklaskiwana aktorka, skłoniła się wdzięcznie i lekko służbie i rzekła:

— *Moje dzieci, dziękuję wam.*

Gdyby rzekła słowo, wszyscy w tej chwili ruszyliby szturmować do zamku. Na znak księżnej poczylił, dawny przemytnik i człowiek oddany jej całą duszą, udał się za nią.



— Przebierzesz się za zamożnego wieśniaka, wyślizniesz się z Parmy, jak zdołasz, najmiesz wózek i ruszysz jak najprędzej do Bolonii. Wejdiesz pieszo florencką bramą i oddasz panu Fabrycemu w gospodzie „Pelegrino” paczkę, którą wręczy ci Chekina. Fabrycy kryje się tam pod mianem Józefa Bossi; nie zdradź go, nie daj poznać, że go znasz; wrogowie może posłać szpiegów za tobą. Fabrycy odeśle cię tu w kilka godzin albo w kilka dni; wracając zwłaszcza trzeba podwoić ostrożność, aby go nie zdradzić.

— Ba! ludzie margrabiny Raversi! — wykrzyknął pocztylion. — Czekamy ich: gdyby pani pozwoliła, rychło byśmy ich wytłukli.

— Może kiedyś; ale strzeżcie się, na życie wasze, czynić coś bez mego rozkazu.

Pani Sanseverina pragnęła posłać Fabrycemu kopię listu księcia; nie mogła się oprzeć chęci zabawienia go i dodała słówko o scenie, która spowodowała bilecik monarchy; słówko to stało się listem na dziesięć stron. Kazała przywołać pocztyliona.

— Możesz ruszać — rzekła — dopiero o czwartej rano, po otwarciu bram.

— Myślałem się wymknąć wielkim kanałem; miałbym wody po szyję, ale wy dostałbym się...

— Nie — rzekła księżna — nie chcę narażać na febrę mego najwierniejszego sługi. Czy znasz kogo u arcybiskupa?

— Młody stangret jest moim przyjacielem.

— Oto list do świątobliwego prałata; dostań się tam po cichu, każ się zaprowadzić do pokojowca, nie chciałabym, aby budzono Jego Wielebność. Jeżeli już będzie w sypialni, zostań przez noc w pałacu; że zaś jest tam w zwyczaju wstawać o świcie, rano o czwartej każ się oznajmić w moim imieniu, poproś arcybiskupa o błogosławieństwo, oddaj mu tę kopertę i weź listy, które da ci może do Bolonii.

Księżna przesała arcybiskupowi oryginał listu monarchy; ponieważ list ten odnosił się do wielkiego wikariusza diecezji, prosiła, aby go złożyć w archiwach konsystorza, gdzie miała nadzieję, że wielcy wikariusze i kanonicy, koledzy bratanka, zechcą rychło zapoznać się z jego treścią, wszystko pod pieczęcią najgłębszej tajemnicy.

Księżna pisała do Jego Wielebności ojca Landriani w poufnym tonie, którym pocziwy mieszczanin musiał być oczarowany. Sam podpis miał trzy wiersze — list bardzo przyjacielski kończył się: „Angelina Cornelia Izota Valserra del Dongo, księżna Sanseverina.”

„Nie wypisałam tego wszystkiego, o ile mi się zdaje — rzekła do siebie księżna, śmiejąc się — od czasu mego kontraktu ślubnego z pocziwym księciem, ale na tych ludzi można działać jedynie takimi rzeczami: dla mieszczan tylko przesada stanowi piękno.” Na zakończenie wieczoru nie mogła się oprzeć pokusie napisania drwiącego bileciku do biednego hrabiego; oświadczyła mu oficjalnie, dla jego *orientacji* (powiadała) w stosunkach z *koronowanymi głowami*, że nie czuje się zdolna zabawiać dymisjonowanego ministra. „Czujesz strach przed księciem; kiedy jego ci zabraknie, czyż ja bym musiała cię straszyć?” I kazała odnieść list.

O siódmej rano książę Ernest kazał wezwać hrabiego Zurla, ministra spraw wewnętrznych.

— Na nowo — rzekł — wydaj pan najsurowsze rozkazy wszystkim podestom<sup>52</sup>, aby starali się uwięzić imię Fabrycego del Dongo. Donoszą nam, że może się ośmieli pojawić w naszych Stanach. Ponieważ zbieg znajduje się w Bolonii, gdzie, jak mniema, może drwić z pościgu naszych trybunałów, umieść pan zbirów znających go osobiście: primo, w kilku wsiach na drodze z Bolonii do Parmy; secundo, w okolicach pałacu księżnej Sanseverina w Sacca oraz domu jej w Castelnovo; tertio, w pobliżu pałacu hrabiego Mosca. Śmiem liczyć na twą roztropność; panie hrabio, iż zdołasz ukryć te rozkazy swego władcy przed hrabią Mosca. Wiedz, że chcę, aby uwięziono imię Fabrycego del Dongo.

Skoro minister wyszedł, wpuszczono do księcia tajnymi drzwiczkami generalnego poborcę Rassi, który zbliżył się zgięty we dwoje, kłaniając się za każdym krokiem. Minę tego łajdaka warto było malować; oddawała całe bezceństwo jego roli. Podczas gdy szybkie i niespokojne spojrzenia zdradzały, iż posiada świadomość swoich zalet, zuchwały i sarkastyczny wyraz ust ukazywał, że umie walczyć przeciw wżgardzie.

<sup>52</sup>podesta — zwierzchnik policji i sądownictwa w daw. wł. miastach. [przypis edytorski]

Ponieważ człowiek ten będzie miał duży wpływ na losy Fabrycego, można rzec o nim słówko. Wysoki, miał piękne i wyraziste oczy, ale twarz zeszpeconą ospą. Był to człowiek niepospolitej bystrości i inteligencji; przyznawano mu gruntowną znajomość prawa; ale zwłaszcza był nieporównany w krętaństwie. Jakkolwiek się przedstawiała sprawa, miał zawsze pod ręką doskonale motywy do skazania lub unieważnienia; nie miał równego w sztucznych prokuratorskich.

Człowiek ten, którego wielu monarchów zazdrościłoby księciu Parmy, miał jedną namiętność: żyć blisko możnych i zabawiać ich błazeństwami. Mało mu ważyło, czy potentat śmieje się z tego, co on mówi, czy z jego osoby; czy wreszcie pozwala sobie na ohydne koncepty na temat pani Rassi; byleby się śmiał i traktował go poufale, już był zadowolony. Czasem książę, nie wiedząc już, jak sponiewierać wielkiego sędziego, kopał go; jeżeli kopnięcie było bolesne, Rassi zaczynał płakać. Ale natura błazna była w nim tak silna, że salon ministra, gdzie go poniżano, wolał od własnego salonu, gdzie władał despotycznie armią togi i peruki. Rassi uczynił sobie niejako pozycję z tego, iż najpyszniejszemu magnatowi niepodobna go było upokorzyć; zemstą jego za zniewagi, jakie cierpiał cały dzień, było to, że opowiadał je księciu, wobec którego wyrobił sobie przywilej mówienia wszystkiego; prawda, iż często odpowiedzią był celny i bolesny policzek, ale o takie rzeczy się nie obrażał. Obecność tego najwyższego sędziego rozrywała księcia w chwilach złego humoru: bawił się tym, aby go poniewierać. Widzimy, że Rassi był niemal ideałem dworaka: bez czci i bez urazy.

— Przede wszystkim trzeba tajemnicy! — zawołał książę, nie witając się z nim i traktując go jak sługusa, on, tak grzeczny dla całego świata. — Kiedy datowany jest wyrok?

— Wczoraj rano, Wasza Najdostojniejsza Wysokość.

— Ilu sędziów podpisało?

— Wszyscy pięciu.

— A kara?

— Dwadzieścia lat twierdzy, jak Wasza Wysokość mi mówił.

— Kara śmierci wywołałaby wzburzenie — rzekł książę jakby do siebie — szkoda. Jakie wrażenie wywarłoby to na tej kobiecie! Ale to del Dongo, nazwisko otoczone w Parmie czcią: trzech arcybiskupów, niemal kolejno po sobie. Powiadasz: dwadzieścia lat?...

— Tak, Wasza Wysokość — odparł Rassi, wciąż zgięty we dwoje — przedtem akt publicznej skruchy przed portretem Waszej Wysokości; post o chlebie i wodzie co piątek i w wile wielkich świąt, ileże *pod sądny jest znanym bezbożnikiem*. To na przyszłość, aby skrócić kark jego karierze.

— Pisz — rzekł książę.

Jego Najdostojniejsza Wysokość, wysłuchawszy łaskawie pokornych błagań margrabiny del Dongo, matki przestępcy, oraz księżnej Sanseverina, jego ciotki, które powoływały się na to, że w epoce zbrodni winowajca był bardzo młody i obłąkany miłością do żony nieszczęśliwego Giletiego, Jego Najdostojniejsza Wysokość, mimo oburzenia na takie morderstwo, raczył zmienić karę Fabrycego del Dongo na dwanaście lat twierdzy.

— Daj, niech podpiszę.

Książę podpisał i położył datę wczorajszą, po czym, oddając wyrok Rassiemu, rzeki:

— Napisz tuż pod moim podpisem.

Ponieważ księżna Sanseverina rzuciła się jeszcze raz do kolan Jego Wysokości, książę zezwolił, aby co czwartek skazańcowi dozwolono godzinnej przechadzki na platformie kwadratowej wieży, tak zwanej wieży Farnese.

— Podpisz — rzekł książę — a zwłaszcza gęba na kłódkę, co bądź byś słyszał, że mówią. Powiesz rajcy del Capitani, który głosował za dwoma latami twierdzy i nawet przemawiał w obronie tej niedorzecznej opinii, że radzę mu odczytać prawa i paragrafy. Zatem milcz i dobranoc.

Poborca Rassi wykonał bardzo powoli trzy głębokie ukłony, na które książę nie zwrócił uwagi.

To się działo o siódmej rano. W kilka godzin później wiadomość o wygnaniu margrabiny Raversi rozeszła się po mieście; wszyscy mówili tylko o tym wielkim wydarzeniu. Wygnanie margrabiny wypędziło na jakiś czas z Parmy nieubłaganą plagę małych miast i małych dworów: nudę. Generał Fabio Conti, który już się miał za ministra, udał atak podagry i przez kilka dni nie wychodził ze swej twierdzy. Mieszczanństwo, a za nim lud, wyciągnęło z tych faktów wnioski, iż jasne jest, że książę postanowił posadzić monsignora del Dongo na stolcu arcybiskupim. Przenikliwi kawiarniani politycy utrzymywali zgoła, że skłoniono już ojca Landriani, obecnego arcybiskupa, aby udał chorobę i przedłożył dymisję: wiedzieli już, że otrzymał sutą pensję w monopolu tytoniowym. Pogłoski te doszły arcybiskupa, który się nimi wielce przestraszył; przez kilka dni zapal jego dla naszego bohatera mocno osłabł. Dwa miesiące później nowina ta pojawiła się w dziennikach paryskich z tą małą zmianą, że to hrabia Mosca, siostrzeniec księżnej Sanseverina, miał zostać arcybiskupem.

Margrabina Raversi szalała z wściekłości w Velleja; nie była ona z tych kobieciatek, którym się zdaje, że się mszczą, kiedy miotają obelgi na wrogów. Nazajutrz po jej niełasce kawaler Riscara i trzech inni zjawili się z jej rozkazu u księcia i prosili o pozwolenie odwiedzenia jej w zamku. Jego Wysokość przyjął tych partów bardzo łaskawie, a przyjazd ich do Velleja stał się wielką pociechą dla margrabiny. Przed upływem drugiego tygodnia miała w zamku trzydzieści osób: wszystkich, którzy związali swe nadzieje z losami stronnictwa liberalnego. Co wieczór margrabina odbywała sekretną naradę z wtajemniczonymi. Pewnego dnia, w którym otrzymała sporo listów z Parmy i z Bolonii, udała się wcześniej do siebie; ulubiona garderobiana wprowadziła najpierw obecnego kochanka, hrabiego Baldi, ślicznego młodego człowieka o twarzy bez wyrazu, a później kawalera Riscara, jego poprzednika: był to mały człowieczek, czarny moralnie i fizycznie, który zaczął karierę od tego, że był repetytorem geometrii w kolegium dla synów szlacheckich w Parmie; obecnie był radcą stanu i kawalerem licznych orderów.

— Mam dobre przyzwyczajenie — rzekła do nich margrabina — aby nie niszczyć żadnego papieru, i bardzo sobie to chwale. Oto dziewięć listów, które pisała do mnie Sanseverina w różnych okolicznościach. Pojedźcie do Genui, poszukacie wśród galerników eks-rejenta zwanego się Burati, jak wielki poeta wenecki, czy też Durati. Ty, hrabio Baldi, siadaj przy moim biurku i pisz, co ci podyktuję.

Przyszło mi do głowy, siadam tedy i piszę do ciebie. Jadę do mojej willi koło Castelnovo; jeśli chcesz tam spędzić ze mną kilka godzin, będę bardzo szczęśliwa. Po tym, co zaszło, nie ma, jak sądzę, niebezpieczeństwa — horyzont się wyjaśnia. Mimo to zatrzymaj się, nim wjedziesz do Castelnovo; zastaniesz na gościńcu jednego z moich ludzi — kochają cię wszyscy do szaleństwa. Odbędziesz, oczywiście, tę wycieczkę jako pan Bossi. Powiadają, że masz wspaniałą brodę godną kapucyna, w Parmie zaś nikt nie widział cię inaczej niż ze skromną twarzą wielkiego wikariusza.

— Rozumiesz, Riscara?

— Doskonale, ale podróż do Genui to niepotrzebny zbytek; znam w Parmie człowieka, który, co prawda, nie jest jeszcze na galerach, ale niechybnie się tam znajdzie. Podrobi cudownie pismo Sanseveriny.

Na te słowa hrabia Baldi otworzył szeroko śliczne oczy: dopiero zrozumiał.

— Jeżeli znasz owego godnego mieszkańca Parmy, którego chcesz zaszczyścić tym zleceniem, zapewne i on zna cię również — jego kochanka, spowiednik, przyjaciel mogą być na żołdzie Sanseveriny: wolę raczej opóźnić tę małą przyjemność o kilka dni, a nie

Plotka, Dwór

narażać się na kłopot. Jedźcie za dwie godziny, jak dwa niewinne jagniątko, nie pokazujcie się w Genui nikomu i wracajcie szybko.

Kawaler Riscara umknął, śmiejąc się i wołając przez nos jak poliszynel:

— *Trzeba spakować tobolek!* — mówiąc to, pobiegł pociesznie. Chciał zostawić Baldiego sam na sam z jego damą.

W pięć dni później Riscara odwiózł margrabinie jej lalusia całego odparzonego: aby zyskać sześć mil, kazał mu przebyć góry na grzbiecie muła. Baldi przysięgał, że już go nie złapią na taką podróż. Baldi oddał margrabinie trzy egzemplarze listu, który mu dyktowali, i pięć lub sześć innych listów tym samym pismem, ułożonych przez Riscarę od wypadku. Jeden z tych listów zawierał dowcipne żarciki na temat strachów księcia w nocy oraz na temat żalostnej chudości margrabin Balbi, jego kochanki, zostawiającej jakoby ślady uszczyplenia na poduszce, na której siadzie na chwilę. Można było przysiąc, że wszystkie listy pisane są ręką pani Sanseverina.

— A teraz wiem ponad wszelką wątpliwość — rzekła margrabina — że jej gagatek, Fabrycy, znajduje się w Bolonii lub w pobliżu...

— Jestem zbyt chory — przerwał Baldi — błagam, aby mnie zwolniono od tej podróży lub bodaj prosiłbym o kilka dni dla podratowania zdrowia.

— Przemówię za tobą — rzekł Riscara. Wstał i poszeptał z margrabiną.

— Więc dobrze, zgadzam się — odparła z uśmiechem.

— Uspokój się, nie pojedziesz — rzekła do Baldiego ze wzgardliwą miną.

— Dziękuję! — wykrzyknął z wdzięcznością. Istotnie Riscara wsiadł sam jeden do kolaski pocztowej. Zaledwie dwa dni bawił w Bolonii, ujrzał Fabrycego z Marietą w powozie. „Tam do licha! — mruknął — zdaje się, że nasz przysły arcybiskup nie żałuje sobie; trzeba to donieść księżnej, będzie uszczęśliwiona. Riscarze wystarczyło po prostu jechać za Fabrycem, aby się dowiedzieć, gdzie mieszka; nazajutrz rano Fabrycy otrzymał kurierem liścik genueńskiej fabrykacji; wydał mu się nieco krótki, ale poza tym nie obudził w nim podejrzeń. Na myśl, że ujrzy księżnę i hrabiego, nie posiadał się ze szczęścia; mimo perswazji Lodovica, najął konia i pomknął galopem. Nie wiedział, że tuż za nim jechał kawaler Riscara, który o sześć mil przed Parmą, na jedną stację od Castelnovo, z przyjemnością ujrzał zbiegowisko przed miejscowym więzieniem. Odprowadzano tam właśnie naszego bohatera; kiedy zmieniał konie na poczcie, poznali go dwaj siepacze wysłani przez hrabiego Zurla.

Małe oczki kawalera Riscara błysnęły radością; stwierdził sumiennie wszystko, co zaszło w wiosce, po czym wyprawił kuriera do margrabin Raversi. Następnie przechadzając się po ulicach, jak gdyby dla obejrzenia bardzo ciekawego kościoła, a potem dla wyszukania obrazu Parmezana, który rzekomo znajdował się w okolicy, spotkał wreszcie podestę, który skwapliwie powitał radcę stanu. Riscara wyraził zdziwienie, że nie odesłano Natychmiast do cytadeli w Parmie spiskowca, którego udało się szczęśliwie pojmać.

— Zachodzi obawa — dodał Riscara z pozorną obojętnością — aby jego liczni przyjaciele, którzy szukali go przedwczoraj, chcąc mu ułatwić przejazd przez Stany Jego Wysokości, nie zaczęli konwoju; było tych buntowników ze dwudziestu lub piętnastu.

— *Intelligenti pauca*<sup>53</sup>? — wykrzyknął podesta z domyślną miną.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W dwie godziny później biedny Fabrycy, z rękami w kajdankach, przywiązany długim łańcuchem do bryczki, do której go wsadzono, jechał do cytadeli w Parmie pod eskortą ośmiu żandarmów. Ci mieli rozkaz brać z sobą wszystkich żandarmów stojących po wsiach, przez które przejeżdżał konwój; sam podesta jechał z tyłu, w ślad tego ważnego jeńca. Około siódmej po południu *sediola*, eskortowana przez uliczników z całej Parmy oraz przez trzydziestu żandarmów, minęła piękną promenadę, pałacyk, w którym kilka miesięcy wprzód mieszkała Fausta, wreszcie stanęła przed zewnętrzną bramą cytadeli, w chwili gdy generał Fabio Conti i jego córka mieli wyjeżdżać. Powóz gubernatora zatrzymał się przed mostem zwodzonym, aby wpuścić bryczkę, do której przywiązany był Fabrycy; generał krzyknął, aby zamknięto bramy, i wysiadłszy z powozu, udał się do furty zobaczyć, co się dzieje. Zdziwił się niepomalu poznawszy jeńca, który zdrętwiał zupełnie

<sup>53</sup>*intelligenti pauca* — mądrymu niewiele (słów trzeba). [przypis tłumacza]

przywiązany do bryczki przez tak długą drogę; czterech żandarmów ujęło go i zaniósło do furty.

„Mam tedy w swojej mocy — powiedział sobie próżny człowiek — słynnego del Dongo, którym, można rzec, od roku zajmował się wyłącznie cały wielki świat Parmy!”

Ze dwadzieścia razy generał spotkał go na dworze, u księżnej i gdzie indziej, ale nie zdradził się, że go zna; lękałby się narazić.

— Niech ściagną — krzyknął na pisarza więziennego — szczegółowy protokół z jeńca dostawionego mi przez godnego podestę z Castelnovo.

Barbone, pisarz, osobistość straszliwa rozmiarami swej brody oraz marsowym wyglądem, przybrał minę jeszcze ważniejszą niż zazwyczaj, istny profos<sup>54</sup> niemiecki. Wiedząc coś niecoś, że to zwłaszcza księżna Sanseverina przeszkodziła gubernatorowi, jego panu, zostać ministrem wojny, był dla jeńca nie grzeczniejszy niż zazwyczaj; odzywał się do niego przez *voi*, jak we Włoszech mówi się tylko do służby.

— Jestem prałatem świętego Kościoła rzymskiego — rzekł Fabrycy z siłą — i wielkim wikariuszem tej diecezji; samo urodzenie daje mi prawo do względów.

— Nic mi o tym nie wiadomo! — odparł grubiańsko pisarz — dowiedz swoich twierdzeń, przedstawiając papiery dające ci prawo do tych tytułów. — Fabrycy nie miał papierów i nie odpowiedział. Generał stał obok swego skryby, patrząc, jak pisze, i nie podnosił oczu na jeńca, aby nie musieć stwierdzić, że to jest w istocie del Dongo.

Naraz Klelia, która czekała w powozie, usłyszała straszliwy zgiełk w strażnicy. Pisarz Barbone, sporządzając grubiański i bardzo długi opis osoby jeńca, kazał mu się rozebrać, iżby można było sprawdzić i stwierdzić skaleczenia otrzymane w rozprawie z Gilettim.

— Nie mogę — odparł Fabrycy, uśmiechając się z goryczą — niepodobna mi usłuchać pańskich rozkazów, kajdanki mi tego bronią.

— Jak to! — wykrzyknął generał z udanym zdumieniem — więzień ma kajdanki w obrębie twierdzy? To jest sprzeczne z regulaminem, trzeba szczególnego rozkazu ad hoc, zdejmijcie mu kajdanki.

Fabrycy spojrział nań. „Pocieszny jezuita! — pomyślał — od godziny widzi te kajdanki, które mi zadają nieznośną mękę, i udaje zdziwionego!”

Żandarmi zdjęli mu kajdanki; dowiedzieli się, że Fabrycy jest bratankiem księżnej Sanseverina i okazywali mu uprzedzającą grzeczność, stanowiącą kontrast z grubiaństwem pisarza; ów zdawał się tym dotknięty i rzekł do Fabrycego, który stał nieruchomo:

— Dalej, prędko pokaż nam te draśnięcia, któreś otrzymał z ręki biednego Gilettiego wówczas, gdyś go mordował.

Jednym skokiem Fabrycy rzucił się na skrybę i dał mu policzek taki, że Barbone spadł z krzesła na nogi generała. Żandarmi chwycili za ręce Fabrycego, który stał bez ruchu; sam generał i żandarmi pośpieszyli podnieść pisarza, któremu krew spływała po twarzy. Dwaj żandarmi stojący dalej podbiegli, by zamknąć drzwi strażnicy, sądząc, że jeniec chce się wymknąć. Dowodzący nimi sierżant opamiętał się, że młody del Dongo nie może serio kusić się o ucieczkę z cytadeli; mimo to, przez instynkt żandarma, zbliżył się do okna, aby powstrzymać zamęt. Naprzeciw tego otwartego okna, o dwa kroki stał powóz generała; Klelia wtuliła się w kąt powozu, aby nie być świadkiem smutnej sceny odbywającej się w furcie; usłyszawszy zgiełk, podniosła głowę.

— Co się dzieje? — spytała brygadiera.

— Proszę pani, to młody del Dongo wyciął policzek bezczelnikowi Barbone.

— Jak to! To pana del Dongo prowadzą do więzienia?

— No, tak! — rzekł sierżant — niby z przyczyny wysokiego urodzenia tego biednego chłopca robi się tyle ceremonii; myślałem, że pani wie o wszystkim.

Klelia nie cofnęła już głowy: skoro żandarmi otaczający stół rozstąpili się nieco, ujrzała więźnia. „Kto by powiedział — myślała — wówczas gdy go spotkałam na gościńcu z Como, że go ujrzę po raz drugi w tej smutnej sytuacji?... Podał mi rękę, aby mnie wsadzić do karety swej matki... Już wtedy był z księżną! Czy ich miłość sięga owej epoki?”

Trzeba powiadomić czytelnika, że liberalne stronnictwo, którym powodowała margrabina i generał Conti, udawało, że nie wąpi o tkliwych stosunkach łączących Fabrycego

<sup>54</sup>profos — żandarm. [przypis redakcyjny]

z księżną. Mosca, znienawidzony przez liberalów, był dla swej rzekomej ślepoty przedmiotem ciągłych żarcików.

„Jest tedy więźniem, i więźniem swoich wrogów, bo w gruncie — myślała Klelia — hrabia Mosca, choćby go uważać za anioła, będzie uszczęśliwiony z tego obrotu.”

Hałaśliwy wybuch śmiechu rozległ się w strażnicy.

— Jacopo — rzekła do sierżanta zdławionym głosem — co się tam dzieje?

— Generał spytał surowo jeńca, czemu uderzył Barbona. Monsignore Fabrycy odparł spokojnie: „Nazwał mnie *mordercą*, niech pokaże dokumenty i papiery upoważniające go do tego.” I z tego się śmieją.

Dozorca, który umiał pisać, zastąpił Barbona; Klelia ujrzała pisarza, jak wychodził, ocierając chustką krew, która spływała mu obficie po ohydnej twarzy; klął straszliwie:

— Ten za... Fabrycy — mówił na cały głos — umrze tylko z mojej ręki. Odbiję go katu etc., etc.

Przystanął między oknem a powozem, aby spojrzeć na Fabrycego, i klął coraz gwałtowniej.

— Ruszaj swoją drogą — rzekł sierżant — nie będziesz tu klął przy paniencie.

Barbone podniósł głowę, aby zająrzeć do powozu, oczy jego spotkały się z oczami Klelii, której wydarł się okrzyk grozy; nigdy jeszcze nie widziała z bliska tak okropnej twarzy. „Zabij Fabrycego — powiadała sobie — muszę ostrzec don Cezara.” Był to jej stryj, jeden z najczcigodniejszych księży w mieście; generał Conti, jego brat, wyrobił mu miejsce gospodarza więzienia i naczelnego kapelana więziennego.

Generał wsiadł z powrotem do powozu.

— Czy chcesz wrócić do domu — spytał córki — lub czekać na mnie, może dość długo, w dziedzińcu zamkowym? Muszę zdać sprawę księciu.

Fabrycy wyszedł z furty pod eskortą trzech żandarmów; prowadzili go do celi, którą mu przeznaczono. Klelia wyglądała z karety, jeniec znalazł się bardzo blisko niej. W tej chwili odpowiadała na pytanie ojca tymi słowami:

— *Chcę być z tobą.*

Fabrycy, słysząc te słowa tuż koło siebie, podniósł oczy i spotkał wzrok młodej dziewczyny. Uderzył go zwłaszcza wyraz melancholii w jej twarzy. „Jak ona wyładniała — pomyślał — od czasu spotkania niedaleko Como; co za myślący i głęboki wyraz!... Słusznie porównują ją z księżną; anielska fizjonomia!”

Barbone, zakrwawiony skryba, który przystanął koło powozu nie bez intencji, zatrzymał gestem trzech żandarmów, którzy prowadzili Fabrycego, i okrążywszy powóz, aby dotrzeć do generała, spytał:

— Ponieważ więzień dopuścił się gwałtu wewnątrz cytadeli, nie wiem, czy na podstawie 157 paragrafu nie należałoby mu włożyć kajdanków na trzy dni?

— Idź do diabła! — wrzasnął generał, dla którego to uwięzienie było, bądź co bądź, kłopotliwe.

Myślał o tym, aby nie doprowadzać do ostateczności księżnej ani hrabiego Mosca; zresztą jak hrabia weźmie tę sprawę? W gruncie rzeczy zabicie Gilettiego było drobnostką i jedynie intryga zdołała nadać mu wagę.

W czasie tego dialogu Fabrycy był wspaniałą w otoczeniu swoich stróżów; twarz dumna i szlachetna, delikatne rysy, uśmiech wzgardy na ustach — tworzyły cudowny kontrast z pospolitością otaczających go żandarmów. Ale wszystko to to była, można rzec, jedynie zewnętrzna strona jego fizjonomii; oczarowany był niebiańską pięknnością Klelii, a oczy jego zdradzały zdumienie. Ona, zadumana, nie cofnęła głowy z okna karety; Fabrycy skłonił się jej z uśmiechem pełnym najgłębszego szacunku, czym rzekł:

— Zdaje mi się, że niegdyś, w okolicach jeziora, miałem już zaszczyt z nią spotkać, także w otoczeniu żandarmów.

Klelia zaczerwieniła się; była tak zmieszana, że nie znalazła odpowiedzi „Cóż za szlachetne zjawisko wśród tych pospolitych ludzi! — powiadała sobie w chwili, gdy Fabrycy zwrócił się do niej. Głęboka litość, niemal — powiedzmy — rozczulenie odjęły jej przytomność umysłu niezbędną, aby znaleźć jakąś odpowiedź; zauważyła swoje milczenie i zarumieniła się jeszcze bardziej. W tej chwili odciągano gwałtownie rygle u bramy cytadeli: czyż Jego Ekscelencja nie czekał co najmniej od minuty? Powstał stąd taki hałas, że gdyby nawet Klelia znalazła słowo odpowiedzi, Fabrycy nie byłby go usłyszał.

Unoszona przez konie, które puściły się galopem, skoro tylko przebyto most, Klelia powiedziała sobie: „Musiałam mu się wydać bardzo śmieszna!” Po czym dodała: „Nie tylko śmieszna — musiał mnie wziąć za nikczemną duszę, musiał pomyśleć, że nie odpowiadam na jego ukłon, bo on jest więźniem, a ja córką gubernatora.”

Myśl ta stała się nie do zniesienia dla młodej dziewczyny, która miała duszę szlachetną. „A co czyni mój postępek jeszcze bardziej nikczemnym — dodała — to, iż nigdy, kiedyśmy się spotkali pierwszy raz, także w *otoczeniu żandarmów*, jak on mówi, to ja byłam więźniem, a on oddał mi przysługę i wybawił mnie z kłopotu... Tak, trzeba przyznać, moje postępowanie to szczyt grubiaństwa i niewdzięczności. Biedny chłopiec! Teraz, kiedy jest w niedoli, wszyscy okażą się niewdzięczni względem niego. Powiedział wówczas: „Czy pani zapamięta w Parmie moje nazwisko?” Jak on mną gardzi w tej chwili! Tak łatwo było znaleźć jakieś miłe słówko! Trzeba przyznać, tak, obeszłam się z nim okropnie. Niegdyś, gdyby nie powóz szlachetnie ofiarowany przez jego matkę, byłabym musiała iść w kurzu za żandarmami lub — co gorsza — siąść na konia za którymś z nich; wtedy ojciec mój był aresztowany, a ja bez obrony! Tak, trudno się gorzej znaleźć. I jak żywo musiał to odczuć taki człowiek jak on! Co za kontrast między jego szlachetną fizjonomią a moim postępkim! Co za dostojność! Co za pogoda! Jak on bohatersko wyglądał w otoczeniu plugawych wrogów! Rozumiem teraz miłość księżnej — jeśli taki jest w obliczu niefortunnego wypadku, który może mieć straszne następstwa, jakiż musi być wówczas, gdy jest szczęśliwy!”

Kareta gubernatora stała więcej niż półtorej godziny w dziedzińcu zamkowym; mimo to, kiedy generał wyszedł wreszcie od księcia, Klelii nie wydawało się, aby czekała zbyt długo.

— Jaka jest wola Jego Wysokości? — spytała Klelia.

— Jego słowa mówiły: „więzienie!”, a spojrzenie: „śmierć!”

— Śmierć! Wielki Boże! — krzyknęła Klelia.

— Cicho siedź! — burknął generał. — Głupiec ze mnie, aby się wdawać w rozmowy z dzieckiem.

Przez ten czas Fabrycy przebywał trzysta osiemdziesiąt stopni wiodących do wieży Farnese, nowego więzienia, zbudowanego na platformie grubej wieży, na ogromnej wysokości. Nie pomyślał ani razu, przynajmniej ze świadomością, o ogromnej zmianie, jaka zaszła w jego losie. „Co za wzrok! powiadał sobie — ile rzeczy wyrażał, ile głębokiego współczucia! Zdawało się, że mówi: „Życie jest pasmem nieszczęść! Nie trapi się nad tym, co cię spotyka! Czy nie jesteśmy tu po to, aby cierpieć?” Jak jej piękne oczy wpatrywały się we mnie nawet wówczas, gdy konie wjeżdżały z łoskotem od sklepienia!

Fabrycy zapomniał zupełnie być nieszczęśliwym.

Klelia odwiedziła z ojcem kilka salonów; z początkiem wieczoru nikt nie wiedział jeszcze o uwięzieniu *wielkiego przestępcy*, takie bowiem miano dawali dworacy w dwie godziny później nierozważnemu chłopcu.

Tęgo wieczora rysy Klelii zdradzały więcej ożywienia niż zwykle; ożywienie, udział w tym, co ją otaczało, to były rzeczy, których zazwyczaj zbywało tej ładnej osobie. Kiedy porównywano jej urodę z urodą księżnej, ten zwłaszcza wyraz obojętności, przepływającej jak gdyby ponad sprawami świata, przeważał szalę na korzyść rywalki. W Anglii, we Francji, w krainach próżności, opinia wypadłaby odwrotnie. Klelia Conti była to młoda dziewczyna, zbyt szczupła jeszcze, podobna do pięknych postaci Guida<sup>55</sup>; nie będziemy ukrywali, iż z punktu widzenia piękności greckiej można by zarzucić tej głowie zbyt dużą wydatność rysów: wargi na przykład, mimo iż pełne wzruszającego wdzięku, były nieco grube.

Cudowną oryginalnością tej twarzy, na której jaśniał naiwny wdzięk i niebiańska piękność najszlachetniejszej duszy, było to, że mimo swej rzadkiej i odrębnej piękności, nie była w niczym podobna do głów posągów greckich. Przeciwnie, księżna miała zbyt wiele z *urzędowego* ideału piękności: głowa jej, naprawdę lombardzka, przypominała rozkoszny śmiech i tkliwą melancholię pięknych Herodiad Leonarda da Vinci. O ile księżna była żywa, iskrząca się dowcipem i sprytem, rzucająca się namiętnie — jeśli można się tak wyrazić — na każdy przedmiot, jaki tok rozmowy nasuwał przed oczy jej duszy, tak znów

<sup>55</sup>Guido Reni (1575–1642) — wł. malarz religijny. [przypis redakcyjny]

Klelia zdawała się spokojna i nietłwa do wzruszenia, czy to przez wzgardę dla tego, co ją otaczało, czy przez tęsknotę za jakąś nieistniejącą chimera. Długo sądzono, że poświęci się życiu zakonnemu. W dwudziestym roku objawiała wstręt do zabaw i balów, a jeżeli towarzyszyła ojcu, to jedynie przez posłuszeństwo, aby nie szkodzić jego ambicjom.

„Niepodobna mi tedy będzie — powtarzała zbyt często niska dusza generała — mimo iż niebo dało mi za córkę najpiękniejszą osobę w Stanach naszego monarchy i najbardziej cnotliwą, niepodobna mi będzie wyciągnąć z niej jakiejś korzyści dla mej kariery! Żyję nazbyt odosobniony, mam tylko ją na świecie; trzeba mi koniecznie rodziny, która by mi dała punkt oparcia i stworzyła kilka salonów, gdzie moje talenty, a zwłaszcza moje kwalifikacje na ministra, przyjęto by jako coś poza wszelką dyskusją. I ot, moja córka ładna, rozumna, nabożna — krzywi się, ilekroć jakiś młodzieniec, dobrze zapisany na dworze, próbuje jej nadsławić. Skoro go przepłoszy, rozjaśnia się i staje się niemal wesół, póki nie pojawi się nowy konkurent. Najpiękniejszy mężczyzna na dworze, hrabia Baldi, wysunął swą kandydaturę bez powodzenia; najbogatszy człowiek w Stanach Jego Wysokości, margrabia Crescenzi, spróbował szczęścia po nim i ona twierdzi, że byłaby z nim nieszczęśliwa!”

„Stanowczo — powiedział sobie innym razem generał — oczy mojej córki piękniejsze są niż oczy księżnej, przez to zwłaszcza, iż w rzadkich okolicznościach zdolne są do głębokiego wyrazu, ale kiedy ona miewa ten wspaniały wyraz? Nigdy w salonie, który mogłaby napęłnić blaskiem, ale na przechadzce, kiedy jesteśmy sami i kiedy ją na przykład wzruszy niedola jakiego wstrętnego żebraka. „Zachowaj jakiś ślad tego cudownego spojrzenia — mówię jej czasem — na wieczór do salonów. Gdzie tam; skoro raczy iść ze mną, szlachetna i czysta jej fizjonomia przybiera dość wyniosły, mało zachęcający wyraz biernego posłuszeństwa.”

Jak widzimy, generał nie oszczędzał żadnych środków, aby sobie znaleźć przyzwoitego zięcia, ale to, co mówił, to była prawda.

Dworacy, którzy nie mają po co zaglądać w swoje dusze, dają baczenie na wszystko; zauważyli, że zwłaszcza w owe dni, kiedy Klelia nie była zdolna się wyrwać z ukochanych marzeń i udawać zainteresowanie czymkolwiek, księżna lubiła siadać przy niej i siliła się ją rozgadać. Klelia miała włosy popielatoblond, odcinające się łagodnie od delikatnej, ale zbyt bladej cery. Jedynie czoło mogło zdradzić uważnemu obserwatorowi, że ten szlachetny wyraz, to wzięcie wyrastające ponad pospolity wdzięk wypływały z głębokiej obojętności dla wszystkiego, co pospolite. Była to *nieobecność*, a nie niemożliwość zainteresowania się czymkolwiek. Od czasu jak ojciec jej był gubernatorem cytadeli, Klelia w swoim podobocznym mieszkaniu czuła się szczęśliwa lub bodaj wolna od zgryzot. Przerazająca liczba stopni, na które trzeba było się wspiąć, aby się dostać do pałacu gubernatora, położonego na platformie wieży, oddalała nudne wizyty — z tej przyczyny Klelia zażywała istic klasztornej swobody; był to niemal ideał szczęścia, którego w swoim czasie zamierzała szukać w życiu zakonnym. Odczuwała jak gdyby wstręt na samą myśl, że miałaby wydać swą drogą samotność i swoje tajemne myśli na łup człowieka, którego tytuł męża uprawniałby do zamięcia jej wewnętrzznego życia. Jeżeli w samotności nie znajdowała szczęścia, to przynajmniej oszczędzała sobie przykrych wrażeń.

W dniu, w którym Fabrycego odprowadzano do twierdzy, księżna spotkała Klelię u ministra spraw wewnętrznych, hrabiego Zurla; towarzystwo otaczało ją kręgiem; tego wieczora Klelia gasiła księżną urodą. Oczy dziewczyny miały wyraz tak osobliwy i głęboki, że były niemal nietaktowne; w spojrzeniach jej była litość, ale było też oburzenie i gniew. Iskrzący się dowcip księżnej przejmował widocznie Klelię bólem bliskim zgrozy. „Jakież będą krzyki, jęki tej biednej kobiety — powiadała sobie — skoro się dowie, że jej kochanek, młody człowiek o tak wspaniałym sercu i tak szlachetnej fizjonomii, dostał się do więzienia. A te oczy monarchy, które skazują go na śmierć! O samowładztwo, kiedyż przestaniesz ciążyć nad Włochami? O dusze sprzedajne i niskie! I ja jestem córką dozorczy więzienia! I nie zaparłam się tego szlachetnego tytułu, nie racząc odpowiedzieć Fabrycemu! A niegdyś on był moim dobroczyńcą! Co on myśli o mnie teraz, sam w swojej celi oświetlonej nędzną lampką?” Wstrząśnięta tą myślą, Klelia obejmowała spojrzeniem pełnym zgrozy iluminację salonów ministra.

„Nigdy — szeptało w kręgu dworaków, jaki utworzyli dokoła dwóch modnych piękności, starając się wmieszać do ich rozmowy — nigdy nie rozmawiały z sobą z takim oży-



wieniem, a zarazem tak poufale. Czyżby księżna, wciąż starająca się łagodzić nienawiści rozpetane przez pierwszego ministra, układała świetne małżeństwo dla Klelii?

Domysł ten wspierał się na okoliczności, która dotąd nie zwróciła uwagi dworu: oczy młodej dziewczyny miały więcej ognia, a nawet, można rzec, więcej namiętności niż oczy pięknej księżnej. Co się tyczy księżnej, była ona zdziwiona i — powiedzmy to na jej chwałę — zachwycona nowym wdziękiem w młodej samotnicy: od godziny przyglądała się jej z przyjemnością, dość rzadko odczuwaną na widok rywalki. „Ale co to znaczy? — pytała sama siebie — nigdy Klelia nie była tak piękna i tak wzruszająca: czyżby jej serce przemówiło?... Ale w takim razie to musi być nieszczęśliwa miłość: pod tym ożywieniem kryje się posępny ból... Ale miłość nieszczęśliwa milczy. Czyżby chodziło o to, aby odzyskać zmiennika za pomocą światowych tryumfów?” I księżna spoglądała bacznie po otaczającej ją młodzieży. Nie zauważyła nigdzie osobliwego wyrazu, wszędzie mniej lub więcej doskonale zadowolenie z siebie. „Ależ to jest jakiś cud — powiadała sobie księżna, podrażniona tym, że nie może zgadnąć. — Gdzie jest Mosca, ten człowiek tak przenikliwy? Nie, nie myślę się! Klelia przygląda mi się z uwagą, jak gdybym była dla niej czymś zupełnie nowym. Byłżeby to jakiś rozkaz jej ojca, tego podłego dworaka? Myślałam, że ta szlachetna i młoda dusza niezdolna jest zniżyć się do interesu. Czyżby generał miał jakąś ważną prośbę do księcia?”

Okolo dziesiątej jeden z przyjaciół księżnej podszedł do niej i szepnął parę słów; zbladła straszliwie. Klelia ujęła jej rękę i odważyła się ją uściskać.

— Dziękuję ci i rozumiem teraz... masz piękną duszę — rzekła księżna, zadając sobie gwałt; zaledwie znalazła siłę, aby wymówić te słowa.

Uśmiechnęła się z przymusem do gospodyni, która wstała, aby ją przeprowadzić do drzwi ostatniego salonu; takie honory należały się jedynie księżniczkom krwi i stanowiły dla księżnej okrutną sprzeczność z jej obecnym położeniem. Toteż uśmiechała się wciąż do hrabiny Zurla, ale mimo niesłychanego wysiłku nie mogła wycisnąć z siebie ani słowa.

Oczy Klelii napełniły się łzami na widok księżnej wśród tych salonów, zaludnionych w tej chwili wszystkim, co było najświetniejszego w stolicy. „Co się stanie z tą biedną kobietą — mówiła sobie — skoro się znajdzie sama w powozie? Byłoby natręctwem ofiarować jej swoje towarzystwo, nie śmiem... Cóż by to była za pociecha dla biednego więźnia, siedzącego w jakiejś norze przy nędznej lampce, gdyby wiedział, że jest aż tak kochany! Okropna rzecz ta samotność, w jakiej go pogrążono! A my jesteśmy tutaj, w tych świetnych salonach, cóż za ohyda! Czy byłby sposób, aby mu przesłać jakie słówko? Wielki Boże! to znaczyłoby zdradzić mego ojca; położenie jego między dwoma stronnictwami jest tak trudne. Co się z nim stanie, jeśli się narazi na nienawiść księżnej, która ma w ręku pierwszego ministra, rozstrzygającego niemal o wszystkim? Z drugiej strony, książę Ernest zajmuje się bez ustanku tym, co się dzieje w twierdzy, i nie zna na tym punkcie żartów: strach czyni go okrutnym... W każdym razie Fabrycy (Klelia nie mówiła już: „pan del Dongo”) o ileż jest godniejszy współczucia! Chodzi dłań o coś innego niż utrata zyskowej posiadłości... A księżna!... Jakaż straszliwą namiętnością jest miłość!... Mimo to wszyscy kłamcy świata mówią o niej jak o źródle szczęścia! Ubolewa się nad starymi kobietami, dlatego że nie mogą już czuć lub budzić miłości... Nigdy nie zapomnę tego, com widziała; co za nagła zmiana! Te oczy, tak piękne, promienne, jakże stały się martwe, zgasłe po owej straszliwej wieści, którą przyniósł jej margrabia N... Musi ten Fabrycy być bardzo godny kochania!”

Wśród tych dumań, które wypełniały duszę Klelii, komplementy ścigające ją ze wszystkich stron wydały się jej tym bardziej uprzykrzone. Aby się od nich uwolnić, zbliżyła się do otwartego okna, wpółzasłoniętego jedwabną oponą, i spodziewała się, że nikt nie ośmieli się tam jej ścigać. Okno wychodziło na mały gaik pomarańczowy, zasadzony w ziemi; co zimę trzeba było okrywać go dachem. Klelia wdychała z rozkoszą zapach kwiatów, a przyjemność wracała nieco spokoju jej duszy... „Na oko wydał mi się bardzo szlachetny — myślała — ale obudzić namiętność w tak niepospolitej kobiecie! Toż ona miała zaszczyt odtrącić hołdy panującego i gdyby raczyła, byłaby tutaj królową... Ojciec powiada, że miłość księcia doprowadziła go do małżeństwa, gdyby stał się wolny... I ta miłość do Fabrycego trwa od tak dawna! Toż to już pięć lat, jak ich spotkałam opodal Como... Tak, pięć lat — powtórzyła po chwili namysłu. — Uderzyło mnie to nawet

wówczas, gdy tyle rzeczy uchodziło moim oczom dziecka. Z jakim podziwem te panie patrzyły na Fabrycego!...”

Klelia zauważyła z radością, że żaden z młodych ludzi, którzy nadszkakiwali jej tak wytrwale, nie ośmielił się zbliżyć. Jeden, margrabia Crescenzi, uczynił kilka kroków, po czym zatrzymał się koło graczy. „Gdybym — powiadała sobie — pod moim oknem w twierdzy, jedynym, które ma cień, miała bodaj te pomarańcze, myśli moje byłyby mniej smutne; ale za cały widok ciosowe kamienie wieży Farnese... Ach! — wykrzyknęła, zrywając się — może to tam go zamknęli! Jak mi pilno pomówić z don Cezarem! Będzie mniej surowy od generała. Ojciec nie powie mi z pewnością nic, gdy będziemy wracać do twierdzy, ale dowiem się wszystkiego przez don Cezara... Mam pieniądze, będę mogła kupić kilka drzewek pomarańczowych, które pomieszczę pod swoim okienkiem z klatkami, przesłonią mi te grube mury wieży. O ileż będzie mi wstrętniejsza jeszcze, odkąd znam jedną z istot, które kryje światło!... Tak, to trzeci raz go widziałam; raz na balu w dniu urodzin księżnej, dziś w otoczeniu trzech żandarmów, gdy ohydny Barbone żądał dlań kajdanów; wreszcie tam nad Como... Jest już pięć lat... Na jakiego urwisa wyglądał wówczas! Jak patrzył na żandarmów i jak dziwnie spoglądały nań matka i ciotka! Z pewnością musiał być tego dnia jakiś sekret między nimi; dawniej myślałam, że i on się bał żandarmów! Klelia zadrżała. — Ale jakaż ja byłam naiwna! Bez wątpienia już wtedy księżna była nim zajęta... Jak on nas doskonale bawił po jakimś czasie, kiedy te panie, mimo widocznego pomieszenia, oswoiły się z obecnością obcej!... A dziś nie umiałam nic odpowiedzieć, kiedy do mnie przemówił... O, nieśmiałość, niezręczność! Jak często podobne są do najszpetniejszych rzeczy! I taka jestem, mając dwadzieścia lat!... Miałam słusność, wybierając się do klasztoru; stworzona jestem do tego, aby żyć w zamknięciu. „Godna córka stróża więziennego” — musiał sobie powiedzieć. Gardzi mną: skoro będzie mógł pisać do księżnej, wspomni jej o mojej nieczułości. Księżna będzie mnie uważała za dziewczynę z gruntu fałszywą, bo dziś wieczór mogła przypuszczać, że współczuję z jej nieszczęściem.”

Klelia spostrzegła, że ktoś się zbliża, najwidoczniej w zamiarze, aby stanąć obok niej koło okna z żelazną balustradą; podrażniło ją to, mimo że sobie wyrzucała ten odruch; dumania, z których ją wyrwano, nie były wolne od słodyczy. „Dam temu natrętowi dobrą nauzkę” — pomyślała. Już zwracała głowę z dumnym spojrzeniem, kiedy ujrzała wylęknłą twarz arcybiskupa, który zbliżał się nieznacznie. „Ten święty człowiek nie ma taktu — myślała Klelia. — Po co mu nękać biedną dziewczynę! Mój spokój to wszystko, co posiadam.” Skłoniła się z szacunkiem, ale wyniosłe zarazem, prałat zaś rzekł:

— Czy pani zna już tę straszną nowinę?

Oczy dziewczyny zmieniły wyraz, ale — w myśl wiecznych przestróg ojca odparła z nieświadomą minką, której sprzeciwiała się wymowa oczu:

— Nic nie wiem, Wasza Wielebność.

— Mego wielkiego wikariusza, biednego del Dongo, który winien jest śmierci lotra Gilettiego tyle co ja, porwano z Bolonii, gdzie żył pod nazwiskiem Józefa Bossi; zamknięto go w waszej cytadeli; przybył *p r z y k u t y* do bryczki, na której go wieziono. Któryś z dozorców, nazwiskiem Barbone, ulaskawiony swego czasu po zamordowaniu brata, chciał znęcać się nad Fabrycem; ale mój młody przyjaciel nie jest człowiekiem, który by ścierpiał zniewagę. Rzucił o ziemię bezczelnika, za co wtrącono go do lochu dwadzieścia stóp pod ziemią, nałożywszy mu kajdany.

— Kajdany, nie!

— A! więc pani wie coś! — wykrzyknął arcybiskup. I z rysów starca pierzchnął wyraz zniechęcenia. — Ale przede wszystkim ktoś może podejść do okna i przerwać nam: czy byłabyś tak miłosierna, aby osobiście oddać don Cezarowi ten mój pasterski pierścień?

Dziewczyna wzięła pierścień, ale nie wiedziała, gdzie go schować dla pewności.

— Włóż go na wielki palec — rzekł arcybiskup; i włożył go jej sam. — Mogę liczyć, że oddasz ten pierścień?

— Tak, Wasza Wielebność.

— Czy możesz mi przyrzec, że zachowasz w tajemnicy to, co ci jeszcze powiem, nawet w razie gdybyś nie chciała się przychylić do mojej prośby?

— Ależ tak, Wasza Wielebność — odparła dziewczyna, drżąc na widok posępnej powagi, jaką starzec przybrał nagle. — Nasz czcigodny arcybiskup — dodała — może mi dać rozkazy jedynie godne jego i mnie.

— Powiedz don Cezarowi, że mu polecam mego przybranego syna; wiem, że zbiry, które go porwały, nie zostawiły mu czasu na wzięcie brewiarza, proszę tedy don Cezara, aby mu dał swój, a jeżeli stryj pani zechce przysłać jutro do konsystorza, obowiązuję się zwrócić mu książkę, której użył Fabrycemu. Proszę również don Cezara, aby doręczył panu del Dongo pierścień znajdujący się obecnie na tej pięknej ręczce.

Tu przerwał arcybiskupowi generał Fabio Conti, który przyszedł po córkę, aby ją odprowadzić do powozu: rozmowa zakończyła się w sposób przynoszący zaszczyt zręczności prałata. Nie wspominając ani słowa o więźniu, wtrącił mimochodem ogólne maksymy moralne i polityczne; na przykład, że bywają w życiu dworów chwile przełomowe, rozstrzygające o istnieniu największych dygnitarzy; byłoby wielką nieostrożnością zmieniać w *osobistą nienawiść* różnice wynikające z przeciwieństwa stanowisk. Arcybiskup, dając się ponieść zgryzocie, w jakiej go pograżyło to tak niespodziewane uwięzienie, posunął się do słów, iż trzeba niewątpliwie bronić swojej pozycji, ale że byłoby zbyt cenną nieostrożnością ściągać na siebie trwałe nienawiści, przykładając rękę do rzeczy, których się nie zapomina.

Znalazłszy się w karecie z córką, generał rzekł:

— Ależ to istne groźby! Groźby wobec człowieka takiego jak ja!

Przez dwadzieścia minut ojciec i córka nie wymienili ani słowa.

Biorąc pierścień arcybiskupa, Klelia obiecywała sobie wspomnieć ojcu, skoro się z nim znajdzie w powozie, o usłudze, jakiej prałat od niej żądał; ale po słowie *groźba*, wymówionym z takim gniewem, była pewna, że ojciec udaremniłby zlecenie; zakryła pierścień lewą dłonią i ścisnęła go namiętnie. Przez całą drogę z ministerium spraw wewnętrznych do cytadeli pytała sama siebie, czy byłoby zbrodnią nie powiedzieć o tym ojcu. Była bardzo pobożna, bardzo nieśmiała, a serce jej, tak spokojne co dzień, było gwałtownie; ale wreszcie „Kto idzie?” strażnicy stojącej pod bramą rozległo się, zanim Klelia znalazła właściwą formę, aby nastroić przychylnie ojca, tak bardzo lękała się, że jej odmówi. Przebywając trzysta sześćdziesiąt schodów wiodących do pałacu, Klelia nie wymyśliła nic.

Czym prędzej pobiegła do stryja, który ją połajał i nie chciał słyszeć o niczym.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

— I cóż? — wykrzyknął generał na widok brata swego don Cezara — teraz księżna wyrzuci sto tysięcy talarów, aby sobie zadzwic ze mnie i wykraść więźnia...

Ale na razie jesteśmy zmuszeni zostawić Fabrycego w więzieniu, na samym szczycie cytadeli; pilnują go dobrze i może go nieco ten pobyt odmieni. Zajmijmy się dworem, gdzie zawile intrygi, a zwłaszcza namiętności nieszczęśliwej kobiety, będą rozstrzygały o jego losie. Przebywając trzysta dziewięćdziesiąt stopni wieży Farnese na oczach gubernatora, Fabrycy, który tak lękał się tego momentu, zauważył, że nie miał czasu myśleć o swym nieszczęściu.

Wróciwszy do domu po wieczorze u hrabiego Zurla, księżna gestem odprawiła służbę, następnie, osunąwszy się w ubraniu na łóżko, wykrzyknęła:

— *Fabrycy jest w mocy wrogów i może z mojego powodu otrują go!*

Jak odmalować chwilę rozpacz, która nastąpiła po tym ujęciu sytuacji u kobiety tak mało rządzącej się rozsądkiem, tak podlegającej wrażeniu chwili i — mimo że nie przyznawała się do tego przed sobą — tak szalenie zakochanej w młodym więźniu. Krzyki, spazmy — ale ani jednej łzy. Odprawiła swoje panny, aby ukryć te łzy; myślała, że wybuchnie płaczem, skoro się znajdzie sama; ale łez, tej ulgi w wielkiej boleści, zabrakło jej. Gniew, oburzenie, wściekłość, poczucie niższości w stosunku do księcia nadto władzały w tej wyniosłej duszy.

— Czyż nie dość upokorzeń! — wykrzykiwała co chwila — znieważają mnie, więcej, grożą życiu Fabrycego i ja nie miałabym się zemścić! Stój, książę! zabijasz mnie, dobrze, masz władzę, ale kiedyś zapłacisz mi za to życiem. Ach! biedny Fabrycy, i co ci to pomoże? Cóż za różnica z owym dniem, kiedy chciałam opuścić Parmę... a wówczas uważałam się

za nieszczęśliwą... Co za zaślepienie! Miałam zniszczyć wszystkie przyzwyczajenia miłego życia: niestety! nie wiedząc o tym, zbliżałam się do wydarzenia, które miało na zawsze rozstrzygnąć o moim losie. Gdyby przez haniebną nałogą nędznego dworactwa hrabia nie był usunął słów *niesprawiedliwy wyrok* w nieszczęsnym bileciku, który zdobyłam na księciu, byłibyśmy ocaleni. Miałam w tym — trzeba przyznać — więcej szczęścia niż zręczności, iż zdołałam wciągnąć w grę jego ambicję na punkcie ukochanej Parmy. Groziłam mu wyjazdem, byłam wówczas wolna... Boże! Jakąż jestem niewolnicą! Przygwożdżona do tej haniebnej kloaki, a Fabrycy skuty w cytadeli, w tej cytadeli, która dla tylu znamienitych ludzi była przedpokojem śmierci — i nie mogę już władać nad tym tygrysem groźbą, że opuszczę jego jaskinię.

Zbyt jest inteligentny, aby nie czuć, że nie oddał się nigdy od plugawej wieży, do której jest przykute moje serce. Podrażniona próżność tego człowieka może mu podsuwać najdziwniejsze pomysły; niedorzeczność ich i okrucieństwo byłyby tylko podniętą dla jego zdumiewającej próżności. Jeśli wróci do dawnych załotów, jeśli mi powie: „Przyjm hołdy twego niewolnika lub Fabrycy zginie...” Stara historia Judyty... Tak, ale jeżeli dla mnie to jest tylko samobójstwo, dla Fabrycego to morderstwo; ten głuptas, następca tronu, i niecny kat Rassi powieszą Fabrycego jako mego współnika.

Księżna wydawała rozpaczliwe krzyki: alternatywa, z której nie widziała wyjścia, dręczyła nieszczęśliwe serce. Znękana głowa nie widziała żadnej możliwości na przyszłość. Dziesięć minut miotła się jak szalona, wreszcie sen przerwał na kilka chwil ten okropny stan, życie wyczerpało się. W kilka minut obudziła się nagle i siadła na łóżku; zdawało się jej, że książę w jej obecności chce uciąć głowę Fabrycemu. Jakimż obłąkanym wzrokiem Gina toczyła wkoło! Kiedy się upewniła, że nie ma koło niej ani księcia, ani Fabrycego, padła z powrotem na łóżko, omal nie zemdląca. Ogarnęła ją taka niemoc, że nie czuła się na siłach, aby zmienić pozycję. „Wielki Boże, gdybym mogła umrzeć! — mówiła sobie. — Ale cóż za nikczemność! Ja miałabym opuścić Fabrycego w nieszczęściu! Zmysły tracę... Opamiętajmy się, przyjrzyjmy się z zimną krwią okropnemu położeniu, w które pograżałam się jakby umyślnie. Cóż za szaleństwo! Osiedlać się na dworze samowładcy, tyrana, który zna wszystkie swoje ofiary! Każde ich spojrzenie wydaje mu się obrazą. Niestety! tego ani hrabia, ani ja nie wiedzieliśmy, kiedy opuszczając Mediolan: roiłam o urokach dworu niższego, to prawda, ale czegoś w rodzaju pięknej epoki księcia Eugeniusza.

Z daleka nie mamy pojęcia o tym, co to jest władza despoty, który zna z widzenia wszystkich poddanych. Na pozór formy despotyzmu są takie same co w innych rządach: są sędziowie, na przykład, ale tacy jak Rassi; potwór, niczym byłoby mu powiesić własnego ojca, gdyby książę mu kazał... nazwałby to swoim obowiązkiem... Pozyskać Rassiego! ja, nieszczęsna, nie mam sposobu. Cóż mogę mu ofiarować? może sto tysięcy franków; a twierdzą, że po ostatnim pchnięciu sztyltem, jakiego zagniewane na ten kraj niebiosy pozwoliły mu uniknąć, książę posłał mu dziesięć tysięcy cekinów ze swojej szkatuły. Zresztą jakaż suma zdołałaby go uwieść? Ta dusza z błota, która czyta zawsze w spojrzeniach jedynie wzgardę, ma teraz tę przyjemność, że widzi w nich lęk, nawet szacunek; może zostanie ministrem policji, czemużby nie? Wówczas trzy czwarte mieszkańców kraju staną się jego podłymi dworakami i będą drżeć przed nim tak służalczo, jak on sam drży przed swoim panem.

Skoro nie mogę uciec z tego obmierzłego miasta, trzeba być użyteczną Fabrycemu — żyć odludnie, samotna, w rozpaczy? Cóż mogłabym wówczas dla Fabrycego? Dalej, *idź naprzód, nieszczęsna kobieto!* Pełń swój obowiązek; bywaj w świecie, udaj, że już nie myślisz o Fabrycy... Udawać, że cię zapomniałam, drogi aniele!”

Tu księżna zalała się łzami, wreszcie mogła płakać. Po godzinie, dawszy folę ludzkiej słabości, spostrzegła z pociechą, że jej myśli zaczynają się rozjaśniać. „Mieć czarnoksięski dywanik — powiadała sobie — unieść Fabrycego z cytadeli i schronić się z nim w jakimś szczęsnym kraju, gdzie by nas nikt nie mógł ścigać, w Paryżu na przykład. Żylibyśmy tam zrazu z owych tysiąca dwustu franków, które plenipotent jego ojca przesyła mi z tak ucieszną punktualnością. Mogłabym przecież wycisnąć jakieś sto tysięcy franków z resztek mojej fortuny! Wyobraźnia księżnej czyniła, z uczuciem niewysłowionej rozkoszy, przegląd wszystkich szczegółów życia, jakie wiodłaby o trzysta mil od Parmy. „Tam — powiadała sobie — mógłby wstąpić do wojska pod przybranym nazwiskiem...

Dostawszy się do jakiegoś pułku dzielnych Francuzów młody Valserra zdobyłby rychło reputację; wreszcie byłby szczęśliwy.”

Te błogie obrazy sprowadziły ponownie łzy, ale były to łzy słodkie. Zatem szczęście istnieje jeszcze kędyś! Ten stan trwał długo; biedna kobieta drżała z odrazy przed powrotem do okropnej rzeczywistości. Wreszcie, gdy świt zaczynał znaczyć białą linią wierzchołki drzew w ogrodzie, zadała sobie gwałt... „Za kilka godzin — powiedziała sobie — będę na polu bitwy; będzie trzeba działać, a jeśli mnie coś podrażni, jeśli księżę odważy się wspomnieć o Fabrycym, nie jestem pewna, czy zdołam zachować zimną krew. Trzeba więc tu, na miejscu, *powziąć postanowienie*, i to bezzwłocznie.

Jeżeli mnie ogłoszą winną zdrady stanu, Rassi każe zająć wszystko, co znajdzie tu w pałacu; pierwszego tego miesiąca spaliliśmy z hrabią, wedle zwyczaju, wszystkie papiery, których policja mogłaby nadużyć. A on sam jest ministrem policji! To najzabawniejsze. Mam trzy diamenty dość wysokiej ceny; jutro Fulgencjusz, mój dawny przewoźnik z Grianty, pojedzie do Genewy i złoży je w bezpiecznym miejscu. Jeżeli kiedy Fabrycy wymknie się (Boże! bądź mi ku pomocy! — przeżegnała się), niewysłowione tchórzstwo margrabiego del Dongo będzie uważało, że grzechem jest dawać środki do życia człowiekowi ściganemu przez prawego władcę: wówczas będzie miał przynajmniej moje diamenty, będzie miał chleb.

Zerwać z hrabią... Zostać sam na sam z nim po tym, co zaszło, to dla mnie czyste niepodobieństwo. Biedny człowiek! Nie jest zły, przeciwnie, jest tylko słaby. Ta pospolita dusza nie jest na miarę naszych. Biedny Fabrycy! czemu nie możesz być tu na chwilę ze mną, aby się naradzić w tym straszliwym położeniu!

Małostkowa ostrożność hrabiego krępowałały mnie; zresztą nie trzeba wciągać go w moją zgubę... Czemuż by próżność tyrana nie miała mnie wtrącić do turmy<sup>56</sup>? Spiskowałam... cóż łatwiejszego do udowodnienia? Gdyby mnie wysłał do cytadeli i gdybym mogła za cenę złota widzieć się bodaj chwilę z Fabrycym, z jakąż odwagą szlibyśmy oboje na śmierć! Ale zostawmy te szaleństwa; wierny Rassi poradziłby mi skończyć ze mną za pomocą trucizny; widok mojej osoby, wiezionej przez ulice na śmiertelnym wózku, mógłby poruszyć serca drogich Parmeńczyków... Ale co! wciąż romanse! Ach, trzeba przebaczyć te szaleństwa biednej kobiecie, której los jest tak smutny! Księżę nie wyśle mnie na śmierć; ale nic łatwiejszego niż wtrącić mnie do więzienia i przetrzymać tam; każe ukryć w jakim zakamarku mego pałacu podejrzone papiery, tak jak zrobiono z biednym hrabią L... Wówczas trzech sędziów, nawet nie zbyt łaskawych — będą wszak mieli *corpus delicti*<sup>57</sup> — oraz tuzin fałszywych świadków wystarczy. Mogę tedy być skazana na śmierć za spisek, a księżę, w nieskończonej łagodności, biorąc pod uwagę, że niegdyś miałam zaszczyt należeć do jego dworu, zamieni moją karę na dziesięć lat twierdzy. Ale ja, aby się nie zaprzeć tego gwałtownego charakteru, który kazał mi nieraz nagadać tyle głupstw margrabinie Raversi i innym wrogom, struję się mężnie w więzieniu. Przynajmniej publiczność będzie tak łaskawa, aby w to wierzyć; ale założę się, że Rassi zjawi się w mojej kaźni, aby mi uprzejmie przynieść, imieniem monarchy, flakonik strychniny lub opium z Perugii.

Tak, trzeba mi zerwać bardzo ostentacyjnie z hrabią, nie chcę go ciągnąć za sobą do zguby, to by była nikczemność; biedak, kochał mnie z takim oddaniem. Głupotą moją było, że uwierzyłam, iż w prawdziwym dworaku może zostać dość duszy, aby go uczynić zdolnym do miłości. Prawdopodobnie księżę znajdzie jakiś pozór, aby mnie wtrącić do więzienia; będzie się obawiał, abym nie pozyskała opinii dla Fabrycego. Hrabia jest człowiekiem honoru; natychmiast uczyni to, co kreatury dworskie w swoim zdumieniu nazwą szaleństwem — opuści dwór. Spoliczkowałam owego wieczoru powagę księcia; mogę oczekiwać wszystkiego po jego zranionej próżności: czyż człowiek urodzony księciem zapomni kiedy tego, co przeżył owego wieczora?... Zresztą po zerwaniu ze mną hrabia będzie miał większą możliwość ratowania Fabrycego. Ale gdyby hrabia, którego moje postanowienie przywiedzie do rozpacz, zemścił się?... Nie, taka myśl nie postanie w nim nigdy! To nie jest dusza do gruntu podła jak ów księżę; hrabia może, wdychając, kontrasygnować haniebny dekret, ale jest człowiekiem honoru. A wreszcie, za co się

<sup>56</sup>turma (daw.) — więzienie. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>corpus delicti (łac.) — dowód zbrodni. [przypis edytorski]

mścić? Czy za to, że po pięciu latach, nie dawszy jego miłości cienia powodu do urazy, powiem mu: »Drogi hrabio, miałam to szczęście, że cię kochałam; otóż ten płomień gaśnie; nie Kocham cię już, ale znam twoje serce, zachowam dla ciebie szacunek i będziesz zawsze moim najlepszym przyjacielem.«

Co może odpowiedzieć zacny człowiek na tak szczere wyznanie?

Wezmę nowego kochanka, przynajmniej świat będzie tak myślał. Powiem temu kochankowi: »W gruncie książe ma słuszność, że karze wybryk Fabrycego; ale w dzień swoich imienin bez wątpienia nasz łaskawy monarcha wróci mu wolność.« W ten sposób zyskuję pół roku. Nowym kochankiem, którego wskazywałby rozsądek, byłby ten przedajny sędzia, bezecny kat, ten Rassi... Czuli się zaszczycony i w istocie zapewniłabym mu wstęp do towarzystwa. Przebac, drogi Fabrycy, taki wysilek jest dla mnie poza granicami możliwości. Jak to! Ten potwór, jeszcze zbryzgany krwią patriotów... Zemdlałabym ze zgrozy, gdyby się zbliżył do mnie, lub raczej chwyciłabym nóż i zatopiłabym w jego bezecnym sercu. Nie żądam ode mnie niemożliwości!

Tak, przede wszystkim zapomnieć Fabrycego! I ani cienia gniewu na księcia! Wrócić do zwykłej wesołości, która wyda się tym miłsza tym duszom z błota; po pierwsze — bo będzie się zdawało, że poddaję się chętnie ich władcy; po wtóre — bo zamiast drwić sobie z nich, będę się starała podkreślać ich zalety; powinszuję na przykład hrabiemu Zurla białego pióra na kapeluszu, które sprowadził z Lionu kurierem i z którego jest taki szczęśliwy.

Wybrać kochanka w stronnictwie tej Raversi... Jeśli hrabia ustąpi, będzie to stronnictwo ministerialne: tam przejdzie władza. Któryś z przyjaciół margrabiny będzie panem cytadeli, bo Fabio Conti wejdzie do ministerium. W jaki sposób książe, człowiek światowy i bystry, nawykły do przemilej pracy z hrabią Mosca, zdoła konferować z tym tępy m wolem, z koronnym głupcem, który całe życie zajmował się tylko tym kapitalnym problemem: czy żołnierze Jego Wysokości powinni mieć u munduru siedem guzików czy dziewięć? To są te bydlęta tak zazdrosne o mnie. I w tym właśnie niebezpieczeństwo dla ciebie, drogi Fabrycy! Te bestie będą rozstrzygały o twoim i o moim losie! Zatem nie trzeba, aby hrabia zgłosił dymisję! Niech zostanie, choćby miał znosić upokorzenia! Wyobraża sobie zawsze, że podać się do dymisji jest największym poświęceniem, jakie może uczynić pierwszy minister; i ilekroć zwierciadło mówi mu, że się starzeje, ofiaruje mi to poświęcenie. Zatem, zerwanie zupełne, tak; a pojednanie jedynie w tym wypadku, gdyby nie było innego sposobu zapobieżenia jego dymisji. Oczywiście załatwię to w sposób jak najmiłszy; ale czuję, że po tym służalczym opuszczeniu słów *niesprawiedliwy wyrok* w bileciku księcia, czuję, że aby go nie nienawidzić, potrzebuję spędzić kilka miesięcy bez jego widoku. Owego rozstrzygającego wieczora nie potrzebowałam jego rozsądku; trzeba mu było jedynie pisać pod mym dyktandem, trzeba mu było jedynie napisać to słowo, *które zdobyłam* swoim impetem; nałogi dworactwa zwyciężyły. Powiedział mi nazajutrz, że nie mógł swemu władcy dawać do podpisu niedorzeczności, że trzeba by tutaj *ułaskawienia*. Ech, dobry Boże, z takimi ludźmi, z takimi potworami próżności i złośliwości zwanym *Farnese*, bierze się, co się da.”

Na tę myśl gniew jej zawrzał na nowo. „Książę mnie oszukał — powiadała sobie — i jak podle!... Nic go nie może usprawiedliwić: ma inteligencję, spryt, rozum; nikczemne są w nim jedynie namiętności. Ileż razy zauważyliśmy to z hrabią: staje się bydlęciem, gdy sobie ubrda, że go ktoś chciał obrazić. Otóż zbrodnia Fabrycego nie ma nic wspólnego z polityką; to zwykłe zabójstwo, jakich się zdarza setki na rok w jego szczęśliwych Stanach, a hrabia przysiągł mi, że zebrał najdokładniejsze informacje i że Fabrycy jest niewinny. Ten Giletti nie był tchórz; czując się o dwa kroki od granicy uległ pokusie pozbycia się rywala, który umiał się spodobać jego damie.”

Księżna zastanawiała się długo, czy podobna wierzyć w winę Fabrycego: nie iżby uważała, że jest wielkim grzechem, dla człowieka takiego jak jej bratanek, pozbyć się zuchwałego komedianta; ale w swojej rozpaczycy zaczynała czuć mglisto, że będzie musiała walczyć o niewinność Fabrycego. „Nie — powiedziała sobie wreszcie — oto stanowczy dowód: on jest taki jak mój biedny Pietranera, ma zawsze pełno broni po kieszeniach, a tego dnia miał tylko lichą fuzyjkę, i to jeszcze pożyczoną od robotników.

Nienawidzę księcia, bo mnie oszukał, i to najnikczemniej; po swym liście, zawierającym przebaczenie, kazał porwać biednego chłopca w Bolonii itd. Ale policzmy się!”

Około piątej rano księżna, złamana tym długim atakiem rozpaczy, zadzwoniła na garderobiane — wydały głośny krzyk. Widząc ją na łóżku zupełnie ubraną, w diamentach, bladą jak giezło i z zamkniętymi oczami — miały wrażenie, że widzą ją na katafalku. Byłyby ją wzięły za zemdloną, gdyby nie uprzytomniły sobie, że przed chwilą dzwoniła na nie. Kilka skąpych łez spływało po martwych policzkach; z gestu jej dworki zrozumiały, że chce się położyć.

Po wieczorze u ministra Zurla hrabia dwa razy zjawił się u księżnej; znajdując wciąż zamknięte drzwi, napisał do niej, że chce się jej poradzić we własnej sprawie. Czy ma zachować swą pozycję po afroncie, jaki mu uczyniono? Hrabia dodawał: „Ten młody człowiek jest niewinny; ale gdyby i był winny, czy godziło się go aresztować nie uprzedziwszy mnie, jego protektora?” Księżna otworzyła ten list nazajutrz.

Hrabia nie był cnotliwy; można dodać, że to, co liberały rozumieją przez *cnotę* (dążenie do szczęścia mas), wydawało mu się głupstwem; sądził, że ma obowiązek starać się przede wszystkim o szczęście hrabiego Mosca della Rovere; ale miał poczucie honoru i był szczery, kiedy mówił o dymisji. W życiu swoim nie skłamał księżnej; ona zresztą nie zwróciła najmniejszej uwagi na ten list; powzięła już postanowienie, i to postanowienie bardzo ciężkie, mianowicie *udawać, że zapomniiała o Fabrycy*; po tym wysiłku wszystko było jej obojętne.

Nazajutrz w południe hrabiego, który dziesięć razy zachodził do pałacu Sanseverina, wpuszczono wreszcie; ujrawszy księżnę, przeraził się... „Ma czterdzieści lat! — powiedział sobie — a wczoraj taka świetna, taka młoda!... Wszyscy mi mówili, że w czasie długiej rozmowy z Klelią Conti wyglądała równie młodo i o ileż ponętniej!”

Głos, ton księżnej były równie niezwykle jak jej twarz. Ton ten — wyzuty z wszelkiego uczucia, z wszelkiego ludzkiego zainteresowania, z wszelkiego gniewu — sprawiał, iż hrabia pobladał; przypomniał mu jednego z przyjaciół, który parę miesięcy wprzód, mając umrzeć i już przyjąwszy sakramenty, chciał z nim pomówić.

Po kilku minutach księżna zdolna była mówić. Spojrzała na hrabiego, oczy jej pozostały zgasłe.

— Rozstańmy się, drogi hrabio — rzekła głosem słabym, ale wyraźnym, i starając się głos ten uczynić miłym — rozstańmy się, tak trzeba! Niebo mi świadkiem, że od pięciu lat byłam wobec ciebie bez zarzutu. Dafeś mi świetną egzystencję w miejsce nudy, która byłaby moim smutnym udziałem w Grianta; bez ciebie byłabym znalazła starość o kilka lat wcześniej... Z mojej strony jedynym moim staraniem było dawać ci szczęście. Dlatego właśnie, że cię kocham, ofiarowuję ci to rozstanie *po dobremu*, jak mówią we Francji.

Hrabia nie zrozumiał; musiała powtarzać kilka razy. Zbladł i rzucając się na kolana przy jej łóżku, rzekł wszystko, co zdumienie, a później najżywsza rozpacz mogą nasunąć rozumnemu człowiekowi, zakochanemu bez pamięci. Co chwila ofiarowywał się podać do dymisji i jechać ze swą przyjaciółką na jakieś odludzie o tysiąc mil od Parmy.

— Ty śmiesz mówić mi o wyjeździe, a Fabrycy jest tu! — wykrzyknęła wreszcie, zrywając się. Ale spostrzegłszy, że imię Fabrycego sprawia mu wielką przykrość, dodała po chwili, wytchnąwszy nieco i ściskając lekko rękę hrabiego: — Nie, drogi przyjacielu, nie powiem, że cię kochałam z namiętnością i żarem, których nie doświadcza się już, o ile mi się zdaje, po trzydziestce, a ja już mam ją daleko za sobą. Powiedz ci, że kochałam Fabrycego; wiem, że takie pogłoski obiegały na tym *niegodziwym* dworze. (Oczy jej zabłysły pierwszy raz podczas tej rozmowy, gdy wymawiała słowo *niegodziwy*.) Przysięgam ci w obliczu Boga, na życie Fabrycego, że nigdy nie zaszło między nim a mną nic, na co by nie mogło patrzeć oko osoby trzeciej. Nie powiem ci także, że kocham go ściśle tak jak siostra; kocham go, że tak powiem, z instynktu. Kocham w nim jego odwagę tak prostą i doskonałą, iż można by rzec, że sam o niej nie wie; przypominam sobie, że ten podziw zaczął się za jego powrotem spod Waterloo. Był jeszcze dzieckiem mimo swoich siedemnastu lat; najwyraźniejszą jego troską było dowiedzieć się, czy naprawdę brał udział w bitwie, a w razie jeśli *tak*, czy może powiedzieć, że się bił, on, który nie szedł do ataku na żadną nieprzyjacielską baterię ani kolumnę. W czasie wielce poważnych dyskusji na ten doniosły temat zaczęłam ulegać jego urokowi. Poznawałam wielkość jego duszy; ileż zręcznych kłamstw roztoczyłby na jego miejscu młodzieniec dobrze wychowany! Słowem, jeśli on nie jest szczęśliwy, i ja nie mogę być szczęśliwa. Ot, to jest słowo,

które maluje stan mego serca; jeśli to nie jest prawda, to jest przynajmniej wszystko, co w sobie dostrzegam.

Hrabia, ośmielony tym tonem szczerości i przyjaźni, chciał ucałować jej rękę; cofnęła ją jakby ze zgrozą.

— Te czasy się skończyły — rzekła — mam lat trzydzieści siedem, jestem u bram starości, czuję już całe jej zniechęcenie, a może i jestem bliska grobu. Ta chwila ma być straszna, wedle tego, co mówią; mimo to zdaje mi się, że jej pragnę. Czuję w sobie najgorszy objaw starości: serce moje jest zgaszone tym nieszczęściem, nie mogę już kochać. Widzę w tobie, drogi hrabio, już tylko cień kogoś, kto mi był drogi. Powiem ci więcej: jedynie wdzięczność sprawia, że mówię do ciebie w ten sposób.

— Co się ze mną stanie? — powiedział hrabia — czuję, że jestem do ciebie przywiązany bardziej niż w pierwszych naszych dniach w „La Scala”.

— Muszę ci wyznać, drogi przyjacielu, że rozmowa o miłości nudzi mnie i wydaje mi się czymś nieobyčajnym. No — rzekła, próżno siląc się na uśmiech — odwagi! Bądź człowiekiem rozsądnym, przytomnym, zdającym sobie sprawę z sytuacji. Bądź ze mną tym, czym jesteś istotnie w oczach ludzi obojętnych: najrzęczniejszym człowiekiem i największym politykiem, jakiego Włochy wydały od wieków.

Hrabia wstał i przechadzał się kilka chwil w milczeniu.

— Niepodobna, droga przyjaciółko — rzekł wreszcie — czuję w sobie rozdarcie najgwałtowniejszej miłości, a ty mi każesz radzić się mego rozsądku? Nie ma już dla mnie rozsądku!

— Nie mówmy o miłości, proszę — rzekła sucho; pierwszy raz od dwóch godzin głos jej przybrał jakieś zabarwienie.

Hrabia, sam w rozpacz, starał się ją pocieszyć.

— Oszukał mnie! — wykrzyknęła, nie odpowiadając ani słowem na argumenty, którymi hrabia starał się w niej obudzić nadzieję — on mnie oszukał w najpodlejszy sposób. — Śmiertelna bladłość ustąpiła na chwilę; ale nawet w chwili tego gwałtownego podniecenia hrabia zauważył, że nie miała siły podnieść ręki.

„Wielki Boże! byłoby możliwe — pomyślał — aby ona była tylko chora? W takim razie byłby to początek jakiejś poważnej choroby.” Zdjęty niepokojem poddał, aby wezwać słynnego Razoni, najlepszego lekarza w całych Włoszech.

— Chce pan tedy dostarczyć obcemu tej przyjemności, aby poznał rozmiary mej rozpacz?... Czy to rada zdraycy, czy przyjaciela? — i spojrzała nań dziwnym wzrokiem.

„Stało się — powiedział sobie z rozpaczą — nie kocha mnie już! Co więcej, nie stawia mnie już nawet w rzędzie pospolitych ludzi honoru.”

— Przyznam ci się — dodał hrabia gorączkowo — że chciałem przede wszystkim mieć szczegóły tego nieszczęsnego uwięzienia i — rzecz szczególna! — nie wiem jeszcze nic pewnego. Kazałem przesłuchać żandarmów najbliższego posterunku; widzieli więźnia przybywającego do Castelnovo i otrzymali rozkaz eskortowania wózka. Wyprawilem natychmiast ponownie Brunona, którego gorliwość i oddanie znasz równie dobrze jak ja; ma rozkaz udać się od stacji do stacji, aby się dowiedzieć, gdzie i jak Fabrycego uwięziono.

Na dźwięk tego imienia „Fabrycy” księżnę przebiegł konwulsyjny dreszcz.

— Wybacz, drogi przyjacielu — rzekła do hrabiego, z chwilą gdy mogła mówić — te szczegóły interesują mnie bardzo, powiedz mi wszystko, wytłumacz mi dokładnie najdrobniejsze okoliczności.

— Zatem, łaskawa pani — rzekł hrabia siląc się na ton żartobliwy, aby ją orzeźwić nieco — mam ochotę wysłać zaufanego posłańca do Brunona i kazać mu, aby dotarł do Bolonii; może to tam porwano naszego młodego przyjaciela. Jaką datę ma jego ostatni list?

— Wtorek, pięć dni temu.

— Czy otwierano go na pocztę?

— Nie ma żadnego śladu. Muszę objaśnić, że pisany był na najlichszym papierze, adresowany ręką kobiecą, a sam adres opiewa na imię starej praczki, krewnej mojej pokojowej. Praczka myśli, że chodzi tu o miłość, a Chekina zwraca jej porto bez żadnych wyjaśnień.



Hrabia, który przybrał ton ściśle rzeczowy, starał się z księżną dojść, którego dnia mogło nastąpić porwanie w Bolonii. Wówczas dopiero spostrzegł, on, który miał tyle taktu, że to był ton właściwy. Szczegóły te zajmowały nieszczęśliwą kobietę i rozrywały ją nieco. Gdyby hrabia nie był zakochany, byłby wpadł na ten prosty pomysł od samego początku. Księżna wyprawiła go, aby mógł bez zwłoki przesłać nowe rozkazy wiernemu Brunonowi. Kiedy potraćili mimochodem kwestię, czy istniał już wyrok, w chwili gdy książę podpisywał bilecik dla pani Sanseverina, chwyciła skwapliwie sposobność, aby powiedzieć hrabiemu:

— Nie będę ci wyrzucała, żeś opuścił słowa *niesprawiedliwy wyrok* w liście, który napisałeś, a który on podpisał: to instykt dworaka chwycił cię za gardło; nie zdając sobie sprawy z tego, przełożyłeś interes twego pana nad dobro swojej przyjaciółki. Poddałeś swoje czyny moim rozkazom, drogi hrabio, i to od dawna, ale nie jest w twojej mocy zmieniać swoją naturę; masz talenty ministra, ale masz i ducha tego rzemiosła. Usunięcie słowa *niesprawiedliwy* jest moją zgubą, ale nie pragnę ci tego wyrzucić w żadnym sposobie; to była wina instyktu, a nie zamiaru.

Pamiętaj tyle — dodała, zmieniając ton, głosem rozkazującym — nie jestem zbyt zmartwiona porwaniem Fabrycego; nie mam najmniejszej chęci opuszczać tego kraju; jestem przejęta szacunkiem dla monarchy. Oto, co trzeba mówić, ja zaś powiem ci tyle: ponieważ pragnę na przyszłość sama kierować swymi postępami, chcę się rozstać z tobą zgodnie, to znaczy: jak dobrzy i starzy przyjaciele. Uważaj, że mam sześćdziesiąt lat, młoda kobieta umarła we mnie, nie potrafię już tworzyć sobie złudzeń, nie potrafię już kochać. Ale byłabym jeszcze nieszczęśliwsza, niż jestem, gdyby mi się zdarzyło narazić twoje losy. Może dla moich planów wypadnie mi przybrać pozór, że mam młodego kochanka, a nie chciałabym sprawić ci zgryzoty. Mogę przysiąc na szczęście Fabrycego — zatrzymała się chwilę po tym słowie — że nigdy nie zdradziłam cię, i to przez całe pięć lat. To bardzo długo — rzekła; próbowała się uśmiechnąć. Błede policzki zadrgały, ale wargi nie mogły się rozchylić. — Przysięgam ci nawet, że nigdy nie miałam zamiaru ani ochoty. Zatem rzecz załatwiona; zostaw mnie teraz.

Hrabia opuścił pałac w rozpaczy: czuł u księżnej niewzruszone postanowienie zerwania z nim, a nigdy równie nie był bezpamiętnie zakochany. Jest to jedna z rzeczy, do których trzeba mi wracać często, są bowiem nieprawdopodobne poza Włochami. Wróciwszy do domu wysłał pojedynczo aż sześciu ludzi na drogę do Castelnovo i do Bolonii i opatrzył ich listami. „Ale to nie wszystko — powiedział sobie nieszczęsny hrabia — księciu może przyjść fantazja stracić to nieszczęsne dziecko, aby się zemścić za ton Giny owego fatalnego wieczora. Czulem, że ona przekroczyła granicę, której nie powinno się przekraczać nigdy, i aby naprawić rzecz, popełniłem niewiarygodne głupstwo, usuwając słowa *niesprawiedliwy wyrok*, jedyne, które wiązały księcia... Ale ba! czy takich ludzi wiąże cośkolwiek? To jest bez wątpienia największy błąd mego życia; postawiłem na kartę wszystko, co może mieć wartość dla mnie; chodzi o to, aby energią i zręcznością naprawić tę omyłkę. Ostatecznie, jeśli nie zdołam nic osiągnąć, nawet poświęcając nieco ze swej godności, rzucam tego człowieka; ze swoimi marzeniami o wielkiej polityce, ze swoimi pomysłami zostania królem konstytucyjnym Lombardii, zobaczymy, jak sobie da radę beze mnie... Fabio Conti jest głupiec, cały zaś talent Rassiego sprowadza się do tego, że umie legalnie wyprowadzić na szubienicę człowieka, który się naraził władzy.”

Raz powziąwszy silne postanowienie dymisji, w razie gdyby przekroczone wobec Fabrycego granice prostego aresztu, hrabia powiedział sobie: „Jeżeli kaprys niebacznie podrażnionej próżności tego człowieka kosztuje mnie moje szczęście, przynajmniej zostanie mi honor... Ale ba! skoro sobie drwię ze swej teki, mogę sobie pozwolić na różne rzeczy, które dziś rano jeszcze wydałyby mi się niemożliwe. Na przykład spróbować wszystkiego, aby ułatwić Fabrycemu ucieczkę. Wielki Boże! — wykrzyknął hrabia otwierając szeroko oczy, jak gdyby na widok nieoczekiwanego szczęścia — księżna nie wspomniała mi o ucieczce: czyżby raz w życiu zgrzeszyła brakiem szczerości? Miałożby to zerwanie być jedynie chęcią, abym zdradził księcia? Na honor, już się stało.”

Oko hrabiego odzyskało całą sceptyczną przenikliwość. „Ten miły *factotum* Rassi płatny jest przez swego pana za wszystkie wyroki, które okrywają nas hańbą w Europie, ale nie jest człowiekiem, który by wzgardził moim żołdem za to, aby mi zdradzić tajemnicę swego pana. Ten łajdak ma kochankę i spowiednika, ale kochanka jest zbyt plugawa

na to, abym mógł z nią mówić, nazajutrz rozgadałaby to wszystkim przekupkom w sąsiedztwie.” Hrabia, zbudzony do życia błyskiem nadziei, już pędził do katedry: zdumiony lekkością swego chodu, uśmiechał się mimo troski. „Co to znaczy — powiedział — nie czuć się już ministrem!” Katedra ta, jak wiele kościołów we Włoszech, służy za przejście z jednej ulicy na drugą; wszedłszy, hrabia ujrzał z daleka w nawie jednego z wielkich wikariuszów.

— Skoro Waszą Wielbność spotykam — rzekł — czy ksiądz będzie tak łaskaw oszczędzić mej podagrze paru piętér drogi i oznajmić arcybiskupowi, iż byłbym mu wielce obowiązany, gdyby zechciał się potrudzić do zakrystii.

Arcybiskup był uszczęśliwiony z wezwania: miał ministrowi powiedzieć mnóstwo rzeczy w związku z Fabrycym. Ale minister domyślił się, że to będą same frazesy, i nie chciał nawet słuchać.

— Co to za człowiek Dugnani, wikary u Świętego Pawła?

— Mały umysł, a wielka ambicja — odparł arcybiskup — mało skrupułów, a wiele potrzeb; no i grzeszków bez liku.

— Tam, do kata! — wykrzyknął minister. — Wasza Wielbność maluje jak Tacyt — i pożegnał arcybiskupa, śmiejąc się. Wróciwszy do ministerium, natychmiast kazał wezwać księdza Dugnani.

— Pan kierujesz sumieniem mego przyjaciela Rassi, czy on nic nie ma mi do powiedzenia? — Nie dodał nic więcej i odprawił księdza bez ceremonii.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Hrabia uważał się już za byłego ministra. „Rozpatrzmy się nieco — i rzekł sobie — ile będziemy mogli trzymać koni po mej nielasce; bo takie miano dadzą mojej dymisji.” Hrabia obliczył w myśli swój majątek: wszedł do ministerium z osiemdziesięcioma tysiącami; ku swemu zdumieniu ujrzał, iż wszystko policzywszy, jego obecny stan posiadania nie dochodzi pięciuset tysięcy franków. „Najwyżej dwadzieścia tysięcy renty — powiedział sobie. Trzeba przyznać, że jestem bardzo lekkomyślny; nie ma w Parmie ani jednego lyka, który by nie myślał, że mam sto pięćdziesiąt tysięcy renty; a ksiądz jest na tym punkcie gorszy lyk od innych. Kiedy mnie ujrzą w nędzy, powiedzą, że dobrze umiem ukrywać majątek. Do kroćset! — wykrzyknął — jeżeli będę ministrem jeszcze trzy miesiące, trzeba mi podwoić majątek.” Ujrzał w tej chwili sposobność napisania do księżnej i chwycił się jej skwapliwie; ale aby w obecnej ich sytuacji usprawiedliwić ten list, wypełnił go cyframi i rachunkami. „Będziemy mieli — pisał — tylko dwadzieścia tysięcy franków, aby żyć we troje z Fabrycym w Neapolu. Fabrycy i ja będziemy mieli jednego wierzchowego konia na nas dwóch.” Zaledwie minister wysłał list, oznajmiono generalnego poborcę Rassięgo; przyjął go wyniośle, nieomal wzgardliwie.

— Cóż to — rzekł — pan każesz porywać z Bolonii człowieka, którego ja proteguję, co więcej, chcesz go pan posłać na rusztowanie i nic mi nie mówisz? Czy pan zna przynajmniej nazwisko mego następcy? Czy to generał Conti, czy pan sam?

Rassi zmieszał się; zbyt mało był obyty w wielkim świecie, aby zgadnąć, czy hrabia mówi serio; zacerwienił się, bąknął coś niezrozumiale; hrabia patrzył nań i sycił się jego kłopotem. Nagle Rassi otrząsnął się i wykrzyknął swobodnie z miną Figara<sup>58</sup> schwytanego przez Almavivę na gorącym uczynku:

— Na honor, hrabio, nie będę kręcił z Waszą Eksceleńcją! Co mi pan da, abym odpowiedział na wszystkie pytania tak, jakbym odpowiedział swemu spowiednikowi?

— Krzyż Św. Pawła (jest to order Parmy) lub pieniądze, jeżeli mi pan zdoła dostarczyć pozorów, pod jakim mógłbym je dać.

— Wolę raczej krzyż Św. Pawła, bo daje szlachectwo.

— Jak to, drogi poborco, pan jeszcze sobie coś robi z naszego biednego szlachectwa?

— Gdybym się urodził szlachcicem — odparł Rassi z bezwstydem godnym swego rzemiosła — krewni tych, których wysłałem na szubienicę, nienawidziliby mnie, ale by mną nie gardzili.

<sup>58</sup> Figaro — sprytny służący hrabiego Almavivy w komediach Beaumarchais’go *Cyrulik sewilski* i *Wesele Figara*. [przypis redakcyjny]

— Zatem ja cię ocalę od wzgardy, a pan mnie wylecz z mej nieświadomości. Co zamierzacie zrobić z Fabrycym?

— Na honor, książę jest w kłopotcie; lęka się, iż urzeczony pięknymi oczami Armidy<sup>59</sup>, daruje Ekscelencja ten zwrot nieco swobodny, ale to są słowa księcia, lęka się tedy, iż urzeczony pięknymi oczami, które podbiły troszkę i księcia samego, puści go pan w trąbę, a pan jeden umiesz lawirować wśród jego spraw lombardzkich. Powiem nawet Ekscelencji — dodał Rassi zniżając głos — że jest tu dla pana wspaniała gratka, warta krzyża Św. Pawła, który mi pan daje. Książę przyznałby panu, jako dar narodowy, majątek wartości sześciuset tysięcy franków, który wykroiłby ze swoich domen, lub trzysta tysięcy talarów gratyfikacji, o ile by się pan zechciał nie zajmować losem imć Fabrycego del Dongo lub bodaj nie mówić o nim z księciem inaczej niż publicznie.

— Spodziewałem się czegoś lepszego — rzekł hrabia. — Nie zajmować się Fabrycym, to znaczy poróżnić się z księżną.

— Otóż to właśnie powiada nasz monarcha; fakt jest, że mówiąc między nami, strasznie ma na wątróbcę panią Sanseverina; zarazem obawia się, aby Ekscelencja, jako rekompensatę za poróżnienie się z tą lubą damą, obecnie, kiedy Ekscelencja jest wdowcem, nie poprosił go o rękę jego kuzynki, starej księżniczki Izoty, która liczy dopiero pięćdziesiąt latek.

— Zgadł! — wykrzyknął hrabia. — Nasz pan jest najsprytniejszym człowiekiem w całym państwie.

Nigdy hrabia nie miał tego dzikiego pomysłu, aby się chcieć żenić ze starą księżniczką; nic mniej ponętnego dla człowieka, którego ceremonie dworskie nudziły śmiertelnie.

Zaczął się bawić tabakierką na marmurowej płycie stoliczka stojącego przy jego fotelu. W geście tym, wyrażającym zakłopotanie, Rassi ujrzał możliwość nowej gratki; oko mu błysło.

— Panie hrabio! — wykrzyknął — jeżeli Ekscelencja zechce przyjąć albo owe dobra, albo gratyfikację, proszę nie szukać innego pośrednika niż mnie. Podjąłbym się — dodał zniżając głos — wystarać się o powiększenie kwoty lub nawet o dołączenie do tych dóbr sporego kawałka lasu. Gdyby Wasza Ekscelencja raczył okazać księciu nieco wyrozumienia i delikatności w sprawie tego urwisa, który się znalazł pod kluczem, dałoby się może związać tytuł książęcy z majątkiem, który ofiarowałaby Ekscelencji wdzięczność narodo-wa. Powtarzam Waszej Ekscelencji: w tej chwili książę wściekły jest na panią Sanseverina, ale jest mocno zakłopotany, i to do tego stopnia, iż niekiedy gotów jestem odgadywać jakieś tajemnicze okoliczności, których mi nie śmie wyznać. W gruncie rzeczy moglibyśmy tu znaleźć kopalnię złota, w ten sposób, że ja bym panu sprzedawał jego najtajniejsze sekrety. Nic łatwiejszego; uważają mnie za pańskiego śmiertelnego wroga. Książę, o ile wściekły jest na tę damę, o tyle uważa, jak wszyscy zresztą, że pan jeden mógłby skutecznie poprowadzić sekretne rokowania z Mediolanem. Czy Ekscelencja pozwoli mi powtórzyć dosłownie wyrażenie księcia? — rzekł Rassi, rozgrzewając się — słowa mają swoją fizjonomię, której nie umiałby oddać żaden komentarz; z pewnością pan w nich wyczyta więcej ode mnie.

— Pozwalam na wszystko — rzekł hrabia wciąż z roztargnieniem pukając w marmur złotą tabakierką — pozwalam na wszystko i będę wdzięczny.

— Niech mi Wasza Ekscelencja da szlachectwo z prawem dziedziczności, niezależnie od krzyża, a będę aż nadto zadowolony. Kiedy wspominam księciu o szlachectwie, odpowiada mi: „Łajdak taki jak ty — szlachcicem! Trzeba by od jutra zamknąć sklepik: nikt w całej Parmie nie chciałby już szlachectwa.” Aby wrócić do sprawy z Mediolanem, książę nie dalej niż trzy dni temu powiedział mi: „Jedynie ten ladaco potrafi płątać i rozplątywać te intrygi; jeśli go wypędzę lub jeśli wyjedzie za nią, trzeba mi wyrzec się nadziei zostania kiedyś liberalną i ubóstwioną przez całe Włochy głową kraju.”

Na te słowa hrabia odetchnął. „Fabrycy nie umrze” — powiedział sobie.

W życiu swoim nie mógł Rassi dobić się poufnej rozmowy z pierwszym ministrem; nie posiadał się ze szczęścia. Widział nadzieję porzucenia swego nazwiska, które stało się synonimem wszystkiego, co podłe i szpetne; ludek nazywał *Rassi* wściekle psy; niedawno pobiło się dwóch żołnierzy, bo jeden z nich nazwał drugiego *Rassi*. Wreszcie, nie minął

Imię, Pozycja społeczna

<sup>59</sup>*Armida* — urocza bohaterka *Jerozolimy wyzwolonej* Tassa. [przypis redakcyjny]

tydzień, aby to nieszczęsne miano nie znalazło się w jakimś jadowym wierszyku. Syna jego, Bogu ducha winnego szesnastoletniego studenta, wypędzono z kawiarni za to nazwisko.

To pałace wspomnienie wszystkich rozkoszy swojej pozycji popchnęło go do nierozwagi.

— Mam majątek — rzekł, zbliżając się z krzesłem do fotela ministra — nazywa się Riva; chciałbym być baronem Riva.

— Czemu nie — rzekł minister.

Rassi był jak oszalały.

— Zatem, hrabio, pozwolę sobie być niedyskretny, ośmielę się zgadnąć cel pańskich życzeń: pragnie pan ręki księżniczki Izoty. Szlachetna ambicja. Raz spokrewniony z dworem jest pan poza groźbą niełaski, ma pan księcia w ręku. Nie będę Ekscelencji ukrywał, że on się otrząsa na to małżeństwo. Ale gdyby sprawa dostała się w ręce zręcznego i *dobrze opłaconego* człowieka, można by mieć nadzieję...

— Ja, drogi baronie, nie mam żadnej, wypieram się z góry wszystkiego, co mógłbyś powiedzieć w mym imieniu; ale w dniu, w którym tak znakomita parantela ziści moje marzenia, zapewniając mi tak wysoką pozycję u dworu, ofiaruję ci trzysta tysięcy franków z własnej szkatuły lub poddam księciu, aby ci użyczyl jakiejś łaski, którą byś pan sam przełożył nad tę kwotę.

Czytelnikowi dłuży się ta rozmowa; a jednak oszczędziliśmy mu jej więcej niż połowę; ciągnęła się jeszcze dwie godziny. Rassi wyszedł od hrabiego oszalały ze szczęścia; hrabia pozostał z nadzieją ocalenia Fabrycego i bardziej niż kiedykolwiek gotów się podać do dymisji. Uważał, iż wpływowi jego zdałoby się, aby go odświeżyło powołanie do władzy takich ludzi jak Rassi i generał Conti; upajał się widokami zemsty na księciu. „Może wypędzić Ginę — wykrzyknął — ale, do kroćset, niech się pożegna z nadzieją zostania konstytucyjnym królem Lombardii.” (Była to śmieszna chimera; książę był trzeciym człowiekiem, ale tak długo o niej marzył, że się w niej rozkochał do szaleństwa.)

Hrabia nie posiadał się z radości, biegnąc do księżnej zdać sprawę ze swej rozmowy z Rassin. Zastał drzwi zamknięte; odźwierny zaledwie śmiał mu powtórzyć ten rozkaz otrzymany z ust samej pani. Hrabia wrócił smutny do pałacu; cios ten zniweczył radość, w jaką go wprawiła rozmowa z książęcym zausznikiem. Nie mając już serca do niczego, hrabia błędził smutno w galerii obrazów, kiedy w kwadrans później otrzymał taki bilecik:

Skoro faktem jest, drogi i dobry przyjacielu, że jesteśmy już tylko przyjaciółmi, nie trzeba mnie odwiedzać częściej niż trzy razy w tygodniu. Za jakiś czas uszczuplimy te odwiedziny, zawsze tak drogie memu sercu, do dwóch na miesiąc. Jeśli chcesz mi zrobić przyjemność, daj rozgłos temu oziębieniu stosunków; gdybyś chciał mi odplacić miłość, jaką czułam niegdyś do ciebie, znalazłbyś sobie nową przyjaciółkę. Co do mnie, mam zamiar się bawić; chcę dużo bywać, może nawet znajdę jakiegoś sympatycznego człowieka, który da mi zapomnieć o moich niedolach. Oczywiście, jako przyjaciel ty będziesz zawsze miał pierwsze miejsce w moim sercu; ale nie chcę, aby mówiono, że twój rozum kieruje moimi krokami; pragnę zwłaszcza, aby wiadano, że ja straciłam wszelki wpływ na twoje postanowienia. Słowem, drogi hrabio, wierzę, że zawsze będziesz dla mnie najdroższym przyjacielem, ale niczym więcej, nigdy. Nie chowaj, proszę cię, żadnej nadziei, wszystko jest skończone. Licz zawsze na mą przyjaźń.

Ten ostatni dos był zbyt silny; hrabia napisał ozdobny list do księcia z prośbą o zwolnienie go ze wszystkich urzędów i przesłał go swej przyjaciółce z prośbą, aby go wręczyła w pałacu. W chwilę później otrzymał swoją dymisję przedartą na czworo, na czystej zaś stronie księżna raczyła napisać: „Nie, po tysiąc razy nie!”

Trudno opisać rozpacz biednego ministra. „Ma słuszność, przyznaję — powtarzał sobie co chwila — opuszczenie słów *niesprawiedliwy wyrok* było strasznym nieszczęściem; spowodować może śmierć Fabrycego, a ta śmierć spowoduje moją.” Ze śmiercią też w duszy hrabia, który nie chciał się zjawić w pałacu władcy, nim ten go zawoła, napisał wła-

snoręcznie *motu proprio*<sup>60</sup>, mianujące Rassiego kawalerem orderu Św. Pawła i nadające mu dziedziczne szlachectwo; hrabia dołączył do tego raport na pół strony, w którym przedstawił racje stanu skłaniające go do tego kroku. Z odcieniem melancholijnej radości sporządził z tych dwóch dokumentów dwa odpisy i przesłał je księżnej.

Gubił się w domysłach; silił się zgadnąć, jaki będzie plan postępowania drogiej mu kobiety. „Ona sama nie wie — powiadał sobie — jedno jest pewne; to, że za nic w świecie nie cofnęłaby postanowienia, które mi oznajmiła.” Mękę hrabiego pomnażało jeszcze to, że nie mógł się dopatrzeć winy w jej postępowaniu. „Uczyniła mi łaskę, Kochając mnie; przestała mnie kochać po błędzie, mimowolnym, to prawda, ale który może pociągnąć straszne skutki; nie mam prawa się skarżyć.”

Nazajutrz rano hrabia dowiedział się, że księżna zaczęła bywać: pokazała się w wilię wieczorem we wszystkich domach, które przyjmowały tego dnia. „Co by się stało, gdybym się stawił równocześnie w którym z salonów? Jak mówić? Jaki ton przybrać? A w jaki sposób nie mówić do niej!”

Następny dzień był pod znakiem żałoby; rozeszło się, że Fabrycy ma być stracony; miasto było w poruszeniu. Dodawano, że księżę, przez wzgląd na jego urodzenie, raczył zarządzić, że ma być ścięty.

„To ja go zabijam — powiadał sobie hrabia — ani marzyć o tym, abym kiedy oglądał Ginę.” Mimo tego rozumowania, dość nieskomplikowanego, nie mógł się wstrzymać, aby trzy razy nie zjawić się u jej drzwi; prawdę mówiąc, aby nie zwracać uwagi, był pieszo. W rozpaczy zdobył się nawet na odwagę napisania do niej. Posyłał dwa razy po Rassiego. Poborca nie zjawił się. „Łajdak, zdradza mnie” — powiadał sobie hrabia.

Nazajutrz trzy nowiny poruszyły wielki świat, a nawet mieszczaństwo. Śmierć Fabrycego stawała się coraz pewniejsza; co zaś było bardzo osobliwe wobec tej wieści, księżna nie wydawała się zbyt zboląla. Na oko okazywała dość słabe współczucie swemu młodemu kochankowi; a przynajmniej wyzyskiwała zręcznie bladość mającą za źródło chorobę, która nawiedziła ją równocześnie niemal z uwięzieniem Fabrycego. Mieszczanie widzieli w tych szczegółach oschłość wielkiej damy. Dla przyzwoitości wszakże i niby przez ofiarę dla cieniów Fabrycego zerwała z hrabią Mosca. „Cóż za niemoralność!” — wykrzykiwali parmeńscy jansenści. Ale już księżna — rzecz niewiarygodna! — przyjmowała łaskawie hołdy dworskich gładyszów. Zauważono, między innymi, że bardzo wesoło rozmawiała z hrabią Baldi, kochankiem margrabiny Raversi, i że podżartowuje sobie z jego częstych wycieczek do Velleja. Drobne mieszczaństwo wraz z ludem było wielce oburzone śmiercią Fabrycego, którą przypisywano zazdrości hrabiego Mosca. Dwór również zajmował się bardzo hrabią, ale jedynie, aby się zeń wyśmiewać. Trzecią nowiną, którą podaliśmy do wiadomości, było w istocie nie co innego, tylko dymisja hrabiego Mosca; cały świat drwił sobie z pociesznego amanta, który w pięćdziesiątym szóstym roku poświęca wspaniałą pozycję pod wpływem strapienia, że go porzuca kobieta bez serca, od dawna zdradzająca go z młodym chłopcem. Jeden arcybiskup miał tyle rozumu lub raczej serca, aby odgadnął, że honor broni hrabiemu zostać nadal pierwszym ministrem w kraju, gdzie miano uciąć głowę — i to nie poradziwszy się jego, ministra! — chłopcu cieszącemu się jego protekcją. Wieść o dymisji hrabiego miała ten skutek, że wyleczyła podagrę generała Fabia Conti; opowiemy o tym we właściwym miejscu, kiedy będzie mowa o tym, jak biedny Fabrycy spędzał czas w cytadeli, gdy całe miasto wywiadywało się o godzinę jego stracenia.

Następnego dnia zjawił się Bruno, wierny sługa, którego hrabia wyprawił do Bolonii; widok tego człowieka wchodzącego do gabinetu wzruszył go; hrabia przypomniał sobie szczęśliwy nastrój, w jakim się znajdował, kiedy go posyłał do Bolonii, prawie w porozumieniu z księżną. Bruno wracał z Bolonii, gdzie niczego się nie dowiedział; nie mógł odszukać Lodovica, którego podesta Castelnovo zatrzymał w więzieniu.

— Poślę cię znowu do Bolonii — rzekł hrabia do Brunona — księżnej zależy na tym, aby poznać szczegóły nieszczęść Fabrycego. Zwróć się do sierżanta żandarmerii w Castelnovo... Albo nie! — przerwał sam sobie hrabia — jedź natychmiast do Lombardii i opłać sowicie naszych korespondentów. Pragnę wydobyć od tych ludzi raporty najbardziej pocieszające.

<sup>60</sup>*motu proprio* — tu: postanowienie, dekret. [przypis tłumacza]

Bruno, zrozumiałwszy cel misji, zaczął pisać dla siebie listy uwierzytelniające. Gdy hrabia dawał mu ostatnie zlecenia, otrzymał list wybitnie fałszywy, ale bardzo gładko napisany, można by rzec — proszący przyjaciela o przysługę. Piszącym był nie kto inny, tylko książę. Usłyszawszy coś o zamiarze dymisji, błagał swego przyjaciela, hrabiego Mosca, aby zatrzymał swój urząd; prosił go o to w imię przyjaźni i *niebezpieczeństw ojczyzny*, nakazywał mu to jako jego władca. Dodawał, że król ... oddał właśnie do jego rozporządzenia dwie wielkie wstęgi swego orderu, zatrzymuje tedy jedną, dla siebie, a posyła drugą swemu drogiemu hrabiemu Mosca.

— To bydlę pcha mnie do nieszczęścia! — wykrzyknął hrabia, wściekły, wobec zdumionego Brunona. — Myśli, że mnie złapie na frazesy, które tylekroć układaliśmy razem, aby wziąć na lep jakiegoś dudka.

Odrzucił order, który mu ofiarowywano i w odpowiedzi swojej wspomniał o stanie zdrowia, które niewiele zostawia mu nadziei, aby mógł jeszcze długo sprawować wyczerpującą funkcję ministra. Hrabia był wściekły. W chwilę później oznajmiono poborcę Rassiego, którego potraktował jak psa.

— I cóż? Dłatego, że pana zrobił szlachcicem, zaczynasz być zuchwały? Czemuś pan nie przyszedł wczoraj podziękować mi, jak to było twoim pierwszym obowiązkiem, chystku?

Rassi był wyższy ponad obelgi; w tym właśnie tonie przyjmował go co dzień książę; świeży szlachcic chciał jeszcze zostać baronem. Toteż usprawiedliwiał się zrećźnie. Przyszło mu to bardzo łatwo.

— Książę przygwoździł mnie do stołu na cały dzień; nie mogłem wydostać się z pałacu. Jego Wysokość kazał mi moim koślawym piśmem skopiować mnóstwo aktów dyplomatycznych, tak głupich i gadatliwych, iż sądzę doprawdy, że jedynym celem było niejako uwięzić mnie. Kiedym wreszcie zdołał się uwolnić, około piątej, umierając z głodu, dał mi rozkaz, abym się udał wprost do siebie i nie wychodził cały wieczór. W istocie zauważyłem dwóch jego prywatnych szpiegów, dobrze mi znanych, jak się przechadzali pod moimi oknami do północy. Dziś rano, skoro tylko mogłem, kazałem sprowadzić dorożkę, która mnie zawiozła pod samą katedrę. Wsiadłem bardzo wolno, po czym puściłem się pędem przez kościół i oto jestem. Wasza Ekscelencja jest w tej chwili człowiekiem, któremu najgoręcej pragnąłbym służyć.

— A ja, mości francie, nie dam się złapać na te baśnie. Nie chciałeś mi nic powiedzieć o Fabrycym przedwczoraj; uszanowałem pańskie skrupuły i przysięgi, mimo że dla indywidualum takiego jak pan przysięgi są najwyżej kwestią targu. Dziś chcę wiedzieć prawdę. Co znaczą niedorzeczne pogłoski wysyłające na śmierć tego chłopca jako mordercę komedianta Giletti?

— Nikt lepiej ode mnie nie może zdać Ekscelencji sprawy z tych pogłosek, ponieważ ja sam rozpuściłem je z rozkazu władcy. Sądzę nawet, że jeśli mnie trzymał wczoraj cały dzień na uwięzi, to aby mi przeszkodzić w udzieleniu panu tej nowiny. Książę, który nie ma mnie za wariata, nie wątpił, że ja czym prędzej przyniosę Ekscelencji swój krzyż i poproszę, aby mi go pan raczył przypiąć osobiście.

— Do rzeczy! — wrzasnął minister — i bez frazesów.

— Bez wątpienia książę chciałby mieć w ręku wyrok śmierci na pana del Dongo, ale ma, jak panu wiadomo, jedynie dwadzieścia lat kajdanków, zmienionych przezeń nazajutrz po wyroku na dwanaście lat twierdzy, z postem o chlebie i wodzie co piątek i innymi praktykami religijnymi.

— Dłatego właśnie, że wiem o wyroku skazującym jedynie na więzienie, byłem przerażony pogłoskami o bliskim straceniu, jakie krążą po mieście; przypominam sobie śmierć hrabiego Palanza, którą pan tak sprytnie przemyciłeś.

— Wówczas powinienem był dostać krzyż! — wykrzyknął nie zmieszany Rassi — trzeba było kuć żelazo, póki było gorące i póki nasz łaskawy władca pragnie tej śmierci. Byłem wówczas niezdarą; jakoż, uzbrojony tymi doświadczeniem, ośmielię się radzić Waszej Ekscelencji, aby mnie nie naśladował dzisiaj. (Porównanie to wydało się hrabiemu wysoce niesmaczne; musiał się powstrzymać, aby nie kopnąć Rassiego.)

— Przed wszystkim — podjął ów z logiką prawnika i doskonałą pewnością siebie człowieka, którego żadna zniewaga nie może obrazić — przede wszystkim nie może być mowy o straceniu pana del Dongo; książę nie śmiałby, czasy się zmieniły. Wreszcie

ja, szlachcic, i dzięki panu mający nadzieję zostać baronem, nie przyłożyłbym do tego ręki. Otóż, jak wiadomo Waszej Ekscelencji, kat księstwa Parmy może otrzymać rozkazy jedynie ode mnie; przysięgam zaś Waszej Ekscelencji: nigdy kawaler Rassi nie wyda rozkazów stracenia imć Dongo.

— I roztropnie uczyni — rzeki hrabia, mierząc go surowym spojrzeniem.

— Trzeba rozróżnić — podjął Rassi z uśmiechem. — Moim wydziałem są jedynie zgony oficjalne; gdyby tedy przypadkiem pan del Dongo umarł z niestrawności, niech mnie Ekscelencja o to nie wini. Księżę jest wściekły, nie wiem czemu, na Sanseverinę (trzy dni temu Rassi byłby powiedział *księżnę*, ale jak całe miasto, wiedział o zerwaniu z ministrem).

Hrabia zauważył tę poufałość w takich ustach i można osądzić, jak mu ona była miła; objął Rassiego spojrzeniem brzemiennym nienawiścią. „Drogi aniele — rzekł w myśli — mogę ci okazać swą miłość jedynie słuchając ślepo twoich rozkazów.”

— Wyznam panu — rzekł do poborcy — że ja nie przejmuję się zbytnio kapryсами księżnej; bądź co bądź, ponieważ to ona przedstawiła mi tego urwisa Fabrycego, który lepiej by uczynił, gdyby został w Neapolu i nie mącił nam tutaj wody, zależy mi na tym, aby go nie uśmiercono za moich rządów. Toteż daję panu słowo, że zostaniesz baronem w tydzień po dniu, w którym Fabrycy opuści więzienie.

— W takim razie, panie hrabio, będę baronem dopiero za pełnych dwadzieścia lat, bo księżę jest wściekły, a nienawiść jego do pani Sanseverina jest tak żywa, że sili się ją ukrywać.

— Jego Wysokość jest zbyt dobry: na cóż mu ukrywać nienawiść, skoro pierwszy minister już nie stoi za księżną? Nie chcę jedynie, aby mnie ktoś oskarżył o nikczemność, a zwłaszcza o zazdrość; to ja sprowadziłem księżnę do Parmy i jeżeli Fabrycy umrze w więzieniu, nie będziesz pan baronem, ale będziesz może zasztyletowany. Ale zostawmy tę drobnostkę; faktem jest, że zrobiłem obliczenie swego majątku, zaledwie doliczyłem się dwudziestu tysięcy renty, z czego zrodził się zamiar przedłożenia pokornej dymisji swemu władcy. Mam niejaką nadzieję, że król Neapolu zechce mnie zatrudnić; ta stolica da mi rozrywki, których potrzebuję w tej chwili, a których nie mogę znaleźć w dziurze takiej jak Parma: zostałbym chyba o tyle, o ile by mi pan zapewnił rękę księżniczki Izoty etc., etc.

Rozmowa ciągnęła się w nieskończoność w tym duchu. Kiedy Rassi wstawał, hrabia rzekł bardzo obojętnie:

— Wie pan, mówią, że Fabrycy mnie zwodził w tym sensie, że był jednym kochanków księżnej; nie wierzę w tę bajkę i aby jej zaprzeczyć, pragnę, abyś pan doręczył Fabrycemu tę sakiewkę.

— Ależ, panie hrabio — rzekł Rassi, przerażony, spoglądając na sakiewkę — tu znajduje się olbrzymia suma, a przepisy...

— Dla pana, drogi panie, może być olbrzymia — odparł hrabia z nieskończoną wzgardą — lyk taki jak pan, posyłając pieniądze swemu przyjacielowi w więzieniu, uważa, że się zrukuje, jeśli da dziesięć cekinów, ja zaś *chcę*, aby Fabrycy otrzymał te sześć tysięcy franków, a zwłaszcza aby w zamku nie dowiedziano się o tej przesyłce.

Gdy Rassi, przerażony, chciał odpowiedzieć, hrabia zniecierpliwiony zamknął za nim drzwi. „Ci ludzie — powiedział sobie — widzą władzę jedynie w brutalności.” To rzekłszy, ów wielki minister oddał się zajęciu tak niedorzecznemu, iż z trudnością przychodzi je nam przytoczyć. Podszedł do biurka, wziął miniaturę księżnej i okrył ją namiętymi pocałunkami. „Przebac, aniele — wykrzyknął — że nie wyrzuciłem własną ręką przez okno chama, który ośmielił się mówić o tobie tak poufale; jeśli okazał tyle cierpliwości, to aby ci być posłuszny! Ale co się odwlecze, to nie uciecze.”

Po długiej rozmowie z portretem hrabia, który czuł śmierć w duszy, wpadł na bardzo ucieszny pomysł i wykonał go z dziecinną skwapliwością. Kazał sobie podać galowy strój z orderami i złożył wizytę starej księżniczce Izocie. W życiu nie pojawił się u niej kiedy indziej niż z okazji Nowego Roku. Zastał ją w licznym otoczeniu psów, wystrojoną w galowe suknie, nawet we wszystkich diamentach, jak gdyby szła na dwór. Kiedy hrabia wyraził obawę, że krzyżuje plany Jej Wysokości, która widocznie miała wyjść z domu, Jej Wysokość odpowiedziała ministrowi, że księżniczka Parmy winna jest samej sobie, aby zawsze być ubraną w ten sposób. Pierwszy raz od czasu swego nieszczęścia hrabia uczuł

drgnienie wesołości. „Dobrzem zrobił, żem się tu zjawił — powiedział sobie — dziś jeszcze trzeba się oświadczyć.” Księżna była uszczęśliwiona z odwiedzin człowieka tak głośnego ze swej inteligencji, pierwszego ministra; biedna stara panna nie była przyzwyczajona do podobnych wizyt. Hrabia zaczął od zręcznego wstępu, wspominając o przepaści, jaka zawsze będzie dzieliła prostego szlachcica od członka panującego rodu.

— Są w tym odcienie — rzekła księżna — córka króla Francji na przykład nie ma żadnej nadziei dojścia kiedyś do korony; ale w rodzinie parmeńskiej rzeczy mają się inaczej. Dlatego to my, Farnese, musimy zawsze zachować na zewnątrz nieco godności: ja, biedna księżniczka, jak mnie pan widzi, nie mogę powiedzieć, że jest zupełnie niemożliwe, abys pan był kiedyś moim premierem.

Pomysł ten swoim nieoczekiwanym komizmem dostarczył biednemu hrabiemu drugiej chwili prawdziwej wesołości.

Wychodząc od księżniczki Izoty, która mocno się zarumieniła, słysząc wyznanie miłości pierwszego ministra, hrabia Mosca spotkał kuriera pałacowego: książe wzywał go najspieszniej.

— Jestem chory — odparł minister uszczęśliwiony, że może się okazać niegrzeczny wobec swego pana. „Ha! ha! doprowadzasz mnie do ostateczności i chcesz, abym ci służył; ale wiedz, mój książe, że w naszej epoce nie wystarcza już władza dana od Opatrzności; trzeba dużo rozumu i charakteru, aby być despotą.”

Odprawivszy kuriera, wielce zgorzonego doskonałym zdrowiem chorego, hrabia wpadł na koncept, aby odwiedzić dwie osobistości mające największy wpływ na generała Fabia Conti. Co przejmowało drżeniem ministra i odejmowało mu otuchę, to fakt, że gubernator cytadeli był kiedyś oskarżony o pozbycie się pewnego kapitana, swego osobistego wroga, za pomocą perugiańskiej *acquetta*<sup>61</sup>.

Hrabia wiedział, że od tygodnia księżna wydaje olbrzymie sumy, aby tobie zapewnić stosunki w cytadeli: ale wedle niego nie miało to widoków powodzenia — wszystkie oczy były jeszcze zbyt otwarte. Nie będę opowiadał czytelnikowi wszystkich usiłowań, jakich chwyciła się nieszczęśliwa kobieta: była w rozpacz, agenci zaś wszelkiego rodzaju, najzupełniej jej oddani, pomagali jej. Ale na dworach małych despotów istnieje może jeden tylko wydział, który jest prowadzony doskonale, mianowicie straż nad politycznymi więźniami. Złoto księżnej nie wywarło innego skutku prócz tego, że odprawiono z cytadeli dziesiątek funkcjonariuszy różnego stopnia.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Tak więc, mimo że szczerze oddani więźniowi, księżna i minister niewiele mogli dlań uczynić. Książe był wściekły; zarówno zaś dwór, jak i publiczność miały Fabrycego na wstróbcie i katastrofa jego budziła zachwyt: zanadto był szczęśliwy! Mimo złota rozrzucanego garściami księżna nie postąpiła ani kroku w oblężeniu cytadeli; nie minął dzień, aby margrabina Raversi albo kawaler Riscara nie mieli czegoś do zakomunikowania generałowi Fabio Conti. Podtrzymywali jego słabość.

Jak wspomnieliśmy, w dniu uwięzienia Fabrycego zaprowadzono zrazu do „pałacu gubernatora”. Jest to ładny budynek wzniesiony w zeszłym wieku wedle rysunków Vanvitelliego<sup>62</sup>, który pomieścił go na wysokości stu osiemdziesięciu stóp, na platformie okrągłej wieży. Z okien tego pałacyku, usadowionego na grzbiecie olbrzymiej wieży niby garb wielbłąda, Fabrycy widział pola i hen, daleko, Alpy; wodził okiem, u stóp cytadeli, za biegiem rzeczki Parmy, która skręcając na prawo o cztery mile za miastem wpada do Padu. Poza tą rzeczką, która tworzy niby szereg olbrzymich białych plam wśród zieleni, zachwycone oko widziało wyraźnie każdy szczyt olbrzymiego muru, jakim Alpy wznoszą się na północ od Włoch. Szczyty te, zawsze okryte śniegiem, nawet w tej chwili, w sierpniu, dają, mocą wyobraźni, uczucie chłodu wśród tych spiekłych pól; oko może śledzić ich najdrobniejsze szczegóły, mimo iż znajdują się przeszło o trzydzieści mil od cytadeli! Ten rozległy widok z pięknego pałacyku gubernatora ograniczony jest od południa rogiem wieży Farnese, w której gotowano śpiesznie pokój dla Fabrycego. Tę drugą wieżę,

<sup>61</sup>*acquetta* — trucizna z arsenikiem używana w XVII w. [przypis redakcyjny]

<sup>62</sup>Luigi Vanvitelli (1700–1773) — architekt włoski, m. in. budowniczy bazyliki Świętego Piotra w Rzymie. [przypis redakcyjny]



jak czytelnik może sobie przypomina, wzniesiono na platformie dużej wieży, na użytek pewnego następcy tronu, który, bardzo w tym różny od Hipolita, syna Tezejowego, nie odrzucił względów młodej macochy<sup>63</sup>. Księżna zmarła w kilka godzin; młody książę odzyskał wolność aż w siedemnaście lat potem, wstępując na tron po ojcu. Ta wieża Farnese, do której po trzech kwadransach zaprowadzono Fabrycego, bardzo brzydka, wznosi się na pięćdziesiąt stóp na platformie wielkiej wieży i opatrzona jest licznymi gromochronami. Ów dotknięty w honorze małżeńskim książę, który kazał wznieść tę wieżę widoczną ze wszystkich stron, wpadł na dziki pomysł wmówienia w poddanych, że istniała ona od dawna; dlatego dał jej miano wieży Farnese. Nie było wolno mówić o tej budowlu, a ze wszystkich stron Parmy i otaczającej miasto równiny widać było doskonale murarzy, jak kładli kamień po kamieniu tej pięciokątnej architektury. Aby dowieść, że wieża jest stara, pomieszczono nad bramą wchodową — dwie stopy szeroką, a cztery wysoką — wspaniałą płaskorzeźbę przedstawiającą Aleksandra Farnese, słynnego wodza, jak zmusza Henryka IV, aby odstąpił spod Paryża<sup>64</sup>. Ta wieża Farnese, tak pięknie położona, składa się z parterowej izby, długiej co najmniej na czterdzieści kroków, odpowiednio szerokiej i wypełnionej grubymi, a niskimi kolumnami — izba ta bowiem, tak nieproporcjonalnie obszerna, ma nie więcej niż piętnaście stóp wysokości. Mieści się w niej posterunek straży; w samym środku wznoszą się schody kręcące się dokoła jednej z kolumn; są to żelazne schodki, szerokie ledwie na dwie stopy, ażurowe. Przez te schody uginające się pod ciężarem dozorców, którzy mu towarzyszyli, Fabrycy dostał się do rozległych komnat więcej niż dwadzieścia stóp wysokich, tworzących wspaniałe pierwsze piętro. Niegdyś umeblowano je z przepychem dla młodego księcia, który spędził tam siedemnaście najpiękniejszych lat życia. Na wstępie do apartamentu pokazano nowemu więźniowi bogatą kaplicę; mury i sklepienia wyłożone są czarnym marmurem; kolumny, również czarne, szlachetne w rysunku, ciągną się szeregiem wzdłuż czarnych murów, nie dotykając ich. Same mury ozdobione są mnóstwem trupich główek z białego marmuru, olbrzymich rozmiarów i wykwintnej roboty, każda nad dwiema kośćmi złożonymi na krzyż. „Prawdziwy wymysł nienawiści, która nie może zabić — rzekł sobie Fabrycy — cóż za diabelski koncept pokazywać mi to!”

Lekkie ażurowe schodki, również kręcące się dokoła kolumny, prowadziły na drugie piętro. W tych pokojach na drugim piętrze, wysokich mniej więcej na piętnaście stóp, rozwijał od roku generał Fabio Conti cudzy geniusz. Najpierw pod jego dozorem zakratowano szczelnie okna w tych pokojach, niegdyś zajmowanych przez służbę księcia, a wznoszących się przeszło na trzydzieści stóp nad płytami tworzącymi platformę wielkiej okrągłej wieży. Do tych pokojów, mających każdy po dwa okna, dochodzi się ciemnym korytarzem umieszczonym w środku budowli; w korytarzu tym, bardzo ciasnym, Fabrycy zauważył troje kolejno po sobie następujących drzwi, utworzonych z olbrzymich belek żelaznych, wznoszących się aż po sufit. Te właśnie plany, przekroje i rzuty wszystkich tych pięknych wynalazków zapewniły generałowi przez dwa lata co tydzień audiencję u jego pana. Spiskowiec pomieszczony w jednym z tych pokojów nie mógłby się skarżyć przed światem na nieludzkie obchodzenie, a mimo to nie mógłby się komunikować z żadną żywą istotą ani też uczynić ruchu, którego by nie słyszano. Generał umieścił w każdym pokoju grube tarcice dębowe, tworzące niby ławy na trzy stopy wysokie, i to był jego największy wynalazek, ten, który mu dawał prawa do teki ministra policji. Na tych ławach zbudował celę z desek, bardzo akustyczną, wysoką na dziesięć stóp i dotykającą muru jedynie od strony okien. Z trzech innych stron biegł dokoła niej korytarzyk, szeroki na cztery stopy, pomiędzy zewnętrznym murem kaźni z olbrzymich kamieni ciosowych a drewnianymi ścianami celi. Ściany te, utworzone z czterech podwójnych desek z orzechu, dębu i sosny, były silnie spojone żelaznymi klamrami i mnóstwem gwoździ.

Do jednego z tych od roku zbudowanych pokojów, arcydzieła generała Fabio Conti, które otrzymało piękną nazwę „bierne posłuszeństwo”, wprowadzono Fabrycego. Pobiegł do okna. Widok z tych zakratowanych okien był cudowny; ledwie mały kącik horyzontu

<sup>63</sup>pewnego następcy tronu, który, bardzo w tym różny od Hipolita, syna Tezejowego, nie odrzucił względów młodej macochy — autor nawiązuje do tragedii Racine’a *Fedra*. [przypis redakcyjny]

<sup>64</sup>płaskorzeźbę przedstawiającą Aleksandra Farnese, słynnego wodza, jak zmusza Henryka IV, aby odstąpił spod Paryża — Alessandro Farnese, wódz włoski w służbie Filipa II, w 1590 r. przyszedł z odsieczą obleganemu przez Henryka IV Paryżowi. [przypis redakcyjny]

zasłonięty był, ku północnemu zachodowi, ozdobionym galeryjką dachem pałacyku gubernatora, mającym tylko dwa piętra; parter zajmowały biura generalnego sztabu. Oczy Fabrycego pobiegły ku jednemu z okien na drugim piętrze, gdzie w ładnych klatkach znajdowała się mnogość rozmaitych ptaków. Fabrycy z przyjemnością słuchał ich świągotu patrząc, jak pozdrawiają ostatni promyk słońca, gdy stróże więzienni krzatali się koło swej ofiary. To okno ptaszarni znajdowało się nie dalej niż dwadzieścia pięć stóp od jego okna, a o pięć lub sześć stóp niżej, tak iż wzrokiem obejmował z góry ptaszki.

Tego dnia był księżyc; w chwili gdy Fabrycy wchodził do więzienia, miesiąc wznosił się majestatycznie na widnokręgu po prawej, ponad łańcuch Alp, ku Trevizie. Było dopiero wpół do dziesiątej; na przeciwległym skraju widnokręgu, na zachodzie, świetlistopomarańczowy zmierzch rysował ostro kontury Monte Viso i innych szczytów Alp wznoszących się od Nicei ku Monte Cenis i Turynowi. Fabrycy nie myślał o swym nieszczęściu; był wzruszony i zachwycony tym wspaniałym widokiem. Więc w tym czarownym świetle żyje Klelia Conti! Dusza jej, poważna i skłonna do zadumy bardziej niż czyjakolwiek, musi sycić się tym widokiem; jest się tu niby w pustkowiu górskim o sto mil od Parmy. Dopiero po dwóch godzinach, które spędził w oknie, podziwiając ten widnokrąg przemawiający mu do duszy i raz po raz zatrzymując wzrok na pięknym pałacyku gubernatoia, Fabrycy wykrzyknął nagle: „Czyż to doprawdy jest więzienie? Czy tego się tak obawiałem?” Zamiast spostrzegać na każdym kroku powód do rozpacz, bohater nasz upajał się słodyczą więzienia.

Naraz straszliwy łoskot przywołał go do rzeczywistości; izdebka Fabrycego, dość podobna do klatki, a zwłaszcza bardzo akustyczna, wstrząsnęła się: szczekanie psa i przenikliwe piski spływały się w najstraszliwszy hałas. „Cóż to! Miałbym tak prędko się wymknąć?” — pomyślał Fabrycy. W chwilę później śmiał się tak, jak może nikt nie śmiał się w więzieniu. Na rozkaz generała pomieszczono tam wraz z dozorcami złego, angielskiego psa, przełożonego niejako nad strażą pilnującą ważnych więźniów, który miał spędzać całą noc w przestrzeni tak przemyślnie stworzonej dokoła klatki Fabrycego. Pies i dozorca mieli sypiać w trzechstopowej przestrzeni między kamiennymi płytami posadzki a drewnianą podłogą, na której więzień nie mógł uczynić kroku, aby nie być słyszany.

Otóż w chwili gdy Fabrycy przybył, pokoik „biernego posłuszeństwa” zajęty był przez setkę olbrzymich szczurów, które pierzchły w rozmaitych kierunkach. Pies, bonończyk krzyżowany z angielskim foksem, nie był piękny, ale okazał się nader zwinny. Uwiązano go na kamiennych płytach pod podłogą; ale kiedy poczuł szczury przebiegające mu przed nosem, zaczął się tak miotać, iż w końcu uwolnił głowę z obroży. Wówczas nastąpiła cudowna bitwa, której hałas obudził Fabrycego z najśłodszych marzeń. Szczury, które zdołały się ocalić przed pierwszym natarciem, schroniły się do drewnianej izdebki; pies przebiegł za nimi sześć stopni prowadzących od kamiennej podłogi do izdebki Fabrycego. Wówczas zaczął się zgiełk o wiele przeraźliwszy: klatka trzęsła się od fundamentów. Fabrycy śmiał się jak szalony, płakał ze śmiechu; dozorca Grillo, niemniej rozbawiony, zamknął drzwi; pies, goniąc za szczurami, nie spotykał żadnej zapory, gdyż pokój był zupełnie pusty; skoki tego myśliwca mógł krępować jedynie żelazny piec w kącie. Skoro pies pokonał wszystkich wrogów, Fabrycy zawołał go, popieścił, zdołał pozyskać jego sympatię. „Jeżeli kiedy ujrzy mnie skaczącego przez mur — pomyślał Fabrycy — nie będzie szczekał.” Ale rachuba ta była jedynie pozorem: w obecnym stanie ducha zabawa z psem sprawiła mu niezmierną przyjemność. Przez jakiś dziwny poryw, nad którym się nie zastanawiał, tajemna radość rozlewała się w jego duszy.

— Jak się nazywasz? — spytał Fabrycy dozorca, nauganiawszy się do syta z psem.

— Grillo, do usług Waszej Ekscelencji we wszystkim, na co regulamin dozwala.

— Zatem, drogi Grillo, niejaki Giletti chciał mnie zamordować na gładkiej drodze; bronilem się i zabiłem go; zabiłbym go jeszcze raz, gdyby to było możliwe; ale mimo to pragnę wieść wesołe życie, dopóki będę twoim gościem. Postaraj się o pozwolenie przełożonych i idź poproś dla mnie o bieliznę w pałacu Sanseverina, a także kup mi kilka flaszek asti.

Było to wcale dobre musujące wino, które wyrabiają w Piemontcie, w ojczystym miejscu Alfierego, bardzo cenione, zwłaszcza w klasie amatorów, do których należą dozorca więzienni. Kilku z tych panów zajętych było przenoszeniem do izdebki Fabrycego starożytnych bogato złoconych mebli, wziętych z pierwszego piętra, z apartamentu księcia;

wszyscy z nabożeństwem wysłuchali wzmianki o asti. Mimo wszelkich starań, pomieszczenie Fabrycego na tę pierwszą noc było bardzo smętne; ale wydawał się strapiiony jedynie brakiem butelki wina. „Jakiś dobry chłopiec — orzekli dozorca, odchodząc — trzeba by tylko, aby nasi panowie pozwolili mu dosyłać pieniądze.”

„Czy to możliwe, aby to było więzienie — powiedział sobie Fabrycy, zostawszy sam, kiedy, ochłonawszy nieco po tym zgiełku, patrzył na olbrzymi widnokrąg od Trevizy do Monte Viso, na długi łańcuch Alp, na szczyty okryte śniegiem, na gwiazdy — i to jeszcze pierwsza noc w więzieniu! Rozumiem, że Klelia może sobie podobać w tej nاپowietrznej samotności; jest się tu o tysiąc mil ponad małostkami i niegodziwościami, które nas zaprzatają tam w dole. Jeśli te ptaszki pod moim oknem należą do niej, ujrzę ją... Czy zarumieni się na mój widok?” Rozważając tę doniosłą kwestię, więzień zasnął bardzo późno.

Następnego dnia po owej nocy, pierwszej w więzieniu, w czasie której nie zniecierpliwił się ani razu, Fabrycy musiał poprzestać na rozmowie z pieskiem foksem; dozorca wciąż spoglądał nań z bardzo wielką sympatią, ale nowy rozkaz czynił go niemy; nie przynosił też bielizny ani wina.

„Czy ujrzę Klelię? — powiadał sobie Fabrycy, budząc się. — Ale czy te ptaszki należą do niej?” Ptaki zaczynały krzyżeć i śpiewać; na tej wysokości był to jedyny hałas, jaki było słychać. Owa głęboka cisza na tej wyżynie była dla Fabrycego wrażeniem nowym i pełnym uroku; słuchał z zachwytem bezładnego świegotu, jakim skrzydlate sąsiedztwo witało dzień. „Jeżeli należą do niej, niebawem pokaże się w tym pokoiku, tu pod moim oknem.” Oglądając olbrzymi łańcuch Alp, naprzeciw którego cytadela wznosiła się jak bastion, oczy jego wracały co chwila ku bogatym klatkom z mahoniem i drzewa cytrynowego, które opatrzone złoconymi drutami, wznosiły się w jasnym pokoju służącym za ptaszkarnię. Później dopiero Fabrycy dowiedział się, że pokój ten był na drugim piętrze pałacyku jedynym, który miał cień od jedenastej do czwartej: zasłaniała go wieża Farnese.

„Jakiż to będzie smutek dla mnie — pomyślał Fabrycy — jeżeli zamiast tej skromnej i myślącej fizjonomii, której oczekuję i która zarumieni się może na mój widok, ujrzę pospolitą fizys jakiej pokojówki, przybyłej w zastępstwie pani, aby się zająć ptaszkarnią! Ale jeśli ujrzę Klelię, czy raczy mnie zauważyć? Na honor, trzeba mi czymś ściągnąć jej uwagę; położenie moje daje mi niejaki przywilej; zresztą jesteśmy tu oboje sami i tak daleko od świata! Jestem więźniem; tym, co generał Conti i inni nędznicy w jego rodzaju nazywają swoją zwierzyną... Ale ona ma tyle rozumu lub, aby rzec lepiej, tyle duszy, iż wedle tego, co mówi hrabia, gardzi może rzemiosłem ojcowskim — stąd zapewne jej melancholia. Szlachetne źródło smutku! Ale ja nie jestem dla niej zupełnie obcy. Z jakim pełnym skromności wdziękiem ukłoniła mi się wczoraj! Przypominam sobie, iż w czasie owego spotkania nad Como rzekłem: »Któregoś dnia przyjadę obejrzeć pani piękne obrazy w Pannie; czy zapamięta pani to imię: Fabrycy del Dongo?« Czyżby zapomniała? Była tak młoda wówczas!

Ale prawda — rzekł sobie Fabrycy, przerywając nagle bieg swoich myśli — zapominam się wściekać. Byłbym jedną z owych wielkich dusz, jakich starożytność zostawiła nam kilka przykładów? Byłbym, nie wiedząc o tym, bohaterem? Jak to, ja, który tak obawiałem się więzienia, jestem w nim i zapominam się smucić! Można śmiało powiedzieć, że obawa była sto razy gorsza od nieszczęścia. Jak to! Muszę dopiero rozumem dochodzić do tego, aby się martwić więzieniem, które, jak powiedział ksiądz Blanès, może trwać równie dobrze dziesięć lat, jak dziesięć miesięcy? Czy może oszołomienie całą tą nową atmosferą rozprasza zgryzotę, która powinna by mnie dręczyć? Może ta wesołość, niezależna od mej woli i tak niedorzeczna, ustanie nagle; może popadnę w czarną zgryzotę, którą powinienem odczuwać...

W każdym razie, dziwne to jest być w więzieniu i musieć sobie rozsądkiem nakazywać smutek. Na honor, wracam do swego przypuszczenia; może ja mam wielki charakter.”

Marzenia Fabrycego przerwał stolarz więzienny, który przyszedł brać miarę na *abazur do okien*; więzienie to miało być pierwszy raz użyte i zapomniano go uzupełnić tym zasadniczym szczegółem.

„Tak więc — rzekł Fabrycy — będę pozbawiony tego cudownego widoku.” I silił się zasmucić tym zamachem.

— Jak to — rzekł nagle żywo do stolarza — nie zobaczę już tych miłych ptaszków?

— A, ptaszki jaśnie panienki, które tak kocha! — rzekł dobrodusznie ów człowiek — schowane, zasłonięte, przepadło, jak wszystko inne.

Stolarz miał równie ściśle zakazaną wszelką rozmowę, jak dozorca; ale czuł litość dla młodego więźnia: objaśnił go, że te olbrzymie żaluzje, wsparte ukośnie na futrynie, miały zostawiać więźniom jedynie widok nieba.

— Robi się to ze względów moralnych — rzekł — aby pomnożyć w duszy więźniów zbawienny smutek i żądzę poprawy. General — dodał stolarz — wpadł również na ten pomysł, aby usuwać szyby i zastępować je naoliwionym papierem.

Fabrycemu podobał się uszczypliwy ton tej gawędy, bardzo rzadki we Włoszech.

— Chciałbym bardzo mieć ptaszka dla rozrywki; przepadam za tym; kupcie mi ptaszka od pokojówki panny Klelii.

— Jak to! Zna ją pan! — wykrzyknął stolarz — że pan ją tak nazywa po imieniu?

— Któż nie słyszał o tej sławnej piękności? Ale miałem też zaszczyt spotkać ją parę razy na dworze.

— Biedna panienska nudzi się tu na umór — dodał stolarz — żyje tylko ze swymi ptaszkami. Dziś rano kupiła piękne drzewka pomarańczowe, które z jej rozkazu pomieszczono koło bramy pod pańskim oknem; gdyby nie gzyms, mógłby je pan zobaczyć.

Objaśnienie to było dla Fabrycego bardzo cenne; wręczył stolarzowi monetę, dodając parę życzliwych słów.

— Popelniam dwa błędy na raz — rzekł tamten — mówię z Waszą Ekscelencją i biorę pieniądze. Kiedy pojutrze przyjdę zakładać żaluzję, przyniosę ptaszka w kieszeni; jeśli nie będę sam, udam, że mi się wymknął przypadkiem. O ile zdołam, przyniosę panu książkę do modlenia; musi panu bardzo dolegać, że pan nie może odmówić wszystkich pacierzy.

„Tak więc — myślał Fabrycy zostawszy sam — te ptaki należą do niej, ale za dwa dni już ich nie ujrzę.” Na tę myśl spojrzenia jego przybrały odcień rozpacz. Wreszcie, ku jego niewysłowionej radości, po tak długim oczekiwaniu, około południa, Klelia przyszła zajrzeć do swych ptaszków. Fabrycy stał nieruchomo, bez oddechu; znajdował się tuż koło olbrzymich sztab przecinających okno. Zauważył, że ona nie podnosi nań oczu, ale w ruchach jej było jakieś skrępowanie, jak u kogoś, kto czuje, że na niego patrzy. Gdyby nawet chciała, biedna panienska nie mogłaby zapomnieć owego subtelnego uśmiechu, który błędził po ustach więźnia w wilię, w chwili gdy żandarmi wyprowadzali go ze strażnicy.

Mimo iż pozornie czuwała bardzo pilnie nad swym zachowaniem, zbliżając się do okna zaczerwiła się wyraźnie. Pierwszą intencją Fabrycego, przyciśniętego do żelaznych sztab w oknie, było zapukać w te sztaby; ale tuż potem otrząsnął się na samą myśl o takiej niedelikatności. „Wart byłbym, aby przez tydzień posyłała do ptaszkarni pokojówkę.” Taki subtelny wzgląd nie byłby mu przyszedł do głowy w Neapolu albo w Nowarze.

Śledził ją żarliwie oczyma. „Niewątpliwie — powiedział sobie — odejdzie, nie raczywszy spojrzeć na to biedne okno, mimo że ma je na wprost siebie! Ale wracając w głąb pokoju, który Fabrycy z wyżyn swego okna mógł widzieć bardzo dobrze, Klelia nie mogła się wstrzymać, aby nań mimochodem nie spojrzeć spod oka; to wystarczyło, aby Fabrycy czuł się w prawie ukłonić. „Czyż nie jesteśmy tu sami na świecie?” — pomyślał, aby sobie dodać odwagi. Na ten ukłon panienska zatrzymała się i spuściła oczy; następnie Fabrycy ujrzał, że je podnosi bardzo wolno; po czym czyniąc widoczny wysiłek skinęła więźniowi głową bardzo poważnie i *ceremonialnie*; ale nie mogła nakazać milczenia oczom, w których prawdopodobnie bez jej wiedzy odbiło się przez chwilę najżywsze współczucie. Fabrycy zauważył jej rumieniec, rozlewający się szybko różanym odcieniem aż na ramiona, z których, wchodząc do ptaszkarni, zdjęła, z przyczyny gorąca, czarny koronkowy szal. Mimowolne spojrzenie, którym Fabrycy odpowiedział na jej ukłon, zdwoiło pomieszenie panny. „Jakże by ta biedna kobieta była szczęśliwa — powiadała sobie myśląc o księżnej — gdyby mogła choć przez chwilę widzieć go tak, jak ja go widzę!”

Fabrycy miał lekką nadzieję ukłonienia się jej raz jeszcze na pożegnanie, ale aby uniknąć tej grzeczności, Klelia wykonała zręczny odwrót, posuwając się od klatki do klatki, jak gdyby ku końcowi miała coś do czynienia z ptaszkami będącymi najbliżej drzwi. Wyszła wreszcie; Fabrycy stał nieruchomo, patrząc na drzwi, którymi znikła — był innym człowiekiem.

Od tej chwili celem jego jedynym było dociekanie, jak mógłby ją widywać nadal, nawet po założeniu tej okropnej żaluzji przy oknie wychodzącym na plac gubernatora.

Poprzedniego dnia wieczorem, przed pójściem spać, Fabrycy zadał sobie bardzo wiele trudu, aby ukryć większą część złota, które posiadał; ukrył je po rozmaitych szczerzych jamach, które zdobiły jego klitkę. „Dziś wieczór muszę schować zegarek. Słyszałem, że mając cierpliwość i wyszczerbioną sprężynę od zegarka można ciąć drzewo, a nawet żelazo. Będę mógł przepiłować tę okiennicę.” Ta praca nad ukryciem zegarka, trwająca dobrych kilka godzin, nie dłużyła mu się; myślał o rozmaitych środkach dojścia do celu oraz o swoich wiadomościach z zakresu stolarki. „Jeśli będę umiał wziąć się do rzeczy — powiedział sobie — wytnę po prostu otwór w dębowej desce tworzącej tę okiennicę, tuż koło futryny; będę wedle potrzeby wyjmował i zakładał deseczkę; oddam Grillowi wszystko, co mam, aby zechciał nie zauważyć tej sztuczki.” Odtąd całe swoje szczęście wiązał Fabrycy z możliwością wykonania tej pracy i nie myślał o niczym innym. „Jeśli zdołam ją bodaj widzieć, będę szczęśliwy... Nie — dodał — trzeba też; aby ona widziała, że ja ją widzę.” Całą noc głowę miał pełną wynalazków stolarskich; ani razu chyba nie pomyślał o dworze parmeńskim, o gniewie księcia etc. Wyznajmy, że tak samo nie pomyślał o rozpacy, w jakiej musi tonąć księżna. Czekał niecierpliwie ranka; ale stolarz nie zjawił się już; widać uchodził w więzieniu za liberała. Postarano się o innego, mruka i gburą, który odpowiadał jedynie złowróżbnym pomrukiem na uprzejmość Fabrycego.

Niektóre z usiłowań księżnej, starającej się nawiązać korespondencję z Fabrycym, zostały wytropione przez licznych agentów margrabiny Raversi, która codziennie ostrzegała, straszyla, podniecała generała Fabio Conti. Co osiem godzin sześciu żołnierzy pełniących straż zmieniało się w sali kolumnowej na parterze; co więcej, gubernator ustawił na straży dozorcę przy każdych żelaznych drzwiach w korytarzu, a biednemu Grillo, jedynemu, który widywał więźnia, pozwolono opuszczać więź jedynie raz na tydzień, co mu było bardzo nie w smak. Dał odczuć swoje niezadowolenie Fabrycemu, który miał na tyle taktu, że mu odpowiedział jedynie słowami:

— Asti, dużo asti, przyjacielu.

I dał mu pieniądze.

— I ot, nawet tego, co nas pociesza we wszystkich niedolach — wykrzyknął Grillo oburzony, ale głosem zaledwie na tyle podniesionym, aby go więzień słyszał — i tego zabraniają nam przyjmować! Powiniennem odmówić, ale biorę. Zresztą, stracone pieniądze; nie mogę panu powiedzieć o niczym. Już też pan musiał ładne rzeczy zmalować: całą cytadelę wywrócono do góry nogami z pańskiej przyczyny, a figielki księżnej pani sprawiły, że już trzech z nas wydalono.

Czy okiennica będzie gotowa przed południem? Oto ważkie pytanie, które przyprawiło o bicie serca Fabrycego przez cały długi ranek; liczył kwadrans bijące na zegarze cytadeli. Kiedy wybiło trzy kwadransy na dwunastą, okiennicy jeszcze nie było, natomiast Klelia zjawiła się w ptaszkarni. Okrutna konieczność dodała Fabrycemu tyle śmiałości, a niebezpieczeństwo nieujrzenia jej już tak dalece przeważało nad wszystkim innym, iż ośmielił się, patrząc na Klelię, uczynić gest, jak gdyby piłował okiennicę — prawda, iż Klelia spostrzegłszy zuchwały gest więźnia, skłoniła mu się lekko i odeszła.

„Jak to! — pomyślał Fabrycy, zdziwiony — byłaby tak nedorzeczną, aby widzieć naganą poufałość w geście podyktowanym absolutną koniecznością? Chciałem ją prosić, aby zachodząc do ptaszkarni raczyła zawsze spojrzeć, od czasu do czasu, w okno więzienne, nawet wówczas gdy je ujrzy zasłonięte olbrzymią drewnianą okiennicą; chciałem jej wyrazić, że uczynię wszystko, aby ją widzieć. Wielki Boże! miałażby nie przyjść jutro z powodu tego nieopatrzego gestu?” Obawa ta, która zmąciła sen Fabrycego, sprawdziła się w zupełności; nazajutrz Klelia nie zjawiła się jeszcze do trzeciej, kiedy skończono umocowywać przed oknami Fabrycego dwie olbrzymie okiennice; rozmaite ich części wywindowano z platformy dużej wieży za pomocą sznurów i bloków przymocowanych z zewnątrz do żelaznej kraty. Co prawda, ukryta za żaluzją w swym mieszkaniu, Klelia śledziła ze zgrozą każdy ruch robotników; widziała śmiertelny niepokój Fabrycego, niemniej jednak miała odwagę dotrzymać danej sobie obietnicy.

Klelia była naiwną adeptką liberalizmu; w pierwszej młodości wzięła serio wszystkie liberalne frazesy, zasłyszane w otoczeniu ojca, który myślał jedynie o karierze; stąd jej wzgarda, niemal wstręt, do giętkości dworaków; stąd też niechęć do małżeństwa. Od

przybycia Fabrycego trawiły ją wyrzuty. „Oto — powiadała sobie — moje niegodziwe serce staje po stronie ludzi, którzy chcą zdradzić ojca! On ośmiela mi się pokazywać gestem, że przepiłuje drzwi!... Ale — powiedziała sobie tuż potem ze ściśnieniem serca — całe miasto mówi o jego bliskiej śmierci! Jutro może nadejść nieszczęsny dzień! Z potworami, które nami rządzą, cóż jest niemożliwe? Co za słodczy, co za heroiczna pogoda w tych oczach, które może wnet się zamkną. Boże! jakież męki musi przechodzić księżna! Powiadają, że jest w ostatecznej rozpacz. Ja bym zamordowała księcia, jak bohaterska Charlotte Corday<sup>65</sup>.”

Przez trzeci dzień więzienia Fabrycy miotał się wściekły, ale tylko o to, że nie może doczekać zjawienia się Klelii. „Skoro się już miała pogniewać, trzeba mi było powiedzieć jej, że ją kocham! — wykrzyknął; doszedł bowiem do tego odkrycia. — Nie, to nie przez wielkość duszy nie myślę o więzieniu i zadaję kłam prorocctwu księdza Blanesa; nie zasługuję na tyle zaszczytu. Mimo woli myślę o tym łagodnym i litosnym spojrzeniu, którym Klelia objęła mnie, gdy żandarmi wyprowadzili mnie ze strażnicy; to spojrzenie wymazało całe moje minione życie. Kto by mi powiedział, że znajdę tak słodkie oczy w takim miejscu, w chwili gdy moje spojrzenia zbrukane były widokiem fizjonomii Barbone i generał-gubernatora. Niebo objawiło się wśród tych plugawych istot. I jak nie kochać tej piękności i nie starać się jej widzieć? Nie, to nie przez wielkość duszy obojętny jestem na wszystkie więzienne utrapienia.” Wyobraźnia Fabrycego, przebiegając wszystkie możliwości, doszła do przypuszczenia, że go wypuszczą na wolność. Oddanie księżnej dokaże z pewnością cudów. „A ja podziękowałbym jej za wolność z niechęcią; to miejsce nie należy do tych, do których się wraca! Raz wyszedłszy z więzienia, żyjąc w innej sferze, nie widziałbym prawie nigdy Klelii! W gruncie rzeczy, co mi złego w tym więzieniu? Gdyby Klelia raczyła mnie nie gnębić swoim gniewem, czegoż mógłbym żądać od niebios?”

Wieczorem tego dnia, w którym nie widział swej ładnej sąsiadki, Fabrycy powziął myśl: żelaznym krzyżem różańca, który rozdają na wstępie wszystkim więźniom, zaczął — z dobrym skutkiem — wiercić okiennicę. „To może nierozwaga — powiadał sobie przed rozpoczęciem dzieła. — Wszak stolarze mówili przy mnie, że jutro przyjdą malarze! Co powiedzą, skoro zastaną okiennicę przewierconą? Ale jeśli się nie puszczę na to, jutro nie będę mógł widzieć Klelii. Jak to! Z własnej winy miałbym przeżyć dzień bez jej widoku, i to wówczas kiedy mnie opuściła pogniewana!” Nierozwaga więźnia spotkała się z nagrodą: po piętnastu godzinach pracy ujrzał Klelię. Ku jego bezmiernemu szczęściu Klelia, nie domyślając się, że on ją widzi, stała długo bez ruchu, z okiem wlepionym w ogromną okiennicę: miał czas wyczytać w jej oczach znaki najtkliwszego współczucia. Pod koniec zapomniała nawet najwyraźniej o ptaszkach i ich potrzebach, trwając minuty całe z oczami wlepionymi w okno. Klelia była głęboko wzruszona; myślała o księżnej, której nieszczęście obudziło w niej tyle współczucia, a mimo to zaczynała jej nienawidzić. Nie zdawała sobie sprawy z melancholii, która ją owładnęła, gniewna była na samą siebie. Parę razy Fabrycy miał ochotę potrząsnąć okiennicą; miał uczucie, że nie będzie szczęśliwy, póki nie da znaku, że widzi Klelię... Ale — powiadał sobie — gdyby wiedziała, że ja ją oglądam tak swobodnie, wówczas ona, tak nieśmiała i wstydliva, z pewnością umknęłaby się moim spojrzeniom.”

O wiele szczęśliwszy był nazajutrz (z jakichż drobiazgów miłość buduje sobie szczęście!). Gdy Klelia spoglądała smutnie na okiennicę, Fabrycy zdołał przeprowadzić kawałek drutu przez otwór wydrapany żelaznym krzyżykiem i dawał jej znaki, które widocznie rozumiała, przynajmniej o tyle, o ile mówiły: „Jestem tu i widzę panią.”

Następnych dni nie wiodło się Fabrycemu. Chciał wyciąć w olbrzymiej okiennicy kawałek deski wielkości dłoni, który by można zakładać z powrotem i który pozwoliłby mu widzieć i być widzianym, to znaczy wyrażać bodaj za pomocą znaków to, co się dzieje w jego duszy; ale okazało się, że hałas mizernej piłki, którą sporządził ze sprężyny od zegarka, wyszczerbionej krzyżykiem, niepokoi Grilla, który spędzał długie godziny w jego pokoju. Zauważył w zamian, to prawda, iż srogość Klelii poniekąd słabnie, w miarę jak piętrzą się trudności porozumienia; Fabrycy widział, że już nie sili się spuszczać oczu ani nie zajmuje się ptaszkami, kiedy próbował jej sygnalizować swą obecność za pomocą drutu. Widział

<sup>65</sup>Charlotte Corday (1768–1793) — rewolucjonistka francuska, żyrondyстка, zabójczyni Marata, jednego z przywódców jakobinów, została zgilotynowana. [przypis redakcyjny]

z przyjemnością, że nigdy nie zaniedba zjawić się w ptaszkami dokładnie w chwili, kiedy bije trzy kwadranse na dwunastą, i niemal gotów był mniemać, że to on jest przyczyną tej punktualności. Czemu? Myśl ta nie miała podstawy; ale miłość spostrzega odcienie niewidzialne obojętnemu oku i wyciąga z nich najdalsze konsekwencje. Tak na przykład, od czasu jak Klelia nie widziała już więźnia, natychmiast prawie po wejściu do ptaszkami spoglądała na jego okno. Było to w owych złowrogich dniach, gdy nikt w Parmie nie wątpił, że Fabrycy będzie niebawem stracony: on jeden nie wiedział o tym, ale ta okropna myśl nie opuszczała Klelii — i jak miałyby sobie wyrzucać sympatię okazywaną Fabrycemu? Miał zginąć! I to dla sprawy wolności! Zbyt niedorzeczne bowiem byłoby posyłać na śmierć del Donga dlatego, że pchnął szpadą jakiegoś komedianta. Prawda, że ten luby młodzian zajęty był inną kobietą! Klelia była głęboko nieszczęśliwa, nie przyznawała się wyraźnie przed sobą do rodzaju zainteresowania, jakie czuła dla więźnia. „To pewna — powiadała sobie — że jeśli go wyślą na śmierć, ja uciekam do klasztoru i w życiu nie pokażę się w dworskim towarzystwie, wstręt budzi ono we mnie. Grzeczni mordercy!”

Ósmego dnia po uwięzieniu Fabrycego Klelia miała chwilę wielkiego zawstydzenia. Pochłonięta smutnymi myślami, wlepiła wzrok w okno zasłonięte deską; tego dnia Fabrycy nie dał jeszcze znaku obecności. Naraz, kawałek deski, większy nieco niż dłoń, usunął się; Fabrycy spoglądał na nią wesoło, ujrzała jego oczy, które ją pozdrawiały. Nie mogła znieść tej nieoczekiwanej próby, odwróciła się szybko ku ptaszkom i zaczęła się koło nich krzątać; ale drżała tak, że rozlała wodę, którą im dawała, i Fabrycy mógł doskonale widzieć jej wzruszenie. Nie mogła znieść tej sytuacji, uciekła pędem.

Ta chwila była, bez żadnego porównania, najpiękniejsza w życiu Fabrycego. Z jakimż zapalem byłby odrzucił wolność, gdyby mu ją ofiarowano w tej chwili!

Następny dzień był dniem rozpaczki księżnej. Całe miasto uważało zgubę Fabrycego za pewną; Klelia nie miała tej smutnej odwagi, aby okazywać mu srogość, której nie czuła; spędziła półtorej godziny w ptaszkarni, patrzyła na jego znaki i często odpowiadała mu, przynajmniej wyrazem najgorętszej i najszczerzej sympatii; chwilami oddalała się, aby ukryć łzy. Kobieta jej zalotność odczuwała bardzo żywo niedoskonałość tego języka; gdyby naprawdę rozmawiali z sobą, na ileż sposobów starałaby się przeniknąć, jaki jest właściwy charakter uczuć Fabrycego dla księżnej! Klelia nie mogła już sobie robić złudzeń, nienawidziła pani Sanseverina.

Pewnej nocy Fabrycy myślał nieco uważniej o ciotce — zdumiał się: ledwie że mógł rozpoznać jej obraz; wspomnienie o niej zmieniło się zupełnie; w tej chwili miała dlań pięćdziesiąt lat.

„Wielki Boże! — wykrzyknął z zapalem — jakież to szczęście, iż ja jej nie powiedziałem, że ją kocham! Nie mógł już zrozumieć, w jaki sposób wydawała mu się tak ładna. Pod tym względem Marieta mniej odmieniła się w jego wspomnieniu; a to dlatego, że nigdy nie wyobrażał sobie, aby dusza jego była w jakiej bądź mierze związana z Marietą, gdy często myślał, że cała jego dusza należy do Giny. Księżna d'A... i Marieta wydawały mu się obecnie niby dwie młode gołębice, których wdzięk polegał na słabości i naiwności, gdy wzniosły obraz Klelii Conti, ovladając całą jego duszą, budził w nim niemal grozę. Zbyt dobrze czuł, że szczęście jego życia zmusi go, aby się liczył z córką gubernatora, i że w jej mocy jest uczynić go najniešťęśliwszym z ludzi. Co dzień uczuwał śmiertelny lęk, że nagle, przez jej nieodwołalny kaprys, skończy się dziwne i rozkoszne życie, jakie pędził w jej pobliżu; bądź co bądź wypełniła już ona szczęściem pierwsze dwa miesiące więzienia. Był to okres, w którym dwa razy w tygodniu generał Fabio Conti powiadał do księcia:

— Mogę dać Waszej Wysokości słowo honoru, że więzień del Dongo nie rozmawia z nikim i pędzi dni w największym przygnębieniu lub śpi.

Klelia zachodziła parę razy dziennie do ptaszkami, niekiedy na chwilę. Gdyby Fabrycy tak jej nie kochał, dostrzegłby łatwo, że jest kochany; ale miał śmiertelne obawy w tej mierze. Klelia kazała pomieścić w ptaszkarni klawikord. Trącając klawisze, iżby dźwięk instrumentu mógł zaświadczyć o jej obecności i oszukać strażę przechadzającą się pod oknem, odpowiadała oczami na pytania Fabrycego. W jednym tylko przedmiocie nie odpowiadała nigdy, nawet w krytycznych momentach ratowała się ucieczką, niekiedy

znikając na cały dzień: a to, kiedy znaki Fabrycego wyrażały uczucia, których zbyt trudno byłoby jej nie zrozumieć. Na tym punkcie była nieubłagana.

Tak więc, mimo że zamknięty w dość małej klatce, Fabrycy miał życie bardzo zajęte; całe było obrócone na rozwiązanie tego ważnego problemu: „Czy ona mnie kocha?” Rezultatem tysiąca bez przerwy ponawianych, ale też bez przerwy podawanych w wątpliwość spostrzeżeń było: „Wszystkie jej rozmyślnie gesty mówią »nie«, ale mimowolne drgnienia oczu jak gdyby wyznają, że nabiera do mnie sympatii.”

Klelia miała nadzieję, że nigdy nie dojdzie do wyznania; jakoż — aby oddalić to niebezpieczeństwo — odtrąciła z przesadnym oburzeniem wielokrotną prośbę Fabrycego. Nędza środków używanych przez biednego więźnia powinna była może tchnąć w Klelię więcej litości. Chciał się z nią porozumiewać za pomocą liter, które pisał na dłoni kawałkiem węgla tryumfalnie wygrzebanym z pieca: składałby słowa kolejno, litera po literze. Wynalazek ten byłby wzbogacił konwersację o tyle, że pozwoliłby mówić rzeczy ściśle. Okno więzienia znajdowało się o dwadzieścia pięć stóp od okna Klelii — cóż za gratka gawędzić z osobą ponad głowami straży przechadzającej się przed pałacem gubernatora. Fabrycy wątpił, czy jest kochany; gdyby posiadał nieco doświadczenia, nie miałby żadnej wątpliwości; ale nigdy żadna kobieta nie zaprzętała jego serca. Nie miał zresztą pojęcia o pewnej tajemnicy, która — gdyby ją znał — pogrążyłaby go w rozpacz: mówiono właśnie szeroko o małżeństwie Klelii z margrabią Crescenzi, najbogatszym człowiekiem na dworze.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Ambicja generała, rozpalona do białości kłopotami hrabiego Mosca, które zdawały się wróżyć jego upadek, doprowadziła go do tego, iż zaczął robić gwałtowne sceny córce. Powtarzał jej bez ustanku, że łamie mu los, o ile się nie zdecyduje wreszcie na wybór; że po dwudziestym roku jest czas się namyślić: że to okrutne osamotnienie, w jakim niedorzeczny jej upór pograża generała, musi w końcu ustać itd., itd.

Chęć uniknięcia tych ciągłych wybuchów była pierwotną przyczyną, dla której Klelia schroniła się do ptaszkarni; można się tam było dostać jedynie bardzo niewygodnymi schodkami, do których podagra tamowała generałowi drogę.

Od kilku tygodni dusza Klelii znajdowała się w takiej rozterce, tak mało wiedziała sama, czego ma pragnąć, że nie dając wyraźnie słowa ojcu, niemal dała się przekonać. Raz, w przystępie gniewu, generał wykrzyknął, że potrafi ją zamknąć w najsmutniejszym klasztorze w Parmie i pozwoli się jej tam kwasić tak długo, aż wreszcie raczy uczynić wybór.

— Wiesz, że nasz dom, mimo że bardzo starożytny, nie ma wszystkiego razem ani sześciu tysięcy funtów renty, gdy fortuna margrabiego sięga więcej niż stu tysięcy talarów rocznie. Na dworze margrabia cieszy się opinią najmiłszego człowieka; nigdy nikomu nie dał powodu do skargi; jest przystojny, młody, dobrze widziany u księcia: trzeba być skończoną wariatką, aby go odtrącać. Gdyby to była pierwsza odmowa, mógłbym ją znieść; ale ty, głupia gąsko, odtrąciłaś już pięć czy sześć najlepszych partii. I co by się z tobą stało, pytam, gdyby mnie spensjonowano<sup>66</sup>? Co za tryumf dla wrogów, gdyby mnie ujrzano gniotącego się na jakim drugim pięterku, mnie, dla którego tyle razy była mowa o ministerium! Nie, do kroćset, dość długo już przez zbytnią dobroć odgrywałem rolę dudka. Albo mi przedstawisz jakiś ważny argument przeciw biednemu Crescenzi, który jest na tyle dobry, że się kocha w tobie, że cię chce wziąć bez posagu i że ci wyznacza posag w wysokości trzydziestu tysięcy funtów renty, co mi zapewnia bodaj jakiś punkt oparcia — albo tedy będziesz ze mną gadała rozsądnie, albo, do czarta, wyjdiesz za niego do dwóch miesięcy!

Jedno słowo w całym tym przemówieniu uderzyło Klelię, mianowicie groźba klasztoru, a tym samym oddalenie od cytadeli, i to w chwili gdy życie Fabrycego wisiało na włosku; nie było miesiąca, iżby pogłoska o jego bliskiej śmierci nie obiegiła miasta i dworu. Mimo wszelkich rozumowań nie mogła się zdobyć na to ryzyko: rozstać się z Fabrycem, i to w chwili gdy drżała o jego życie! To było w jej oczach największe, a przynajmniej najbardziej bezpośrednio nieszczęście.

<sup>66</sup>spensjonować (daw.) — wysłać na emeryturę. [przypis edytorski]



Nie znaczy to, aby nawet w pobliżu Fabrycego serce jej kosztowało szczęścia; wiedziała o miłości księżnej, a duszę jej rozdzierała śmiertelna zazdrość. Rozbierała w myśli wartość tej kobiety tak ogólnie podziwianej. Surowość, jaką sobie nakładała wobec Fabrycego, rozmowa na migi, jaką go spętała z obawy, by nie przekroczyć granic, wszystko utrudniało jej wyjaśnienie jego stosunku do księżnej. Tak więc z każdym dniem dotkliwiej czuła straszliwe cierpienie, że ma rywalkę w sercu Fabrycego, i z każdym dniem mniej miała odwagi dostarczenia mu środków, którymi mógłby wyrazić wszystko, co się dzieje w jego sercu. Jakże rozkosznie byłoby usłyszeć wyznanie jego prawdziwych uczuć! Co za szczęście dla Klelii rozproszyć okropne podejrzenia trujące jej życie!

Fabrycy był płochy; w Neapolu miał opinię, że dość łatwo zmienia kochanki. Mimo całej skromności, jaką formy nakładają pannie, Klelia, od czasu jak została kanoniczką i bywała u dworu, nie pytała nigdy o nic, ale słuchała uważnie; nauczyła się odcyfrowywać opinię, jaką wyrobili sobie młodzi ludzie kolejno starający się o jej rękę; otóż w porównaniu z nimi Fabrycy był właśnie najlekkoomyślniejszy w sprawach sercowych. Był w więzieniu, nudził się, robił słodkie oczy do jedynej kobiety, którą miał pod ręką; cóż prostszego? *Cóż pospolitszego* nawet? To właśnie gnębiło Klelię. Gdyby nawet w otwartej rozmowie Klelia dowiedziała się, że Fabrycy nie kocha już księżnej, jakąż wiarę mogła pokładać w jego słowach? Gdyby nawet uwierzyła w ich szczerość, jakąż mogła mieć ufność w trwanie tych uczuć? A wreszcie — ostatni cios dla jej serca! — czyż Fabrycy nie przebiegł szczerbli kariery duchownej? Czy nie miał lada dzień złożyć wiekuistych ślubów? Czyż nie czekały go na tej drodze najwyższe godności? „Gdyby mi został bodaj błysk rozsądku — powiadała sobie nieszczęśliwa Klelia — czyż nie powinna bym uciec? Czyż nie powinna bym błagać ojca, aby mnie zamknął w najodleglejszym klasztorze? A na domiar męki, właśnie obawa oddalenia od cytadeli i zamknięcia w klasztorze powoduje mym postępowaniem! Ta obawa każe mi kłamać, zmusza mnie do wstrętnego i hańbiącego udawania, że przyjmuję starania i publiczne hołdy margrabiego Crescenzi.”

Podstawą charakteru Klelii był rozsądek; w całym życiu nie miała sobie do wyrzucenia niebacznego kroku, a oto postępowanie jej obecne było szczytem nierozsądku: można sobie wyobrazić jej cierpienia!... Były one tym okrutniejsze, że nie robiła sobie złudzeń. Zaczynała się przywiązywać do człowieka, za którym szalała najpiękniejsza kobieta na dworze, kobieta z tylu tytułów wyższa od niej. I sam ten człowiek, gdyby nawet był wolny, nie byłby zdolny do poważnego przywiązania, gdy ona — czuła to dobrze — potrafiłaby w życiu kochać tylko raz.

Tak więc Klelia zachodziła co dzień do ptaszkarni z sercem pełnym najstraszliwszych wyrzutów; skoro przybyła tam jak gdyby wbrew swej woli, niepokój jej odmieniał charakter i stawał się mniej okrutny, wyrzuty ustawały na chwilę; śledziła z szalonym biciem serca chwilę, w której Fabrycy otworzy okienko sporządzone z olbrzymiej żaluzji osłaniającej jego okno. Często obecność dozorczy Grillo w celi nie pozwalała mu porozumiewać się z przyjaciółką.

Jednego wieczoru koło jedenastej Fabrycy usłyszał w cytadeli niezwykley hałas: kładąc się na oknie i wystawiając głowę przez otwór, zdołał w ciszy nocnej rozróżnić hałasy rozlegające się na wielkich schodach, tak zwanych „trzystu stopniach”; schody te wewnątrz okrągłej wieży prowadziły z pierwszego dziedzińca na kamienną platformę, na której wzniesiono pałac gubernatora oraz więzienie Farnese, w którym znajdował się Fabrycy.

W połowie mniej więcej, na sto czterdziestym stopniu, schody te przechodziły od południowej strony obszernego dziedzińca na stronę północną; tam znajdował się lekki i wąski mostek żelazny, na którego środku czuwał zawsze odźwierny. Luzowano tego człowieka co sześć godzin; musiał wstawać i przyciskać się do poręczy, aby można było przejść przez most, którego strzegł i przez który jedynie można się było dostać do pałacu gubernatora i do wieży Farnese. Wystarczyły dwa obroty klucza, który gubernator zawsze nosił przy sobie, aby spuścić ów żelazny mostek w dziedziniec, głęboki w tym miejscu przeszło na sto stóp; skoro się dopełniło tej prostej ostrożności, ponieważ nie było innych schodków w cytadeli i ponieważ co wieczór o północy adiutant odnosił do gubernatora, do jego gabinetu za jego pokojem, sznury od wszystkich studzien, był on zupełnie niedostępny w swoim pałacu, a tak samo niepodobna byłoby komukolwiek dostać się do wieży Farnese. Fabrycy stwierdził to w dniu, w którym przybył do cytadeli; zresztą Grillo, który jak wszyscy dozorczy lubił wychwalać swoje więzienie, wytłumaczył mu to niejednym raz,

tak więc nie było żadnej nadziei ucieczki. Mimo to przypomniał sobie maksymę księdza Blanesa: „Kochanek częściej myśli o tym, aby dotrzeć do ukochanej, niż mąż o tym, aby pilnować żony; więzień częściej myśli o ucieczce, niż dozorca o tym, aby zamknąć bramę; zatem, jakie bądź byłyby przeszkody, kochanek i więzień powinni wygrać.”

Otóż tego wieczora Fabrycy słyszał wyraźnie ludzi przechodzących przez most żelazny, zwany „mostem niewolnika”, bo niegdyś dalmacki niewolnik zdołał umknąć nim, strąciwszy strażnika w dziedziniec.

„Przychodzą kogoś stąd zabierając, może mnie na szubienicę; ale może być jakiś zamęt, chodzi o to, aby z niego skorzystać.” Chwycił broń, wydobył złoto z paru skrytek, kiedy nagle zatrzymał się.

„Człowiek to, trzeba przyznać, zabawne stworzenie! — wykrzyknął. — Co by powiedział jakiś niewidzialny świadek, patrząc na moje przygotowania? Czyżbym ja przypadkiem chciał uciekać? I cóż bym ja począł z sobą nazajutrz po powrocie do Parmy? Czy nie uczyniłbym wszystkiego, aby wrócić w pobliże Klelii? Jeśli będzie zamęt, skorzystam z niego, aby się wśliznąć do pałacu gubernatora; może zdołam mówić z Klelią, może w tym zamieszaniu zdołam ucałować jej rękę. Generał Conti, bardzo podejrzliwy z natury i nie mniej próżny, każe strzec swego pałacu pięciu wartom — po jednym żołnierzu na każdym rogu, a piąty u bramy — ale na szczęście noc jest bardzo ciemna.” Skradając się na palcach, Fabrycy stwierdził, co robią dozorca Grillo i jego pies: dozorca spał głęboko na wołowej skórze zawieszanej na czterech postronkach i obwiedzionej grubą siatką; pies foks otwarł oczy i zbliżył się cicho, aby polizać Fabrycemu rękę.

Jeniec nasz przebył lekko sześć stopni prowadzących do jego drewnianej izdebki; hałas u stóp wieży Farnese stawał się tak mocny, i to właśnie pod bramą, iż Fabrycy zląkł się, iż Grillo może się obudzić. Zgromadził wszystką broń, gotów do działania i myśląc, że tej nocy czekają go wielkie rzeczy, kiedy nagle usłyszał, iż zaczyna się najpiękniejsza symfonia w świecie: była to po prostu serenada na cześć generała lub jego córki. Zaczął się śmiać jak szalony: „I ja brałem się do puginau!” — jak gdyby serenada nie była czymś nieskończenie pospolitszym niż uprowadzenie więźnia, wymagające obecności osiemdziesięciu ludzi w więzieniu, albo niż rewolucja! Muzyka była wyborna i wydała się czymś rozkosznym Fabrycemu, którego dusza nie miała od tygodnia żadnej rozrywki; wycisnęła mu z oczu słodkie łzy; w upojeniu swoim przemawiał do pięknej Klelii najbardziej nieodpartymi słowami. Ale nazajutrz w południe ujrzał ją pogrążoną w tak posępnej melancholii, była tak blada, zwracała nań spojrzenia, w których czytał chwilami tyle gniewu, że nie miał odwagi spytać o serenadę — lękał się popełnić nietakt.

Klelia miała wielki powód do smutku: serenadę tę wyprawił dla niej margrabia Crescenzi; krok tak publiczny był niejako urzędowym oznajmieniem małżeństwa. Do dnia serenady, do dziewiątej wieczór tego dnia, Klelia stawiała najwytrwalszy opór, ale miała tę słabość, iż uległa pod groźbą natychmiastowego odesłania do klasztoru.

„Jak to? Miałabym go już nie zobaczyć!” — powiadała sobie, płacząc. Na próżno rozsądek jej dodawał: „...nie zobaczyć człowieka, który stanie się, na każdy sposób, moim nieszczęściem; nie zobaczyć kochanka księżnej; nie zobaczyć zmiennika, który miał dzieśięć znanych kochanek w Neapolu i wszystkie zdradzał; nie zobaczyć ambitnego chłopaka, który — jeśli przeżyje ciężący na nim wyrok — przyjmie święcenia! Byłoby z mojej strony zbrodnią spojrzeć nań jeszcze, kiedy opuści tę cytadelę, a jego wrodzona niestałość oszczędzi mi tej pokusy; czymże bowiem jestem dla niego? Środkiem mniej nudnego spędzenia kilku godzin w tym więzieniu! Wśród tych wyrzekań Klelia przypominała sobie uśmiech, z jakim patrzył na żandarmów otaczających go, gdy wychodził z furty, aby udać się do wieży Farnese. Oczy jej spływały łzami: „Drogi mój, czegoż nie uczyniłabym dla ciebie! Zgubisz mnie, wiem, taki jest mój los; gubię się sama w okrutny sposób, przyjmując tę ohydłą serenadę; ale jutro w południe ujrzę znów twoje oczy!”

Właśnie nazajutrz po dniu, w którym Klelia uczyniła takie poświęcenie dla młodego więźnia, budzącego w niej najgorętsze uczucia, nazajutrz po dniu, w którym, znając jego wady, poświęciła mu życie, Fabrycy był zrozpaczony jej chłodem. Gdyby nawet, posługując się niedoskonałą wymową znaków, zadał najłżejszy gwałt duszy Klelii, prawdopodobnie nie zdołałaby wstrzymać łez i Fabrycy uzyskałby wyznanie jej uczuć, ale brak mu było odwagi, zbyt lękał się obrazić Klelię, mogła go ukarać zbyt srogo. Innymi słowami.

Fabrycy nie miał żadnego doświadczenia w rodzaju wzruszeń, jakie budzi kobieta, którą się kocha; było to wrażenie, którego nigdy nie doznał nawet w najsłabszym stopniu. Od owej serenady trzeba mu było tygodnia, aby wrócić z Klelią do zwykłej serdeczności. Biedna dziewczyna zbroiła się surowością, drżała, aby się nie zdradzić, a Fabrycemu zdawało się, że co dzień traci w jej oczach.

Jednego dnia — minęło już blisko trzy miesiące, jak Fabrycy był w więzieniu bez żadnej styczności ze światem, a mimo to nie czuł się nieszczęśliwy — Grillo został rano bardzo długo w pokoju; Fabrycy nie wiedział, jak się go pozbyć, był w rozpacz; wreszcie wybiło już wpół do pierwszej, kiedy mógł otworzyć dwie małe klapy, na stopę wysokie, które wyciął w nieszczęsnej okiennicy.

Klelia stała w oknie ptaszkarni, z oczami utkwionymi w oknie Fabrycego; zmienione jej rysy wyrażały najgłębszą rozpacz. Ledwie ujrzała Fabrycego, dała mu znak, że wszystko stracone; rzuciła się do klawikordu i udając, że śpiewa *recitativo* z modnej opery, powiedziała mu we frazach przerywanych rozpaczą oraz obawą, iż straż pod oknem może ją zrozumieć:

— Wielki Boże! pan jeszcze żyje? Ileż wdzięczności winna jestem niebu! Barbone, ów dozorca, którego zuchwałstwo skarał pan w dniu swego przybycia, znikł, nie było go w cytadeli; przedwczoraj wrócił, a od wczoraj mam powód mniemać, że stara się pana otruć. Kręci się w kuchni, która dostarcza panu posiłków. Nie wiem nic pewnego, ale pokojówka sądzi, że ta złowroga figura zjawia się w kuchni jedynie po to, aby pana zgładzić. Umierałam z niepokoju, nie widząc pana, myślałam, że pan nie żyje. Niech się pan wstrzyma od wszelkiego pożywienia aż do nowych wiadomości, zrobię, co w mej mocy, aby panu dostarczyć trochę czekolady. W każdym razie dziś wieczór o dziewiątej, jeśli łaska niebios pozwoli, aby pan miał jaką nitkę lub aby pan mógł sporządzić taśmę z bielizny, niech ją pan spuści ze swego okna na pomarańcze, ja przyniosę sznur, który pan wciągnie i za pomocą tego sznura prześlę panu chleba i czekolady.

Fabrycy zachował jak skarb kawałek węgla, który znalazł w piecu w swej izdebce; skwapliwie skorzystał ze wzruszenia Klelii i wypisał na dłoni szereg liter, które kolejno utworzyły te słowa:

Kocham panią, życie dla mnie ma wartość jedynie dlatego, że panią widzę; przede wszystkim niech mi pani przyśle papier i ołówek.

Tak jak Fabrycy się spodziewał, groza, którą czytał w rysach Klelii, nie pozwoliła młodej dziewczynie przerwać rozmowy po tym zuchwałym „kocham panią”; przestała na okazaniu wyraźnego niezadowolenia. Fabrycy miał tyle sprytu, że dodał: „Przy tym dzisiejszym wietrze bardzo lichy słyszałem przestrogi, których mi pani raczyła udzielić; klawikord kryje głos. Co to jest, na przykład, owa trucizna, o której pani mówi?”

Na te słowa przestraszył młodej dziewczyny objawił się w całej pełni; spieszenie zaczęła kreślić wielkie litery atramentem na kartkach jakiejś książki, którą podarła. Fabrycy nie posiadał się z radości widząc, iż po trzymiesięcznych staraniach dotarł wreszcie do środka korespondencji, o który tak daremnie zabiegał. Trzymał się pilnie niewinnego podstępu, który mu się tak dobrze powiódł, marzył o wymianie listów i udawał co chwila, że nie rozumie dobrze słów, które Klelia składała, podsuwając mu kolejno litery przed oczy.

Wreszcie trzeba jej było opuścić ptaszkarnię, aby się udać do ojca; lękała się nade wszystko, aby nie przyszedł po nią; podejrzliwość jego nie byłaby zgoła rada z bliskiego sąsiedztwa ptaszkarni z oknem więźnia. Chwilę wprzód sama Klelia — wówczas gdy nieobecność Fabrycego grażyła ją w śmiertelnym niepokoju — wpadła na myśl, że można by rzucić kamyk zawinięty w kawałek papieru ponad żaluzję: gdyby przypadkiem dozorca, pełniącego straż przy Fabrycym, nie było w pokoju, byłby to niezawodny środek korespondencji.

Więzień nasz skwapliwie sporządził taśmę z bielizny; wieczorem, nieco po dziewiątej, usłyszał wyraźnie pukanie w donicę z pomarańczami, znajdujące się pod oknem; spuścił taśmę, do której przyczepiono długi sznurek; wciągnął zapas czekolady, a potem ku swej niewymownej radości zwitek papieru i ołówek. Na próżno spuszczał sznur jeszcze — nie otrzymał nic; widocznie straż zbliżała się do drzewek. Ale był upojony szczęściem. Czym prędzej napisał nieskończenie długi list do Klelii; ukończywszy, przywiązał go do sznurka i spuścił. Więcej niż trzy godziny czekał na próżno, aby go ktoś odebrał; kilka razy wyciągał

list, aby coś w nim zmienić. Jeżeli Klelia nie przeczyta mojego listu dziś wieczorem, gdy jeszcze jest wzruszona wiadomością o truciznie — powiadał sobie — jutro rano odtrąci może z oburzeniem myśl korespondencji.

W istocie było tak, że Klelia nie mogła się wymówić od towarzyszenia ojcu do miasta; Fabrycy domyślił się niebawem tego, słysząc około wpół do pierwszej wracający powóz generała; znał chód koni. Usłyszał, jak generał idzie przez platformę, jak warta prezentuje broń. Jakaż była jego radość, kiedy w kilka minut potem uczuł, że sznurek, który wciąż miał owinięty koło ręki, porusza się. Ktoś przywiązywał do sznurka wielki ciężar; dwa lekkie szarpnięcia dały Fabrycemu znak, aby go wciągnął. Z trudem przyszło więźniowi przeciągnąć ten pakunek przez wystający gzyms pod oknem. Przedmiot ten, który z trudnością przyszło mu wywindować, była to karafka pełna wody, zawinięta w szal. Z jakąż rozkoszą biedny chłopiec, który od tak dawna żył w zupełnej samotności, okrył ten szal pocałunkami. Ale nie będziemy się silili odmalować jego wzruszenia, kiedy po tylu dniach daremnej nadziei odkrył kawałek papieru przypięty do szala szpilką.

Niech pan pije tylko tę wodę; je tylko czekoladę; jutro uczynię wszystko, aby panu dostarczyć chleba, poznać go ze wszystkich stron krzyżykami nakreślonymi atramentem. To okropne wyznać, ale trzeba, aby pan wiedział: może Barbone ma polecenie otruć pana. Jak pan mógł nie odczuć, że temat, który pan porusza w swoim liście, jest mi nie-miły? Toteż nie pisałam do pana, gdyby nie straszliwe niebezpieczeństwo, które nam grozi. Widziałam właśnie księżnę, ma się dobrze, zarówno jak i hrabia, ale bardzo schudła. Niech pan już nie pisze do mnie o tym — czy chciałby mnie pan pogniewać?

Przedostatni wiersz tego bileciku był wielkim zwycięstwem Klelii nad sobą. Całe towarzystwo na dworze utrzymywało, że pani Sanseverina zaczyna okazywać wiele sympatii hrabiemu Baldi, ślicznemu chłopcu, ekspryzjacielowi margrabiny Raversi. W każdym razie było pewne, iż zerwał w najskandaliczniejszy sposób z margrabiną, która przez sześć lat była dlań niby matka i która stworzyła mu pozycję w świecie.

Klelia musiała napisać drugi raz ten bilecik kreslony w pośpiechu, ponieważ w pierwszym jego brzmieniu przebijała aluzja do miłości, o którą złośliwy świat pomawiał księżnę.

— Co za nikczemność! — wykrzyknęła — oczerniać przed Fabrycym kobietę, którą kocha!

Nazajutrz rano, na długo przed świtem, Grillo wszedł do pokoju Fabrycego, złożył dość ciężki pakunek i zniknął bez słowa. Pakunek ten zawierał spory bochen, cały poznaczony krzyżykami; Fabrycy okrył go pocałunkami; był zakochany. Wraz z chlebem znajdował się rulon zawinięty kilkakrotnie w papier — zawierał sześć tysięcy franków w cekinach; Fabrycy znalazł tam piękny nowy brewiarz; prócz tego ręka, którą już poznawał, nakreśliła na marginesie te słowa:

*Trucizna!* Uważać na wodę, na wino, na wszystko; jeść tylko czekoladę, nietknięty obiad dać psu; nie trzeba okazywać nieufności, wróg poszukałby innego środka. Żadnej nierozwagi, na imię nieba, żadnej lekkomyślności!

Fabrycy żywo wydarł ukochane litery, które mogły narazić Klelię; wydarł również garść kartek z brewiarza i sporządził z nich czcionki; każda litera była starannie kreślona węglem rozcieńczonym w winie. Litery te wyschły do chwili, gdy o trzy kwadranse na dwunastą Klelia ukazała się o dwa kroki od okna w ptaszkami. „Teraz najważniejsze — powiedział sobie Fabrycy chodzi o to, aby się zgodziła na tę korespondencję.” Ale na szczęście okazało się, że miała mnóstwo rzeczy do powiedzenia młodemu więźniowi co do zamierzonego otrucia; kredensowy pies zdechł, zjadłszy potrawę przeznaczoną dla Fabrycego. Klelia nie tylko nie wzdragała się użyć alfabetu, ale sama sporządziła wspianiałe czcionki atramentem. Rozmowa, z początku dość uciążliwa, trwała półtorej godziny, to znaczy cały czas, który Klelia mogła zostać w ptaszkarni. Kilka razy, kiedy Fabrycy pozwalał sobie na rzeczy zabronione, nie odpowiadała i zajęła się na chwilę klatkami.

Fabrycy uzyskał to, że wieczorem, posyłając mu wodę, Klelia obiecała mu przysłać alfabet nakreślony przez nią i daleko czytelniejszy. Czym prędzej napisał długi list, w którym starał się unikać tkliwych wynurzeń, przynajmniej takich, które by mogły ją urazić. Powiodło mu się i list został przyjęty.

Nazajutrz w rozmowie za pomocą alfabetu Klelia nie czyniła mu wymówek; oznajmiła mu, że niebezpieczeństwo otrucia jest mniejsze; młodzież nadskakująca kuchareczkom z pałacu gubernatora napadła Barbona i niemal go zatłukła; prawdopodobnie nie będzie się już śmiała pokazać w kuchni. Klelia wyznała, że ośmieliła się skraść ojcu dla Fabrycego odtrutkę i posyła ją mu; najważniejsze jest, aby bez wahania odrzucił wszelkie pożywienie, które by miało jakiś niezwykły smak.

Klelia długo oblegała pytaniami don Cezara, nie mogła dojść, skąd pochodzi sześć tysięcy cekinów, które otrzymał Fabrycy; w każdym razie był to wyborny znak: surowość zmniejsza się.

Epizod z trucizną niezmiernie posunął sprawy naszego więźnia; wprawdzie nie zdołał uzyskać najlepszego wyznania, które byłoby podobne do miłości, ale miał szczęście żyć w najpoufalszym zbliżeniu z Klelią. Co rano, często i wieczorem, wiedli ze sobą długie rozmowy za pomocą alfabetu; co wieczór o dziewiątej Klelia przyjmowała długi list, a niekiedy odpowiadała nań kilkoma słowami; posyłała mu gazety i książki; wreszcie ugłaskała Grilla tak, że przynosił Fabrycemu chleb i wino, które mu doręczała co dzień pokojówka Klelii. Dozorca wywnioskował stąd, że gubernator nie był w porozumieniu z ludźmi, którzy kazali Barbonowi otruć młodego monsignora, i bardzo był z tego rad, zarówno jak i wszyscy jego towarzysze, ustaliło się bowiem w więzieniu przysłowie: „Wystarczy spojrzeć na monsignora del Dongo, aby zaraz otworzył sakiewkę.”

Fabrycy zrobił się bardzo błąd; zupełny brak ruchu szkodził jego zdrowiu; poza tym nigdy nie był tak szczęśliwy. Ton rozmów z Klelią był serdeczny, niekiedy bardzo wesoły. Jedynymi momentami, w których nie oblegały Klelii ponure przecucia i wyrzuty, były te, które spędzała na rozmowie z Fabrycym. Jednego dnia powiedziała mu niebacznie:

— Podziwiam pańską delikatność; ponieważ jestem córką gubernatora, nie wspominam mi pan nigdy o chęci odzyskania swobody.

— Bo też wcale nie żywię tak niedorzecznej chęci — odparł Fabrycy — gdybym wrócił do Parmy, jakżeby panią widywał? A życie stałoby mi się nie do zniesienia, gdybym nie mógł mówić pani wszystkiego, co myślę... nie, nie ściśle tego, co myślę, na to pani nie pozwala; ale ostatecznie, mimo pani niegodziwości, żyć nie widując pani co dzień byłoby dla mnie męką dotkliwszą niż to więzienie. W życiu nie byłem równie szczęśliwy!... Czy to nie zabawne, że szczęście oczekiwało mnie w więzieniu?

— Wiele by można powiedzieć na ten temat — odparła Klelia, przybierając nagle niezwykle poważny, prawie posępny wyraz.

— Jak to! — wykrzyknął Fabrycy zaniepokojony. — Czyżby mi groziło, że stracę to tak maleńkie miejsce, które zdołałem zyskać w pani sercu, a które stanowi jedyną mą radość na świecie?

— Tak — rzekła — mam powód mniemać, że pan nie jest ze mną uczciwy, mimo że skądinąd uchodzi pan za dwornego kawalera; ale nie chcę dziś mówić o tym.

To szczególne zwierzenie rzuciło na rozmowę cięń zakłopotania — co chwila oboje mieli łzy w oczach.

Generalny poborca Rassi wciąż marzył o zmianie nazwiska; miał dość tego, pod którym się wślwił, chciał zostać baronem Riva. Hrabia Mosca ze swej strony pracował z całą zręcznością, do jakiej był zdolny, nad tym, aby wzmocnić u tego przedajnego sędziego namiętność do baronii, tak jak starał się podsycić w księciu niedorzeczną nadzieję zostania konstytucyjnym królem Lombardii. Były to jedyne środki, jakie zdołał wynaleźć, aby odwlec śmierć Fabrycego.

Księżę powiadał do Rassiego:

— Dwa tygodnie rozpacz i dwa tygodnie nadziei to dieta, której cierpliwym stosowaniem zdołamy złamać tę dumną kobietę; taką kolejną odmianą łagodności i srogości ujarzmią się w końcu najnarowistsze rumaki. Przypalaj śmiało!

W istocie, co dwa tygodnie na nowo zaczynały obiegać w Parmie pogłoski o bliskiej śmierci Fabrycego. Pogłoski te grążyły nieszczęsną księżną w ostatecznej rozpacz. Wierna postanowieniu, nie wciągała hrabiego w swój upadek, widywała go jedynie dwa razy na

miesiąc, ale okrucieństwo jej wobec biednego człowieka znalazło karę w atakach rozpacz, w jakich pędziła życie. Na próżno Mosca, przewyciężając okrutną zazdrość, jaką budziły w nim zaloty urodziwego Baldi, pisywał do księżnej, kiedy nie mógł jej widzieć, i udzielał jej wszystkich wiadomości, jakie zawdzięczał oddaniu przyszłego barona Riva; aby się oprzeć złowrogim pogłoskom obiegającym bez ustanku o Fabrycym, księżna potrzebowała pędzić życie obok dzielnego i rozumnego człowieka, jak hrabia Mosca; nicość Baldiego, zostawiającego ją własnym myślom, czyniła jej egzystencję straszłą, a hrabia nie mógł jej udzielić otuchy.

Za pomocą rozmaitych, dość zmyślnych pozorów minister zdołał nakłonić swego pana, aby w zaprzyjaźnionym zamku, w samym sercu Lombardii, w okolicach Saronu, złożono archiwum skomplikowanych intryg, przy pomocy których Ranucy Emest IV żywił szaloną nadzieję zostania konstytucyjnym królem tej pięknej krainy.

Więcej niż dwadzieścia tych kompromitujących dokumentów było pisanych ręką księcia lub przez niego podpisanych; otóż w razie gdyby życie Fabrycego było poważnie zagrożone, hrabia miał zamiar oznajmić Jego Wysokości, iż wyda te dokumenty pewnej potężnej osobistości, która Jednym słowem mogła unicestwić parmeńskie ksiąźtątko.

Mosca czuł się pewnym przyszłego barona Riva, lękał się jedynie trucizny; zamach Barbona zaniepokoił go mocno, do tego stopnia, iż postanowił odważyć się na krok pozorze szalony. Pewnego ranka udał się do bram cytadeli i kazał wezwać generała Fabia Conti, który zeszedł aż do bastionu; tam w czasie przyjacielskiej przechadzki hrabia nie zawahał się mu powiedzieć po uprzejmym i słodkawym wstępie:

— Jeżeli Fabrycy zginie w podejrzanym sposobie, tę śmierć mogliby przypisywać mnie; będę uchodził za zazdrośnika; to by mnie okryło nieznośną śmiesznością i bezwarunkowo tego nie chcę. Zatem, aby się z tego oczyścić, jeśli on zginie z jakiej choroby, *zabiję pana własną ręką*; może pan być tego pewny.

Generał Fabio Conti odpowiedział bardzo wyniośle, gadał wiele o swym męstwie, ale wzrok hrabiego utkwiał mu w pamięci.

Niedługo potem, jak gdyby zmówiwszy się z hrabią, poborca Rassi pozwolił sobie na nieopatrzność bardzo szczególną u takiego człowieka. Powszechna wzgarda, związana z jego imieniem, które stało się obelgą w ustach motłochu, przyprawiła go o chorobę, od czasu jak miał nadzieję uwolnić się od niej. Przesłał generałowi Conti urzędowy odpis wyroku, który skazywał Fabrycego na dwanaście lat twierdzy. Wedle prawa należało to uczynić zaraz nazajutrz po odesłaniu Fabrycego do więzienia; ale było rzeczą niesłychaną w Parmie, tym kraju *tajności*, aby władze sądowe pozwoliły sobie na taki krok bez wyraźnego rozkazu panującego. W istocie, jak tu podsycać co dwa tygodnie obawy księżnej oraz ujarzmić — wedle wyrażenia władcy — tę hardą naturę, skoro raz urzędowy odpis wyroku opuścił kancelarię? W wilię dnia, w którym generał otrzymał papier od poborcy Rassiego, dowiedział się, że skrybę Barbona obito, gdy wracał późną nocą do cytadeli; wyciągnął stąd wniosek, że nie ma już w pewnych sferach mowy o pozbyciu się Fabrycego. Przez ostrożność, która ocaliła Rassiego od bezpośrednich skutków jego szaleństwa, generał nie wspominał księciu podczas pierwszej audiencji, którą uzyskał, o doręczonej mu urzędowej kopii wyroku. Szczęściem dla spokoju biednej księżnej hrabia doszedł, iż niezręczny zamach Barbona był jedynie osobistą zemstą, i polecił udzielić skrybie wspomnianej przestrogi.

Fabrycy zdziwił się przyjemnie, kiedy po trzydziestu pięciu dniach więzienia w dość ciasnej klatce dobry kapelan don Cezar odwiedził go pewnego czwartku, aby się z nim przejść po terasie; nie upłynęło dziesięć minut, a Fabrycy, odurzony powietrzem, omdlał.

Don Cezar użył tego wypadku za pretekst, aby mu użyzyć co dzień półgodzinnej przechadzki. Było to głupstwo — częste przechadzki wróciły niebawem naszemu bohaterowi siły, których nadużył.

Serenady odbywały się często, służbisty gubernator znosił je dlatego, że wiązały wobec margrabiego Crescenzi Klelię, której charakter niepokoił ojca; miał mętne poczucie, że między nim a córką nie ma najmniejszego punktu styczności, i wciąż lękał się jakiegoś szaleństwa z jej strony. Mogła uciec do klasztoru — i wówczas byłby bezbronny. Poza tym generał obawiał się, aby ta muzyka, której dźwięki mogły przenikać do kaźni przeznaczonych dla najczarniejszych liberalów, nie zawierała jakiego sygnału. I sami muzykanci niepokoiли go również; tuż po ukończeniu serenady zamykano ich na klucz

w sieniach pałacu, które w dzień służyły na biura dla generalnego sztabu; wypuszczano ich nazajutrz, dobrze ku południowi. Sam gubernator, stojąc na „moście niewolnika”, kazał ich obszukiwać w swojej obecności i zanim wrócił im wolność, powtarzał po kilka razy, że każe natychmiast powiesić tego, który by przyjął najmniejsze zlecenie do którego z więźniów. Wiedzieli, że ten strachajło, wciąż drżący przed niełaską, gotów byłby dotrzymać słowa; toteż margrabia Crescenzi zmuszony był potrójnie opłacać muzykantów, bardzo krzywych o tę noc spędzoną w więzieniu.

Wszystko, co księżna mogła wymóc, i z wielkim trudem, na tchórzostwie jednego z tych ludzi, to, iż weźmie list, aby go oddać gubernatorowi. List był adresowany do Fabrycego: księżna ubolewała nad fatalnością, która sprawiła, iż w ciągu tych pięciu miesięcy przyjaciele nie mogli z nim nawiązać żadnego porozumienia.

Na wstępie do cytadeli przekupiony grajek rzucił się do kolan generała i wyznał, że jakiś nieznamy książd tak nalegał nań, aby przyjął list adresowany do pana del Dongo, iż nie śmiał odmówić; ale wierny swym obowiązkom oddaje go bezzwłocznie do rąk Ekscelencji.

Generał był bardzo rad; znał środki, jakimi rozporządzała księżna, i mocno się lękał, aby go nie wywiodła w pole. Uszczęśliwiony, pośpieszył pokazać list swemu panu, który był nie mniej zachwycony.

— Tak więc sprawność mojej administracji zdołała mnie pomścić! Ta dumna kobieta cierpi od pięciu miesięcy! Ba, któregoś dnia każe wznieść szubienicę — rozszalała jej wyobraźnia będzie niechybnie przekonana, że to dla tego smarkacza del Dongo.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Jednej nocy, około pierwszej z rana, Fabrycy, leżąc na oknie, wystawił głowę przez otwór w żaluzji i patrzył na gwiazdy oraz na bezkresny horyzont, którym napawa się oko ze szczytu wieży. Oczy jego, błądzące po okolicy dolnego Padu i Ferrary, zauważyły przypadkiem bardzo małe, ale dość żywe światełko biegnące jak gdyby z wysokiej wieży. „Tego światła nie widać z równiny — zauważył Fabrycy — gruby mur nie pozwala go dojrzeć; to musi być jakiś sygnał na odległość.” Naraz zauważył, że to światło pokazuje się i znika w bliskich odstępach. To jakaś dziewczyna rozmawia ze swoim kochankiem z sąsiedniej wsi. Policzył dziewięć kolejnych błysków. „To I — pomyślał — I jest dziewiątą literą alfabetu. Po chwili znowu czternaście błysków. To N; później, znowu po pauzie, jeden: to A; to znaczy razem: Ina.”

Jakież były jego radość i zdumienie, kiedy te światła, wciąż przerywane pauzami, stworzyły następujące słowa:

*INA PENSA A TE!*

Oczywiście: *Gina myśli o tobie!*

Odpowiedział natychmiast błyskami lampy w uczynionym przez siebie otworze:

*FABRYCY CIĘ KOCHA!*

Korespondencja trwała do rana. Była to sto siedemdziesiąta trzecia noc jego niewoli; powiedziano mu, że od czterech miesięcy znaki te powtarzają się co noc. Ale każdy mógł je dojrzeć i zrozumieć; spróbowano tedy tej nocy umówić skróty: trzy szybkie błyski oznaczały Ginę; cztery księcia; dwa hrabiego Mosca; dwa szybkie błyski, a po nich dwa wolne znaczyły: „ucieczka”. Przyjęto na przyszłość dawny alfabet zwany monaca<sup>67</sup>, który, iżby go nie odgadli niepowołani — zmienia porządek liter i daje im dowolne liczby: A na przykład numer 10; B numer 3; to znaczy, że trzy kolejne migania lampy znaczą B, dziesięć kolejnych migań A itd. Chwila ciemności rozdziela słowa. Umówiono się na dzień następny na pierwszą po północy i nazajutrz księżna przybyła do tej wieży o ćwierć mili od miasta. Oczy jej napełniły się łzami na widok sygnałów Fabrycego, którego śmierć tak często oplakiwała. Powiedziała mu sama za pomocą migania lampy: „Kocham cię, odwagi, zdrowia, nadziei. Ćwicz swoje siły w celi, trzeba ci będzie całej mocy ramion.”

<sup>67</sup>dawny alfabet zwany monaca — używany przez zakonników. [przypis redakcyjny]

— „Nie widziałam go — powiadała sobie księżna — od czasu koncertu Fausty, gdy zjawił się w drzwiach mojego salonu, przebrany za strzelca. Kto byłby wówczas przypuszczał, jaki los nas czeka!

Księżna kazała dawać znaki zwiastujące Fabrycemu, że niebawem będzie uwolniony *dzięki dobroci monarchy* (znaki mógłby ktoś przejść); następnie zaczęła mu mówić czułości, nie mogła się od niego oderwać. Jedyne perswazje Lodovica, który — dla swych usług oddanych Fabrycemu — stał się jej prawą ręką, zdołały ją nakłonić, już blisko świtu, do poniesienia sygnałów, mogących ściągnąć uwagę jakiegoś nieżyczliwego oka. Ta kilkakrotna zapowiedź oswobodzenia pogrzyża Fabrycego w głębokim smutku. Zauważywszy to nazajutrz, Klelia popełniła tę nierozwagę, że spytała o przyczynę.

— Grozi mi to, że będę musiał mocno zmartwić księżnę.

— I czegoż może żądać księżna, czego by jej pan odmówił? — wykrzyknęła Klelia zdjęta najżywszą ciekawością.

— Chce, abym opuścił więzienie — odparł — a na to nie zgodzę się nigdy.

Klelia nie zdołała odpowiedzieć; spojrzała nań i zalała się łzami. Gdyby mógł z nią mówić z bliska, może by w tej chwili uzyskał wyznanie uczuć, których niepewność pogryzała go nieraz w głębokim smutku; czuł, że życie bez miłości Klelii byłoby pasmem goryczy i tęsknoty. Miał uczucie, że nie warto żyć po to, aby odnaleźć te same uciechy, które miały dlań urok, dopóki nie znał miłości. Mimo że samobójstwo nie jest jeszcze w modzie we Włoszech, myślał o nim jako o ucieczce, gdyby los rozdzielił go z Klelią.

Nazajutrz otrzymał od niej długi list.

Trzeba, drogi przyjacielu, abyś wiedział prawdę; nieraz, od czasu jak jesteś tutaj, sądzono w Parmie, że nadeszła twoja ostatnia godzina. Prawda, że skazano cię jedynie na dwanaście lat twierdzy, ale niestety, niepodobna wątpić, że wszechpotężna nienawiść dybie na twoje losy. Dwadzieścia razy drżałam, aby trucizna nie przecięła twoich dni — użyj wszelkich *możliwych* środków, aby się stąd wydostać. — Widzisz, że dla ciebie depcę najświętsze obowiązki! Osądź groźbę niebezpieczeństwa z tego, co ważę ci się powiedzieć, a co jest tak niewłaściwe w moich ustach. Jeżeli trzeba koniecznie, jeżeli nie ma innej nadziei, uciekaj. Każda chwila, którą spędzisz w tej twierdzy, może grozić twemu życiu; pomyśl, że jest na dworze stronnictwo, którego nie powstrzymała nigdy perspektywa zbrodni. Czyż nie widzisz, że wszystkie zakusy tego stronnictwa odwraca nieporównana zręczność hrabiego Mosca? Otóż odkryto niezawodny sposób wygnania go z Parmy, mianowicie rozpacz księżnej, a czyż nie są aż nadto pewni, że wtrąci ją w rozpacz śmierć młodego więźnia? To jedno słowo, na które nie ma odpowiedzi, zdoła ci oświetlić położenie. Mówisz, że masz dla mnie przyjaźń; pomyśl tedy, że niezwykłe przeszkody bronią, aby to uczucie mogło kiedy utrwalić się między nami. Spotkaliśmy się w młodości, podaliśmy sobie pomocną dłoń w krytycznym momencie; los pomieścił mnie w tym strasznym miejscu, iżbym mogła złagodzić twą niedolę, ale czyniłabym sobie wiekiute wyrzuty, gdyby złudzenia, których nic nie uprawnia — i nie uprawni nigdy — kazały ci poniechać jakiegokolwiek sposobu ocalenia swego życia. Straciłam spokój duszy przez okrutną nierozwagę, jaką popełniłam, wymieniając z tobą znaki sympatii. Jeśli nasze dziecinne igraszki z alfabetem wiodą cię do złudzeń, tak mało uzasadnionych, a tak zgubnych, na próżno na swoje usprawiedliwienie przypominałabym sobie zamach Barbona. W ten sposób wtrąciłabym cię w niebezpieczeństwo o wiele straszniejsze, o wiele pewniejsze, sądząc, że cię uratuję od chwilowej katastrofy; a nierozwaga moja byłaby nie do wybaczenia, jeśli wzbudziła w tobie uczucia zdolne cię skłonić do oporu wobec rad księżnej. Widzisz, do czego mnie zmuszasz, trzeba mi wciąż powtarzać: uciekaj, każę ci...

List był bardzo długi; niektóre ustępy, jak np. owo „każę ci”, któreśmy właśnie przepisali, przejmowały Fabrycego dreszczem rozkosznej nadziei; zdało mu się, że o ile wyrażenia są nader ostrożne, o tyle charakter uczuć jest wcale tkliwy. To znów chwilami ponosił kosztą swego zupełnego niedoświadczenia w tego rodzaju wojnie; widział w liście jedynie prostą sympatię lub najzwyczajniejsze współczucie.



Zresztą to, czego się dowiedział, nie zmieniło ani na chwilę jego zamiarów; przyświadczył nawet, że niebezpieczeństwa, jakie mu Klelia odmalowała, są bardzo realne, czy chwilowe niebezpieczeństwo jest zbyt drogim okupem za szczęście widywania jej co dzień? Jakież czekało go życie, gdyby się na nowo schronił w Bolonii lub Florencji, uciekwszy bowiem z cytadeli, nie mógł mieć nadziei, aby mu pozwolono żyć w Parmie. A nawet gdyby książę się tak zmienił, żeby go wypuścił na wolność (rzecz mało prawdopodobna, wobec tego, że on, Fabrycy, stał się dla potężnego stronnictwa środkiem obalenia hrabiego Mosca), cóż za życie pędziłby w Parmie, rozdzielony z Klelią nienawiścią dwóch stronnictw? Raz lub dwa razy na miesiąc przypadek sprowadziłby ich może do jednego salonu; ale nawet wówczas jakąż mogłaby być między nimi rozmowa? Jak odnaleźć tę serdeczną poufalskość, którą obecnie każdego dnia cieszył się po kilka godzin? Czym była rozmowa w salonie w porównaniu z ich alfabetem? „Więc gdyby nawet przyszło okupić pewnym niebezpieczeństwem to rozkoszne życie i tę jedyną możliwość szczęścia, cóż w tym złego? I czyż to samo nie jest szczęściem móc jej dać w ten sposób dowód miłości?”

Fabrycy ujrzał w liście Klelii jedynie sposobność poproszenia jej o schadzki; był to jedyny i stały cel wszystkich jego pragnień. Mówił z nią raz, i to tylko chwilę, w dniu przyjęcia do więzienia; od tego czasu upłynęło przeszło dwieście dni.

Nastęczał się łatwy sposób widzenia z Klelią; pocziwy don Cezar przyzywał Fabrycemu pół godziny przechadzki na tarasie wieży Farnese co czwartek w dzień; ale w inne dni przechadzka ta, którą mogli zauważyć mieszkańcy Parmy i okolic, co by poważnie naraziło gubernatora, odbywała się dopiero z zapadnięciem nocy. Na tarasę prowadziły jedynie schodki dzwonnicy, należącej do owej kaplicy tak posępnie przybranej czarnym i białym marmurem, którą czytelnik przypomina sobie może. Grillo prowadził Fabrycego do tej kaplicy i otwierał mu drzwi na schodki; obowiązkiem jego było iść za nim, że jednak wieczory zaczynały być chłodne, dozorca puszczał go samego, zamykał go na klucz w dzwonnicy łączącej się z tarasą i wracał grać się do izby. I ot, któregoś wieczora, czyż Klelia w towarzystwie panny służącej nie mogłaby się znaleźć w kaplicy z czarnego marmuru?

Cały długi list, jakim Fabrycy odpowiedział na pismo Klelii, obliczony był na to, aby uzyskać tę schadzki. Poza tym zwierzał się jej otwarcie, jak gdyby chodziło o kogo innego, z racji, które go skłaniają do pozostania w cytadeli.

Naraziłbym się co dzień tysiąc razy na śmierć, aby mieć szczęście rozmowy z panią za pomocą naszego alfabetu, który obecnie idzie nam tak gładko, a pani chce, abym popełnił to głupstwo i skazywał się na wygnanie w Parmie lub może w Bolonii albo we Florencji. Żądasz, abym dobrowolnie oddał się od ciebie. Wiedz, że to jest dla mnie niepodobiestwem: próżno dawałbym słowo, nie mógłbym go dotrzymać.

Rezultatem tej prośby o schadzki było zniknięcie Klelii, które trwało całe pięć dni; przez pięć dni zachodziła do ptaszarni jedynie w godzinach, w których wiedziała, że Fabrycy nie może korzystać z okienka. Fabrycy był w rozpacz; wywnioskował z tej nieobecności, że mimo pewnych spojrzeń, które rozkołysały w nim szalone nadzieje, nigdy nie budził w Klelii innych uczuć poza prostą przyjaźnią. „W takim razie — powiedział sobie — co mi zależy na życiu? Niech mi je książę odbierze, zrobi mi łaskę; jeszcze jeden powód, aby nie opuszczać twierdzy.” Z uczuciem głębokiej niechęci odpowiadał co noc na sygnały świetlne. Księżna myślała, że zupełnie oszalał, kiedy w biuletynie, który Lodovico przynosił jej co rano, wyczytała te dziwne słowa: „Nie chcę uciekać; chcę umrzeć tutaj.”

Przez tych pięć dni, tak okrutnych dla Fabrycego, Klelia była jeszcze nieszczęśliwsza; powzięła tę myśl tak dręczącą dla szlachetnej duszy: „Obowiązkiem moim jest umknąć do klasztoru z dala od cytadeli; kiedy i Fabrycy będzie wiedział, że mnie tu już nie ma, a każe mu to powiedzieć przez Grilla i innych dozorców, wówczas zdecyduje się na ucieczkę. Ale klasztor to znaczy wyrzec się na zawsze widoku Fabrycego; a wyrzec się jego widoku, gdy daje tak oczywiste dowody, że uczucia wiążące go niegdyś z księżną już nie istnieją!

Jakiż bardziej wzruszający dowód miłości może dać młody człowiek: po siedmiu miesiącach więzienia, które poważnie naraziły jego zdrowie, wzdraga się odzyskać wolność. Człowiek płochy, jakim przedstawiały Fabrycego ploteczki dworskie, poświęciłby dwadzieścia kochanek, aby wyjść o dzień wcześniej z cytadeli, a czegoż by nie uczynił, aby wyjść z więzienia, gdzie każdy dzień mógł położyć koniec jego życiu?”

Klelii zbrakło odwagi; popełniła ten straszny błąd, że nie schroniła się do klasztoru, co dałoby jej zarazem swobodę zerwania z margrabią. Raz popełniwszy ten błąd, jak mogła się oprzeć młodemu człowiekowi tak miłemu, naturalnemu, tkliwemu, który narażał życie na straszne niebezpieczeństwa, aby uzyskać proste szczęście ujrzenia jej w oknie. Po pięciu dniach okrutnej walki, przerywanej chwilami wzdargy dla samej siebie, Klelia zdecydowała się odpowiedzieć na list, w którym Fabrycy błagał o schadzki w kaplicy z czarnego marmuru. Prawda, że odmówiła, i to dość surowo; ale od tej chwili straciła spokój; wciąż wyobrażała sobie Fabrycego ginącego od trucizny; raz po raz wpadała do ptaszarni; czuła namiętną potrzebę upewnienia się własnymi oczami, że Fabrycy żyje.

„Jeśli jest jeszcze w fortecy — powiadała sobie — jeśli grożą mi wszystkie okropności, jakie stronnictwo Raversi być może knuje przeciw niemu dla pozbycia się hrabiego Mosca, to jedynie dlatego, że nie miałam odwagi schronić się do klasztoru. Jakiż miałby pozór, aby tu zostać jeszcze, gdyby zyskał pewność, że ja znikłam stąd na zawsze?”

Ta dziewczyna nieśmiała i dumna doszła do tego, że naraziła się na możliwość odmowy ze strony dozorca Grilla; co więcej, wystawiła się na wszystkie komentarze, jakimi człowiek ten mógł opatrzyć jej osobliwe zachowanie. Poniżyła się do tego stopnia, że go wezwwała i głosem, który drżeniem swym zdradzał jej tajemnicę, zwierzyła mu, że Fabrycy niedługo odzyska wolność, że księżna Sanseverina żywo krząta się koło tej sprawy, że często zachodzi potrzeba szybkiego porozumienia się z więźniem i że, słowem, prosi jego, Grilla, aby pozwolił Fabrycemu wykonać otwór w żaluzji zasłaniającej jego okno, iżby mu mogła udzielić wiadomości otrzymywanych kilka razy dziennie od pani Sanseverina.

Grillo uśmiechnął się i zapewnił ją o swym szacunku i posłuszeństwie. Klelia była mu niesłychanie wdzięczna, że nie powiedział nic więcej; było oczywiste, że doskonale wiedział o tym, co działo się od kilku miesięcy.

Ledwie dozorca wyszedł, Klelia dała sygnał umówiony z Fabrycym od ważnego wypadku; wyznała mu wszystko, co uczyniła.

— Chcesz zginąć od trucizny — dodała — otóż mam nadzieję zdobyć się niebawem na to, aby opuścić ojca i schronić się gdzieś w klasztorze. Oto, co panu będę zawdzięczała; wówczas, mam nadzieję, nie będzie się pan opierał planom, które mogą cię stąd wydobyć. Dopóki pan tu jest, przeżywam chwile okropne, szalone; w życiu nie sprawiłam niczyjego nieszczęścia, a mam uczucie, iż ja jestem przyczyną, że pan umrze. Gdyby nawet chodziło o nieznanego, ta myśl wystarczyłaby, aby mnie doprowadzić do rozpaczki; a cóż dopiero, kiedy sobie wyobrażę, że przyjaciel, którego nierozwaga sprawia mi wiele przykrości, ale którego, ostatecznie, widuję od tak dawna co dzień, wije się w tej chwili w śmiertelnych męczarniach. Niekiedy czuję potrzebę spytania pana samego, czy pan żyje!

Aby się zbyc tej strasznej bolesti, poniżyłam się do błagania o łaskę sługi, który mógł mi jej odmówić i który może jeszcze mnie zdradzić. Zresztą byłoby to może szczęście dla mnie, gdyby mnie oskarżył przed ojcem; natychmiast znalazłabym się w klasztorze, nie byłabym mimowolną współniczką pańskiego szaleństwa. Ale niech mi pan wierzy, to nie może trwać; musisz się poddać rozkazom księżnej. Czy jesteś zadowolony, okrutny przyjacielu? To ja, ja błagam cię o to, bym mogła zdradzić ojca. Zawołaj Grilla i daj mi pieniądze.

Fabrycy był tak rozkochany, najprostsze życzenie Klelii przyprawiało go o taki lęk, że nawet to niezwykle wyznanie nie dało mu pewności, że ona go kocha. Zawołał Grilla, któremu wynagrodził hojnie minione usługi, na przyszłość zaś powiedział mu, że za każdy dzień, w którym mu pozwoli używać okienka w żaluzji, otrzyma cekina. Grillo przyjął te warunki z wielkim zadowoleniem.

— Będę z panem mówił z ręką na sercu, Ekscelencjo; czy pogodzi się pan z koniecznością zimnego obiadu? Jest bardzo prosty sposób uniknięcia trucizny. Ale proszę pana o ścisłą dyskrecję; dozorca powinien wszystko wiedzieć, a niczego się nie domyślać. Zamiast jednego postaram się panu o kilka psów; nim pan co spożyje, da im pan skosztować. Co się tyczy wina, oddam panu swoje; będzie pan pił tylko z butelek, które ja napocznę.

Ale jeśli Wasza Ekscelencja chce mnie zgubić na zawsze, wystarczy, aby pan zwierzył te szczegóły panience. Kobieta jest zawsze kobietą; jeżeli jutro się poróżni z panem, pojutrze, aby się zemścić, opowie wszystko ojcu, dla którego największą radością byłoby mieć za co powiesić dozorcę. Po Barbone to może najniegodziwszy człowiek w całej cytadeli; obyty jest z trucizną, może pan być pewny, i nie darowałby mi tego pomysłu z pieskami.

Którejś nocy powtórzyła się serenada. Teraz Grillo odpowiadał na wszelkie pytania Fabrycego; przyrzekł sobie wszelako być ostrożnym i nie zdradzić panny Klelii, która wedle niego, mając zaślubić margrabiego Crescenzi, najbogatszego człowieka w Parmie, bawiła się mimo to w miłości — o ile mury pozwalały — z przystojnym monsignorkiem. Ale, odpowiadając na pytania Fabrycego co do serenady, dodał nieopatrznie:

— Mówią, że niedługo ma się z nią ożenić.

Można sobie wyobrazić wrażenie, jakie te proste słowa wywarły na Fabrycym. W nocy odpowiedział na sygnały jedynie po to, aby oznajmić, że jest chory. Nazajutrz o dziesiątej, kiedy Klelia zjawiła się w ptaszkarni, spytał ją ceremonialnym tonem, bardzo nowym między nimi, czemu nie powiedziała mu po prostu, że kocha margrabiego i że ma niebawem za niego wyjść.

— Dlatego, że to nieprawda — odparła Klelia podrażniona.

Trzeba dodać, że reszta odpowiedzi była mniej jasna; Fabrycy podkreślił to i skorzystał ze sposobności, aby znów prosić o schadzkę. Klelia, która wiedziała, że szczerść jej spotyka się z niewiarą, zgodziła się prawie natychmiast, zwracając wszakże uwagę Fabrycego, że gubi ją na zawsze w oczach Grilla.

Wieczorem, kiedy było zupełnie ciemno, zjawiła się w towarzystwie panny służącej w kaplicy z czarnego marmuru. Zatrzymała się w środku, obok wiecznej lampki; pokojówka i Grillo cofnęły się ku drzwiom.

Klelia, cała drżąca, przygotowała piękne przemówienie. Postanowiła sobie nie uczynić żadnego kompromitującego wyznania. Ale logika namiętności nie zna paktów; żądza dowiedzenia się prawdy nie pozwala jej zachować czczych względów, tak jak bezgraniczne oddanie niweczy obawę obrażenia ukochanej osoby. Fabrycy olśniony był pięknnością Klelii; od ośmiu miesięcy widział z bliska jedynie dozorcę. Ale nazwisko margrabiego Crescenzi zbudziło w nim całą wściekłość, która wzmogła się, skoro spostrzegł, że Klelia odpowiadała wymijająco; sama Klelia zrozumiała, że pomnaża podejrzenia miast je rozproszyć. Uczucie to było dla niej zbyt okrutne.

— Czy bardzo będzie się pan czuł szczęśliwy — odparła jak gdyby z gniewem i ze łzami w oczach — jeśli mi każesz zdeptać wszystko, co jestem winna samej sobie? Do trzeciego września zeszłego roku czułam jedynie odrazę do mężczyzn, którzy starali mi się nadskakiwać. Żywiłam bezgraniczną, zapewne przesadną wzgardę dla typu dworaka; wszystko, co było szczęśliwe na tym dworze, mierziło mnie. Podbił mnie natomiast urok więźnia, którego dnia trzeciego września przyprawiono do tej cytadeli. Przechodziłam, zrazu nie zdając sobie z tego sprawy, wszystkie męki zazdrości. Powaby zachwycającej kobiety, którą dobrze znałam, były niby pchnięcia sztyletu dla mego serca, ponieważ sądziłam i sądzę jeszcze po trosze, że ten więzień ją kocha. Niebawem natarczywość margrabiego Crescenzi, który ubiegał się o moją rękę, wzrosła; margrabia jest bardzo bogaty, a my nie mamy żadnego majątku. Odrzuciłam z lekkim sercem jego zaloty, kiedy ojciec wymówił straszliwe słowo „klasztor”; zrozumiałam, że jeśli opuścę cytadelę, nie będę już mogła czuwać nad życiem jeńca, którego los mi był drogi. Arcydziełem mej przemyślności było to, że aż do tej chwili jeniec ów nie miał pojęcia o niebezpieczeństwie grożącym jego życiu. Przyrzekłam sobie nie zdradzić ani ojca, ani swojej tajemnicy; ale ta kobieta energiczna, genialna, o potężnej woli, która roztacza opiekę nad więźniem, ofiarowała, jak sądzę, młodemu więźniowi sposoby ucieczki; odepchnął je, chcąc mnie zarazem przekonać, że jeśli wzdraga się opuścić cytadelę, to aby się nie oddalić ode mnie. Wówczas popełniłam wielki błąd; walczyłam pięć dni, powinnam była natychmiast schronić się do klasztoru i opuścić twierdzę; był to równocześnie prosty sposób zerwania z margrabią. Nie miałam siły opuścić cytadeli i dziś jestem zgubioną dziewczyną; oddałam serce człowiekowi płochemu — wiem, jak żył w Neapolu. Czemuż mam przypuszczać, że się zmienił? Zamknięty w surowym więzieniu, zaczął się zalecać do jedynej kobiety, którą widział i która rozpraszała jego nudę, ot, rozmowa z nią była połączona z trudnościami, zabawa ta przybrała pozór namiętności. Ponieważ więzień ten zdobył sobie rozgłos przez

swą odwagę, wyobraża sobie, iż dowiedzie, że miłość jego jest czymś więcej niż przelotnym kaprysem, narażając się na dość wielkie niebezpieczeństwa, aby widywać nadal osobę, którą rzekomo kocha. Ale z chwilą gdy znajdzie się w dużym mieście, otoczony na nowo pokusami, stanie się tym, czym zawsze był: światowcem goniącym za rozrywką, za miłostkami; a jego biedna towarzyszka więzienia dokończy dni w klasztorze, zapominiana przez tego zmiennika i ze śmiertelną zgryzotą, że mu otworzyła swe serce.

Orędzie to, z którego podajemy jedynie główne fakty, wywołało, jak można się domyślić, sprzeciwy Fabrycego. Był zakochany bez pamięci, toteż przekonany, że nikogo nie kochał przed ujrzeniem Klelii i że losem jego było żyć jedynie dla niej.

Czytelnik wyobraża sobie z pewnością piękne rzeczy, które jej rozpowiadał; wreszcie pokojówka ostrzegła panią, że wybiło wpół do dwunastej i że generał może wrócić lada chwila. Rozstanie było bolesne.

— Widzę pana być może ostatni raz — rzekła Klelia do więźnia — zamach, który jest w oczywistym interesie klikli Raversi, może panu dostarczyć okrutnego sposobu dowiedzenia mi, że nie jest pan zmiennikiem.

Klelia opuściła Fabrycego, dławiąc się od łez i umierając ze wstydu, że nie może ich ukryć przed pokojówką ani zwłaszcza przed dozorcą. Druga rozmowa była możliwa aż wtedy, kiedy generał oznajmi, że wybiera się na wieczór do miasta; że zaś od czasu więzienia Fabrycego i ciekawości, jaką budziło ono na dworze, uważał za bezpieczniejsze prawie ciągle udawać atak podagry, wyprawy jego do miasta, regulowane zasadami wytrawnej polityki, decydowały się często dopiero w chwili wsiadania do powozu.

Od tego wieczora w marmurowej kaplicy życie Fabrycego było jednym upojeniem. Wielkie przeszkody, to prawda, stały jeszcze na drodze do szczęścia, ale wreszcie miał tę niespodziewaną radość, że posiada miłość boskiej istoty, która pochłaniała wszystkie jego myśli.

Trzeciego dnia po tym widzeniu sygnały świetlne skończyły się bardzo wcześnie, mniej więcej około północy; w chwili gdy się skończyły, omal nie roztrzaskała Fabrycemu głowy wielka ołowiana kula, która przeleciawszy ponad górnym skrzydłem żaluzji przedarła papierowe szyby i wpadła do pokoju.

Ta wielka kula nie była ani w przybliżeniu tak ciężka, jakby to wróżyły jej rozmiary. Fabrycy otworzył ją z łatwością i znalazł list od księżnej. Za pośrednictwem arcybiskupa, koło którego chodziła troskliwie, udało się jej pozyskać żołnierza z cytadeli. Człowiek ten, zręczny strzelec z procy, oszukiwał czujność sztyldwachów rozstawionych koło pałacu gubernatora lub też wchodził z nimi w porozumienie.

Trzeba ci się wymknąć po linach; drzę cała, dając ci tę straszliwą radę, waham się przeszło od dwóch miesięcy wymówić to słowo; ale widoki na przyszłość stają się z każdym dniem ciemniejsze, można się spodziewać najgorszych rzeczy. Proszę cię, daj natychmiast znać lampą, że cię doszedł ten niebezpieczny list; zasygnalizuj *P B i G* według alfabetu *alfa monaca*, to znaczy; cztery, dwanaście i dwa; nie odetchnę, póki nie zobaczę sygnału. Jestem na wieży, odpowiem ci *N i O*, siedem i pięć. Otrzymałszy odpowiedź nie dawaj już sygnału i zajmij się jedynie moim listem.

Fabrycy usłuchał czym prędzej, dał umówione znaki, na które natychmiast otrzymał zapowiedziany sygnał, po czym czytał dalej.

Można się spodziewać najgorszych rzeczy; oświadczyli mi to trzech ludzie, do których mam największe zaufanie.

Kazałam im wprzód zaprzysiąc na Ewangelię, że mi powiedzą prawdę, choćby nawet najokrutniejszą. Pierwszy z tych ludzi zagroził chirurgowi donosicielowi w Ferrarze, że się nań rzuci z otwartym nożem w ręce; drugi powiedział ci po twoim powrocie z Belgirate, że byłoby może przezorniej strzelić w łeb stajennemu, który szedł z lasu śpiewając

i prowadził angielskiego konika: trzeciego nie znasz — to bandyta, mój przyjaciel, gotowy na wszystko, odważny jak ty; dlatego zwłaszcza prosiłam go, aby mi powiedział, co powinienś robić. Każdy z osobna orzekł — nie wiedząc, że radzę się i dwóch innych — że lepiej narazić się na skręcenie karku niż spędzić jeszcze jedenaście lat i cztery miesiące w ciągłej obawie wielce prawdopodobnej trucizny.

Trzeba ci się przez miesiąc ćwiczyć w celi we wchodzeniu i schodzeniu po sznurze. Potem, w dzień świąteczny, w którym załoga otrzyma dodatkową porcję wina, puścisz się na wielkie dzieło. Dostaniesz trzy liny z jedwabiu i z konopi grubości łabędziego pióra; pierwsza na osiemdziesiąt stóp, aby się spuścić trzydzieści pięć stóp z okna do pomarańczowych drzewek; druga na trzysta stóp — i tu jest trudność z przyczyny ciężaru — aby przebyć sto osiemdziesiąt stóp po ścianie wielkiej wieży; trzecia, na trzydzieści stóp, posłuży do przebycia wału. Spędzam dni całe na studiowaniu muru od strony wschodniej, to znaczy od Ferrary; wyłom uczyniony przez trzęsienie ziemi wypełniono szkarpą, która tworzy *równię pochylą*. Mój bandyta upewnia mnie, że podjąłby się zejść tamtędy bez zbytnich trudności, jedynie kosztem paru zadraśnięć, zsuwając się po pochyłości tej szkarpy. Pionowo wynosi to dwadzieścia osiem stóp do samego dołu — ta strona jest najmniej strzeżona.

Jednakże, razem wzięwszy, ów bandyta, który trzy razy uciekał z więzienia i którego byś pokochał, gdybyś go znał, chociaż on nie cierpi ludzi twojej kasty; mój bandyta, powiadam, lekki i zwinny jak ty, sądzi, że lepiej byłoby spuścić się od strony zachodniej, na wprost pałacyku, zajmowanego niegdyś przez Faustę, dobrze ci znanego. Ku tej stronie skłania go wzgląd, że mur, mimo iż lekko pochyły, jest prawie cały porośnięty krzem; są tam ździebka drzewa, grubości małego palca, które mogą podrapać, jeśli się nie uważa, ale których można wybornie się chwycić. Dziś rano oglądałam tę stronę przez doskonałą lunetę: najlepsze miejsce jest tuż pod nowym kamieniem, który wstawiono w balustradę przed paru laty. Poniżej tego kamienia znajdziesz nagą przestrzeń długą na dwadzieścia stóp; trzeba się tam posuwać bardzo wolno (czujesz, jak moje serce drży, gdy ci daję te straszliwe wskazówki, ale wszak odwaga polega na tym, aby wybrać mniejsze zło, choćby nawet i ono było straszne); po tej nagiej przestrzeni znajdziesz osiemdziesiąt lub dziewięćdziesiąt stóp gęstego krza, gdzie latają ptaki, potem trzydzieści stóp trawy i ziela. Następnie, bliżej ziemi, dwadzieścia stóp krzów i wreszcie dwadzieścia pięć lub trzydzieści stóp świeżo pobielonych.

Co by mnie skłaniało ku tej stronie, to, iż tam, wprost pod nowym kamieniem w balustradzie, znajduje się drewniana chałupa, którą żołnierz wybudował w swoim ogródku, a którą przydzielony do twierdzy kapitan inżynierii koniecznie chce mu kazać zburzyć; jest siedemnaście stóp wysoka, pokryta słomą, dachem zaś przytyka do muru cytadeli. Ten dach mnie nęci; w razie — okropna rzecz! — jakiego nieszczęścia, złagodziłby twój upadek. Raz się tam znalazłszy, jesteś w obrębie szańców, które są dość niedbale strzeżone; gdyby cię ktoś chciał zatrzymać, wal z pistoletu i broń się kilka minut.

Twój przyjaciel z Ferrary i drugi tęgi chwyt, ten, którego nazywam bandytą, będą mieli drabinki i nie wahaają się wdrapać na szaniec dość niski, aby ci przyjść z pomocą.

Szaniec ma tylko dwadzieścia trzy stopy wysokości i jest bardzo pochyły. Będę czekała pod murem z garścią uzbrojonych ludzi.

Mam nadzieję przesłać ci jeszcze kilka listów tą samą drogą. Będę powtarzała wciąż te same rzeczy innymi słowami, aby się dobrze porozumieć. Zgadujesz, z jakim sercem donoszę ci, że człowiek z *kulą w łeb stajennemu*, który, ostatecznie, jest najzacniejszym człowiekiem i który umiera ze zgryzoty, myśli, że się z tego wywiniesz kosztem złamanej ręki. Bandyta, który ma więcej doświadczenia w takich wyprawach, sądzi, że jeżeli zechcesz się spuszczać bardzo wolno, nie gorączkując się, wolność będzie cię kosztowała jedynie parę zadraśnięć. Główna trudność to wystarać się o liny; o tym też myślę całe dwa tygodnie, przez które ta idea wypełnia wszystkie moje chwile.

Nie odpowiadam ci na to szaleństwo, jedyną niedorzeczność, jaką powiedziałeś w życiu: „Nie chcę uciekać.” Człowiek z *kulą w łeb stajennemu* wykrzyknął, żeś oszalał z nudów. Nie ukrywam ci, że obawiamy się bardzo bliskiego niebezpieczeństwa, które przyspieszy może dzień twojej ucieczki. Gdy będzie trzeba oznajmić ci to niebezpieczeństwo, lampa powie ci kilka razy z rzędu: „Ogień w zamku”.

Na co odpowiesz: „Czy moje książki spłonęły?”

List zawierał jeszcze kilka stron szczegółów; pisany był mikroskopijnym pismem na cieniutkim papierze.

„Wszystko to jest bardzo piękne i bardzo dobrze obmyślane — powiadał sobie Fabrycy — winien jestem wiekuiście wdzięczność hrabiemu i księżnej; pomysła może, że się boję, ale nie ucieknę. Czy kto kiedy uciekał z miejsca, gdzie zażywa największego szczęścia, aby się skazywać na okropne wygnanie, gdzie mu będzie zbywało wszystkiego, nawet powietrza? Cóż ja bym robił po miesiącu we Florencji? Przebrałbym się, aby krążyć koło bram tej cytadeli i łowić jedno spojrzenie.”

Nazajutrz Fabrycy miał chwilę przestachu; stał w oknie, koło jedenastej, spoglądając na wspaniały krajobraz i czekając szczęsnej chwili, w której będzie mógł ujrzeć Klelię, kiedy Grillo wpadł bez tchu do pokoju:

— Prędko, prędko, Ekscelencjo, niech się pan rzuci na łóżko i udaje chorego; trzech sędziowie idą tutaj! Będą pana przesłuchiwać; niech się pan dobrze namyśli, nim pan coś powie; przychodzą, aby pana *zamotać*.

To mówiąc, Grillo czym prędzej zamknął okienko w żaluzji, pchnął Fabrycego na łóżko i narzucił nań parę płaszczy.

— Niech pan powie, że pan bardzo cierpi, i niech pan mało mówi; zwłaszcza każ pan sobie powtarzać pytania, aby zyskać na czasie.

Weszli trzech sędziowie. „Trzej galernicy — powiadał sobie Fabrycy widząc te plugawe fizjonomie — a nie trzech sędziowie.” Mieli długie, czarne suknie; skłonili się poważnie i zajęli bez słowa krzesła znajdujące się w celi.

— Panie Fabrycy del Dongo — rzekł najstarszy — strapieni jesteśmy przykrym poselstwem, którego mamy dopełnić. Przyszliśmy, aby oznajmić zgon Jego Ekscelencji margrabiego del Dongo, pańskiego ojca, wielkiego ochmistrza królestwa lombardzko-weneckiego, kawalera wielkiej wstęgi etc., etc.

Fabrycy zalał się łzami; sędzia ciągnął:

— Margrabina del Dongo, pańska matka, przesyła panu tę wiadomość umyślnym listem; że jednak fakt ten opatrzyła niewłaściwym komentarzem, trybunał orzekł na podstawie wczorajszego zarządzenia, iż listu tego udzieli się panu jedynie w wyjątkach, i te właśnie wyjątki odczyta panu szanowny pisarz, imię Bona.

Po ukończeniu czytania sędzia zbliżył się do leżącego wciąż Fabrycego i dał mu przejrzeć w matczynym liście ustępy, których odpis odczytano. Fabrycy dostrzegł słowa: „niesprawiedliwe uwięzienie, okrutna kara za niespełnioną zbrodnię”, i zrozumiał, co spowodowało te odwiedziny. Zresztą, przepelniony wzgardą dla sędziów bez sumienia, rzekł tylko tyle:

— Jestem chory, panowie, śmiertelnie osłabiony; darujcie mi, że nie mogę wstać.

Po wyjściu sędziów Fabrycy długo jeszcze płakał, po czym rzekł: „Byłżebym obłudnikiem? Zdawało mi się, że go nie kocham.”

Tego dnia i następnych dni Klelia była bardzo smutna; wołała Fabrycego kilka razy, ale ledwie miała siłę rzec mu kilka słów. Rano, piątego dnia po pierwszym widzeniu, powiedziała mu, że wieczorem przyjdzie do kaplicy z marmuru.

— Mogę panu powiedzieć tylko kilka słów — rzekła, wchodząc. Drżała tak, że musiała się wesprzeć na pannie służącej. Następnie, wyprawivszy ją z kaplicy, rzekła: — Da mi pan słowo honoru — dodała ledwie dosłyszalnym głosem — da mi pan słowo honoru, że będzie pan posłuszny księżnej i że pan spróbuje uciec w dniu, w którym ona panu każe, i w sposób, który panu zaleci; lub też jutro rano udaję się do klasztoru i przysięgam, że w życiu nie odezwę się do pana.

Fabrycy milczał.

— Niech pan przyrzeknie — rzekła Klelia ze łzami w oczach, jakby nieprzytomna — lub rozmawiamy z sobą ostatni raz. Życie, do jakiego mnie pan zmusza, jest straszne: jest pan tu z mojej przyczyny, a każdy dzień może się stać ostatnim dniem pańskiego istnienia. — To mówiąc, Klelia osłabła tak, że musiała się oprzeć o ogromny fotel, pomieszczony niegdyś pośrodku kaplicy na intencję dostojnego więźnia; była bliska omdlenia.

— Co mam przyrzec? — spytał Fabrycy, przybity.

— Wie pan dobrze.

— Przysięgam tedy rzucić się świadomie w okropne nieszczęście i skazać się na życie z dala od najdroższej mi istoty.

— Niech pan przyrzeka rzeczy konkretne.  
— Przysięgam być posłuszny księżnej i uciec w dniu, w którym ona zechce i jak zechce. I cóż się ze mną stanie z dala od pani?  
— Niech pan przysięgnie, że pan ucieknie, co bądź by się mogło zdarzyć.  
— Jak to! Gotowa jest pani zaślubić margrabiego Crescenzi, skoro mnie tu już nie będzie?  
— O Boże! cóż pan ma za pojęcie o mnie?... Ale niech pan przysięgnie lub dusza moja nie będzie miała chwili spokoju.  
— Więc dobrze, przysięgam, że ucieknę stąd w dniu, w którym pani Sanseverina rozkaże, co bądź by się mogło zdarzyć do tej pory.

Uzyskawszy tę przysięgę, Klelia uczuła się tak słaba, iż podziękowawszy Fabrycemu, musiała się oddalić.

— Wszystko było gotowe do mej ucieczki jutro rano — rzekła — w razie gdyby się pan upierał zostać. Widziałabym pana w tej chwili ostatni raz w życiu, ślubowałam to Madonnie. Teraz, skoro tylko będę mogła wyjść z pokoju, pójdę zbadać ów straszliwy mur pod nowym kamieniem w balustradzie.

Nazajutrz była tak blada, że widok jej sprawiał Fabrycemu żywą przykrość. Rzekła mu z okna ptaszekarni:

— Nie róbmy sobie złudzeń, drogi przyjacielu; uczucie nasze jest grzeszne i nie wątpię, że przyniesie nam nieszczęście. Odkryją cię, gdy będziesz próbował uciekać, będziesz zgubiony na zawsze, jeśli nie gorzej; bądź co bądź, trzeba uczynić zadość rozsądkowi ludzkiemu, który nam każe ważyć się na wszystko. Aby się spuścić z wielkiej wieży, trzeba mocnego sznura na przeszło dwieście stóp. Mimo starań, jakie rozwinęłam od czasu, jak znam projekt księżnej, zdołałam zgromadzić zaledwie jakich pięćdziesiąt stóp. Na rozkaz gubernatora wszystkie liny, jakie znajdowały się w fortecy, są palone, a co wieczór zdejmują się sznury ze studzien, tak słabe zresztą, że często pękają pod tym niewielkim ciężarem. Ale niech pan prosi Boga, aby mi przebaczył — zdradzam ojca i pracuję, wyrodna córka, nad tym, aby mu sprawić śmiertelną zgryzotę. Módl się do Boga za mnie i jeżeli ocalisz życie, złóż ślub, że obrócisz wszystkie chwile ku Jego chwale.

Oto myśl, jaka mi przyszła: za tydzień opuszczę cytadelę, aby być na weselu jednej z sióstr margrabiego Crescenzi. Wrócę wieczorem, jak każe przyzwoitość, ale zrobię wszystko, aby wrócić bardzo późno; może Barbone nie będzie śmiał rewidować mnie bardzo ściśle. Na tym ślubie siostry margrabiego będą obecne największe damy, z pewnością i pani Sanseverina. Na imię Boga! postaraj się, aby jedna z tych pań wręczyła mi paczkę sznurów, zwiniętych, niezbyt grubych i sprowadzonych do najmniejszych rozmiarów. Choćbym się miała tysiąc razy narazić na śmierć, użyję nawet najniebezpieczniejszych środków, aby przemycić ten sznur do cytadeli, z podeptaniem, niestety, wszystkich obowiązków. Jeśli ojciec mój dowie się o tym, nie ujrzę już pana nigdy; ale jakikolwiek los mnie czeka, będę szczęśliwa w granicach siostrzanej przyjaźni, o ile zdołam się przyczynić do twego ocalenia.

Tegoż wieczora przy pomocy sygnałów Fabrycy powiadomił księżnę o jedynej sposobności przemycenia do cytadeli znacznej ilości sznura. Ale błagał ją o tajemnicę, nawet, co wydało się dziwne, wobec hrabiego. „Oszałała — pomyślała księżna — więzienie go odmieniło, bierze rzeczy tragicznie.” Nazajutrz ołowiana kula, wystrzelona przez procarza, przyniosła więźniowi wiadomość o największym niebezpieczeństwie; osoba podejmując się przemycić sznury ratuje mu — powiadano w liście — dosłownie życie. Fabrycy przekazał natychmiast tę wiadomość Klelii. Ta ołowiana kula przyniosła też Fabrycemu dokładny rysunek zachodniego muru, po którym miał się spuścić z wielkiej wieży w miejscu między dwiema basztami; z tego miejsca później łatwo było umknąć, ile że szaniec miał, jak wspomnieliśmy, tylko dwadzieścia trzy stopy wysokości i strzeżono go niezbyt czujnie. Na odwrotnej stronie planu wypisany był maczkiem wspaniały sonet — jakaś szlachetna dusza zagrzewała Fabrycego, aby uciekał, by nie dał sobie kazić duszy i niszczyć ciała jedenastoma latami niewoli, które miał jeszcze znosić.

Tu musimy przerwać na chwilę historię tego śmiałego przedsięwzięcia; potrzebny jest szczegół, który częściowo tłumaczy, jak księżna zdobyła się na to, aby doradzać Fabrycemu tę niebezpieczną ucieczkę.

Jak wszystkie stronnictwa, które nie są przy władzy, stronnictwo Raversi nie było bardzo zgodne. Kawaler Riscara nienawidził poborcy Rassiego, obwiniając go, że przez niego przegrał ważny proces, w którym, nawiasem mówiąc, Riscara nie miał słuszności. Za sprawą Riscary książę otrzymał anonimową wiadomość, iż wyrok na Fabrycego przesłano oficjalnie gubernatorowi cytadeli. Margrabina Raversi, przemądra główka stronnictwa, bardzo wzięła za złe ten fałszywy krok i ostrzegła swego przyjaciela, generalnego poborcę, uważając za bardzo proste, że chciał coś wycisnąć z ministra, dopóki Mosca był przy władzy. Rassi stawił się nieustraszenie w pałacu, myśląc, że się wykpi ze sprawy ceną paru kopnięć nogą; książę nie mógł się obejść bez zdatnego prawnika, a Rassi kazał wygnąć, jako liberalów, pewnego sędziego i adwokata, jedynych ludzi w kraju, którzy mogliby zająć jego miejsce.

Książę, nieprzytomny z wściekłości, obrzucił go obelgami i ruszył ku niemu, chcąc go bić.

— Ha, trudno, to przeoczenie sekretarza — odparł Rassi z najzimniejszą krwią — litera prawa nakazuje tę formalność, która powinna była być dopełniona nazajutrz po przyjęciu pana del Dongo do cytadeli. Gorliwy sekretarz myślał, że zapomniano o tym, i dał mi widocznie do podpisu akt jako rzecz czysto formalną.

— I ty myślisz, że wmówisz we mnie tak niezdarne kłamstwo? — wykrzyknął książę wściekły. — Powiedz raczej, żeś się sprzedał temu ladaco Mosca i że ci za to dał order. Ale, do kroćset, nie skończy się na paru kuksańcach; oddam cię pod sąd, wypędzę cię haniebnie.

— Niech Wasza Wysokość odda mnie pod sąd — odparł Rassi z flegmą (wiedział, że to jest niezawodny sposób uspokojenia księcia) — prawo jest za mną, a Wasza Wysokość nie ma drugiego Rassiego, aby je obejść. Nie da mi książę dymisji, ponieważ przychodzą na księcia chwile srogości; wówczas ląknie książę krwi, ale równocześnie chciałby zachować szacunek uczciwych Włochów; ten szacunek jest warunkiem *sine qua non* dla ambicji Waszej Wysokości. Słowem, weźmie mnie książę z powrotem przy pierwszym okrucieństwie, którego charakter księcia będzie się domagał, ja zaś, jak zawsze, postaram się o bardzo legalny wyrok, wydany przez wystraszonych i dość przyzwoitych sędziów, który to wyroczek uczyni zadość namiętnościom Waszej Wysokości. Niech mi książę znajdzie w całym państwie człowieka równie pożytecznego jak ja!

To rzekłszy, Rassi uciekł; wykpił się ceną jednego kułaka i paru kopnięć. Opuściwszy pałac udał się do swego majątku w Riva; lękał się nieco jakiegoś pchnięcia sztyletu w pierwszej chwili gniewu, ale nie wątpił, że nim miną dwa tygodnie, kurier wezwie go do stolicy. Czas spędzony na wsi zużył na zorganizowanie pewnego sposobu porozumiewania się z hrabią Mosca, był szalenie zakochany w tytule barona, rozumiał zaś, iż książę zbyt wysoko szanuje tę ongi wzniosłą rzecz, szlachectwo, aby mu je nadać kiedykolwiek; podczas gdy hrabia, bardzo dumny ze swego urodzenia, cenil jedynie szlachectwo dające się wywieść dokumentami sprzed 1400 roku.

Generalny poborca nie omylił się w przewidywaniach: ledwie tydzień spędził w swoim majątku, kiedy przyjaciel księcia, który zajechał tam przypadkiem, poradził mu, aby wrócił do Parmy bez zwłoki. Książę przyjął go, śmiejąc się, po czym przybrał minę bardzo poważną i kazał mu przysiąc na Ewangelię, że zachowa w tajemnicy to, co mu książę powie. Rassi przysiągł z wielką powagą, książę zaś z okiem płonącym nienawiścią wykrzyknął, że nie będzie się czuł panem u siebie, póki Fabrycy del Dongo będzie żywy.

— Nie mogę — dodał — ani wypędzić księżnej, ani znieść jej obecności; oczy jej urągają mi i nie dają mi żyć.

Pozwoliwszy się księciu wygadać, Rassi, udając najżywsze zakłopotanie, zawołał w końcu:

— Wola Waszej Dostojności jest rozkazem, bez wątpienia, ale rzecz jest piekielnie trudna: nie ma sposobu skazać del Donga na śmierć za zabójstwo jakiegoś Giletiego; to już była nie lada sztuka wycisnąć z tego dwanaście lat twierdzy. Co więcej, podejrzewam księżnę, że wyszukała trzech chłopków, którzy pracowali przy wykopaliskach w Sanguigna i którzy nie siedzieli w rowie w chwili, gdy ten Giletty napadł Fabrycego.

— I gdzież są ci świadkowie? — rzekł książę, wściekły.

— Ukryci w Piemontcie, jak sądzę. Trzeba by sprzysiężenia na życie Waszej Dostojności...

Prawnik



- Ten środek ma swoje niebezpieczeństwa — rzeki książę — nasuwa myśli...
- A jednak — rzeki Rassi z udaną naiwnością — to cały mój urzędowy arsenał.
- Zostaje trucizna...
- Ale kto ją poda? Czy ten dudek Conti?
- Hm, wedle tego, co mówią, nie byłaby mu to pierwszozna.

— Trzeba by go rozjuszyć — odparł Rassi — zresztą wówczas gdy się załatwiał z kapitanem, nie miał trzydziestu lat, był zakochany i o wiele mniejszy tchórz niż dzisiaj. Bez wątpienia wszystko powinno ustąpić racji stanu; ale tak na poczekaniu i na pierwszy rzut widzę dla wykonania rozkazów monarchy jedynie niejakiego Barbone, pisarza więziennego, którego imię del Dongo obalił na ziemię, dając mu policzek w chwili załatwiania formalności przyjęcia.

Skoro raz książę się rozgadał, rozmowa potoczyła się gładko; zakończył ją, udzielając generalnemu poborcy miesiąca zwłoki; Rassi żądał dwóch. Nazajutrz otrzymał tysiąc cekinów gratyfikacji. Trzy dni namyślał się; czwartego wrócił do rozumowania, które mu się zdawało oczywiste: „Jeden Mosca będzie miał serce dotrzymać mi słowa, ponieważ robiąc mnie baronem, daje mi coś, czego nie szanuje; *secundo*, ostrzegając go, unikam prawdopodobnie zbrodni, za którą jestem mniej więcej z góry zapłacony; *tertio*, mszczę się za pierwsze upokorzenia, których doznał kawaler Rassi.”

Następnego nocy powtórzył hrabiemu Mosca rozmowę z księciem.

Hrabia nadskakiwał po kryjomu księżnej; prawda, że odwiedzał ją ledwie raz albo dwa razy na miesiąc, ale prawie co tydzień, gdy znalazł sposobność mówienia o Fabrycym, księżna w towarzystwie Chekiny przychodziła późnym wieczorem spędzić kilka chwil w ogrodzie hrabiego. Umiała oszukać nawet oddanego woźnicę, który myślał, że pani jego bawi z wizytą w sąsiednim domu. Można się domyślić, że hrabia, otrzymawszy straszliwe zwierzenie Rassiego, przesłał natychmiast księżnej umówiony sygnał. Mimo że było po północy, poprosiła go przez Chekinę, aby przybył natychmiast. Hrabia, uszczęśliwiony jak kochanek tym pozorem schadzki, wahał się wszakże wszystko powiedzieć księżnej; lękał się, aby nie oszalała z rozpacz.

Przygotowawszy półsłówkami złowrogą wiadomość, powiedział jej w końcu wszystko — nie był zdolny dochować sekretu, gdy ona nalegała. Od dziewięciu miesięcy nieszczęście przepalało tę duszę z płomienia, zahartowało ją: toteż księżna nie wybuchnęła płaczem ani skargami.

Nazajutrz wieczór kazała dać Fabrycemu sygnał wielkiego niebezpieczeństwa: „Ogień w zamku!”

Odpowiedział natychmiast: „Czy moje książki spłonęły?”

Tej samej nocy zdołała mu szczęśliwie przesłać list w ołowianej kuli. Było to w tydzień po weselu siostry margrabiego Crescenzi, gdzie księżna popełniła straszliwą nieopatrność, z której zdamy sprawę w swoim miejscu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Blisko na rok przed ową epoką nieszczęść zdarzyło się księżnej osobliwe spotkanie; jednego wieczora, kiedy była luna, jak mówi się w tych stronach, udała się niespodziewanie do swego pałacyku w Sacca, za Colomo, na wzgórzu rozciągającym się nad Padem. Z przyjemnością upiększała ten zakątek; lubiła rozległy las, wieńczący wzgórze i przylegający do zamku; wytyczyła w nim ścieżki wijące się malowniczo.

— Porwą panią któregoś dnia zbójcy, piękna pani — rzeki jej raz książę Ernest — niepodobna, aby las, o którym wiedzą, że pani się po nim przechadza, pozostał bezludny. — Książę zerknął na hrabiego, którego zazdrość chciał podrażnić.

— Niczego się nie boję, Wasza Dostojność, kiedy się przechadzam w moich lasach — odparła niewinnie księżna. — Dodaje mi otuchy ta myśl: „Nie zrobiłam nikomu nic złego, któż miałby mnie nienawidzić?”

Uznano tę odpowiedź za mocno zuchwałą: przypominała docinki miejscowych liberałów, ludzi bardzo bezczelnych.

Podczas wspomnianej przechadzki przyszły pani Sanseverina na myśl słowa książęce na widok lichy odzianego człowieka, który szedł za nią z daleka. Na jakimś nieoczekiwanym zakręcie człowiek ten znalazł się tak blisko niej, że się zląka. Pod pierwszym

Spotkanie

wrażeniem krzyknęła na gajowego, który został o tysiąc kroków przy klombie kwiatów, tuż koło pałacu. Nieznajomy miał czas zbliżyć się i rzucił się jej do nóg. Był młody, bardzo przystojny, ale straszliwie obdarty; odzież jego miała dziury na stopę długie, ale oczy tryskały płomieniem.

— Jestem skazany na śmierć, jestem lekarz Ferrante Palla, umieram z głodu wraz z pięciorgiem dzieci.

Księżna zauważyła, że był straszliwie chudy; ale oczy jego były tak piękne i pełne tak tkliwego ognia, że odjęły jej wszelką obawę. „Palagi<sup>68</sup> — pomyślała — powinien by dać takie oczy *Świętemu Janowi na pustyni*, którego właśnie namalował dla katedry.” Myśl o świętym Janie zbudziła się w niej na widok straszliwej chudości Ferranta. Księżna dała mu trzy cekiny, które miała w sakiewce, przepraszając, że daje tak mało, ale że właśnie zapłaciła rachunek ogrodnikowi. Ferrante podziękował z uniesieniem.

— Ach — rzekł — niegdyś mieszkałem w mieście, widywałem wykwintne kobiety; od czasu jak, spełniając obowiązek obywatela, ściągnąłem na siebie wyrok śmierci, żyję w lasach! Szedłem za panią nie aby prosić jałmużny lub okraść panią, ale jak dziki urzeczony anielską pięknnością. Od dawna już nie widziałem pięknych białych rąk.

— Niechże pan wstanie — rzekła księżna, gdy wciąż klęczał.

— Niech mi pani pozwoli tak zostać — rzekł Ferrante — ta pozycja dowodzi mi, że nie jestem w tej chwili złodziejem; uspokaja mnie; bo trzeba pani wiedzieć, że ja kradnę, aby żyć, od czasu jak mi nie pozwalają wykonywać mego rzemiosła. Ale w tej chwili jestem jedynie prostym śmiertelnikiem, który ubóstwia cud piękna.

Księżna zrozumiała, że to po trosze wariat, ale nie zlekka się; widziała w oczach tego człowieka gorącą i prawą duszę, dosyć zresztą lubiła niezwykle fizjonomie.

— Jestem tedy lekarzem i romansowałem z żoną aptekarza Sarasine w Parmie; zdybał nas i wypędził ją, zarówno jak troje dzieci, o których słusznie podejrzewał, że są ode mnie, nie od niego. Obdarzyła mnie jeszcze dwojgiem dzieci później. Matka i dzieci żyją w ostatecznej nędzy, w szałasie zbudowanym moimi rękami w lesie, o milę stąd. Trzeba mi się strzec żandarmów, a biedna kobieta nie chce się ze mną rozłączać. Skazano mnie na śmierć, i słusznie: spiskowałem. Nienawidzę księcia, który jest tyranem. Nie mogłem uciec z braku pieniędzy. Ale nieszczęście moje sięga o wiele głębiej; powinienem tysiąc razy odebrać sobie życie; nie kocham już nieszczęśliwej, która mi dała pięcioro dzieci i zgubiła się dla mnie; kocham inną. Ale jeśli się zabiję, dzieci i matka umrą dosłownie z głodu. — Słowa te miały akcent szczerości.

— Ale jak pan żyje? — spytała księżna, wzruszona.

— Matka tych dzieci przedzie; starsza córka pasie owce u pewnego liberała; ja kradnę na gościńcu między Piacenzą a Genuą.

— Jakże pan godzi kradzież ze swoimi liberalnymi zasadami?

— Prowadzę rejestr ludzi, których okradam, i jeśli kiedy będę miał coś, zwrócę im. Oceniam, że trybun taki jak ja spełnia pracę, która z racji swego niebezpieczeństwa warta jest z pewnością sto franków na miesiąc; toteż nie biorę nigdy więcej niż tysiąc dwieście franków rocznie. To jest, myślę się: kradnę jeszcze jakąś sumkę ponadto, pokrywam bowiem tym sposobem koszt druku moich dzieł.

— Jakich dzieł?

— *Czy... będzie miała kiedy izbę i budżet?*

— Jak to — rzekła księżna, zdumiona — to pan jest jednym z największych poetów epoki, sławnym Ferrante Palla?

— Sławnym może, ale bardzo nieszczęśliwym z pewnością.

— I człowiek z pańskim talentem zmuszony jest kraść, aby żyć?

— Dlatego może mam talent. Dotąd nasi autorzy, cieszący się rozgłosem, byli to ludzie płatni przez rząd albo przez kler, który chcieli podkopywać. Ja, *primo*: narażam życie; *secundo*: niech pani sobie wyobrazi refleksje, jakie mną miotają, kiedy idę kraść. „Czy ja mam prawo? — powiadam sobie. — Czy praca trybuna oddaje usługi warte sto franków miesięcznie?” Mam dwie koszule, ubranie, które pani widzi, lichą broń i jestem pewien, że skończę na szubienicy; śmiem mniemać, że jestem bezinteresowny. Byłbym

<sup>68</sup> *Pelagio Palagi* (1775–1860) — włoski malarz, rzeźbiarz i architekt. [przypis redakcyjny]

szczęśliwy, gdyby nie ta nieszczęsna miłość, która zatrula mi życie przy matce moich pięciorga dzieci. Bieda ciąży mi przez swoją szpetotę: lubię ładne suknie, białe ręce...

Patrzył na ręce księżnej tak, że strach ją ogarnął.

— Żegnam pana — rzekła — czy mogę panu zdać się na co w Parmie?

— Niech pani pomyśli czasem o tym: zadaniem moim jest budzić serca i nie dać im usnąć w fałszywym i niskim szczęściu, jakie daje ustrój monarchiczny. Czy usługi, jakie oddaję rodakom, warte są stu franków miesięcznie?... Nieszczęściem moim jest to, że Kocham — rzekł bardzo łagodnie — od dwóch lat dusza moja zajęta jest tylko panią, ale dotąd widywałem panią, nie strasząc cię.

To rzekłszy, uciekł z zawrotną chyżością, która zdumiała księżnę i uspokoiła ją. „Zan-darmi niełatwo go dogonią — pomyślała — w istocie to wariat.”

— To wariat — powiedziała jej służba — wiemy od dawna, że biedaczysko kocha się w jasnie pani; ilekroć pani jest tutaj, widzimy go, jak błądzi po leśnych wzgórzach, skoro zaś pani odjedzie, przychodzi siadać w miejscach, w których pani się zatrzymała, zbiera skrzętnie kwiaty, które opadły z pani bukietu, i przechowuje je długo, przypięte do dziurawego kapelusza.

— I wyście mi nie mówili o tych szaleństwach — rzekła księżna niemal z wymówką.

— Baliśmy się, aby jasnie pani nie powiedziała o tym panu ministrowi Mosca. Biedny Ferrante jest taki dobry! Nigdy nie zrobił nikomu nic złego, a na śmierć skazali go za to, że kocha naszego Napoleona.

Nie powiedziała ministrowi o tym spotkaniu, że zaś od czterech lat była to pierwsza tajemnica przed nim, dziesięć razy musiała sobie przerywać w ciągu zdania. Wróciła do Sacca z zapasem złota, ale Ferrante nie zjawił się. Wróciła w dwa tygodnie później: Ferrante szedł za nią jakiś czas, przekradając się lasem o sto kroków, po czym spadł na nią z chyżością i jastrzębia i rzucił się jej do kolan, jak pierwszym razem.

— Gdzie pan był przed dwoma tygodniami?

— W górach, za Novi; rabowałem mulników wracających z Mediolanu, gdzie sprzedali oliwę.

— Niech pan weźmie tę sakiewkę.

Ferrante otworzył sakiewkę, wziął cekina, którego ucałował i schował na i piersiach, po czym oddał ją.

— Oddaje mi pan tę sakiewkę, a kradnie pan!

— Oczywiście! to moja zasada, aby nigdy nie mieć więcej niż sto franków: otóż obecnie matka moich dzieci ma osiemdziesiąt franków, a ja mam dwadzieścia pięć, przekroczyłem zasadę o pięć franków i gdyby mnie powieszono w tej chwili, miałbym wyrzuty. Wziąłem tego cekina, bo pochodzi od pani i ponieważ panią Kocham.

Słowo to wymówił z doskonałą prostotą. „Kocha naprawdę” — rzekła sobie księżna.

Tego dnia Ferrante wydawał się zupełnie obłąkany. Powiadał, że ma w Parmie kogoś, kto mu jest winien sześćset franków, i że za te pieniądze naprawiłby chatkę, w której obecnie biedne jego dzieci ziębią się.

— Ja panu zaliczę z góry tych sześćset franków — rzekła księżna, wzruszona.

— Ale czy wówczas wrogowie nie będą mogli spotwarzyć mnie, człowieka publicznego, i powiedzieć, że się sprzedaję?

Rozczulona księżna ofiarowała mu schronienie w Parmie, jeśli zechce jej przyrzec, że na razie nie będzie działał w tym mieście, a zwłaszcza że nie wykona żadnego z wyroków śmierci, które ma, jak powiada, *in petto*<sup>69</sup>.

— A jeżeli mnie powieszą wskutek mej nierozwagi — rzekł poważnie Ferrante — wszystkie te łajdaki, tak zgubne dla ludu, będą żyć długie lata, i czyja to będzie wina? Co powie mój ojciec przyjmując mnie tam w górze?

Księżna mówiła doń długo o jego drobnych dzieciach, które wilgoć może przyprowadzić o śmiertelną chorobę; w końcu przyjął propozycję.

Książę Sanseverina w ciągu jednego dnia, jaki spędził w Parmie od czasu swego małżeństwa, pokazał księżnej osobliwą kryjówkę znajdującą się w południowym rogu pałacu tego nazwiska. Mur fasady pochodzący ze średnich wieków ma osiem stóp grubości; wydrążono go, i tam znajduje się skrytka na dwadzieścia stóp wysoka, ale tylko na dwie

<sup>69</sup>*in petto* — w sercu. [przypis redakcyjny]

szeroka. Tuż obok można podziwiać zbiornik wody cytowany we wszystkich opisach podróży, słynne dzieło z XII wieku, wykonane w czasie oblężenia Parmy przez cesarza Zygmunta, a później włączone w obręb pałacu Sanseverina.

Wchodzi się do tej skrytki, poruszając ogromny kamień na żelaznej osi, pomieszczonej blisko środka tego ciosu. Księżna była tak głęboko wzruszona szaleństwem Ferranta i losem jego dzieci, których imieniem uparcie odtrącał wszelką darowiznę, iż pozwoliła mu dość długo używać tej skrytki. Spotkała go w miesiąc później, znów w lasach koło Sacca, że zaś tego dnia był spokojniejszy, wyrecytował jej sonet, który wydał się księżnej czymś wyższym od wszystkiego, co napisano we Włoszech od dwóch wieków. Ferrante uzyskał kilka schadzek; ale miłość jego rozpałała się i stała się natarczywa, księżna spostrzegła, że ta namiętność podlega prawom wszelkiej miłości, gdy się jej użyczy bodaj promyczka nadziei. Wyprawiła go z powrotem do lasu, zabroniła mu mówić do siebie; usłuchał natychmiast z zupełną uległością. Tak się rzeczy miały w chwili, gdy uwięziono Fabrycego. W trzy dni później, o zmroku, jakiś kapucyn zjawił się u bram pałacu Sanseverina; miał — jak mówił — ważną tajemnicę dla pani domu. Była tak nieszczęśliwa, że kazała go wpuścić; był to Ferrante.

— Dzieje się tu nowa niesprawiedliwość, którą trybun ludu musi się zająć — rzekł ten człowiek oszalały z miłości. — Z drugiej strony, jako prywatna jednostka, mogę oddać pani Sanseverina jedynie moje życie i przynoszę je jej.

To tak szczerze oddanie złodzieja i szaleńca wzruszyło żywo księżną. Długo rozmawiała z tym człowiekiem, który uchodził za największego poetę północnych Włoch, i płakała długo. „Oto człowiek, który rozumie moje serce” — powiadała sobie. Nazajutrz zjawił się znowu, wciąż o zmroku, przebrany za lokaja w liberii.

— Nie opuszczałem Parmy; słyszałem ohyde, której usta moje nie powtórzą, ale oto jestem. Niech pani pomyśli, księżno, co pani odtrąca! Człowiek, którego pani widzi przed sobą, to nie lalka dworska, ale człowiek! — klęczał, wymawiając te słowa z wyrazem twarzy, który dodawał im wagi. Wczoraj — dodał — powiedziałem sobie: „Płakała w mojej obecności; jest tedy mniej nieszczęśliwa.”

— Ależ niech pan pomyśli o niebezpieczeństwie: pochwyć pana w tymi mieście.

— Trybun odpowie: „Pani, czymże jest życie, kiedy przemawia obowiązek?” Człowiek nieszczęśliwy, który ku swej boleści nie płonie już namiętnością cnoty, odkąd go pali miłość, doda: „Księżno, Fabrycy, dzielny człowiek, może zginie; niech pani nie odtrąca drugiego dzielnego człowieka, który się pani ofiarowuje! Oto ciało z żelaza i dusza, która lęka się na całym świecie jedynie twej niechęci.”

— Jeżeli mi pan wspomni jeszcze o swoich uczuciach, zamknę panu drzwi na zawsze.

Księżna miała tego wieczora zamiar oznajmić Ferrantemu, że wyznacza pensyjkę dla jego dzieci, ale zlekka się, aby mu się to nie stało okazją do odebrania sobie życia!

Zaledwie wyszedł, księżna, pełna złowrogich przeczuć, rzekła sobie: „I ja mogę umrzeć; i dałby Bóg, aby się to stało — i rychło! — Gdybym znalazła człowieka godnego tego imienia, któremu mogłabym powierzyć biednego Fabrycego.”

Jedna myśl przyszła księżnej: wzięła kawałek papieru i piśmem, w które wplotła nieliczne, znajome sobie terminy prawnicze, stwierdziła, że otrzymała od imć Ferrante Palla dwadzieścia tysięcy franków, pod warunkiem płacenia dożywotniej renty pani Sarasine i jej pięciorgu dzieciom. Księżna dodała: „Co więcej, zapisuję trzysta franków rocznie dożywotnio każdemu z dzieci, pod warunkiem, że Ferrante Palla otoczy opieką lekarską bratanka mego Fabrycego del Dongo i będzie mu bratem. Proszę go o to.” Podpisała, położyła datę sprzed roku i schowała ten papier.

W dwa dni później Ferrante zjawił się znowu. Było to w chwili, gdy całym państwem wstrząsnęła pogłoska o bliskiej egzekucji Fabrycego. Czy ten smutny obrządek odbędzie się w cytadeli, czy pod drzewami promenady? Wiele osób z ludu przechadzało się tego wieczora pod cytadela, starając się dojrzeć, czy wnoszą rusztowanie; widok ten przejął Ferranta. Zastał księżną we łzach, niezdolną do rozmowy; pozdrowił ją ręką i wskazała mu krzesło. Ferrante, przebrany tego dnia za kapucyna, był wspaniały; zamiast usiąść, padł na kolana i modlił się żarliwie półgłosem. W chwili gdy księżna uspokoiła się nieco, przerwał na chwilę modlitwę, aby rzec te słowa:

— Jeszcze raz ofiarowuję swoje życie.

— Zastanów się pan, co mówisz! — wykrzyknęła księżna z owym dzikim wzrokiem, który po napadzie szloch zwiastuje, że gniew bierze górę nad roztkliwieniem. — Może się zdarzyć tak — odpowiedziała księżna — że przyjmę ofiarę z pańskiego życia.

Patrzała nań surowo i bystro. Błysk radości zalśnił w jego oczach; wstał i wyciągnął ramiona ku niebu. Księżna wydobyla papier ze skrytki w orzechowej szafie.

— Niech pan czyta — rzekła.

Była to wspomniana już darowizna na rzecz dzieci.

Łkania i łzy nie dały mu dokończyć czytania; upadł na kolana.

— Niech mi pan odda ten papier — rzekła księżna i w jego obecności spaliła ów akt przy świecy. — Nie trzeba — dodała — aby moje nazwisko wchodziło w grę, jeśli pan będzie pojmany i stracony; bo idzie tu o pańską głowę.

— Radością dla mnie jest umrzeć, karząc tyrana; o wiele większą radością umrzeć dla pani. Raz to zrozumiawszy, raczy pani nie wspominać już o pieniądzach, widziałbym w tym jedynie obrażającą nieufność.

— Jeśli pan będzie skompromitowany, i ja mogę nią być — odpowiedziała księżna — i Fabrycy po mnie; dlatego to, a nie dlatego, abym wątpiła o pana dzielności, żądam, aby człowiek, który mi przeszył serce, zginął od trucizny, nie od sztyletu. Dla tej samej tak ważnej przyczyny nakazuję panu zrobić wszystko, aby się ocalić.

— Wykonam wiernie, dokładnie i ostrożnie. Przewiduję, księżno, że twoja zemsta będzie zarazem i moją; gdyby nawet było inaczej, również usłuchałbym wiernie, dokładnie i ostrożnie. Może mi się nie powieść, ale zrobię, co w ludzkiej mocy.

— Chodzi o to, aby otruć mordercę Fabrycego.

— Zgadłem; i od dwudziestu siedmiu miesięcy, przez które wiodę to straszne i błędne życie, często myślałem o tym na własny rachunek.

— Jeżeli mnie odkryją i skażą jako współniczkę — ciągnęła księżna dumnie — nie chcę, aby mnie pomawiali, że pana wciągnęła. Nakazuję panu nie starać się już mnie widzieć przed momentem naszej zemsty; nie można go zabijać wprzód, aż ja dam sygnał. Śmierć jego w tej chwili byłaby dla mnie zgubna, a nie pożyteczna. Prawdopodobnie śmierć ta będzie mogła nastąpić aż za parę miesięcy, ale nastąpi. Żądam, aby umarł od trucizny; wolałabym raczej zostawić go przy życiu, niż żeby miał paść od kuli. Dla przyczyn, których nie chcę panu tłumaczyć, żądam, abyś uszedł z życiem.

Ferrante był uszczęśliwiony rozkazującym tonem, jakim księżna doń mówiła — oczy jego błyszczały żywą radością. Jak wspomnieliśmy, był straszliwie chudy, ale znać było, że był bardzo piękny w pierwszej młodości; i sądził, że jest nim jeszcze. „Czym ja szalony — powiedział sobie — lub też czy księżna zechce, pewnego dnia, kiedy dam jej ten dowód poświęcenia, uczynić mnie najszczęśliwszym człowiekiem? Ostatecznie, czemu nie? Alboż nie jestem wart tyle co ta lala Mosca, który nic nie umiał dla niej zrobić, nawet ułatwić ucieczki Fabrycemu!”

— Mogę zażądać jego śmierci choćby jutro — ciągnęła księżna wciąż władcym tonem. — Zna pan ten olbrzymi zbiornik wody, który znajduje się w rogu pałacu, tuż koło skrytki, w której pan mieszkał czasem. Istnieje tajemny sposób wylania tej wody na ulicę: to będzie sygnał mojej pomsty. Zobaczysz, jeśli będziesz w Parmie, lub usłyszysz, o ile będziesz w lasach, że wielki zbiornik w pałacu Sanseverina pękł. Przystąp natychmiast do dzieła, ale za pomocą trucizny, a zwłaszcza jak najmniej narażaj życie. Niech nigdy nikt się nie dowie, że ja maczałam palce w tej sprawie.

— Słowa są zbyteczne — odparł Ferrante z ledwie powściąganym zapalem — już namyśliłem się, jakich środków użyję. Życie tego człowieka staje mi się jeszcze wstrętniejsze, skoro nie wolno mi się pani pokazać na oczy, póki będzie żył. Będę czekał na sygnał.

Skłonił się gwałtownie i wyszedł. Księżna patrzyła za nim. Kiedy był w drugim pokoju, przywołała go.

— Ferrante! — wykrzyknęła — wzniosły człowieku!

Wrócił jak gdyby zniecierpliwiony, że go zatrzymują — cudowny był w tej chwili.

— A pańskie dzieci?

— Och, będą bogatsze ode mnie; wyznacz im pani może jaką pensyjkę.

— Proszę — rzekła księżna, wręczając mu spore pudełko z oliwnego drzewa — oto wszystkie diamenty, które mi zostały, warte są pięćdziesiąt tysięcy.

— Och! pani, upokarzasz mnie!... — rzekł Ferrante z gestem odrazy; twarz zmieniała mu się zupełnie.

— Nie ujrzę pana bezwarunkowo przed czynem: proszę wziąć, ja chcę — dodała księżna z dumą, która zmiażdżyła Ferranta; schował puzdro i wyszedł.

Ledwie drzwi zamknęły się za nim, księżna odwołała go znowu; wrócił, zaniepokojony; księżna stała na środku salonu; rzuciła mu się w ramiona. Po chwili Ferrante nieomal omdlał ze szczęścia; księżna oswobodziła się z jego uścisków i oczami pokazała mu drzwi.

— Oto jedyny człowiek, który mnie zrozumiał; tak byłby postąpił Fabrycy, gdyby mnie mógł słyszeć.

W charakterze księżnej były zawsze dwie rzeczy: chciała zawsze tego, czego raz chciała; nie roztrząsała nigdy tego, co było raz postanowione. Cytowała w tym względzie powiedzenie swego pierwszego męża, sympatycznego generała Pietranera: „Cóż za grubiaństwo wobec samego siebie! — powiadał — czemuż przypuszczać, że mam więcej rozumu dziś, niż miałem wówczas, kiedy powziął ten zamiar?”

Od tej chwili usposobienie księżnej znowu przybrało odcień wesołości. Przed tym złowrogim postanowieniem na każdym kroku, przy każdym nowym fakcie miała poczucie swej niższości wobec księcia, swej niemocy i naiwności; jej zdaniem, książę oszukał ją haniebnie, a Mosca wskutek swego dworactwa, mimo iż niechcący, pomógł księciu. Z chwilą gdy zemsta była postanowiona, uczuła swą siłę, każdy błysk myśli dawał jej szczęście. Zdaje mi się dość prawdopodobne, że to niemoralne szczęście, jakie mieszkańcy Włoch znajdują w zemście, związane jest z siłą wyobraźni tego ludu; ludzie innych narodowości nic przebacząc, ściśle biorąc, ale zapominają.

Księżna zobaczyła ponownie Ferranta dopiero w ostatnim okresie więzienia Fabrycego. Jak czytelnik może się domyślić, on to podał myśl ucieczki. Istniała w lesie, o dwie mile od Sacca, wpółrozwalona średniowieczna wieża, wysoka przeszło na sto stóp; zanim po raz drugi wspomniał księżnej o ucieczce, Ferrante błagał ją, aby kazała Lodovicowi umocować, przy pomocy pewnych ludzi, łańcuch drabin przy tej wieży. W obecności księżnej wszedł po drabinie, a spuścił się przy pomocy zwykłego sznura z węzłami; trzy razy ponawiał ten eksperyment, a następnie wyłożył swój projekt. W tydzień później Lodovico spróbował też zejść z tej starej wieży przy pomocy sznura z węzłami; wówczas księżna przedłożyła tę myśl Fabrycemu.

W ostatnich dniach, które poprzedziły ten krok mogący się skończyć śmiercią więźnia, i to na rozmaity sposób, księżna nie mogła znaleźć chwili spokoju, o ile nie miała Ferranta przy sobie; odwaga tego człowieka elektryzowała ją; ale rozumiała jest, że musiała ukrywać przed hrabią to osobliwe towarzystwo. Lękała się nie sprzeciwu z jego strony, ale przykrości, jaką sprawiłyby jej jego zarzuty, zdolne zdwoić jej niepokoje. „Jak to, brać za doradcę osławionego wariata i skazańca! I to — dodała księżna do samej siebie — człowiek, który na przyszłość może dokonać tak szczególnych rzeczy!” Ferrante znajdował się w salonie pani Sanseverina w chwili, gdy minister przyszedł jej zdać sprawę z rozmowy, jaką książę odbył z Rassim; kiedy hrabia wyszedł, wiele miała kłopotu z tym, aby powstrzymać Ferranta od natychmiastowego wykonania okropnego zamiaru.

— Jestem teraz mocny! — krzyczał szaleniec — nie wątpię już o swym prawie do tego czynu!

— Ale w chwili wzburzenia, które nastąpi nieuchronnie, Fabrycego posła na śmierć!

— W zamian oszczędziłoby mu się niebezpieczeństw ucieczki. Jest możliwa, łatwa nawet — dodał — ale temu młodemu człowiekowi brak doświadczenia.

Nadszedł dzień ślubu siostry margrabiego Crescenzi; na balu, wydanym z tego powodu, księżna spotkała Klelię i mogła z nią mówić bez obawy niczych podejrzeń. Księżna oddała Klelii pakiet sznurów w ogrodzie, dokąd obie panie udały się, aby odetchnąć chwilę. Sznury te, sporządzone z największą starannością, pół z jedwabiu, pół z konopi, z węzłami, były bardzo cienkie i dość giętkie; Lodovico wypróbował ich moc i stwierdził, że mogą udźwignąć zupełnie bezpiecznie osiem cetnarów. Ścisnęła je tak, aby z nich uczynić kilka paczek wielkości tomu *in quarto*: Klelia wzięła je i przyrzekła księżnej, że uczyni wszystko, co w ludzkiej mocy, aby przesłać te paczki do wieży Farnese.

— Boję się pani nieśmiałego charakteru; a zresztą — dodała uprzejmie księżna — w jakiej mierze może cię interesować ten nieznajomy?

— Pan del Dongo jest nieszczęśliwy i *przyrzekam pani, że ja go ocalę!*

Księżna, niewiele licząc na obrotność dwudziestoletniej dziewczyny, powzięła inne środki, o których nic nie wspomniała córce gubernatora. Jak można było przypuszczać, gubernator znajdował się na weselu siostry margrabiego Crescenzi. Księżna umyśliła, że gdyby mu podać silny narkotyk, mogłoby się w pierwszej chwili zdawać, że chodzi o atak apoplektyczny; wówczas zamiast generała wsadzić do powozu i odwieźć do cytadeli, można by przy pewnej zręczności podsunąć lektykę, która by się przypadkiem znalazła pod ręką. Znaleźliby się tam również ludzie inteligentni, przebrani za robotników sprawdzonych do pomocy przy uroczystości, którzy w zamieszaniu ofiarowaliby się uprzejmie przenieść chorego aż na górę pałacu. Ludzie ci, będący pod komendą Lodovica, mieli na sobie zręcznie schowaną pod ubraniem znaczną ilość lin. Widać z tego, że księżna istotnie była niepoczytalna, od czasu jak medytowała serio nad ucieczką Fabrycego. Niebezpieczeństwo tej drogiej istoty było czymś zbyt silnym dla jej duszy, a zwłaszcza trwało ono zbyt długo. Przez nadmiar przezorności omal nie udaremniła tej ucieczki, jak zaraz się pokaże. Wszystko odbyło się tak, jak księżna zamierzała, z tą różnicą, że narkotyk podzielał zbyt silnie: wszyscy, nawet lekarze, myśleli, że generał miał atak apopleksji.

Szczęściem Klelia, w rozpaczy, nie domyślała się ani trochę zbrodniczego zamachu księżnej. W chwili gdy lektykę z półmartwym generałem wnoszono do cytadeli, zamęt był taki, że Lodovico i jego ludzie przeszli bez trudności: obszukano ich na „moście niewolnika” jedynie dla formy. Skoro przenieśli generała do łóżka, zaprowadzono ich do kredensu, gdzie służba podjęła ich bardzo uczciwie; ale po tym poczęstunku, który skończył się nad ranem, wytłumaczono im, że obyczaj więzienny wymaga, aby resztę nocy spędzili zamknięci w sieniach pałacu, skąd adiutant gubernatora wypuści ich nazajutrz.

Ludziom tym udało się oddać Lodovicowi sznury, które mieli na sobie, ale Lodovico wiele miał kłopotu z tym, aby ściągnąć uwagę Klelii. W końcu, w chwili gdy przechodziła tamtędy, pokazał jej, że składa zwój sznurów w ciemnym kącie jednego z salonów na pierwszym piętrze. Ten zbieg okoliczności uderzył Klelię: powzięła okrutne podejrzenia.

— Kto jesteś? — spytała Lodovica.

Po czym na jego dwuznaczną odpowiedź dodała:

— Powinnabym cię kazać uwięzić; ty albo twoi ludzie otruliście mego ojca!... Wyznaj w tej chwili, co za truciznę daliście mu zażyć, aby lekarz forteczny mógł zastosować odpowiednie leki; wyznaj w tej chwili lub też i ty, i twoi współnicy nie wyjdziecie z cytadeli!

— Panienska zbytecznie się niepokoi — odparł Lodovico z wdziękiem i z nienaganną uprzejmością — nie ma mowy o truciznie; niebacznie dano generałowi laudanum i zdaje się, że lokaj, użyty do tej zbrodni, nalał do szklanki parę kropel za dużo. Jesteśmy niepokieszeni; ale panienska może być pewna, iż dzięki niebu nie ma niebezpieczeństwa. Należy pana generała kurować jak człowieka, który zażył przez pomyłkę zbyt silną dawkę laudanum; ale mam zaszczyt powtórzyć pani, że wykonawca tej zbrodni nie użył prawdziwej trucizny, jak to zrobił Barbone, kiedy chciał otruć naszego monsignora. Nikt nie miał zamiaru mścić się za niebezpieczeństwo pana Fabrycego; powierzono temu famulusowi jedynie fiolkę z laudanum, przysięgam. Ale rozumie się, że gdyby mnie przesłuchiowano oficjalnie, zaprzeczyłbym wszystkiemu.

Zresztą, jeśli pani wspomni komukolwiek o laudanum i o truciznie, choćby tylko przeznacnemu don Cezarowi, zabije pani Fabrycego własną ręką. Uniemożliwi pani na zawsze projekt ucieczki, a panienska wie lepiej ode mnie, że nie laudanum chcą dać panu Fabrycemu; wie pani równie dobrze jak ja, że ktoś udzielił jedynie miesiąca zwłoki na spełnienie tej zbrodni i że już tydzień upłynął od tego okrutnego rozkazu. Toteż jeśli pani każe mnie uwięzić lub jeśli powie komukolwiek bodaj słowo, opóźni pani nasze plany o więcej niż miesiąc i mam prawo powiedzieć, że zabije pani pana Fabrycego własną ręką.

Niezwykły spokój Lodovica przejął Klelię do głębi.

„Tak więc — mówiła sobie — pertraktuję z trucicielem ojca przemawiającym do mnie z wyszukaną grzecznością! I to miłość przywiodła mnie do wszystkich tych zbrodni!”

Wyrzuty ledwie pozwoliły jej mówić; w końcu rzekła:

— Zamknę cię na klucz w tym salonie. Biegnę powiedzieć lekarzowi, że chodzi tylko o laudanum; ale, wielki Boże, jak ja mu wytłumaczę, że wiem o tym? Wrócę później, aby cię uwolnić. Ale — rzekła Klelia, zwracając w biegu — czy Fabrycy wiedział?

— Ależ nie, pani, nigdy nie byłby się zgodził. A przy tym, na co by się zdała świadomość? My działamy z największą ostrożnością: Chodzi o ocalenie życia panu Fabrycemu, który ma być do trzech tygodni otruty; rozkazy w tej mierze wydał ktoś, kto zazwyczaj nie zna przeszkód; i żeby nic przed panią nie zataić, mówią po prostu, że to straszliwy generalny poborca Rassi otrzymał zlecenie.

Klelia uciekła, przerażona; tak liczyła na nieskazitelność don Cezara, iż z pewnymi ostrożnościami ośmieliła się mu powiedzieć, że generałowi podano laudanum, a nie co innego. Bez odpowiedzi, bez pytań don Cezar pobiegł do lekarza.

Klelia wróciła do salonu, gdzie zamknęła Lodovica, aby wziąć go jeszcze na spytki. Nie znalazła go już, zdołał umknąć. Ujrzała na stole sakiewkę pełną cekinów i szkatułkę zawierającą rozmaite trucizny. Widok tych trucizn przejął ją dreszczem. „Kto mi zaręczy — pomyślała — że dano ojcu tylko laudanum i że księżna nie zemściła się za zamach Barbone? Wielki Boże! — krzyknęła — ja w konszachtach z trucicielami ojca! I pozwalam się im wymknąć! A może ten człowiek wzięty na tortury przyznałby się do czegoś więcej!” Tu Klelia padła na kolana, zalała się łzami i modliła się żarliwie do Madonny.

Przez ten czas lekarz więzienny, zdziwiony ostrzeżeniem don Cezara, podał choremu lekarstwa, które usunęły niepokojące objawy. O świcie generał przyszedł nieco do siebie. Pierwszym jego czynem, oznajmującym powrót świadomości, było obrzucenie obelgami pułkownika, swego zastępcę, który ośmielił się wydać kilka najprostszych rozkazów, w czasie gdy generał był nieprzytomny.

Następnie gubernator wpadł w straszliwy gniew na dziewczynę kuchenną, która przynosząc mu polewkę, ośmieliła się wspomnieć o apopleksji.

— Czy ja jestem w wieku — zawołał — w którym się miewa apopleksję? Tylko moje najzawziętsze wrogi mogą znajdować przyjemność w rozpuszczaniu takich bajek. Czy puszczano mi krew, aby nawet potwarz ośmieliła się mówić o apopleksji?

Fabrycy, pochłonięty przygotowaniami do ucieczki, nie mógł zrozumieć dziwnych hałasów, które napełniały cytadelę w chwili, gdy przyniesiono wpół martwego generała. Najpierw przyszło mu na myśl, że zmieniono wyrok i że mają go prowadzić na śmierć. Widząc, że nikt się nie zjawia, pomyślał, że Klelię odkryto; że gdy wracała do twierdzy, odebrano jej sznury, które prawdopodobnie przyniosła, i że plany ucieczki przepadły. Nazajutrz o świcie wszedł do jego pokoju nieznan człowiek, który nie mówiąc słowa postawił przed nim kosz owoców, pod owocami ukryty był następujący list:

Przejęta zgryzotą z powodu tego, co się stało, nie z moją zgodą, chwala niebu, ale z przyczyny myśli, która mi przyszła do głowy, uczyniłam Najświętszej Pannie ślub, iż jeżeli dzięki Jej świętemu wstawiennictwu ojciec wyzdrowieje, nigdy nie sprzeciwię się jego rozkazom, wyjdę za margrabiego, skoro się o mnie oświadczy, i nigdy pana nie ujrę na oczy. Mimo to sądzę, że obowiązkiem moim jest dokończyć tego, co zaczęto.

Najbliższej niedzieli za powrotem ze mszy św., dokąd pana zaprowadzą na moją prośbę (niech się pan stara oczyścić duszę, może pan zginąć w tym straszliwym przedsięwzięciu), za powrotem ze mszy, powiadam, niech się pan jak najdłużej ociąga, wracając do celi — znajdzie pan w niej wszystko, co potrzeba dla zamierzonego planu. Jeśli pan zginie, będę w rozpacz! Czy będzie pan mógł mnie winić, że się przyczyniła do pańskiej śmierci? Czy sama księżna nie powtarzała mi kilkakrotnie, że pani Raversi zwycięża? Że chce związać księcia okrucieństwem, które by go na zawsze oddaliło od hrabiego Mosca? Księżna, zalewając się łzami, przysięgała mi, że został jedynie ten ratunek; zginiesz, jeśli się nie odważysz na ten krok. Nie będzie mi już wolno patrzeć na pana, uczyniłam ślub, ale jeśli w niedzielę nad wieczorem ujrzy mnie pan odzianą czarno w tym oknie co zwykle, będzie to znak, że następnej nocy wszystko zastaniesz przygotowane, o ile zdołam tego dokończyć przy moich słabych środkach. Po jedenastej, może o dwunastej lub pierwszej, pojawi się w moim oknie lampka: to będzie moment stanowczy;



poleć się swemu świętemu patronowi, weź duchowne suknie, które masz pod ręką, i ruszaj.

Zegnaj, Fabrycy! Będę się modliła, i to lejąc gorzkie łzy, możesz mi wierzyć, gdy ty będziesz w tak strasznym niebezpieczeństwie! Jeśli zginiesz, ja cię nie przeżyję! Boże! co ja mówię? Ale jeśli ci się powiedzie, nie ujrę cię już nigdy. W niedzielę po mszy znajdziesz w celi pieniądze, truciznę, sznury — wszystko przesłane przez tę straszliwą kobietę, która cię namiętnie kocha i która powtórzyła mi trzy razy, że trzeba obrać tę drogę. Niech cię strzeże Bóg i święta Madonna.

Fabio Conti był to żandarm wciąż niespokojny, wciąż nieszczęśliwy, rojący nawet we śnie, że któryś więzień mu ucieka. Znienawidzony był w całej cytadeli; że jednak nieszczęście jednak urabia wszystkich, biedni więźniowie, nawet ci, którzy byli skuci w kaźni na trzy stopy wysokiej, na trzy stopy szerokiej i na osiem stóp długiej, gdzie nie mogli stać, ani siedzieć, wszyscy tedy więźniowie, nawet ci, powtarzam, wpadli na pomysł, aby kazać na swój koszt odśpiewać *Te Deum*, kiedy się dowiedzieli, że gubernator wyszedł z niebezpieczeństwa. Paru nieszczęślików napisało sonety na cześć Fabia Conti. Och! jakże działa nieszczęście na ludzi! Niechaj tego, który ich potępia, los skaże na to, aby spędził rok w jamie na trzy stopy wysokiej, z ośmioma uncjami chleba dziennie i *postem* co piątek!

Klelia, która opuszczała pokój ojca jedynie po to, aby się pomodlić w kaplicy, oznajmiła, że gubernator postanowił, iż uroczystości odbędą się aż w niedzielę. Tego dnia rano Fabrycy był na mszy i na *Te Deum*; wieczorem były ognie sztuczne, w sieniach zaś pałacu rozdano żołnierzom wino w ilości cztery razy większej niż ta, którą gubernator zezwolił. Nieznajoma ręka podsunęła nawet kilka baryłek wódki, które żołnierze wypróżnili. Żołnierze, którzy pili, nie mogli w szlachetności swojej pozwolić, aby koledzy pełniący wartę byli skrzywdzeni; w miarę jak każdy dochodził do swej budki, przekupiony służący podawał im wino. Nie wiadomo z czyjej ręki ci, którzy objęli wartę o północy i później, dostali też wódki, przy czym za każdym razem zostawiano przez zapomnienie butelkę (jak to wykazał późniejszy proces).

Zamęt trwał dłużej, niż Klelia przypuszczała, dopiero koło pierwszej w nocy Fabrycy, który od tygodnia przepiłowywał dwie sztaby w oknie (w tym, które nie wychodziło na ptaszarnię), zaczął zdejmować okiennicę, pracował niemal nad głową sztyldwachów, którzy pilnowali pałacu gubernatora i nie słyszeli nic. Uczynił jedynie kilka dodatkowych węzłów na ogromnym sznurze, potrzebnym, aby zejść z tej strasznej wysokości stu osiemdziesięciu stóp. Przewiesił sobie te sznury przez pierś, niby ładownicę: zawadzały mu, zajmowały bowiem masę miejsca, odstawały przeszło na osiemnaście cali od ciała. „To wielka przeszkoda” — powiedział sobie Fabrycy.

Ułożywszy jakoś ten sznur Fabrycy wziął linkę, za pomocą której miał przebyć trzydzieści pięć stóp dzielących jego okno od terasy, na której znajdował się pałac gubernatora. Że jednak, mimo iż żołnierze byli pijani, nie mógł im zleźć wprost na głowy, wyszedł, jak rzekliśmy, drugim oknem, tym, które wychodziło na dach strażnicy. Otóż, skoro tylko generał odzyskał mowę, wpadł na myśl — dziwactwa chorego — aby sprowadzić dwustu żołnierzy do tej dawnej strażnicy, opustoszałej przeszło od stu lat. Powiadał, że ci, co go otruli, zechcą go zamordować w łóżku: tych dwustu żołnierzy miało go strzec. Można sobie wyobrazić, jak ten nieoczekiwany krok podziałał na Klelię: bogobojna dziewczyna czuła, do jakiego stopnia zdradza ojca, i to ojca, którego niemal otruto w sprawie jej ukochanego. W niespodziewanym przybyciu tych dwustu ludzi ujrzała wyrok Opatrzności, który jej bronił iść dalej i uwolnić z więzienia Fabrycego.

Ale cała Parma mówiła o bliskiej śmierci więźnia. Poruszano świeżo ten przedmiot na uroczystości weselnej Julii Crescenzi. Skoro dla takiego głupstwa, jak utrupienie jakiegoś komedianta, człowieka takiego jak Fabrycy nie wypuszczano na wolność po dziewięciu miesiącach więzienia, mimo poparcia pierwszego ministra, znaczyło to, że musi być w tej sprawie polityka. „W takim razie nie ma co się nim zajmować — powiadano — jeśli władzom nie wypada uśmiercić go na publicznym placu, umrze niebawem z choroby. Ślusarz, wezwany do pałacu przez generała, mówił o Fabrycy jak o kimś straconym od dawna, którego śmierć ukrywa się przez politykę. To skłoniło ostatecznie Klelię.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

W ciągu dnia oblegały Fabrycego przykre refleksje, ale w miarę jak słyszał bicie godzin zbliżających go do chwili działania, czuł się lekki i wesoły.

Księżna ostrzegła go, że upije się świeżym powietrzem i że znalazłszy się poza celą nie będzie mógł iść; w takim razie lepiej — bądź co bądź — narazić się na pojmanie niż rzucać się z muru wysokiego na sto osiemdziesiąt stóp. „Jeżeli zdarzy mi się to nieszczęście — powiedział Fabrycy — położę się pod parapetem, prześpię się godzinę, po czym zacznę na nowo. Skoro przysięgłem Klelii, wolę raczej spaść z muru, choćby najwyższego, niż musieć się wciąż zastanawiać nad smakiem więziennego chleba. Cóż za boleści musi doznawać człowiek ginący od trucizny! Fabio Conti nie będzie robił ceremonii, każe mi podać arsenik, którym się truje szczury w cytadeli.”

Około północy gęsta biaława mgła, która wylania się niekiedy z Padu, spowiła najpierw miasto, następnie podniosła się aż na tarasę i bastiony, wśród których wznosi się wielka wieża cytadeli. Fabrycy zauważył, że z parapetu platformy pewnie już nie widać akacji otaczających ogródki założone przez żołnierzy u stóp olbrzymiego muru. „To świetnie” — pomyślał.

W kilka chwil po uderzeniu wół do pierwszej lampka ukazała się w oknie ptaszka-mi. Fabrycy był gotów; przeżegnał się, po czym przywiązał do łóżka linkę przeznaczoną na przebycie trzydziestu pięciu stóp dzielących go od platformy, na której znajdował się pałac. Dostał się bez szwanku na dach strażnicy zajętej od wczoraj przez wspomnianych dwustu ludzi, którymi wzmocniono załogę. Nieszczęściem, mimo iż była za piętnaście pierwsza, żołnierze nie spali jeszcze; skradając się jak kot po dachu z wielkich rurkowanych dachówek, Fabrycy słyszał, jak mówią, że diabeł tłucze się po dachu i że trzeba by doń wygarnąć z fuzji. Ten i ów twierdził, że zamiar to wielce bezbożny; inny znów, że gdyby wystrzelono z fuzji, a nic nie zabito, gubernator wsadziłby ich wszystkich do aresztu za to, że bez potrzeby niepokoją załogę. Dyskusja ta stała się powodem, że Fabrycy starał się jak najprędzej przebyć dach, co było połączone z wielkim hałasem. Faktem jest, iż w chwili gdy wisiał na sznurze, prześlizgując się tuż przed oknem — na szczęście oddalonym o kilka stóp z przyczyny wystającego okapu — okno było najeżone bagneta-mi. Opowiadano później, iż Fabrycy, zawsze pełen fantazji, wpadł na to, aby odegrać rolę diabła i że rzucił żołnierzom garść cekinów. Tyle jest pewne, że rozsypał sporo cekinów na podłodze w celi i że je posiał także na drodze od wieży Farnese do parapetu, aby odwrócić uwagę żołnierzy, w razie gdyby go ścigali.

Przybywszy na platformę i otoczony sztyldwachami, którzy zazwyczaj co kwadrans krzyczeli całe zdanie: „Wszystko w porządku koło mego stanowiska”, skierował się ku parapetowi od strony zachodniej, szukając nowego kamienia.

Jedno wydaje się nieprawdopodobne i mogłoby obudzić wątpliwość co do samego faktu, gdyby całe miasto nie było świadkiem rezultatu; mianowicie to, iż warty wzdłuż parapetu nie dostrzegły i nie przytrzymały Fabrycego. Prawda, iż mgła, o której mówiliśmy, zaczynała się podnosić; Fabrycy powiadał, że kiedy był na platformie, miał wrażenie, że doszła już do połowy wieży Farnese. Ale ta mgła nie była gęsta; Fabrycy widział doskonale sztyldwachów, z których paru przechadzało się. Dodał, iż jak gdyby pchany nadnaturalną siłą przystanął śmiało między dwiema dość bliskimi wartami. Zdjął spokojnie sznur, którym był opasany i który zaplątał się dwa razy; trzeba mu było wiele czasu, aby go rozwinąć i wyciągnąć na parapecie. Słyszał głosy żołnierzy ze wszystkich stron; zdecydowany był zasztyletować pierwszego, który by się zbliżył. „Nie czulem wcale lęku — dodawał — miałem uczucie, że dopełniam jakiejś ceremonii.”

Rozplątawszy wreszcie sznur, przywiązał go do otworu uczynionego w parapecie dla odpływu wody, wstąpił na sam parapet i pomodlił się żarliwie; po czym, jak bohater z czasów rycerstwa, pomyślał chwilę o Klelii. „Jakież ja jestem różny — powiedział sobie — od płochego i swawolnego Fabrycego, który wszedł tu przed dziewięciu miesiącami! Wreszcie zaczął się spuszczać z tej zdumiewającej wysokości. Działał mechanicznie, opowiadał, tak jakby to czynił w biały dzień, wobec przyjaciół, dla wygrania zakładu. Mniej więcej w połowie drogi uczuł, że ręce mu słabną; zdawało mu się wręcz, że puścił sznur na chwilę, ale niebawem chwycił go znowu, może — powiadał — zatrzymał się na krzacz, po których się zsuwał i które go drapały. Od do czasu doznawał straszliwego

Ucieczka

Ucieczka

bólu między łopatkami, ból dochodził do tego, że tamował mu oddech. Sznur kołysał się w sposób bardzo przykry, co chwila Fabrycy bujał się między murem a krzami. Potrafił kilka ptaków, które, obudzone, uderzyły go skrzydłami, pierzchając. Za pierwszym razem sądził, że to są ludzie schodzący z cytadeli tą samą drogą, aby go ścigać: gotował się do obrony. Wreszcie dostał się do stóp wielkiej wieży bez szwanku; ręce tylko miał we krwi. Opowiadał, że od połowy wieży szkarpa, która stanowi jej ścianę, była mu bardzo pomocna; zsuwał się po murze w dół, a rośliny rosnące między kamieniami trzymały go nader skutecznie. Przybывая na dół do ogródków żołnierskich, trafił na akację, która widziana z góry wydawała się kilka stóp wysoka, a w istocie miała ich kilkanaście. Pijak jakiś, śpiący tam, wziął go za złodzieja. Spadając z tego drzewa, Fabrycy niemal wywichnął sobie lewe ramię. Zaczął uciekać ku wałom, ale — powiadał — nogi miał jak z waty, nie miał w nich żadnej siły. Mimo niebezpieczeństwa usiadł i wypił trochę wódki. Usnął na kilka minut, tak że nie wiedział już, gdzie jest; budząc się, nie mógł zrozumieć, w jaki sposób, będąc w swoim pokoju, widzi drzewa. Wreszcie straszliwa rzeczywistość stanęła mu w pamięci. Natychmiast ruszył w stronę wału, wszedł nań wielkimi schodami. Tuż obok sztyldwach chrapał w budce. Natknął się na armatę w trawie; przywiązał do niej trzeci sznur. Sznur okazał się nieco za krótki; Fabrycy wpadł do błotnego rowu, gdzie może było na stopę wody. Gdy się podnosił i starał się rozeznać, uczuł, że go chwytają dwaj ludzie. Zląkł się przez chwilę, ale niebawem usłyszał nad uchem bardzo cicho: „Ach, monsignore! monsignore!” Zrozumiał mglisto, że to pomoc z ramienia księżnej; natychmiast omdlał. W jakiś czas uczuł, że go niosą jacyś ludzie idący w milczeniu i bardzo szybko; następnie zatrzymali się, co go mocno zaniepokoiło. Ale nie miał siły mówić ani otworzyć oczu; czuł, że go ktoś ściska; nagle poczuł zapach sukien księżnej. Zapach ten przywołał go do życia; otworzył oczy, zdołał wymówić te słowa: „To ty, droga...” — po czym znów popadł w głębokie omdlenie.

Wierny Bruno z garścią oddanych hrabiemu żandarmów był w rezerwie o dwieście kroków, sam hrabia ukryty był w małym domku, blisko miejsca, gdzie czekała księżna. Nie zawahałby się, gdyby trzeba, dobyć szpady wraz z paroma wiarusami, swymi serdecznymi przyjaciółmi, czuł się niejako obowiązany ocalić życie Fabrycemu, który wydawał mu się poważnie zagrożony, a który byłby dziś na wolności, gdyby on, Mosca, nie popełnił tego głupstwa, iż chciał oszczędzić głupstwa swemu panu.

Od północy księżna, otoczona ludźmi uzbrojonymi od stóp do głów, błądziła w głębokim milczeniu pod murami cytadeli; nie mogła wytrwać w miejscu, myślała, że będzie musiała walczyć, aby wydrzeć Fabrycego pościgowi. Płomienna jej wyobraźnia podjęła sto ostrożności zbyt długich do wyszczególnienia i niewiarygodnie szalonych. Obliczono, że przeszło osiemdziesięciu agentów było na nogach tej nocy, przygotowanych na to, że będą musieli się bić dla jakiejś nadzwyczajnej sprawy. Szczęściem, Ferrante i Lodovico objęli komendę, a minister policji nie krzyżował planów; ale sam hrabia podniósł fakt, że księżnej nie zdradził nikt i że on jako minister nie wiedział o niczym.

Na widok Fabrycego księżna straciła głowę; ścisnęła go konwulsyjnie, tuliła; wpadła w rozpacz, widząc na sobie plamy krwi: była to krew z rąk Fabrycego; myślała, że jest poważnie ranny. Przy pomocy jednego z ludzi zdejmowała mu ubranie, aby go opatrzyć, kiedy Lodovico, który na szczęście był przy tym, wsadził przemocą księżną i Fabrycego do powoziku ukrytego w ogrodzie opodal bram miasta. Puścili się co koń wyskoczy, aby przebyć Pad koło Sacca. Ferrante z dwoma dziesiątkami uzbrojonych ludzi tworzył tylną straż i poprzysięgał na głowę, że wstrzyma pościg. Hrabia, sam i pieszo, opuścił poblizę cytadeli aż w dwie godziny później, kiedy ujrzał, że nic się nie rusza. „Jestem tedy zdrajcą stanu” — powtarzał sobie, pijany radością.

Lodovico miał wyborną myśl, aby pomieścić w jednym z wehikułów młodego chirurga będącego w służbach księżnej, a podobnego nieco do Fabrycego.

— Uciekaj pan — rzekł — w stronę Bolonii, bądź bardzo nieostrożny, staraj się, aby cię przytrzymało; wówczas mieszaj się w odpowiedziach i wyznaj wreszcie, że jesteś Fabrycy del Dongo; staraj się zwłaszcza zyskać na czasie. Dołóż wszelkich starań, aby być niezręczny, wykpiśz się miesiącem więzienia, a księżna da panu pięćdziesiąt cekinów.

— Czy może myśleć o pieniądzach ten, kto służy księżnej?

Ruszył i w kilka godzin przytrzymało go, ku pociesznej radości generała i Rassiego, któremu wraz z niebezpieczeństwem Fabrycego ulatywała sprzed nosa baronia.

W cytadeli spostrzeżono ucieczkę dopiero o szóstej rano, a dopiero o dziesiątej odważono się powiedzieć o niej księciu. Panią Sanseverina obsłużono tak gorliwie, iż mimo głębokiego snu Fabrycego, który brała za śmiertelne omdlenie, co sprawiło, iż trzy razy zatrzymała powóz, przebyła Pad w barce w chwili, gdy była czwarta. Konie czekały na lewym brzegu; zrobiła jeszcze dwie mile z nadzwyczajną chyżością, po czym trzeba się było godzinę zatrzymać dla sprawdzenia paszportów. Księżna miała paszporty wszelkiego rodzaju dla siebie i Fabrycego, ale była tak nieprzytomna, że dała dziesięć napoleonów urzędnikowi austriackiej policji i ujęła go za rękę, zalewając się łzami. Urzędnik, przerażony, zaczął na nowo badanie. Wzięli pocztę; księżna tak rzuciła pieniędzmi, że wszędzie budziła podejrzenia w kraju, gdzie wszelki cudzoziemiec jest podejrzany. Lodovico jeszcze raz przyszedł z pomocą; powiedział, że księżna szaleje z bólu z powodu uporczywej gorączki młodego hrabiego Mosca, syna pierwszego ministra w Parmie, którego wiezie, aby się poradzić lekarzy w Pawii.

Dopiero o dziesięć mil za Padem więzień rozbudził się zupełnie; miał ramię wytknięte i mnóstwo zadrapań. Księżna znowu zachowywała się tak, że oberżysta, u którego zatrzymano się na obiad, myślał, że ma przed sobą arcyksiężną austriacką i chciał jej oddać honory, kiedy Lodovico oświadczył, że arcyksiężna postara się go niechybnie wtrącić do więzienia, o ile każe bić w dzwony.

Wreszcie koło szóstej wieczór przybyli na terytorium piemonckie. Tam dopiero Fabrycy był zupełnie bezpieczny; przewieziono go do wioski z dala od gościńca, opatrzone mu ręce — i znowu przespał kilka godzin.

W wiosce księżna ważyła się na czyn nie tylko okropny z punktu moralności, ale oplakany dla spokoju jej życia. Na kilka tygodni przed ucieczką Fabrycego, pewnego dnia, kiedy cała Parma udała się pod bramy cytadeli, aby oglądać w dziedzińcu rusztowanie, jakie wznoszono dla więźnia, księżna pokazała Lodovicowi, który stał się jej prawą ręką, sekret, wedle którego przy pomocy ukrytej sprężynki poruszało się kamień, stanowiący dno słynnego zbiornika wody w pałacu Sanseverina, owego dzieła z trzynastego wieku, o którym jużesmy wspominali. Gdy Fabrycy spał w miejscowej trattoria, księżna kazała wezwać Lodovica. Myślał, że oszalała, tak dziwny blask rzuciła jej spojrzenia.

— Przypuszczasz pewnie — rzekła — że ja ci dam kilka tysięcy franków; otóż nie, znam cię: jesteś poeta, rychło przepuściłbyś te pieniądze. Daję ci mały folwarczek Ricciarda o milę od Casal-Maggiore.

Lodovico rzucił się do jej stóp, oszalała z radości, zaklinając się z całego serca, że nie dla pieniędzy pomagał do ocalenia monsignore Fabrycego, że zawsze był doń osobliwie przywiązany, od czasu jak miał raz szczęście wieźć go w charakterze młodszego stangreta jaśnie pani. Kiedy ten zacny i dzielny człowiek uznał, że dość już zajmuje swoją osobą tak wielką damę, chciał odejść, ale ona z błyszczącymi oczami rzekła:

— Zostań!

Przechadzała się bez słowa w karczemnej izbie, spoglądając od czasu do czasu na Lodovica niesamowitym wzrokiem. Wreszcie on, widząc, że tej przechadzce nie ma końca, uznał za właściwe przemówić:

— Jaśnie pani obdarowała mnie tak nadmiernie, tak ponad wszelkie oczekiwanie biedaka, tak ponad liche zasługi, jakie miałem zaszczyt oddać, iż sędzę sumiennie, że nie mogę przyjąć tego daru. Mam zaszczyt zwrócić jaśnie pani ten mająteczek i proszę, aby mi wyznaczyła czterysta franków pensji.

— Ile razy w życiu — rzekła z posępną dumą — ile razy w życiu słyszałeś, abym poniechała zamiaru, który raz objawiłam?

Po tych słowach księżna przechadzała się jeszcze kilka minut, po czym, zatrzymując się nagle, wykrzyknęła:

— To przypadkiem i dlatego, że się umiał spodobać tej dziewczynie, życie Fabrycego ocalone! Gdyby nie był tak uroczy, zginąłby. Czy możesz temu zaprzeczyć? — rzekła, podchodząc do Lodovica z oczami, w których błyszczała ponura wściekłość. Lodovico cofnął się o kilka kroków myśląc, że oszalała, co przejęło go niepokojem o los folwarczku Ricciarda.

— Zatem — podjęła księżna pogodnie i wesoło, zupełnie odmieniona — chcę, aby moi poczciwi ludzie w Sacca mieli dobry dzień, o którym by długo pamiętali. Wrócisz do Sacca, czy masz co przeciw temu? Czy sądzisz, że ci to grozi niebezpieczeństwem?

— Drobnotka, proszę pani: żaden z mieszkańców Sacca nie powie, że ja byłem w służbach monsignora. Zresztą, jeżeli mam wyznać pani, pałę się, aby ujrzeć mój folwarczek w Ricciarda: takie mi się to dziwne wydaje być właścicielem ziemskim!

— Podoba mi się twoja wesołość. Dzierżawca w Ricciarda winien mi jest, jak sędzę, trzy czy cztery lata dzierżawy; darowuję mu połowę, a drugą połowę zaległości daję tobie, ale pod tym warunkiem: udasz się do Sacca; powiesz, że pojutrze jest święto jednej z moich patronek, i wieczorem po swoim przybyciu każesz iluminować zamek, jak można najwspanialej. Nie szczędź pieniędzy ani trudu; pomyśl, że chodzi o szczęście mego życia. Od dawna przygotowałam tę iluminację; przeszło od trzech miesięcy gromadziłam w piwnicach zamkowych wszystko, co może się przydać do tego wielkiego święta; dałam ogrodnikowi do przechowania wszystkie przyrządy do wspaniałego fajerwerku: każesz go puścić na terasie wychodzącej na Pad. Mam w piwnicach osiemdziesiąt dziewięć wielkich beczek wina, każesz zrobić osiemdziesiąt dziewięć fontann winnych w moim parku. Jeśli jutro zostanie bodaj jedna butelka nie wypita, powiem, że nie kochasz Fabrycego. Kiedy fontanny, iluminacja i ognie sztuczne będą w pełni, wymkniesz się przezornie, możebne bowiem jest — i mam tę nadzieję! — iż w Parmie cały ten obchód wyda się zuchwałstwem.

— To nie tylko możliwe, ale pewne, jak pewnym jest, że poborca Rassi, który podpisał wyrok na monsignora, pięknie z wściekłości. A nawet... — dodał Lodovico nieśmiało — gdyby jaśnie pani chciała zrobić swemu biednemu słudze większą przyjemność niż darowując mu połowę zaległych czynszów, pozwoliłaby mi wypłatać psikusa Rassiemu...

— Jesteś dzielny człowiek! — wykrzyknęła księżna z zapalem — ale zabraniam ci bezwarunkowo płać cokolwiek Rassiemu: mam zamiar powiesić go publicznie, ale później. Co do ciebie, nie daj się przychwycić w Sacca; wszystko by przepadło, gdybym straciła ciebie.

— Ja, pani! Kiedy powiem, że święcę pani imieniny, gdyby nawet policja nasłala nam trzydziestu żandarmów i chciała przeszkadzać, może pani być pewna, że nim by dotarli do czerwonego krzyża we wsi, ani jeden nie siedziałby na koniu. Ho, ho, mieszkańcy Sacca nie żartują! To wszyscy przemytnicy całą gębą i przepadają za panią.

— Otóż — ciągnęła księżna tonem dziwnie lekkim — o ile chcę napoić winem moich wiernych ludzi w Sacca, chcę zalać wodą mieszkańców Parmy; tego samego wieczora, kiedy zamek będzie iluminowany, weź najlepszego konia z mojej stajni, pędź do pałacu w Parmie i otwieraj zbiornik.

— Ha! świetna myśl! — wykrzyknął Lodovico śmiejąc się jak szalony — wina dzielnym ludziom w Sacca, wody mieszczuchom parmeńskim, którzy byli już pewni — łajdaki! — że monsignora otrują tak jak biednego L...

Radość Lodovica nie miała granic; księżna patrzyła z przyjemnością na jego szalone wybuchy śmiechu; powtarzał bez końca:

— Wina zacnym ludziom w Sacca, wody łajdakom w Parmie! Jaśnie pani wie z pewnością lepiej ode mnie, że kiedy przed dwudziestu laty opróżnił ktoś niebacznie zbiornik, na wielu ulicach w Parmie było na stopę wody.

— Wody łajdakom w Parmie! — powtórzyła księżna, śmiejąc się. — Promenada przed cytadelą byłaby pełna ludzi, gdyby miano ścinać Fabrycego... Nazywali go *wielkim zbrodniarzem*... Ale zwłaszcza zrób to zrećźnie, niech nigdy żywa dusza nie wie, że ta powódź jest z twojej ręki i z mego rozkazu. Fabrycy, sam hrabia nawet, nie powinni nic wiedzieć o tym szalonym koncepcie... Ale zapomniałam o biednych w Sacca! Napisz list do mego plenipotenty, a ja podpiszę; powiedz mu, aby w dzień mojej patronki rozdał sto cekinów biednym w Sacca i aby ci był posłuszny we wszystkim, co się tyczy iluminacji, ogni sztucznych i wina; niech zwłaszcza nie zostanie nazajutrz ani jedna butelka w mojej piwnicy.

— Plenipotent pani będzie miał tylko jeden kłopot: od pięciu lat, przez które zamek należy do pani, nie zostało w Sacca ani dziesięciu biednych.

— *A wody łajdakom w Parmie!* — podjęła księżna, nucąc. — W jaki sposób wykonasz ten żarcik?

— Plan mam gotowy: ruszam z Sacca około dziewiątej, o wpół do jedenastej koń mój jest w gospodzie „Pod Trzema Ciemięgami”, na drodze do Casal-Maggiore i do *mojego* folwarku Ricciarda; o jedenastej jestem w swoim pokoju w pałacu, a o kwadrans

na dwunastą „wody łajdakom w Parmie”, i więcej, niż zechcą, iżby się mogli napić za zdrowie „wielkiego zbrodniarza”. W dziesięć minut później opuszczam miasto gościńcem bolońskim. Po drodze składam głęboki ukłon cytadeli, którą odwaga monsignora i przemyślność jaśnie pani okryły świeżą hańbą; puszcza się polną ścieżką, dobrze mi znaną, i wkraczam z paradą do Ricciarda. Lodovico podniósł oczy na księżną i przeląkł się: patrzyła uparcie w ścianę odległą o sześć kroków od niej i trzeba przyznać, spojrzenie jej miało coś dzikiego. „Och, mój biedny folwarczek! — pomyślał Lodovico — ani chybi, ona jest szalona!” Księżna spojrzała nań i odgadła jego myśli.

— Aha, mości Lodovico, wielki poeta, chciałbyś mieć akt darowizny na piśmie: żywo, przynies ćwiartkę papieru.

Lodovico nie dał sobie powtarzać; księżna napisała własną ręką szczegółowy akt, datowany sprzed roku, zaświadczaający, że otrzymała od Lodovica San Micheli osiemdziesiąt tysięcy franków, na które dała mu w zastaw folwark Ricciarda. Jeśli po upływie dwunastu miesięcy księżna nie odda Lodovicowi rzeczonych osiemdziesięciu tysięcy, Ricciarda zostaje jego własnością.

„Pięknie jest — powiadała sobie księżna — oddać wiernemu słudze prawie trzecią część tego, co mi w ogóle zostało!”

— A, prawda! — rzekła do Lodovica — po figlu z puszczaniem wody daję ci tylko dwa dni na wywczasy w Casal-Maggiore. Iżby sprzedaż była ważna, powiedz, że ta sprawa datuje się przeszło sprzed roku. Wracaj do Belgirate, i to bez zwłoki; Fabrycy pojedzie być może do Anglii i weźmie cię z sobą.

Wcześniej rano księżna i Fabrycy znaleźli się w Belgirate.

Rozgoszono się w tej czarownej wiosce; ale śmiertelna zgrzyzota czekała księżną nad Lago Maggiore. Fabrycy był zupełnie zmieniony: od owego letargu, w jaki popadł po swej ucieczce, księżna spostrzegła, że dzieje się z nim coś niezwykłego. Trawiło go dziwaczne uczucie, które zresztą ukrywał troskliwie: rozpacz, że nie jest w więzieniu. Strzegł się przyznać do tej przyczyny smutku; sprowadziłoby to pytania, których chciał uniknąć.

— Jak to! — powiadała księżna, zdumiona — to okropne wrażenie, kiedy głód i osłabienie zmusiły cię sięgać po ohydny strawę z kuchni więziennej, to pytanie: „Czy nie ma w tym jakiegoś osobliwego smaku, czy ja się nie truję w tej chwili?” — czy to nie przejmowało cię wstrętem?

— Myślałem o śmierci — odpowiadał Fabrycy — tak jak myślą o niej żołnierze: jako o rzeczy możliwej, której miałem nadzieję uniknąć swoim sprytem.

Tak więc, co za niepokój, co za ból dla księżnej! Ten Fabrycy, ubóstwiany, niezwykły, oryginalny, żywy, był obecnie w jej oczach pastwą głębokiej zadumy; wołał nawet samotność od przyjemności mówienia o wszystkim otwarcie z najlepszą przyjaciółką, jaką miał w świecie. Zawsze był dobry, serdeczny, wdzięczny wobec księżnej, byłby, jak niegdyś, oddał sto razy życie dla niej, ale dusza jego była gdzie indziej. Robili kilkumilowe spaceru po tym cudnym jeziorze, nie wymawiając słowa. Rozmowa, ta wymiana chłodnych myśli, jedynie możebna odtąd między nimi, wydawałaby się może przyjemna innym; ale oni — zwłaszcza księżna — pamiętali jeszcze, czym była ich rozmowa przed tym nieszczęsnym zajściem, które ich rozdzieliło. Fabrycy winien był księżnej dzieje dziewięciu miesięcy okropnego więzienia — okazało się, iż w tym przedmiocie ma do powiedzenia jedynie parę słów.

„To było nieuniknione wcześniej czy później — powiadała sobie księżna z posępnym smutkiem. — Zgrzyzota postarzyła mnie lub też on kocha inną, a ja już mam jedynie drugie miejsce w jego sercu.” Zdeptana, zmiażdżona tym największym z nieszczęść, powiadała sobie niekiedy: „Gdyby niebo zechciało, aby Ferrante oszalał zupełnie lub nie zdobył się na odwagę, zdaje mi się, że byłabym mniej nieszczęśliwa.” Od tej chwili wyrzut ten zatruł szacunek, jaki księżna miała dla własnego charakteru. „Tak więc — powiadała sobie z goryczą — żałuję powziętego postanowienia; nie jestem już córą del Dongów!”

„Niebo tak chciało — powiadała sobie. — Fabrycy jest zakochany i jakim prawem chciałabym, aby nie był zakochany? Czy padło kiedy między nami bodaj słowo prawdziwej miłości?”

Ta rozsądna myśl odjęła jej sen; faktem jest — co było dowodem, że starość i zniechęcenie opadły ją wraz z nadzieją wspaniałej zemsty — że czuła się sto razy nieszczęśliwsza w Belgirate niż w Parmie. Co do osoby, która mogła być przedmiotem dziwnej zadu-

my Fabrycego, nie można było mieć wątpliwości. Klelia Conti, ta nabożna dziewczyna, zdradziła ojca, pozwalając upoić załogę, a Fabrycy nigdy nie mówił o Klelii! „Ale — dodawała księżna bijąc się z rozpaczą w pierś — gdyby nie upito załogi, wszystkie moje plany, wszystkie starania byłyby daremne; więc to ona go ocaliła!”

Z największym trudem księżna wydobyła z Fabrycego szczegóły owej nocy, która — powiadała sobie — niegdyś stanowiłaby przedmiot niewyczerpanych rozmów! W owych szczęśliwych czasach byłby mówił cały dzień, z niesłabnącą werwą, o najmniejszym szczególe.

Ponieważ trzeba było wszystko przewidywać, księżna pomieściła Fabrycego w porcie Locarno, w mieście szwajcarskim na krańcu Lago Maggiore. Codziennie jechała po niego statkiem, aby go zabrać na długą przejażdżkę po jeziorze. Otóż jednego razu wstąpiwszy do niego, ujrzała pokój wybity mnóstwem widoków Parmy, które Fabrycy sprowadził z Mediolanu lub nawet z samej Parmy, miejscowości, do której powinien był mieć wstręt. Salonik, zmieniony na pracownię, założony był przyborami do malowania akwarelą; Fabrycy kończył trzeci widoczek wieży Farnese i pałacu gubernatora.

— Brakuje jedynie — rzekła uszczypliwie — abyś zrobił z pamięci portrecik tego miłego gubernatora, który chciał cię tylko otruć. Ale prawda — ciągnęła księżna — powinien byś napisać doń list z przeproszeniem, żeś się ośmielił umknąć i okryć śmiesznością cytadelę.

Biedna kobieta nie przypuszczała, że zgaduje tak dobrze; ledwie znalazłszy się w bezpiecznym miejscu, Fabrycy natychmiast napisał do gubernatora Fabia Conti list bardzo ugrzeczniomy i poniekąd bardzo śmieszny; przeproszał go, że uciekł, podając jako usprawiedliwienie, iż miał powody przypuszczać, że jakaś podrzędna figura ma poruczone zadać mu truciznę. Mało mu zależało na tym, co pisze: Fabrycy miał nadzieję, że oczy Klelii ujrzą ten list; twarz jego w czasie pisania zwilżyła się łzami. Zakończył bardzo pociesznym zdankiem: śmiało powiedzieć, iż będąc na wolności, często żałuje swego pokoiku w wieży Farnese. To był główny sens listu: miał nadzieję, że Klelia go zrozumie. W rozpędzie pisania, wciąż w nadziei, że ktoś to przeczyta, Fabrycy napisał z podziękowaniem do don Cezara, zacnego kapelana, który mu pożyczył teologicznych książek. W kilka dni później Fabrycy poprosił księgarza z Locarno, aby się udał do Mediolanu, gdzie tenże księgarz, przyjaciel słynnego bibliomana Reina, kupił najwspanialsze wydania, jakie mógł znaleźć, dzieł pożyczonych przez don Cezara. Zacny kapelan otrzymał te książki oraz piękny list, w którym więzień usprawiedliwiał się, iż w chwilach zniecierpliwienia — które można mu wybaczyć — pokreślił marginesy książek niedorzecznymi notatkami. Błaga go zatem, aby zastąpił te dzieła tomami, które eks-więzień pozwala sobie ofiarować mu z wyrazami najżywszej wdzięczności.

W prostocie ducha Fabrycy nazwał mianem notatek nieskończone gryzmoły, którymi opatrzył marginesy egzemplarza *in folio* dzieł świętego Hieronima. W nadziei, że będzie mógł odesłać tę książkę zacnemu kapelanowi i wymienić ją na inną, spisywał na marginesie dzień po dniu dokładny pamiętnik wszystkiego, co mu się zdarzyło w więzieniu: wielkimi wydarzeniami było nie co innego, jeno wzloty *boskiej miłości* („boskiej” zastępowało inne słowo, którego nie śmiał napisać). Ta boska miłość to pogrążyła więźnia w otchłani rozpaczy, to znów głos dolatujący powietrzem wracał mu nadzieję i wprawiał go w upojenie. Wszystko to, na szczęście, pisane było atramentem więziennym, sporządzonym z wina, czekolady i sadzy: don Cezar ledwie rzucił okiem na książkę, umieszczając w swojej bibliotece tom świętego Hieronima. Gdyby przepatrzył te marginesy, ujrzałby, iż jednego dnia więzień, sądząc, że jest otruty, czuł się szczęśliwy, że umrze o czterdzieści kroków od najukochańszej istoty. Ale inne oko niż oko zacnego kapelana odczytało tę stronicę od czasu jego ucieczki. Myśli tej: „umrzeć w pobliżu ukochanej istoty”, wyrażonej na sto rozmaitych sposobów, towarzyszył sonet, gdzie dusza, oddzielona po okrutnych cierpieniach od tego kruchej ciała, w którym mieszkała dwadzieścia trzy lata, parta instynktem szczęścia wrodzonym wszelkiej istocie, nie chce wstąpić do nieba, aby się wmieszać w chóry anielskie, skoro tylko będzie wolna i w razie gdy straszliwy sąd użyczy jej przebaczenia — ale że szczęśliwsza po śmierci, niż była za życia, idzie o kilka kroków od więzienia, gdzie tak długo jęczała, połączyć się z tym, co kochała na świecie. I tak, powiedział ostatni wiersz sonetu, znalazłbym swój raj na ziemi.

Mimo że w cytadeli w Parmie mówiono o Fabrycym jako o niegodziwym zdrajcy, który pogwałcił najświętsze obowiązki, don Cezar zachwycony był widokiem pięknych ksiąg, które przesłał mu jakiś nieznajomy. Fabrycy bowiem wysłał list aż w kilka dni po przesyłce, z obawy aby jego nazwisko nie kazało odtrącić z oburzeniem daru. Don Cezar nie wspominał o tej uprzejmości bratu, który wpadał we wściekłość na samo imię Fabrycego; ale od czasu ucieczki odnowił dawną zażyłość z kochaną bratanicą, że zaś nauczył ją niegdyś paru słów po łacinie, pokazał jej piękne dzieła, które otrzymał. Taką właśnie nadzieję żywił eks-więzień. Naraz Klelia zarumieniła się mocno, widząc pismo Fabrycego. W rozmaitych miejscach pomieszczono jako zakładki paski żółtego papieru. I jaką prawdą jest, iż wśród płaskich interesów pieniężnych oraz bezbarwnego chłodu pospolitych myśli wypełniających nasze życie, czyny natchnione szczerą namiętnością rzadko chybiają celu; jak gdyby przyjazne bóstwo raczyło je prowadzić za rękę, Klelia, wiedzona tym instynktem oraz myślą o jedynej rzeczy w świecie, poprosiła wuja, że chce porównać dawny egzemplarz świętego Hieronima z tym, który świeżo otrzymał. Jak wyrazić jej upojenie wśród posępnego smutku, w jakim pogrążyła ją nieobecność Fabrycego, kiedy na marginesie dawnego egzemplarza świętego Hieronima znalazła wiadomy sonet oraz dzień po dniu pamiętnik miłości Fabrycego.

Od pierwszego dnia nauczyła się sonetu na pamięć i śpiewała go, wsparta o framugę, na wprost pustego dziś okna, przeglądającego niegdyś spoza żaluzji. Żaluzję tę zdjęto, aby ją złożyć w sali sądowej jako *corpus delicti* w pociesznym procesie, jaki Rassi wytoczył Fabrycemu, oskarżonemu o zbrodnię ucieczki, lub jak poborca powiadał, śmiejąc się sam przy tym, o to, że „się umknął łasce wspaniałomyślnego księcia”!

Każdy postępek Klelii był dla niej zgryzotą. Od czasu zaś jak była nieszczęśliwa, wyrzuty jej były jeszcze żywsze. Starła się uśmierzyć je nieco, przypominając sobie ślub, że *niegdy nie ujrzy Fabrycego*, złożony Madonnie w chwili zatrucia generała i ponawiany od tego czasu co dzień.

Ojciec jej chory był na ucieczkę Fabrycego; co więcej, groziła mu utrata miejsca, wówczas gdy książę w pierwszym ataku gniewu usunął wszystkich dozorców z wieży Farnese i kazał ich osadzić w więzieniu. Generał ocalał między innymi dzięki wstawiennictwu hrabiego Mosca, który wołał go widzieć na szczycie cytadeli niż intrygującego w kołach dworskich.

W czasie tych dwóch tygodni zachwiania się generała Fabia Conti, istotnie chorego, Klelia miała odwagę dopełnić poświęcenia, które oznajmiła Fabrycemu. Miała ten spryt, aby się rozchorować w dzień uroczystości, który był zarazem dniem ucieczki jeńca, jak czytelnik może sobie przypomina; była chora i nazajutrz; słowem, umiała postępować tak zręcznie, iż z wyjątkiem dozorczy Grilla, pełniącego specjalną straż przy Fabrycym, nikt nie podejrzewał jej współnictwa; a Grillo milczał.

Ale odkąd Klelia ubezpieczyła się z tej strony, jeszcze okrutniej nękały ją uzasadnione wyrzuty. „Cóż może — powiadała sobie — złagodzić zbrodnię córki zdradzającej własnego ojca?”

Pewnego wieczora, po dniu spędzonym w kaplicy, we łzach, poprosiła wuja swego, don Cezara, aby się udał z nią do generała, którego ataki wściekłości przerażały ją tym więcej, że przy każdej sposobności ojciec wybuchał przekleństwami na Fabrycego, tego ohydneho zdrajcę.

Stanąwszy przed obliczem ojca, miała siłę powiedzieć mu, że jeśli dotąd wzdragała się oddać rękę margrabiemu Crescenzi, to dlatego, że nie czuła doń skłonności i że była pewna, iż nie znajdzie szczęścia w tym związku. Na te słowa generał wpadł w furję — z trudem zdołała Klelia dojść do słowa. Dodała, iż jeśli ojciec, znęcony olbrzymim majątkiem margrabiego, sądzi, że powinien jej stanowczo nakazać to zamęcie, gotowa jest go usłuchać. Generał zdumiał się konkluzją, której zgoła się nie spodziewał; ucieszył się jednak.

— W ten sposób — rzekł do brata — nie będę zmuszony gniesć się na drugim piętunku, jeśli ten łobuz Fabrycy przyprawi mnie o utratę miejsca przez swój podły postępek.

Hrabia Mosca nie omieszkiał zdradzać silnego oburzenia po ucieczce tego *nicponia* Fabrycego; powtarzał przy każdej sposobności wymyślone przez Rassiego zdanie o szpetnym postępku młokosa, który się umknął łaskawości księcia. Ten misterny frazes, uświęcony na dworze, nie przyjął się wśród ludu. Sądząc zdrowym rozumem i uważając Fabrycego



za wielkiego winowajcę, lud podziwiał odwagę, jakiej trzeba było, aby się spuścić z takiej wysokości. Ani jedna osoba ze dworu nie uznała tej odwagi. Co się tyczy policji, upokorzonej tą klęską, odkryła ona oficjalnie, iż oddział dwudziestu żołnierzy kupionych pieniędzmi księżnej, owej tak ohydnie niewdzięcznej kobiety, której imię wymawiano jedynie z westchnieniem, podał Fabrycemu cztery związane drabiny, każda na czterdzieści pięć stóp długa; Fabrycy spuścił po prostu sznur i miał jedynie tę mizerną zasługę, że wciągnął drabiny na wieżę. Kilku liberałów znanych ze swej nieopatrzności — między innymi lekarz C..., agent płatny wprost przez księcia — dodawało, narażając się mocno, że ta nieludzka i okrutna policja rozstrzelała ośmiu nieszczęśliwych żołnierzy, którzy ułatwili niewdzięcznikowi ucieczkę. Wówczas potępili go nawet prawdziwi liberałowie za to, że swoją nierozważą spowodował śmierć ośmiu biedaków. W ten sposób mali despoti sprowadzają do zera znaczenie opinii<sup>70</sup>.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Wśród tego powszechnego oburzenia jeden arcybiskup Landriani okazał się wierny swemu młodemu przyjacielowi; śmiało podkreślał, nawet na dworze księżnej, zasadę prawa, wedle której w każdym procesie trzeba się chronić od wszelkich uprzedzeń, póki się nie wysłucha nieobecnego.

Nazajutrz po ucieczce Fabrycego wiele osób otrzymało dość lichego sonetu, który słał tę ucieczkę jako jeden z największych czynów epoki i porównał Fabrycego z aniołem, który rozwinąwszy skrzydła spływa na ziemię. Następnego wieczora cała Parma powtarzała inny, wspaniały sonet. Był to monolog Fabrycego zsuwającego się po linie i sądzącego rozmaite wydarzenia swego życia. Sonet ten zdobył mu uznanie, dzięki dwóm wspaniałym wierszom — znawcy odgadli pióro Ferranta Palli.

Ale tu trzeba by mi sięgnąć po styl epicki: gdzie znaleźć kolory, aby odmalować potoki oburzenia, które naraz zalały wszystkie dobrze myślące serca, kiedy posłyszano o tym bezprzykładnym zuchwalstwie, o iluminacji zamku Sacca. Rozległ się jeden krzyk przeciw księżnej; nawet szczerzy liberałowie uważali, że to jest barbarzyństwo narażać biednych podejrzanych, trzymany w rozmaitych więzieniach, i drażnić bezcelowo monarchę. Mosca oświadczył, że dawnym przyjacielom księżnej pozostało tylko jedno: zapomnieć o niej. Chór oburzenia był tedy jednomyślny, cudzoziemiec przejeżdżający przez miasto byłby uderzony siłą opinii publicznej. Ale w tym kraju, gdzie umieją cenić rozkosz zemsty, iluminacja oraz wspaniała zabawa wydana w parku dla przeszło sześciu tysięcy chłopów miała olbrzymie powodzenie. Wszyscy powtarzali w Parmie, że księżna rozdała chłopom tysiąc cekinów! Tym tłumaczono twarde przyjęcie, jakie spotkało trzydziestu żandarmów, których policja w głupocie swojej posłała do wioski, w półtorej doby po wspaniałym wieczorze i powszechnym pijaństwie, jakie po nim nastąpiło. Żandarmi, przyjęci gradem kamieni, uciekli; dwóch, którzy spadli z koni, wrzucono do Padu.

Co się tyczy pęknięcia wielkiego zbiornika w pałacu Sanseverina, przeszło ono prawie że niepostrzeżenie; w nocy kilka ulic zalała trochę woda, nazajutrz można by rzec, że deszcz padał. Lodovico był na tyle sprytny, że wybił szyby w jednym z okien pałacowych, tak iż można było przypuszczać złodziei.

Znaleziono nawet drabinkę. Jedynie hrabia Mosca odgadł rękę i ducha swej przyjaciółki.

Fabrycy był zdecydowany wrócić do Parmy, skoro tylko będzie mógł. Posłał Lodovica z długim listem do arcybiskupa; wierny sługa wrócił, aby nadać na granicy Piemontu, w Sannazaro, na zachód od Pawii, łańską epistołę, którą godny prałat skreślił do swego młodego protegowanego. Dodamy jeden szczegół, który, jak wiele innych, wyda się obojętny w kraju, gdzie nie trzeba już takich ostrożności. Nazwisko *del Dongo* nie było nigdy wymienione; wszystkie listy, które były dla niego przeznaczone, adresowano do Lodovica San Micheli w Locarno w Szwajcarii lub w Belgirate w Piemontcie. Koperta była z lichego papieru, pieczęć źle odcisnięta, adres ledwie czytelny, niekiedy z dopi-

<sup>70</sup>W ten sposób mali despoti sprowadzają do zera znaczenie opinii — Tr. J. F. M. 31 [Zapis ten może mieć dwójakie znaczenie: *Trieste, janvier, février, mars 1831* (Triest, styczeń, luty, marzec 1831 r.) albo *Troubles, janvier, février, mars 1831* (Rozruchy w Modenie, styczeń, luty, marzec 1831 r.); Red.]. [przypis autorski]

skami godnymi kucharki; wszystkie listy datowane były z Neapolu na sześć dni przed rzeczywistą datą.

Z wioski piemonckiej Sannazaro w okolicy Pawii Lodovico wrócił najspieszniej do Parmy; miał zlecenie, do którego Fabrycy przywiązywał największą wagę. Chodziło, ni mniej, ni więcej, tylko o doręczenie Klelii jedwabnej chustki, na której wydrukowany był sonet Petrarcki. Prawda, że zmieniono w tym sonecie jedno słowo. Klelia znalazła go na stole w dwa dni po przyjęciu margrabiego Crescenzi, który się głosił najszczęśliwszym z ludzi — zbyteczne mówić, jakie wrażenie wywarł na niej ten znak wciąż stałej pamięci.

Lodovico miał się postarać o zebranie wszystkich szczegółów tego, co się dzieje w cytadeli. On to przyniósł Fabrycemu smutną nowinę, że małżeństwo margrabiego Crescenzi uchodzi za pewne; nie miało dzień, aby w obrębie cytadeli nie odbyła się jaka uroczystość na cześć Klelii. Nieomylny dowód tego małżeństwa stanowiło to, że margrabia, kolosalnie bogaty i co za tym idzie — bardzo skąpy, jak jest zwyczajem u zamożnych ludzi w północnych Włoszech, czynił olbrzymie przygotowania, mimo że zaślubiał pannę *bez posagu*. Prawda, że Fabio Conti, bardzo urażony tym spostrzeżeniem, pierwszym, jakie się nastąpiło jego ziomkom, kupił świeżo majątek w cenie trzystu tysięcy franków i że mimo iż sam nie posiadał nic, zapłacił cenę gotówką, prawdopodobnie z kiesy margrabiego. Generał oświadczył, że daje ten majątek w posagu córce. Ale koszta rejentalne, przewyższające dwanaście tysięcy franków, wydały się niedorzeczne margrabiemu Crescenzi, osobie niezmiernie logicznej. On znowuż kazał sporządzić w Lionie obicia w wesołych kolorach, ślicznie dobranych przez słynnego Palagi, malarza z Bolonii. Obicia te, przedstawiające sceny z dziejów rodziny Crescenzi, która — wiadomo — pochodzi od słynnego Krescencjusza<sup>71</sup>, konsula w Rzymie w roku 985, miały zdobić siedemnaście salonów, tworzących parter pałacu margrabiego. Obicia, zegary i świeczniki przywiezione do Parmy kosztowały przeszło trzysta pięćdziesiąt tysięcy; cena nowych lusterek, dokupionych do tych, które już były w domu, sięgała dwustu tysięcy. Z wyjątkiem dwóch salonów — dzieło Parmezana, największego miejscowego malarza po boskim Correggiu — wszystkie sale na pierwszym i drugim piętrze zajmowali obecnie sławni malarze florency, rzymscy i mediolańscy, którzy je zdobili freskami. Fogelberg, wielki rzeźbiarz szwedzki, Tenerani z Rzymu i Marchesi z Mediolanu pracowali od roku nad dziesięcioma płaskorzeźbami, przedstawiającymi znakomite czyny wielkiego Krescencjusza. Większość sufitów malowanych *al fresco* również zawierała aluzję do jego życia. Podziwiano sufit, na którym Hayez z Mediolanu przedstawił Krescencjusza, jak go przyjmują na Polach Elizejskich: Franciszek Sforza, Wawrzyniec Wspaniały, król Robert, trybun Kola Rienzi<sup>72</sup>, Makiawel, Dante i inni wielcy ludzie średniowiecza. W podziwie dla tych wybranych dusz dopatrywano się uszczypliwości pod adresem rządu.

Przepychy te pochłaniały w zupełności uwagę szlachty i mieszczan w Parmie i przeszły serce naszego bohatera, kiedy je wyczytał, odmalowane z naiwnym zachwytem, w długim przeszło na dwadzieścia stronic liście, który Lodovico podyktował celnikowi w Casal-Maggiore.

„A ja jestem taki biedny! — powiedział sobie Fabrycy — wszystkiego cztery tysiące franków renty! To doprawdy zuchwalstwo kochać się w Klelii Conti, dla której gotują te cuda.”

Jeden ustęp długiego listu Lodovica — ale ten już pisany był własnym, kulawym pismem — oznajmił panu, że spotkał wieczorem biednego Grillo, widocznie kryjącego się. Dozorcę Fabrycego najpierw wtrącono do więzienia, później uwolniono go. Człowiek ten prosił przez litość o cekina; Lodovico dał mu cztery w imieniu księżnej. Dawni dozorczy, w liczbie dwunastu, świeżo wypuszczeni na wolność, gotowali się wyprawić „traktamencik nożowy” (*trattamento di cortellate*) swoim następcom, jeśli kiedy zdołają ich dopaść poza cytadelą. Grillo powiadał, że prawie co dzień jest w fortecy serenada, że panna Klelia jest bardzo mizerna, często chora, i *inne podobne rzeczy*. To głupie wyrażenie sprawiło,

<sup>71</sup> Krescencjusz, *Crescentius* (X w.) — trybun rzymski, wielki patriota i antyklerykał. [przypis redakcyjny]

<sup>72</sup> jak go przyjmują na Polach Elizejskich: Franciszek Sforza, Wawrzyniec Wspaniały, król Robert, trybun Kola Rienzi — Francesco Sforza (1401–1466), kondotier włoski; Robert Andegaweński (ok. 1278–1343), król Neapolu, mecenas poetów; Cola di Rienzi (1313–1354), trybun ludowy, dążył do wskrzeszenia republiki rzymskiej. [przypis tłumacza]

że Lodovico otrzymał odwrotną pocztą rozkaz powrotu do Locarno. Wrócił, a szczegóły ustne były jeszcze smutniejsze dla Fabrycego.

Można odgadnąć, jaki był miły dla biednej księżnej; raczej zniósłby tysiąc razy śmierć, niżby wymówił przy niej imię Klelii. Księżna nienawidziła Parmy; dla Fabrycego zaś wszystko, co przypominało to miasto, było wzniosłe i wzruszające.

Księżna mniej niż kiedykolwiek zapominała o swej zemście. Była tak szczęśliwa przed zajściem z Gilettim, a teraz cóż za los! Żyła w oczekiwaniu strasznego wydarzenia, o którym nie powiedziała ani słowa Fabrycemu, ona, która niegdyś, w dobie układu z Ferrantem sądziła, że tak ucieszy Fabrycego wieścią, iż będzie pomszczony.

Można sobie teraz wyobrazić, jak miłe były rozmowy Fabrycego z księżną; tępe milczenie panowało między nimi prawie ciągle. W dodatku księżna uległa chęci wypłatania figla temu nazbyt ukochanemu bratankowi. Hrabia pisywał do niej co dzień; słał kurierów jak za pierwszych czasów ich miłości, gdyż jego listy miały zawsze stempel pocztowy z jakiegoś miasteczka szwajcarskiego. Biedny człowiek suszył sobie głowę, aby nie mówić zbyt otwarcie o swych uczuciach i aby składać zabawne listy; zaledwie przeglądała je z roztargnieniem. Cóż znaczy, niestety, wierność kochanka, którego się szanuje, kiedy serce jest udręczone chłodem tego, którego się ubóstwia?

W ciągu dwóch miesięcy pani Sanseverina odpowiedziała hrabiemu tylko raz, i to aby prosić o zmacanie gruntu u księżnej i wybadanie, czy mimo zuchwałego fajerwerku list od niej byłby miłe widziany. List ten, który hrabia miał doręczyć, o ile uzna za właściwe, prosił o wakujące od niedawna przy księżnej stanowisko szambelana dla margrabiego Crescenzi, z prośbą, aby mu nadano tę godność z racji jego małżeństwa. List pani Sanseverina był arcydziełem; przebijał z niego najpiękniej wyrażony szacunek; dworski ten styl nie zawierał ani jednego słowa, które nawet w najodleglejszych konsekwencjach mogłoby być niemiłe. Toteż odpowiedź oddychała przyjaźnią i tęsknotą.

Mój syn i ja — pisała księżna — nie mieliśmy ani jednego znośnego wieczora od twego nagłego wyjazdu. Czyż już nie pamiętasz, że to dzięki tobie przywrócono mi głos doradczy w mianowaniu oficerów mego domu? Uważasz za potrzebne prosić o nominację margrabiego, jak gdyby życzenie twoje nie było dla mnie dostateczne? Jeśli mam jakiś głos, margrabia otrzyma tę godność: w moim zaś sercu będzie zawsze miejsce, i to pierwsze, dla mej drogiej Giny. Syn każe ci powiedzieć to samo, w tych samych słowach, zbyt śmiałych może w ustach dwudziestoletniego dryblasa, i prosić cię o próbki minerałów z doliny Orta, sąsiadującej z Belgirate. Możesz przysyłać swoje listy, na które liczę, często, przez hrabiego, który *nienawidzi* cię zawsze i którego lubię za te uczucia. Arcybiskup również pozostał ci wierny. Spodziewamy się wszyscy ujrzeć cię znów: pamiętaj, że trzeba koniecznie. Margrabina Ghisleri, moja wielka ochmistrzyni, gotuje się przenieść na lepszy świat — biedna kobieta wiele mi nadokuczała; znów robi mi na złość, wynosząc się ze świata nie w porę; choroba jej przywodzi mi na myśl nazwisko, które byłabym niegdyś z taką radością wpisała w jej miejsce, o ile bym naturalnie zdołała uzyskać tę ofiarę niezależności od wyjątkowej kobiety, która uciekając od nas uniosła z sobą całe wesele mego małego dworu itd., itd.

Z poczuciem zatem, iż stara się, o ile to w jej mocy, przyspieszyć małżeństwo grążące Fabrycego w rozpaczy, księżna widywała go co dzień. Toteż spędzali niekiedy po kilka godzin bez słowa, żeglując po jeziorze. Fabrycy czuł dla ciotki doskonałą życzliwość; ale myślał o czym innym, a dusza jego, prosta i szczerą, nie nastęczała mu przedmiotem do rozmowy. Księżna widziała to, i to była jej męka.

Zapomnieliśmy opowiedzieć, że księżna wynajęła domek w Belgirate, uroczej miejscowości, dotrzymującej wszystkiego, co przyrzekało jej miano (piękny zakręt jeziora). Z ganku księżna mogła wskoczyć wprost do barki. Wybrała bardzo skromną, do której wystarczało czterech wiosłarzy; najęła dwunastu w ten sposób, aby mieć człowieka z każdej ze wsi otaczających Belgirate. Za trzecim czy czwartym razem, kiedy się znalazła na środku jeziora z tymi zuchami, kazała im przestać wiosłować.

— Uważam was wszystkich za przyjaciół — rzekła — i powierzę wam tajemnicę. Mój bratanek Fabrycy uciekł z więzienia; może będą próbowali go schwycić podstępem, mimo

że znajduje się na waszym jeziorze w wolnym kraju. Dawajcie bacznie ucha i uprzedzajcie mnie o wszystkim. Pozwalam wam wchodzić do mego pokoju w dzień i w nocy.

Wioślarze odpowiedzieli z zapalem; kochali ją wszyscy. Ale nie sądziła, aby ktoś myślał o pojmaniu Fabrycego: to dla niej były wszystkie te ostrożności; przed nieszczęsnym rozkazem otworzenia zbiornika w pałacu nie byłaby pomyślała o tym.

Przezorność kazała jej również nająć mieszkanie w porcie Locarno dla Fabrycego; codziennie odwiedzał ją lub ona udawała się do Szwajcarii. O uroku ich ciągłego sam na sam można sądzić z tego szczegółu: margrabina i jej córki odwiedziły ich dwa razy i obecność tych obcych osób sprawiła obojgu przyjemność; mimo bowiem węzłów krwi, można nazwać obcym kogoś, kto nic nie wie o naszych sprawach i kogo widuje się raz na rok.

Księżna bawiła pewnego wieczora u Fabrycego wraz z margrabinią i jej córkami. Prałat miejscowy i proboszcz przyszedli złożyć uszanowanie damom; prałat, który posiadał kapitały w domu handlowym i miał świeże wiadomości, oznajmił:

— Księżę parmeński umarł!

Księżna zbladła straszliwie, zaledwie miała siłę wyrzec:

— Czy wiadome są szczegóły?

— Nie — odparł prałat — wiadomość ogranicza się do faktu śmierci, która jest pewna.

Księżna spojrzała na Fabrycego. „Zrobiłam to dla niego — powiadała sobie — zrobiłabym tysiąc razy więcej i oto on tu jest przy mnie, obojętny, zadumany o innej! Znieść tę okropną myśl było nad siły księżnej — zemdlała. Wszyscy pośpieszyli jej z pomocą; ale odzyskując przytomność zauważyła, że Fabrycy mniej sobie zadaje trudu niż prałat i proboszcz; dumal jak zazwyczaj.

„Myśli o tym, aby wrócić do Parmy — powiedziała sobie księżna — może, aby zerwać małżeństwo Klelii z margrabią; ale ja potrafię temu przeszkodzić.” Następnie, przypominając sobie obecność księży, pośpieszyła dodać:

— To był wielki monarcha, którego spotwarzono! Okropna strata!

Księża pożegnali się, a pani Sanseverina, chcąc zostać sama, oznajmiła, że się położy.

„Ostrożność — powiadała sobie — każe mi czekać miesiąc lub dwa z powrotem do Parmy, ale czuję, że nie wytrzymam tak długo; zanadto cierpię tutaj. Ta zaduma, to milczenie Fabrycego są dla mego serca nie do zniesienia. Kto by mi był powiedział, że się znudzę, pływając sam na sam z nim po tym uroczym jeziorze, i to w chwili gdy, aby go pomścić, uczyniłam więcej, niż mogę mu wyznać! Po takim widoku śmierć jest niczym. Płacę za wybuchy szczęścia i dziecinnej radości — z widoku Fabrycego po powrocie z Neapolu! Gdybym była rzekła słowo, byłoby po wszystkim; zajęty mną, nie byłby może pomyślał o Klelii; ale nieodpartą odrazą przejmowało mnie to słowo. Teraz ona zwyciężyła. Cóż prostrzego? Ma dwadzieścia lat, a ja, zmieniona, chora, mam dwa razy tyle!... Trzeba umrzeć, trzeba skończyć! Kobieta czterdziestoletnia liczy się jedynie dla mężczyzny, którzy ją kochali za jej młodości! Obecnie znajdę już tylko zadowolenie próżności — czy warto dla tego żyć? Jeszcze jedna racja, aby jechać do Parmy i bawić się. Gdyby rzeczy obróciły się źle, uśmiercono by mnie. Więc cóż? Gdzie tu nieszczęście? Miałabym wspaniałą śmierć. Nim bym umarła — ale dopiero wówczas — powiedziałabym Fabrycemu: „Niewdzięczny! to dla ciebie!...” Tak, jedynie w Parmie mogę znaleźć wypełnienie tej resztki życia, jaka mi została — będę się bawiła w wielką damę. Cóż za szczęście, gdybym mogła teraz znaleźć przyjemność we wszystkich honorach, które niegdyś stanowiły udrękę tej Raversi! Wówczas, aby dojrzeć swoje szczęście, musiałam patrzeć w oczy zawiści... Moja próżność ma jedną ucieczkę: z wyjątkiem może hrabiego nikt nie zgadnie, co położyło kres życiu mego serca... Będę kochała Fabrycego, będę pracowała dla jego losu; ale nie trzeba, aby zerwał małżeństwo Crescenziego i aby się z nią ożenił... Nie, nie to!”

W czasie tego smutnego monologu księżna usłyszała w domu zgiełk.

„Ślicznie! — powiedziała sobie — przychodzić mnie uwięzić. Ferrante dał się ująć i wygadał. Więc dobrze, tym lepiej! Będę miała zajęcie, będę walczyła o swoją głowę. Ale *primo*: nie trzeba się dać wziąć.”

Księżna, na wpół ubrana, wpadła w ogród; już miała przebyć niski mur i uciec w pole, kiedy ujrzała, że ktoś wchodzi do jej pokoju. Poznała Brunona, zaufanego człowieka

Miłość niespełniona

hrabiego; był sam z jej pokojówką. Podeszła pod balkon. Człowiek ten opowiadał coś garderobianej o ranach, które otrzymał. Księżna wróciła. Bruno rzucił się do jej stóp, zaklinając, aby nie powiedziała hrabiemu, o której godzinie przybył.

— Natychmiast po śmierci księcia — dodał — pan hrabia wydał rozkaz, aby żadna poczta nie ważyła się wydać koni obywatelowi Parmy. Wskutek tego dotarłem aż do Padu prywatnymi końmi hrabiego; ale kiedy wysiadłem z barki, powóz mój obalono i połamano, przy czym odniosłem tak poważne rany, że nie mogłem wsiąść na koń, jak to było moim obowiązkiem.

— Dobrze — odparła księżna — jest trzecia rano; powiem, żeś przybył w południe, ale nie zdradź mnie.

— Poznaję dobroć jaśnie pani.

Polityka w utworze literackim — to wystrzał z pistoletu w czasie koncertu; coś brutalnego, czego wszelako niepodobna pominąć.

Będziemy mówili o bardzo brzydkich rzeczach, o których, dla wielu powodów, chcielibyśmy zamilczeć; ale musimy przejść do wydarzeń, które należą do naszej dziedziny, skoro teatrem ich jest serce ludzkie.

— Ależ, wielki Boże! w jaki sposób umarł ten wielki władca? — spytała księżna.

— Był na polowaniu na kaczki w błotach nad Padem, o dwie mile od Sacca. Wpadł w dziurę pokrytą gęstą trawą; był spocony i przeziębził się; przeniesiono go do jakiegoś domku, gdzie umarł po kilku godzinach. Inni twierdzą, że panowie Catena i Borone zmarli również i że cały wypadek pochodzi z miedzianych naczyń u chłopca, gdzie wstąpili, które zawierały grynszpan<sup>73</sup>. Jedli śniadanie u tego człowieka. Emaliowane głowy, jakobini, którzy opowiadają to, czego by sobie życzyli, mówią o truciznie. Wiem, że mój przyjaciel Toto, kurier dworski, byłby zginął bez szlachetnej pomocy jakiegoś włóczęgi, który okazał się bardzo biegły w medycynie i który mu zalecił szczególne lekarstwa. Ale nikt nie mówi już o śmierci księcia: w gruncie był to okrutnik. Kiedym wyjeżdżał, lud zbierał się, aby utrupić Rassiego: chciano też podłożyć ogień pod bramę cytadeli i oswobodzić więźniów. Ale niektórzy twierdzili, że Fabio Conti kazałby strzelać z armat. Drudzy upewniali, że kanonierzy w cytadeli zalali proch wodą, nie chcąc mordować ziomków. Ale oto coś ciekawego: kiedy chirurg Sandolaro opatrywał mi ramię, przybył z Parmy człowiek, który opowiedział, że lud zdybawszy gdzieś na ulicy Barbone, sławnego pisarza więziennego, zatłukł go, a potem powieszono go na drzewie, na wprost cytadeli. Lud ciągnął już, aby rozbić piękny posąg księcia znajdujący się w pałacowym ogrodzie; ale pan hrabia wziął batalion gwardzistów, ustawił go przed posągiem i kazał powiedzieć ludowi, że kto wejdzie do ogrodu, nie wyjdzie żywy, i lud się zląkł. Ale co osobliwe, a co ten człowiek przybyły z Parmy, eks-zandarm, powtórzył kilka razy, to że pan hrabia kopnął generała P..., komendanta gwardii, i kazał wygnać za ogród, zdarłszy mu epolety.

— Poznaję hrabiego! — wykrzyknęła Sanseverina z wybuchem radości, którego nie byłaby przewidziała na minutę wprzód — nie ścierpi nigdy, aby znieważono naszą księżnę, co zaś do generała P..., ten, przez oddanie prawym władcom, nie chciał nigdy służyć uzurpatorowi, gdy hrabia, mniej skrupulatny, odbył wszystkie kampanie hiszpańskie, co mu nieraz na dworze wymawiano.

Pani Sanseverina otwarła list hrabiego, ale przerywała czytanie, aby zasypywać Brunona pytaniami.

List był bardzo zabawny; hrabia używał arcyżałosnych wyrażań, a mimo to najwyższa radość tryskała z każdego słowa; unikał szczegółów co do śmierci księcia i kończył w te słowa:

Wrócisz niezawodnie, drogi aniele, ale radzę ci zaczekać dzień lub dwa na kuriera księżnej, co nastąpi, mam nadzieję, dziś lub jutro; trzeba, aby twój powrót był tryumfalny, jak wyjazd był odważny. Co do „wielkiego zbrodniarza”, który jest z tobą, mam zamiar oddać go pod sąd dwunastu sędziów powołanych z całego państwa. Ale, aby ukarać tego potwora tak, jak na to zasługuje, trzeba, bym wpierw mógł zrobić papiloty z pierwszego wyroku, jeżeli istnieje.

<sup>73</sup>*grynszpan* — związek chemiczny miedzi z kwasem octowym, sól powstająca na skutek korozji miedzi. [przypis edytorski]

Hrabia jeszcze otworzył list, aby dopisać:

Oto znów inna sprawa; rozdałem przed chwilą naboje dwom batalionom gwardii; będę się bił i zapracuję sumiennie na przydomek Okrutnego, którym liberalowie uraczyli mnie od dawna. Ta stara mumia, generał P..., ośmielił się wspomnieć w koszarach o tym, aby paktować ze zbuntowanym ludem. Piszę do ciebie na ulicy; idę do pałacu, gdzie wejść chyba po moim trupie. Bądź zdrowa! Jeśli zginę, zginę ubóstwiając cię *mimo wszystko*, tak jak żyłem. Nie zapomnij odebrać trzystu tysięcy złożonych na twoje nazwisko w D... w Lionie.

Nieborak Rassi, błady jak śmierć, bez peruki; nie masz pojęcia o tej fizjonomii. Lud koniecznie chce go powiesić; byłaby to wielka niesprawiedliwość, zasłużył na rozerwanie końmi. Chciał się schronić do mego pałacu, gonił za mną przez ulicę; nie bardzo wiem, co z nim począć... nie chcę go wprowadzać do pałacu księcia, to by znaczyło wpuszczać rewolucję z tej strony. F... przekona się, czy mu jestem życzliwy; pierwszym moim słowem do Rassiego było: „Oddaj mi wyrok na pana del Dongo i wszystkie kopie, jakie mogą istnieć, i powiedz niegodnym sędziom, którzy są przyczyną tego buntu, że ich powieszę wszystkich jak i ciebie, drogi przyjacielu, jeżeli pisną słowo o tym wyroku, który nigdy nie istniał.” W imieniu Fabrycego posyłam kompanię grenadierów arcybiskupowi. Bądź zdrowa, drogi aniele! Pałac mój będzie pewno spalony, postradam twoje urocze portrety. Biegnę do zamku, aby wypędzić z wojska bezecnego generała P..., który narobił ładnych rzeczy: schlebia podłe ludowi, jak niegdyś schlebiał nieboszczykowi księciu. Wszyscy ci generałowie mają diabelnego stracha; zdaje się, że każę się mianować naczelnym wodzem.

Księżna miała tę złośliwość, że nie kazała budzić Fabrycego; czuła dla hrabiego wpływ podziwu, bardzo podobny do miłości. „Wszystko zważywszy — rzekła — trzeba mi wyjść za niego.” Napisała mu to natychmiast i wysłała jednego ze swoich ludzi. Tej nocy księżna nie miała czasu być nieszczęśliwa.

Nazajutrz koło południa ujrzała barkę o dziesięciu wiosłach, która pruć szybko wody jeziora; oboje z Fabrycem poznali niebawem barwy księcia Parmy; był to w istocie kurier, który — nim wysiadł na ląd — wykrzyknął:

— Bunt uśmierzony!

Kurier ten wręczył pani Sanseverina kilka listów hrabiego, niesłychanie uprzejmy list księżnej oraz dekret Ranucjusza Ernesta V na pergaminie, mianujący ją księżną San Giovanni oraz wielką ochmistrzynią księżnej matki. Młody książę, uczony mineralog, którego uważała za ciemnego, zdobył się na wcale zręczny bilecik; ale koniec trącił oświadczeniami. Bilecik zaczynał się tak:

Hrabia oznajmił mi, że rad jest ze mnie; faktem jest, że gwizdnęło mi nad uchem parę kul przy jego boku i że konia mego postrzelono. Zważywszy hałas, jaki robi się dla takiej drobnostki, chciałbym bardzo brać udział w prawdziwej bitwie, byleby nie przeciw swoim poddanym. Zawdzięczam wszystko hrabiemu; wszyscy moi generałowie, którzy nigdy nie wachali prochu, zachowali się jak zające; zdaje się, że paru uciekło aż do Bolonii. Od czasu jak wielkie i smutne wydarzenie dało mi w rękę władzę, nie zdarzyło mi się podpisać dekretu, który by mi był równie miły jak ten, którym mianuję panią ochmistrzynią mojej matki. Oboje z matką przypomnieliśmy sobie, iż pewnego razu podziwiała pani widok rozciągający się z pałacyku San Giovanni, który niegdyś należał do Petrarcki — przynajmniej tak powiada ją — matka moja postanowiła ofiarować pani ten mały kawałek ziemi, a ja, nie wiedząc, czym panią obdarzyć i nie ośmielając się ofiarować wszystkiego, co jej należy, uczyniłem panią księżną mego kraju; nie wiem, czy pani jest dość uczona, aby wiedzieć, że Sanseverina to tytuł rzymski. Dałem wielką wstęgę mego orderu zacnemu arcybiskupowi, który okazał hart nader rzadki u siedemdziesięcioletniego starca. Nie weźmie mi pani za złe, że odwołałem wszystkie damy skazane na wygnanie. Powiedziano mi, że odtąd nie powinienem kłaść swego podpisu, nie napisawszy wprzód słów *wasz oddany*

— nierad jestem, że mi każą szafować zapewnieniem, które prawdziwe jest wtedy jedynie, kiedy piszę do ciebie, księżno.

Twój oddany

*Ranucjusz Ernest*

Któż by nie powiedział, sądząc z tego stylu, że księżna będzie się cieszyła największym faworem? Uderzyło ją wszakże coś w listach hrabiego, które otrzymała w dwie godziny później. Nie tłumaczył się bliżej, ale radził, aby opóźniła o kilka dni powrót, i aby napisała do księżnej-matki, że jest niezdrowa. Mimo to pani Sanseverina i Fabrycy wyruszyli natychmiast po obiedzie. Celem księżnej — mimo że nie przyznawała się do tego przed sobą — było przyspieszyć małżeństwo margrabiego Crescenzi. Fabrycy natomiast oddawał się przez drogę szalonej radości, która niecierpliwiła jego ciotkę. Miał nadzieję ujrzeć niebawem Kleię; spodziewał się ją wykraść, wbrew jej woli nawet, jeśli to będzie jedyny sposób zerwania jej małżeństwa.

Podróż księżnej i jej bratanka była bardzo wesoła. Na stacji przed Parmą Fabrycy zatrzymał się chwilę, aby wdziac szaty duchowne; zazwyczaj bywał ubrany jak człowiek w żalobie. Kiedy wszedł do pokoju, księżna rzekła:

— Mam uczucie czegoś mętnego w liście hrabiego Mosca. Posłuchaj mnie i zostań tu kilka godzin; prześlę ci wiadomość, skoro tylko się zobaczę z tym wielkim ministrem.

Bardzo niechętnie Fabrycy poddał się tej rozsądnej radzie. Wybuchy radości, godne piętnastoletniego chłopca, towarzyszyły przyjęciu, jakie hrabia zgotował tej, którą nazywał *swoją żoną*. Długo nie chciał mówić o polityce; skoro wreszcie odzyskali smutny rozsądek, rzekł tak:

— Dobrześ uczyniła, żeś nie pozwoliła Fabrycemu przybyć oficjalnie, przeżywamy tu okres reakcji. Zgadnij tylko, jakiego kolegę przydał mi książę jako ministra sprawiedliwości? Rassi, moja droga, Rassi, którego w epoce naszej wielkiej sprawy potraktowałem jak łajdaka! Ale trzeba ci wiedzieć, że postarano się zatrzeć wszystko, co się tu stało. Jeśli zajrzesz do naszej gazety, zobaczysz, że pisarz więzienny, niejaki Barbone, zginął przejechany wozem. Sześćdziesięciu hultajów, których kazałem wystrzelać, kiedy atakowali posąg księcia w ogrodzie, ma się bardzo dobrze, są jedynie w podróży. Hrabia Zurla, minister spraw wewnętrznych, sam udał się do domu każdego z tych nieszczęśliwych bohaterów i wręczył po piętnaście cekinów ich rodzinie lub przyjaciółom, nakazując mówić, że zmarły jest w podróży, i grożąc bardzo wyraźnie więzieniem, jeśli ośmielą się dać do zrozumienia, że poległ. Innego człowieka z mego własnego ministerium spraw zagranicznych posłano w misji do gazeciarzy w Mediolanie i w Turynie, iżby nic nie pisali o *nieszczęśliwym wydarzeniu*: to uświęcone słowo; człowiek ten ma dotrzeć aż do Paryża i Londynu, aby we wszystkich dziennikach niemal oficjalnie zaprzeczyć wszystkiemu, co by tam mówiono o naszych zamieszkach. Inny agent puścił się do Bolonii i Florencji. Wzruszyłem ramionami.

Ale co jest zabawne w moim wieku, to, że ja miałem chwilę szczerego zapału, przemawiając do gwardii i zdzierając epolety temu gamajdzie, generałowi P... W tej chwili byłbym bez wahania oddał życie za księcia — wyznaję, że to byłby głupi sposób rozstania się ze światem. Dziś ten książę, mimo że poczciwy chłopak, dałby sto talarów, abym ja umarł jaką naturalną śmiercią; nie śmie jeszcze żądać mej dymisji, ale mówimy z sobą jak najrzadziej i przesyłam mu mnóstwo raportów na piśmie, jak to praktykowałem z nieboszczykiem księciem po uwięzieniu Fabrycego. A, prawda! nie zrobiłem papilotów z wyroku na tego chłopca dla tej przyczyny, że ten łajdak Rassi jednak mi go nie oddał. Dobrze tedy uczyniłaś, że nie pozwoliłaś Fabrycemu przybyć oficjalnie. Wyrok jest wciąż prawomocny; nie sądzę jednak, aby Rassi ośmielił się uwięzić twego bratanka dziś, ale może ośmieli się za dwa tygodnie. Jeśli Fabrycy chce bezwarunkowo wrócić do miasta, niech zamieszka u mnie.

— Ale co za przyczyna tego wszystkiego? — wykrzyknęła księżna, zdumiona.

— Wytłumaczono księciu, że ja nadaję sobie tony dyktatora, zbawcy ojczyzny, i że go chcę prowadzić na pasku; co więcej, mówiąc o nim, miałem wyrzec to nieszczęsne

słowo: *dziecko*. To może być prawda, byłem podniecony owego dnia: uważałem go na przykład za wielkiego człowieka dlatego, że nie zanadto wystraszył się pierwszych strzałów, które usłyszał w życiu. Jest niegłupi, ma nawet lepsze wzięcie od ojca, zawsze będę tego zdania, grunt jest uczciwy i dobry; ale to szczerze młode serce ścisną się, kiedy mu opowiadać o jakimś szelmostwie, i uważa, że trzeba mieć samemu bardzo czarną duszę, aby spostrzegać takie rzeczy — pomyśl, jakie on wychowanie otrzymał!...

— Wasza Ekszelencja powinien być pamiętać, że on kiedyś będzie panował, i przydać mu jakiegoś inteligentnego człowieka.

— Po pierwsze, znamy przykład księdza de Condillac, który powołany przez margrabiego Felino, mego poprzednika, zrobił ze swego wychowanka koronnego gamonia. Chodził na procesje i w roku 1796 nie umiał porozumieć się z generałem Bonaparte, który byłby potroił granice jego państwa. Po wtóre, nie sądziłem nigdy, abym był ministrem dziesięć lat z rządu. Obecnie, kiedy się rozczarowałem do reszty, i to od miesiąca, chcę zebrać milion, zanim zostawię tę budę, którą ocaliłem, jej własnym losom. Gdyby nie ja, Parma byłaby republiką przez dwa miesiące, z poetą Ferrante Palla jako dyktatorem.

Po tych słowach księżna zarumieniła się — hrabia nie wiedział o niczym.

— Stoczmy się w zwyczajną monarchię z osiemnastego wieku: spowiednik i kochanka. W gruncie książę kocha jedynie mineralogię i może ciebie. Odkąd panuje, lokaj jego, którego brata zrobiłem właśnie kapitanem — ma dziewięć miesięcy służby! — ten lokaj, powiadam, wbił mu w głowę, że musi być szczęśliwszy od innych, ponieważ jego facjata znajdzie się wybita na talarach. W ślad za tą mądrą myślą przychodzi nuda.

Obecnie trzeba mu adiutanta jako lekarstwa na nudę. Otóż, choćby mi ofiarowywał ten sławny milion, który jest nam potrzebny, aby wygodnie żyć w Neapolu lub Paryżu, nie chciałbym być jego lekarstwem na nudę i spędzać co dzień kilka godzin z Jego Wysokością. Zresztą, ponieważ jestem inteligentniejszy od niego, po miesiącu miałby mnie za potwora.

Nieboszczyk książę był zły i zawistny, ale bywał na wojnie i dowodził armią, co mu dało pewne obycie; to był władca, a ja mogłem być dobrym albo złym ministrem. Przy tym pocziwym i naprawdę dobrym sygnale muszę być intrygantem. Jestem rywalem lada samicy w zamku, i to z małymi widokami powodzenia, ponieważ wzgardziłem tysiącem koniecznych drobiazgów. Na przykład, trzy dni temu jedna z posługaczek, które każdego ranka zmieniają ręczniki w apartamentach pałacowych, zagubiła księciu klucz od angielskiego biurka; za czym Jego Wysokość odkłada wszystkie sprawy, których akta znajdują się w tym biurku! Można by za dwadzieścia franków kazać oderwać deskę lub użyć wytrycha, ale Ranuce Ernest V oświadczył mi, że to by znaczyło pokazać drogę dworskemu ślusarzowi.

Jak dotąd niepodobna mu było przez trzy dni z rządu chcieć tego samego. Gdyby się urodził prostym margrabią przy majątku, ten młody książę byłby jednym z najszacowniejszych ludzi swego dworu, rodzajem Ludwika XVI; ale w jaki sposób ze swą pobożną naiwnością oprze się przemyślnym zasadzkom, którymi jest otoczony? Toteż salon twojej nieprzyjaciółki, margrabiny Raversi, potężniejszy jest niż kiedykolwiek; odkryto tam, że ja, który kazałem strzelać do ludu, który byłem gotów w razie potrzeby uśmiercić trzy tysiące ludzi raczej niż dać znieważać posąg księcia, który był moim panem, że ja jestem zaciekle liberał, że chcę zaprowadzić konstytucję i tysiąc podobnych niedorzeczności. Tymi gadaniami o republice szaleńcy przeszkodziliby nam cieszyć się najlepszą z monarchii. Słowem, ty jesteś jedyna w obecnym stronnictwie liberalnym (którego wrogowie robią mnie głową), o której książę nie wyraził się dotąd w ujemny sposób; arcybiskup wciąż nieskazitelny, za to, że powiedział rozsądne słowo o tym, co robiłem w *nieszczęsny dzień*, jest w nielase.

Nazajutrz po dniu, który nie nazywał się jeszcze *nieszczęsnym*, kiedy było jeszcze prawdą, że bunt istniał, książę powiedział arcybiskupowi, że zrobi mnie diukiem, iżbyś wychodząc za mnie nie poniosła uszczerbku na tytule. Dziś sądzę, że to Rassi, uszlachcony przeze mnie wówczas, gdy mi sprzedawał sekrety nieboszczyka księcia, zostanie hrabią. Wobec takiego awansu ja odegram głupią rolę.

— I biedny książę wpakuje się w błoto.

— Bez wątpienia; ale w gruncie on jest *panem*, która to właściwość w niecałe dwa tygodnie usuwa *śmieszność*. Tak więc, droga księżno, zróbmy jak w triktraku: *spasujmy*.

Rewolucja, Polityka



— Ale będziemy bardzo niebogaci.

— W gruncie ani ty, ani ja nie potrzebujemy zbytku. Jeśli dasz mi w Neapolu miejsce w łożu w „San Carlo” i konia, będę aż nadto szczęśliwy; trochę więcej czy mniej zbytku to nie jest rzecz, która mnie lub tobie da odpowiednią pozycję; da ją nam przyjemność, jaką wybitni ludzie znajdą może w tym, aby zająć do nas na filiżankę herbaty.

— Ale — podjęła księżna — cóż byłoby się stało w ów *nieszczęsny dzień*, gdybyś się był trzymał na uboczu, jak, mam nadzieję, będziesz czynił na przyszłość?

— Wojsko zbratałoby się z ludem, nastąpiłyby trzy dni rzezi i pożaru (bo trzeba jeszcze stu lat, aby republika w tym kraju nie była szaleństwem), potem dwa tygodnie grabieży, póki dwa lub trzy pułki, wysłane przez zagranicę, nie przysłyby robić porządku. Ferrante Palla był wśród ludu odważny i szalony jak zwykle; miał z pewnością tuzin przyjaciół, którzy działali w porozumieniu z nim, z czego Rassi uczyni wspaniałe sprzysiężenie... Tyle jest pewne, iż mając na sobie ubranie niewiarygodnie obdarte, rozdawał złoto garściami.

Pani Sanseverina, olśniona tymi nowinami, poszła co żywo podziękować księżnej-matce.

W chwili gdy weszła na komnaty, frejlina dworu wręczyła jej złoty klucz, który się nosi na pasku, a który jest znakiem najwyższej władzy w części zamku należącej do księżnej. Klara Paulina oddała wszystkich pośpiesznie, znalazłszy się sam na sam z przyjaciółką, jakiś czas mówiła jedynie ogólnikami. Pani Sanseverina nie bardzo wiedziała, co to znaczy, i odpowiadała bardzo wstrzemięźliwie. Wreszcie księżna-matka załapała się łzami i, rzucając się w ramiona przyjaciółki, wykrzyknęła:

— Wrócili czasy mego nieszczęścia; syn będzie dla mnie jeszcze gorszy niż ojciec!

— Przeszkodzę temu — odparła żywo pani Sanseverina. — Ale przede wszystkim proszę — ciągnęła — aby Wasza Najdostojniejsza Wysokość raczyła przyjąć hołd całej mojej wdzięczności i mego głębokiego szacunku.

— Co ty chcesz powiedzieć? — wykrzyknęła księżna-matka, pełna niepokoju i lekająca się jej dymisji.

— Za każdym razem, kiedy Wasza Najdostojniejsza Wysokość pozwoli mi obrócić na prawo drżącą główkę tego oto magota<sup>74</sup>, który stoi na kominku, pozwoli mi także nazwać rzeczy ich właściwym mianem.

— Czy tylko to, droga księżno? — wykrzyknęła Klara Paulina, wstając i biegnąc sama, aby nadać magotowi właściwą pozycję — mów tedy zupełnie swobodnie, moja wielka ochmistrzyni — rzekła przymilnym głosem.

— Wasza Wysokość doskonale zrozumiała położenie. Grozi nam obu, pani i mnie, największe niebezpieczeństwo. Wyrok na Fabrycego nie jest odwołany; w tym samym dniu, w którym zechcą się mnie pozbyć, a panią znieważyc, wtrąca go z powrotem do więzienia. Nasze położenie gorsze jest niż kiedykolwiek. Co się tyczy mnie osobiście, wychodzę za hrabiego! Osiedlimy się w Neapolu lub w Parmie. Ostatnia niewdzięczność, jakiej hrabia padł ofiarą, w zupełności zbrzydziła mu politykę; ja zaś — poza tym, czego wymagałoby dobro Waszej Wysokości — nie radziłabym mu tkwić w tym bagnie, chyba żeby mu książę dał ogromną sumę. Poproszę Waszej Wysokości o pozwolenie wytłumaczenia jej, że hrabia, który miał sto trzydzieści tysięcy, obejmując urządowanie, posiada dziś zaledwie dwadzieścia tysięcy renty. Próżno nalegałam nań od dawna, aby myślał o sobie. Podczas mojej nieobecności wytoczył sprawę generalnym dzierżawcom księcia, którzy byli złodziejami; hrabia zastąpił ich innymi złodziejami, którzy mu dali osiemset tysięcy franków.

— Jak to! — wykrzyknęła księżna, zdumiona — mój Boże, jakież to okropne!

— Wasza Wysokość — odparła pani Sanseverina z najzimniejszą krwią — czy przekręcić magota na lewo?

— Mój Boże, nie! — wykrzyknęła księżna. — Ale przykro mi, że człowiek taki jak hrabia zniżył się do tego rodzaju zysków.

— Bez tej kradzieży byłby przedmiotem wzdargi wszystkich uczciwych ludzi.

— Wielki Boże! czy to możliwe?

<sup>74</sup>magot — tu: figurynka przedstawiająca siedzącego grubasa; moda na nie pochodziła z zainteresowania częstymi w sztuce chińskiej posążkami Śmiejącego się Buddy, bóstwa Zadowolenia. [przypis edytorski]

— Pani — odparła pani Sanseverina — z wyjątkiem mego przyjaciela, margrabiego Crescenzi, który ma trzysta lub czterysta tysięcy franków renty, wszyscy tu kradną: i jak nie kraść w kraju, gdzie wdzięczność za najdonioślejsze usługi nie trwa ani miesiąca? Czymś realnym, czymś, co przeżywa nielaskę, jest tylko pieniądz. Pozwolę sobie, pani, mówić straszliwe prawdy.

— Pozwalam ci i ja — rzekła księżna z głębokim westchnieniem — mimo to, są mi one niezmiernie przykre.

— Otóż, pani, twój syn, bardzo porządny człowiek, może cię uczynić o wiele nieszczęśliwszą niż jego ojciec. Nieboszczyk książe miał usposobienie mniej więcej takie jak wszyscy; nasz obecny pan nie jest nigdy pewny, że będzie czegoś chciał przez trzy dni z rządu; tym samym, aby go być zupełnie pewnym, trzeba ustawicznie żyć w jego pobliżu i nie pozwolić mu mówić z nikim. Ponieważ tę prawdę nietrudno jest przejrzeć, nowa partia *reakcji*, kierowana przez dwie tęgie głowy: Rassiego i margrabinę Raversi, postara się dać księciu kochankę. Kochanka ta będzie miała wolną rękę w robieniu majątku i rozdawaniu podrzędnych posad; ale będzie odpowiadała przed stronnictwem za usposobienie swego pana.

Abym się czuła pewna na dworze Waszej Wysokości, trzeba by, aby Rassi był wygnany i okryty hańbą; chcę, co więcej, aby sprawę Fabrycego oddano najuczciwszym sędziom, jakich się uda znaleźć; jeżeli ci panowie uznają, jak mam nadzieję, że jest niewinny, naturalną rzeczą będzie użyczyć arcybiskupowi tego, by Fabrycy został jego koadiutorem z prawem następstwa. Jeżeli mi się to nie uda, oboje z hrabią wycofamy się; wówczas, odjeżdżając, zostawię tę radę Waszej Najdostojniejszej Wysokości: nie powinna Wasza Wysokość nigdy przebaczyć Rassiemu i również nigdy nie opuszczać granic państwa. Z bliska ten dobry syn nie zrobi pani szczególnej krzywdy.

— Wysłuchałam z całą uwagą twoich wywodów — odparła księżna z uśmiechem — trzebaż tedy będzie, abym się ja starała o kochankę dla mego syna?

— Nie, pani, ale niech Wasza Wysokość się postara, aby jej salon był jedynym, gdzie się bawią.

Rozmowa ciągnęła się bardzo długo w tym sensie; huski spadały z oczu nieświadomej, a sprytniej księżnej.

Kurier pani Sanseverina doniósł Fabrycemu, że może wrócić do miasta, ale ukradkiem. Zaledwie go zauważono; krył się w mieście przebrany za chłopą, w drewnianej budwie sprzedawcy kasztanów mieszczącej się na wprost cytadeli na promenadzie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Pani Sanseverina zorganizowała świetne wieczory w zamku, który nigdy nie oglądał tyle wesołości, nigdy nie była miłsza niż tej zimy, a mimo to żyła w największym niebezpieczeństwie; ale też w owej krytycznej porze nie zdarzyło się jej ani razu pomyśleć z bólem o dziwnej odmianie Fabrycego. Młody książe przybywał bardzo wcześnie na miłe wieczory matki, która powtarzała mu ciągle:

— Idź rządzić, Wasza Wysokość, założę się, że na biurku ze dwadzieścia raportów czeka na decyzję. Nie chcę, aby Europa obwiniła mnie, że zrobiłam z syna próżniaka, aby panować w jego miejsce.

Przestrogi te miały tę wadę, że się pojawiały w najmniej odpowiedniej chwili; to znaczy, kiedy Jego Wysokość, przewyciężywszy nieśmiałość, brał udział w jakiej ożywionej grze towarzyskiej. Dwa razy w tygodniu urządzano majówki, do których pod pozorem zdobywania nowemu władcy miłości ludu księżna-matka dopuszczała najpiękniejsze kobiety z mieszczaństwa. Pani Sanseverina, która była duszą tego wesołego dworu, miała nadzieję, że piękne mieszczańki, które wszystkie patrzyły ze śmiertelną zawiścią na karierę Rassiego, opowiedzą księciu niezliczone łajdactwa tego ministra. Między innymi dzieciństwami książe chciał mieć ministerium *moralne*.

Rassi miał zbyt wiele rozumu, aby nie czuć, jak bardzo te świetne wieczory na dworze księżnej-matki, organizowane przez jego nieprzyjaciółkę, są dlań niebezpieczne. Nie chciał oddać hrabiemu Mosca zupełnie legalnego wyroku na Fabrycego; trzeba było tedy, aby jedno z dwojga albo on, albo pani Sanseverina — znikło ze dworu.

W dniu owych zamieszek ulicznych, którym obecnie przeczyć należało do dobrego tonu, ktoś rozdawał ludowi pieniądze. Rassi wziął to za punkt wyjścia: jeszcze gorzej ubrany niż zazwyczaj, zachodził do najędźniejszych domów w mieście i spędzał godziny całe na rozmowach z biedakami. Tyle trudów uzyskało nagrodę: po dwóch tygodniach takiego trybu życia zyskał pewność, że Ferrante Palla był tajną głową powstania, i co więcej, że ten człowiek, biedny całe życie jak wielki poeta, sprzedał niedawno w Genui osiem czy dziesięć diamentów.

Cytowano, między innymi, pięć drogich kamieni, które warte były w istocie więcej niż czterdzieści tysięcy, a które *na dziesięć dni przed śmiercią księcia* oddano za trzydzieści pięć tysięcy, a to — jak powiadano — *z potrzeby*.

Jak odmalować radość ministra sprawiedliwości po tym odkryciu? Spostrzegł, że codziennie ośmieszano go coraz bardziej na dworze księżnej-matki; nieraz księżę, rozmawiając z nim w sprawach państwowych, parskał mu w nos śmiechem z całą nieopatrznością młodości. Trzeba przyznać, że Rassi miał narowy osobliwie plebejskie; na przykład, kiedy się zapalał w rozmowie, zakładał nogę na nogę i brał trzewik do ręki; w miarę zainteresowania rozkładał na nodze czerwoną bawełnianą chustkę etc. Księżę serdecznie się śmiał z konceptu jednej z najładniejszych pań z mieszczaństwa, która wiedząc zresztą, że ma bardzo zgrabną nogę, zaczęła przedrzeźniać wykwintny gest ministra sprawiedliwości.

Rassi zażądał nadzwyczajnego posłuchania u księcia i rzekł:

— Czy Wasza Wysokość zechciałby dać sto tysięcy franków, aby wiedzieć ściśle, jaką śmiercią umarł jego dostojny ojciec? Za tę sumę policja podjęłaby się zarazem ująć winnych, o ile są winni.

Odpowiedź księcia nie mogła być wątpliwa.

W jakiś czas potem Chekina ostrzegła księżnę, iż ofiarowano jej wielką sumę za to, aby pozwoliła zbadać jubilerowi diamenty swej pani; oczywiście odmówiła z oburzeniem. Księżna zganiała tę odmowę; w tydzień później Chekina ofiarowała się pokazać diamenty. W dniu umówionym w tym celu hrabia Mosca umieścił po dwóch pewnych ludzi opodal każdego jubilera w Parmie i koło północy przyszedł powiedzieć pani Sanseverina, że ciekawym jubilerem jest nie kto inny, tylko brat Rassiego. Księżna była tego wieczora bardzo wesoła: grano w pałacu komedię *dell'arte*, to znaczy taką, w której każda osoba wymyśla dialog na poczekaniu, a jedynie plan komedii wywieszony jest w kulisach. Księżna, która grała główną rolę, miała za kochankę w sztuce hrabiego Baldi, eks-przyjaciela margrabiny Raversi, która była obecna. Księżę Ernest, najbardziej nieśmiały człowiek w swoim państwie, ale ładny chłopiec i obdarzony gorącym sercem, wystudiował rolę hrabiego Baldi i chciał ją grać na drugim przedstawieniu.

— Mam mało czasu — rzekła pani Sanseverina do hrabiego Mosca — gram w pierwszej scenie drugiego aktu; przejdźmy do sali gwardyjskiej.

Tam pośród dwudziestu gwardzistów, bacznych na słowa ministra i ochmistrzyni, księżna rzekła, śmiejąc się, do przyjaciela:

— Łaje mnie pan zawsze, kiedy zdradzam tajemnice bez potrzeby. Mnie zawdzięcza Ernest V wstąpienie na tron; chodziło o to, aby pomścić Fabrycego, którego kochałam o wiele więcej niż dziś, mimo iż zawsze bardzo niewinnie. Wiem, że ty nie bardzo wierzysz w tę niewinność, ale mniejsza, skoro mnie kochasz mimo moich zbrodni. Oto moja prawdziwa zbrodnia: oddałam wszystkie swoje diamenty bardzo interesującemu szaleńcowi, zwanemu Ferrante Palla, uściskałam go nawet, aby zglądził człowieka, który chciał otruć Fabrycego. Gdzież w tym co złego?

— A oto więc skąd Ferrante wziął pieniądze na swoje rozruchy! — rzekł hrabia, zdumiony. — I pani mi opowiada to wszystko w sali gwardyjskiej?

— Bo mi się śpieszy, a Rassi jest właśnie na tropie zbrodni. Faktem jest, że nigdy nie mówiłam o powstaniu, nienawidzę jakobinów. Zastanów się nad tym; powiesz mi swoje zdanie po komedii.

— Powiem ci zaraz, że trzeba rozkochać w sobie księcia... Ale, rozumie się, do uczciwych granic, pamiętaj!

Zawołano księżnę na scenę, pobiegła pędem.

W kilka dni potem pani Sanseverina otrzymała pocztą niezdarny list podpisany nazwiskiem jej dawnej pokojówki; kobieta ta prosiła o umieszczenie jej przy dworze, ale

księżna poznała od pierwszego rzutu oka, że to nie jest jej pismo ani styl. Odwracając kartkę, aby przeczytać drugą stronę, księżna ujrzała, iż upadł jej do stóp cudowny obrazek Madonny, zawinięty w kartkę wydartą ze starej książki. Rzuciwszy okiem na obrazek, księżna odczytała kilka wierszy drukowanej stronicy. Oczy jej zabłysły na widok tych słów:

Trybun brał sto franków na miesiąc, nie więcej; resztą chciał ożywić święty ogień w duszach zmrożonych egoizmem. Lis jest na moim tropie i oto czemu nie starałem się widzieć ostatnim razem ubóstwianej istoty. Powiadałem sobie: „Ona nie lubi republiki, ona, która przewyższa mnie rozumem, zarówno jak wdziękami i urodą. Zresztą jak stworzyć republikę bez republikanów? Czyżbym się mylił? Za pół roku przebiegnę z mikroskopem w rękę i pieszo małe miściny w Ameryce i zobaczę, czy mam jeszcze kochać jedyną rywalkę, jaką pani posiada w moim sercu. Jeśli pani otrzyma ten list, pani baronowo, i jeśli żadne niepowołane oko nie czytało go przed panią, niech pani każe złamać młody jesion zasadzony o dwadzieścia kroków od miejsca, gdzie ośmieliłem się przemówić do pani pierwszy raz. Wówczas każe zagrzebać pod wielkim bukszpanem w ogrodzie, który pani zauważyła raz w czasie moich szczęśliwych dni, skrzynkę, gdzie znajdują się te rzeczy, które ściągają potwarze na głowę ludzi z moimi przekonaniem. Z pewnością nie pozwoliłbym sobie pisać, gdyby lis nie był na moim tropie i gdyby nie mógł dotrzeć do tej niebiańskiej istoty. Zbadać bukszpan za dwa tygodnie.

„Skoro ma drukarnię do rozporządzenia — powiadała sobie księżna wkrótce będziemy mieli zbiorek sonetów. Bóg wie, co on mi tam za imiona nada.”

Zalotność księżnej kazała jej uczynić próbę; przez tydzień była cierpiąca i dwór nie miał przemiłych wieczorów. Księżna-matka, zawstydzona wszystkim, co strach przed synem kazał jej uczynić w pierwszych dniach wdowieństwa, postanowiła spędzić ten dzień w klasztorze przy kościele, gdzie pochowano nieboszczyka męża. Ta przerwa w wieczorach przygniotła księcia olbrzymią sumą wolnego czasu i zadała potężny cios wpływom ministra sprawiedliwości. Ernest V zrozumiał nudę, jaka mu grozi, w razie gdyby pani Sanseverina opuściła dwór lub bodaj przestała napępiać go radością. Wieczory zaczęły się na nowo i książę objawiał coraz większe zainteresowanie komediami *dell'arte*. Miał ochotę zagrać, ale nie śmiał przyznać się do tej ambicji. Jednego dnia, rumieniąc się mocno, rzekł do pani Sanseverina:

— Czemu i ja nie miałbym grać?

— Jesteśmy tu wszyscy na rozkazy Waszej Wysokości; jeśli Wasza Wysokość raczy mi rozkazać, polecę ułożyć plan komedii, w której najświetniejsze sceny przypadną Waszej Wysokości ze mną. Że zaś przez pierwsze dwa dni wszyscy są nieco niepewni, jeśli książę raczy mi się przyglądać z niejaką uwagą, pozwolę sobie poddawać mu odpowiedzi.

Wszystko ułożono bardzo zręcznie. Książę, bardzo nieśmiały, wstydził się swej nieśmiałości; trudy, jakie zadała sobie pani Sanseverina, aby mu oszczędzić tych męczarni, zrobiły głębokie wrażenie na młodym monarsze.

W dzień pierwszego występu przedstawienie zaczęło się o pół godziny wcześniej niż zwykle; w tej chwili znajdowało się w salonie jedynie osiem lub dziesięć starszych pań. Te fizjonomie nie onieśmiały księcia; zresztą damy owe, wychowane w Monachium w prawdziwych zasadach monarchistycznych, oklaskiwały wszystko. Czyniąc użytek ze swej władzy jako ochmistryni, pani Sanseverina zamknęła na klucz drzwi, którymi ciżba dworska wchodziła na widowisko. Książę, który miał zmysł *literacki* i był ładnym chłopcem, wywiązał się dobrze z pierwszych scen; bardzo sprytnie powtarzał zdania, które czytał w oczach księżnej lub które mu poddawała. Gdy nieliczni słuchacze oklaskiwali ze wszystkich sił, pani Sanseverina dała znak, otwarto główne wejście i widownia zappełniła się w jednej chwili wszystkimi pięknosciami dworu, które widząc urocą i zadowoloną fizjonomię księcia, zaczęły klaskać; książę zaczerwienił się ze szczęścia. Grał rolę zakochanego w pani Sanseverina. Nie tylko nie potrzebowała mu poddawać słów, ale niebawem musiała skracać sceny; mówił o swej miłości z zapalem, który często wprawiał aktorkę w zakłopotanie; odpowiedzi jego trwały po pięć minut. Pani Sanseverina nie była już ową olśniewającą pięknoscą z zeszłego roku — więzienie Fabrycego, a więcej jeszcze pobyt

z Fabrycym, chmurnym i milczącym, nad Lago Maggiore przydały dziesięć lat pięknej Ginie. Rysy jej zaostrzyły się, miały więcej duszy, a mniej młodości.

Ale mimo że fizjonomia jej rzadko już odnajdywała dawną młodzieńczą wesołość, na scenie, przy pomocy różu i środków aktorskich Gina była jeszcze najładniejszą kobietą na dworze. Namiętne tyrady księcia obudziły czujność dworaków; powiedzieli sobie: „Oto pani Balbi lego nowego panowania.” Hrabia burzył się w duchu. Po ukończeniu sztuki pani Sanseverina rzekła do księcia wobec całego dworu:

— Wasza Wysokość gra za dobrze; powiedzą, że ksiązę jest zakochany w trzydziestoosmioletniej kobiecie, co zepsuje moje małżeństwo z hrabią. Nie będę już grywała z Waszą Wysokością, chyba że mi ksiązę przyrzeknie, że będzie się zwracał do mnie tak, jakby to czynił wobec kobiety w pewnym wieku, margrabiny Raversi na przykład.

Powtórzono trzy razy tę samą sztukę; ksiązę oszalał ze szczęścia. Ale pewnego wieczora wydał się wielce zachmurzony.

— Albo się bardzo myślę — rzekła ochmistrzyni do księżnej-matki — albo Rassi stara się nam wyplatać figła; radzę Waszej Wysokości naznaczyć przedstawienie na jutro; ksiązę będzie źle grał i w swojej rozpaczycy wygada się może przed panią.

Ksiązę grał w istocie bardzo źle; ledwie go było słyhać, nie umiał wybrnąć z żadnego zdania. Z końcem pierwszego aktu miał prawie łzy w oczach; pani Sanseverina trzymała się w pobliżu, ale zimna i nieruchoma. Znalazłszy się z nią na chwilę w garderobie artystów, ksiązę zamknął drzwi.

— Za nic — rzekł — nie potrafię odegrać drugiego i trzeciego aktu; nie chcę, aby mnie oklaskiwano przez grzeczność; oklaski, jakimi mnie darzono dziś wieczór, brzydziły mnie. Niech mi pani poradzi, co czynić?

— Wyjdę na scenę, złożę głęboki ukłon Jej Wysokości, drugi publiczności, jak prawdziwy dyrektor teatru, i powiem, że aktor grający *Lelia*<sup>75</sup> zasnął nagle, wobec czego widowisko zakończy się paroma utworami muzycznymi. Hrabia Rusca i mała Ghisolfi będą uszczęśliwieni, mogąc przed tym świetnym zgromadzeniem popisać się swymi nikłymi głosikami.

Ksiązę ujął rękę pani Sanseverina i ucałował ją z zapalem.

— Czemu pani nie jest mężczyzną — rzekł — dałabyś mi dobrą radę. Rassi złożył mi na biurku sto osiemdziesiąt dwa zeznania przeciw rzekomym mordercom ojca. Prócz zeznań jest akt oskarżenia na więcej niż dwieście stron, trzeba mi przeczytać to wszystko, a co więcej, dałem słowo, że nie powiem hrabiemu. To wiedzie prostą drogą do egzekucji; już chce, abym kazał porwać we Francji, blisko Antibes, Ferrante Palla, tego wielkiego poetę, którego tak podziwiam. Mieszka tam jako Poncet.

— W dniu, w którym Wasza Wysokość każe powiesić liberała, Rassi będzie przywiązany do ministerium żelaznymi łańcuchami i tego pragnie za każdą cenę; ale Wasza Wysokość nie będzie mógł już oznajmić przejażdżki na dwie godziny z góry. Nie wspomnę ani księżnej-matce, ani hrabiemu o krzyku bóleści, jaki się wydarł księciu; ale ponieważ wedle przysięgi nie wolno mi mieć wobec mej pani żadnej tajemnicy, byłabym szczęśliwa, gdyby ksiązę zechciał powiedzieć swojej matce to samo, co mu się wymknęło w rozmowie ze mną.

Ta myśl rozproszyła cierpienie aktora po *klapie*, która gnębiła księcia.

— Niech pani zatem uprzedzi matkę, idę do jej gabinetu.

Ksiązę opuścił kulisy, przeszedł do bocznej sali, odprawił szorstko ochmistrza i adiutanta, którzy szli za nim. Księżna-matka opuściła szybko salę; skoro przybyła do gabinetu, ochmistrzyni złożyła głęboki ukłon matce i synowi i zostawiła ich samych. Można sobie wyobrazić poruszenie dworu; takie rzeczy stanowią jego urok i zabawę. Po godzinie sam ksiązę ukazał się we drzwiach i zawołał ochmistrzynię; księżna-matka była we łzach; syn miał fizjonomię zupełnie zmienioną.

„Ot, słabi ludzie — powiedziała sobie ochmistrzyni — są w złym humorze i szukają pozoru, aby się pogniewać na kogoś.”

Najpierw matka i syn sprzeczali się o to, kto ma opowiedzieć szczegóły pani Sanseverina, która w odpowiedziach swoich strzegła się, aby nie wyrazić żadnego zdania. Przez dwie śmiertelne godziny aktorzy tej nudnej sceny nie wyszli z swoich ról. Ksiązę poszedł

<sup>75</sup>*Lelio* — postać z komedii włoskiej, typ zakochanego. [przypis redakcyjny]

sam po dwie olbrzymie teki, które Rassi złożył na jego biurku; wychodząc od matki zastał cały dwór, który go oczekiwał.

— Idźcie stąd, zostawcie mnie w spokoju! — wykrzyknął niegrzecznym tonem, którego nigdy u niego nie słyszano.

Książe nie chciał, aby go widziano niosącego teki; monarcha nie powinien nic nosić. Dwór rozproszył się w mgnieniu oka. Wracając, książę spostrzegł już tylko lokajów, którzy gasili świece; odprowadził ich z wściekłością, zarówno jak biednego Fontanę, służbowego adiutanta, który był na tyle niezręczny, iż przez gorliwość został.

— Wszyscy siłą się niecierpliwić mnie dziś wieczór — rzekł ze złością do pani Sanseverina, wracając do gabinetu.

Przypisywał jej wiele rozumu i wściekły był, że wzbrania się wyrazić swoje zdanie. Ona znowuż uparła się nie powiedzieć nic, póki jej nie spytają *wyrażnie*. Upłynęło dobre pół godziny, zanim książę, który miał poczucie godności, zdecydował się powiedzieć:

— Ależ czemu pani nic nie mówi?

— Jestem tu, aby służyć swojej pani i zapominać bardzo szybko to, co się mówi przy mnie.

— A więc — rzekł książę, rumieniąc się mocno — nakazuję pani wyrazić swoje zdanie.

— Karze się zbrodnie po to, aby się nie powtarzały. Otruto nieboszczyka księcia? To bardzo wątpliwe; otruli go jakobini? Tego właśnie Rassi pragnie dowieść, gdyż wówczas staje się dla Waszej Wysokości na zawsze nieodzownym narzędziem. W takim razie Wasza Wysokość, który zaczyna panowanie, może się spodziewać wielu wieczorów takich jak dzisiejszy. Poddani mówią powszechnie, co jest rzetelną prawdą, że książę ma dobry charakter; dopóki książę nie każe powiesić jakiego liberała, będzie się cieszył tą reputacją i z pewnością nikomu nie przyjdzie do głowy zadać mu truciznę.

— Wniosek pani jest jasny! — wykrzyknęła księżna, podrażniona — nie chce pani, aby skarano morderców mego męża.

— Widocznie łączą mnie z nimi węzły tkliwej przyjaźni.

Pani Sanseverina czytała w oczach księcia, iż przypuszcza, że ona jest w zмовie z matką, aby mu narzucić plan postępowania. Nastąpiła między dwiema kobietami dość gwałtowna wymiana cierpkich odpowiedzi, w następstwie których ochmistrzyni oświadczyła, że nie powie już ani słowa, i dotrzymała swojego przyrzeczenia, ale książę, po długiej dyskusji z matką, kazał jej znowu powiedzieć swoje zdanie.

— Przysięgam Waszym Wysokościom, że tego nie uczynię.

— Ależ to istne dzieciństwo! — wykrzyknął książę.

— Proszę, niech pani mówi — rzekła księżna-matka z godnością.

— Błagam panią o zwolnienie mnie od tego; ale wszak Wasza Wysokość — dodała pani Sanseverina, zwracając się do księcia — czyta doskonale po francusku; aby uspokoić nasze wzburzone umysły, czy zechciałby nam przeczytać bajkę Lafontaine'a?

Księżnej-matce wydało się owo *nam* bardzo nieprzyzwoite, ale przybrała minę zdziwioną i rozbawioną zarazem, kiedy wielka ochmistrzyni, która z najzimniejszą krwią otworzyła szafę biblioteczną, wróciła z tomem *Bajek Lafontaine'a*, przerzucała go chwilę, po czym rzekła do księcia, podając mu książkę:

— Błagam Waszą Wysokość o przeczytanie całej bajki.

OGRODNIK I JEGO PAN<sup>76</sup>

Jakiś niby z waszecia objął kiedyś w spadku  
Wiejską zagrodę, pole i ogród w dodatku;  
Skromny sad kmięcy; lecz mu się zdawało,  
Że to ogród, jakich mało:  
Więc żywopłotem otoczył go wszędy,  
Warzywa zasadził w grzędę,  
Szczepił jabłonie i gruszki.

.....

Wtem licho wniosło zająca,  
Wkradł się między zagony

<sup>76</sup>OGRODNIK I JEGO PAN — Przekład Władysława Noskowskiego. [przypis tłumacza]

Gość nieproszony,  
Młode listki skubał z rzepy,  
Zjadał sałatę, kapustę,  
Z kory poogryzał szczepy  
I wszelką czynił rozpustę.  
Tropił ogrodnik i ścigał natręta;  
Lecz gdy mu wreszcie konceptu nie stało,  
Przed jaśnie pana rzecz wytoczył całą.  
„Ten rabuś — rzecz — ta bestia przeklęta,  
Już mi kością w gardle stoi;  
Jak wąż umyka spod kija,  
Wszystkie zasadzki omija  
I kamienia się nie boi:  
Istny diabeł, nie zajac. — „Skończą się te psoty —  
Odrzekł jaśnie pan łaskawie.  
Diabeł nie diabeł, ja mu łaźnię sprawię.  
Niech no mój Dorskocz weźmie go w obroty,  
Zje szarak lichy, jeśli się wywinie.  
Jutro ciebie nawiedzę, zrobim polowanie  
I kot, co tyle zbroił, tobie się dostanie.  
Jakoż przybył nazajutrz w porannej godzinie,  
Za nim sług cała zgraja, dojeżdżacze, charty.  
„Trzeba coś zjeść — pan rzecz — głodnym nie na żarty.  
Zajac może poczekać. Wszakże masz kurczęta?  
A o koniach i ludziach też niech waść pamięta.

.....  
Dano wreszcie śniadanie: pan za trzech zajada.  
Pije zdrowie Małgosi, ojca jegomości,  
A na dziedzińcu hula służalców gromada.  
Chrupią owies rumaki, charty gryzą kości  
„Na koń! — pan krzyknął; i myśliwców rzesza  
Z wraskiem i śmiechem do sadu pośpiesza.  
Hejże za kotem tędy i owędy:  
Tratują krzewy i grzędy.

.....  
...Ogrodnik został sam wśród sadu  
I łamiąc ręce oblicza swe straty:  
Przepadły grzędy warzyw i sałaty.  
Dyń, ogórków ani śladu;  
Złamane drzewka, żywopłot wycięty.  
Słowem, straszliwe pustkowie.  
Więc rzekł, boleścią przejęty:  
„Ot, jak się bawią panowie!  
W jedną godziną zniszczyli mnie więcej  
Niżeli tysiąc zajęcy.”  
Z równymi sobie jeżeli masz zwadę,  
Własnym rozumem zwalczaj przeciwnika,  
Bo gdy mocniejszych poprosisz o radę,  
Czeka cię los ogrodnika.

Po tej lekturze zapadło głębokie milczenie. Księżę przechadzał się po gabinecie, odniósłszy sam książkę na swoje miejsce.

— I cóż, pani — rzekła księżna-matka — czy raczy pani przemówić?

— Nie, pani, z pewnością nie, dopóki Wasza Wysokość nie zamianuje mnie ministrem; gdybym się odezwała, groziłaby mi utrata stanowiska ochmistrzyni.

Nowe milczenie przez dobry kwadrans; wreszcie księżna-matka przypomniała sobie rolę, jaką odegrała niegdyś Maria Medycejska<sup>77</sup>, matka Ludwika XIII; przez kilka poprzedzających dni ochmistrzyni kazała lektorce czytywać doskonałą *Historię Ludwika XIII* pióra pana Bazin<sup>78</sup>. Księżna-matka, mimo że bardzo dotknięta, pomyślała, że pani Sanseverina mogłaby łatwo opuścić Parmę i że wówczas Rassi, przed którym czuła straszny lęk, zechciałby się zabawić w Richelieugo<sup>79</sup> i kazałby ją synowi wygnąć<sup>80</sup>. W tej chwili księżna dałaby wszystko, aby upokorzyć swoją ochmistrzynię, ale nie mogła. Wstała, podeszła z uśmiechem, nieco wymuszonym, ujęła panią Sanseverina za rękę i rzekła:

— No, proszę, dowiedz mi swojej przyjaźni i mów.

— Zatem dwa słowa tylko: spalić w tym oto kominku wszystkie papiery zebrane przez tę żmiję Rassiego i nigdy mu się nie przyznać, że je spalono. Dodała bardzo cicho i poufnie do ucha swej pani: — Z Rassiego może wyrosnąć Richelieu.

— Ależ, u diaska, te papiery kosztują mnie przeszło osiemdziesiąt tysięcy franków! — wykrzyknął książę ze złością.

— Wasza Wysokość — odparła pani Sanseverina z siłą — oto co kosztuje używać zbrodniarzy bez urodzenia. Dałby Bóg, abyś książę mógł stracić milion, a nigdy nie używać ucha łajdakom, którzy nie dali twemu ojcu spać przez sześć ostatnich lat jego panowania.

Słowo *bez urodzenia* spodobało się nadzwyczaj księżnej-matce, która uważała, że hrabia i jego przyjaciółka mają zanadto wyłączny kult dla rozumu, zawsze spokrewnionego z jakobinizmem.

W krótkiej chwili głębokiego milczenia, wypełnionego dumanie księżnej-matki, zegar zamkowy wybił trzecią. Księżna wstała, złożyła głęboki ukłon synowi i rzekła:

— Zdrowie moje nie pozwala mi przeciągać dyskusji. Nigdy ministra *bez urodzenia!* Nie wybijesz mi z głowy, że twój Rassi przywłaszczył sobie połowę pieniędzy, które wydłubił na szpiegów. — Księżna wyjęła dwie świece ze świecznika i umieściła je w kominku tak, aby nie zgasły; po czym, zbliżając się do syna, rzekła: — Bajka Lafontaine’a przeważa w mym umyśle słuszną chęć pomszczenia małżonka. Czy Wasza Wysokość pozwoli mi spalić te *gryzmoły*?

Książę stał nieruchomy.

„Cóż za głupia fizjonomia — pomyślała pani Sanseverina — hrabia ma rację; nieboszczyk jego ojciec nie kazałby nam czekać do trzeciej rano, aż coś postanowi.”

Księżna, wciąż stojąc, dodała:

— Ten kauzyperda<sup>81</sup> byłby bardzo dumny, gdyby wiedział, że jego szpargały, pełne kłamstw i przyrządzone z myślą o własnym awansie, przyprawiły o bezsenną noc dwie największe osobistości w państwie.

Książę rzucił się jak wściekły na tekę i wyspał jej zawartość do kominka. Masa papierówomal nie zgasła świec, pokój napełnił się dymem. Księżna ujrzała w oczach syna, że ma pokusę chwycić karafkę i ocalić papiery, które go kosztowały osiemdziesiąt tysięcy franków.

— Otwórzże okno! — krzyknęła ze złością na ochmistrzynię. Pani Sanseverina czym prędzej posłuchała; natychmiast papiery buchnęły płomieniem, rozległ się wielki trzask i niebawem jasne było, że się kominek zajął.

Książę był człowiekiem małostkowym we wszystkim, co tyczyło pieniędzy; zdawało mu się, że widzi w płomieniach swój pałac i że wszystkie bogactwa, które zawiera, przepadły; pobiegł do okna i krzyknął zmienionym głosem na strażę. Na głos pana żołnierze tłumnie nadbiegli w dziedziniec; książę wrócił do kominka, który ciągnął powietrze z otwartego okna z trzaskiem istotnie przerażającym; zniecierpliwził się, zaklął, przeszedł się po gabinecie jak człowiek wyprowadzony z równowagi, wreszcie wybiegł pędem.

<sup>77</sup>Maria Medycejska (1573–1642) — żona Henryka IV, królowa Francji. [przypis redakcyjny]

<sup>78</sup>Anais de Rancou Bazin (1797–1850) — historyk francuski. [przypis redakcyjny]

<sup>79</sup>Armand du Plessis Richelieu (1585–1642) — książę, kardynał francuski, pierwszy minister Ludwika XIII. Przyczynił się do wygnania z kraju intrygującej przeciw niemu Marii Medycejskiej. [przypis redakcyjny]

<sup>80</sup>zechciałby się zabawić w Richelieugo i kazałby ją synowi wygnąć — Maria Medycejska, której kardynał Richelieu zawdzięczał swoje wyniesienie, intrygowała później przeciwko wszechwładnemu ministrowi, lecz pokonana musiała opuścić Francję i zmarła na wygnaniu. [przypis tłumacza]

<sup>81</sup>kauzyperda (daw. pogard., z łac. *causa*: sprawa i *perdere*: tracić, przegrywać) — lichy prawnik. [przypis edytorski]



Księżna-matka i jej ochmistrzyni zostały naprzeciw siebie, stojąc w głębokim milczeniu.

„Czy gniew wróci jeszcze? — powiadała sobie pani Sanseverina — ale ba! mój proces wygrany! Gotowałam się do bardzo szorstkich odpowiedzi, kiedy błysnęła jej myśl: ujrzała drugą tekę nietkniętą. „Nie, proces mój wygrany dopiero w połowie. Za czym ozwała się dość chłodno do księżnej-matki:

— Czy pani każe mi spalić resztę tych papierów?

— I gdzie je spalisz? — odparła księżna-matka cierpko.

— Na kominku w salonie; skoro się je będzie rzucało kolejno, nie ma niebezpieczeństwa.

Wzięła pod pachę tekę wyładowaną papierami, świecę, i przeszła do sąsiedniej sali. Sprawdziwszy, że ta teka zawiera właśnie zeznania, zgarnęła do szala kilka plik papieru, spaliła starannie resztę, po czym zniknęła, nie żegnając się z księżną.

„To mi impertynencja co się zowie — powiadała sobie ze śmiechem — ale ta niepożyczona wdowa omal mnie swymi komediami nie wyprawiała na rusztowanie.”

Słyszając turkot powozu Sanseveriny księżna-matka nie posiadała się z oburzenia na swą ochmistrzynię.

Mimo niemożliwie późnej godziny pani Sanseverina kazała wezwać hrabiego; był w zamku przy ogniu, ale niebawem wrócił z wiadomością, że wszystko skończone.

— To książętko okazało w istocie wiele odwagi, powinszowałam mu też z całego serca.

— Zbadaj prędko te zeznania i spalmy je jak najprędzej.

Hrabia przeczytał i zbladł.

— Na honor, byli już blisko prawdy; śledztwo bardzo zręcznie prowadzone, są na tropie Ferrante Palla; a jeżeli on coś wygada, będziemy w bardzo trudnym położeniu.

— On nie wygada! — wykrzyknęła księżna. — To człowiek honoru. Palmy! palmy!

— Za chwilę! Pozwól mi wynotować nazwiska kilkunastu niebezpiecznych świadków, a podejmuję się ich usunąć, jeżeli Rassi spróbuje zaczynać na nowo.

— Przypomnę Waszej Ekscelencji, że książę dał słowo nie powiedzieć nic swemu ministrowi sprawiedliwości o naszej nocnej wyprawie.

— Przez tchórzostwo i przez obawę sceny dotrzyma.

— A teraz, drogi przyjacielu, ta noc wielce przyspieszyła nasze małżeństwo; nie byłabym rada wnieść ci w posagu kryminalnego procesu, i to jeszcze za winę popełnioną w interesie kogoś drugiego.

Hrabia był zakochany; wziął ją za rękę z okrzykiem szczęścia, miał łzy w oczach.

— Nim odejdziesz, poradź mi, jak się mam zachować wobec księżnej: upadam ze znużenia, grałam przez godzinę komedię na scenie, a pięć godzin w gabinecie księcia.

— Dosyć się pomściłaś za cierpkie słówka księżnej, które były jedynie słabością, przez swój impertynencki odjazd. Wróć z nią jutro do tonu, jaki miałaś dziś rano; Rassi nie jest jeszcze w więzieniu ani wygnany, a my nie podarliśmy jeszcze wyroku na Fabrycego.

Żądałaś od księżnej, aby powzięła decyzję, co zawsze wprawia w zły humor panujących, a nawet ministrów; jesteś jej wielką *ochmistrzynią*, czyli małą służebniczką. Przez reakcję, która jest u ludzi słabych nieuchronna, za trzy dni Rassi będzie bardziej w łasce niż kiedykolwiek; postara się, aby kogoś powieszono: dopóki nie uczyni księcia swoim współnikiem, nie jest pewny niczego.

Dzisiejszej nocy przy pożarze jedna osoba została raniona, jakiś krawiec, który, na honor, okazał bajeczną odwagę. Jutro namówię księcia, aby wsparł się na moim ramieniu, odwiedził ze mną tego krawca; będę uzbrojony od stóp do głów i będę miał oko na wszystko; zresztą młody książę jeszcze nie jest zniechęcony. Chcę go przyzwycząić do przechadzania się po ulicach, wypłacam tego figla Rassiemu, który będzie moim następcą i który nie będzie mógł sobie pozwolić na to. Wracając od krawca, przeprowadzę księcia pod pomnikiem ojca; spostrzeże ślady kamieni, które poobijały rzymską togę, w jaką głupiec rzeźbiarz go przystroił; musiałby być bardzo nierozgarnięty, gdyby nie uczynił tej refleksji: „Oto, co się zyskuje wieszając jakobinów.” Na co ja odpowiem: „Trzeba powiesić albo dziesięć tysięcy, albo żadnego. Noc Świętego Bartłomieja zniweczyła protestantów we Francji.”

Jutro, droga przyjaciółko, przed naszą przechadzką każ się oznać księciu i powiedz mu: „Wczoraj wieczór pełniłam przy Waszej Wysokości funkcje ministra, dawałam mu rady i z jego rozkazu naraziłam się na niezadowolenie księżnej-matki; należy mi się zapłata.” Będzie się spodziewał żądań pieniężnych i nachmurzy się; zostawisz go jak najdłużej w tej przykłej myśli, następnie powiesz: „Proszę Waszej Wysokości o nakazanie, aby Fabrycy był sądzony *naocznie* (to znaczy w jego obecności) przez dwunastu najczciodszych sędziów z całego państwa.” I nie tracąc czasu, dasz mu do podpisania dekrecik pisany twoją piękną rączką, który ci zaraz podyktuję; wstawię tam, rozumie się, klauzulę, że pierwszy wyrok się kasuje. Przeciw temu jest tylko jeden możliwy zarzut, ale jeżeli ostro poprowadzisz sprawę, nie przyjdzie on księciu do głowy. Może ci powiedzieć: „Trzeba, aby Fabrycy wrócił jako więzień do cytadeli.” Na co odpowiesz: „Zgłosi się jako więzień do więzienia miejskiego” (wiesz, że ja tam jestem panem; co wieczora bratanek będzie ci mógł odwiedzać). Jeżeli książę ci odpowie: „Nie, ucieczka jego nadwerżyła honor mojej cytadeli i chcę, dla formy, aby wrócił do celi, którą zajmował”, odpowiesz: „Nie, gdyż tam byłby na łasce mego wroga Rassiego” — i jednym z owych zwrotów kobiecych, którymi umiesz posługiwać się tak zręcznie, dasz mu do zrozumienia, że aby ułagodzić Rassiego, mogłabyś mu łatwo opowiedzieć *auto-da-fé* ostatniej nocy; jeśli będzie nalegał, powiesz, że się udajesz na dwa tygodnie do swego zamku w Sacca.

Wezwiesz Fabrycego i poradzisz się go w sprawie tego kroku, który może go zaprowadzić do więzienia. Ale trzeba wszystko przewidzieć: gdyby, podczas gdy Fabrycy będzie pod kluczem, Rassi, zniecierpliwiony, postarał się mnie otruć, Fabrycy może być w niebezpieczeństwie. Ale rzecz jest mało prawdopodobna; wiesz, że sprowadziłem kucharza Francuza, najweselszego człowieka pod słońcem, wielkiego amatora kalamburów; otóż kalambur i morderstwo — to się nie godzi z sobą. Powiedziałem już Fabrycemu, że odszukałem wszystkich świadków jego pięknego i odważnego czynu; jasne jest, że ten Giletti chciał go zamordować. Nie mówiłem o tych świadkach, bo chciałem ci zrobić niespodziankę, ale plan mój zawiódł; książę nie chciał podpisać. Powiedziałem Fabrycemu, że wystaram mu się o wysokie stanowisko duchowne; ale rzecz będzie bardzo trudna, jeżeli wrogowie wytoczą w Rzymie oskarżenie o morderstwo.

Czy pani zdaje sobie sprawę, że o ile nie osądzą go najuroczyściej w świecie, całe życie nazwisko *Giletti* będzie dlań nieprzyjemne? Byłoby małodusznością nie poddać się pod sąd, kiedy się jest pewnym swej niewinności. Zresztą, gdyby nawet był winien, uniewinnią go. Kiedy wspomniałem mu o tym, wrzący młodzieniec nie pozwolił mi dokończyć; wzięliśmy almanach i wybraliśmy dwunastu najuczciwszych i najnieskazitelniejszych sędziów; ułożywszy listę, skreśliliśmy sześć nazwisk, aby je zastąpić sześcioma prawnikami, mymi osobistymi przyjaciółmi; że zaś mogliśmy znaleźć tylko dwóch wrogów, dopełniliśmy liczby czterema łajdakami oddanymi Rassiemu.

Pomysł hrabiego zaniepokoił śmiertelnie panią Sanseverina, i nie bez racji; w końcu poddała się perswazjom i pod dyktando ministra napisała dekret mianujący sędziów.

Hrabia pożegnał ją o szóstej rano; próbowała spać, ale na próżno. O dziewiątej zjadła śniadanie z Fabrycym, który pałał niecierpliwością, aby go osądzono; o dziesiątej była u księżnej, która jej nie przyjęła; o jedenastej udała się do księcia, który udzielał rannego posłuchania i który podpisał dekret bez trudności. Posłała dekret hrabiemu i wróciła do łóżka. Byłoby może zabawne opowiedzieć o wściekłości Rassiego, kiedy go hrabia zmusił do kontrasygnowania, wobec jego pana, dekretu podpisanego tegoż rana przez księcia; ale wypadki pędzą nas naprzód. Hrabia roztrząsał wartość każdego sędziego i ofiarował się zmienić nazwiska. Ale czytelnik jest może zmęczony szczegółami procedury, zarówno jak intryg dworskich. Z tego wszystkiego można wydobyć ten morał, że człowiek, który zbliży się do dworu, poświęca swoje szczęście, jeśli jest szczęśliwy, w każdym zaś razie uzależnia swą przyszłość od intryg lada pokojówki.

Z drugiej strony, w Ameryce, w republice, trzeba trawić cały dzień na umizgach do lada sklepikarza i stać się głupim jak on; no i nie ma tam opery.

Wstawszy wieczorem, księżna miała chwilę dojmującego niepokoju; nie było widać Fabrycego; wreszcie koło północy, na dworskim widowisku, otrzymała od niego list. Zamiast się udać do *więzienia miejskiego*, gdzie hrabia był panem, pośpieszył zająć dawny pokój w cytadeli, uszczęśliwiony, że będzie o parę kroków od Klelii.

Dwór

Było to wydarzenie olbrzymiej doniosłości; w tym miejscu bardziej niż kiedykolwiek narażony był na truciznę. Szaleństwo to przywiodło księżnę do rozpacz; wybaczyła jego przyczynę, miłość do Klelii, ponieważ za kilka dni Klelia miała stanowczo zaślubić bogatego margrabiego Crescenzi. Szaleństwo to wskrzesiło cały wpływ, jaki niegdyś Fabrycy miał na księżnę.

„I to ten przekłety papier, którego podpisanie wyjednałam, przyniesie mu śmierć! Jacyż ci mężczyźni są niedorzeczni ze swym *honorem*! Myśleć o honorze pod rządem despoty, w kraju, gdzie Rassi jest ministrem sprawiedliwości! Trzeba było po prostu przyjąć ulaskawienie, które książę byłby podpisał równie łatwo, jak to powołanie nadzwyczajnego trybunału. Cóż znaczy, ostatecznie, że człowiek tak urodzony jak Fabrycy będzie mniej lub więcej obwiniony o to, że zabił sam, że szpadą w dłoni, błazna takiego jak Giletti.”

Otrzymałszy bilecik Fabrycego, księżna pobiegła do hrabiego, którego zastała błędym jak płótno.

— Wielki Boże! droga moja, mam nieszczęśliwą rękę z tym chłopcem; znowu będziesz miała żal do mnie. Wiedz, że kazałem wezwać wczoraj wieczorem dozorcę więzienia miejskiego; codziennie bratanek twój byłby u ciebie na herbacie. Najgorsze jest, że niepodobna ani mnie, ani tobie powiedzieć księciu, że obawiamy się trucizny, i to z ręki Rassiego; takie podejrzenie wydałoby mu się szczytem niemoralności. Jeżeli żądasz, jestem gotów iść do zamku, ale pewny jestem odpowiedzi. Powiem ci więcej: ofiaruję ci sposób, którego nie używałbym dla siebie. Od czasu jak mam władzę w tym kraju, nie uśmierciłem ani jednego człowieka; wiesz, że jestem takim ciemną w tej mierze, że niekiedy o zmierzchu myślę jeszcze o tych dwóch szpiegach, których nieco lekkomyślnie rozstrzelałem w Hiszpanii. Otóż czy chcesz, abym cię uwolnił od Rassiego? Niebezpieczeństwo, jakie grozi Fabrycemu, jest bez granic; Rassi ma w rękach niezawodny środek, aby mnie wyparować.

Propozycja ta nadzwyczaj spodobała się księżnej, ale nie przyjęła jej.

— Nie chcę — rzekła do hrabiego — abyś w naszych wywczasach pod pięknym niebem Neapolu miał wieczorem czarne myśli.

— Ale, droga przyjaciółko, zdaje mi się, że my mamy jedynie wybór czarnych myśli. Cóż się stanie z tobą, ze mną samym, jeżeli Fabrycy zginie?

Ta myśl podsycała na nowo dyskusję, którą księżna zakończyła tym zdaniem:

— Rassi zawdzięcza życie temu, że kocham cię więcej niż Fabrycego; nie, nie chcę zatruwać wszystkich wieczorów owej starości, którą mamy spędzić razem.

Księżna pobiegła do cytadeli; generał Fabio Conti uszczęśliwiony był, że może przeciwstawić formalne brzmienie przepisów; nikt nie może przekroczyć progu więzienia stanu bez rozkazu opatrzonego podpisem księcia.

— Ale margrabia Crescenzi i jego kapela bywają w cytadeli co wieczór?

— Bo uzyskałem dla nich pozwolenie.

Biedna księżna nie знаła całego rozmiaru swoich nieszczęść. Generał czuł się osobiście zhańbiony ucieczką Fabrycego; kiedy go ujrzał wchodzącego do cytadeli, nie powinien go być przyjąć; nie miał rozkazu w tej mierze. „Ale — powiedział sobie — niebo zsyła mi go dla obmycia mego honoru i starcia ze mnie śmieszności, która splamiłaby moją karierę. Chodzi o to, aby nie przepuścić sposobności: z pewnością go uwolnią, toteż mam bardzo mało czasu na zemstę.”

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Przybycie naszego bohatera przywiodło Klelię do rozpacz; biedna dziewczyna, nabożna i szczerą, nie mogła ukryć przed sobą, że nie ma dla niej szczęścia z dala od Fabrycego; ale uczyniła ślub Madonnie w chwili otrucia ojca, że zrobi to poświęcenie i zaślubi margrabiego Crescenzi. Ślubowała, że nigdy nie ujrzy Fabrycego, i dręczyła się straszliwie wyznaniem, jakie wymknęło się jej w liście do niego w wilię ucieczki. Jak odmalować to, co się działo w tym smutnym sercu, kiedy melancholijnie przyglądając się twym ptaszkom, z nałogu i z czułości podnosząc oczy ku oknu, z którego niegdyś patrzył na nią Fabrycy, ujrzała go na nowo, kłaniającego się z tkliwym szacunkiem.

Sądziła, że to wizja, jaką niebo zsyła, aby ją ukarać; później okrutna rzeczywistość nasunęła się jej myślom. „Schwycili go z powrotem — powiedziała sobie — zgubiony

jest.” Przypomniła sobie rozmowy w cytadeli po jego ucieczce; najlichszy dozorca czuł się śmiertelnie obrażony. Klelia spojrzała na Fabrycego; mimo woli spojrzenie to wyrażało w całej pełni ową miłość, która przejmowała ją rozpaczą.

„Czy sądzisz — mówiły jej oczy — że ja znajdę szczęście w pysznym pałacu, jaki dla mnie gotują? Ojciec powtarza mi do syta, że ty jesteś równie biedny jak my; ach, wielki Boże, z jaką radością podzieliłabym to ubóstwo. Ale, niestety, nigdy nie mamy się ujrzeć!”

Klelia nie miała siły użyć alfabetu; na widok Fabrycego zrobiło się jej słabo; upadła na krzesło przy oknie. Twarz jej spoczywała na parapecie, że zaś chciała go widzieć do ostatniej chwili, oblicze jej zwrócone było ku Fabrycemu, który mógł je ujrzeć całkowicie. Kiedy po kilku chwilach otworzyła oczy, pierwsze jej spojrzenie było dla Fabrycego: ujrzała łzy w jego oczach, ale były to łzy najwyższego szczęścia; widział, że nieobecność nie wymazała go z jej pamięci. Biedni kochankowie trwali tak jakiś czas jakby oczarowani swoim widokiem. Fabrycy ośmielił się zaśpiewać, jak gdyby towarzysząc sobie na gitarze, kilka improwizowanych słów, które mówiły: „*To aby cię ujrzeć znowu, wróciłem do więzienia; będą mnie sądzili.*”

Słowa te obudziły wszystkie skrupuły Klelii: wstała szybko, zasłoniła oczy i za pomocą najwyższych gestów starała się wyrazić, że nie powinna nigdy go widzieć; przyrzekła to Madonnie, spojrzała nań jedynie przez zapomnienie. Gdy Fabrycy wciąż ośmielał się wyrażać swą miłość, Klelia uciekła, oburzona, przysięgając sobie, że go więcej nie ujrzy, tak bowiem brzmiał jej ślub w obliczu Madonny: „*Moje oczy nie ujrzą go nigdy.*” Wypisała to na skrawku papieru, który wuj Cezar pozwolił jej spalić na ołtarzu w chwili ofiarowania, kiedy odprawiał mszę świętą.

Ale mimo wszystkich ślubów obecność Fabrycego w wieży Farnese wróciła Klelii wszystkie dawne przyzwyczajenia. Zazwyczaj pędziła dni sama w swoim pokoju. Ledwie ochłonawszy z niespodziewanego wzruszenia, w jakie ją wtrącił widok Fabrycego, zaczęła uganiać po pałacu i aby tak rzecz odnawiać znajomość z przyjaznymi jej domownikami. Staruszka pewna bardzo gadatliwa, zatrudniona przy kuchni, szepnęła jej tajemniczo:

— Tym razem pan Fabrycy nie wyjdzie już z cytadeli.

— Nie popełni już tego błędu, aby uciekać przez mur — rzekła Klelia — wyjdzie po prostu bramą, skoro go uniewinnią.

— Powiadam i mogę zapewnić Waszą Ekscelencję, że nie wyjdzie sam, tylko go wyniosą na marach.

Klelia zbladła straszliwie, stara zauważyła to i wstrzymała swą wymowę. Spostrzegła, że popełniła nieostrożność mówiąc w ten sposób wobec córki gubernatora, której obowiązkiem było rozpowiadać wszystkim, że Fabrycy umarł w naturalny sposób, z choroby. Wracając do siebie, Klelia spotkała lekarza więziennego, zacnego czelczykę, bardzo nieśmiałego, który powiedział jej przerażony, że Fabrycy jest poważnie chory. Klelia ledwie mogła utrzymać się na nogach, szukała wszędzie stryja, zacnego księdza Cezara; wreszcie znalazła go w kaplicy, modlącego się żarliwie: był bardzo zmieniony. Rozległ się dzwon na obiad. Przy stole bracia nie zamienili ani słowa; pod koniec jedynie generał zwrócił parę cierpkich słów do brata. Ten spojrzał na służących, którzy natychmiast wyszli.

— Generale — rzekł don Cezar do gubernatora — mam zaszczyt cię uprzedzić, że opuszczam cytadelę: wniosłem dymisję.

— Bravo! bravissimo! aby na mnie ściągnąć podejrzenie!... A przyczyna, jeśli łaska?

— Moje sumienie.

— Et! klecha z ciebie! nie rozumiesz się na honorze.

„Fabrycy nie żyje — powiadała sobie Klelia — otruli go przy obiedzie albo mają otruć jutro.” Pobiegnęła do ptaszkami, aby zaśpiewać przy klawikordzie. „Wyspowiadam się — mówiła sobie — Bóg mi przebaczy, żem złamała ślub dla ocalenia życia człowiekowi. Jakież było jej przerażenie, kiedy przybywszy do ptaszkami ujrzała, że żaluzje zastąpiono deskami przybitymi do kraty. Zrozpaczona, próbowała ostrzec więźnia paroma słowami podobniejszymi do krzyku niż do śpiewu. Żadnej odpowiedzi: śmiertelna cisza panowała w wieży Farnese.

„Wszystko skończone” — rzekła do siebie. Zeszła wółprzytomna, następnie wróciła, aby wziąć z sobą trochę pieniędzy oraz diamentowe kolczyki; wzięła także mimochodem kawałek chleba z obiadu pozostawiony w kredensie. „Jeżeli żyje jeszcze, obowiązkiem moim

jest go ocalić.” Podeszła wyniośle do drzwiczek wieży, były otwarte, pomieszczono jedynie ośmiu żołnierzy w kolumnowej sali na parterze. Spojrzała hardo na żołnierzy; miała zamiar zwrócić się do sierżanta, ale go nie było. Rzuciła się na kręcone schodki, biegnące spiralnie dokoła kolumny; żołnierze spojrzeli na nią zdumieni, ale widocznie z przyczyny jej koronkowego szala i kapelusza nie śmieli nic powiedzieć. Na pierwszym piętrze nie było nikogo; przybywszy na drugie, przy wejściu do korytarza (który, jeśli czytelnik sobie przypomina, zamknięty był trojgiem drzwi opatrzonych żelaznymi sztabami i wiódł do pokoju Fabrycego), zastała jakiegoś nieznanego klucznika, który wybąkał, zmieszany:

— Jeszcze nie jadł obiadu.

— Wiem — odparła Klelia wyniośle. Dozorca nie śmiał jej zatrzymać. O dwadzieścia kroków dalej, na pierwszym z sześciu drewnianych schodków wiodących do celi Fabrycego, Klelia zastała drugiego stróża, bardzo starego i bardzo czerwonego, który rzekł szorstko:

— Ma pani rozkaz gubernatora?

— Nie znacie mnie?

W tej chwili Klelia poruszała nadnaturalną siłą, była jak nieprzytomna. „Ocalę mego męża” — powiadała sobie.

Podczas gdy stary dozorca krzychał: „Ale mój obowiązek nie pozwala mi...”. Klelia przebyła szybko sześć stopni i rzuciła się ku drzwiom. Olbrzymi klucz tkwił w zamku; musiała użyć wszystkich sił, aby go obrócić. Równocześnie stary dozorca, na wpół pijany, chwycił ją za suknię; weszła żywo do celi, zamknęła drzwi, nie zważając, że drze suknię, i kiedy dozorca chciał wejść za nią, zasunęła rygiel, który znalazła pod ręką. Spojrzała po pokoju i ujrzała Fabrycego siedzącego przy stoliku, na którym znajdował się obiad. Rzuciła się ku stolikowi, przewróciła go i chwytając Fabrycego za ramię, spytała:

— Czy jadłeś?

To „ty” przejęło szczęściem Fabrycego. W swoim wzruszeniu Klelia pierwszy raz zapomniała o skromności kobiecej i zdradziła swą miłość.

Fabrycy miał właśnie rozpocząć nieszczęsny posiłek; wziął Klelię w ramiona i okrył ją pocałunkami. „Ten obiad był zatruty — pomyślał — jeśli jej powiem, że go nie tknąłem, religia odzyska swoje prawa i Klelia umknie. Jeżeli, przeciwnie, będzie mnie uważała za umierającego, uzyskam to, że mnie nie opuści. Ona pragnie znaleźć sposób zerwania swego ohydneho małżeństwa, przypadek go nam dostarcza: zbiorą się dozorczy, wysadzą drzwi; słowem, skandal taki, że może margrabia Crescenzi przestraszy się i małżeństwo się zerwie.”

Przez chwilę milczenia, wypełnioną tymi myślami, Fabrycy uczuł, że już Klelia próbuje się wyswobodzić z jego uścisków.

— Nie czuję jeszcze bólów — rzekł — ale niebawem padnę tu u twych stóp; pomóż mi umrzeć.

— O mój kochany — rzekła — umrę z tobą. — To mówiąc, ścisnęła go konwulsyjnie.

Była tak piękna, wpołubrana i w takim uniesieniu, że Fabrycy nie mógł oprzeć się mimowolnemu niemal gestowi. Nie spotkał żadnego oporu.

W upojeniu miłości i szlachetności, które następuje po najwyższym szczęściu, rzekł niebacznie:

— Nie trzeba, aby niegodne kłamstwo splamiło pierwsze chwile naszego szczęścia: gdyby nie twoja energia, byłbym już trupem lub też walczyłbym z okrutnymi boleściami, ale miałem dopiero zacząć jeść w chwili, gdy weszłaś; nie tknąłem jeszcze tych półmisków.

Fabrycy roztoczył ten okrutny obraz, aby zażegnać oburzenie, które już czytał w oczach Klelii. Patrzyła nań długą chwilę, szarpana gwałtownymi i sprzecznymi uczuciami, po czym rzuciła się w jego ramiona. Rozległ się hałas na dziedzińcu, otwierano i zamykano troje żelaznych drzwi, słychać było głosy, krzyki.

— Ha! gdybym miał broń! — wykrzyknął Fabrycy — kazano mi ją oddać, nim mi pozwolono wejść. Z pewnością przychodzą mnie dobić. Żegnaj, Klelio moja, błogosławieństwo śmierci, skoro stała się przyczyną mego szczęścia.

Klelia uścisnęła go i podała mu sztylet o rączce z kości słoniowej, a ostrzu nie dłuższym niż ostrze scyzoryka.

Miłość spełniona, Podstęp,  
Trucizna

— Nie daj się zabić — rzekła — broń się do upadłego; jeśli wuj Cezar usłyszy zgiełk, on jest dzielny i zacny, ocali cię! Idę pomówić z nim. — To mówiąc, rzuciła się ku drzwiom.

— Jeśli cię nie zabiją — rzekła gorączkowo, trzymając rękę na ryglu i zwracając głowę w jego stronę — raczej daj się zagłodzić, niżbyś miał tknąć czegokolwiek. Miej zawsze ten chleb przy sobie.

Zgiełk zbliżał się. Fabrycy chwycił Klelię wpół, stanął przy drzwiach, otworzył je z wściekłością i rzucił się na schody. Trzymał w ręce pugnał z rękojeścią z kości słoniowej i omal nie przebił nim kamizelki generałowi Fontanie, adiutantowi księcia, który cofnął się szybko, wołając przestraszony:

— Ależ ja przychodzę pana ocalić, panie del Dongo.

Fabrycy cofnął się żywo, rzucił Klelii te słowa: — *Fontana przychodzi mnie ocalić* — po czym, podchodząc znów do generała, przystąpił do wyjaśnień. Prosił go bardzo obszernie, aby mu przebaczył jego popełdliwość.

— Chciano mnie otruć; ten obiad, który tu stoi, jest zatruty; byłem na tyle sprytny, aby go nie tykać, ale wyznaję, że to postępowanie uraziło mnie. Słyszac pańskich ludzi, myślałem, że przychodzą mnie dobić sztyltem... Panie generale, proszę, chciej nakazać, aby nikt nie wchodził do mojej celi: usunięto by truciznę, a nasz dobry książę powinien wiedzieć wszystko.

Generał, błąd i zmieszany, powtórzył życzenie Fabrycego dozorcóm, którzy szli za nim; ludzie ci, spłoszeni tym, że odkryto truciznę, czym prędzej zeszli na dół, pomknęli przodem, rzekomo, aby nie zatrzymywać na ciasnych schodach książęcego adiutanta, w istocie zaś, aby uciec i zniknąć. Ku wielkiemu zdziwieniu generała Fontany, Fabrycy zatrzymał się dobry kwadrans na żelaznych schodkach biegnących wokół kolumny na parterze; chciał dać Klelii czas ukrycia się na pierwszym piętrze.

To pani Sanseverina, po paru szalonych próbach, zdołała wysłać generała Fontanę do cytadeli; udało się jej to przypadkiem. Rozstawszy się z hrabią Mosca, równie przerażonym jak ona, pobięła do zamku. Księżna-matka, która miała odrazę do wszelkiej energii, będącej w jej oczach czymś gminnym, sądziła, że ochmistryni oszalała, i wcale nie miała zamiaru się fatygować w tej sprawie. Pani Sanseverina, nieprzytomna, zalewając się łzami, powtarzała jedynie raz po raz:

— Ależ, pani, za kwadrans Fabrycy zginie otruty!

Widząc niewzruszony spokój księżnej, pani Sanseverina oszalała z rozpaczy. Nie powstała jej w głowie myśl, której nie byłaby uniknęła kobieta wyrosła na północy w religii opartej na zgłębianiu własnego sumienia. „Ja pierwsza użyłam trucizny i od trucizny też ginę.” We Włoszech tego rodzaju refleksje w chwili namiętności wydają się czymś nieskończenie płaskim, tak jakby się wydał w Paryżu, w podobnej okoliczności, jakiś kalambur.

Pani Sanseverina w rozpaczy pomknęła do salonu, gdzie znajdował się margrabia Crescenzi, będący tego dnia na służbie. Za powrotem pani Sanseverina do Parmy podziękował jej z zapalem za miejsce szambelana, o którym bez niej nie mógłby marzyć. Nie omieszkał upewnić jej przy tej sposobności o swym oddaniu bez granic. Zagadnęła go w te słowa:

— Rassi zamierza otruć Fabrycego, który jest w cytadeli. Niech pan weźmie do kieszeni czekoladę i butelkę wody, które panu dam. Idź, margrabio, do cytadeli i wróć mi życie, oświadczając generałowi, że zrywasz z jego córką, jeśli ci nie pozwoli oddać osobiście Fabrycemu tej wody i czekolady.

Margrabia zbladł, fizjonomia jego, bynajmniej nie wyrażając zapalu, zdradzała wręcz zakłopotanie. Nie mógł uwierzyć w tak potworną zbrodnię w mieście tak moralnym jak Parma, pod berłem tak wielkiego księcia itd. Na dobitkę brednie te wygłaszał bardzo powoli. Słowem, pani Sanseverina trafiła na człowieka uczciwego, ale słabego bez granic, niezdolnego do decyzji i czynu. Po dwudziestu podobnych frazesach, które pani Sanseverina przerywała okrzykami niecierpliwości, wpadł na tę świetną myśl: przysięga, którą złożył jako szambelan, nie pozwalała mu się mieszać w żadne kroki przeciw rządowi.

Któż zdoła sobie wyobrazić rozpacz księżnej, która czuła, że czas ucieka.

— Ależ przynajmniej niech pan idzie do gubernatora; niech mu pan powie, że aż do piekła będę ścięła morderców Fabrycego!...

Sumienie

Rozpacz pomnażała naturalną wymowę księżnej, ale cały ten ogień tym więcej przerażał margrabiego i wzmagał jego niezdecydowanie; po upływie godziny mniej był skłonny do współdziałania niż w pierwszej chwili.

Nieszczęśliwa kobieta, doprowadzona do ostatnich granic i czując, że gubernator nie odmówiłby niczego tak bogatemu zięciowi, posunęła się tak daleko, iż rzuciła mu się do kolan; wówczas tchórzostwo margrabiego wzmoгло się jeszcze; wobec tej dziwnej sytuacji zląkł się, że on sam może się bez wiedzy o tym skompromitować. Ale zdarzyło się coś osobliwego: margrabia, dobry w gruncie człowiek, wzruszył się łzami oraz widokiem tak pięknej, a zwłaszcza tak wpływowej kobiety u swych kolan.

„Ja sam tak dobrze urodzony, tak bogaty, mogę się kiedy znaleźć u kolan jakiego republikanina!” Margrabia rozplakał się; wreszcie ułożono, że pani Sanseverina, w charakterze ochmistrzyni, przedstawi go księżnej-matce, a ta pozwoli oddać Fabrycemu koszyczek o nieznaney jakoby margrabiemu zawartości.

W wilię tego dnia, zanim pani Sanseverina dowiedziała się o szaleństwie, jakie popełnił Fabrycy, udając się do cytadeli, grano na dworze komedię *dell'arte*, a książę, który sobie zastrzegł wszystkie role kochanków z panią Sanseverina, tak namiętnie wyrażał jej swą miłość, że byłby aż śmieszny, gdyby we Włoszech kochanek albo monarcha mógł kiedy być śmieszny.

Książę, bardzo nieśmiały, ale zawsze biorący poważnie sprawy miłości, spotkał na korytarzu panią Sanseverinę, która wlokła pomieszanego margrabiego do księżnej-matki. Był tak zdumiony i olśniony pięknnością wzruszającą, jaką rozpacz krasila wielką ochmistrzynię, że po raz pierwszy w życiu okazał charakter. Gestem więcej niż rozkazującym oddał margrabiego i rozpoczął palić księżnej najformalniejsze oświadczyzny miłosne. Przygotował je zapewne dawno i z góry, były tam bowiem rzeczy dość rozsądne.

— Skoro stanowisko moje broni mi najwyższego szczęścia zaślubienia pani, przysięgam ci na świętą hostię nie ożenić się nigdy bez twego piśmiennego zezwolenia. Rozumiem — dodał — że pozbawiam panią ręki pierwszego ministra, zacnego i miłego człowieka; ale ostatecznie, on ma pięćdziesiąt sześć lat, a ja nie mam dwudziestu dwóch. Bałbym się panią obrazić i zasłużyć na odmowę, gdybym ci wspomniał o korzyściach obcych samej miłości; ale wszyscy na dworze, którym zależy na pieniądzach, mówią z podziwem o dowodzie miłości, jaki hrabia składa pani, oddając w twoje ręce wszystko, co posiada. Będzie dla mnie szczęściem naśladować go w tej mierze. Zrobisz z mego mienia lepszy użytek niż ja sam; będziesz rozporządzała sumą, jaką moi ministrowie wręczają generalnemu intendentowi mej korony; będziesz stanowiła o moich miesięcznych wydatkach.

Wszystkie te szczegóły dłużyły się księżnej; serce jej ścisnęło się na myśl o niebezpieczeństwie Fabrycego.

— Ależ książę nie wie — wykrzyknęła — że w tej chwili trują Fabrycego w cytadeli! Ratuj go, książę! Wierzę we wszystko.

Zdanie to było ujęte możliwie najniezręcznie! Na to słowo *trucizna* — wszelka swoboda i szczerść, jaką biedne moralne książątko wkładało w tę rozmowę, pierzchły. Pani Sanseverina spostrzegła swą niezręczność dopiero w chwili, gdy nie było na nią ratunku, rozpacz jej — w co ledwie mogła uwierzyć — pogłębiła się jeszcze. „Gdybym nie wspomniała o truciznie — powiedziała sobie — byłby mi darował wolność Fabrycego... O drogi Fabrycy! — dodała — jest tedy pisane, że to ja mam cię zgubić swymi szaleństwami.”

Pani Sanseverina potrzebowała dużo czasu i zalotności, aby znów sprowadzić księcia do namiętnych wynurzeń; był mocno spłoszony. Głowa jego jedynie mówiła; dusza była zmrożona najpierw myślą o truciznie, a później tą drugą, równie dotkliwą, jak pierwsza była okrutna: zadają truciznę w moim państwie, i to nie mówiąc mi o tym! Rassi chce mnie zniesławić w oczach Europy! Bóg wie, co wyczytam w przyszłym miesiącu w paryskich dziennikach.

Naraz, gdy dusza nieśmiałego młodzieńca umilkła, w głowie jego zrodziła się myśl.

— Droga księżno! wiesz, jak jestem ci oddany. Twoje straszliwe podejrzenia są, chcę w to wierzyć, nieuzasadnione; ale ostatecznie i mnie dają one do myślenia, każą mi niemal zapomnieć na chwilę o miłości dla ciebie, jedynej, jakiej w życiu doznałem. Czuję, że nie

Oświadczyzny, Władza,  
Miłość

jestem wart wzajemności; jestem jedynie zakochanym dzieckiem; ale weź mnie, błagam, na próbę.

Mówiąc, księżę zapalał się stopniowo.

— Ocal, Wasza Wysokość, Fabrycego, a uwierzę we wszystko! Bez wątpienia ponoszą mnie szalone obawy matczyne serca; ale niech Wasza Wysokość pośle natychmiast po Fabrycego do cytadeli, niech go zobaczą. Jeżeli żyje jeszcze, odeślij go do miejskiego więzienia, gdzie zostanie całe miesiące, jeśli Wasza Wysokość tego żąda, aż do osądzenia.

Pani Sanseverina ujrzała z rozpaczą, że księżę zamiast w pół słowa zgodzić się na rzecz tak prostą, spochmurniał; był bardzo czerwony, spoglądając na księżnę, potem spuścił oczy, zbladł. Myśl o truciznie, potracona tak niewczesnie, podsunęła mu pomysł godny jego ojca lub Filipa II, ale nie śmiał go wyrazić.

— Wie pani — rzekł wreszcie, zadając sobie gwałt i niezbyt uprzejmym tonem — pani mną gardzi jako dzieckiem, i to dzieckiem pozbawionym wdzięku: więc dobrze; powiem pani rzecz okropną, która zrodziła się we mnie w tej chwili pod wpływem głębokiego i szczerzego uczucia dla pani. Gdybym bodaj trochę wierzył w truciznę, już byłbym wkroczył, nakazałby mi to obowiązek; ale ja widzę w twej prośbie jedynie kaprys, którego — pozwoli mi pani to powiedzieć — nie obejmuję może całej doniosłości. Chce pani, abym działał bez poradzenia się ministrów, ja, który panuję zaledwie trzy miesiące! Żąda pani ode mnie monstrualnego wyjątku ze zwykłego postępowania, które, wyznaję, wydaje mi się bardzo racjonalne. To pani jesteś tu w tej chwili samowładnym monarchą, dajesz mi nadzieję w przedmiocie, który jest wszystkim dla mnie; ale za godzinę, kiedy myśl o truciznie, kiedy ta zhora pierzchnie, obecność moja wyda ci się natrętna, popadnę w niełaskę. Więc dobrze, pani, trzeba mi przysięgi: przysięgnij, że jeżeli zwrócę ci Fabrycego zdrowym i całym, uzyskam od ciebie, do trzech miesięcy, wszystko, czego miłość moja mote zapragnąć; zapewnisz szczęście mego życia, oddając mi godzinę twojego i oddając mi się cała.

W tej chwili zegar zamkowy wybił drugą. „Już może za późno” — pomyślała księżna.

— Przysięgam! — krzyknęła z błędnym wzrokiem.

Natychmiast księżę stał się innym człowiekiem; pobiegł na koniec galerii ku sali adiutantów.

— Generale Fontana, pędź co koń wyskoczy do cytadeli, biegnij do celi, gdzie jest zamknięty pan del Dongo, i przyprowadź go tutaj; muszę z nim mówić za dwadzieścia minut, za kwadrans, jeśli możliwe.

— Ach! generale — wykrzyknęła pani Sanseverina, która pobiegła za księciem — jedna minuta może rozstrzygnąć o mym życiu. Raport, fałszywy zapewne, każe się obawiać otrucia Fabrycego: krzycz pan, skoro tylko się znajdziesz na odległość głosu, aby nie tykał niczego. Jeżeli już jadł, dajcie mu na wymioty, powiedz mu pan, że ja tego chcę, użyj siły, jeśli trzeba; powiedz mu, że biegnę tuż za tobą, i uważaj mnie za swoją dłużniczkę na całe życie.

— Księżno, koń mój jest osiodłany, uchodzę za dobrego jeźdźca, pędzę co koń wyskoczy: będę w cytadeli na osiem minut przed panią.

— A ja, pani — wykrzyknął księżę — proszę o cztery z tych ośmiu!

Adiutant znikł; był to człowiek, którego całą wartością był jego talent jeźdźca. Ledwie zamknęły się drzwi, młody księżę, który jak się wydawało, miał charakter, chwycił panią Sanseverina za rękę.

— Racz, pani — rzekł namiętnie — przejść ze mną do kaplicy.

Księżna, zmieszana pierwszy raz w życiu, udała się za nim bez słowa. Przebiegli pędem zamkową galerię, w której końcu jest kaplica. Wszedłszy, księżę ukląkł prawie tyleż przed panią Sanseverina, co przed ołtarzem.

— Niech pani powtórzy przysięgę — rzekł namiętnie — gdyby pani była sprawiedliwa, gdyby to moje nieszczęsne księstwo nie szkodziło mi w pani oczach, byłabyś mi użyczyła przez współczucie dla mej miłości tego, co mi jesteś obecnie dłużna mocą swej przysięgi.

— Jeśli ujrę Fabrycego przy życiu, jeśli będzie żył jeszcze za tydzień, jeśli Wasza Wysokość zamianuje go koadiutorem z przywilejem następstwa po arcybiskupie Landriani, wówczas honor mój, moją godność kobiecą, wszystko zdepcę i będę należała do Waszej Wysokości.

Przysięga, Handel, Miłość



— Ale, *droga przyjaciółko* — rzekł książę z zabawnym połączeniem nieśmiałości i uczucia — ja lękam się jakiejś zasadzki, której nie dostrzegam, a która mogłaby zniweczyć moje szczęście; nie przeżyłbym tego. Jeżeli arcybiskup przeciwstawi mi jakieś trudności kościelne, które odwleką sprawę na całe lata, cóż się ze mną stanie? Widzi pani, że ja postępuję szczerze, czy zechcesz bawić się ze mną w jezuitkę?

— Nie: uczciwie, jeżeli Fabrycy będzie ocalony; jeżeli całą swoją mocą uczynisz go, książę, koadiutorem i przyszłym arcybiskupem, wyrzekam się mej czci i jestem twoją. Wasza Wysokość zobowiązuje się położyć słowo *zezwalam* na podaniu, które arcybiskup przedłoży w ciągu tygodnia.

— Podpisuję *in blanco*; panuj nade mną i nad moim krajem! — wykrzyknął książę rumieniąc się ze szczęścia i naprawdę nieprzytomny. Zażądał ponownej przysięgi.

Był tak wzruszony, że zapomniał swej wrodzonej nieśmiałości i w tej kaplicy, gdzie byli sami, szeptał pani Sanseverina rzeczy, które, powiedziane trzy dni wprzód, byłyby zmieniły jej opinię o nim. Ale rozpacz spowodowana niebezpieczeństwem Fabrycego ustąpiła zgrozie przysięgi, którą jej wydarto.

Pani Sanseverina była przerażona tym, co uczyniła. Jeżeli nie czuła jeszcze całej okropnej goryczy wyrzeczonych słów, to dlatego, że uwagę jej pochłaniała myśl, czy generał Fontana zdążył na czas do cytadeli.

Aby się uwolnić od nieprzytomnych oświadczeń tego dziecka i odmienić nieco bieg rozmowy, pochwaliła słynny obraz Parmezana w głównym ołtarzu kaplicy.

— Bądź tak dobra i zgódź się, abym ci go przysłał.

— Przyjmuję — odparła — ale pozwól, książę, abym pobiegła naprzeciw Fabrycego.

Wpółprzytomna powiedziała woźnicy, aby wypuścił konie galopem. Na moście zwozonym spotkała Fontanę i Fabrycego, który wychodził pieszo.

— Jadłeś?

— Nie, cudem.

Księżna rzuciła się na szyję Fabrycemu i popadła w omdlenie, które trwało godzinę, budząc obawy zrazu o jej życie, później o rozum.

Gubernator Fabio Conti zbladł z wściekłości na widok Fontany; tak przewlekał uczynienie zadość rozkazom księcia, że adiutant, który przypuszczał, że pani Sanseverina zajmie stanowisko urzędowej faworyty, pogniewał się w końcu. Gubernator miał nadzieję przewlec chorobę Fabrycego parę dni — i oto — powiedział sobie — ten generał, człowiek ze dworu, zastanie tego zuchwalca wijącego się w bólach, będących moją zemstą za jego ucieczkę.

Fabio Conti, pochłonięty tymi myślami, zatrzymał się na parterze wieży Farnese, skąd czym prędzej oddalił żołnierzy; nie chciał świadków, sceny, która się gotowała. W pięć minut później osłupiał ze zdumienia słysząc głos Fabrycego i widząc, jak rzeński i hoży objaśnia generałowi Fontanie rozkład więzienia. Znikł.

Fabrycy okazał się w spotkaniu z księciem skończonym gentlemanem. Przede wszystkim nie chciał mieć miny dziecka, które straszy się lada czym. Książę spytał go łaskawie, jak się czuje: — Jak człowiek, który umiera z głodu, nie jadłszy, na szczęście, ani śniadania, ani obiadu. — Dostąpiwszy zaszczytu podziękowania księciu, poprosił, nim się uda do miejskiego więzienia, o pozwolenie odwiedzenia arcybiskupa. Książę zbladł: w jego dziecięcej głowie zaświtała myśl, że trucizna była może urojeniem Sanseveriny. Pochłonięty tą okropną myślą nie odpowiedział zrazu na prośbę Fabrycego; po czym czuł się w obowiązku naprawić swoje roztargnienie wielką uprzejmością.

— Niech pan idzie sam, niech pan przejdzie ulicę mojej stolicy bez żadnej straży. Około dziesiątej lub jedenastej uda się pan do więzienia, gdzie, mam nadzieję, nie zostanie pan długo.

Nazajutrz po tym wielkim dniu, najdonioślejszym w jego życiu, książę uważał się za małego Napoleona; wyczytał gdzieś, że ten wielki człowiek korzystał z łask mnogich dam swego dworu. Raz poczuwszy się Napoleonem wobec kobiet, przypomniał sobie, że był nim w obliczu kul. Upojony był jeszcze dumą z powodu swej stanowczości z panią Sanscverina. Świadomość, że dokonał czegoś trudnego, uczyniła zeń w dwa tygodnie innego człowieka; stał się dostępnym dla szerszych myśli, miał charakter.

Zaczął od tego, że spalił patent hrabiowski na nazwisko Rassi, który leżał na jego biurku od miesiąca. Złożył z urzędu Fabia Conti i zażądał od pułkownika Langego, jego następcy, całej prawdy o truciznie. Lange, dzielny żołnierz polski, nastraszył dozorców i potwierdził, że chciano otruć pana del Dongo przy śniadaniu; ale trzeba byłoby dopuścić do tajemnicy zbyt wiele osób. Skuteczniej poradzano sobie z obiadem; gdyby nie przybycie generała Fontany, del Dongo byłby zgubiony. Księciem wstrząsnął dreszcz; że jednak był naprawdę zakochany, było to dlań pociechą móc powiedzieć sobie: „Zatem istotnie ja ocaliłem życie pana del Dongo i księżna nie będzie śmiała chybić danemu słowu.” Doszedł też do innej myśli: „Stanowisko moje jest o wiele trudniejsze, niż przypuszczałem; wszyscy przyznają, że pani Sanseverina ma nieskończenie wiele rozumu, polityka jest tutaj w zgodzie z moim sercem. Byłoby to dla mnie cudowne, gdyby zechciała być moim kanclerzem.”

Wieczorem książę tak był przejęty okropnościami, których się dowiedział, że nie chciał brać udziału w komedii.

— Byłbym zbyt szczęśliwy — rzekł do pani Sanseverina — gdyby pani zechciała władać moim państwem, tak jak władasz moim sercem. Na początek opowiem pani mój dzień. — Za czym opowiedział jej wszystko bardzo dokładnie: spalenie patentu Rasięgo, mianowanie Langego, raport w sprawie otrucia etc., etc. — Czuję, że brak mi doświadczenia, aby panować. Hrabia upokarza mnie żarcikami, żartuje nawet na radzie ministrów; rozpowiada rzeczy, którym pani zechce przeczytać: mówi, że jestem dzieckiem, które wodzi na pasku. Będąc monarchą, jest się mimo to człowiekiem; takie rzeczy nie są miłe. Aby odjąć prawdopodobieństwo odezwaniom pana Mosca, skłoniono mnie do powołania na ministra tego niebezpiecznego łajdaka Rasięgo: dziś jeszcze generał Fabio Conti tak wierzy w jego wpływy, iż nie śmie wyznać, że to on albo Pani Raversi kazali mu otruć twego bratanka. Mam ochotę oddać po prostu generała Fabia Conti pod sąd; sędziowie wyświetlą, czy jest winny usiłowania otrucia.

— Ależ, książę, czy Wasza Wysokość ma sędziów?

— Jak to! — rzekł książę zdumiony.

— Masz, książę, uczonych prawników, którzy kroczą z poważną miną po ulicy; poza tym osądzą zawsze tak, jak się spodoba rządzącej partii.

Gdy młody książę, zgorzony, wygłaszał zdania świadczące więcej o jego niewinności ducha niż o rozumie, pani Sanseverina powiadała sobie:

„Czy jest w moim interesie wydać na hańbę Contiego? Oczywiście nie, gdyż wówczas małżeństwo jego córki z tym głuptasem Crescenzi staje się niemożliwe.”

Na ten temat potoczył się niekończący się dialog pomiędzy panią Sanseverina a księciem. Książę nie posiadał się z zachwytu. Przez wzgląd na małżeństwo Klelii z margrabią — ale pod tym wyraźnym warunkiem, jak to surowo oznajmił eks-gubernatorowi — darował mu usiłowanie otrucia; ale za radą pani Sanseverina wygnał go do chwili tego małżeństwa. Księżna sądziła, że już nie kocha Fabrycego, ale pragnęła jeszcze gorąco małżeństwa Klelii z margrabią; kryła się w tym mglista nadzieja, że stopniowo uczucie Fabrycego pierzchnie.

Książę upojony szczęściem chciał jeszcze tego wieczora złożyć haniebnie Rasięgo z urzędu. Pani Sanseverina rzekła, śmiejąc się:

— Zna książę powiedzenie Napoleona? Człowiek na wysokim stanowisku, na którego wszyscy patrzą, nie powinien sobie pozwalać na gwałtowne odruchy. Ale już jest późno, odłóżmy sprawę do jutra.

Chciała zyskać czas na poradzenie się hrabiego, któremu opowiedziała ostatnią rozmowę, usuwając wszakże częste aluzje księcia do owej przysięgi, która zatruwała jej życie. Pochlebiała sobie, iż stanie się tak nieodzowna, że będzie mogła uzyskać nieograniczoną zwłokę, powiadając księciu: „Jeżeli książę zechce być na tyle barbarzyńcą, aby mi narzucił to upokorzenie, którego nie przebaczę mu nigdy, nazajutrz opuszczam Parmę.”

Zapytany przez panią Sanseverina o zdanie w sprawie Rasięgo, hrabia okazał się wielce filozoficzny. Fabio Conti i Rassi udali się w podróż do Piemontu.

W kwestii procesu Fabrycego zaszła osobliwa trudność; sędziowie chcieli go uwolnić przez aklamację, i to od pierwszego posiedzenia. Hrabia musiał użyć groźby, aby przeciągnąć proces do tygodnia i aby sędziowie zadali sobie trud przesłuchania wszystkich świadków. „Ci ludzie są zawsze jednacy” — powiadał sobie.

Nazajutrz po uwolnieniu Fabrycy del Dongo objął wreszcie stanowisko wielkiego wikariusza przy znacym arcybiskupie Landrianim. Tegoż dnia książę podpisał potrzebne papiery, aby uzyskać mianowanie Fabrycego koadiutorem z prawem następstwa. Istotnie, w niespełna dwa miesiące objął to stanowisko.

Wszyscy wierzowali księżnej powagi jej bratanka; była to po prostu rozpacz. Nazajutrz po jego uwolnieniu połączonym z dymisją i wygnaniem Fabia Conti, Klelia schroniła się do hrabiny Cantarini, swej ciotki, kobiety bogatej, starej i wyłącznie zajętej swym zdrowiem. Klelia mogłaby widywać Fabrycego; ale ktoś, kto by znał jej dawniejsze uczucia i kto by ją widział teraz, mógłby mniemać, że wraz z niebezpieczeństwem grożącym kochankowi i miłość jej pierzchła. Fabrycy nie tylko przechodził, najczęściej jak tylko mógł, pod pałacem Cantarini, ale udało mu się, mimo niesłychanych trudności, wynająć mieszkanie naprzeciw okien pierwszego piętra. Pewnego razu Klelia, wyjrząwszy nieopatrznie oknem na procesję, cofnęła się natychmiast, jakby rażona gromem; ujrzała Fabrycego, odzianego czarno, ale na sposób biednego robotnika, jak patrzył na nią z tej nory przez okno o szybach z naoliwionego papieru, jak niegdyś z wieży Farnese. Fabrycy rad byłby wierzyć, że Klelia unika go wskutek niełaski ojca, którą głos publiczny przypisywał księżnej; ale nadto dobrze znał inne przyczyny jej niechęci i nic nie mogło rozproszyć jego melancholii.

Nie wzruszyło go ani niewinność, ani wysokie stanowisko, pierwsze, jakie miał zajmować w życiu, ani piękna pozycja w świecie, ani wreszcie nadszkakiwania całego kleru i pobożnych owieczek diecezji. Śliczny apartament, jaki miał w pałacu Sanseverina, okazał się niewystarczający. Ku swemu wielkiemu zadowoleniu księżna musiała mu odstąpić w pałacu całe drugie piętro oraz na pierwszym piętrze dwa salony, wciąż pełne osób żadnych przedłożyć swoje służby młodemu koadiutorowi. Klauzula przyszłego następstwa wywarła niesłychane wrażenie w kraju; poczytywano obecnie za cnotę Fabrycemu ową męskość charakteru, która niegdyś tak gorszyła biednych i głupich dworaków.

Było to wielką lekcją filozofii dla Fabrycego czuć się zupełnie niewrażliwym na te zaszczyty i o wiele nieszczęśliwym we wspaniałym apartamencie z dziesięcioma lokajami o jego barwach niż niegdyś w drewnianej celi na wieży Farnese, w otoczeniu wstrętnych dozorców i wciąż w obawie o życie. Matkę jego i siostrę, księżną V..., które przybyły do Parmy, aby go oglądać w jego chwale, uderzył jego smutek. Margrabinę del Dongo, obecnie najmniej romantyczną z kobiet, tak to zaniepokoiło, że sądziła, iż w wieży Farnese zadano mu jakąś powolną truciznę. Mimo iż bardzo dyskretna, czuła się w obowiązku wspomnieć mu o tym niezwykłym smutku, na co Fabrycy odpowiedział jedynie łzami.

Przywileje, płynące z jego świetnej pozycji, niecierpliwiły go tylko. Brat jego, dusza próżna i skażona najpodlejszym samolubstwem, napisał doń list gratulacyjny, niemal oficjalny; do listu dołączył przekaz na pięćdziesiąt tysięcy franków, iżby mógł — powiadał świeży margrabia — kupić sobie konie i powóz, godne swego nazwiska. Fabrycy przesłał tę sumę młodszej siostrze, nieszczególnie wydanej za męża.

Hrabia Mosca kazał sporządzić piękny włoski przekład genealogii rodu Valserra del Dongo, wydanej niegdyś po ładnie przez parmeńskiego arcybiskupa Fabrycego. Dał go bogato wydrukować wraz z tekstem łacińskim; wspaniałe litografie wykonano w Paryżu. Pani Sanseverina życzyła sobie, aby piękny portret Fabrycego znalazł się naprzeciw portretu dawnego arcybiskupa. Tłumaczenie to ogłoszono jako dzieło Fabrycego, dokonane w czasie pierwszego pobytu w więzieniu. Ale wszystko obumarło w naszym bohaterze, nawet próżność wrodzona człowiekowi; nie raczył przeczytać ani stronicę z dzieła, które mu przypisywano. Pozycja jego nakazała mu wręczyć suto oprawny egzemplarz księciu, który uważał, że jest mu winien zadośćuczynienie za widmo okrutnej śmierci, czyhającej nań z tak bliska, i użyczył mu osobliwego wstępu do swego pokoju; fawor ten łączył się z tytułem *ekscelencji!*

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Jedynie chwile, w czasie których Fabrycy miał możliwość ocknąć się z głębokiego smutku, spędzał ukradkiem za szybą, którą kazał zastąpić szybą z natłuszczonego papieru w oknie swego pokoiku naprzeciw pałacu Cantarini, gdzie, jak wiadomo, schroniła się Klelia. W ciągu tych kilku razy, które ją widział po wyjściu z cytadeli, głęboko był zmartwiony

widocznymi zmianami, które mu się wydały fatalną wróżbą. Od czasu jej błędu fizjonomią Klelii oblokła się w zadziwiająca szlachetność i powagę; można by rzec, że miała trzydzieści lat. W tej niezwykłej zmianie Fabrycy dostrzegł odbłask jakiegoś mocnego postanowienia. „W każdym momencie — powiadał sobie — ponawia przysięgę, jaką uczyniła Madonnie, że mnie nigdy nie ujrzy.”

Fabrycy odgadywał jedynie w części smutku Klelii; wiedziała, że jej ojcu, który popadł w zupełną niełaskę, nie wolno wrócić do Parmy i pojawić się na dworze (rzecz, bez której życie było dlań niemożliwe) aż w dniu jej ślubu z margrabią Crescenzi; napisała do ojca, że pragnie tego małżeństwa. Generał przebywał wówczas w Turynie, chory ze zgryzoty. W istocie rzeczy powzięcie tej wielkiej decyzji posunęło ją o jakieś dziesięć lat.

Klelia wiedziała, że Fabrycy ma okienko naprzeciw pałacu Cantarini; ale miała nieszczęście spojrzeć na niego tylko raz; z chwilą gdy spostrzegła głowę lub postać przypominające nieco Fabrycego, zamykała natychmiast oczy. Głęboka jej pobożność i ufność w pomoc Madonny stały się odtąd jedyną jej ucieczką. Mimo że bolała nad tym, nie szanowała ojca; charakter przyszłego męża wydawał się jej doskonale płaski, a sposób odczuwania taki jak u wszystkich dworaków. Wreszcie, ubóstwiała człowieka, którego nie miała nigdy ujrzyć, a który jednakże miał do niej prawa. Wszystko to zdawało się jej szczytem nieszczęścia, i musimy przyznać, że miała słuszność. Powinna by po ślubie przenieść się o dwieście mil od Parmy.

Fabrycy znał niezwykłą skromność Klelii; wiedział, jak bardzo by ją uraziło wszelkie zuchwalstwo, zdolne, gdyby je odkryto, ściągnąć rozgłos. Mimo to, doprowadzony do ostateczności swoim smutkiem oraz wciąż umykającymi się spojrzeniami Klelii, odważył się przekupić dwóch służących jej ciotki. Jednego wieczora, o zmierzchu, Fabrycy przebrany za wieśniaka pojawił się u bram pałacu, gdzie go czekał przekupiony lokaj; oznajmiono go jako przybysza z Turynu, mającego dla Klelii listy od jej ojca. Służący poszedł z tym zleceniem, wprowadziwszy Fabrycego do olbrzymiej sieni na pierwszym piętrze. W tym miejscu Fabrycy przebył najbardziej może wzruszający kwadrans swego życia. Gdyby go Klelia odtrąciła, nie byłoby już dlań spokoju. „Aby położyć kres skrupułom, jakie mi narzuca nowa godność, uwolnię Kościół od złego kapłana i pod przybranym mianem schronię się w jakiejś pustelni.” Wreszcie służący oznajmił, że panna Klelia życzy sobie go przyjąć. Odwaga opuściła zupełnie naszego bohatera; omal nie upadł ze strachu, wchodząc na drugie piętro.

Klelia siedziała przy stoliku, na którym płonęła jedna świeca. Skoro tylko poznała Fabrycego pod przebraniem, pierzchła i skryła się w kącie salonu.

— Oto jak pan dba o moje zbawienie! — krzyknęła, zasłaniając sobie twarz rękami. — Wiesz przecie, iż w chwili gdy ojciec omal nie zginął otruty, uczyniłam ślub, że nigdy cię nie ujrzę. Chybiłam temu ślubowi jedynie w owym dniu, najniezszczęśliwszym w moim życiu, kiedym uznała w sumieniu, że powinna cię ratować od śmierci. To już wiele, że przez wykrętny i z pewnością zbrodniczy wykład mej przysięgi godzę się wysłuchać cię.

To zdanie tak zdumiało Fabrycego, że trzeba było kilku sekund, aby się nim ucieszyć. Spodziewał się najwyższego gniewu, ucieczki Klelii; wreszcie odzyskał przytomność umysłu i zgasił jedyną świecę. Mimo iż zdawało mu się, że dobrze rozumiał rozkaz Klelii, drżał cały, posuwając się w głąb salonu, gdzie ona schroniła się za kanapę; nie wiedział, czy jej nie obrazi pocałunkiem w rękę; ale ona, drżąc z miłości, rzuciła się w jego ramiona.

— Drogi Fabrycy — rzekła — jakżeś ty długo nie przychodził! Mogę z tobą mówić tylko chwilę, bo to z pewnością wielki grzech; kiedy przyrzekłam nie widzieć cię nigdy, z pewnością rozumiałam, że nie będę i mówiła z tobą. Ale jak mogłeś tak po barbarzyńsku prześladować mego ojca za jego chęć odwetu? Bo przecież to jego najpierw omal nie otruto dla ułatwienia twej ucieczki. Czy nie powinienes zrobić coś dla mnie, która tak naraziłam moją dobrą sławę, aby cię ocalić? Zresztą jesteś związany przez swoje święcenia; nie mógłbyś mnie już zaślubić, choćbym nawet zdołała oddać wstrętnego margrabiego. I jak śmiałeś w dzień procesji próbować widzieć mnie w biały dzień, gwałcąc w tak krzyżący sposób świętą obietnicę, jaką dałam Madonnie?

Fabrycy tulił ją w ramionach, oszalały ze zdumienia i ze szczęścia.

Rozmowa, gdzie było takie mnóstwo rzeczy do powiedzenia, nie mogła skończyć się tak szybko. Fabrycy opowiedział Klelii prawdę o wygnaniu jej ojca; pani Sanseverina nie była w to wmieszana w najmniejszym stopniu, dla tej prostej przyczyny, że ani na chwilę

Przysięga, Miłość, Podstęp,  
Pozory

nie uważała generała Conti za autora pomysłu otrucia; zawsze wierzyła, że to był koncept stronnictwa Raversi, które chciało się pozbyć hrabiego Mosca. To uszczęśliwiło Klelię; była w rozpacz, że musi nienawidzić kogoś bliskiego Fabrycemu. Obecnie nie była już zazdrosna o księżnę.

Szczęście zrodzone z tego wieczora trwało tylko kilka dni.

Przeznaczony don Cezar przybył z Turynu; czerpiąc odwagę z nieskazitelnej uczciwości swego serca, ośmielił się udać do księżnej. Wziąwszy od niej słowo, że nie nadużyje jego zwierzeń, wyznał, że jego brat, zmamiony fałszywym punktem honoru, uważając się za znieważonego i zgubionego w opinii przez ucieczkę Fabrycego, uważał, że ma obowiązek się zemścić.

Don Cezar nie mówił ani dwóch minut, a już wygrał sprawę; jego nieskazitelna cnota ujęła księżnę, nie przywykłą do takiego widoku. Spodobał się jej jako nowość.

— Niech ksiądz przyspieszy małżeństwo Klelii z markizem Crescenzi, a daję słowo, że uczynię, co w mej mocy, aby generała przyjęto tak, jak gdyby wracał z podróży. Zaproszę go na obiad; czy ksiądz zadowolony? Bez wątplenia w początkach będzie nieco chłodu i generał nie powinien zbyt się śpieszyć z prośbą o przywrócenie mu gubernatorstwa cytadeli. Ale ksiądz wie, że ja mam wiele przyjaźni dla margrabiego i nie będę chowała urazy do jego teścia.

Uzbrojony w te słowa, don Cezar udał się do bratanicy i oznajmił jej, że ma w rękach życie ojca chorego z rozpacz. Od kilku miesięcy nie paradował na żadnym dworze!

Klelia zapragnęła odwiedzić ojca, chroniącego się pod przybranym nazwiskiem w wiosce pod Turynem; wyobrażał sobie bowiem, że dwór parmeński zażąda od dworu turyńskiego jego wydania, aby go oddać pod sąd. Zastała go chorym, niemal obłąkanym. Tegoż wieczora napisała do Fabrycego list z ostatecznym zerwaniem. Otrzymałszy ten list Fabrycy, który zdradzał charakter zupełnie podobny do charakteru swej kochanki, schronił się do klasztoru w Velleja, w górach, o dziesięć mil od Parmy. List Klelii miał dziesięć stron; przysięgła mu niegdyś, że nigdy nie zaślubi margrabiego bez jego zezwolenia; obecnie prosi o nie, a Fabrycy użył go jej ze swego schronienia w Velleja w liście pełnym najczystszej przyjaźni.

Otrzymałszy ten list, którego, trzeba przyznać, braterski ton ją podrażnił, Klelia oznaczyła sama dzień swego zameścia, z którym związane uroczystości pomnożyły jeszcze blask, jakim błyszczał tej zimy dwór parmeński.

Ranucy Ernest V był w gruncie skąpy; ale był szalenie zakochany i miał nadzieję przywiązać panią Sanseverina do swego dworu: wręczył matce znaczną sumę i prosił, aby dawała zabawy. Wielka ochmistrzyni umiała cudownie wyzyskać tę hojność; zabawy w Parmie tej zimy przypominały piękne dni dworu w Mediolanie i sympatycznego księcia Eugeniusza, wicekróla Włoch, którego dobroć zostawiła tak długie wspomnienie.

Obowiązki koadiutora powoływały Fabrycego do Parmy; ale oświadczył, iż z nabożnych pobudek pragnie wieść dalej swój pustelniczy żywot w małym mieszkanku, które protektor jego, arcybiskup Landriani, oddał mu w konsystorz; tam też zamknął się w towarzystwie jednego tylko służącego. Nie wziął udziału w świetnych zabawach dworskich, co mu zyskało w Parmie i jego przyszłej diecezji olbrzymi rozgłos świętości. To usunięcie się od świata, zrodzone jedynie z głębokiego i beznadziejnego smutku, miało osobliwy skutek: zacny arcybiskup, który go zawsze kochał i który sam zapragnął zrobić go koadiutorem, stał się o niego po trosze zazdrosny. Arcybiskup uważał, i słusznie, za swój obowiązek pojawiać się na wszystkich dworskich zabawach, jak jest zwyczaj we Włoszech. W tych okazjach kładł swój uroczysty strój, ten sam prawie, w jakim się go widywało w katedrze. Setki lokajów, zgromadzonych w kolumnadzie pałacu, wstawały, prosząc arcybiskupa o błogosławieństwo, którego im też udzielał. W takiej chwili uroczystego milczenia usłyszał: „Nasz arcybiskup chodzi na bale, a monsignore del Dongo nie opuszcza pokoju!”

Z tą chwilą skończyły się niezwykle łaski, jakich Fabrycy zażywał u arcybiskupa; ale mógł już latać o własnych skrzydłach. Całe to postępowanie natchnione jedynie rozpaczą, w jakiej pogrążyło go małżeństwo Klelii, przypisywano surowej i wzniosłej pobożności i dewotki czytały jako budującą lekturę ów przekład genealogii rodzinnej, w której przebijająca obłąkana próżność. Księgarze sporządzili litografię z jego portretu, która rozkupiona została w kilku dniach, zwłaszcza przez gmin; przez nieświadomość rytownik okolił

Zazdrość, Asceta

głowę Fabrycego symbolami biskupimi, do których koadiutor nie ma prawa. Arcybiskup ujrzał portret, wściekłość jego nie miała granic; kazał wezwać Fabrycego, połajał go ostro, w formie, którą gniew czynił chwilami bardzo gminną. Łatwo można się domyślić, że Fabrycy bez żadnej walki wewnętrznej zachował się tak, jakby w podobnych okolicznościach zachował się Fénelon; wysłuchał z najgłębszą pokorą i szacunkiem, skoro zaś prałat skończył, opowiedział mu historię przekładu genealogii, sporządzonego z rozkazu hrabiego Mosca, w epoce jego pierwszego uwięzienia. Wydano ją w celach światowych, co mu się zawsze zdawało niezbyt właściwe dla człowieka jego stanu. Co do portretu, nie miał udziału w jego powtórnym wydaniu, jak zresztą i w pierwszym; kiedy mu księgarz przesłał, w czasie jego rekolekcji, dwadzieścia cztery egzemplarze tego wydania, posłał służącego, aby mu kupił dwudziesty piąty i dowiedziawszy się w ten sposób, że portret sprzedają po trzydziestu soldów, przesłał księgarzowi sto franków za dwadzieścia cztery egzemplarze.

Wszystkie te racje, mimo że przedstawione najumiarkowaniej przez człowieka, który miał inne troski na sercu, podnieciły gniew arcybiskupa; posunął się tak daleko, że obwiniał Fabrycego o obłudę.

„Oto ludzie z gminu — powiedział sobie Fabrycy — nawet gdy zdobędą wykształcenie!”

Miał wówczas poważniejszą troskę: listy ciotki, która nalegała bezwarunkowo, aby wrócił do pałacu Sanseverina lub przynajmniej, aby ją odwiedził niekiedy. Tam Fabrycy pewny był, że usłyszy o wspaniałych zabawach z okazji małżeństwa Klelii: otóż czuł, że tego by nie umiał znieść, nie czyniąc z siebie widowiska.

Kiedy odbyła się ceremonia ślubna, Fabrycy już od całego tygodnia pogrążył się w zupełnym milczeniu, nakazawszy swemu pokojowcowi i ludziom, z którymi się stykał, aby się doń nigdy nie odzywali.

Monsignore Landriani, dowiedziawszy się o nowym wybryku, kazał wzywać Fabrycego częściej niż zazwyczaj i rozpoczynał z nim długie rozmowy; obarczył go nawet konferencjami z paru wiejskimi kanonikami, utrzymującymi, że arcybiskup naruszył ich przywileje. Fabrycy poddawał się temu wszystkiemu z obojętnością człowieka, który ma inne myśli w głowie. „Byłoby o wiele lepiej dla mnie — myślał — zostać kartuzem<sup>82</sup>; mniej bym cierpiał w skałach w Velleja.”

Zaszedł do ciotki; ściskając ją, nie mógł zdławić łez. Wydał się jej tak zmieniony, oczy jego, powiększone nadmiernym wychudzeniem, wysadzone były na wierzch, on sam miał minę tak wynędzniałą i nieszczęśliwą w czarnym, wyszarzanym ubraniu prostego księdza, iż przy tym spotkaniu księżna także nie mogła wstrzymać łez. Ale w chwilę potem, kiedy sobie uświadomiła, że przyczyną całej tej zmiany w wyglądzie tego pięknego młodego człowieka jest małżeństwo Klelii, porwał ją gniew niemal równie gwałtowny co arcybiskupa, mimo że umiejętniej powściągany. Miała to okrucieństwo, iż obszernie rozwiódła się nad malowniczymi szczegółami, dającymi odrębne piętno zabawom wyprawionym przez margrabiego Crescenzi. Fabrycy nie odpowiadał nic; oczy jego przymknęły się konwulsyjnym ruchem, stał się, o ile możliwe, jeszcze bledszy. W chwilach gwałtownego bólu bladość jego przybierała odcień zielonkawy.

Nadszedł hrabia Mosca; to, co ujrzał, a co mu się zdawało nieprawdopodobne, wyleczyło go wreszcie zupełnie z zazdrości, jakiej nigdy Fabrycy nie przestał w nim budzić. Wytrawny ten człowiek użył najdelikatniejszych i najbardziej zręcznych sposobów, aby obudzić w Fabrycym nieco zainteresowania dla spraw tego świata. Hrabia miał dlań zawsze wiele szacunku i sporo przyjaźni; przyjaźń ta, odkąd jej nie paraliżowała zazdrość, stała się niemalże oddaniem. „Drogo nabył swoje splendory” — powiedział sobie hrabia, przechodząc w myślach jego nieszczęścia. Pod pozorem, że chce mu pokazać obraz Parmezana, który książkę przysłał pani Sanseverina, hrabia wziął Fabrycego na bok.

— Słuchaj, chłopcze, mówmy jak mężczyźni: czy mogę ci być w czym pomocny? Nie lękaj się niedyskretnych pytań z mej strony; ale ostatecznie, może potrzebujesz pieniędzy, może moje wpływy mogą ci w czym dopomóc? Mów, jestem na twoje rozkazy; a jeśli wolisz pisać, napisz.

Fabrycy uściskał czule hrabiego i zaczął mówić o obrazie.

<sup>82</sup>kartuz — mnich katolicki z zakonu o surowej regule; pustelnik. [przypis edytorski]

— Twoje postępowanie jest arcydziełem zręczności — rzeki hrabia, wracając do lekkiego tonu — zapewniasz sobie wcale przyjemną przyszłość, książę cię szanuje, lud cię czci, twoja wytarta sutanna nie daje spać arcybiskupowi Landriani. Znam się na tych rzeczach i przysięgam ci, że nie wiem, co by ci jeszcze doradzić w tej mierze. Od pierwszych kroków, w dwudziestym piątym roku życia, osiągnąłeś niemal doskonałość. Mówią wiele o tobie na dworze; a wiesz, czemu zawdzięczasz to wyróżnienie, niezwykle w twoim wieku? Tej wytartej sutannie. Księżna i ja rozporządzamy, jak ci wiadomo, dawnym domem Petrarcki, na pięknie położonym wzgórzu wśród lasów w pobliżu Padu: gdyby ci kiedyś zbrzydziły życie intrygi i zawiść, myślałem, że mógłbyś zostać następcą Petrarcki, którego reputacja pomnożyłaby twoją.

Hrabia siłił się na wesołość, aby wycisnąć uśmiech z tej ascetycznej twarzy, ale na próżno. Zmiana była tym bardziej uderzająca, gdyż dawniej, jeśli fizjonomia Fabrycego miała jakąś wadę, to tę, że przybierała niekiedy bez przyczyny wyraz zadowolenia i wesołości.

Nim się rozstali, hrabia wspomniał, iż mimo jego odludnego życia, byłoby może przesadą nie pojawić się na dworze najbliższej soboty, w dzień urodzin księżnej-matki. Uwaga ta była pchnięciem sztyletu w serce Fabrycego. „Wielki Boże! — pomyślał — po co ja przyszedłem do tego pałacu?” Nie mógł bez drżenia myśleć o spotkaniu, jakie go może czekało na dworze. Ta myśl pochłonęła wszystkie inne; pomyślał, że jedyną ucieczką, jaka mu została, byłoby przybyć do zamku w chwili, gdy otwierają salony.

W istocie nazwisko monsignora del Dongo było jednym z pierwszych, jakie oznajmiono w ów galowy wieczór; księżna-matka przyjęła go ze szczególnymi względami. Fabrycy pilnie śledził wskazówki zegara: skoro minęło dwadzieścia minut, wstał, aby się pożegnać. W tej samej chwili wszedł książę. Przedłożywszy mu swoje służby, Fabrycy cofał się zręcznie ku drzwiom, kiedy przytrzymało go jedno z owych wydarzeń dworskich, które wielka ochmistrzyni tak dobrze umiała przygotować: mianowicie szambelan służbowy pobiegł za nim, aby mu oznajmić, że jest przeznaczony do partii wista Jego Wysokości. W Parmie jest to nadzwyczajny zaszczyt, o wiele powyżej rangi koadiutora. Wist taki był zaszczytem nawet dla arcybiskupa. Słyszając to, Fabrycy czuł, że mu się serce ściska; mimo że nienawidził scen publicznych, już gotował się powiedzieć, że mu się zrobiło słabo; ale pomyślał, że to pociągnie pytania, ubolewania, jeszcze nieznośniejsze niż gra. Tego dnia miał szczególny wstręt do rozmowy.

Szczęściem w liczbie wybitnych osób, które przyszły złożyć czołobitność księżnej-matce, znajdował się generał braci mniejszych. Mnich ten, człowiek bardzo uczony, godny współzawodnik Fontanów i Duvoisinów<sup>83</sup>, przystanął w samym kącie; Fabrycy pomieścił się na wprost niego, tak aby nie widzieć wchodowych drzwi, i zawiązał dyskurs teologiczny. Ale nie mógł sprawić, aby nie doszedł jego ucha głos lokaja oznajmającego margrabiostwo Crescenzi. Wbrew swemu oczekiwaniu Fabrycy uczuł, że chwytą go gwałtowny gniew:

„Gdybym był Borso Valserra — powiedział sobie (był to jeden z wodzów pierwszego Sforzy) — zasztyletowałbym tego ciemnego margrabię właśnie tym sztylecikiem o rękojeści z kości słoniowej, który mi dała Klelia owego szczęsnego dnia; nauczyłbym go, co to za bezczelność z jego strony pokazywać się ze swoją margrabiną tam, gdzie ja jestem.”

Fizjonomia zmieniła mu się tak, że generał braci mniejszych zapytał:

— Czy Waszej Ekscelencji niedobrze?

— Głowa boli mnie szalenie... Te światła mnie rażą... zostają jedynie, bo mnie powołano do partii księcia.

Na te słowa generał braci mniejszych, plebejusz z pochodzenia, tak osłupiał, że nie wiedząc już, co robić, zaczął się kłaniać Fabrycemu, który znowuż, bardziej jeszcze zmieszany niż ów zakonnik, zaczął mówić gorączkowo; czuł, że robi się za nim cisza, a nie chciał się obejrzeć. Naraz smyczek uderzył o pulpit, rozległa się przygrywka i słynna pani P...<sup>84</sup> zaśpiewała arię Cimarosy, niegdyś tak sławną: *Ouelle pupille tenere!*

Fabrycy wytrzymał parę taktów, ale niebawem gniew jego pierzchnął: czuł gwałtowną

Łzy

<sup>83</sup>Jean-Baptiste Duvoisin (1744–1813) — fr. dostojnik kościelny, autor m.in. *Szkiców o tolerancji*, cieszył się zaufaniem Napoleona I. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>Słynna pani P... — Pasta, właśc. Guiditta Negri (1718–1865), śpiewaczka włoska. [przypis redakcyjny]

potrzebę łez. „Wielki Boże! — powiedział sobie — cóż za pocieszna scena! Jeszcze w mojej sukni!” Uważał, że bezpieczniej będzie mówić o sobie.

— Te szalone bóle, kiedy się im opieram, jak tego wieczora — rzekł do zakonnika — przyprowadzają mnie w końcu o napad łez, który mógłby narazić na obmowę człowieka naszego stanu; dlatego proszę Waszą Wielbność, aby pozwolił, bym płakał, patrząc na niego, i aby nie zwracał na to uwagi.

— Nasz prowincjał w Catanzara cierpi na tę samą dolegliwość — rzekł zakonnik. I zaczął półgłosem długą historię.

Komiczna strona historii, zawierającej między innymi opis wieczery u prowincjała, spowodowała uśmiech na wargi Fabrycego, co mu się od dawna nie zdarzyło: ale niebawem przestał słuchać minoryty<sup>85</sup>. Pani P... śpiewała z boskim talentem arię Pergoleziego<sup>86</sup> (księżna-matka lubiła staroświecką muzykę). Tuż za Fabrycem rozległ się szelest; pierwszy raz tego wieczora odwrócił oczy. Na fotelu, pod którym zaskrzypiała podłoga, siedziała margrabina Crescenzi, której oczy napełnione łzami spotkały się wprost z oczami Fabrycego, również w nielepszym stanie. Margrabina spuściła głowę, Fabrycy patrzył na nią jeszcze kilka sekund: zaznajamiał się niejako z tą głową strojną diamentami, ale spojrzenie jego wyrażało gniew i wzgardę. Potem powiadając sobie: *i moje oczy nie spojrzę na ciebie nigdy*, obrócił się do minoryty i rzekł:

— Czuję, iż moja dolegliwość chwyta mnie silniej niż kiedykolwiek.

W istocie Fabrycy płakał gorącymi łzami więcej niż pół godziny. Szczęściem symfonia Mozarta, ohydnie kaleczona, jak zwykle we Włoszech, przyszła mu z pomocą i osuszyła jego łzy.

Trzymał się dzielnie i nie obrócił oczu w stronę margrabiny Crescenzi; ale pani P... zaczęła śpiewać na nowo i dusza Fabrycego, ukojona łzami, doszła do zupełnego spokoju. Wówczas życie ukazało mu się w nowym świetle. „Czyż ja mogę zapomnieć o niej tak od razu? Czyż to możliwe?” Doszedł do tej myśli: „Czy mogę być nieszczęśliwszy, niż jestem od dwóch miesięcy? A jeżeli nic nie może pomnożyć mych męczarni, po co opierać się rozkoszy widzenia jej? Zapomniała o przysięgach; jest płocha: czy nie są płochy wszystkie kobiety? Ale kto mógłby jej odmówić niebiańskiej piękności? Spojrzenie jej wprawia mnie w zachwyt, podczas gdy trzeba mi się zmuszać, aby patrzeć na kobiety uchodzące za piękności! Zatem czemu nie dać się upajać? Będę miał choć chwilę wytchnienia.”

Fabrycy znał się nieco na ludziach, ale zgoła nie znał się na namiętnościach; inaczej powiedziałby sobie, że ta przyjemność jednej chwili, której miał się poddać, unicestwi wszelkie wysiłki, jakie czynił od dwóch miesięcy, aby zapomnieć o Klelii.

Biedna margrabina przyszła na tę uroczystość zmuszona przez męża; chciała wyjść po pół godzinie pod pozorem niedomagania, ale margrabia oświadczył, że odjeżdżać w chwili, gdy powozy napływały jeszcze, byłoby czymś niepraktykowanym, co mogłoby być nawet tłumaczone jako krytyka zabawy wydanej przez księżnę-matkę.

— Ja, w charakterze szambelana — dodał — muszę być na rozkazy księżnej, póki wszyscy nie odejdą; może mieć jakieś zlecenia dla służby: ci ludzie tacy są niedbali! Czy chcesz, aby prosty koniuszy uzurpował sobie ten zaszczyt?

Klelia poddała się; nie spostrzegła jeszcze Fabrycego; miała nadzieję, że nie przybędzie na tę uroczystość. Ale gdy koncert miał się zacząć i księżna pozwoliła damom usiąść, Klelia, bardzo mało zapobiegliwa w tych rzeczach, dała sobie wydrzeć najlepsze miejsce w pobliżu księżnej-matki i musiała szukać fotela w głębi sali, właśnie w tym kącie, gdzie schronił się Fabrycy. Niezwykły w tym miejscu strój generała minorytów pociągnął jej oczy; zrazu nie spostrzegła szczupłego człowieka w skromnym czarnym ubraniu, który z nim rozmawiał; jakiś tajemny odruch przykuł jej wzrok do tego człowieka. Wszyscy tu mają mundury lub bogato haftowane fraki: kim mógłby być ten młodzieniec w tak prostym czarnym ubraniu? Patrzała nań z głęboką uwagą, kiedy jakaś dama, siadając, trąciła jej fotel. Fabrycy odwrócił głowę; nie poznała go, taki był zmieniony. Zrazu powiedziała sobie: „To ktoś podobny do niego, to musi być jego starszy brat; ale myślałam, że brat jest tylko o kilka lat starszy, a to jest mężczyzna czterdziestoletni.” Naraz poznała go po drgnieniu ust.

<sup>85</sup> *minoryta* — franciszkanin. [przypis edytorski]

<sup>86</sup> *Giovanni Battista Pergolesi* (1710–1736) — kompozytor włoski. [przypis redakcyjny]



„Biedny, ile on wycierpiał!” — powiedziała sobie. Spuściła głowę, przygnieciona bólem, a nie aby być wierną swemu ślubowi. Serce jej ścisnęło się litością; o ileż lepiej wyglądał po dziesięciu miesiącach więzienia! Nie patrzyła nań już; ale mimo iż nie wracała wyraźnie głowy w jego stronę, widziała każdy jego ruch.

Po koncercie ujrzała, że podchodzi do stolika przeznaczonego na partię księżęcą, o kilka kroków od tronu; odetchnęła, kiedy się oddalił.

Ale margrabiemu Crescenzi bardzo było nie w smak, iż widzi żonę tak daleko od tronu; cały wieczór tłumaczył pewnej damie, siedzącej o trzy fotele od księżnej-matki i której mąż miał wobec niego zobowiązania pieniężne, że dobrze by uczyniła, zamieniając się na miejsca z margrabiną. Kiedy biedna kobieta, jak można pojąć, opierała się, odszukał męża-dłużnika, który dał do zrozumienia swojej połowicy smutną prawdę; wreszcie margrabia dokonał szczęśliwej transakcji i poszedł po żonę.

— Ty będziesz zawsze za skromna — rzekł. — Czemu tak spuszczasz oczy? Wzięłyby cię ktoś za jakąś mieszczkę, zdumioną, że się tu znalazła, i budzącą wzajem zdumienie we wszystkich. Ta postrzelona Sanseverina je tu wprowadza. I mówi się o zwalczaniu jakobinizmu! Pomyśl, że twój mąż zajmuje pierwsze miejsce na dworze księżnej-matki; a gdyby nawet republikanie zdołali znieść dwór lub zgoła szlachtę, i tak twój mąż pozostałby najbogatszym człowiekiem w państwie. Nie dosyć sobie to uświadamiasz.

Fotel, w którym margrabia z rozkoszą usadowił żonę, był zaledwie o sześć kroków od partii księżęcej; widziała Fabrycego jedynie z profilu, ale wydał się jej tak wychudzony, wyglądał na człowieka tak oderwanego od wszystkich spraw świata, on, który dawniej nie przepuścił żadnego wydarzenia, aby nie wtrącić słówka, iż doszła wreszcie do tego okropnego wniosku: Fabrycy zmienił się zupełnie, zapomniał o niej; jeżeli tak schudł, to wskutek surowych postów nałożonych przez pobożność. Rozmowy sąsiadów umocniły Klelię w tej smutnej myśli; imię koadiutora było na wszystkich ustach; dociekano przyczyn niezwyklej łaski, na którą patrzano; on, tak młody, w partii księżęcej! Podziwiano obojętną i wyniosłą minę, z jaką rzucał karty, nawet kiedy zbierał Jego Wysokości.

— Ależ to nie do wiary! — wykrzykiwali starzy dworacy — fawor ciotki zawrócił mu zupełnie w głowie... ale dzięki niebu, to nie potrwa; nasz pan nie lubi, aby z nim przybierać te górne miny. — Pani Sanseverina zbliżyła się do księcia; dworacy, którzy trzymali się w pełnym szacunku oddaleniu od stołu karcianego, tak iż z rozmowy księcia mogli słyszeć jedynie oderwane słowa, zauważyli, że Fabrycy mocno się czerwieni. — To ciotka — powiadali — nauczyła go tej pańskiej obojętności. — Fabrycy usłyszał właśnie głos Klelii: odpowiadała coś księżnej-matce, która obchodząc sale zaszczyciła rozmową żonę swego szambelana. Nadeszła chwila, gdy Fabrycy musiał się przesiąść, wówczas znalazł się wprost Klelii i kilkakrotnie poddał się szczęściu przyglądania się jej. Biedna margrabina, czując, że on na nią patrzy, traciła wszelkie panowanie nad sobą. Kilka razy zapomniała o swym ślubie: w gorącym pragnieniu przeniknięcia duszy Fabrycego wlepiła weń oczy.

Skoro księżę ukończył grę, damy wstały, aby przejść do jadalni. Było nieco zamieszania. Fabrycy znalazł się obok Klelii; trzymał się dzielnie, kiedy nagle poznał delikatny zapach perfum, którymi skrapiała suknie; wrażenie to obaliło wszystkie jego intencje. Zbliżył się i wymówił półgłosem i jakby do siebie dwa wiersze z owego sonetu Petrarcki, który jej przesłał na jedwabnej chustce, znad Lago Maggiore: „Jakież było moje szczęście wówczas, gdy pospółstwo uważało mnie za nieszczęśliwego, a teraz jakże mój los się odmienił!”

„Nie, nie zapomniał o mnie — powiedziała sobie Klelia z uniesieniem. — Ta piękna dusza nie umie być niestała! »Nie, nigdy nie ujrzycie mej odmiany wy, piękne oczy, któreście mnie nauczyły kochać.«” Klelia ośmieliła się powtarzać w myśli te wiersze Petrarcki.

Księżna-matka oddaliła się natychmiast po wieczery; księżę udał się za nią do jej pokojów i nie zjawił się już na sali balowej. Z chwilą gdy się rozeszła ta wiadomość, wszyscy rzucili się ku wyjściu; w przedpokojach zamęt był zupełny. Klelia znalazła się tuż koło Fabrycego; głębokie cierpienie, malujące się w jego rysach, obudziło jej litość.

— Zapomnijmy o przeszłości — rzekła — i niech pan zachowa tę pamiątkę *przyjaźni*. — Mówiąc te słowa, położyła wachlarz w ten sposób, aby Fabrycy mógł go wziąć.

Świat zmienił się w oczach Fabrycego; w jednej chwili stał się innym człowiekiem; następnego dnia oświadczył, że odludzie jego skończone, i zajął z powrotem wspania-

ly apartament w pałacu Sanseverina. Arcybiskup był przekonany i mówił, że to łaska, jaką mu wyświadczył książę, dopuszczając go do swej partii, zawróciła w głowie świeżo upieczonemu świętemu; pani Sanseverina odgadła, że się pojednał z Klelią. Ta myśl, połączona z torturą, jaką jej zadawała pamięć nieszczęsnej obietnicy, skłoniła ją do usunięcia się na jakiś czas ze dworu. Zdumiewano się jej szaleństwem. Jak to! Oddalać się ze dworu w chwili, gdy łaska, jaką się cieszyła, zdawała się bez granic! Hrabia, szczęśliwy bez chmurki, odkąd widział, że nie istnieje nic między Fabrycem a panią Sanseverina, powiadał do przyjaciółki:

— Ten młody książę to wcielenie cnót, ale nazwałem go *dzieckiem*; czy mi przebaczy kiedy? Widzę tylko jeden sposób szczerego pogodzenia się z nim: rozstanie. Okażę najdoskonalszą uprzejmość i szacunek, po czym zachoruję i poproszę o zwolnienie. Pozwolisz mi, skoro los Fabrycego jest zapewniony. Ale czy uczynisz to olbrzymie poświęcenie — dodał śmiejąc się — aby zmienić wspaniały tytuł diuszesy na inny, skromniejszy? Aby się rozerwać, zostawiam tu wszystko w najokropniejszym nieładzie; miałem kilku tęgich pracowników w rozmaitych ministeriach, kazałem ich spensjonować<sup>87</sup> od dwóch miesięcy pod pozorem, że czytują francuskie gazety, i zastąpiłem ich tumanami pierwszej klasy.

Po naszym wyjeździe książę znajdzie się w takim kłopotcie, że mimo wstępu, jaki w nim budzi Rassi, jestem przekonany, że będzie musiał go powołać z powrotem, ja zaś czekam jedynie rozkazu tyraństwa rządzącego moim losem, aby napisać czuły list do mego przyjaciela Rassięgo i oznajmić mu, iż mam wszelkie powody żywić nadzieję, że niebawem zasługi jego będą należycie ocenione.<sup>88</sup>

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Ta poważna rozmowa odbyła się nazajutrz po powrocie Fabrycego do pałacu Sanseverina; księżna była jeszcze pod wrażeniem radości, jaka tryskała ze wszystkich postępów Fabrycego. „Zatem — powiadała sobie — ta pobożnisia oszukała mnie! Nie umiała się oprzeć kochankowi ani trzy miesiące.”

Pewność szczęśliwego rozwiązania dała młodemu księciu — tej wcielonej nieśmiałości — odwagę kochania. Posłyszał coś o przygotowaniach do wyjazdu, jakie czyniono w pałacu Sanseverina; a jego pokojowiec Francuz, sceptyk na punkcie cnoty wielkich dam, dodał mu odwagi. Ernest V pozwolił sobie na krok, surowo zganiony przez matkę i przez wszystkich rozsądnych ludzi na dworze; lud widział w tym przypiecztowanie zdumiewającej łaski, jaką cieszyła się pani Sanseverina: książę odwiedził ją w jej pałacu!

— Pani jedzie — rzekł z powagą, która wydała się księżnej wstrętą — pani jedzie; chcesz mnie oszukać i chybić swej przysiędze! A wszakże, gdybym o dziesięć minut opóźnił ulaskawienie Fabrycego, byłby trupem. I zostawił mnie pani nieszczęśliwym! A gdyby nie twoja przysięga, nigdy nie miałbym odwagi kochać cię tak, jak kocham! Czyż pani nie ma honoru?

— Zastanów się, książę. Czy w twoim życiu był okres równy co do szczęścia owym czterem miesiącom, które upłynęły? Twoja chwała jako monarchy i — śmiem wierzyć — twoje szczęście jako uroczego mężczyzny nigdy nie wzniosły się na tę wyżynę. Oto układ, jaki proponuję, książę: jeśli raczysz się zgodzić, nie będę twoją kochanką na znikomą chwilę i na mocy przyrzeczenia wymuszonego strachem, ale wszystkie chwile życia poświęcę pracy dla twojego szczęścia, będę zawsze tym, czym byłam od czterech miesięcy, a może miłość z czasem uwieńczy tę przyjaźń. Nie przysięgłabym, że tak nie będzie.

— A więc — rzekł książę, uszczęśliwiony — przyjm inną rolę, bądź czymś więcej jeszcze, panuj wraz nade mną i nad moim państwem, bądź moim pierwszym ministrem; ofiaruję ci małżeństwo takie, jakiego mi pozwalają smutne więzy mego stanowiska. Mam przykład tego niedaleko: król Neapolu zaślubił właśnie księżnę Partana. Ofiaruję ci wszystko, co mogę uczynić: małżeństwo morganatyczne. Dodam jeszcze jedno, aby ci dowieść, że nie jestem już dzieckiem i że zastanawiam się nad wszystkim. Nie chcę so-

<sup>87</sup>spensjonować (daw.) — wysłać na emeryturę. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>napisać czuły list do mego przyjaciela Rassięgo i oznajmić mu, iż mam wszelkie powody żywić nadzieję, że niebawem zasługi jego będą należycie ocenione. — P. y E. in Olo [tj. Paquita i Eugenia (de Montijo) w (miejsowości) Oloron; Red.]. [przypis autorski]

bie poczytywać za zasługę warunku, jaki sobie nakładam, że będę ostatnim z rodu, ani przykrości, z jaką będę patrzył, iż wielkie mocarstwa będą za mego życia rozrządzały moim dziedzictwem: błogosławię te przykrości bardzo istotne, skoro mi dają jeden sposób więcej dowiedzenia ci mego szacunku i miłości.

Pani Sanseverina nie zawahała się ani chwili; książe nudził, a hrabiego bardzo lubiła; jednego tylko człowieka byłaby przełożyła nad niego. Zresztą ona panowała nad hrabią, książe zaś, skępowany swoim stanowiskiem, byłby mniej lub więcej panował nad nią. A wreszcie mógł się odmienić, mógł mieć kochanki; różnica wieku dostarczyłaby mu za kilka lat praw po temu.

Od pierwszej chwili obawa nudów rozstrzygnęła o wszystkim; ale księżna, która chciała być uprzejma, poprosiła o czas do namysłu.

Zbyt długo byłoby tu przytaczać słowa niemal czule i pełne nieskończonej wdzięczności, w jakie umiała spowić swą odmowę. Książe wpadł w gniew: widział, iż całe szczęście wymyka mu się. „Co począć, w razie gdyby pani Sanseverina opuściła dwór? Przy tym co za upokorzenie taka odmowa! Co powie mój pokojowiec Francuz, kiedy mu opowiem swoją porażkę?”

Pani Sanseverina umiała uspokoić księda i sprowadzić pomału rzecz całą do jej istotnego wyrazu.

— Jeżeli Wasza Wysokość raczy nie nalegać na spełnienie nieszczęsnej obietnicy, okropnej w moich oczach, ponieważ każe mi gardzić sobą, spędzę życie całe na dworze i ten dwór będzie zawsze tym, czym był tej zimy; wszystkie moje chwile obrócę na pomnożenie szczęścia Waszej Wysokości jako człowieka i chwały jako panującego. Jeżeli Wasza Wysokość zechce wymagać, abym spełniła przysięgę, splami resztę mego życia i sprawi, iż natychmiast opuszczę ten kraj, aby doń nigdy nie wrócić. Dzień, w którym postradam cześć, będzie ostatnim dniem, w którym ujrzę Waszą Wysokość na oczy.

Ale książe był uparty jak ludzie małoduszni; zresztą odmowa małżeństwa podrażniła jego dumę jako mężczyzny i jako panującego; myślał o trudnościach, które musiałby pokonać, aby przepześć to małżeństwo, na które mimo wszystko był gotów.

Trzy godziny powtarzano z obu stron te same argumenty, często przeplatane ostrymi słowami. Książe wykrzyknął:

— Chce mnie pani tedy przekonać, że pani nie ma honoru? Gdybym się wahał równie długo w dniu, gdy Fabio Conti zadał truciznę Fabrycemu, wznosiłabyś mu obecnie grobowiec w którymś z kościołów w Parmie.

— Nie w Parmie z pewnością, nie w tym kraju trucicieli.

— Zatem jedź pani — odparł książe z gniewem — a uniesiesz z sobą mą wzgardę.

Miał odejść, kiedy pani Sanseverina rzekła cicho:

— A więc niech książe zjawi się tutaj o dziesiątej wieczór, pod najściślejszym *incognito*, a dobiejesz tego lichego targu. Ujrzyś mnie ostatni raz, a byłabym poświęciła życie na to, aby cię uczynić tak szczęśliwym, jak nim może być samowładny monarcha w tym wieku jakobinów. I niech książe zastanowi się, czym będzie twój dwór, skoro nie będzie mnie, aby go wyciągać siłą z przyrodzonej tępoty i złości.

— Pani znowuż odrzucasz koronę Parmy, i więcej niż koronę, nie byłabyś bowiem zwykłą księżniczką poślubioną dla polityki, a bez miłości; serce moje należy do ciebie, byłabyś na zawsze samowładną panią mych uczynków i mego rządu.

— Tak, ale księżna-matka miałaby prawo mną gardzić jako podłą intrygantką.

— A więc skazałbym ją na wygnanie, naznaczywszy jej pensję.

Jeszcze trzy kwadransy trwała ostra wymiana zdań. Książe, który miał duszę delikatną, nie mógł się zdobyć ani na to, aby skorzystać ze swego prawa, ani na to, aby pozwolić pani Sanseverina odjechać. Słyszał kiedyś, że gdy się uzyska pierwszą chwilę, mniejsza o to jak, kobieta zawsze wraca.

Wypędzony przez oburzoną księżnę, ośmielił się wrócić, drżący i nieszczęśliwy, kilka minut przed dziesiątą. O wpół do jedenastej księżna siadła do powozu i jechała do Bolonii. Znalazszy się poza granicami Parmy, napisała do hrabiego:

Poświęcenie spełnione. Nie żądam ode mnie wesołości przez miesiąc. Nie ujrzę już Fabrycego; czekam cię w Bolonii, i kiedy zechcesz, zostanę hrabiną Mosca. Proszę cię tylko o jedno: nie zmuszaj mnie nigdy do pojawienia

się w kraju, który opuszczam, i pamiętaj o tym, że zamiast stu pięćdziesięciu tysięcy funtów renty będziesz miał najwyżej trzydzieści lub czterdzieści tysięcy. Głupcy będą patrzeć na ciebie z rozdziawioną gębą i będą cię szanowali o tyle, o ile zechcesz się zniżyć do ich małostek... Sam tego chciałeś, Grzegorzu Dandin!<sup>89</sup>

W tydzień potem ślub odbył się w Perugii, w kościele, gdzie znajdował się grobowiec przodków hrabiego. Książę był w rozpacz. Hrabina Mosca otrzymała od niego kilka listów, które odesłała nie rozpieczętowane. Ernest V wyznaczył hrabiemu wspaniałą pensję i dał Fabrycemu wielką wstęgę swego orderu.

— To mi się zwłaszcza podobało w tym pożegnaniu. Rozstaliśmy się — powiadał hrabia do świeżej hrabiny Mosca della Rovere — w najlepszej przyjaźni; dał mi wielką wstęgę hiszpańską i diamenty warte co najmniej tyleż. Powiedział, że zrobiłby mnie księciem, gdyby nie chciał zachować sobie tego środka, aby cię ściągnąć z powrotem do swego państwa. Mam tedy zlecenie oświadczyć ci — piękne posłannictwo dla męża — że jeśli raczysz wrócić do Parmy bodaj na miesiąc, ja zostanę księciem pod nazwiskiem, które sama obierzesz, a ty otrzymasz piękne dobra.

Księżna odepchnęła tę myśl ze wstrętem.

Po scenie na balu dworskim, która zdawała się dość rozstrzygająca, Klelia jakby zapomniawszy o miłości podzielanej — zdawałoby się — przez chwilę; najgwałtowniejsze wyrzuty oświadczyły ją cnotliwą i wierzącą duszą. Fabrycy zrozumiał to dobrze i mimo nadziei, jakie starał się w sobie obudzić, w sercu jego zaległa posępna zgryzota. Tym razem wszakże nieszczęście nie zagnało go na odludzie, jak w dobie małżeństwa Klelii.

Hrabia prosił *swego bratanka*, aby mu donosił szczegółowo, co się dzieje na dworze, a Fabrycy, który zaczynał rozumieć, ile mu zawdzięcza, przyrzekł sobie wypełnić zlecenie z całą rzetelnością.

Zarówno jak miasto i dwór, Fabrycy nie wątpił, że jego przyjaciel ma zamiar wrócić do ministerium, i to z większą władzą niż kiedykolwiek. Przewidywania hrabiego spełniły się niebawem: niespełna w sześć tygodni po jego wyjeździe Rassi był pierwszym ministrem; Conti ministrem wojny, a więzienia, które hrabia niemal opróżnił, zapełniały się na nowo. Książę, powołując tych ludzi do władzy, mniemał, że się mści na pani Mosca; szalał z miłości, a zwłaszcza nienawidził hrabiego jako rywala.

Fabrycy miał dużo zajęć; arcybiskup, liczący siedemdziesiąt dwa lata, popadłszy w wielką niemoc, prawie nie wychodził ze swego pałacu; rzeczą koadiutora było zastępować go we wszystkich niemal czynnościach.

Margrabina Crescenzi, przytłoczona wyrzutami i nastraszona przez swego spowiednika, znalazła wyborny sposób chronienia się przed wzrokiem Fabrycego.

Biorąc za pozór schyłek pierwszej ciąży, uczyniła sobie więzienie z własnego pałacu, ale ten pałac miał olbrzymi ogród, Fabrycy zdołał się tam zakraść i w alei, którą Klelia najbardziej lubiła, składał wymownie ułożone kwiaty, tak jak niegdyś ona przesyłała mu je co wieczór w ostatnich dniach więzienia w wieży Farnese.

Zamach ten podrażnił margrabinę; duszą jej poruszały na przemian to zgryzoty, to miłość. Przez kilka miesięcy nie pozwoliła sobie zejść do ogrodu; czyniła sobie nawet wyrzuty, ilekroć tam spojrziała.

Fabrycy zaczynał pojmować, że jest z nią rozłączony na zawsze, rozpacz zaczynała oświadczać jego duszę. Świat, w którym pędził życie, mierzył go; gdyby nie był najgłębiej przekonany, że hrabia nie może znaleźć szczęścia poza ministerium, byłby się usunął do swego mieszkania w konsystorzu. Jakże lubo byłoby mu żyć wyłącznie ze swymi myślami i nie słyszeć głosu ludzkiego poza urzędowaniem.

„Ale — powiadał sobie — w czuwaniu nad sprawami hrabiostwa Mosca nikt nie może mnie zastąpić.”

Książę wciąż odnosił się doń ze względami, które dawały mu pierwsze miejsce na dworze, a fawor ten zawdzięczał Fabrycy w znacznej mierze samemu sobie. Skromność jego, płynąca z obojętności, wstrętu niemal, do wszystkich uczuć i namiętnostek, które wypełniają ludziom życie, podrażniła próżność młodego monarchy: powiadał często, że

<sup>89</sup>Sam tego chciałeś, Grzegorzu Dandin — zdanie to powtarza postać tytułowa komedii Moliera, mieszczanin ożeniony ze szlachcianką i znoszący z tego powodu upokorzenia. [przypis redakcyjny]

Fabrycy ma tyle rozumu, co jego ciotka. Naiwna dusza księcia odgadywała jednak prawdę: iż nikt nie zbliżał się doń w podobnym nastroju ducha co Fabrycy. Nie mogło ująć uwagi nawet pospolitych dworaków, iż szacunek, jakiego zażywał Fabrycy, nie odnosił się po prostu do rangi, ale przewyższał nawet względy, jakie książę okazywał arcybiskupowi. Fabrycy donosił hrabiemu, że jeżeli kiedykolwiek książę będzie miał tyle sprytu, aby spostrzec, jaki zamęt wnoszą w jego sprawy ministrowie tacy jak Rassi, Fabio Conti, Zurla i inni tego rodzaju, on, Fabrycy, będzie naturalnym pośrednikiem, przez którego będzie mógł zrobić krok, nie narażając swej miłości własnej.

Gdyby nie pamięć nieszczęsnego wyrażenia *dziecko* — pisał do hrabiny Mosca — użytego przez genialnego człowieka o dostojnej osobie, dostojna osoba byłaby już wykrzyknęła: „Wracajże prędko i przepędź mi tę hołotę!” Dziś jeszcze, gdyby żona genialnego człowieka raczyła uczynić krok, bodaj najlżejszy, odwołano by hrabiego z radością; ale wróci znacznie wspanialej, jeśli zechce zaczekać, aż owoc dojrzeje. Poza tym rozpaczliwe nudy w salonach księżnej-matki, jedyna rozrywka to bzik Rassiego, który, od czasu jak jest hrabią, stał się maniakiem szlachectwa. Wydano surowe rozkazy, aby żadna osoba nie mogła się wykazać ośmioma stopniami szlachectwa *nie ważyła się* pokazać na wieczorach księżnej-matki (to brzmienie reskryptu). Wszyscy mający prawo wchodzić rano do wielkiej galerii i oczekiwać tam księcia, gdy udaje się na mszę, będą nadal korzystali z tego przywileju; ale każdy nowy musi się wykazać ośmioma stopniami szlachectwa, śmiejąc się, iż widać, że Rassi tych stopni nie posiada.

Można się domyślać, że takich listów nie powierzało się poczcie. Hrabina Mosca odpowiadała z Neapolu:

Mamy co czwartek koncert, a konwersację co niedzielę; nie zmieściłoby się szpilki w naszym salonie. Hrabia jest uszczęśliwiony ze swoich wykopalisk, poświęca na to tysiąc franków miesięcznie; sprowadził właśnie z Abruzów robotników, którzy go kosztują tylko dwadzieścia trzy soldy dziennie. Mógłbyś nas odwiedzić. Oto już więcej niż dwadzieścia razy, niewdzięcznikowi mój, ponawiam to zaproszenie.

Fabrycemu ani to było w głowie: prosty list, który pisywał co dzień do hrabiego lub hrabiny, wydawał mu się wysiłkiem nie do zniesienia. Darujemy mu, skoro pomyślimy, że rok minął, a on nie mógł ani słowa przemówić do Klelii. Wszelkie próby porozumienia odrzucała ze zgrozą. Milczenie, jakie Fabrycy pod wpływem swej melancholii zachowywał wszędzie, wyjąwszy swoich funkcji i wizyt na dworze, połączone z nieskazitelną jego obyczajów, zyskało mu taką cześć, że w końcu namyślił się posłuchać rad ciotki.

Księżę ma dla ciebie tyle czci — pisała — że rychło trzeba spodziewać się niełaski; przy pierwszej sposobności zlekceważy cię, a w ślad za tym pójdzie bezwzględna wżgarda dworaków. Ci mali despoci, choćby i najporządniejsi ludzie, są zmienni jak woda. Zawsze dla jednej przyczyny: nuda. Siłę przeciw kaprynowi księcia możesz znaleźć tylko w kazalnicy. Tak pięknie improwizujesz wiersze! Staraj się mówić pół godziny na temat religii; w początkach będziesz gadał herezje, ale najmiej sobie uczonego dyskretnego teologa, który będzie obecny na kazaniu i zwróci ci uwagę na błędy, a poprawisz je nazajutrz.

Męczarnia zdławionej miłości sprawia, iż każda rzecz wymagająca uwagi i działania staje się okrutnym przymusem. Ale Fabrycy powiadał sobie, że jego wpływ na lud, o ile go zdobędzie, może stać się kiedyś pożyteczny dla ciotki i hrabiego, dla którego szacunek jego wzrastał co dzień, w miarę jak życie uczyło go poznawać niegodziwość ludzką. Zdecydował się wstąpić na ambonę; powodzenie, do którego przyczyniły się jego chudość i wytarta sutanna, było bezprzykładne. W kazaniach jego był powiew głębokiego smutku, który — połączony z jego urodą i z legendą o faworach na dworze — porwał serca kobiet. Wymyśliły, że był jednym z najdzielniejszych żołnierzy Napoleona. Niebawem bajkę tę zmieniono w niewzruszony fakt. Zatrzymywano miejsca w kościele, gdzie miał kazać, biedni sadowili się tam, przez spekulację, od piątej rano.

Powodzenie było takie, iż Fabrycy powziął wreszcie myśl, która przeobraziła do cna jego duszę: mianowicie, iż, bodaj przez prostą ciekawość, margrabina Crescenzi może kiedy przyjść na jego kazanie. I naraz oczarowana publiczność spostrzegła, że talent jego jakby się podwoił; w chwilach wzruszenia pozwalał sobie na obrazy, których śmiałość przyprowadziłaby o drżenie najwytrawniejszych mówców; niekiedy zapominając samego siebie, poddawał się natchnieniu i całe audytorium zalewało się łzami. Ale na próżno jego oko *aggrottato*<sup>90</sup> szukało wśród tyłu twarzy tej, której obecność byłaby dlań czymś tak wielkim!

„Ale jeśli kiedy spotka mnie to szczęście — powiedział sobie — albo zemdleję, albo słów mi zupełnie zbraknie.” Aby się zabezpieczyć od tej możliwości, ułożył namiętną i tkliwą modlitewkę, którą kładł zawsze w kazalnicy na taborecie; miał zamiar odczytać ją, gdyby kiedy obecność margrabiny odjęła mu mowę.

Dowiedział się raz przez służbę margrabiny, wśród której miał ludzi na swym żołdzie, iż wydała rozkazy, aby przygotowano na następny dzień łożę casa Crescenzi w wielkim teatrze. Mijał już rok, jak margrabina nie była na żadnym widowisku: tenor, który budził w tej chwili zachwyty i wypełniał salę, skłonił ją do uczynienia wyłomu w swoich obyczajach. Pierwszym odruchem Fabrycego była bezmierna radość. „Wreszcie będę mógł ją widzieć cały wieczór! Powiadają, że jest bardzo blada.” Starał się wyobrazić sobie, jak może wyglądać ta urocza głowa, umęczona walkami duszy.

Przyjaciel jego, Lodovico, stroskany wielce tym, co nazywał *szalenstwem* swego pana, dostał, ale z wielkim trudem, łożę na czwartym piętrze, prawie na wprost margrabiny. Jedno nasunęło się Fabrycemu: „Mam nadzieję obudzić w niej chęć przybycia na kazanie i wybiorę kościół bardzo mały, aby móc ją dobrze widzieć”. Fabrycy kazał zazwyczaj o godzinie trzeciej. Rano w dniu, w którym margrabina miała iść do teatru, oznajmił, że ważne obowiązki zatrzymają go w konsystorzu cały dzień, będzie tedy wyjątkowo kazał o wpół do dziewiątej w kościółku wizytek, tuż naprzeciw pałacu Crescenzi. Lodovico wręczył siostrzom wizytkom mnogość świec z prośbą o jarzące oświetlenie kościoła. Posłano całą kompanię grenadierów i pomieszczono sztyldwacha z nastawionym bagnetem przed każdą kaplicą, aby zapobiec kradzieżom.

Kazanie zapowiedziano dopiero na wpół do dziewiątej, a o drugiej kościół był pełny; można sobie wyobrazić zgiefk na samotnej uliczce, nad którą górowała szlachetna architektura pałacu Crescenzi. Fabrycy polecił oznajmić, iż na cześć Najświętszej Panny Litosnej będzie kazał o litości, jaką szlachetna dusza winna mieć dla nieszczęśliwego, nawet gdyby zawinił.

Przebrany najstaranniej, Fabrycy udał się do swej łoży w chwili, gdy otwarto teatr, nim jeszcze zapalono światła. Przedstawienie zaczynało się koło ósmej: jakoż w kilka minut później miał radość, której niczyja dusza nie zdołała pojąć, o ile jej nie doznała: ujrzał, iż łoża Crescenzi otwiera się; po chwili weszła margrabina; nie widział jej tak dobrze od owego dnia, w którym mu dała swój wachlarz. Fabrycy miał uczucie, że radość go zadławi; czuł taki przyływ wzruszenia, że pomyślał: „Może umrę! Cóż za uroczy sposób skończenia tego smutnego życia! Może padnę w tej łoży; wierni zebrani u wizytek nie ujrzą mnie dziś, a jutro dowiedzą się, że przyszłego arcybiskupa znaleziono w łoży w Operze, przebranego za lokaja, w liberii! Bądź zdrowa, reputacja! I co mi reputacja!”

Bądź co bądź, była już blisko dziewiąta. Fabrycy przemógł się; opuścił łożę na czwartym piętrze i z wysiłkiem dowlókl się do schronienia, gdzie miał zrzucić liberię i wdziać

<sup>90</sup>*aggrottato* (wł.) — gniewne. [przypis redakcyjny]

stosowne szaty. Dopiero koło dziewiątej przybył do wizytek, tak blady i osłabiony, iż szmer rozległ się w kościele, że koadiutor nie będzie mógł kazać tego wieczora. Można sobie wyobrazić, jakimi staraniami otoczyły go zakonnice u krat wewnętrznej rozmównicy, gdzie się schronił. Damy te mówiły bardzo wiele; Fabrycy poprosił, aby go chwilę zostawiono samego, po czym wstąpił na kazalnicę. Jeden z sekretarzy oznajmił mu koło trzeciej, że kościół wizytek jest zupełnie pełny, ale samego pospółstwa, znęconego widoczną iluminacją. Wchodząc na kazalnicę Fabrycy był mile zdziwiony, widząc wszystkie krzesła zajęte przez wytworną młodzież oraz przez najwybitniejsze osobistości.

Kazanie zaczęło się słowami usprawiedliwienia, które przyjęto stłumionym okrzykiem zachwytu. Nastąpił pełen pasji opis nieszczęśliwego, nad którym trzeba się litować, aby godnie uczcić Najświętszą Pannę Litosną, co sama tyle wycierpiała na ziemi. Mówca był bardzo wzruszony; były chwile, że zaledwie mógł dobyć tyle głosu, aby go słyszano w każdym zakątku małego kościółka. W oczach wszystkich kobiet, a i wielu mężczyzn, on sam wyglądał na nieszczęśliwego, nad którym trzeba się litować, tak był straszliwie blady. W kilka minut po tym wstępie zauważono, że jest tego wieczoru inaczej nastrojony niż zwykle; smutek jego zdawał się głębszy i bardziej rzewny niż zazwyczaj. Raz spostrzeżono łzy w jego oczach: natychmiast podniósł się powszechny szloch tak głośny, że przerwał wręcz kazanie.

Po tej pierwszej przerwie nastąpiło dziesięć innych; wydawano okrzyki zachwytu, płakano, co chwila słyhać było okrzyki: „Och! Panno Najświętsza! Och! Boże!” Wzruszenie wykwiłtnej publiczności było tak powszechne i niepohamowane, że nikt nie wstydził się wydawać okrzyków, i ci, którzy to czynili, nie zdawali się sąsiadom śmieszni.

W pauzie, jaką jest zwyczaj czynić w połowie kazania, powiedziano Fabrycemu, że absolutnie „nikt nie został w teatrze; jedną jedyną damę widziano jeszcze w łoży, margrabinę Crescenzi. W czasie tej pauzy powstał nagle wielki hałas w kościele: to wierni uchwalili wnieść posąg swemu koadiutorowi. Powodzenie drugiej części kazania było szalone, niemal teatralne; miejsce skruchy chrześcijańskiej zajęły okrzyki podziwu zgoła świeckie, tak iż kaznodzieja, zstępując z ambony, uważał za stosowne zwrócić się do słuchaczy z napomnieniem. Opuścili kościół wszyscy naraz, dziwnie skupieni, a wyszedłszy na ulicę jęli oklaskiwać z zapalem wołając: *Evviva del Dongo!*

Fabrycy spojrział śpiesznie na zegarek i pobiegł do okienka, które oświecało wąskie przejście na chórze wewnątrz klasztoru. Przez grzeczność dla niezwykłego tłumu, który napełniał ulicę, szwajcar pałacu Crescenzi umieścił tuzin pochodni w żelaznych rękach, które sterczą z murów średniowiecznych pałaców. Po kilku minutach, nim krzyki ustały, zaszedł fakt, którego Fabrycy oczekiwał z takim lękiem: powóz margrabin, wracając z teatru, zjawił się na ulicy: woźnica musiał się zatrzymać; zaledwie stępa, przy pomocy nawoływań, powóz zdołał dojechać do bramy.

Margrabina była wzruszona niebiańską muzyką, tak jak bywają wzruszone nieszczęśliwe serca; ale o wiele bardziej jeszcze opustoszeniem widowiska, z chwilą gdy dowiedziała się przyczyny, w środku drugiego aktu, gdy cudowny tenor był na scenie, publiczność nawet z krzeseł opuściła miejsca, aby próbować szczęścia i starać się dostać do wizytek. Widząc tłum, który się zatrzymał przed bramą, margrabina załapała się łzami. „Nie zrobiłam złego wyboru” — powiadała sobie.

Ale właśnie z powodu tego rozczulenia oparła się stanowczo naleganiom męża i przyjaciół, którzy nie pojmowali, aby mogła nie chcieć usłyszeć tak zdumiewającego kaznodziei. Dość powiedzieć, mówiono, że zaćmiewa najlepszego tenora w całych Włoszech! „Jeśli go ujrzę, jestem zgubiona!” — powiadała sobie margrabina.

Próżno Fabrycy, którego talent świetniał z każdym dniem, kazał jeszcze kilka dni w kościele obok pałacu Crescenzi; nigdy nie ujrzał Klelii, którą w końcu zaczęło drażnić to zakłócanie spokoju jej cichej ulicy, wobec tego, że już wprzód wygnano ją z ogrodu.

Przebiegając wzrokiem twarze słuchaczek, Fabrycy zauważył od dość dawna ciemną twarzyczkę, bardzo ładną, z której oczu tryskały płomienie. Te wspaniałe oczy były zwykle skąpane we łzach po kilku słowach kaznodziei. Kiedy Fabrycemu wypadło mówić rzeczy, które go nudziły, chętnie kładł spojrzenie na tej główce, ujmującej młodością. Dowiedział się, że to Aneta Marini, córka i dziedziczka najbogatszego sukiennika w Parmie, zmarłego przed kilku miesiącami.

Niebawem imię Anety, córki sukiennika, znalazło się na wszystkich ustach; zakochała się śmiertelnie w Fabrycym. W porze gdy zaczęły się sławne kazania, była zaręczona z Jakubem Rassi, starszym synem ministra sprawiedliwości, który był jej dość sympatyczny; ale ledwie usłyszała dwa razy monsignora Fabrycego, oświadczyła, że nie chce wyjść za mąż, gdy zaś pytano o przyczynę osobliwej zmiany, odparła, że nie byłoby godne uczciwej dziewczyny wychodzić za mąż, będąc bez pamięci zakochaną w innym. Zrazu rodzina dociekała bezskutecznie, kto mógł być ów inny. Ale pałace ły, jakie Aneta wylewała na kazaniu, wskazały drogę prawdy; kiedy matka i wujowie spytali, czy kocha monsignora Fabrycego, odpowiedziała śmiało, że skoro odkryli prawdę, nie będzie się podliła kłamstwem. Dodała, że nie mając nadziei zaślubienia człowieka, którego ubóstwia, chce bodaj uniknąć widoku pociesznej figury *brabicza* Rassi. Śmieszność ta przyczepiona do syna człowieka, którego ścigała zazdrość całego mieszczaństwa, stała się w ciągu dwóch dni bajką całego miasta. Odpowiedź Anety wzbudziła zachwyt, wszyscy powtarzali ją. Mówiono o tym w pałacu Crescenzi, jak mówiono wszędzie.

Klelia nie pisnęła w salonie ani słówka, ale pociągnęła za język służącą i następną niedzielę, wysłuchawszy mszy w kaplicy swego pałacu, kazała garderobianej wsiąść z sobą do powozu i pojechała na drugą mszę do parafii panny Marini. Zastała tam całą złotą młodzież przybyłą z tegoż powodu; panice ci trzymali się w pobliżu drzwi. Niebawem uczynił się między nimi wielki ruch, margrabina domyśliła się, że panna Marini wchodzi do kościoła; mogła ją widzieć doskonale i mimo swej pobożności niewiele zwracała uwagi na mszę. Ta mieszczańska piękność uderzyła Klelię swą pewną siebie minką, która, jej zdaniem, przystałaby raczej wieloletniej mężatce. Przy tym nieduża jej figurka była bardzo zgrabna, a oczy, jak powiadają w Lombardii, zdawały się rozmawiać z przedmiotami, na które patrzyła. Margrabina uciekła przed końcem mszy.

Nazajutrz przyjaciele domu Crescenzi, którzy zachodzili co wieczór do pałacu, opowiadali nową śmieszłą historyjkę o Anecie. Ponieważ matka, obawiając się jej szaleństw, nie zostawiała córce wiele pieniędzy do rozporządzenia, Aneta ofiarowała wspaniałe pierścienie z diamentem, podarek ojca, słynnemu Hayez, wówczas bawiącemu w Parmie dla ozdobienia pałacu Crescenzi, i poprosiła go o portret pana del Dongo, ale żądała, aby na portrecie był ubrany po prostu czarno, nie za księdza. Otóż, mówili, wczoraj matka Anety zdumiała się, a bardziej jeszcze zgorszyła, znajdując w pokoju córki wspaniałe portret Fabrycego del Dongo, oprawny w najpiękniejszą ramę, jaką wyzłocono w Parmie od dwudziestu lat.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Porwani wypadkami nie mieliśmy czasu naszkicować komicznej rasy dworaków, od których roi się w Parmie, a którzy robili pocieszne komentarze na temat wspomnianych wypadków. W kraju tym szlachetka, liczący trzy do czterech tysięcy renty, staje się godny figurować w czarnych pończochach przy *wstawaniu* księcia, przede wszystkim przez to, że nie czytał Woltera ani Rousseau: nietrudny warunek. Trzeba umieć mówić z rozczuleniem o katarze monarchy lub o ostatniej skrzyni mineralów, jaką Otrzymał z Saksonii. Jeżeli do tego nie opuścił ani razu w roku mszy świętej, jeżeli mógł zaliczać do grona swych bliskich przyjaciół paru opasłych mnichów, książę raczył się do ciebie odezwać raz do roku, na dwa tygodnie przed lub dwa tygodnie po pierwszym styczniu, co dawało ci mir w parafii, poborca zaś nie śmiał zanadto cię przyciskać, jeżeli się spóźnił z rocznym podatkiem stu franków, jakim obłożył był twój folwarczek.

Pan Gonzo był to szlachetka tego pokroju, wielce *urodzony*: oprócz rodowitego mająteczku miał, dzięki wpływowi margrabięgo Crescenzi, wspaniałą posadę przynoszącą tysiąc sto pięćdziesiąt franków rocznie. Człowiek ten mógł jeść obiad u siebie, ale miał jedną namiętność: był szczęśliwy jedynie wówczas, gdy się znajdował w salonie jakiegoś personata, który mu powiadał od czasu do czasu: „Cicho siedź, Gonzo, jesteś głupiec.” Był to sąd wielce niesprawiedliwy, gdyż Gonzo miał prawie zawsze więcej oleju w głowie niż ów personat. Rozprawiało wszystkim dość przyjemnie; co więcej, gotów był na jedno skinienie pana domu odmienić swój pogląd. Szczerze mówiąc, mimo że ćwiek w interesach, nie miał w głowie ani śladu myśli i kiedy książę nie był zakatarzony, Gonzo był niekiedy w wielkim kłopotcie, wchodząc do salonu.



Reputację Gonza w Parmie ustalili wspaniały pierożek, zdobny czarnym piórem, nieco wystrzępionym, który kładł nawet do fraka; ale trzeba było widzieć sposób, w jaki nosił to pióro na głowie czy w ręce: w tym był talent i powaga. Wywiadywał się z prawdziwą troską o zdrowie pieska margrabiny i gdyby ogień wybuchł w pałacu Crescenzi, byłby naraził życie, aby ocalić jeden z tych pięknych foteli krytych złocistym brokatem, który od tyłu lat czepiał się jego czarnych jedwabnych spodni, kiedy przypadkiem ośmielił się usiąść na chwilę.

Siedem czy osiem osób tego pokroju przybywało co wieczór o siódmej godzinie do salonu margrabiny Crescenzi. Ledwie usiedli, lokaj wspaniale ubrany w żonkilową liberię ze srebrnymi galonami oraz w czerwoną kamizelkę, która dopełniała przepychu, przychodził zabrać kapelusze i laski nieboraków. Tuż za nim kroczył pokojowiec, przynosząc nieskończenie małą filiżankę kawy na srebrnej filigranowej podstawie; co pół godziny zaś marszałek dworu, przy szpadzie i we wspaniałym francuskim fraku, obnosił lody.

W pół godziny po tych wyświechtanych dworaczkach przychodziło kilku oficerów mówiących bardzo głośno i bardzo wojskowo, dyskutujących zazwyczaj liczbę i rodzaj guzików, jakie powinien mieć mundur żołnierza, aby dowodzący generał mógł odnosić zwycięstwa. Nie byłoby roztropnie zacytować w tym salonie francuski dziennik, choćby nawet nowina okazała się najprzyjemniejsza, na przykład rozstrzelanie pięćdziesięciu liberałów w Hiszpanii, nowinkarz i tak ściągnąłby na siebie odium, że czyta dziennik francuski. Arcydziełem zręczności było dla tych ludzi uzyskać co dziesięć lat podwyżkę pensji o sto pięćdziesiąt franków. W ten sposób książę dzieli ze szlachtą przyjemność władania nad chłopstwem i mieszczaństwem.

Główną figurą salonu Crescenzi był bezspornie kawaler Foscarini, bardzo zacny człowiek; siadywał też po trosze w więzieniu pod każdym rządem. Był członkiem słynnej izby poselskiej, która w Mediolanie odrzuciła *prawo oblatów*<sup>91</sup> przedłożone przez Napoleona, rys bardzo rzadki w historii. Kawaler Foscarini, przez lat dwadzieścia przyjaciel matki margrabiego, zachował wpływ w tym domu. Zawsze miał jakąś opowiastkę na podorędziu, ale nic nie uchodziło jego przenikliwości; toteż młoda margrabina, która czuła się winna w głębi serca, drżała przed nim.

Ponieważ Gonzo żywił szczerą tkliwość dla wszelkiego magnata, który mu mówił grubiaństwa i który mu wyciskał łzy z oczu parę razy na rok, manią jego było oddawać mu drobne usługi; gdyby go nie paraliżowało ubóstwo, byłoby mu się to udawało czasem, ile że nie był pozbawiony sprytu, a zwłaszcza czelności.

Gonzo, taki, jak go znamy, nie miał wielkiego nabożeństwa do margrabiny Crescenzi, ponieważ ani razu nie odezwała się doń niegrzecznie; lecz, bądź co bądź, była to żona słynnego margrabiego Crescenzi, szambelana księżnej-matki, który parę razy na miesiąc mówił doń: „Cicho siedź, Gonzo, jesteś głupiec”.

Gonzo zauważył, że każda wzmianka o Anetce Marini wyprowadza margabinę na moment z zadumy i obojętności, w jakich tonęła zwykle aż do jedenastej; wówczas przyrządzała herbatę i podawała ją każdemu z obecnych, wołając po nazwisku. Po czym, w chwili gdy miała się udać do siebie, odnajdywała jak gdyby cień wesołości: moment ten wybierano, aby jej powtarzać satyryczne sonety.

Sonety takie umieją pisać we Włoszech doskonale: jest to jedyny rodzaj literatury, który ma tam nieco życia: prawda, iż nie podlega cenzurze. Dworacy casa Crescenzi oznajmiali zawsze sonet tymi słowy: „Czy pani margrabina pozwoli łaskawie wygłosić bardzo lichy sonet?” Kiedy zaś sonet ubawił zgromadzenie i kiedy go powtórzono parę razy, któryś z oficerów nieodzownie wołał: „Minister policji powinien by się tym zająć, aby autor podobnych bezceństw zadynał na szubienicy.” Mieszczaństwo, przeciwnie, przyjmuje te sonety z najszczerzym zachwytem, a pisarczyki sprzedają ich kopie.

Z zainteresowania okazanego przez margabinę Gonzo wyobraził sobie, że zbyt chwalone przed nią urodę małej Marini, która poza tym miała milion posagu, i że margrabina jest o nią zazdrosna. Ponieważ ze swoim wiecznym uśmiechem i bezmierną wzdardą dla wszystkiego, co nie jest szlachtą, Gonzo wciskał się wszędzie, zaraz nazajutrz przybył do salonu margrabiny w kapeluszu z piórem nałożonym w tryumfalny sposób, jak mu się to zdarzało raz lub dwa razy w roku, kiedy książę powiedział doń: „Bądź zdrów, Gonzo”.

<sup>91</sup>*prawo oblatów* — zapisywanie edyktów i ustaw w zbiorze praw. [przypis redakcyjny]

Skloniwszy się z szacunkiem margrabinie, Gonzo nie usiadł jak zazwyczaj na fotelu, który mu podano. Stał w środku i wykrzyknął prosto z mostu:

— Widziałem portret monsignora del Dongo.

Klelia była tak zaskoczona, że musiała się oprzeć o fotel: próbowała stawiać czoło burzy, ale niebawem opuściła salon.

— Trzeba przyznać, mój dobry Gonzo, że jesteś bardzo niezręczny! krzyknął nań z góry pewien oficer, dojadający czwarte lody. — Jak możesz nie wiedzieć, że koadiutor, który był jednym z najdzielniejszych dowódców armii Napoleona, wypłatał niegdyś haniebnego figla ojcu margrabinie, wymykając się z cytadeli — której dowództwo miał generał Conti — tak jakby sobie wyszedł ze Steccata (główny kościół w Parmie).

— Nie wiem w istocie wielu rzeczy, drogi kapitanie; jestem biedny głupiec, który wciąż strzela bąki.

Ta odpowiedź w smaku czysto włoskim rozśmieszyła towarzystwo kosztem świetnego oficera. Margrabina wróciła niebawem; uzbroiła się w odwagę, nie wolną od nadziei, że ona także będzie mogła podziwiać portret Fabrycego, który tak chwalono. Wspomniała z zapalem o Hayezie, który go wykonał. Bezwiednie stała urocze uśmiechy w stronę Gonza, który złośliwie spoglądał na oficera. Ponieważ inni dworacy oddawali się tej samej przyjemności, oficer uciekł ślubując śmiertelną nienawiść Gonzowi; ten tryumfował, wieczorem zaś, kiedy się żegnał z panią domu, otrzymał zaproszenie na jutrzejszy obiad.

— Nowa historia! — wykrzyknął Gonzo po obiedzie, kiedy służba wyszła — co się dzieje: nasz koadiutor zakochał się w małej Marini!...

Można osądzić wzruszenie Klelii, kiedy usłyszała tę osobliwą wiadomość. Sam margrabia był przejęty.

— Ależ, Gonzo, przyjacielu, strzeliłeś bąka jak zwykle! Powinien byś mówić oględniej o osobie, która miała zaszczyt jedenaście razy grać w wista z Jego Wysokością!

— Otóż, panie margrabio — odparł Gonzo z gruboskórnością właściwą ludziom tego rodzaju — mogę panu przysiąc, że chciałby zagrać i z małą Marini. Ale wystarczy, że te szczegóły nie znajdują łaski w pańskich oczach; już przestały istnieć dla mnie, który przede wszystkim nie chcę urazić mego najukochańszego margrabiego.

Po obiedzie margrabia udawał się zawsze na drzemkę. Tego dnia nie poszedł do siebie; ale Gonzo raczej dałby sobie uciąć język, niżby dodał bodaj słówko o Anetce; co chwila zaczynał jakieś opowiadanie mające budzić nadzieję, że wróci do spraw sercowych ładnej mieszczaneczki. Gonzo posiadał ten istic włoski zmysł polegający na tym, aby odwlekać z rozkoszą upragnione słowo. Biedny margrabia, umierający z ciekawości, musiał zrobić pierwszy krok: oświadczył Gonzowi, że kiedy ma przyjemność jeść obiad w jego towarzystwie, ma dubeltowy apetyt. Gonzo nie zrozumiał, zaczął opisywać wspaniałą galerię obrazów margrabinie Balbi, kochanki nieboszczyka księcia; kilka razy wspominał o Hayezie, cedząc słowa bardzo powoli z największym podziwem. Margrabia powiadał sobie: „No, nareszcie dojdzie do portretu zamówionego przez Anetę Marini!” Ale Gonzowi ani się śniło. Wybiła piąta, co podrażniło margrabiego, który zwykł był o wpół do szóstej, po drzemce, siadać do powozu i jechać na Corso.

— Widzisz, co ty wyprawiasz przez swoje bzdurstwa! — rzekł brutalnie do Gonza — przez ciebie przybędę na Corso po księżnej-matce, której jestem szambelanem i która może ma dla mnie jakieś zlecenia. No! śpiesz się! Powiedz mi w kilku słowach, jeśli możesz, co to są te rzekome amory pana koadiutora?

Ale Gonzo chciał zachować to opowiadanie dla margrabinie, która go zaprosiła na obiad; odklepał tedy w kilku słowach żadaną historyjkę, a margrabia, na wpół uśpiony, pobiegł się zdrzemnąć. Z biedną margrabiną Gonzo wziął się inaczej do rzeczy. Została ona tak młoda i naiwna wśród swoich splendorów, iż sądziła, że trzeba jej naprawić grubiaństwo margrabiego. Gonzo, zachwycony tym sukcesem, odzyskał całą wymowę i z prawdziwą rozkoszą, a nie tylko z obowiązku, zapuścił się w szczegóły bez końca.

Aneta Marini płaciła do cekina za miejsce, które jej zatrzymywano w kościele; przybywała zawsze z dwiema ciotkami i z dawnym kasjerem ojca. Miejsca te, które kazała strzec od poprzedniego dnia, były zazwyczaj na wprost ambony, nieco od strony wielkiego ołtarza, bo spostrzegła, że koadiutor często obraca się ku ołtarzowi. Otóż publiczność zauważyła, że wymowne oczy młodego kaznodziei *nierzadko* zatrzymują się z upodobania

niem na młodej i ponętnej herytierze<sup>92</sup>; i musiało go to nieco pochłaniać, gdyż skoro tylko utkwiał w nią oczy, kazanie stawało się uczone, obfitowało w cytaty, nie było już w nim porywu serca. Damy, których zainteresowanie natychmiast gasło, zaczynały wówczas spoglądać na Anetę i obmawiać ją.

Klelia kazała sobie trzy razy powtarzać wszystkie te szczegóły. Za trzecim razem zadumała się głęboko; obliczała, że to już czternaście miesięcy, jak nie widziała Fabrycego. „Czy to byłoby co złego — powiadała sobie — zejść na godzinę do kościoła, nie aby widzieć Fabrycego, ale aby usłyszeć słynnego kaznodzieję... Zresztą przysiędę gdzieś z dała od ambony i spojrzę na Fabrycego jedynie raz, wchodząc, i drugi raz z końcem kazania... Nie — powiadała sobie Klelia — ja nie Fabrycego chcę zobaczyć, ja chcę usłyszeć zdumiewającego kaznodzieję!” Wśród tych myśli margrabina miała wszakże wyrzuty: postępowanie jej było tak piękne od czternastu miesięcy! Wreszcie powiedziała sobie dla uspokojenia: „Jeżeli pierwsza kobieta, która przyjdzie tu dziś wieczór, była posłuchać monsignora del Dongo, pójdę i ja; jeśli nie była, poniecham”.

Raz powziąwszy to postanowienie, margrabina rzekła ku wielkiej radości Gonza:

— Niech się pan postara dowiedzieć, którego dnia koadiutor będzie kazał i w jakim kościele. Dziś wieczór, nim pan wyjdzie, będę może miała zlecenie dla pana.

Zaledwie Gonzo udał się na Corso, Klelia wybiegła do ogrodu. Nie przyszło jej na myśl, że od sześciu miesięcy nie powstała tam jej noga. Była ożywiona, podniecona, miała rumieńce. Wieczorem przy każdym nudziarzu, który wchodził do salonu, serce jej biło ze wzruszenia. Wreszcie oznajmiono Gonza, który od pierwszego rzutu oka zrozumiał, że przez tydzień będzie człowiekiem potrzebnym; margrabina jest zazdrosna o małą Marini. „Na honor, to byłaby dobra komedia — powiadał sobie — w której margrabina grałaby heroinę, Aneta subretkę, a monsignore kochanka! Na honor! dwa franki za bilet, to by nie było za drogo.” Nie posiadał się z radości, cały wieczór nie dał nikomu przyjść do słowa, opowiadał najpiękniejsze anegdoty (np. o sławnej aktorce i o margrabi de Pequigny, którą usłyszał w wilię od przejeźdnego Francuza). Margrabina znowuż nie mogła usiedzieć w miejscu; przechadzała się po sali, przeszła do galerii, gdzie margrabia skupił same obrazy kosztujące wyżej dwudziestu tysięcy franków. Obrazy te miały owego wieczora taką wymowę, że serce margrabiny omdlewało ze wzruszenia. Wreszcie usłyszała, że drzwi otwierają się na oścież, pobiegła do salonu: była to margrabina Raversi! Ale przy zwykłych ceremoniach powitalnych Klelia czuła, że głos jej zamiera. Musiała dwa razy powtórzyć pytanie:

— Co pani sądzi o naszym głośnym kaznodziei? — gdyż pani Raversi nie dosłyszała zrazu.

— Ot, sprytny karierowicz, godny bratanek sławnej hrabiny Mosca; ale ostatnim razem kiedy kazał — o, właśnie u wizytek, naprzeciwko ciebie — był tak wspaniały, że odłożywszy na bok wszelkie niechęci, uważam go za najwymowniejszego człowieka, jakiego kiedy słyszałam.

— Była pani na jego kazaniu? — spytała Klelia, drżąc ze szczęścia.

— Jakże! — odparła margrabina, śmiejąc się — nie słyszałaś, co mówiłam? Nie opuściłabym żadnego za nic w świecie. Powiadają, że on jest chory na piersi i że niebawem skończą się te kazania.

Ledwie margrabina wyszła, Klelia zawołała Gonza do galerii.

— Jestem prawie zdecydowana — rzekła — posłuchać tego wysławianego kaznodziei. Kiedyż kazanie?

— W najbliższy poniedziałek, to znaczy za trzy dni; można by pomyśleć, że odgadł zamiar Waszej Ekscelencji, bo będzie kazał u wizytek.

Klelia nie wyjaśniła jeszcze wszystkiego, ale nie mogła wydobyć głosu; przeszła się kilka razy po galerii, nie dodając słowa. Gonzo powiadał sobie: „To zemsta tak ją trawi. Jak można mieć tę bezczelność, aby umykać z więzienia, zwłaszcza kiedy się ma zaszczyt być pod strażą bohatera takiego jak generał Fabio Conti!”

— Zresztą trzeba się śpieszyć — dodał z delikatną ironią — jest chory na piersi. Słyszałem, jak doktor Rambo mówił, że nie przetrzyma ani roku; Bóg karze go za to, że złamał Jego prawo, uciekając zdradziecko z cytadeli.

<sup>92</sup>herytier (z fr.) — dziedziczka fortuny. [przypis edytorski]

Margrabina siadła na kanapie i dała znak Gonzowi, by uczynił to samo. Po chwili wręczyła mu sakiewkę, w której przygotowała parę cekinów.

— Niech mi pan każe zatrzymać cztery miejsca.

— Czy będzie wolno biednemu Gonzo wśliznąć się za Waszą Ekszelencją?

— Oczywiście, niech pan każe zatrzymać pięć miejsc... Nie zależy mi bynajmniej — dodała — aby być blisko kazalnicy, ale chciałabym widzieć pannę Marini, powiadają, że taka ładna.

Margrabina była półżywa przez te trzy dni, które ją dzieliły od słynnego poniedziałku, dnia kazania. Gonzo, dla którego to był olbrzymi honor pokazać się publicznie w orszaku tak wielkiej damy, wystroił się w swój francuski frak i przypasał szablę; nie dość na tym, kazał, korzystając z sąsiedztwa pałacu, zanieść do kościoła wspaniałe złożony fotel dla margrabiny, co się wydało mieszczanom szczytem nieprzyzwoitości. Można sobie wyobrazić, co się działo z biedną margrabiną, kiedy ujrzała ten fotel, i to na wprost ambony. Klelia była tak zmieszana, wtulona ze spuszczoneymi oczami w kącik olbrzymiego fotela, że nie miała nawet odwagi spojrzeć na małą Marini, mimo że Gonzo pokazywał ją palcem, z arogancją, której Klelia nie umiała powściągnąć. Wszystko, co nie było szlachtą, było bezwarunkowo niczym w oczach dworaka.

Fabrycy ukazał się na kazalnicy; był tak chudy, tak blady, tak *strawiony*, że oczy Klelii natychmiast wypełniły się łzami. Rzekł kilka słów, po czym zatrzymał się, jak gdyby nagle zabrakło mu głosu; próżno silił się zaczynać kilka zdań, odwrócił się i wziął karteczkę.

— Moi bracia — rzekł — dusza nieszczęśliwa i bardzo godna waszej litości prosi was moim głosem, abyście się modlili za koniec jej utrapień, które ustaną aż z życiem.

Fabrycy odczytał dalszy ciąg kartki bardzo wolno, ale akcent był taki, że nim modlitwa doszła do połowy, wszyscy płakali, nawet Gonzo. „Przynajmniej nikt mnie nie zauważy” — powiadała sobie margrabina, zalewając się łzami.

Kiedy Fabrycy czytał tę kartkę, zarysował mu się w duszy obraz nieszczęśliwego, dla którego błagał o modły. Niebawem myśli zaczęły mu się cisnąć tłumnie. Zwracając się niby do publiczności, mówił jedynie do margrabiny. Zakończył nieco wcześniej niż zwykle, gdyż mimo że się powściągał, łzy dławily mu głos. Znamcom wydawało się to kazanie dziwne, ale co do wymowy równe co najmniej owemu słynnemu kazaniu przy świątłach. Co się tyczy Klelii, zaledwie wysłuchała pierwszych słów modlitwy Fabrycego, wyrzucała sobie jak zbrodnię, że mogła przeżyć czternaście miesięcy, nie widząc go. Wróciwszy do domu położyła się, aby myśleć o Fabrycym swobodnie; nazajutrz zaś, dość wcześnie, Fabrycy otrzymał następujący bilecik:

Liczy się na pański honor; znajdź czterech *bravi*, których dyskrecji byłbyś pewny, i jutro, w chwili gdy północ wybije na Steccata, bądź koło drzwiczek noszących numer 19, przy ulicy Świętego Pawła. Pomnij, że mogą cię napaść, nie przychodź sam.

Poznając niebiańskie pismo Fabrycy padł na kolana i zalał się łzami. „Wreszcie — wykrzyknął — po czternastu miesiącach i ośmiu dniach! Bywajcie zdrowe, kazania!”

Zbyt długo byłoby opisywać szaleństwo, którego pastwą były tego dnia serca Fabrycego i Klelii. Wskazane drzwiczki były to po prostu drzwi do oranżerii pałacu Crescenzich; dziesięć razy w ciągu dnia Fabrycy znalazł sposób, aby je obejrzeć. Wziął broń i sam, nieco przed północą, szybko przechodził koło tych drzwi, kiedy ku swej niewysłowionej radości usłyszał dobrze znany głos, mówiący cicho:

— Wejdz tu, miły mego serca.

Fabrycy wszedł ostrożnie i znalazł się istotnie w oranżerii, ale pod oknem zakratowanym i pomieszczonym na trzy lub cztery stopy nad ziemią. Ciemność była głęboka. Fabrycy usłyszał w oknie jakiś szmer i macał kratę ręką, kiedy uczył, jak jakaś dłoń ujmuje poprzez kraty jego rękę i niesie ją do warg, które złożyły na niej pocałunek.

— To ja — rzekł drogi głos — przybyłam tu, aby ci powiedzieć, że cię kocham, i spytać, czy zechcesz mi być posłuszny.

Można się domyślić odpowiedzi, radości, zdumienia Fabrycego; po pierwszych uniesieniach Klelia rzekła:

— Uczyniłam, jak wiesz, ślub Madonnie, że cię nigdy nie zobaczę; dlatego przyjmuję dę w głębokiej ciemności. Chcę, byś wiedział, że gdybyś mnie kiedy zmusił do oglądania

cię w biały dzień, wszystko byłoby skończone między nami. Ale przede wszystkim, nie chcę tych kazań w obecności Anety Marini, a także, abys nie myślał, że to ja byłam tak głupia, aby kazać zanieść fotel do domu bożego.

— Drogi aniele, nie będę już kazał przed nikim; czyniłem to jedynie w nadziei ujżenia kogoś dnia ciebie.

— Nie mów tak, pamiętaj, że mnie nie wolno widzieć cię.

Tu prosimy o przeskoczenie, bez jednego słowa, lat trzech.

W epoce gdy zaczyna się na nowo nasze opowiadanie, od dawna już hrabia Mosca wrócił do Parmy jako pierwszy minister, potężniejszy niż kiedykolwiek.

Po tych trzech latach niebiańskiego szczęścia, duszę Fabrycego owładnął kaprys tęsknoty, który wszystko odmienił. Margrabina miała uroczego dwuletniego synka Sandrino, który stanowił radość matki, był zawsze przy niej lub na kolanach margrabiego Crescenzi; Fabrycy, przeciwnie, nie widywał go prawie nigdy. Otóż nie chciał, aby dzieciak nauczył się kochać innego ojca; powziął zamiar porwania go, nim jego wspomnienia się utrwala.

W ciągu długich godzin, kiedy margrabina nie mogła widzieć swego kochanka, obecność Sandrina była jej pociechą; trzeba nam bowiem wyznać coś, co się wyda dziwne na północ od Alp; mianowicie, iż mimo swych błędów, została wierna ślubowi; przyrzekła Madonnie — czytelnik przypomina sobie może — *nigdy nie widzieć* Fabrycego; tak brzmiały ściśle jej słowa: jakoż przyjmowała go tylko w nocy i zawsze bez światła.

Ale za to co wieczór bywał u swej przyjaciółki; a co graniczy z cudem, wśród dworu trawionego ciekawością i nudą postępowanie Fabrycego było tak przezorne, że nigdy ta *amicizia*, jak mówi się w Lombardii, nie zbudziła niczyich podejrzeń. Miłość ta była zbyt żywa, aby się mogła obejść bez sprzeczek; Klelia była bardzo zazdrosna; ale prawie zawsze sprzeczki miały inną przyczynę: Fabrycy skorzystał z jakiejś uroczyści, aby się znaleźć w pobliżu margrabiny i patrzeć na nią; wówczas Klelia chwytła się jakiegoś pozor, aby wyjść szybko, i na długi czas skazywała kochanka na wygnanie.

Dziwiono się na dworze w Parmie, że kobieta tak wyróżniająca się urodą i inteligencją nie ma żadnej miłostki; budziła uczucia, które natchnęły wiele szaleństw, i często Fabrycy również bywał zazdrosny.

Zacny arcybiskup Landriani umarł od dawna; pobożność, surowość obyczajów, wymowa Fabrycego sprawiły, że rychło zapomniano o jego poprzedniku. Umarł również starszy brat Fabrycego i wszystkie dobra rodzinne przypadły jemu. Począwszy od tej epoki rozdzielał co rok wikariuszom i proboszczom swojej diecezji owych sto i coś tysięcy franków, które mu przynosiło arcybiskupstwo w Parmie.

Trudno było wymarzyć życie bardziej otoczone szacunkiem, bardziej czcigodne i pożyteczne niż to, które stworzył sobie Fabrycy, kiedy naraz wszystko zamącił ów nieszczęsny kaprys miłości.

— W myśl owego ślubu, który szanuję, a który jest wszakże nieszczęściem mego życia, skoro nie chcesz mnie widywać we dnie — powiedział raz do Klelii — muszę żyć ciągle sam, bez żadnej rozrywki poza pracą, a jeszcze i pracy mi zbywa. Wśród smutnych i długich godzin, jakie pędzę, nasunęła mi się myśl, która mnie dręczy i którą zwalczam na próżno od pół roku: syn mój nie będzie mnie kochał, nie słyszy nigdy mego imienia. Wychowany w miłym zbytku pałacu Crescenzi, zaledwie mnie zna. W rzadkich chwilach kiedy go widuję, myślę o jego matce; przypomina mi jej niebiańską piękność, na którą nie wolno mi patrzeć. Fizjonomia moja musi się wydawać bardzo poważna, co dla dziecka znaczy smutna!

— Mów — spytała margrabina — dokąd zmierza ta mowa, która mnie przeraża?

— Do odzyskania mego syna; chcę, aby mieszkał ze mną; chcę go widywać co dzień; chcę, aby się przyzwyczaił mnie kochać swobodnie. Skoro wyjątkowa fatalność żąda, abym był pozbawiony tego szczęścia, którym cieszy się tyle tklivych dusz, i abym nie mógł pędzić życia z przedmiotem mego ukochania, chcę bodaj mieć przy sobie istotę, która by cię przypominała memu sercu, która by cię zastępowała poniekąd. Sprawy i ludzie ciążą mi w mojej przymusowej samotności; wiesz, że ambicja była zawsze dla mnie słowem bez treści, od chwili gdy miałem szczęście być wpisany na listę więźniów ręką Barbone'a; wszystko, co nie jest życiem duszy, wydaje mi się śmieszne w owej melancholii, jaka mnie gniecie z dala od ciebie.

Można zrozumieć ból, jakim cierpienie kochanka napełniło dusze biednej Klelii; smutek jej był tym głębszy, iż czuła, że Fabrycy miał słuszność. Ogarnęła ją wątpliwość, czy nie powinna się pokusić o zerwanie ślubu. Wówczas przyjmowałaby Fabrycego w dzień, jak każdą inną osobę z towarzystwa; reputacja jego cnoty była zbyt ustalona, aby ktoś widział w tym coś złego. Powiadała sobie, iż przy pomocy znacznej sumy mogłaby uzyskać zwolnienie ze ślubu; ale czuła takie, że ten na wskroś świecki układ nie zaspokoiłby jej sumienia i że niebo skarałoby ją może za tę nową zbrodnię.

Z drugiej strony, gdyby się zgodziła ulec tak naturalnemu pragnieniu Fabrycego, gdyby chciała nie unieszczęśliwić tkliwej duszy, którą znała tak dobrze i której spokój mąciły jej dziwaczne śluby, jakimż cudem porwać jedyne go syna jednego z największych magnatów Włoch, tak aby nie odkryto tej zdrady? Margrabia Crescenzi wydałby olbrzymie sumy, sam stanąłby na czele poszukiwań; prędzej lub później porwanie wyszłoby na wierzch. Był tylko jeden sposób, aby uchronić się przed tym niebezpieczeństwem i wysłać dziecko gdzieś daleko, do Edynburga lub do Paryża; ale na to czułość matczyna nie mogła się zdobyć. Drugi sposób, podawany przez Fabrycego, w istocie najrozsądniejszy, miał w sobie coś złowróżbnego i niemal jeszcze okropniejszego w oczach tej zrozpaczonej matki. — Trzeba — powiadał Fabrycy — udać chorobę; dziecko miałoby się coraz gorzej, wreszcie zmarłoby podczas nieobecności margrabiego Crescenzi.

Odraza do tej myśli, dochodząca u Klelii do istnej grozy, spowodowała zerwanie, które wszelako nie mogło trwać.

Klelia twierdziła, że nie trzeba kusić Boga; że ten ukochany syn jest owocem zbrodni i że, jeśli się jeszcze podrażni gniew boży, Bóg go niechybnie powoła do siebie. Fabrycy znowuż mówił o swoim smutnym losie. — Stan, jaki wyznaczył mi traf — powiadał do Klelii — oraz miłość moja skazują mnie na wieczną samotność; nie mogę, jak większość moich kolegów, zażywać słodczy tkliwego stosunku, skoro nie chcesz mnie widzieć inaczej niż po ciemku, co sprowadza, rzec można, do kilku chwil część życia, którą mogę spędzić z tobą.

Wylali wiele łez. Klelia zachorowała, ale zanadto kochała Fabrycego, aby się wciąż uchylać od straszliwego poświęcenia, którego żądał. Na pozór Sandrino zachorował; margrabia wezwał najślawniejszych lekarzy, a Klelia znalazła się w straszliwym kłopotcie, którego nie przewidziała: trzeba było nie pozwolić ubóstwianemu dziecku brać przepisanych lekarstw, a to była nie lada sprawa.

Dziecko, pozostając w łóżku dłużej, niż wymagało jego zdrowie, zachorowało naprawdę. Jak powiedzieć lekarzowi przyczynę choroby? Szarpana sprzecznymi uczuciami, Klelia była bliska szaleństwa. Czy zgodzić się na pozorne wyzdrowienie i zmarnować wysiłek długiej i ciężkiej komedii? Fabrycy znowuż nie mógł ani sobie przebaczyć gwałtu, jaki zadał sercu ukochanej, ani wyrzec się zamiaru. Znalazł sposób, aby odwiedzać co noc chore dziecko, co sprawiło nowe powikłania. Margrabina przychodziła pielęgnować syna, niekiedy Fabrycy widział ją przy blasku świec, co zdawało się choremu sercu Klelii okropnym grzechem, wróżącym śmierć Sandrina. Próżno najsłynniejsi kazuiści, których radzono się w przedmiocie ślubów, w razie gdyby ich dopełnienie było wyraźnie szkodliwe, odpowiadali, że nie można uważać za zbrodnię złamanie ślubu, o ile osoba związana przyrzeczeniem wobec Boga uchyla się od niego nie dla czczej rozkoszy zmysłów, ale aby nie sprawiać oczywistej szkody. Margrabina była mimo to w rozpacz: Fabrycy widział, że jego szalony pomysł sprowadzi śmierć Klelii i jego syna.

Uciekł się do swego serdecznego przyjaciela, hrabiego Mosca; ten, mimo iż stary minister, wzruszył się tą historią miłosną, której większej części nie znał.

— Postaram ci się o nieobecność margrabiego co najmniej na pięć czy sześć dni: kiedy sobie życzysz?

Za jakiś czas Fabrycy oznajmił hrabiemu, że wszystko jest przygotowane.

W dwa dni później, kiedy margrabia wracał konno z majątku swego w okolicach Mantui, jakieś zbiry, wynajęte widocznie dla prywatnej zemsty, porwały go, nie czyniąc mu żadnej krzywdy i wsadziły go do barki. Barka płynęła trzy dni w dół Padu, odbywając tę samą drogę, którą Fabrycy odbył kiedyś po słynnej sprawie z Gilettim. Czwartego dnia bandyci złożyli margrabiego na samotnej wysepce wśród Padu, okradłszy go doszczętnie, tak że mu nie zostawili ani pieniędzy, ani żadnego wartościowego przedmiotu. Minęły

Porwanie, Śmierć

całe dwa dni, nim margrabia zdołał wrócić do swego pałacu w Parmie; zastał pałac obity kirem i cały dom w rozpaczy.

Porwanie to, bardzo zręcznie wykonane, miało oplakany skutek: Sandrino pomieszczony w pięknym i wielkim domu, gdzie margrabina odwiedzała go prawie co dzień, umarł po kilku miesiącach. Klelia wyobraziła sobie, że ją dosięgła słuszna kara za to, że złamała ślub dany Madonnie; widziała tak często Fabrycego przy świetle, a nawet dwa razy w biały dzień, i to z takim upojeniem, podczas choroby Sandrina! Ledwie kilka miesięcy przeżyła ubóstwianego syna, ale miała to szczęście, że zmarła w ramionach kochanka.

Fabrycy był zbyt zakochany i zbyt wierzący, aby szukać ucieczki w samobójstwie; spodziewał się ujrzeć Klelię na tamtym świecie, ale patrzył na rzeczy dość jasno, aby czuć, że ma wiele do odpokutowania.

Wkrótce po śmierci Klelii podpisał szereg aktów, którymi zapewnił po tysiąc franków pensji każdemu ze służby i zachował takąż pensję dla siebie samego; dobra swoje, wartości około stu tysięcy funtów renty, darował hrabinie Mosca; takąż sumę margrabinie del Dongo, swojej matce; to zaś, co zostało z ojcowskiego majątku, swojej siostrze nieszczerze wydanej za męża. Nazajutrz wniósłszy, gdzie należało, dymisję z arcybiskupstwa i z wszystkich godności, jakimi go obsypała łaska Ernesta V i przyjaźń pierwszego ministra, schronił się do Pustelni parmeńskiej w lasach ciągnących się nad Padem, o dwie mile od Sacca.

Hrabina Mosca pochwaliła w swoim czasie to, że mąż jej wrócił do ministerium, ale sama nigdy nie odwiedziła dziedzin Ernesta V. Żyła wystawnie w Vignano, o ćwierć mili od Casal-Maggiore, na lewym brzegu Padu, zatem już w Austrii. We wspaniałym pałacu w Vignano, który hrabia kazał jej zbudować, przyjmowała co czwartek cały wielki świat parmeński, a codziennie licznych przyjaciół. Nie minął ani jeden dzień bez bytności Fabrycego w Vignano. Słowem hrabina miała wszystkie pozory szczęścia, ale bardzo niewiele przeżyła Fabrycego, którego ubóstwiała, a który spędził tylko rok w swojej pustelni.

Więzienia parmeńskie były próżne, hrabia bezmiernie bogaty, Ernest V ubóstwiany przez poddanych, którzy porównywali jego rządy z rządami wielkich książąt Toskanii.

*To the happy few*<sup>93</sup>.

---

<sup>93</sup>*To the happy few* (ang.) — dla garstki szczęśliwych (którzy zrozumieją i docenią tę powieść). [przypis tłumacza]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/stendhal-pustelnia-parmenska>

Tekst opracowany na podstawie: Stendhal, *Pustelnia parmeńska*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, wyd. Książka i Wiedza, Warszawa 1988

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Martę Niedziałkowską.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0953-6

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).